

Patricia Shaw

Poszukiwacze marzeń

Przełożył z angielskiego Krzysztof Sokołowski

Wydawnictwo „ Książnica ”

Skan i korekta Roman Walisiak

Tytuł oryginału The Dream Seekers

Opracowanie graficzne Marek J. Piwko

Copyright © 2001 Patricia Shaw

First published in English by Headline Publishing Group Limited

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez uprzedniej pisemnej zgody wydawcy żaden fragment niniejszego utworu nie może być reprodukowany ani przesyłany

za pośrednictwem urządzeń mechanicznych bądź elektronicznych.

Niniejsze zastrzeżenie obejmuje również fotokopiowanie

oraz przechowywanie w systemach gromadzenia i odtwarzania informacji.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.

Opis z okładki.

POSZUKIWACZE MARZEŃ.

Pod przywództwem charyzmatycznego pastora, ojca Beitz, grupa pionierów wyrusza do dalekiej Australii, by tam stworzyć idealną wspólnotę. Niestety, okazuje się, że nowa kraina to nieprzebyty busz, gdzie na przybyszów czekają liczne niebezpieczeństwa. Pastor Beitz nie przyjmuje do wiadomości tego faktu i zdaje się tracić kontakt z rzeczywistością. Wraz z najwierniejszymi członkami grupy próbuje okiełznać dziką, złowrogą przyrodę. Czy w zrozumieniu nieprzyjaznego świata pomoże im stary czarownik - Aborygen?

Dla Johna i Wendy Daniher,  
Margaret i Lorraine,  
pamięci Julii.

CZEŚĆ PIERWSZA.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Hamburg, listopad 1874.

- Morderstwo!

W atmosferze nocy czuło się grozę. Drżący z chłodu urzędnik pozostał w budce nocnego strażnika, słuchając tupotu butów na mokrych deskach. Obok niego przez mgłę biegli mężczyźni; zdziwieni, zaniepokojeni, krzyczący w podnieceniu, zmierzali w stronę tłumu zgromadzonego w ciemnej anonimowej uliczce. Zachowywali się tak, jakby spodziewali się,

że gdzieś przed nimi jest jakaś szczelina, w którą mogliby wpaść, gdyby nie wołali do siebie, nie pokrzykiwali, nie badali w ten sposób drogi przed sobą, nikt im bowiem nie odpowiadał. Niech przybędą na miejsce, niech się sami przekonają, o co chodzi, tam w tłumie nikt nie podnosił głosu, w szarym mroku rozlegały się tylko szepty, jakby nikt nie chciał przebudzić zmarłego, urazić go. Mężczyźni, ciekawscy mężczyźni w czapkach nisko nasuniętych na czoła, rozglądający się na boki niespokojnie i podejrzliwie, zbierali się w grupki, rozchodzili, gromadzili w kolejne, przesuwali z miejsca na miejsce, soplowali, czekali, palili fajki, chuchali w zmarznięte dłonie.

Jedni przychodzili, drudzy odchodzili, bo nic nowego nie miało się tu zdarzyć, ale pytania pozostawały te same.

- Ciało! Znalezli ciało! Morderstwo... i to tu, w tej uliczce, tylko nieco dalej. W starym silosie zbożowym!

- Czyje ciało? Co mu się stało? Kim jest... kim był ten człowiek?

- Załatwili go. Brutalnie pobili i jeszcze poderżnęli gardło.

7

- A skąd! Kumpel go widział. Nikt mu nie poderżnął gardła. Dostał parę razy w łeb, to wystarczyło. Po pysku też, i to dobrze.

- Biedny głupek, pewnie nawet nie wiedział, co się dzieje. Ty dokąd?

- Popatrzeć, a co?

- Nic nie zobaczysz. Inspektor kazał trzymać się od tego z daleka.

- Kim był ten... no... trup?

- Nie wiem. Nietutejszy. Pewnie marynarz.

- Skąd! Słyszałem, że aktor.

- Kto ci to powiedział? Aktor, też mi coś! A jak nie aktor, to kto?

- Prawdę mówię! Słyszałem rozmowę strażników. - Złapali mordercę?
  - Gdzie tam! Pewnie nie był stąd. Więcej tu bandytów niż miejscowych.
  - Kto znalazł ciało?
  - Parę dziwek szukało przytulnego kącika. Wezwały strażnika, strażnik wezwał inspektora, a zaraz potem pojawił się pastor.
  - Tak od razu?
  - Gdyby tylko modlitwy za zmarłych działały! Ten pastor, on znał ofiarę. Zidentyfikował zwłoki.
  - To musiało nim wstrząsnąć.
  - Nie pastorem. Kto jak kto, ale oni przyzwyczajeni są do widoku trupów. Prawie jak żołnierze.
  - A gdyby poszli na wojnę, widzieliby ich nawet więcej.
  - Zamknij się, Bert. Wracaj do domu.
  - Ma gadane ten nasz Bert. A w ogóle to co pastor miał do roboty w dokach, w dodatku o tej godzinie?
  - Wsiadał na statek. „Clovis”. Wypływa dzisiaj. Zresztą sam go zapytaj. Poszedł o tam, do tej ruiny.
- Tego oczywiście nie dałoby się zrobić. Żółta latarnia nad gospodą świeciła słabo po drugiej stronie.
- Usłyszeli klekot lekkiego powozu dobiegający od krańca uliczki, powozu z kostnicy, tak przypuszczali. A więc zabawa się skończyła.
- Potężnie zbudowani, ciepło ubrani mężczyźni rozproszyli się już i znikli we mgle, kiedy z alejki wyszedł inspektor Backhaus

8

wraz z dwoma nocnymi strażnikami. Inspektor cieszył się, że cały ten cyrk wreszcie się skończył. Zdąży do domu przed dziewiątą, zje gorącą kolację

z rodziną, póki piec będzie jeszcze ciepły. Drewno się skończyło. Dostawcy odmówili mu usług, póki nie zapłaci zaległych rachunków. Prychnął gniewnie; idący po jego obu bokach mężczyźni natychmiast wyrównali krok, pragnąc zadowolić go we wszystkim, żeby nie obciążył ich winą za kolejne przestępstwo w swoim rewirze. Tylko... co oni mogli zrobić? Nawet sam inspektor, przeniesiony z wojska do Sektora Ochrony Obywateli i Pasażerów Statków na Terenie Doków, pod którą to nazwą znany był ich oddział, przyznał, że zbrodni dokonano gdzie indziej. Przeszukanie przy latarni nie ujawniło ani kropli krwi na gnijących deskach, za to na ziemi pozostały ślady świadczące o tym, że ktoś ciągnął ciało.

Wszyscy stali wówczas i gapili się na wąskie, ciemne ponure uliczki, na ciężące nad nimi królicze klatki domów, niektóre nawet czteropiętrowe, schroniska skazańców, bandytów i przemytników. A także nędzarzy i degeneratów; wszyscy oni byli śmiertelnym zagrożeniem dla przyzwoitych obywateli, w tym mieszkańców gospód i pensjonatów, czekających nerwowo na wezwanie na pokład statku. Było zupełnie tak, jakby tu, w miejscu bez wyjścia, przy głębokiej fali portu gromadziły się szumowiny ludzkości i po prostu tonęły. Ratowało się zaledwie kilku.

- Ktoś musiał go tu przyciągnąć - warknął Backhaus. - Gdybyście mieli oczy otwarte, zobaczylibyście kogoś zachowującego się podejrzanie. A może wleczenie trupa nie jest dla was podejrzany zachowaniem?

Strażnicy wiedzieli, że nie warto tłumaczyć mu, jakim labiryntem są brukowane uliczki i podziemne przejścia prowadzące na nabrzeże. Nawet w dzień było tu mrocznie. Nie byli w stanie patrolować ich wszystkich przez cały czas. Strażnik Fritz powiedział to panu inspektorowi przed

miesiącem i z miejsca stracił pracę. Backhaus był twardy. Kiedy uliczni bandyci napadli biednego Brunona Fischera i ukradli mu latarnię, też nie usłyszał miłego słowa. Inspektor rozmawiał z nim tak, że nieszczęśnik zaczął się zastanawiać, czy to przypadkiem nie on popełnił przestępstwo. - Jak stracisz latarnię - powiedział - to zupełnie tak, jakby żołnierz stracił karabin.

9

Strażnicy nie mieli pojęcia, jak rozumieć te słowa. Dyskutowali o tym między sobą zdumieni. Kiedy żołnierz straci swój muszkiet... czy to przestępstwo? Nie mieli pojęcia, ale jeśli tak, wspólnie uznali, że to cholernie niesprawiedliwe. Każdy może stracić karabin, zgubi go, a może mu ukradną, zwłaszcza w okolicznościach, które wyobrażali sobie jako wojenny chaos. Ale żeby latarnia miała coś wspólnego z karabinem? No, zawsze można walnąć nią kogoś w łeb. To była ich jedyna broń.

Bez wątplenia ten inspektor był odrobinę szalony. I miał temperament. Lepiej go nie denerwować. Omal nie zachichotali, kiedy poślizgnął się na mokrych krzywych deskach; nie padł jednak na zadek, uratował się w sposób godny akrobata, podparł lewą ręką, odzyskał równowagę. Prawą nie mógłby sobie pomóc. Zwisła bezwładna, praktycznie bezużyteczna. Wskutek cięć od szabli, ran, jak słyszeli, sięgających nie tylko ciała. Ran, które zakończyły jego karierę wojskową, rzuciły go na nabrzeże, rozczarowanego zgorzkniałego człowieka.

Nigdy nie mieli się dowiedzieć, że ich szef dostał promocję oficerską na polu bitwy zaledwie kilka dni przedtem, nim został ranny, lecz informacja o awansie nie znalazła się w jego papierach, gdy zwalniano go z armii. Protestował głośno, udowadniając, że nie jest już podoficerem, lecz

młodszy oficerem uprawnionym do renty, na próżno jednak. Była to przegrana sprawa.

Sam Backhaus nienawidził swej nowej pracy, lecz nie miał odwagi jej rzucić, bo co by wówczas począł? Z nędznej pensyjki nie był w stanie utrzymać rodziny, szybko odkrył, że płacono mu znacznie mniej, niż obiecywał urzędnik w zarządzie portu. Tak naprawdę miał tylko uroczysty tytuł nie pasujący do funkcji szefa portowych strażników i długi.

Odgrywał się więc na swoich ludziach, gnębił ich i fałszował papiery. Kristiana Backhausa nie obchodziło, ilu ludzi zostanie obrabowanych, zamordowanych, siłą zmuszonych do odbywania służby na okręcie wojennym. Z papierów miało wynikać, że pod jego rządami przestępczość maleje. Na papierze rzeczywiście malała i to w nader zadowalającym tempie, wystarczającym, by zauważyli to przełożeni i - być może - awansowali go na wyższe stanowisko.

Zatrzymał się, zapalił cygaro.

- Gdzie jest ten gość?

10

- Pastor, proszę pana? Jest tam, w tej ruinie. Chce już iść. Zaokrętować się na statek.

- Odejdzie, kiedy mu powiem, że może już odejść. Przyprowadźcie go do mojego gabinetu.

Gabinetu, burknął do siebie. To raczej cela więzienna niż gabinet.

Urzędował w zimnym wilgotnym pokoiku z tyłu Urzędu Celnego, wystarczająco dużym, żeby zmieściło się w nim biurko, kilka krzeseł przed biurkiem, przy drzwiach i labirynt regałów na akta za biurkiem; regałów pełnych planów rewiru, niektóre były tak stare, że pamiętały

czasy sprzed wielkiego pożaru. Śmierdziały stęchlizną tak strasznie, że niekiedy korciło go, by zorganizować tu własny „przypadkowy” pożar. Prawie przebiegł przez drogę, popędził kamiennymi schodami i zasiadł za biurkiem, nim doprowadzono interesanta.

Pastor. Wtrącający się w nie swoje sprawy głupiec wezwany do magazynu ziarna przez wrzeszczące prostytutki, które znalazły ciało, a on potem je zidentyfikował. Cholerny pech. Mnóstwo papierkowej roboty. Gdyby się nie wtrącił, ciało trafiłoby do kostnicy z numerem, jednym z wielu, i zostałoby natychmiast zapomniane. Nie miałoby nic wspólnego z jego rewirem. Ale teraz sprawy się skomplikowały. Ten trup, przywleczony Bóg wie skąd, nie powinien w ogóle znaleźć się w papierach. Można go było przeoczyć, trzeba go było przeoczyć...

Bawił się gęsim piórem i kałamarzem, kiedy w jego pokoiku pojawił się pastor, wlokąc za sobą wypchaną walizkę. Czepiał się jej, jakby była kotwicą utrzymującą go na miejscu, pozwalającą zachować równowagę.

- Proszę pana, przecież powiedziałem już wszystko, co jest mi wiadome. Śmierć tego biednego dżentelmena bardzo mnie zasmuca, ale mam swoje sprawy do załatwienia.

Backhaus gestem kazał strażnikowi wyjść i całą uwagę skupił na obywatelu. Był to mężczyzna wysoki, w wieku około dwudziestu pięciu lat. Dłonie miał białe, jak przystało jego powołaniu, rysy twarzy delikatne, z wyjątkiem ostrego nosa. Kasztanowate włosy i wąsy domagały się przycięcia. Tego mężczyznę, myślał inspektor, można by nawet nazwać przystojnym, gdyby nie to, że jego zachowanie i głęboki, w jakiś sposób żaloszny głos i wbite w podłogę oczy zdradzały poważną słabość. Pewnie to kolejne świadectwo kapłańskiego powołania, tak jak opuszczona głowa

i kolana same uginające się niczym w modlitwie. Ale... czego można się było po nim spodziewać? Silni mężczyźni idą do wojska, słabi do Kościoła.

W każdym razie pastor był czysto, porządnie ubrany, miał zwyczajowy czarny kapelusz i sutannę oraz przyzwoite buty na sprzączki, o numer, a może nawet dwa, za duże. Prawdopodobnie z drugiej ręki.

- Nazwisko! -warknął nagle inspektor.
- Pastor Friedrich Ritter.
- Może pan usiąść. Zawód?
- Jak pan zapewne zauważył, jestem duchownym.
- Wyznanie?
- Luterskie. Niedawno ukończyłem studia tu w Hamburgu, w Seminarium Świętego Jana, i zostałem wyświęcony.
- Tak, oczywiście. Nazwisko ofiary? - Backhaus notował zeznania na kartce położonej na stronicach otwartej książki dziennika urzędowego. Niestety wkrótce będzie je musiał wpisać do dziennika.
- Otto Haupt.
- Zawód?
- O ile wiem, był człowiekiem sceny.
- Kim? Mimem? Żonglerem?
- Sądzę, że aktorem. Nie znałem go zbyt dobrze. - Pastor rozejrzał się dookoła z rozpaczą w oczach, jakby oczekiwał, że ktoś przyjdzie mu na pomoc. Backhaus kontynuował przesłuchanie.
- Wydaje mi się dziwne, że pan w ogóle go znał. W jakich okolicznościach skrzyżowały się wasze drogi?

Ritter westchnął.

- Mieszkam w pensjonacie na Canal Street. To bardzo niemiłe miejsce, ale niestety na lepsze mnie nie stać. Chciałem pozostać blisko nabrzeża, ponieważ mój statek miał odpłynąć lada chwila. Niestety rejs się opóźnił, z powodów zapewne najlepiej znanych kapitanowi, nie mających dla tej sprawy najmniejszego znaczenia. Posiłki jadałem w tawernie nieco dalej na Canal i tam właśnie poznałem pana Haupta. Wydawał się człkiem lepszym od większości bywalców, ucieszyłem się więc z jego towarzystwa... choćby ze względów bezpieczeństwa. Boże drogi, myślę tylko o sobie, a biedny pan Haupt...

- Chciał mi pan coś powiedzieć?

12

- Rozmawialiśmy przy kolacji, ale kiedy podano nam rachunek, okazało się, że pan Haupt nie ma pieniędzy.

Tym razem westchnął inspektor.

- Więc musiałem zapłacić za nas obu - ciągnął Ritter. - Okazało się, że na pana Haupta przyszły ciężkie czasy. Miał nadzieję, że zapracuje na miejsce na pokładzie statku do Londynu, gdzie jak twierdził, przed ludźmi sceny otwierają się wielkie możliwości.

- Pochodził stąd?

- Nie. Nie stąd. Tego jestem pewien. Niech pan zrozumie, proszę, że jestem bardzo zdenerwowany tym strasznym morderstwem i koniecznością dostania się na statek. Może nawet powiedział mi, skąd pochodzi, ale doprawdy nie pamiętam.

- Gdzie mieszkał?

- Nie miał stałego mieszkania. Poprosił mnie o pieniądze, ale nie byłem w

stanie mu pomóc. Nazajutrz znowu się spotkaliśmy. Użaliłem się nad nim, zaprosiłem do pokoju na chleb, kiełbasę i rozgrzewającą szklaneczkę wina. Smutnym obrazem naszych czasów jest to, że Otto Haupt odwdzieczył mi się kradnąc mój płaszcz. To był mocny płaszcz z doskonałego materiału, pożegnalny prezent od...

- Prawdopodobnie przez ten płaszcz zginął. - Inspektor wzruszył ramionami. - A więc pański pan Haupt okazał się zwykłym złodziejem. Przypuszczalnie nawet nie był aktorem. Złoczyńca wykorzystał pańską naiwność, pastorze. Na przyszłość proszę być ostrożniejszym.

Łatwowierność nie popłaca.

- Błagam o wybaczenie, ale naprawdę muszę już iść. Mój statek odpływa do Australii. Opłata za rejs jest bardzo wysoka. Muszę znaleźć się na pokładzie, inaczej nigdy...

- Co pan powiedział? Dokąd pan płynie?

- Do Australii, proszę pana. Na „Clovis”... to piękny, dobry statek, trójmasztowiec.

Cienkie wąsiki inspektora zadrżały, jakby mucha usiadła mu pod nosem.

Na jego surowej twarzy pojawił się ciepły uśmiech.

- Australia? Ależ pastorze, dlaczego od razu mi pan nie powiedział?

Przecież nie możemy pozwolić, żeby spóźnił się pan na swój statek. Dobry Boże, tylko nie to. Płynie pan na drugi koniec świata!

13

Skoczył na równe nogi, wybiegł z za biurka, odprowadził łagodnego pastora do drzwi. Pociągnął sznur wiszącego za nim mosiężnego dzwonu: dzyń, dzyń, dzyń. Strażnik przybiegł w jednej chwili.

- Hej! - krzyknął Backhaus. - Odprowadzicie ojca na jego statek.

Dopilnujcie, by bezpiecznie znalazł się na pokładzie. Weźcie jego walizkę! Bardzo przepraszam, wielobny, że pana zatrzymałem. Życzę bezpiecznej przyjemnej podróży. Żegnam.

Tęgi strażnik wyprowadził duchownego z gmachu ceł na ciemną uliczkę. Inspektor stojący w kręgu światła lampy czekał cierpliwie, by upewnić się, że Ritter rzeczywiście rozpoczął swą podróż na antypody, nie wiedząc lub nie pamiętając, że świadkowie przestępstwa powinni podpisać protokół przesłuchania. Usatysfakcjonowany wrócił do gabinetu. Jeśli o niego chodzi, w jego rewirze nie popełniono żadnego przestępstwa, tylko podrzucano zwłoki, a tego incydentu nie musiał wpisywać do dziennika. Martwy był pospolitym złodziejaskiem bez adresu, zidentyfikowanym przez faceta udającego się właśnie na antypody. Najprościej zapomnieć o nich obu.

Zdjął z wieszaka swój wojskowy płaszcz. Ciekawe, pomyślał, co skłania ludzi, by zdawać się na łaskę oceanu w drodze do dalekich miejsc, takich jak ta Australia. Zresztą to bez różnicy. Ich problem. Tu na miejscu kłopotów było wystarczająco wiele i bez przekraczania granic cywilizacji. Backhaus podarł kartkę, na której spisał zeznania pastora. Czas wrócić do domu.

## ROZDZIAŁ DRUGI.

Wpatrzone w niego oczy odbite w małym lusterku były szarozielone ze złotymi plamkami, obramowane czernią, spokojne. Nie były oczami słabego człowieka, patrzyły na świat chłodno, z wielką pewnością siebie. Nawet teraz błyszczał w nich odblask kpiącego uśmiechu.

Zachwiał się przy przechyle statku, zrobił kilka kroków przez małą kajutę i zawiesił lusterko na gwoździu. Teraz musiał pochylać się, żeby w nie

zajrzeć, ale to mu nie przeszkadzało. Przemówił do patrzącej na niego twarzy.

- No, pastorze Ritter, wreszcie jesteśmy na miejscu. Kabina kiepska, nawet bez bulaja, ale przynajmniej mamy ją dla siebie. Tylko popatrz, druga klasa, a Kościoły mają przecież więcej pieniędzy niż królowie! Najmniejsze co mogłyby zrobić, to słać swych apostołów w komfortową podróż. No ale zapewne wygody są dla biskupów, a ty jesteś zaledwie płotką. Sługą zbyt zauroczonym przez ich świętość, żeby narobić hałasu. Dziwne, że nie zgodziłeś się na biczowanie. A może tak? - zawiesił głos. - W każdym razie weszliśmy na pokład. Bez problemu. Nic łatwiejszego. Więc równie dobrze możemy się teraz rozpakować.

Rzucił walizkę na wąską koję, rozpiął rzemienie, otworzył ją i podniósł leżący na wierzchu płaszcz.

- Było cholernie zimno, ale nie mogłem go włożyć - roześmiał się - a zostawić też szkoda. Rzeczywiście płaszcz jak marzenie. Powiedziałeś, że był darem. I że ukradł ci go ten bandyta, Haupt. Straszny człowiek, z pewnością rozpaczliwie potrzebujący miłosierdzia Bożego. Ale nie musisz się martwić,

15

Friedrich. Przecież próbowałeś. Nakarmiłeś go. Modliłeś się z nim. Zrobiłeś co mogłeś. Tylko nie powinieneś odwracać się do niego plecami. Groźny błąd. Nie dorosłeś do wyzwania, choć studiowałeś lata. To tak przygotowywałeś się na spotkanie ze światem.

Odwrócił się, spojrzął w lusterko.

- Słuchasz mnie, Freddy? Chyba nie masz nic przeciwko temu, żebym nazywał cię Freddy? „Pastorze” brzmi nieco zbyt uroczyście, biorąc pod

uwagę okoliczności. Bo wiesz, tak naprawdę nie masz żadnego doświadczenia w świecie. Bóg jeden wie, jak poradziłbyś sobie na antypodach. Pewnie tygrys pożarłby cię w pierwszym tygodniu. Albo jakiś inny Otto Haupt wrzuciłby cię do morza. Doprawdy okazałeś się człowiekiem zbyt ufnym. I zbyt entuzjastycznym jako nowo wyświęcony, opłacany duchowny luterański. Pękałeś pod ciśnieniem tego swojego wewnętrznego dobra i światła, wierzyłeś we wszystko, co ci powiedziano. - Pokiwał głową. - I nagle wpadłeś na Ottona. Będziemy go tak nazywać, chociaż nie jest to jego prawdziwe imię ani nawet pseudonim sceniczny. Szperał w walizce, rzucając wyjęte rzeczy na koję.

- Otto nie we wszystkim kłamał. Rzeczywiście był człowiekiem sceny, był aktorem, cholernie dobrym aktorem, tylko ci głupcy dyrektorzy nie umieją odróżnić dobrego od złego. I rzeczywiście przyszły na niego ciężkie czasy. Pływał w mętnych, groźnych wodach. Groźnych, bo uciekł z tego waszego obrzydliwego hamburskiego więzienia... drobiazg, rabunek z bronią w ręku... no, ale w tej chwili nie jest to dla nas ważne. Zamierzał zwać do Anglii, ale tyle mu opowiadałeś o wspaniałym nowym świecie, gdzie się wybierasz, gdzie emigruje tylu naszych, że aż skłoniłeś go, żeby też spróbował. Naprawdę udało ci się. Opisywałeś tę Australię, jakby to były rajskie ogrody.

Odrzucił kapcie z wciśniętymi w nie skarpetami, porządnie zwinięte krawaty, koszule i bieliznę, wyjął książki i na dnie walizki znalazł spory płócienny woreczek.

- Ach! Co my tu mamy? - Rozsupływał sznurki, którymi związany był woreczek, kontynuując monolog. - Więc Otto pomyślał sobie: „Dlaczego nie wynieść się stąd w cholere?” Przepraszam, że wyrażam się tak

nieparlamentarnie. Na to będziemy musieli zwrócić szczególną uwagę. Ale... biedny Otto nawet nie miał jak się wyżywić, nie mówiąc już o pieniądzach na bilet

16

na drugi koniec świata, ten wspaniały, dziewiczy, o którym tyle opowiadałeś. Im więcej o tym myślał, tym bardziej był pewny, że to właśnie jest jego przeznaczeniem. Potrafisz go zrozumieć, prawda, Friedrich? Szczerze mówiąc to ty wskazałeś mu drogę. Wiodłeś go na pokuszenie. I tuż przed twoimi drzwiami w tej ciemnej alejce stała taczka handlarza ryb, czekająca tam na wczesny poranek, doskonale nadająca się do szybkiego transportu do magazynu zboża. Otto przesypiał tam noce, bo nie miał czym zapłacić za miejsce pod dachem.

W woreczku znajdowały się dwa tanie skórzane portfele. W jednym były tylko papiery, w drugim listy i dokumenty. Na samym dnie domacał się sakiewki.

- Hej, a co to? Sądząc po ciężarze, trafiliśmy na żyłę złota. O, tak... - Policzył monety na gołym sienniku. - Mamy tu sześćdziesiąt marek, Freddy, a ty twierdziłeś, że jesteś ubogim człowiekiem. Zaledwie nakarmiłeś biednego Ottona. Wstydź się, wstydź. Teraz jednak pojawia się nowe pytanie: gdzie u diabła... to znaczy gdzie na Bożej ziemi jest to coś, o czym rozmawiamy? Gdzieś za oceanem, oczywiście, ale jakim oceanem? I jak długo ma trwać ta podróż do wymarzonej ziemi? Rozległo się pukanie do drzwi. Kiedy je otworzył, zobaczył dwóch marynarzy dźwigających drewniany kufer.

- To pańskie, pastorze Ritter? - spytał jeden z nich.

- Tak, oczywiście. Przecież jest na nim wypisane nazwisko, chyba

widzicie. Wepchnijcie go tutaj, proszę - uśmiechnął się szeroko. Ćwiczył uroczy uśmiech, aż oczy zaszyły mu łzami. - Dziękuję wam, panowie, dziękuję za uprzejmość. A przy okazji... Australia. W którym porcie lądujemy?

- W miasteczku Maryborough, ojcze.

- Ile czasu zajmie nam podróż?

Starszy marynarz wziął na siebie rolę rzecznika.

- Chwileczkę, pomyślmy... „Clovis” jest szybkim statkiem. Więc jeśli wszystko pójdzie dobrze, to powiedzmy, trzy miesiące. Plus minus tydzień czy coś. Tak, mniej więcej trzy miesiące. Na miejscu będziemy w lutym, ojcze.

Za marynarzami zamknęły się drzwi.

- Słyszałeś, co powiedzieli? - syknął. - Rozum im odjęło? Żegluję na statku głupców? Mam pokonywać morza tej ziemi przez miesiące? Nie, niemożliwe. A w tym kufrze... co tu mamy? Kapłan i cała skrzynia ciuchów?

17

Ale w kufrze niewiele było ubrań, tyle co nocna koszula i szlafmyce. Resztę zajmowały książki, Biblie, tomy poświęcone przewodnictwu duchowemu, luterzańskie modlitewniki, księgi hymnów, rozprawy teologiczne przemieszane z najzwyklejszymi sprzętami domowymi: lnianą pościelą, sztućcami, zastawą stołową, półmiskami, małymi lampkami, patelniami; nie zabrakło nawet dekorowanego porcelanowego nocnika. Uśmiechnął się i odstawił go na podłogę.

- Podróżujesz w stylu panny młodej, Freddy, ale przynajmniej niektóre z tych twoich gratów mogą okazać się przydatne. Powiedzmy, pościel. Od

wieków nie spałem w czystej pościeli.

Nadal grzebał w kufrze. Znalazł przepięknie haftowane szaty liturgiczne odpowiadające jego pozycji.

- Będę je musiał kiedyś założyć. Białe najbardziej mi odpowiadają. Ale to może poczekać. Chyba warto odłożyć je na miejsce, ostrożnie, ostrożnie... zawsze trzeba się troszczyć o kostiumy. Jezu, Freddy, dlaczego nie dali ci choć butelki mszalnego wina?

Zamknął kufer. Zostawił go przy burcie, gdzie mógł służyć jako stół. I kopnął z rozmachem.

- Chryste! Kilka miesięcy w tym chwiejnym pudle! Pośrodku oceanu! W tej sytuacji porządny człowiek ma wszelkie prawo oszaleć! Klipery to podobno najszybsze ze statków. To zwykły pech, że znaleźliśmy się na najwolniejszym z załogą szaleńców chwalących go za to, że jest taki szybki.

Usłyszał stłumiony ryk rogu mgłowego i w odpowiedzi bicie okrętowych dzwonów. Padł na kolę, jęknął.

- Ciągle płyniemy rzeką! Jeśli mierzyć to czasem podróży, nie posunęliśmy się nawet o centymetr! Miesiące! Może powinniśmy opuścić statek w pierwszym porcie? Powinienem wyjść na pokład, sprawdzić, co się naprawdę dzieje. Tak, to właśnie zrobię.

Ubrał się starannie, po królewsku owinął płaszczem, poszperał w strojach, znalazł okrągły welurowy kapelusz, oczywiście czarny, oznakę swej duchownej profesji, po czym stanął w drzwiach jak - można powiedzieć - przed wejściem na scenę, przygotowując się do odegrania roli. Pochylił głowę, splótł dłonie, ugiął nogi w kolanach, stopy odwrócił palcami do wewnątrz, jakby chodził nieco koślawo. Głos obniżył, uczynił

aksamitnym, poprawił akcent, zmienił tonację na bardziej melodyjną, jakby wygłaszał kazanie z ambony.

18

- Dobry wieczór, panie, panowie. Jak się czujecie? Ach, oczywiście, szanowny panie. Rzeczywiście piękna pogoda. I pomyślne wiatry, nie uważa pan?

Powtarzał te kilka słów raz za razem, aż był całkowicie z siebie zadowolony, następnie założył czarny kapelusz, naciągając go aż na oczy, by nadać sobie poważny, wręcz świętoszkowaty wyraz, i wyszedł z kajuty - nieśmiały pokorny pastor, pilnie potrzebujący rad doświadczonych podróżników.

Do kabiny wrócił w stanie najwyższego zdenerwowania.

- Nigdzie się nie zatrzymujemy - mówił do siebie. - Dopiero na Wyspach Kanaryjskich. A wiesz, gdzie są Wyspy Kanaryjskie? Gdzieś u brzegów Afryki! Afryka? Cóż to za szalona ekspedycja! Po drodze miniemy z tuzin portów! Francuskich, hiszpańskich... w każdym mógłbym wyslizgnąć się na brzeg i zniknąć w tłumie. Ale ludzie twierdzą, że nie zawijamy do żadnego z nich. Nawet po to, by uzupełnić zapasy żywności. Mnóstwo ludzi płynie tym statkiem, widziałem to na własne oczy, i mam tylko nadzieję, że nie zabraknie nam jedzenia.

Wzburzenie odebrało mu głos, po chwili wszakże podjął monolog.

- Wyszedłem w sam czas na obiad, który podają w jednym długim pomieszczeniu. Każdy sam się obsługuje, dzieciaki ganiają wszędzie jak szalone, ojcowie wyszarpują co najlepsze dla siebie, a kobiety robią wszystko, żeby jakoś opanować ten bałagan. Nie powiem, szalenie elegancki bankiet. Ale... jedną chwileczkę! Wiesz, kto dostał najlepsze

miejsce? Ja. Twój sługa! Bo widzisz, Bóg rzeczywiście kocha pokornych. Oczywiście protestowałem, jak wypada służyć Bożemu. Z drugiej strony względny zawdzięczam przecież mojemu strojowi - zauważył trzeźwo. - Pastorowi niczego nie może zabraknąć. A jak się wokół mnie krzątali! Nie przeżyłem tak miłego dnia, od kiedy mój stary spadł z konia, ześlizgnął się z brzegu, wpadł do rzeki i utonął. Opłacało się być sierotą... przez jakiś czas. Niedługo niestety, wkrótce wszyscy o mnie zapomnieli i w wieku dziesięciu lat znalazłem się na ulicy, skazany na walkę o byt. Ale posłuchaj mnie, Friedrichu. Jestem cholernie pewny, że będą dla mnie mili przez cały czas. Wielu pasażerów jest śmiertelnie przerażonych podróżą. Nie narażają się duchownemu, komuś, kto może przemówić w ich imieniu wprost do Boga.

19

Roześmiał się chrapliwie.

- Oczywiście wykorzystałem okazję i kiedy poprosili mnie o odmówienie modlitwy przed posiłkiem, wygłosiłem prawdziwe kazanie, nie szczędząc słów o potężnych wichrach i głębi oceanu, rozbitych statkach, tonących ludziach... Jedna dama nawet zemdląła. Wspomniałem też o tym, że uratować ich może tylko ufność pokładana w Bogu. Aż śmiech brał, kiedy się na nich patrzyło. Ale zaraz zaczęli zachowywać się porządnie. Po modlitwie zrobiły się z nich potulne myszki. Kelnerzy, których tu nazywają stewardami, nareszcie mogli wziąć się do pracy. Byli mi bardzo wdzięczni. Więc tak... dostałem zupę, szynkę, ozorki, razowy chleb, piwo. Kolacja jest o dziewiątej, kawa i kanapki. Będę punktualnie, bo nie płaci się za to ani grosza. Życie na statku okazuje się całkiem miłe. A do kolacji chyba się zdrzemnę.

Nazajutrz przyszła kolej na zwiedzanie statku. Zatłoczony pokład dla najuboższych przywoływał wspomnienia najgorszych śmierdzących i brudnych slumsów, w których żył przez lata. Uciekł stamtąd ile sił w nogach. Zdumiał go widok kurników pełnych żywych kur, owiec i krów w niewielkich boksach, spiżarnianych półek uginających się pod ciężarem warzyw i suszonego mięsa, kadzi wypchanych żywnością.

- To jakaś cholerna arka - mruknął do siebie. Wspiął się po trapie, ignorując tabliczki z napisem „Wstęp wzbroniony”. Znalazł się w pierwszej klasie. Kroczył przewiewnym pokładem z modlitewnikiem w rękę i spod opuszczonych skromnie powiek przyglądał się z podziwem mijającym go wszystkim tym pięknym ludziom, doceniając elegancję krzeseł i stołów, nad którymi rozpostarto płócienny dach. Podziw zmienił się w zazdrość, kiedy zszedł po krótkich schodach i obejrzał prawdziwie luksusowe bary i salony, które uprzyjemniały rejs tym ludziom. Zaglądał do kabin, bezczelnie otwierał drzwi, przeproszał, jeśli okazywało się to konieczne, udawał, że zabłądził. Zawędrował do salonu, w którym stał fortepian na wysoki połysk, obejrzał zgromadzony na statku księgozbiór. Wzbierała w nim wściekłość. Na jednym ze stołów znalazł zapomniane przez obsługę menu obiadu poprzedniego dnia. Stanął jak wrośnięty w ziemię. Sześć dań, możliwość wyboru, wina, sery, coś takiego spotykało

20

POSZUKIWACZE MARZEŃ

się wyłącznie w najlepszych restauracjach w mieście. Żeby pasażerowie statku mogli do woli tarzać się w takich zbytkach? Dzień po dniu?

Obejrzał jadalnię, no i oczywiście stoły nakryte były do eleganckiego

lunchu.

- Czy mogę w czymś panu pomóc, wielebny? - spytał podchodzący do niego oficer.

- Owszem. Zdaje się, że zabłądziłem.

- Chyba rzeczywiście. Pozwoli pan, że odprowadzę go do jego kabiny. Druga klasa, jeśli się nie mylę?

- Tak, oczywiście. Te wszystkie korytarze, toż to istny labirynt. Mógłby mi pan powiedzieć, gdzie w tej chwili jesteśmy? Chodzi mi o statek...

- Przy ujściu Łaby. Wkrótce wypłyniemy na Morze Północne.

- A potem?

- Popłyniemy na południe. Tam będzie cieplej, ojcze.

- Oczywiście, oczywiście.

Schodzili po trapie. Niżej, coraz niżej, zauważył zirytowany pastor.

- W jakim języku mówią w Australii? - spytał.

- Przeważnie po angielsku. Tubylcy mają własny język.

- Nie znają niemieckiego?

- Rzadko.

- Co za szkoda.

- Kiedy już wszystko się ułoży, zorganizujemy dla naszych pasażerów lekcje angielskiego. Dwa razy w tygodniu. Są bardzo pomocne.

Pastor przystanął, spojrzął na oficera z góry.

- Nieźle znam angielski, ale dziękuję bardzo. - Choć doskonale wiedział, gdzie się znajduje, rozejrzał się dookoła. - Gdzie jesteśmy? - udał bezradność.

Oficer uprzejmie otworzył przed nim drzwi, zerknął na umieszczone nad nimi oznaczenia, wskazał przed siebie.

- Pańska kabina jest tu, na tym pokładzie, wielebny. Bardzo proszę, niech pan więcej tędy nie przechodzi. Pasażerów drugiej klasy obowiązują ściśle ograniczenia.

- Och, oczywiście, święta prawda.

Odszedł cicho, niespiesznie. Jedną ręką, tą z modlitewnikiem, ścisnął reling, drugą tulił do piersi, jakby przytrzymał nią płaszcz.

21

- Kabina - prychnął, nie po raz pierwszy. Teraz już wiedział, że jego kajuta to tylko nędzny skrawek przestrzeni odgradzony przepierzeniem z desek, a prawdziwe kabiny znajdują się na górze, tak wspaniale, że mógłby w nich zamieszkać książę.

A jednak idąc, uśmiechał się.

- Poczekaj chwilę, Freddy. Zaraz pokażę ci, co mam. Dramatycznym gestem odrzucił płaszcz. Pod kamizelką schował butelkę wina.

- Ściągnąłem ją ze stojaka w jadalni, jadalni dla tych lepszych, Freddy. Założę się, że czegoś takiego nigdy nie próbowałeś, mój ty biedaku. Ale Otto owszem. Otto jadał z wysoko postawionymi, przyjmowano go na salonach, kłaniali mu się arystokraci, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Kiedy raz skosztowało się takiego życia, ciężko, cholernie ciężko jest powrócić do zwykłej biedy, więc trzeba walczyć, rozumiesz? Nie ma to nic wspólnego z grzechami, grzeszeniem, całym tym biznesem ze ścieżkami szatana, w którym tkwisz po uszy, wielebny. Nic a nic. Czasy były ciężkie, teatry pozamykano, nawet najlepsi aktorzy nie mieli wiele do roboty, więc Otto musiał sam pracować na swoje szczęście.

Poszperał w kufrze, znalazł korkociąg. Usadowił się na koi, pociągając z butelki.

- Całkiem dobre, przyjacielu. Doskonale, doskonale! I pomyśleć, że wybrane przypadkiem, jeśli można tak powiedzieć. Ale słuchaj, wiedziałeś, że w tym zamorskim kraju nie mówią po niemiecku? Tylko językiem tubylców i po angielsku. Więc...

- machnął butelką w powietrzu, z jego gestów mogło wynikać, że wie wszystko - ...więc to mi daje nad tobą punkt przewagi. Nieźle znam angielski. Zaprzyjaźniłem się z pewnym Angolem, aktorem szekspirowskim, i on nauczył mnie tego języka. Graliśmy po angielsku dla arystokracji na prywatnych wieczorkach i przyjęciach domowych. Kiedyś była na nie moda, ale nie zarabiano na tym i w końcu facet wyjechał. Do Anglii, jak sądzę.

- Pokiwał z przekonaniem głową. - Nie wierzysz mi? To posłuchaj: „Zaufajcie mi, panowie, okażę się bardziej wiarygodny niż ci, co mają spryt, by być dziwni.” Dobrze pasuje do sytuacji, nie uważasz, Freddy? Bardzo zabawne... chociaż jak sądzę, brakuje ci rozumu, żeby polubić komedie. Nawet sprośne. Natomiast ja lubię sprośność, gra się to z przyjemnością, są widzowie, którzy ją po prostu kochają... im dosadniejsza, tym lepiej. Ale to

22

zajęcie dla klaunów, nie prawdziwych artystów, chyba że jak biedny Otto... ale z nim koniec. Nie istnieje. Dziś, Freddy, dobry przyjacielu, my good chap... nie przejmuj się, tylko ćwiczę angielski, w każdym razie czeka nas wiele roboty. Przeglądałem te twoje księgi. Można powiedzieć: akta. Przytknął butelkę do ust i pociągnął solidny łyk, zanim wrócił do monologu.

- Po pierwsze, stwierdziłem z przyjemnością, że masz podręczniki

angielskiego i słownik. Więc wiedziałeś, czego będziemy potrzebowali. Dobry z ciebie człowiek, one z pewnością się przydadzą. Nie zamierzam chodzić na te ich lekcje. Będziemy mieli własne. Tu. Codziennie. Następnie... narzędzia zawodowe. Tych nam nie brakuje. Przypuszczam, że musiałeś przestudiować wszystkie te książki, od Biblii począwszy. Mam rację? Przepraszam, ale będziemy musieli zacząć od początku. Chcę wiedzieć, co w nich jest. Powinienem wiedzieć, no nie? Co prawda twoje religijne teorie, wybaczone określenie, głównie mnie obchodzą, wydaje się jednak oczywiste, że będę musiał przewodniczyć modlitwom i wyklądać luterańską... jak wiem... ideologię nonkonformistyczną. Czyli nie owijając w bawełnę, wygłaszać kazania. Cóż, Friedrichu, z pewnością lepiej znasz katechizm, ale na ambonie pobiję cię jedną ręką. - Wyrzucił ramiona dramatycznym gestem. - „Świat jest tylko sceną, ludzie aktorami...” Potrzeba mi jedynie cytatów, a te znajdę w twoich dobrych książkach.

Zamilkł na chwilę, by wysączyć resztę wina.

- A teraz... drobiazgi, których nie zamierzałeś się pozbyć. Portreciki twoje z innymi ludźmi, taka miła pamiątka. Tylko że tobie nie jest już potrzebna.

- Podarł wszystkie i wyrzucił do kosza. - Listy wprowadzające... o, to może okazać się przydatne. Listy osobiste, nie.

Przeglądał papiery i w końcu znalazł polecenie dziekana luterańskiego seminarium opisujące zadania pastora Rittera. Miał on popłynąć klipem „Clovis” do portu Maryborough w australijskim stanie Queensland, a stamtąd przybrzeżnym parowcem do portu Bundaberg odległego o dwa dni żeglugi. Na miejscu powinien zgłosić się do ojca Hansa Beitza i podjąć posługę w jego luterańskiej misji jako wikary. Sześćdziesiąt marek miał

przekazać pastorowi Beitzowi natychmiast po przyjeździe; pieniądze te pochodziły z ofiar hamburskich parafian na rzecz misji.

23

- Och, och... tak strasznie mi przykro, Friedrich.

W mniej formalnym liście dziekan instruował wikarego, by udzielił pastorowi Beitzowi wszelkiej możliwej pomocy, jest to bowiem człowiek mocno posunięty w latach i przyjaciele martwią się o jego zdrowie w tym klimacie.

- Posunięty w latach? Sam wielki szef? Dobra dla nas wiadomość, gdybyśmy musieli zostać w naszej parafii na dłużej. To znaczy jeśli w ogóle tam dotrzemy. No cóż, zobaczymy, jak będziemy się czuli, gdy dopłyniemy do Wysp Kanaryjskich. Może tam, gdy znów bezpiecznie staniemy na stałym lądzie, pożegnamy tego naszego narowistego konika morskiego.

Przed zejściem na ląd jeden z oficerów poprosił tych, którzy „zamierzają zejść z pokładu”, o spotkanie w salonie, czyli w sali jadalnej. Większość pasażerów drugiej klasy zgłosiła się na jego wezwanie gotowa i chętna na postawienie stopy na stałym lądzie. Wszyscy byli pogodni, nawet weseli, z entuzjazmem przyjmowali każdą radę oficera, nawet tę, by wystrzegali się kieszonkowców, zupełnie jakby oczekiwał on pochwał i aprobaty.

Pastor stał z tyłu. Nie uradowała go wiadomość, że na wyspach mówi się po hiszpańsku, czyli w języku, w którym nie potrafił wypowiedzieć ani słowa.

- Także po portugalsku - dodał oficer, a zebrani powitali tę nowinę kolejnymi brawami.

Za to z radością przyjął informację, że można tu wymienić niemieckie

marki na angielskie funty, i to po korzystnym kursie. Poklepał kieszonkę kamizelki upewniając się, że pieniądze dziekana są na miejscu, nienaruszone. W pierwszym porcie miał zamiar przede wszystkim udać się do banku.

Każdy wychodzący z salonu musiał zarejestrować się w specjalnej księdze, podpisując się choćby krzyżykiem, jeśli sztuka pisania była mu niedostępna. Pastor przyjrzał się jej z pogardą.

- O co chodzi? - spytał ostro.

- Rozkaz kapitana, wielebny - odparł uprzejmie oficer. - Wracając na statek, wszyscy będą musieli podpisać się jeszcze raz.

- Ale po co?

- Pasażerowie na gapę. Na wyspach ukrywają się zbiegli skazańcy i niewolnicy. Wykorzystają każdą szansę, żeby się stąd wydostać.

24

- Czy ktoś mógłby pomylić mnie ze zbiegłym skazańcem, nie wspominając już o niewolniku? Nie muszę niczego podpisywać.

- Chodzi także o listę pasażerów, wielebny. Musimy wiedzieć, ile osób udało się na ląd szalupami i ile wróciło. Wolelibyśmy nie zostawić tu któregoś z naszych pasażerów.

Pastor długo się nad tym zastanawiał. Gdyby zdecydował się zejść tu z pokładu bez uprzedzenia, ci cholerni durnie rozpoczęliby poszukiwania. Tak więc opuścić statek mógł wyłącznie za zezwoleniem kapitana, a to zwróciłoby na niego uwagę, wywołało ciekawość.

Do wyjścia stała już spora kolejka. Pojawił się oficer wyższy stopniem.

- Uprzejmie proszę o podpis, wielebny - powiedział nieco bardziej stanowczo.

Pastor wziął pióro. Nie znał charakteru pisma Friedricha, nie wiedział, jak on się podpisuje. Widział zaledwie kilka notatek, ogromna większość dokumentów z walizki skierowana była do niego lub przeznaczona dla niego. Nie on je pisał.

Nagle podniósł głowę i uśmiechnął się błogo, zaskakując tym obu marynarzy, po czym podpisał się zamasyście: „Pastor Friedrich Ritter”. Omal nie roześmiał się głośno. Bo właściwie czego aż tak się przestraszył? Przecież podpis przy powrocie będzie identyczny z tym, który złożył przy wyjściu. Głupiec, akurat o to nie musiał się martwić.

Port był upalny, brudny, w powietrzu unosił się pył; nie zainteresował pastora nawet w najmniejszym stopniu. Odepchnął kilku handlarzy w cygańskim typie, sprzedających jakieś drobiazgi z koszy i bele materiału, odmówił pasażerom zapraszającym go na wspólny spacer, szybko minął mały kościółek z piaskowca, ze smukłą ładną wieżyczką. Właściwie nie zatrzymał się nigdzie, póki w dłoni nie miał pliku dużych angielskich banknotów; z tryumfem stwierdził, że jego osobisty majątek wynosi teraz osiemdziesiąt jeden funtów. Nieźle jak na jeden dzień pracy.

Wszedł między mroczniejsze boczne uliczki. Wkrótce znalazł to, czego szukał: niewielki bar, wystarczająco odległy od nabrzeża, by żeglarze tu nie docierali. Usiadł na starym, wygodnym trzciniowym krześle. Po raz pierwszy od bardzo dawna czuł się spokojny, odprężony i niczym się nie przejmował. Nie miał się czego bać.

25

Do chwiejnego stolika podszedł starszy kelner. Ritter podał mu banknot funtowy. Poleciał przygotować sobie posiłek, przynieść butelkę najlepszego wina, jakie mają, i równie dobre cygara.

- Świetna obsługa - powiedział do siebie, opierając nogi na sąsiednim krześle. Wino okazało się bardzo przyzwoite, mocne, cygaro wręcz doskonałe. Kelner przeobrażony w kucharza trząsał naczyniami za wysokim barem.

Przypomniał sobie coś, co dziekan pisał do swego świeżo upieczonego misjonarza. Otóż pieniądze, wszystkie te marki cudownym sposobem zmienione w funty, miały być użyte jako podstawa do budowy szkoły, luterańskiej szkoły dla niemieckich imigrantów osiedlających się w okolicach miasteczka Bundaberg. Z wyraźnym naciskiem podkreślał, że szkoła będzie kamieniem węgielnym, na którym rodziny rzucone daleko od ojczyzny wybudują fundament swego duchowego i świeckiego życia.

- Masz prawdopodobnie rację, dziekanie. To dobry pomysł. Nie sądzisz jednak, że twoja trzódka powinna sama zaoszczędzić na szkołę? Tak będzie lepiej dla nich samych. Poza tym wydaje mi się, że zbyt długo trzymałeś Friedricha za kratami. Jemu też coś się należy od życia. Tych pieniędzy nigdy nie pożałujesz.

Po mdłych posiłkach podawanych na pokładzie jedzenie w barze wydało mu się cudowne. Gorąca gęsta zupa pełna kawałków pomidorów i wieprzowiny, smaczny kurczak z fasolą w ostrym sosie, świeży chleb do wytarcia talerza, kolejna butelka wina.

- A teraz znajdziesz mi kobietę, tak?

Kelner wzruszył ramionami i walnął pięścią w ścianę.

W bocznych drzwiach pojawiła się tęga dama. Przesunęła ciężkie ciało naokoło baru, na twarzy miała wyraz oczekiwania. Pastor tylko machnął ręką.

- Chcę kobiety, nie krowy!

Łypnęła na niego wściekle, wyrzuciła z siebie kilka słów, które uznał za hiszpańskie, i wyszła kręcąc wielkim zadkiem. Rozbawiło go tak dramatyczne zejście ze sceny. Ciekawe, czy mają tu coś innego? pomyślał. Na szczęście mieli.

- Boże! - szepnął, gwałtownie wciągając powietrze. Wypchnięta niewidzialnymi rękami, prawdopodobnie kobiety, która weszła pierwsza, w barze pojawiła się dziewczyna

26

wyglądająca najwyżej na szesnaście lat. Była bardzo, bardzo piękna z długimi, sięgającymi niemal talii włosami i dużymi twardymi piersiami wypychającymi cienką bawełnianą bluzkę. Miała króciutką spódniczkę zaledwie okrywającą smukłe biodra.

- Och! - powiedział, po czym zamilkł zdumiony i pełen podziwu. - Och! - powtórzył. Jej twarz... wysokie kości policzkowe, wielkie piwne oczy i te usta... te wargi jak aksamit!

Oblizął usta. Ta dziewczyna miała ciemną skórę. Czarnoskóra. Murzynka. Jeszcze nigdy nie znalazł się tak blisko człowieka o czarnej skórze... i nigdy nie pomyślał nawet, że mógłby dotknąć Murzynki. Nie wiedział, co się stanie, czy będzie potrafił... z nią...

Dziewczyna przysunęła się. Mógł już sięgnąć ręką, odchylić spódniczkę, zobaczyć, jak wygląda... tam pod spodem. Jakby odczytując jego pragnienie, poruszyła biodrami, zaczęła bawić się węzłem, dzięki któremu spódnica trzymała się na miejscu. Jednocześnie przesunęła nieco naga stopę, pokazując jeszcze więcej długiej smukłej nogi.

I wtedy podjął decyzję. Przestał odczuwać strach. Poderwał się na równe nogi, ale w tym momencie wtrącił się kelner.

- Najpierw płaci!

Przygotowano mu rachunek. Jedzenie, wino, cygara, dziewczyna, za wszystko zapłacił równego funta, tego, którego położył na stole zaraz po wejściu, przed posiłkiem. Wydawało się to raczej zbiegiem okoliczności i w żaden sposób nie wskazywało, ile kosztuje Fraulein, ale w tej chwili nic go to nie obchodziło, gdyby kazali mu zapłacić dziesięć funtów, nie protestowałby, tak bardzo chciał pójść z nią w dół po schodach, przy których teraz stała.

Miała łóżko w piwnicy. Było tu chłodno i sucho, światło wpadało do środka wyłącznie przez umieszczone wysoko zakratowane okna. Sam zamknął i zaryglował prowadzące do niej drzwi. Normalnie nie był taki wstydlivy, zdrowy młody człowiek w pełni sił, ale teraz było inaczej. Zupełnie jakbym przeprowadzał eksperyment, powiedział sobie. Jeżeli mi się nie uda, cała sprawa pozostanie między mną i dziwką, w nędznym zakątku świata, do którego nigdy nie wrócę.

Leżał w łóżku wyczerpany, zachwycony, a dziewczyna zmywała pot z jego ciała ściereczką zamoczoną w chłodnej wodzie.

27

Nigdy w życiu, powtarzał sobie po raz kolejny. Nigdy w życiu nie udało mu się aż tak, nigdy też nie znalazł takiego ciała, takiej kobiety. Ta dziwka była po prostu boska! Chwycił ją za ramię.

- Jeszcze. Wróc, więcej. Zrobimy więcej. Roześmiała się, pokropiła go wodą.

- Kosztuje więcej funt.

- Ja, ja. Więcej funt.

Objął ją, a ona klękła nad nim.

- Lubisz, Friedrich? Lubisz tak?

- Friedrich kocha tak - roześmiał się. - Friedrich szczęśliwy człowiek.

Dziwka była tak ponętna i do tego stopnia nienasycona, że przez chwilę rozważał możliwość zejścia z pokładu statku i niech to wszyscy diabli wezmą. Jeśli będą go szukać i znajdą, powie im, że się zdecydował i poleci wynieść bagaże na brzeg. Nie miał obowiązku nikomu się tłumaczyć. Należał wyłącznie do siebie. Miał pieniądze... ale na jak długo mogły mu wystarczyć? Pomiędzy szalasami wśród palm nie dostrzegł jakoś żadnego teatru, a ludzie też nie sprawiali wrażenia takich, których zachwyci wspaniała recytacja mowy umierającego Sokratesa. Nagle uświadomił sobie, że spotkał swą prywatną Lorelei, pociągającą i niebezpieczną. Bo tak naprawdę nie miał tu nic do roboty. W końcu będzie musiał odpłynąć - do Niemiec, narażając się na schwytnie, a może do Anglii, gdzie mógłby, lub nie, dostać pracę aktora.

Wracał na nabrzeże. Znow miał na sobie kompletny strój dostojnego pastora. Musiał się pilnować, by nie kroczyć przed siebie pewnie i wesoło, by nie patrzeć z góry na innych pasażerów. Bo który z nich miał tak wspaniały dzień? Całą siłą woli powstrzymywał podniecenie. Który z tych ponurych mężczyzn, wynędzniałych i biednych lub eleganckich i dobrze ubranych, poznał gwałtowną pasję Sabine, bo tak nazywała się dziwka? Który z nich przeżył tak zmysłową przygodę ze zręczną dziewczyną o skórze czarnej i gładkiej jak aksamit?

Westchnął. Nieznacznie skłaniał głowę przed znajomymi ze statku, ale unikał ich towarzystwa. Wiedział, że musi kontynuować podróż do nowego świata, bo tam czekała na niego praca, a raczej rola do odegrania. Dlaczego miałby wracać, szukać zajęcia

pozwalającego utrzymać związek duszy i ciała, gdy przed nim rozciągała się przecież wydeptana ścieżka? Ścieżka, którą wydeptał sam własnym wysiłkiem, jakkolwiek byłby drastyczny. Drastyczne sytuacje wymagają drastycznych środków, oto truizm bijący na głowę wszystkie inne truizmy. Zdumiewające, ale z dala od dyrektorów i krytyków mógł grać swoją rolę tak, jak mu się podobało. Nawet zadając cios widział w tym naiwnym kapłanie - mniej więcej w jego wieku i o dziwo, trochę do niego podobnym - drogę ucieczki. Teraz lepiej zaznajomił się z rolą. Wiedział już, że jest czymś więcej, sposobem na spokojne życie. Tym razem to on był szefem, krytykiem, dyrektorem, autorem, do wyboru, do koloru. Był nawet widzami. A co najlepsze, płatnikiem.

- Jestem ważnym człowiekiem - oznajmił Sabinę. Ale dziewczyna tylko potrząsnęła głową.

- Nie. Ważni ludzie, oni mają brody. I są grubi tu, w brzuchu - odrzekła kokieteryjnie.

Pastor usiadł na skrzynce pod markizą. Czekał na szalupę; lada chwila miała przyplłynąć po kolejnych pasażerów. Przyglądał się mewom polatującym nad błękitnymi falami portu, podniósł wzrok na statek. Po raz pierwszy zobaczył go z pewnej odległości, zauroczyła go jego dumna linia, jego... solidność. On sam tak się czuł tego późnego popołudnia: pewny siebie i dumny.

- Powinienem chyba zapaść brodę - powiedział do siebie.

Jak wielu dżentelmenów podróżujących pierwszą klasą Herr Hubert Hoepper był porządnie ubrany, w biały frak, którego nie znosił. Córka nalegała, żeby kupił dwa, bo doskonale pasują do tropików, choć trudno

było uznać ten rześki wietrzny dzień za tropikalny. Słońce świeciło z czystego nieba - to wszystko, jego blask skłaniał wszakże niektórych mężczyzn do założenia tego dziwnego stroju, panie zaś do wyjścia z parasolkami nie spełniającymi swych zadań nawet dzisiaj, oraz przyodziania się w białe stroje z serży lub ciężkiego jedwabiu.

Herr Hoeppera trzeba było niemal zmusić do włożenia tego ohydneho ubioru, za to on sam za nic nie zrezygnowałby z cylindra, rękawiczek i getrów. Skarżył się, że w garniturze czuje się tak, jakby ktoś go zaszył w sztywne płótno, lecz jego córka Adela

29

zapewniała, że materiał zmięknie po kilku praniach, co w końcu jest cechą charakterystyczną płótna.

- Mężczyźni bardzo się pocą w tropikach, tato. Wszyscy o tym wiedzą. Więc trzeba nosić ubrania, które się łatwo pierze.

Hoepfer nie miał zamiaru kapitulować przed Adelą. Przypomniał jej, że ich port przeznaczenia, Bundaberg, nie leży w tropikach, lecz na południe od zwrotnika Koziorożca. Roześmiała się na te słowa wesoło, a on ucieszył się w duchu, ponieważ ostatnio śmiała się tak rzadko. Żałował tylko, że nie może powtórzyć tej sytuacji, znów powiedzieć czegoś zabawnego, ale chyba zapomniał, jak to się robi.

- Och, ojczy, zabawny z ciebie człowiek. Spodziewałam się, że jesteś doświadczonym podróżnikiem. Tak długo studiowałeś geografię, ale najwyraźniej nie potrafisz jej zinterpretować. Ja tylko przypuszczam, że skoro to miasteczko leży zaledwie około stu mil na południe od zwrotnika Koziorożca, to panują w nim upały. Tropikalne upały.

- Zobaczmy - odparł Hoepfer z uśmiechem. Miał nadzieję, że się myli.

Chciał się mylić, żeby zrobić przyjemność córce. Uczyniłby wszystko, żeby czuła się szczęśliwa, żeby cały czas miała dobry humor.

Dziś rano przed zejściem na ląd dodał do stroju wełniany szalik i teraz późnym popołudniem cieszył się z tego, choć było mu trochę za ciepło. Szalik był pamiątką po starym świecie, który porzucił, przynajmniej tymczasowo. Ta morska podróż miała służyć zdrowiu jego i córki. Nie znaczyło to, że szczególnie troszczył się o swoje zdrowie, ot tyle, żeby mógł dbać o dom i o Adelę. Patrzył, jak kręci się wśród stoisk na targu, pochyla nad stosami drobiazgów w ostatnim napadzie gorączki zakupów przed powrotem na statek. Ma osiemnaście lat, powiedział sobie. Pora, by znalazła męża. Już wkrótce mnie opuści. Kiedy pierwszy raz nawiedziła go ta myśl, powinien był się zmartwić, zasmucić, stwierdził jednak, że lepiej robi, ciesząc się jej obecnością, póki może.

Naprawdę uznał to za najważniejszą rzecz w życiu, bo tylko ona mu została. Nie zawsze dobrze się pomiędzy nimi układało. Dziewczyna potrafiła być stanowcza i z pewnością nie brakowało jej silnej woli. Kłóciła się z ojcem, przeciwstawiała mu, wychodziła trzaskając drzwiami, ale... pozostawiała Adelę. Nigdy nie była doskonale zrównoważona, miewała napady smutku

30

i histerycznej wesołości. Ale przede wszystkim cechowała ją łagodność i hojność, więc czemu nie miałby skoncentrować swego życia wokół niej? Gdyby nie ona, nie miałby po co żyć.

Dziwne, ale pomysł tej podróży wyszedł właśnie od niej, od Adeli, która tak gwałtownie sprzeciwiała się podobnemu pomysłowi zrodzonemu kilka lat wcześniej. Czasami zastanawiał się, czy nie bierze na siebie

odpowiedzialności za ojca, i choć nie miał odwagi powiedzieć tego głośno, ponieważ niechętnie, z największą trudnością rozmawiał o uczuciach, żywił szczerą nadzieję, że tak nie jest. To on miał obowiązki wobec niej. Tak powinno być, nie odwrotnie.

Córka podbiegła do ojca z koszykiem wypełnionym mnóstwem drobiazgów, w tym papierowym parasolem, który jak twierdziła, będzie niezastąpiony podczas tropikalnej ulewy.

- Tato, tam robią sandały na miarę. Nie zamówisz sobie pary?

- Nie chcę. Nie potrzebuję ich.

- Ale będziesz potrzebował. Nie możesz nosić ciężkich butów w tropikach.

- Więc będę chodził boso. Oczy jej błysnęły.

- Chciałabym to zobaczyć. Tylko proszę, nie zdejmuj cylindra. Chodź, tato, oni tam mają najtańsze w świecie perłowe naszyjniki!

Herr Hoepper westchnął.

- Widziałem je. Chciałem ci kupić któryś w prezencie. Są fatalnej jakości. Bardzo cię proszę, kochanie, nie kupuj ich.

Usiedli na ławce przed sklepem, już zamkniętym, bo właściciel stracił nadzieję na sprzedanie niewdzięcznym turystom małych kurczaczków w papierowych koszykach. Hubert rozejrzał się dookoła, usiłował ukryć, że musi poprawiać w kroku te cholerne niewygodne spodnie. Przy okazji zobaczył młodego duchownego siedzącego wygodnie na pustej skrzynce, jakby była fotelem zrobionym specjalnie dla niego, szalenie eleganckiego na tle wzburzonego błękitnego morza.

Był to zapewne ojciec Ritter, o którym często rozmawiano na statku, wikary płynący do Australii celem wspomżenia luterańskiej wspólnoty i

misji w Bundabergu. Sprawiał wrażenie samotnego, a może tylko zamyślnego, kiedy tak siedział nie interesując się otoczeniem, wpatrzony w morze. Spokojny i pełen

31

godności, wydawał się całkiem przyzwoitym facetem. Panowała powszechna opinia - a Hubert chętnie wsłuchiwał się w głos powszechnej opinii - że zachowuje się tak, jak powinien się zachowywać luterański pastor. Mówiono o nim, że jest człowiekiem uprzejmym i łagodnym, choć pełnym dystansu, niechętnie biorącym udział w życiu towarzyskim. Herr Hoeppe, luteranin z krwi i kości, potrafił to docenić. Przecież często słyszało się, że młodzi duchowni wpadają w poważne kłopoty podczas romantycznych rejsów po wielkich południowych oceanach, a nawet wchodzą w związki z kobietami dość lekkich obyczajów. Postanowił przedstawić się ojcu Ritterowi.

Młody wikary wydawał się zaskoczony, że tak nagle ktoś go niepokoi.

Hubert poczuł się w obowiązku przeprosić go i złożyć wyjaśnienia.

- Proszę o wybaczenie. Bardzo mi przykro, jeśli zakłóciłem spokój ojca.

Wydawało mi się, że to akurat właściwa chwila, byśmy się poznali, zwłaszcza że obaj płyniemy do Bundabergu. Tak, to prawda, razem z córką zamierzamy odwiedzić ojca Beitza i jego tródkę, sprawdzić, jak im się wiedzie. Mieli rok na to, żeby się osiedlić, przyzwycząić do warunków, więc może to być bardzo interesujące, prawda?

- Hm... tak, owszem, z pewnością - odparł Ritter z roztargnieniem.

Nie pofatygował się nawet odwrócić, nadal kontemplował morze.

Wytworzyła się zenująca sytuacja. Hubert zawstydził się nie wiedząc, co za poryw szaleństwa skłonił go do narzucenia się temu człowiekowi w tak

bezpośredni sposób. Powinien był poczekać, aż kapitan lub może któryś z oficerów dokona oficjalnej prezentacji w najbardziej właściwy sposób. Ale pastor przewyciężył jakże naturalną w tych okolicznościach rezerwę.

- Nie spotkaliśmy się wcześniej, panie Hoeppe - powiedział z nieco ironicznym uśmiechem - zakładam więc, że podróżuje pan pierwszą klasą?

- Tak, oczywiście.

- To musi być bardzo przyjemne. Zgodnie z naukami naszego Pana chciałem podróżować jak najtaniej, poprosiłem nawet o ten przywilej, ale dziekan nie chciał nawet o tym słyszeć. Jestem więc w drugiej klasie, co pozwala mi uniknąć niebezpieczeństw wspólnego mieszkania w jednej wielkiej kajucie.

32

- Sądzę, że pański dziekan postąpił bardzo rozsądnie. Mam nadzieję, ojcze, że nasz krótki wypad na ląd okazał się satysfakcjonujący?

- Och, oczywiście. Pozwoliłem sobie na mały spacer wystarczający, by rozprostować nogi. Zauważył pan, że gdy po niej stąpamy, sama ziemia wydaje się chwiać?

Hubert uśmiechnął się. Młody duchowny okazał się człowiekiem uprzejmym i otwartym.

- No, naturalnie. Bardzo interesujące doświadczenie. Miałem wrażenie, że dotyczy tylko mnie. - W tej chwili dostrzegł zbliżającą się Adelę. - To moja córka - przedstawił ją.

Młody duchowny wstał i przywitał się z nią uprzejmie, choć nieco niezręcznie. Spuścił wzrok, przestępował z nogi na nogę. Herr Hoeppe uśmiechnął się nieznacznie. Przez kilka ostatnich lat biedak najwyraźniej nie widywał dziewcząt, a już z pewnością nie tak pięknych jak ona.

- Dzień dobry, jak się pani czuje, panno Hoepfer? Bardzo mi miło panią poznać. Panie Hoepfer, czy byłby pan tak uprzejmy, by zwracać się do mnie „pastorze”? Dziekan uznał, że skoro jestem o wiele młodszy wiekiem i doświadczeniem od ojca Beitza, nie powinienem akceptować przynależnego mu tytułu. Powiedziałbym, że takie było jego polecenie.

- Skoro pan sobie tego życzy, oczywiście, pastorze. Ale teraz mam wrażenie, że jesteśmy zmuszeni się pożegnać. Wracamy na statek.

Skończyłaś zakupy, Adelo?

- Tak. Mam kilka paczek, o tam. Pomożesz mi je zanieść na pokład?

- Jeśli państwo pozwolą - wtrącił pastor. Hubert z przyjemnością mu pozwolił. Nie cieszyła go perspektywa dźwigania kolorowych zakupów ani schodzenia do szalupy z zajętymi rękami. Niech młody kapłan okaże się przydatny.

Rzucił się na koję.

- No, Freddy, ależ udany mieliśmy dzień! Nigdy nie dowiesz się, co straciłeś. Co najgorsze, zapewne zmarłeś w niewinności. A dziś mogłeś przecież przeżyć najwspanialszy dzień w życiu! Och, jak ja kocham życie podróżnika! Jest jak dla mnie stworzone! Ale pozwól, że o czymś ci opowiem. Sabinę. O mój Boże, Sabinę! Co za radość! Prawdziwy dar niebios! - Roześmiał się głośno. - Dar diekana! Zapłacił za nią. Zaraz ci

33

wszystko opowiem. Minuta po minucie, pieśczęta po pieśczęcie. To będzie fajna rozmowa. Może uda mi się podwędzić gdzieś butelkę wina, jeśli zachowam ostrożność, to urządzimy sobie małą uroczystość. A przy okazji, poznałem jednego z pasażerów. Pana Hoepfera. Bardzo szykowny mężczyzna. Powiedziałbym, że również bardzo bogaty. Podróżuje

pierwszą klasą... I nie zgadniesz dokąd. Do Bundabergu oczywiście! Portu, do którego i my zmierzamy. Na drugi koniec świata. On wiedział, że jesteś na statku, Freddy. I co zrobił? Podszedł i przedstawił się, tak po prostu. Omal nie wyskoczyłem ze skóry. Spodziewałem się, że tylko rzuci na mnie okiem i zacznie krzyczeć: „To nie on! To nie Friedrich Ritter!” Zmusiłby mnie do obrony. No wiesz, tej: „Och, chodzi panu o tego drugiego ojca Rittera. Słyszałem o nim... nie, nie jesteśmy spokrewnieni...” Taka tam gadka. Westchnął i wyciągnął się wygodnie.

- Wiesz, Freddy, bałem się jak cholera, nawet nie wiem, czy byłbym w stanie wygłosić tę kwestię. Szczerze mówiąc już raczej bym prysnął. A on co robi? Wyobraź sobie, zaczyna mnie przeproszać! Przeproszać za to, że wyrwał mnie z zamyślenia! Pogadaliśmy krótko, nie mam pojęcia o czym, bo nadal się bałem, a potem na scenie pojawiła się jego córka. Mówię ci, Friedrich, co za dziewczyna: młoda, bogata, piękna. Drobną, z cienką talią, ale naprawdę dobrymi cyckami i najpiękniejszymi w świecie jedwabistymi jasnymi włosami. Wracaliśmy na statek jedną łodzią, dosłownie zmuszałem się, żeby nie gapić się na jej śliczną buzię. A do tego jest taka słodka...

Uśmiechnął się na wspomnienie nowej znajomej, by po chwili podjąć przerwany monolog.

- Muszę ci powiedzieć, Freddy, że się zadurzyłem. Zadurzyłem się do szaleństwa. Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby się do niej zbliżyć. Pewnie dojdzie do tego w następnym porcie... jeśli zdołam się do tego czasu powstrzymać. Mam dla ciebie zadanie, Friedrich. Pogadaj z Panem. Nakłoń go, by dał mi piękną Adele, a obiecuję, że do końca życia będę świętym. Daję słowo!

## CZEŚĆ DRUGA.

### ROZDZIAŁ TRZECI.

Hubert Hoepfer od zawsze mieszkał w Hamburgu. Tu się urodził, tu się uczył, tu zaczął pracę w firmie handlowej H. A. I Hoepfer & Company założonej przez jego dziadka. Od czasu gdy skończył dwadzieścia lat, wszyscy wkoło powtarzali, że jest lustrzanym odbiciem starego Huberta, ma jego błękitne oczy, kwadratową szczękę i proste, czarne włosy rozdzielone równym przedziałkiem.

Był także wysoki, barczysty, mocno zbudowany. Mówiono mu, że byle przytył z upływem lat, to już nic nie będzie go różnić od dziadka z wyjątkiem... no tak. Stary Hubert był służbistą i pedantem. Twardym, bezwzględny człowiekiem interesu: wysunięta szczeka, zawsze gotów do walki, siwe włosy przystrzyżone jak w wojsku. Jego wnuk zaś przede wszystkim marzył. Był marzycielem, bez dwóch zdań. I nawet na takiego wyglądał z długimi, zaczesanymi do tyłu włosami, gęstymi ciemnymi rzęsami; dziewczęta nazywały go „marzycielem”.

Stary Hubert skarżył się na niego swej owdowiałej synowej, będącej także jego gospodynią, matka jednak broniła syna argumentując, że zawsze jest punktualny i pilnie pracuje, a to więcej, niż można powiedzieć o co najmniej kilku jego szefach. Natomiast rozmawiając z nim nalegała, by większą uwagę zwracał na interesy firmy. Niech dziadek wie, że to go naprawdę interesuje.

- Ale mnie to nie interesuje - odparł jej w końcu. - Chcę podróżować.

Zobaczyć świat. Z okien biur w magazynie widzę wszystkie te wspaniałe statki wyruszające w morze. Marzę tylko o tym, żeby popłynąć którymś z nich.

Jakby tego nie wiedziała! Już jako chłopiec wałęsał się po porcie, podziwiał statki. Ojciec kupował mu nawet modele i repliki; większość z nich stała do tej pory w jego sypialni.

- Posłuchaj mnie - powiedziała mu kiedyś. - Myślisz tylko o tych bezsensownych podróżach. Chyba powinnam wyrzucić z twojego pokoju mapy i te inne głupoty, może wówczas zacząłbyś słuchać, co do ciebie mówię. Jak myślisz, co się z nami stanie, jeśli dziadek zostawi rodzinny interes twojemu kuzynowi Klausowi? Już ma największy staż w firmie, a jest tylko dziesięć lat starszy od ciebie.

Uśmiechnął się na te słowa.

- To wydaje się rozsądne. Przecież pracuje dziesięć lat dłużej niż ja.

- Jak myślisz, kto ci szkodzi przez cały czas? Kto donosi na ciebie do dziadka?

- Klaus? Nie sądzę. Ale i tak nie ma to żadnego znaczenia.

- Zapewnisz byt mnie i dwóm siostróm za pieniądze, które teraz zarabiasz? Wątpię. Ten dom należy do twojego dziadka. Możesz być pewien, że zapisze go tobie albo mnie? Nie możesz. Ale ty przecież nie musisz się niczym przejmować. Popłyniesz do Włoch, do Egiptu i co cię obchodzi, że nas wyrzucą na bruk? Chyba nie myślisz, że dziadek zostawi firmę komuś takiemu jak ty, komuś, kogo najwyraźniej w świecie nic ona nie obchodzi, kogo nigdy nie ma, kiedy jest potrzebny. - Matka wybuchnęła płaczem. - Nie obchodzi cię nikt, tylko ty sam. W tym problem. Stary Hubert z całą pewnością nie jest w ciemną bitą. Zechce zostawić firmę w dobrych rękach. A to znaczy, że odda ją Klausowi... Do końca życia będą własnością jego i jego głupiej żony...

Syn ją objął, pocałował w policzek.

- Nie mów tak, mamó. Nie jest tak źle. Wszystko się ułoży, zobaczysz.

Tej nocy siedział jednak w swoim pokoju, ciepłym i wygodnym pokoju na najwyższym piętrze domu. Patrzył przez okno na dachy sąsiednich budynków i rozważał problem. Uśmiechnął się myśląc o tym, co matka sądzi o dalekich krajach.

Włochy? Egipt? Nie, nie, to dobre dla dzieci. Pewnie wymyśliła to patrząc na stare zdjęcia piramid, wiszące na ścianie jego pokoju od lat. Hubert dokładnie zaplanował sobie trasy swych podróży. Studiował mapy, miał nawet własny globus na drewnianym stelażu, przeczytał mnóstwo książek; w jednej z nich

36

znalazł zdanie, z którym zgadzał się w pełni: „Przygotowania są fascynujące, ale oczekiwania nie dadzą się z niczym porównać.” Z czasem uznał fundamentalną prawdę tego twierdzenia, przez lata dojrzał i jego gusta się zmieniły. Uświadomił sobie, że nie chodzi tylko o statki, najważniejszy jest cel. Cel sam w sobie był najbardziej interesujący...

Mama tłumaczyła dziadkowi, że Hubert młodszy ma takie hobby, geografię; miała nadzieję, że wyjaśni w ten sposób obecność książek i map w pokoju na najwyższym piętrze. Hubert starszy nie odniósł się do tych wyjaśnień życzliwie.

Europa nie wydawała się młodzieńcowi szczególnie interesująca. Nie, on widział samego siebie na wielkim statku tnącym dziobem potężne fale gdzieś pośrodku ogromnego oceanu. Ale... dokąd płynął ten statek?

Oczywistym celem wydawała się Ameryka. Prowadziła do niej prosta droga przez Atlantyk. Tą trasą podróżowało wielu, lecz ta kraina nie

wydawała mu się warta zachodu, bo za łatwo było do niej dotrzeć. Nie rzucała wyzwania. Poza tym, choć może była Nowym Światem, poznała już, co to wojna... a on był pacyfistą.

Pacyfistą! Kiedy dziadek się o tym dowiedział, omal nie dostał ataku serca przy zastawionym stole.

- To niesłychane! Na Boga, młody człowieku, gdyby nie bohaterstwo dobrych żołnierzy, takich jak twój ojciec, niech Bóg błogosławi jego duszę, nie byłoby nas tutaj, nie cieszylibyśmy się pokojem, stabilną gospodarką...

- Pokojem, dziadku? Jak długo ma trwać ten pokój? Co nas czeka? Ilu kolejnych Napoleonów? Ile walk o „zjednoczenie”, w których tysiące wieśniaków walczą z Austriakami i Francuzami, zamiast uprawiać ziemię? Pozwolę sobie spytać: skąd braki ziarna i żywności? A stąd, że żywi się nimi armie ludzi, którzy normalnie pracowaliby na polach, gdzie zresztą jest ich miejsce. Zamknięty krąg przemocy.

- Nie masz szacunku dla własnego ojca! - huknął stary Hubert. - Nie był wieśniakiem, lecz oficerem. Zginął spełniając swój żołnierski obowiązek. Ten łotr nie ma prawa siedzieć przy moim stole...!

- Nie krytykowałem naszego drogiego ojca, dziadku. Na to bym sobie nie pozwolił. Nie zrozumiałeś. Twierdzę tylko...

Matka znów wtrąciła się do rozmowy, załagodziła sytuację, mówiąc dziadkowi, że siostry juniora przygotowały dla niego

37

specjalny koncert. To pomogło, szybka zmiana tematu. Dziadek niczego nie lubił bardziej niż rodzinnych koncertów przy pianinie. Miał dobry głos, uwielbiał, gdy dziewczynki śpiewały wraz z nim.

A więc, uznał Hubert, lepiej nie dyskutować z nim o bezsensie i okrucieństwach niekończących się wojen. Można by pomyśleć, że skoro stracił syna, jedyne go syna, i to nie na polu bitwy, lecz w szarży podczas manewrów, gry wojennej, dopiero przygotowującego się do prawdziwej walki, będzie skłonny przychylić się do argumentów wnuka. Wojsko odebrało życie ojcu, dla młodego człowieka był to powód wystarczający, by sprzeciwić się wszystkiemu, co miało jakikolwiek związek z wojskiem. Dlaczego dziadek nie chciał tego zrozumieć?

Tak czy inaczej w długie zimowe noce, gdy Hamburg odpoczywał przykryty śniegiem, Hubert z rozkoszą wędrował po egzotycznych krajach. Zastanawiał się nad Ameryką Południową, brał pod uwagę nawet Afrykę, tajemniczy kontynent ludzi o ciemnej skórze. Naraz uświadomił sobie, że jeśli wybierze najnowszy ze światów, Australię, to inne też będzie miał okazję poznać. Przynajmniej powierzchownie, w podróży dookoła świata. Uznał to za wspaniałą myśl.

Wszystkie swe wysiłki skierował na zdobycie wszelkich możliwych informacji o australijskich koloniach. Ten daleki kraj zafascynował go do tego stopnia, że zapomniał o ostrożności. Poszedł na spotkanie z dziadkiem do jego gabinetu, imponującej domowej świątyni polerowanego drewna, mosiądzu i skóry, pachnącej kosztownym tytoniem.

Ogarnięty entuzjazmem, zdyszany Hubert rozpoczął przemowę skierowaną do godnej, brodatej, królującej za biurkiem postaci. Opisywał gigantyczny kraj, którego brzegi opływają Oceany Indyjski i Spokojny, słoneczny klimat, wielkie połacie ziemi, zaledwie tknięte stopą człowieka, rosące jak grzyby po deszczu miasta, przedziwne zwierzęta. Dziadek słuchał go przez chwilę, a potem przerwał mu brutalnie.

- No i co z tego?
- No więc... ja bym chciał tam popłynąć, dziadku. Zaoszczędziłem tyle, że wystarczy na koszta podróży. Po drodze znajdę pewnie jakieś chwilowe zajęcia, żeby zapłacić za wycieczki w głąb lądu.
- A co z twoją pracą w naszej firmie?

38

- Właśnie o to chodzi, dziadku. Chciałem prosić o urlop, zwolnienie z pracy... może na rok... potem oczywiście wróciłbym i...

Dziadek stukał kłykciami po blacie biurka, powoli, groźnie, wręcz złowrogo.

- Innymi słowy uważasz, że należą ci się wakacje. Nie kilkudniowe, jakie mają wszyscy, lecz całoroczne. Sądzisz, że zasłużyłeś na wakacje, chłopcze? Odpowiedz mi na to pytanie. Czy sądzisz, że zasłużyłeś na wakacje?

- No... nie. Raczej nie. Miałyby to być rodzaj... urlopu. Tak, rocznego urlopu. Bezpłatnego oczywiście.

- Bezpłatnego, co? To nader uprzejme z twojej strony, rzekłbym, że bardzo na miejscu. Chcesz płynąć w to śmieszne miejsce, płyn. Nie wiem, dlaczego pytasz mnie o pozwolenie. Twoje plany nie mają nic wspólnego ze mną, bo jeśli opuścisz choćby dzień w firmie, nie podając dobrego powodu, stracisz pracę. Znajdę kogoś na twoje miejsce. Aha, wakacji nie uważam za dobry powód. - Starszy mężczyzna wyprostował się nagle w fotelu. - Jestem sprawiedliwym człowiekiem! - podniósł głos niemal do krzyku. - Teraz wyjdiesz przez te drzwi i będziesz miał wybór. Możesz skrócić w prawo albo w lewo. Jeśli skrócisz w prawo, wyjdiesz na ulicę i będziesz skazany na siebie. Jeśli skrócisz w lewo, dotrzesz do swojego

biurka, siądziesz za nim i wrócisz do roboty jak każdy normalny człowiek. Rozumiesz?

- Oczywiście, dziadku.

1872.

Kiedy wspominał teraz te dawne czasy, Hubert, dziś jedyny właściciel H. A. Hoepper & Company, był pewien, że jego dziadek miał rację. Był głupi głupotą młodości, prosząc o roczny urlop. Także samolubny. Radowało go, że podjął wówczas właściwą decyzję. A kiedy już to zrobił, zabrał się do nauki. Dowiedział się wszystkiego o firmie; zamiast tylko siedzieć za biurkiem, zaczął uczestniczyć w jej rozwoju.

Kiedy zmarł dziadek, jego majątek podzielono między Huberta juniora i Klause. Ku wielkiej uldze matki byli w stanie utrzymać dom przy Nikolaifleet, a firmę obaj kuzyni prowadzili wspólnie. Powodziło się im całkiem nieźle, lecz Hubert wykupił

39

w końcu udziały Klause, ponieważ różnice zdań okazały się zbyt kłopotliwe. Klaus wolał, by jak za czasów dziadka firma zajmowała się głównie importem, Hubert dostrzegł istnienie większego rynku tańszych towarów produkowanych lokalnie, które nawet arystokracja powoli zaczynała akceptować. Finansował miejscowych fabrykantów mebli i rzemieślników, zaczął eksportować niemieckie towary.

Firma prosperowała. Hubert wkroczył w wiek średni jako szczęśliwy zamożny człowiek, mąż, ojciec dwóch udanych synów, już pracujących dla firmy, i ślicznej córki Adeli.

I naraz fascynacja dalekimi krajami znów zaczęła przenikać do świadomości Huberta. Jakiś głos naglił go, szeptał mu do ucha, że teraz

wreszcie może spełnić marzenia. Stać go było na to, żeby spakować rodzinę, zaokrętować się na wypływający na morza i oceany statek, uciec przed zimą Europy, przeżyć przygodę życia. Nim zrobi się na to za późno. Nim się zestarzeje. Teraz wreszcie mógł zabrać rodzinę do Australii, krainy słońca i wolnych przestrzeni, gdzie rodziny mogły mieć tyle ziemi, ile tylko chciały. Synowie nie musieliby już żyć zamknięci w klatce groszowych strat i zysków, spędzać dnia za dniem w ciemnym biurze, co było losem jego i Klausea.

Podszedł do portretu dziadka, lecz tylko po to, by obejrzeć własne odbicie w przyciemnionym czasem szkłe, znowu zauważając szron na skroniach. - Jestem w stanie tego dokonać - powiedział głośno, po raz pierwszy w życiu. Erik i Ernst wraz z rodzinami mogliby żyć zdrowo w swych majątkach. Oczami wyobraźni Hubert już widział obszerne farmerskie domy o wielu mansardach, otoczone oceanem falującej złotej pszenicy. Lub może zielonymi łąkami z pasącymi się na nich owcami i krowami. Choć na razie nie miał odwagi wspomnieć o swych planach komukolwiek, ani rodzinie, ani przyjaciołom, zaczął po cichu zbierać informacje. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu dowiedział się, że w Hamburgu jest agent werbujący ludzi na wyjazd do Australii.

Zdumiało go to i zaskoczyło. Siedząc w biurze młodego dżentelmena Johna Hendersona, którego zadaniem rzeczywiście było zachęcanie ludzi do emigracji do Australii, a zwłaszcza do północno-wschodniej kolonii Queensland, był pewien, że jest to dzieło przeznaczenia.

40

Hendersona zaskoczyło to, że Hubert Hoepfer już posiadał tyle informacji o antypodach.

- Ale... co to takiego te „antypody”? - spytał Hoepper.
- Przeciwny kraniec ziemi w stosunku do Wielkiej Brytanii - odparł agent ze śmiechem. - Tak nazywamy Australię i Nową Zelandię.

Huberta to nie rozbawiło. Zmarszczył brwi.

- Więc dla Australii i Nowej Zelandii to Wielka Brytania jest antypodami. Mam rację?

- Chyba tak - ustąpił Henderson. - Może zechce pan spojrzeć na te mapy? Chciałbym opowiedzieć o powstających tam właśnie miastach czekających na imigrantów. Chyba że szanowny pan jako przedsiębiorca zainteresowany jest raczej największym miastem, Brisbane.

- Najbardziej interesują mnie wolne ziemie, na których moi synowie mogliby założyć farmy.

- Wokół Brisbane jest mnóstwo ziemi nadającej się pod uprawę i do hodowli.

- A im dalej od miasta, tym ziemia tańsza?

- Oczywiście.

- Czy są jakieś ograniczenia co do powierzchni ziemi, jaką może zająć jeden człowiek?

- Jedynym ograniczeniem są możliwości finansowe. Rząd Australii dopłaca do kosztów podróży, by wspomóc zasiedlanie kraju. Taka jest prawda.

- Wielkie nieba! Jakież to niezwykle!

Henderson uśmiechnął się szeroko, pewien, że upolował grubą rybę, człowieka o wielkich możliwościach.

- Ile osób będzie panu towarzyszyć, panie Hoepper?

- Siedem, wliczając służbę - odparł Hubert z roztargnieniem, pilnie zapisując treść rozmowy w niewielkim dzienniku. Nagle wstał. - Do widzenia, panie Henderson. Dziękuję, że zgodził się pan na spotkanie. Potrzebuję czasu, by rozważyć wszystkie możliwości. Jeszcze się z panem skontaktuję.

Prawdę mówiąc, Hubert wybiegł z biura agenta. Poczul się głupio: pięćdziesięcioletni mężczyzna nie powinien mieć tak radykalnych pomysłów. Może pomieszało mu się w głowie? Czuł, jak blednie pod schludnie przyciętą brodą. Czy rzeczywiście

41

ma zamiar się wyprzedać? Rodzinną firmę, porządny dom? Zamienić to na życie w dziczy? A jeśli okaże się to nonsensem? Co powiedzą ludzie? Czyżby miał się za dwudziestolatka?

Nie, powiedział sobie, nie mam już dwudziestu lat. Ale moi synowie owszem. Na tę myśl stanął jak wryty, patrząc na port i statki większe od tych, które widział poprzednio. Powinien pomyśleć o synach, nie o sobie, nie o swej wygodzie. Uśmiechnął się nagle. Zapowiadała się wspaniała przygoda.

Gdy wrócił do domu, rodzina czekała na niego w salonie. Miny mieli ponure.

- Co się stało? - spytał. - Zapomnieliście języka w gębie?

Erik wręczył mu kilka kartek papieru.

- Zostaliśmy powołani. Ernst i ja. Obaj. Idziemy do wojska, tato.

- Nie idziecie, nie ma mowy. Załatwiłem wam zwolnienie od poboru.

- Chyba ci się nie udało, tato.

- Nie w tym rzecz - odezwał się Ernst. - Nie sądzę, żeby miało być aż tak

źle. Możemy odebrać powołania?

Hubert nie tracił czasu. Próbował dostać się przed oblicze ministra wojny, ale zbyt go grzecznymi ogólnikami. W rozmowie z pułkownikiem oddziału, do którego przydzielono jego synów, podkreślił z całą mocą, że powinni oni zostać zwolnieni z obowiązku służby wojskowej ze względu na obowiązki zawodowe, ale pułkownik nie chciał nawet o tym słyszeć. W akcie desperacji Hubert uciekł się do negocjowania; zaproponował, że zapłaci za szkolenie ewentualnych zastępców synów. Oczywiście była to kiepsko maskowana oferta łapówki, ziarno padło jednak na podatny grunt.

- Nie mogę ich tak po prostu zwolnić, panie Hoeppe. Muszą odsłużyć dwa lata.

- Rok.

- Co pan powie na osiemnaście miesięcy?

- Rok.

- Bardzo mi przykro. Osiemnaście miesięcy to wszystko, co mogę panu zaoferować. Powiedzmy, że zaproponowaną przez pana sumę przeznaczymy na pokrycie kosztów powołania, mundury

42

i konie. Doprawdy ci młodzi ludzie powinni służyć w kawalerii. Tylko tam będą się dobrze czuli.

Dla zasady Hubert targował się jeszcze o ostateczną sumę, choć chętnie zapłaciłby dwa razy więcej. Z koszar wyszedł wstrząśnięty do głębi i natychmiast udał się na spotkanie z Hendersonem.

Agent nie zastał, lecz w jego biurze, tuż za drzwiami, siedział cierpliwie na ławeczce starszy ksiądz.

- Obawiam się, że człowieka, do którego tu przyszliśmy, nie ma w domu -

powiedział. - Pan też jest marzycielem?

- Nie, nie. Nie można mnie tak nazwać - odrzekł Hubert zgodnie z prawdą. Bo czy można nazwać „marzycielem” odnoszącego sukcesy przedsiębiorcę?

- Nie interesuje pana emigracja do Australii? Zaskoczyło go to pytanie.

- Możliwe, że zainteresuje, ojcze. Całkiem możliwe.

- Aha. Dobrze jest mieć pewność. Zmiana zdania sporo kosztuje. Jeśli o mnie chodzi, decyzję podjąłem dawno temu.

- Pastor emigruje?

Duchowny wydał mu się stary jak Matuzalem z tą jego długą siwą brodą i rozczochranymi włosami. Ale oczy błyszczały mu wesoło.

- Jeszcze kołaczę się we mnie życie, synu. Całkiem sporo życia. A jeśli chodzi o moje marzenie, jest ono podwójne. Czy też mam dwa marzenia. Pierwszym jest otwarcie luterańskiej misji... Czy jesteś naszej wiary?

- Tak, ojcze.

- Świetnie. A więc chcę założyć misję i doprowadzić tubylców do naszego Pana. Drugie marzenie to zgromadzenie trzódki migrujących do nieznanego jeszcze miejsca w kolonii Queensland. - Przerwał, zaczerpnął tchu. Oddychał głośno.

Nie sądzi pan, że byłoby cudownie, gdyby powstała tam prawdziwa luterańska społeczność?

- Rzeczywiście potrafię to sobie wyobrazić.

- Będą mogli posługiwać się własnym językiem...

Język! Hubert potrafił porozumieć się po angielsku, ale pod tym względem był w rodzinie wyjątkiem. Zanotował w pamięci, by załatwić lekcje tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

- ...żyć we własnej religii, własnej tradycji. Byłoby to ku ich pożytkowi, nie sądzi pan?

43

- W pełni się zgadzam z pastorem.

- Nie miałby więc pan nic przeciw temu, by złożyć drobną ofiarę, wspomóc moje przedsięwzięcie?

Hubert wręczył mu dwie marki.

- Wiele jest osób w pańskiej trzódce, pastorze...?

- Beitz. Jestem ojciec Beitz. Około czterdziestu, szanowny panie.

Uważam, że to całkiem nieźle. Jak na początek.

Hubert skinął głową. Ojciec Beitz wydawał się szukać jego aprobaty, uznał więc, że nie jest pewny siebie i swoich wspaniałych planów. Mylił się.

- Cieszę się, że pan się ze mną zgadza, szanowny panie, niech będzie błogosławiona pańska dusza. Zamierza pan podróżować z rodziną? Jakoś nie widzę pana w roli samotnego zagubionego wędrowca. Musi pan do nas dołączyć! Powitamy pana z otwartymi ramionami. Będziemy szczęśliwą świętą wspólnotą. Sami zapracujemy na nasze wspólne dobro, rozumie pan? Obiecałem Bogu, że zaniosę jego imię daleko, nie zamierzam oglądać się za siebie...

Trzasnęły drzwi i w biurze pojawił się Henderson. Strząsnął z parasola krople wody. Na dworze mży! lodowaty deszcz.

- Ojciec Beitz! Miło mi znów ojca widzieć. I pan Hoeppe!

Zdumiewające! Żywilem nadzieję, że będę miał przyjemność przedstawić panów sobie.

- Nie ma potrzeby - uśmiechnął się Beitz. - Jesteśmy starymi przyjaciółmi.

A przynajmniej są nimi nasze wspólne marzenia.

W ciągu kilku następnych miesięcy Hubert i ojciec Beitz bardzo się zaprzyjaźnili, no i oczywiście Hubert połączył swój los z losem Niemców planujących wyjazd do Australii. Stary duchowny niczego innego nie oczekiwał.

Beitz okazał się człowiekiem pogodnym, niezwykle łagodnym i zdecydowanie niepraktycznym, więc Hubert pomagał mu w czym mógł, gdy szło o planowanie wyprawy. Ustalili, że co biedniejsi członkowie grupy dostaną dopłaty do najtańszych miejsc na rufie ze „wspólnej kieszy” -jak nazywali fundusz emigracyjny - tak że sami uiszczą tylko różnicę między ceną rejsu a dopłatą. Przyjęli założenie, że jeśli ktoś ma odpowiednie zasoby finansowe, opłaci koszt podróży, a przynajmniej taką ich część, jaką jest

44

w stanie opłacić. Emigrujący z powodu ubóstwa mieli nie płacić nic.

Hubert uznał, że jest to uczciwe załatwienie sprawy.

Po wielu, wielu dniach przyszedł wreszcie czas podjęcia decyzji i oznajmienia jej rodzinie. Huberta głęboko rozczarowało, że najwyraźniej nikt nie podziela jego entuzjazmu. Synowie, olśniewający w błękitnych mundurach z chwostami i mosiężnymi guzikami, w spiczastych hełmach i wysokich jeździeckich butach, cieszyli się życiem w armii, ku wielkiemu żalowi ojca. Obaj przyznali, że wojsko odpowiada im bardziej niż praca w rodzinnej firmie.

- Z całym szacunkiem, ojczy - powiedział Erik - dziękujemy, że się nami opiekowałeś, ale nasza praca była po prostu nudna.

- Strasznie zwyczajna - zawtórował bratu Ernst. - Monotonna. Za to armia odwrotnie, jest ciekawa, ciągle coś się dzieje, a nasi nowi przyjaciele to

naprawdę równi faceci.

- Cóż to za szaleństwo! - Hubert junior występował teraz w roli swojego dziadka. - Armia to przecież nie szarada, nie wodewil wystawiany dla waszej uciechy.

- Wiem, ojcze. - Erik starał się rozładować napiętą atmosferę. - Chodzi nam o to, żebyś zrozumiał, że nie jest aż tak źle, jak się wszyscy spodziewaliśmy. Za to ten twój pomysł... emigracja... Nie wiem nawet, co o tym myśleć.

Po długiej szczerzej rozmowie chłopcy przyjęli jednak punkt widzenia ojca. Podróż do Australii potraktowali jako kolejną wielką przygodę, do której dodatkiem była możliwość zyskania fortuny. Wcale nie przejęli się perspektywą sprzedaży rodzinnej firmy. Raczej odwrotnie, przyjęli ją z ulgą.

- Wskoczycie z tych szykownych mundurów, gdy tylko uda mi się to załatwić - obiecał im Hubert. - W tej chwili sytuacja jest taka, że macie do odświeżenia przeszło rok, a ja potrzebuję czasu, żeby wszystko porządnie zorganizować.

- A jeśli ojciec Beitz i jego ludzie będą gotowi, nim chłopcy dostaną zwolnienie? - zaniepokoiła się ich matka.

- Będziemy musieli na nich poczekać. Żona odciągnęła go na bok.

- Nie możesz jakoś tego przyspieszyć? - wyszeptwała. Powinniśmy wyjechać jak najszybciej. Nienawidzę tej ich służby wojskowej i w ogóle dziwię się, że im na to pozwoliłeś, zwłaszcza, że zaczęły się kłopoty z Francuzami.

45

- Gabi, naprawdę nie mogę zrobić nic więcej.

- Oczywiście, że możesz. Bóg wie, że nie uszczęśliwiły mnie te twoje szalone plany, chociaż mówi się, że morskie podróże wzmacniają organizm...

- To prawda, Gabi. A ty słabujesz od dłuższego czasu. - Hubertowi bardzo zależało na tym, żeby utrzymać jej aprobatę. - Z pewnością rejs dobrze ci zrobi.

- Nie o to chodzi. Chcę, żebyś zarezerwował nam miejsce na statku i wprowadził nas na pokład tak szybko, jak będzie to możliwe. Zabierzemy chłopców ze sobą. Austriacy mogą znów zaatakować, a jeśli nie oni, to Francuzi. Musimy usunąć chłopców z zasięgu niebezpieczeństwa.

Hubert patrzył na żonę zaskoczony. Na ogół była cicha, bardzo spokojna, teraz jednak wydała mu się wręcz nieugięta.

- Nie mogę - zaprotestował. - To byłoby wbrew prawu.

- I co z tego? Co mogą nam zrobić? Nim się o czymkolwiek dowiedzą, będziemy już daleko. Nasi chłopcy znajdują się na oceanie, daleko poza zasięgiem prawa. Twój pomysł, pomysł wyprawy na drugi koniec świata, jest wręcz doskonały. Tam ich nikt nie złapie.

- Przecież to byłaby dezercja - wyjąkał. - Nie wolno mi tego zrobić.

- Oni muszą to zrobić! Czy w miejscu, do którego nas prowadzisz, ktoś się o czymś dowie? Nikt!

- Nie chodzi o to, kto się dowie, kochanie. Chodzi o ich honor.

- Ach, rozumiem! A co jest takiego honorowego w tym, że chcesz ich wykupić? Że przekupujesz oficerów starszych stopniem?

- To obciąża moje sumienie. Nie mogę zachęcać synów do dezercji. Nie będę nawet próbował.

- Więc ja to zrobię.

Erik i Ernst nie chcieli nawet myśleć o dezercji. Entuzjastycznie poparła ich siostra, Adela, którą przeraziła sama myśl o porzuceniu Hamburga, miasta tak przecież pięknego, by już nie wspomnieć o tym, że tu mieszkały wszystkie jej przyjaciółki. Obraziła się, płakała całymi dniami, a kiedy pojawił się nauczyciel angielskiego, stanowczo odmówiła udziału w lekcjach.

Hubert przedstawił rodzinie pastora Beitza. Duchowny oczarował wszystkich, przede wszystkim Gabi, która z wielką ulgą

46

przyjęła wiadomość, że będą podróżowali wraz z nim. Potem stopniowo poznawali kolejnych członków przyszłej kongregacji; pierwszymi byli farmerzy Jakob i Freda Meissnerowie oraz ich siedemnastoletni syn Karl. Znajomość z przystojnym nastolatkiem w jednej chwili poprawiła samopoczucie Adeli. Nie sposób było nie dostrzec, że coraz rzadziej skarżyła się na swój los.

Większość grupy Beitza stanowili farmerzy, silni milczący mężczyźni bardzo zainteresowani wszystkim, co działo się na spotkaniach, ale nie mający wiele do powiedzenia. Ich kobiety siadały w kącie pokoju, bardziej zajęte własnymi planami i plotkami niż odpowiedziami na mnóstwo pytań, do których każdego dnia dochodziły nowe. Od czasu do czasu pojawiali się też młodzi ludzie, mężczyźni i kobiety, wieśniacy niepewni swych praw i statusu w zgromadzeniu, mający oparcie wyłącznie w pastorze, który robił co w jego mocy, by dodać im odwagi i upewnić ich, że są tu mile widziani. Był też Lucas Fechner, z zawodu koniuszy, ze swą zdumiewająco piękną jasnowłosą żoną Hanni. Sprawiali wrażenie

szaleńczo w sobie zakochanych; zdaniem Huberta ślub wzięli bardzo niedawno. Inni ludzie przychodzili i odchodzili. Niektórzy pojawiali się tylko raz, więc żeby grupa się nie rozpadła, ojciec Beitz nalegał, by wszyscy, którzy mogą, uczęszczali na nabożeństwo niedzielne w kościele Świętego Jana. Tak też postanowiono.

Hubert nie zawsze zgadzał się z propozycjami przedstawianymi na spotkaniach. Szczególnie ostro protestował przeciw nabyciu ze wspólnej kiesy kawałka ziemi, którego nie widzieli na oczy. Miała to być ich „nowa ojczyzna”, fundament pod budowę gmachu wspólnoty. Był ostrożnym przedsiębiorcą, argumentował rozsądnie, ale został przegłosowany.

- Potrzebujemy tej ziemi - mówił ojciec Beitz. - Nie jedziemy do miasta, lecz w głąsę. Potrzebujemy ziemi, na której rozbijemy nasze namioty. Nie wolno nam popaść w zależność od innych. Z tej ziemi z Boską pomocą rozprzestrzenimy się i na niej zbudujemy nasz kościół. Chwała niech będzie Panu!

Głos Huberta zginął wśród oklasków i okrzyków aprobaty. Pozostało tylko podjąć decyzję, jak kupić ziemię. Uznano, że tę sprawę powinien załatwić John Henderson.

Hubert Hoeppeur czuł, że odsuwa się od dalszej rodziny oraz przyjaciół, że coraz bardziej pociąga go podekscytowana grupa "wędrowców", bo tak nazwali się przyszli emigranci. Gdy tylko

47

pozwalala na to pogoda, po niedzielnych nabożeństwach urządzano pikniki, na które zapraszano nowych ludzi i nakłaniano ich, by dołączyli do grupy. Ojciec Beitz ma rację, powtarzał sobie Hubert raz za razem, my

wszyscy szukamy swoich marzeń. Każdy z innego powodu, lecz nawet to nam nie wystarcza. Nie możemy się powstrzymać, próbujemy nakłonić innych, by też ich poszukiwali, tak gorący jest nasz entuzjazm dla tego wielkiego planu. On sam próbował nawet przekonać do niego kuzyna wraz z rodziną, ale Klausowi pomysł ten wydał się wręcz monstrualny. Dla niego głusza Australii oznaczała izolację od cywilizacji, odrzucenie kultury.

- Co za pożytek z kultury degradowanej przez wojny i zniszczenie? - spytał go, ale Klaus tylko się roześmiał.

- Jesteś strasznie naiwny z tym swoim „powrotem do natury”, kuzynie. Ameryką już wstrząsnęły szokujące wojny. Dlaczego sądzisz, że Australia będzie wyjątkiem?

Po usłyszeniu tych słów Hubert zwrócił się do Johna Hendersona.

- Nasze spotkania są bardzo użyteczne - powiedział

- i bardzo podobają mi się ludzie gotowi pozełgować z nami, należą do najlepszych w naszym społeczeństwie, ale teraz chciałbym dowiedzieć się czegoś, co jest dla mnie szczególnie ważne. Jaka jest sytuacja militarna w Australii? A zwłaszcza w Queenslandzie?

Agent spojrzał na niego wyraźnie zdziwiony.

- Sytuacja militarna?

- Jaka jest pozycja wojska w stosunku do rządu? Kto jest ministrem wojny?

- Obawiam się, że nie do końca pana rozumiem, panie Hoeppe. W koloniach nie ma wojska wartego tej nazwy. Choć pozostały resztki armii brytyjskiej.

- Ach! Zauważyłem jednak, że gubernator Queenslandu ma stopień

pułkownika. Czy jest także ministrem wojny?

- Nie. W całym kraju nie ma stanowiska ministra wojny. Nie ma nawet armii. - Henderson uśmiechnął się szeroko.

- Nie ma z kim walczyć na tym kawałku ziemi odciętym od reszty świata. Oczywiście z wyjątkiem tubylców. Osiedleńcy i czarni czasami się ścierają rzecz jasna. Ale to wszystko.

- Jest pan tego pewien? Może między koloniami istnieją poważne różnice? Spory? Na przykład o ziemię?

48

- A cóż to miałyby być za spory? Tam jest tyle ziemi, że nikt nie wie, co z nią zrobić. Jak pan myśli, od czego ja tu jestem? Ten kraj potrzebuje osiedleńców, by wywalczyć sobie ekonomiczną niezależność. Jeśli ich zabraknie, znów zapanuje dzicz.

- Rozumiem. Jeszcze jedna sprawa, panie Henderson. Raczej delikatna, ludzie prosili mnie, żebym zadał to pytanie. Co ze skazańcami? Przecież wiele kolonii powstało jako więzienia dla deportowanych, skazanych...

- I tych, których głód zmusił do kradzieży? Tak, to prawda.

- Czy będziemy zmuszeni konkurować ze skazańcami szalejącymi po kraju?

- Nie. Odbywają przepisaną prawem karę i uzyskują zwolnienie. Jeśli powtórnie popełnią przestępstwo... no to lepiej byłoby dla nich, żeby w ogóle nie żyli. Przenosi się ich do piekła wyspy Norfolk. Na podstawie dotychczasowych doświadczeń można jednak powiedzieć, że doskonale radzą sobie na wolności. Co jest dowodem prawdziwości twierdzenia pastora Beitza: daj człowiekowi szansę, a do upadłego będzie walczył o zwycięstwo. Jeśli to pana interesuje, mój dziadek i babcia byli skazańcami.

- Dobry Boże! - Huberta zawstydziła jego własna reakcja. Okazał, że ta informacja nim wstrząsnęła. Dżentelmen tak się nie zachowuje.

- Nie ma sprawy. - Agent najwyraźniej nie czuł się urażony. - Dziadek urodził się w Londynie. Bieda aż piszczała. Ukradł parę butów i za to skazano go na przewiezienie do Sydney i karę siedmiu lat. Nikt jakoś nie przewidział, że on i jemu podobni mogliby chcieć wrócić, więc pozostał na miejscu. Z babcią było mniej więcej tak samo. Była Irlandką, osobką raczej stanowczą. Jej pani wychłostała ją za stłuczenie półmiska, więc co zrobiła babcia? Odcierpiała karę, nie czekała, aż przyschnie cieknąca z pleców krew, wróciła do domu i przyłożyła swej pani w ucho. Kara? Zsyłka do Sydney.

- Cóż za straszny los dla młodej dziewczyny.

- Można powiedzieć - przytaknął Henderson i tym razem się nie uśmiechał. - Podczas podróży zgwałcił ją jeden z oficerów.

Mojego ojca urodziła w więziennej celi w Sydney. Wysłano ją razem z dzieckiem na farmę, jako dójkę. Tam poznała dziadka, pastucha.

49

Fascynująca historia. Hubert słuchał jej jak zaczarowany.

- Ale... pan jest przecież wykształconym człowiekiem. Jak to możliwe?

- Cóż, Australia rządzi się własnymi prawami. Dziadkowie odbyli karę, wyszli na wolność i pojechali w głąbę, na północ. Pracowali dla ludzi zakładających owcze farmy na ziemiach wynajmowanych im przez rząd za marne pieniądze. Postanowili pójść w ich ślady, byli wolni jak ptaki... Zebrali pieniądze, na nędznym wozie ruszyli jeszcze dalej na północ, tata był wówczas małym dzieckiem, i wybrali sobie ładny kawałek ziemi.

Oznaczali go tygodniami, Aborygeni nie dawali im spokoju, a wie pan, co

dziadkowie zrobili, kiedy dowiedzieli się, że są dumnymi właścicielami dwudziestu pięciu kilometrów kwadratowych doskonałych pastwisk?

- Nie mam pojęcia - przyznał Hubert.

- Uczcili okazję rozpalając wielkie ognisko. Potem co roku w tym samym dniu urządzali ogniska i zabawę ku pamięci tego szczęśliwego wydarzenia. Swoje gospodarstwo, choć chyba lepiej powiedzieć: posiadłość, nazwali „Ranczem Tyrone” na cześć rodzinnego hrabstwa babci. Potem żyli długo i szczęśliwie. Ja się tam urodziłem.

- A gdzie to właściwie jest?

- Nad rzeką Burnett. Daleko w głąb lądu od nowo zasiedlonego miejsca zwanego Bundaberg. Zastanawiam się właśnie, czy nie byłoby to dobre miejsce dla luterańskiej wspólnoty pastora Beitza. Mieliby gdzie „usiąść”, jak mawiają Aborygeni.

- Rad bym dowiedzieć się czegoś o tej rzece... Burnett?

- Ach tak, oczywiście, przepraszam. Leży blisko pięćset kilometrów na północ od stolicy, Brisbane.

Agent zauważył zdumienie rozmówcy, który aż westchnął głośno, zaskoczony.

- Panie Hoeppe, w tym kraju nie mierzy się odległości, lecz czas. Tylko czas się liczy. Albo ma się czas na pokonanie dystansu wielu mil, albo się go nie ma. I niech pan też weźmie pod uwagę, że mówimy o nowym, bardzo interesującym świecie, w którym nikt nie używa zegarów. Poza tym im dalej od zasiedlonych miejsc, tym ziemia tańsza. W każdym razie - ciągnął Henderson - Bundaberg leży niemal u ujścia rzeki Burnett, około piętnastu kilometrów od wybrzeża. Staje się powoli ważkim

portem żeglugi śródlądowej dla otaczających miasto gospodarstw. Przed jego powstaniem wszystko trzeba było transportować do Brisbane lądem.

- Ale to jeszcze nie miasto?

- Jeszcze nie, ale wkrótce nim będzie. Może pan postawić na to cały swój majątek.

- Ja się nie zakładam, John. I wątpię, by zainteresowało mnie to miejsce.

- W porządku. Może pan sam wybrać sobie miejsce osiedlenia, zapewne dokona pan właściwego wyboru. Ja jestem tylko po to, żeby odpowiadać na pytania.

Do tej pory Hoeppe miał Johna Hendersona za urzędnika, człowieka interesującego wyłącznie ze względu na pełnioną funkcję i udzielane informacje. Uważał go zresztą za Anglika i teraz, kiedy dowiedział się, że ma do czynienia z rodowitym Australijczykiem - pierwszym w jego życiu

- pewne sprawy zaczął postrzegać inaczej. Ten człowiek najwyraźniej wiedział, o czym mówi. Hubert nadal czuł się nieco zażenowany swą reakcją na informacje o jego przodkach. Próbował jakoś naprawić ten błąd.

- Przykro mi z powodu pańskich dziadków. Mam nadzieję, że wybaczy mi pan wtrącanie się w nie swoje sprawy.

- Ależ nic się nie stało! A jeśli chodzi o tych, którym przyczepiono łątkę skazańców, proszę się ich nie obawiać, panie Hoeppe. Mamy takie powiedzenie, że w Anglii lepiej by się działo, gdyby to Anglicy wyemigrowali, a skazańcy zostali w kraju. Pod wieloma względami więźniowie lepiej wyszli na zsyłce niż zwykli Anglicy na pozostaniu w domach.

Hubert skinął głową.

- Zapewne. Przynajmniej ci, którym się udało, jak pańskim przodkom.

Którzy umieli wykorzystać przychylny zdrowy klimat. Jeśli wolno...

Ciekawi mnie, co pan robi tu w Niemczech, skoro mógłby pan cieszyć się wygodnym życiem w pańskiej posiadłości.

John roześmiał się wesoło.

- Kto jak kto, ale pan powinien zorientować się bez pytania. Ja też uwielbiam włóczyć się po świecie.

Hubert z ulgą przyjął sprzedaż firmy. Nauczył się polegać na synach zarządzających przepływem towarów przez jej magazyny;

Erik i Ernst tak sprawnie przyjmowali je na skład, kwitowali,

51

wydawali, wystawiali faktury, że on sam nie musiał zawracać sobie tym głowy. Teraz bardzo brakowało mu synów. Zastąpili ich młodzi pracownicy, beztroscy, niechlujni, wywołujący codzienne konflikty i stałą irytację.

Idąc tego dnia do domu - poważny przedsiębiorca w surducie i bryczesach, ciemnym kapeluszu, z laską ze złotą gałką - czuł się trochę jak oszust. Już wkrótce miał przecież odrzucić tę osobowość i po długim rejsie przez bezmiar oceanu zażyć słodkiej swobody właściciela posiadłości ziemskiej. Zupełnie jak rozdokazywany uczeń szykujący się do wagarów; to absurdalne porównanie skłoniło go do uśmiechu. Jego krok stał się nagle znacznie lżejszy w to piękne popołudnie.

Frontowe drzwi domu zastał otwarte. Ciężkie skrzydło z masywną mosiężną kołatką chwiało się, a w pobliżu nie było nikogo. Zdumiony Hubert zajrzał do środka, jakby był tu obcym człowiekiem. Marszcząc brwi wszedł do pustego korytarza. Panowała tu taka cisza, że aż drgnął na dźwięk zegara wybijającego kwadrans. Odwrócił się szybko, omal nie

potknął o przebiegającego mu drogę białego kota.

Zamknął za sobą drzwi. Powiesił kapelusz na wieszaku, odłożył laskę.

Minął schody, wcisnął guzik dzwonka wzywającego służącą. Nie doczekał się jej, zadzwonił więc po raz drugi, przytupując z irytacji. Nie miał zamiaru krzyczeć we własnym domu ani przeszukiwać kuchni, postanowił więc udać się do swego gabinetu. Nagle na zakręcie schodów nad jego głową pojawiła się gospodyni, Lily.

- Ach, więc wrócił pan do domu - odezwała się zapłakana. Płakała!

Hubert pobiegł do góry po dwa stopnie. Chwycił ją za ramiona, gdy się odwracała.

- Co się stało? Co się dzieje? - krzyknął, prawie nią potrząsając. - Moja żona!... Jest chora?

Lily spojrzała na niego. Łzy strumieniem spływały jej po policzkach.

- Jest przy niej lekarz. I panna Adela.

Minął ją wtuloną w ścianę, nawet na nią nie patrząc. Był pewien, że Gabi stoi u wrót śmierci. Był w połowie korytarza, kiedy z ich małżeńskiej sypialni wyszedł lekarz. Cicho zamknął za sobą drzwi. Na jego twarzy wypisany był ból.

- Co z nią? - spytał błagalnie Hubert.

52

Doktor podniósł dłoń, jakby zakazywał mu wejścia do własnego pokoju.

- Co? - powtórzył. - Muszę zobaczyć żonę!

- Jedną chwilę, Hubercie. Najpierw chciałbym zamienić z tobą dwa słowa. Usiądźmy, dobrze?

Hubert Hoepfer nagle osłabł. Kolana się pod nim ugięły. Doktor pomógł mu dojść do kanapy stojącej we wnęce u szczytu schodów.

- Musisz być silny...
- Na litość Boską, żona...! Co się stało?
- Udar. Niezbyt poważny, już jest poprawa, ale Bóg wymaga od ciebie więcej, znacznie więcej. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro, że muszę... To mój smutny obowiązek... - Lekarz także miał łzy w oczach. - Erik i Ernst... zginęli na polu bitwy... Francuzi...
- Nie, nie, nie! Nie wierzę! Niemożliwe, żeby obaj... To przecież...
- W szarży kawalerii, przyjacielu. Wykazali się wielką odwagą. Tak powiedział ich dowódca, pułkownik. I mówił jeszcze, że jest z nich dumny. Byli w samym sercu bitwy. Walczyli ramię przy ramieniu. Sam pułkownik chce złożyć...

Nie zwracając na niego uwagi, Hubert poderwał się na równe nogi. Doktor jednak nie przestał mówić.

- Próbowałem przekazać tę wiadomość Gabi tak łagodnie, jak to tylko możliwe, lecz w ogóle mnie nie słuchała. Być może tobie uda się...
- Ale Hubert odszedł chwiejąc się, zbyt wstrząśnięty, by dalej go słuchać. Zbiegł po schodach do gabinetu, zatrzasnął za sobą drzwi, padł na fotel i rozplakał się. Całą siłą woli powstrzymywał się, by nie zacząć krzyczeć z szalonej wściekłości, nie wrzeszczeć na samego siebie, bo przecież on do tego dopuścił. Powinien był posłuchać żony. Wsadzić synów na pierwszy statek odpływający byle gdzie, byle dalej od Niemiec. Kazać im zdezerterować. Kazać im żyć! Ale nie, on był zbyt dumny, by w ogóle rozważyć taką możliwość.

Później poszedł jednak powoli na górę, posiedział z Adelą przy Gabi, próbował je pocieszyć. Objął je, przytulił, modlił się z nimi, miał wszakże złamane serce... i nie miał o czym marzyć.

Ojciec Beitz odwiedzał ich często i robił wszystko, by wspomóc rodzinę w tych ciężkich dla niej chwilach. Modlił się z nimi

53

i za nich, albowiem pani Hoepfer, która nigdy nie cieszyła się dobrym zdrowiem, gasła na jego oczach. Lekarze nie znali sposobu, by powstrzymać wymioty występujące, ilekroć coś zjadła, i wreszcie trudno było skłonić ją, by przełknęła cokolwiek. Sądził, że może to być objaw hysterii wywołanej tragiczną śmiercią synów, co szczególnie irytowało lekarza, który nie wiedząc, co robić, skłaniał się ku karmieniu siłą. Pan Hoepfer wyraził jednak stanowczy sprzeciw. Ojciec Beitz był mu milcząco wdzięczny za ten drobny gest miłosierdzia.

Zaledwie sześć tygodni po śmierci synów Gabi Hoepfer dostała ataku serca. Przeżyła tylko kilka dni. Nie ocaliły jej od śmierci ani miłość i troska zrozpaczonego męża, ani modlitwy tak wielu przyjaciół i krewnych. Pragnęła dołączyć do synów i to ich imiona wypowiedziała w ostatnim słowie.

Pastor Beitz był zapracowany, strasznie zapracowany. Na szczęście nie musiał martwić się o parafię, nie miał „swojego pastwiska”, jak nazywał niechcianą emeryturę, ale Hubert Hoepfer nie służył mu już swoimi radami i ta strata okazała się wyjątkowo dokuczliwa.

Jego miejsce zajął Jakob Meissner, lecz to już nie było to samo. Przecież - upewnił się pośpiesznie - Hoepfer był przedsiębiorcą, a Meissner zaledwie farmerem. Trudno było ich porównywać. Prawdę mówiąc silne wrażenie wywarło na pastorze to, że ktoś pokroju Hoepfera skłonny był połączyć swój los z losem zwykłych farmerów i wieśniaków gotowych podjąć wielkie wyzwanie podróży. Jak prawdziwy przywódca człowiek ten był w

stanie odrzucić różnice klasowe, za co pastor był mu głęboko wdzięczny. Własnego stosunku do Meissnera nie uznawał jednak za nieodpowiedni. Nie był przyzwyczajony do samokrytyki, za długo pełnił rolę władcy na parafii. Owszem, chętnie słuchał rad, przynajmniej od czasu do czasu, ale przyzwyczał się rządzić na swoim podwórku. A podwórkiem tym była teraz wyprawa, misja do spełnienia. Meissner za bardzo się wychylał, powinien pamiętać, że jego miejsce jest na ławce rezerwowych.

Jakob znał swoje miejsce. Pragnął spotkać się z panem Hoepferem, złożyć mu wyrazy współczucia z powodu straty synów, znalazł więc jego adres w jednym z protokołów spotkań komitetu

54

i nawet poszedł na miejsce. Onieśmieliły go wszakże wysokie budynki, i to zanim odnalazł ten właściwy. Zatrzymał się przed masywnymi rzeźbionymi drzwiami zdobnymi w lśniącą ciężką kołatkę. Zawstydzony, z nadzieją, że nikt go nie dostrzegł, odszedł spiesznym krokiem.

Hoepfer oczywiście nie uczestniczył już w spotkaniach, a Jakob miał spore kłopoty w kontaktach z ojcem Beitzem, który zdawał się myśleć, że nie potrzebuje pozwolenia - ani nawet aprobaty - na dokonywanie zakupów z pieniędzy ze wspólnej kiesy. Kupował rzeczy wręcz absurdalne, na przykład letnie kapelusze i całe worki żywności, którą trzeba było spożyć od razu, bo nie doczekałaby rozpoczęcia wyprawy, dnia, który do tej pory nie był jeszcze wyznaczony. Kupił też bele materiału dla odziania krajowców w nieokreślonej przyszłości mających zgłaszać się do jego misji. W swym roztargnieniu pozostawił je w drzwiach sali spotkań, skąd je natychmiast skradziono. Wśród tych i innych równie bezsensownych wydatków znalazł się także zakup ziemi w

miasteczku Bundaberg bez konsultacji z Johnem Hendersonem.

Wyglądało na to, że duchowny skontaktował się listownie z agentem w Brisbane i od dłuższego czasu wymieniał z nim korespondencję. Nagle i nieoczekiwanie oznajmił, że grupa jest dumnym właścicielem szesnastu hektarów doskonałej żyznej ziemi w miasteczku, które za radą Hendersona wybrali na docelowe miejsce emigracji. Tylko że John nie potrafił zlokalizować ani nieruchomości, ani drogi wymienionej w kwicie, który przysłał agent.

Prawie wszyscy: Kleinschmidtwie, Fechnerowie, Jennerowie i cała reszta poddali się bez wahania urokowi jego retoryki, byli nią wręcz zachwyceni, tylko Jakob i Freda Meissnerowie z powątpiewaniem kręcili głowami.

Mogli tylko mieć nadzieję, że ich ziemia będzie się nadawała do uprawy. Za późno było, by prosić o pomoc pana Hoeppera.

Potem od ojca Beitza członkowie grupy dowiedzieli się o śmierci Gabi Hoepfer, biednej kobiety, która nie chciała żyć, kiedy zginęli jej synowie. Byli zdruzgotani tą wiadomością.

Tym razem Jakob odwiedził jednak Huberta Hoeppera. Nie przyszedł na pogrzeb, ich grupę reprezentował tylko pastor. Nie chcąc się narzucać, odczekał kilka tygodni, po czym znów stanął przed znajomymi drzwiami.

55

Służąca wprowadziła go do ciepłego przytulnego salonu. Hubert wstał na powitanie z wygodnego fotela.

- Cieszę się, że mnie odwiedziłeś, Meissner.

- Jest pan bardzo uprzejmy. Nie byłem pewien, czy zostanę przyjęty. To znaczy, czy będzie panu zależało. Nie chcę, by powstało wrażenie, że o panu zapomnieliśmy. - Jakob nagle tak się zawstydził, że zaczął bełkotać.

Zdawał sobie z tego sprawę, ale nie potrafił przestać. - Tak bardzo zmartwiły mnie pańskie nieszczęścia. Musiałem przyjść, powiedzieć to w rozmowie w cztery oczy. Mam nadzieję, że wszystko jest już w porządku... Ale nic o tym nie świadczyło. Pan Hoepper wyglądał źle. Był blady, wynędzniały, chudy.

- Bardzo dziękuję - odrzekł. - Doceniam twoje intencje. Proszę, opowiedz mi, jak przebiegają przygotowania do podróży. Oczywiście rozumiesz, że z wami nie pojedę.

- Tak właśnie myślałem. To dla nas wielka strata. Mamy też swoje kłopoty, z których największym jest liczebność grupy. Ostatnio odeszło kilkanaście osób, dokładnie piętnaście, w tym Jennerowie.

- Dlaczego? Przestraszyli się?

- Nie oni. Przeszli do innej dużej grupy emigrantów zmierzających bardziej na południe Australii. Tam mogliby uprawiać winorośl i produkować wino.

- Interesujący pomysł. Jak sądzisz, ilu was zostało?

- Załatwiam dzisiaj koje na statku. Na „Reginie”. Dwa i pół tysiąca ton wyporności, mieści czterystu sześćdziesięciu pięciu pasażerów. Miałem zadać panu podobne pytanie. Moim zdaniem jest nas dwadzieścioro sześcioro, wliczając dzieci, ale pastor twierdzi, że więcej. Według mnie zależy mu na tym, żeby było nas więcej, znacznie więcej, ja jednak jestem przekonany, że taką grupą jak teraz łatwiej jest rządzić. To znaczy... chodzi mi o liczbę osób.

- I musisz zarezerwować miejsca dziś, tak?

- Owszem. Zarezerwować i zapłacić. To ostatni dzień. Mam potwierdzenia donacji i pieniądze, nawet za dużo pieniędzy. Pastor Beitz

nalega, żeby zarezerwować czterdzieści miejsc na wypadek, gdyby część ludzi wróciła, nim statek odbije od nabrzeża.

- Kiedy wypływa?

56

- W ciągu trzech tygodni. Hoeppe westchnął.

- Rozumiem twój problem. Ale nie masz wystarczającej liczby nazwisk na liście. Towarzystwo żeglugowe zażąda nazwisk i określenia płci pasażerów, tego rodzaju rzeczy, choćby po to, żeby rozsądnie rozmieścić na pokładzie tylu ludzi. W istocie więc nie masz wyboru.

- No tak. Nie mogę po prostu wejść do ich biura i zamówić czterdziestu miejsc, prawda?

- Nie. Na razie musi ci wystarczyć tych dwudziestu sześciu zdecydowanych. Może później znajdzie się miejsce dla następnych?

- Dziękuję. Bardzo mi pan pomógł. Jeszcze jedna sprawa... Jest pan pewien, że nie zmieni zdania? Nie popłynie z nami? Jest pan nam bardzo potrzebny.

Jakob uważał, że mógł posunąć się za daleko w swej skądinąd łagodnej krytyce pastora Beitza, i nie powinien wyjaśniać, dlaczego pan Hoeppe jest wspólnocie aż tak potrzebny. Niezależnie od tego, że był rzeczywiście czarującym człowiekiem.

- Przykro mi, ale nie. W tej chwili nie rozważam możliwości emigracji.

- Słyszałem jednak, że sprzedał pan firmę, więc miałem nadzieję...

Hoeppe potrząsnął głową.

- Firma została sprzedana już jakiś czas temu. Nie mogłem złamać danego słowa. Musiałem zamknąć transakcję. Zresztą nie ma to wielkiego znaczenia. Nie sądzę, by mnie teraz zajmowały interesy.

- Przeszedł pan na emeryturę?
- Nie, to nie tak - odparł chłodno Hoeppe. - Raczej całkowicie straciłem zainteresowanie pracą. Bo i dlaczego miałbym teraz pracować? Dla kogo?
- Och, jakże mi przykro, że tak to pan odczuwa. Czy mogę panu w jakiś sposób pomóc?
- Nie, ale proszę, powiedz mi, kim jest tych dwudziestu sześciu nieustraszonych wędrowców. Waszych pionierów. Bo chyba wiesz, Meissner, że będziecie pionierami. Wygląda na to, że udajecie się do dziewiczego kraju.

Rozmawiali przez dłuższy czas. Służąca przyniosła kawę i ciasto, uprzejmie uśmiechała się do Jakoba, wyjątkowo się

57

o niego troszczyła, a gdy już wychodził, odciągnęła go pod ścianę korytarza.

- Proszę pana, mój pan prosił, żeby go jeszcze odwiedzić, prawda? Ja też liczę na pana łaskawość. On ma złamane serce. Cały czas siedzi w domu, rzadko widuje ludzi i nigdy nikogo nie zaprasza ponownie. To samo z jego córką Adelą. Nie wychodzi z pokoju, nie chce się z nikim widzieć. Och, proszę pana, jaki to smutny dom. Jaki smutny!

Zaskoczony Jakob skinął głową.

- Tak, oczywiście, z pewnością będę go odwiedzał. Póki mogę. I dotrzymał słowa. Podczas ostatniej wizyty, na dzień przed odpłynięciem „Reginy”, podarował Hubertowi duży religijny obrazek ozdobiony przez jego żonę Fredę i podpisany przez wszystkich członków grupy, z krótkim listem pożegnalnym skierowanym do niego i jego córki. Wychodził ze smutnego domu wstrząśnięty. Między nim a panem Hoeppelem powstała

jakaś więź, przy kawie rozmawiali na wiele różnych tematów, bardzo wiele. Wiedział, że będzie za nim tęsknił.

Podczas tej ostatniej wizyty Jakob zdobył się też na upomnienie gospodarza, choć zrobił to w możliwie najłagodniejszy sposób.

- Spotkałem dziś pańską córkę, pannę Adelę. Czy dobrze się czuje? Bo nie najlepiej wygląda. Obawiam się, że panu bardzo trudno jest ją pocieszyć.

Młoda dziewczyna... i tyle przeszła.

Hubert Hoepfer tylko skinął głową. Nic nie powiedział.

Jakob po raz ostatni przeszedł znajomą ulicą. Podziwiał symetrię wysokich wąskich kamieniczek, niewielki, lecz uroczy park na rogu, wiekowe drzewa, solidne ławki, niedużą, ale wdzięczną figurkę Kupidyna.

Próbował uporządkować wspomnienia wszystkiego, co widział i co zapamiętał z Hamburga, tak przecież schon, tak pięknego miasta.

Wiedział, że po wypłynięciu „Reginy” nigdy go już nie zobaczy.

Życie na pokładzie statku było dla Jakoba objawieniem. Czuł się jak w klatce dla królików. Ludzie byli dosłownie wszędzie. Ci z najtańszymi biletami mieli koje w wydzielonych miejscach, trzy poziomy koi ustawionych w ciasnych rzędach; na ich widok ogarnęło go przerażenie i obrzydzenie. To gorsze od króliczej klatki, pomyślał, przypomina raczej półki w spiżarni, wystarczająco długie,

58

by pomieścili się na nich ludzie. Ponieważ to on rezerwował miejsca w siedzibie towarzystwa żeglugowego, czuł się winny i był nawet skłonny zgłosić zażalenie do kapitana, ale Rolf Kleinschmidt, rzecznik może tuzina młodych ludzi, którzy wszyscy sprawiali wrażenie spokrewnionych ze sobą lub powinowatych, nie wydawał się szczególnie przejęty.

- Niech się pan tym nie frasuje, panie Meissner - rzekł spokojnie. - Tylko mnie to przeszkadza, chciałbym mieć przy sobie żonę, Rosie. Jeden z marynarzy powiedział mi, że małżeństwa mogą ubiegać się o zmianę warunków, kiedy znajdziemy się już na pełnym morzu. Wówczas sprawdzą, czy są jakieś wolne miejsca.

- Jesteś pewien, Rolf? - Jakob nie potrafił zrozumieć, jak można wytrzymać w takich warunkach. Co się z nimi stanie, jeśli Boże broń, wybuchnie pożar albo statek zacznie tonąć?

- Oczywiście. Wszyscy się bardzo cieszymy na tę podróż. Będzie świetna zabawa.

Jakob spojrział na niego, w zdumieniu mrugając oczami. Miał czterdzieści lat, nie czuł się staro, ale skoro nie potrafił dopatrzeć się niczego zabawnego w sytuacji tych podróży, znaczyło to, że jednak posunął się w latach. W tej chwili i w tym miejscu postanowił, że rejs do Australii na tym przedziwnym statku też potraktuje jak interesującą przygodę, niech się dzieje, co chce.

To nastawienie dobrze mu się przysłużyło w ciągu następnych kilku miesięcy, gdy z powodu ciasnoty, kiepskiego jedzenia i nieustającej choroby morskiej zaczęły grać nerwy. On i Freda mieli miejsce w kwaterach dla małżeństw pod pokładem, oddzielonych od kajut pierwszej klasy, trudno wszakże było mówić o jakiegokolwiek prywatności. Ich maleńka kajuta, jedna z wielu, odgradzona była od korytarza obciążonym płótnem pochodzącym, jak przypuszczał, ze starych żagli. Dźwięki niosły się daleko, więc i on, i żona, i wszyscy inni rozmawiali wyłącznie szeptem. Po jakimś czasie poddali się, ale wraz z upływem tygodni hałas stawał się coraz większy. Niemal przez cały czas wszyscy krzyčili na

wszystkich, żeby się zamknęli.

Sytuację, co nieoczekiwane, ratowała właśnie wielka liczba pasażerów na pokładzie, oznaczało to bowiem, że ludzie pastora Beitza nie przebywali przez cały czas w swoim towarzystwie. Mieli z kim rozmawiać, bawić się, spacerować po wydzielonej

59

dla nich części pokładu; była to dla nich wręcz zbawienna rozrywka.

Kiedy przekraczali równik, płynąc na południe wzdłuż wybrzeży Afryki, kapitan zorganizował wielką zabawę, ale Jakob niewiele na niej skorzystał.

Pastor Beitz zachorował od straszego upału, wezwano go do jego łóżka.

Ich duchowy ojciec chwycił go mocno za rękę. Usłyszawszy jego słowa Jakob uznał, że ten stary człowiek popadł w delirium.

- Poprawi mi się, gdy tylko zejść ze statku! Nie będę pił ohydnych mikstur tego lekarza!

- To nie są ohydne mikstury, ojcze, tylko napoje chłodzące. Proszę, pozwól, że obmyję cię gąbką. Strasznie się pocisz. Musisz pić dużo wody.

- Nieczysta woda, nie dotykaj mnie nią! Pomóż mi wstać. Chcę wyjść na pokład. Tam jest chłodniej.

- Może później. Kiedy skończy się zabawa.

- A tak, oczywiście, Jakobie. Słyszałem o niej. Nic dziwnego, że jestem taki chory. Te bluźnierstwa, te dzikie tańce tam na górze... Nikt nie zwraca się do Boga, nie dziękuje za to, że zapewnił nam bezpieczeństwo...

- Jestem pewien, że Pan otrzymał należne dziękczynienia. Pastor westchnął ciężko.

- Zostawmy tę sprawę. Za kilka dni dobijemy do brzegu. Pierwsze co zrobimy... nie chcę tu żadnych kłótni... padniemy na kolana, my wszyscy

na tym statku, i podziękujemy Bogu, że nas zachował. Jeszcze przed zejściem na ląd. Słyszałeś, co mówię?

- Prześpij się, ojcze. Mam lekarstwa, które pomogą ci zasnąć.

- Nie potrzebuję... lekarstw - wyrzeźił chory. - Pomódl się ze mną, Jakobie. Za dwa dni będziemy w Australii. Tam zacznie się nasza praca. Jakob Meissner musiał w końcu uciec się do pomocy kapitana, któremu udało się przekonać pastora, że Australia nie jest afrykańskim państwem i że miną miesiące, nim dotrą do jej wybrzeży. Że po opłynięciu Przylądka Dobrej Nadziei nie zwiną do żadnego portu poza portem przeznaczenia. Informacje te wstrząsnęły ojcem Beitzem. Jakoba nie zdziwiłoby, gdyby zszedł z pokładu w Kapsztadzie i wrócił do Hamburga, ale nie zrobił tego. Pozostał na statku.

60

Tymczasem po statku rozeszły się plotki i duchowny stał się pośmiewiskiem. Jakob natychmiast uznał, że nie wypada ośmieszać starego człowieka, że to obraźliwe, ostro wystąpił w jego obronie i żarty w końcu ustały.

Pastor Beitz nabrał tymczasem zwyczaju spacerowania po statku, mocno przygnębiony świadomością, że czekają ich jeszcze całe miesiące na morzu. Najwyraźniej nie wiedział, co ze sobą począć. Choć wielu próbowało oderwać jego uwagę od ciężaru mijających powoli dni, opierał się prawie wyłącznie na Jakobie, a jednocześnie krytykował go bezlitośnie przy każdej okazji. Porównywał go, zwykłego robotnika rolnego, do swojego dobrego przyjaciela pana Hoeppera, bogatego kupca, który wraz ze wspaniałą rodziną i gronem służby pomógłby mu wypełnić jego misję, gdyby nie spotkała go straszliwa tragedia. Gadał i gadał do każdego, kto

chciał go słuchać; w jego opowieściach Jakob niezmiennie winny był wszystkiego złego. Freda miała tego dość.

- Dlaczego stajesz na baczność, ilekroć go widzisz? Nie podziękuj ci.

Dla niego jesteś tylko służącym. „Przynies mi to i to”, „zaprowadź mnie na górę”, „nie, za gorąco tu, idziemy na dół”. Przestań, człowieku!

- Nie mogę. On nie ma nikogo. Nikt się o niego nie troszczy.

Ale gdy Freda usłyszała, że pastor mówi o jej mężu „wieśniak”, nie wytrzymała. Przeszła do ataku.

- Mój mąż jest farmerem! Nie chłopem, lecz farmerem! Rozumiesz, co do ciebie mówię, ty stary koźle? Jeśli ośmielisz się jeszcze raz powiedzieć o nim „wieśniak”, ukręcę ci tę chudą szyjkę!

- Kobieto, ty oszalałaś!

- Nie, nie oszalałam. Za bardzo starasz się poniżyć przyzwoitego człowieka, a ja mam tego dość. Przestań albo niejedno jeszcze ci powiem. Kiedy Jakob usłyszał o tej wymianie zdań, omal nie umarł ze wstydu.

- Fredo, nie prosiłem cię, żebyś toczyła za mnie moje sprawy. No a w każdym razie nikt tu z nikim nie walczy. Ojciec Beitz jest nawiedzonym staruszkiem. Z moim stryjem Hansem Joachimem było podobnie. Nie martwmy się o niego, przecież chodzi o naszą przyszłość. Czekają nas zdumiewające przygody,

61

Fredo, cóż więc znaczy to, że przez krótki czas będę usługiwał staremu człowiekowi? Przyjrzyj się tym gwiazdom! Jesteśmy na południowej półkuli, ileż tu jest nowych, których dopiero musimy się nauczyć! A przy okazji... gdzie Karl?

- On i jego przyjaciel Michael zgodzili się oddać swoją kajutę, tę

odgradzoną płótnem, Rolfowi i Rosie i teraz śpią na dole w ogólnej sypialni.

Noc była piękna, gwiazdzista, Jakob myślał jednak o wuju Hansie Joachimie, który na skargi bratanka zawsze odpowiadał wprost i do rzeczy.

- Jesteśmy tacy biedni - powiedział kiedyś Jakob. - Ciężko pracujemy, ale nigdy nam na nic nie wystarcza. Nasze dzieci są chude. Zbiory maleją, bo ziemia się wyjaławia, kobiety walczą o nędzne strzępy...

- Mogę ci wszystko wytłumaczyć - odparł wówczas stryj. - Jeśli chcesz kogoś winić, mały, to win' dziadka. Chwalił się, że spłodził ośmiu synów, a jego synowie spłodziли ich jeszcze więcej. Tylko że nie pomyślał, jak nasze małe gospodarstwa w dolinie mają wyżywić to całe tałatajstwo. Myślał, że skoro zawsze sobie radziliśmy, to i teraz sobie poradzimy, ale teraz to inna sprawa, czyż nie? Po prostu za wielu jest Meissnerów.

Za wielu Meissnerów! To prawda, szczerą prawdą. I wszyscy zarabiali tylko tyle, by przeżyć, po uiszczeniu obowiązkowych opłat dla junkra - nagle wzbogaconego byłego pułkownika, który do doliny trafił na skutek jakichś układów nie znanych zwykłym, prostym, pracującym w jego posiadłości ludziom. Zresztą szczerze mówiąc, niewiele ich to obchodziło. Podatki trzeba było płacić, za gospodarkę. Zimą w brzęczącej monecie, latem w płodach rolnych. Nieważne, do kogo trafiały, poborcy zawsze byli tacy sami: twardzi, nieczuli mężczyźni nie uginający się wobec błagań, nie okazujący litości bardzo wielu ubogim rodzinom niezdolnym złożyć daniny.

Kiedy tak wspominał przeszłość, kiedy przyglądał się ludziom wołącym spać na pokładzie w upalne parne noce, z trudem przywoływał pamięć zim, które na zawsze pozostawił za sobą. Ciężkich, mroźnych okrutnych

zim. Zwłaszcza nocą. Freda często żartowała sobie z niego twierdząc, że ożenił się z nią, by mieć się przy kim pogrzać w mrozy.

To brat Fredy wpadł na pomysł emigracji, choć dla niego było to tylko pobożne życzenie. Przyniósł do domu mnóstwo

62

papierów zawierających informacje o wielu krajach. Jakob czytał mu je, bo szwagier nie umiał ani czytać, ani pisać. Ale cieszyło go słuchanie ich, do tego stopnia, że treść dokumentów poznał wreszcie na pamięć... ale to Jakob zaraził się w końcu gorączką wyjazdu. Żona zgadzała się z nim bez zastrzeżeń, lecz cóż, bieda dusiła ich w swym uścisku, a każdą myśl o podjęciu decyzji czyniła przerażającą. Jednakże los wreszcie się do nich uśmiechnął: Freda dostała niewielki spadek. Oboje wiedzieli, że nadszedł czas. Teraz albo nigdy. Musieli zadbać o przyszłość nie tylko swoją, także synów. Spakowali się i przenieśli do Hamburga. Przed wszystkim chcieli dowiedzieć się, jaki kraj i gdzie byłby skłonny ich przyjąć. W końcu spotkali agenta Queenslandu, Johna Hendersona.

- Stało się - powiedział teraz Jakob, tuląc do siebie żonę. Żałujesz?

- Za późno na żale - odparła Freda z jakże charakterystyczną dla niej szczerością.

#### ROZDZIAŁ CZWARTY.

Pastor Beitz zgromadził swoją trzódkę na nabrzeżu w Brisbane, rozkazał jej członkom stanąć w szeregu, by Theo Zimmerman mógł policzyć zebranych, po czym wezwał ich do modlitwy dziękczynnej za Boską pomoc w pokonaniu groźnego oceanu, który bezpiecznie przebyli. Po donośnym „amen” oznajmił, że wszyscy pójdą teraz za nim obejrzeć miasto i rozprostować nogi.

- Co z naszymi bagażami? - spytał Theo. - Trzeba je przenieść na parowiec żeglugi przybrzeżnej.
- To sprawa Jakoba. On się tym zajmie. Ale możesz pójść i pomóc mu, jeśli chcesz.
- Nie! - krzyknęła Eva Zimmerman, tuląc czepiającą się jej spódnicy dwójkę dzieci. Rozejrzała się po tonącym w zieleni miasteczku oświetlonym promieniami porannego kwietniowego słońca. Dostrzegła zaledwie kilka białych budynków w stylu kolonialnym, parę magazynów nad brzegiem rzeki i zrujnowane hangary na łodzie. - Theo - powiedziała do męża - zostajesz z nami. Nie próbuj nas zostawić, Theo Zimmermanie! W tym kraju są drapieżne zwierzęta i dzicy tubylcy. Skąd możesz wiedzieć, jakie niebezpieczeństwo czai się tuż za rogiem? Hanni Fechner też nie była zachwycona pomysłem pastora.
- Czy to będzie długi spacer, ojczy? Jest strasznie gorąco. Chciałabym usiąść gdzieś, wypić kawę, zjeść kawałek ciasta. Już sama nie pamiętam, kiedy jadłam coś naprawdę smacznego.
- Co za szkoda! - prychnęła Eva.

64

Lucas Fechner pośpieszył z wyjaśnieniami. Kapitan powiedział mu, że to zaledwie małe miasteczko i bardzo bezpieczne. Mimo iż tak niewielkie, jest jednak stolicą stanu.

- Jak to możliwe? - zdziwił się Rolf Kleinschmidt.
- Szczerze mówiąc nie wiem - przyznał Lucas. - Ale skoro już tu jesteśmy, dlaczego nie mielibyśmy go sobie obejrzeć? Prowadź, ojczy.

Pastor powiódł ich na wzgórze; znaleźli się na czymś, co z pewnością było główną ulicą miasteczka. Kręcił się wokół nich jak zakonnica prowadząca

na wycieczkę młode panienki. Eva śmiała się widząc, jak przechodnie, zwykli, normalni ludzie, przystają i gapią się na nich. Brisbane rzeczywiście było małym spokojnym miasteczkiem, nigdzie nie dostrzegli żadnych dzikusów.

Pastor niemal biegiem przeprowadził ich jedną ulicą, potem drugą, więc już wkrótce stanęli przed dużym budynkiem z piaskowca. Powiedziano im, że to siedziba parlamentu stanowego mająca zaledwie kilka lat.

Rolf Kleinschmidt był w swoim żywiole. Już wcześniej doprowadzał pastora Beitza do szaleństwa, zasypując go pytaniami. Tym razem musiał wiedzieć, gdzie parlament obradował przed wybudowaniem jego nowej siedziby, a kiedy nikt nie był w stanie udzielić mu odpowiedzi, po prostu wszedł do budynku. Wrócił z broszurą i mnóstwem informacji.

- Wcześniej nie było parlamentu - powiedział z uśmiechem. - Teraz wiem jeszcze mniej niż przedtem.

Eva go lubiła. Doskonale rozumiała głód wiedzy. Kiedyś zachowywała się jak Rolf. Jej ojciec zwykł powtarzać: „Ta dziewczyna wypytywałaby nawet archanioła u bram niebios.” Małżeństwo i łańcuch nieszczęść nauczyły ją jednak nie komplikować sobie życia, koncentrować się na tym, co trzeba zrobić dziś, teraz. Miała już trzydzieści osiem lat, wiedziała, że pozostał w niej tylko cień dziewczyny sprzed lat. Ale nadal gdzieś tam był. Nadal.

Od bardzo wielu lat ona, Theo i dzieci skazani byli na mieszkanie w kamienicy czynszowej w ubogiej dzielnicy Hamburga.

Była w nim kuchnia, na szczęście wyposażona w piec, dzięki któremu nie marzli, jeśli akurat stać ich było na kupienie drewna, oraz sypialnia. I nic więcej.

Ojciec Beitz przerwał jej wspomnienia.

65

- Doskonale. Obejrzelismy miasto. Teraz wrócimy i zaokrętuujemy się na parowiec „Tara”. To się pisze tak: T-A-R-A. Nie, Rolf, nie wiem, skąd się wzięła ta nazwa.

- Jeśli ojciec chce, proszę wracać do portu - odparł Rolf. - My tu sobie poradzimy. Statek odpływa dopiero o czwartej. Moim zdaniem dzieciom przysłuży się dłuższy pobyt na stałym lądzie.

Jego żona Rosie roześmiała się głośno.

- I tym dużym dzieciom też - dodała kpiąco.

Eva miała wielką ochotę przyklasnąć pomysłowi Rolfa Kleinschmidta, pozostawał jednak problem jedzenia. Minęło południe, jej dzieci: Robie, Hans i Inge, były głodne, a ona nie miała pieniędzy. Zimmermanowie mogli udać się w tę podróż tylko dzięki dopłatami do biletów, podobnie jak wszyscy Kleinschmidtowie oraz kilku innych członków grupy, i mieli przy sobie bardzo niewiele gotówki. A wydatki sumowały się i jeszcze przed przybyciem do Brisbane cały ich majątek skurczył się do zaledwie kilku szylingów, co krępowało ją niewymownie, choć jej mąż Theo najwyraźniej się tym nie przejmował.

- Chcielibyśmy zostać, Rolf - powiedziała szybko - ale nie możemy.

Musimy wracać na statek.

- Nie musicie. Mamy piękny dzień, wypatrzyłem ładne miejsce nad rzeką, urządzimy sobie piknik. Zostańcie tu, dobrze? My z Waltherem kupimy coś do jedzenia.

Walther Badke był potężnie zbudowanym mężczyzną, z zawodu piwowarem, wiernym wielbicielem ojca Beitz. Eva słyszała, jak

członkowie grupy powtarzają, że poszedłby za nim w najgłębszą, najmroczniejszą dzicz, tak wielką wiarę pokładał w misji pastora. Nastawiona po trosze cynicznie, uznała, że w gruncie rzeczy oni wszyscy to właśnie zrobili. Z tego co do tej pory widzieli, jasno wynikało, iż w ciemnozielonej ścianie roślin rozciągającej się wzdłuż brzegu mogą kryć się wszystkie niebezpieczeństwa świata.

Mimo to bawili się świetnie. Po wielu tygodniach spędzonych na zatłoczonym pokładzie dzieci mogły wreszcie swawolić i biegać. Obaj mężczyźni wrócili szybko, przynosząc pudło wypełnione jedzeniem: chlebem, mięsem, serem i mnóstwem owoców. Eva z przyjemnością spojrzała na swojego starszego syna, Robiego, zdrowego wesołego dziesięciolatka. Wyglądał doskonale. Od urodzenia miał problemy z układem oddechowym, łapał

66

katar, gdy tylko powiał wiatr, ale teraz ganiał jak szalony i nawet się nie zadyszał. Lekarze twierdzili, że nie jest mu pisane długie życie, że chudy dzieciak nie będzie miał siły, by w nieskończoność walczyć z chorobami... Eva miała tylko nadzieję, że się mylą.

Był to jedyny powód, dla którego zgodziła się na emigrację. Chciała przenieść dzieci w cieplejszy klimat. Oby tylko Theo miał tym razem rację, oby wyjazd nie okazał się kolejnym z jego niedowarzonych pomysłów. Westchnęła ciężko. Mąż próbował praktycznie wszystkiego i nic mu się nie udawało, choć każdą nową pracę podejmował przekonany, że tym razem się wzbogaci. Zaczynał jako uliczny sprzedawca, był odźwiernym, potem szewcem, cyrkowym klaunem, salowym w szpitalu i tak dalej, i tak dalej, a teraz na nowej ziemi już się miał za farmera.

Prawdopodobnie dżentelmena farmera, pomyślała ponuro, no ale przynajmniej zapowiedziałam mu, że kiedy już dotrzemy do tego Bundabergu, wiele będzie się musiało zmienić.

Postanowiła i obiecała sobie solennie, że nie będzie dłużej godzić się z głupimi pomysłami męża. Ani nikogo innego. Skończyły się czasy, kiedy bezkarnie przestawiano ją z miejsca na miejsce. Nowy ład, nowe życie, nowa Eva. Wiedziała, że jeśli nie przejmie odpowiedzialności za rodzinę, za dzieci, to nikt tego za nią nie zrobi. Dzięki Bogu przynajmniej klimat był po jej stronie. Pod tym względem Theo się nie mylił. Był cudowny kwietniowy dzień, błękitne niebo, jasne słońce i ani chmurki na horyzoncie.

Zaokrętowali się wszyscy na mały parowiec, „Tarę”. Płynęli przez zatokę Herveys, kierując się na latarnię na Burnett Heads. Na widok pilota ojciec Beitz ucieszył się tak, że omal nie zemdlał z radości. Freda Meissner znalazła mu wygodne siedzące miejsce. Pozostawiła go pod opieką syna Karla, sama zaś poszła poszukać męża.

Znalazła go pod pokładem, gromadzącego i sprawdzającego bagaże grupy.

- Przestań! - powiedziała. - Będziesz miał na to mnóstwo czasu, kiedy statek dobije do brzegu. Płyniemy przez piękną zatokę...

- Wiem - uśmiechnął się Jakob. - Widziałem. To zatoka Herveys.

67

- I za chwilę będziemy już na rzece Burnett, a nią dopłyniemy do Bundabergu. Nasza podróż dobiega końca, chcę, żebyśmy przynajmniej teraz byli razem, we trójkę. Wyjdź na pokład, dobrze?

Zaskoczyła go tą prośbą. Jego żona rzadko bywała sentymentalna,

rozumiał jednak, że dla Meissnerów to ważna chwila, można chyba powiedzieć, że nawet historyczna. Skinął głową, pocałował żonę w policzek.

- Jeśli sobie tego życzysz, kochanie.

Stanęli w rzędzie pasażerów zgromadzonych przy relingu, podziwiających z wolno płynącego stateczku zielone lasy zarastające oba brzegi.

- Ciekawe, gdzie jest nasza ziemia - odezwał się Karl. - Być może właśnie ją mijamy?

- Być może - przytaknął Jakob. Nadal niepokoił go problem tej ziemi.

Oczywiście słyszał o tym, że wielu ludzi kupuje ziemię od agentów, wcale jej nie oglądając, ale ten pomysł ciągle mu się nie podobał.

Rozejrzał się dookoła. Widzieli las i niewiele więcej, ale nawet na horyzoncie nie dostrzegli gór. A więc równina, najlepsza do uprawy.

Powietrze było czyste, rześkie i słodkie. Jakob rozpoznał charakterystyczny aromat, położył dłoń na ramieniu syna.

- Czujesz ten zapach, Karl? Eukaliptus. Bardzo mocno pachnie. Przyjrzyj się tym lasom, pełno w nich eukaliptusów.

Wielką radość sprawiło mu, że wiedział coś o tym dziwnym kraju. Bo to był dziwny kraj, niezależnie od tego, co się o nim czytało i słyszało. W końcu nawet po tak długiej podróży człowiek jednak pamięta, jak pachnie powietrze, jak wygląda las, ale tu było zupełnie inaczej. Wśród drzew rosły palmy i sięgające ramion trawy, żółte na tle ciemnej zieleni. I sama rzeka... Dziwne było patrzeć na wielką rzekę toczącą swe wody tak leniwie. Poza tym miejsce tak dalekie od cywilizacji powinno być ciche i spokojne, ale nie to. Ponad monotonny łoskot silnika wznosiły się

przeraźliwe krzyki ukrytych wśród drzew ptaków, od czasu do czasu w powietrze wzbijało się wrzaskliwe jaskrawe stado, doskonale widoczne na tle nieba.

Freda odwróciła się i spytała jednego z członków załogi, co to za ptaki.

- Zwykle papugi - odpowiedział.

68

Rozbawiła ją jego nonszalancja. Nigdy nie widziała stworzenia tak egzotycznego jak papuga.

Zbliżali się do zakola rzeki. Kapitan trzykrotnie pociągnął za uchwyt parowej syreny. Jej donośny ryk sprawił, że pasażerowie zadrżeli z podniecenia. Dotarli do kresu pielgrzymki, już za chwilę miała otworzyć się przed nimi nowa droga, droga do australijskiego miasta, ale i droga do przyszłości. Jakob przywołał do siebie dwóch małych braci Lutze. Byli sierotami przygarniętymi przez pastora Beitza, bardzo sympatycznymi chłopcami; Max miał szesnaście lat, Hans piętnaście. Podeszli do niego nieśmiało, zawsze zachowywali się z rezerwą. Do tej grupki dołączyli także Lucas i Hanni.

Fechnerowie oboje pracowali w jakiejś wielkiej posiadłości; ludzie szeptali między sobą, że porzucili swoje obowiązki i po prostu uciekli. Zbiegli do Hamburga, gdzie spotkali pastora. Jakob lubił ich oboje. Eva uważała Hanni za głupią trzpiotkę.

Jakob zorientował się, że z przyzwyczajenia znów liczy ludzi. Przesunął się nieco, by mieć lepszy widok na jasnowłosych Kleinschmidtów, całą dwunastkę, ośmiu mężczyzn i cztery kobiety. Najstarszym z klanu i jego przywódcą był Rolf, zaledwie dwudziestoczteroletni. Wszyscy byli przystojni, weseli, wszyscy znieśli podróż wyśmienicie. Tym co

zdumiewało, była ich dyscyplina. Żadne z nich nie opuściło ani jednej lekcji angielskiego, choć nauka przez pięć dni w tygodniu wyraźnie była im ciężarem.

A tam, o głowę wyższy od wszystkich, stał Walther z rumianą twarzą zastygłą w wyrazie zachwytu. Wielu członków wspólnoty, łącznie z ojcem Beitzem, wytrąciła z równowagi sama długość podróży, ale Walthera niepokoiła bardziej niż innych. Oglądał mapy, kiedy mu je pokazywano, nigdy nie zrozumiał jednak, jak można na niezmiernych oceanach znaleźć drogę do maleńkiego, ledwie widocznego punkciku. Zachwycał się więc i czuł niewątpliwą ulgę, podnosząc małego Robiego Zimmermana, by mógł zobaczyć, dokąd przy płynęli.

Ale... co też tu znajdują? Nie po raz pierwszy Jakob poczuł wątpliwości, a nawet strach. Czy słusznie postąpili, on i reszta grupy? Nagle lasy nad brzegiem wydały mu się groźne, puste, tajemnicze. Jakby nic w nich nie żyło z wyjątkiem ptaków, które i tak znikły przerażone rykiem syreny. Pomyślał, że dla nich też przyszedł czas zmian.

69

Kobiety bały się tubylców, których prędzej czy później mieli napotkać na swej drodze. Jakob, kierując się wskazówkami Huberta Hoeppera, zapewniał je, że nie ma niebezpieczeństwa, że są przyjaźni, ale w chwili słabości zatrzymał jednego z marynarzy „Tary” i zadał mu pytanie, tak często zadawane jemu.

- Miejscowi? - odpowiedział marynarz. - Nie, nie będą was niepokoić w Bundabergu, w Maryborough i okolicy. Ale nie wolno zapuszczać się zbyt głęboko na ich terytorium, bo można dostać włócznią w plecy. Jakiś czas temu mój kumpel oberwał tak nad rzeką Cape. Moim zdaniem oszalał. Ja

nie zbliżyłbym się do tego miejsca. Ale co z ludźmi robi gorączka złota...  
Minęło wiele dni, zanim przerażony Jakob zdołał się dowiedzieć, że  
złotonośne tereny nad rzeką Cape rzeczywiście znajdują się w stanie  
Queensland, ale przeszło półtora tysiąca kilometrów na północ, nie  
wydawało się więc prawdopodobne, by zaatakowani zostali mieszkańcy  
okolic Bundabergu. Ta wiedza uświadomiła mu jednak ogrom tego kraju.

- Jeśli stan ma co najmniej półtora tysiąca kilometrów szerokości i Bóg  
jeden wie ile długości - powiedział do Fredy, studiując mapę, którą  
pożyczył im kapitan - to jak wielki jest ten kraj? Czy to kontynent?

- Jak go zwał, tak zwał, to bez znaczenia. Przynajmniej wiemy, dlaczego  
potrzebują tylu imigrantów.

- To ma znaczenie - odparł z namysłem. - Czuję się jak mrówka.

Jego żona roześmiała się wesoło.

- Nie wygłupiaj się. Mrówka? I co jeszcze?

Na widok ich nowego domu Jakob poczuł się czymś mniejszym nawet od  
mrówki. Z ogromnym, niewypowiedzianym wręcz rozczarowaniem  
przyglądał się miejscu, do którego tak wytrwale dążyli: nędznej wiosce na  
zboczu wysokiego brzegu rzeki. Była pierwszą oznaką obecności ludzi,  
odkąd opuścili Brisbane, i nagle oszołomiła go świadomość, do jakiego  
stopnia można być samotnym w tym świecie. Naraz poczuł pokusę, by się  
wycofać, zostać na pokładzie maleńkiego statku, który wywiezie go z tej  
pozał się Boże strażnicy cywilizacji, ale już był na trapie, dreptał wraz z  
tłumem, nie mógł zawrócić, wziął więc żonę pod rękę, zrobił dobrą minę  
do złej gry i zszedł na brzeg w Bundabergu.

70

Opuściwszy nabrzeże, zgromadzili się na przylegającym do niego placu.

Stali rozglądając się dookoła, kiedy ktoś krzyknął:

- Imigranci mają się udać do Urzędu Celnego!

Dobrze, że ten mężczyzna wskazał dłonią kierunek, pomyślał Jakob, bo przecież nikt z nich nie wzięby prymitywnego, jednopokojowego drewnianego budynku za Urząd Celny. Wyglądał na prowizoryczny, zupełnie jakby mógł go zdmuchnąć najslabszy wiatr. Za placem jednak Jakob dostrzegł coś w rodzaju ulicy. Podeszedł do ogrodzenia, by bliżej się jej przyjrzeć. Pierwsze co zobaczył, to kilkanaście kóz spacerujących beztrosko tu i tam. Dalej stało parę prostych, drewnianych, nie malowanych budynków: sklep, biuro telegrafu, jakieś warsztaty i nieco dalej posterunek policji. W każdym razie najwięcej tu było wolnego miejsca, pustych działek zarośniętych wyschlą trawą i karłowatymi drzewkami. Dla kontrastu pozostawiono w okolicy wielkie stare drzewa rzucające ogromny cień na drogę, na której tu i ówdzie widać było pnie. Kilka jednokonnych bryczek manewrowało między nimi beztrosko. Siedzący w nich ludzie wesoło mu pomachali.

Podeszło do niego parę osób pragnących podziwiać widoki. Część kóz zainteresowała się nimi, zbliżyła do ogrodzenia i obejrzała sobie przybyszy, kręcąc pyskami i przeżuając trawę. Patrzyły na nich z nieukrywaną wyższością.

Karl podeszedł do ojca.

- Gdzie to miasto, tato? - spytał.

Odpowiedziała mu Freda. Głos miała chłodny, mówiła przez zaciśnięte zęby.

- Mam wrażenie, że właśnie tu. Powiedziano mi, że to Quay Street, a tam dalej jest Bourbong Street.

- Może tam jest więcej ludzi. - W głosie Jakoba brzmiała nadzieja.

Celnik najwyraźniej zrobił sobie przerwę, bo na ich spotkanie wyszedł policjant, który przedstawił się jako konstabl Colley. Przywołał do siebie grupę Niemców i poprowadził ją ulicą do niskiego, długiego kamiennego budynku.

- To jest barak dla imigrantów - wyjaśnił. - Możecie w nim mieszkać, póki jakoś się nie urządzicie. A tam pod drzewami nasze panie przygotowały dla was popołudniową herbatkę. Chcemy, żebyście dobrze czuli się w naszym miasteczku, i mamy nadzieję, że będziecie tu szczęśliwi.

71

Sprawił im niespodziankę, ale ojciec Beitz, choć wyraźnie zmęczony, wręcz wyczerpany po podróży, stanął na wysokości zadania. Wystąpił przed szereg, podziękował konstablowi, poszedł wraz z nim do pań i zastawionych stołów.

Karl Meissner nie miał zamiaru wysłuchiwać uroczystych mów. Po cichutku opuścił towarzystwo. Poszedł Quay Street, przy której odkrył tylko kolejne sklepy: wielobranżowy, rzeźnika, alkoholowy i mały hotel. Za rogiem znajdowały się małe domki i stajnie oraz oczywiście kuźnia. Biegająca stąd Bourbon Street, choć szersza, nie prezentowała się lepiej. Była równie wyboista i brudna, stały przy niej identyczne nędzne sklepiki z obrzydliwymi markizami. Kilka ponurych koni czekało cierpliwie przy palikach, do których je uwiązano, a paru ludzi wydało mu się nierzeczywistymi, jak figurki w żywym obrazie.

Potrząsnął głową z niedowierzaniem. To nie było miasto, lecz zaledwie osada, nędzna, mała, nie rokująca szans na przetrwanie. Karl przeżył prawdziwy szok. Spodziewał się nowych pięknych domów, tropikalnych

ogrodów, kołyszących się na wietrze palm, tradycyjnej wioski egzotycznej wyłącznie z powodu klimatu. Upał był rzeczywiście dokuczliwy, ale suchy; wyraźnie czuło się wiszący w powietrzu pył. Gorzko rozczarowany chłopak pobiegł z powrotem ku stołom zastawionym herbatą i ciastkami.

- To okropna wiocha! - zawołał do ojca. - Nie ma tu nawet miejsca na zebrania mieszkańców. Nic nie ma!

Nagle umilkł i tylko gapił się przed siebie z otwartymi ustami. Wśród drzew dostrzegł grupkę tubylców, kobiet i mężczyzn, nagich jak ich Pan Bóg stworzył!

Nora Stenning i jej przyjaciółki uwielbiały patrzeć na przybijające do przystani statki, zwłaszcza wówczas gdy przyplýwali nimi imigranci, zawsze tacy dziwni, tacy zagubieni. Kilka tygodni temu przybiła do brzegu grupa Szkotów: mężczyźni w kiltach, ich kobiety z dziećmi owiniętymi grubymi szalami. Jej ojciec twierdził, że niektórzy z nich byli tak ubodzy, że nosili puste walizki.

- Ale po co? - zdziwiła się.

- Przez dumę - powiedział ojciec ze śmiechem. - Nie przyznają się, że nic nie mają.

72

Nie widziała powodu do radości, już raczej wydało się jej to smutne. Ale ci Szkoci tylko przemknęli przez miasto, podjęli pracę robotników na pobliskich farmach. Natomiast Niemcy, przynajmniej ta grupa, podobno kupili ziemię w okolicy, spodziewano się więc, a raczej żywiono nadzieję, że zostaną, powiększą ludność miasteczka, wesprą kilku lokalnych kupców, których sklepy bardzo potrzebowały pomocy. To właśnie dlatego Jim Pimbley, właściciel sklepu „Sunshine”, poprosił panie o

przygotowanie poczęstunku. Goście najwyraźniej świetnie się bawili. I tak powinno być, przyjechali w końcu z bardzo daleka.

Nora przyjrzała się im dokładnie, gdy częstowali się babeczkami. Niemal wszyscy byli jasnowłosi, mieli jasną cerę i czerwone policzki. Sprawiali wrażenie bardzo silnych. Mężczyźni ubierali się cieplej: w skórzane kurtki, kamizelki, niektórzy mieli nawet skórzane spodnie, kobiety nieco lżej: nosiły szale obszerne jak peleryny, ozdobione haftem podobnie jak czepki; część nałożyła na sukienki serdaki, co miejscowym wydawało się dziwne jako codzienny strój, niewątpliwie było jednak bardzo ciekawe. Otaczające ją kobiety z zainteresowaniem wsłuchiwały się w gardłowe dźwięki obcego języka. Były i takie, które bacznie obserwowały mężczyzn.

- Założę się, że niektórzy z tych wielkich facetów są drwalami - powiedziała jedna z nich. - Les Jolly urządzi na nich polowanie. Stale potrzebuje nowych ludzi do wyrębu drzew.

- Słyszałam, że to wszystko farmerzy - odparła inna. - Widzisz te ich drewniaki. Niektórzy chodzą w prawdziwych drewniakach!

- A kim jest ten brodaty gość? Wygląda jak święty Mikołaj.

- Nie wiesz? To ich duchowny.

Przyjaciółka Nory, Jenny Pimbley, trąciła ją łokciem.

- Niektórzy z tych chłopaków są naprawdę przystojni. Podoba mi się ten w czarnej kurtce. Słyszałam, że nazywają go Karl.

- Nie, za młody. Mnie tam najbardziej...

Norze nie dane było dokończyć zdania, powiedziec, że dla niej najbardziej atrakcyjny jest mocno zbudowany mężczyzna z workiem na plecach, mający taki śliczny uśmiech i tak wszystkim zachwycony, bo nagle ktoś

wrzasnął, rozległy się okrzyki strachu. Cóż spowodowało tak wielkie zamieszanie?

73

Wrzeszczał ich kapłan, wskazując grupę czarnych. Biegał w kółko, zmuszał swoich Niemców, żeby się odwrócili, bełkotał do Clema Colleya coś o grzesznikach, domagał się, żeby usunąć tubylców, żeby ich ubrać...

- Oto dowód, jak bardzo jestem tu potrzebny! - krzyknął.

- To, że stoicie tak, patrzycie na nagość, to bluźnierstwo!

Clem biegał jak wystraszona koza, próbował odpędzić krajowców, część nowych uspokajała księdza. Spojrzenia roześmianej Nory i mężczyzny o uroczym uśmiechu spotkały się. Mężczyzna skinął głową, najwyraźniej także rozbawiony, i sięgnął po kawałek ciasta z owocami.

Jakob był wdzięczny za nieoczekiwany dowód organizacyjnej sprawności, jaki stanowił barak dla imigrantów. Od jakiegoś czasu zastanawiał się, jak poradzą sobie na lądzie, nie mając dachu nad głową; zakładał, że będą musieli wynająć pokoje w jakimś pensjonacie, a może nawet kilku, bo w jednym by się pewnie nie pomieścili. Dobrze, że do tego nie doszło, bo Karl powiedział mu, że w mieście jest tylko jeden mały hotelik przy sąsiedniej uliczce.

Dopilnował, by wszystkim dostarczono ich podręczny bagaż, załatwił przeniesienie reszty z ładowni statku do magazynu, w którym kufry miały czekać, aż ich właściciele znajdą sobie domy. Załatwiwszy to wszystko Jakob wrócił do baraku, tylko po to by odkryć, że już zaczęły się kłopoty. Miejscami do spania podzielono się bez problemu, ponieważ barak przegrodzony był na dwie części: męską i żeńską, odgraniczone wspólną kuchnią. Wszystko bardzo pięknie, ale...

- Nie mamy jedzenia - oznajmiła mu Freda. Spojrzał na nią, jakby podejrzewał, że oszalała.
- Po drugiej stronie ulicy jest sklep. Kupicie tam wszystko, czego potrzebujecie.
- Za co? Wszystkie pieniądze ma ojciec Beitz. Powiedział, że dziś już się najedliśmy i niepotrzebna nam kolacja.

Do rozmowy wtrąciła się Eva Zimmerman.

- Mniejsza o mnie, Jakobie, ale muszę przecież nakarmić dzieci.
- Nie martw się, Ewo, Zjemy kolację. Pójdę po pastora.
- Wahał się przez chwilę, a potem dodał: - I Walthera.

74

W sklepie przyjął ich Jim Pimbley, który brał udział w ich powitaniu.

- Czym mogę państwu służyć? - spytał wycierając ręce o fartuch. - Mam wszystko, od przypraw po uprząż.

Freda podeszła do niego z listą zakupów; tego pastor nie był już w stanie zdzierżyć. Mimo iż Walther próbował go powstrzymać, chwycił listę, rzucił na nią okiem i wybuchł.

- Nie! Nie! Za dużo tego, stanowczo za dużo! Nie stać nas! Dwa tuziny jajek, bekon, płatki owsiane! Mydło! Kawa! Co jeszcze? Nie.

Potrzebujemy tylko chleba i mleka dla dzieci.

- Z wściekłością cisnął kawałek papieru na ziemię. Sklepikarz patrzył to na niego, to na innych, mrugając ze zdumienia oczami. Walther podniósł listę. On też nie bardzo wiedział, co zrobić. Podeszedł do niego Jakob.

- Będziemy musieli załatwić jakoś tę sprawę - powiedział cicho. - Właśnie dlatego chciałem, żebyś z nami poszedł. Nie mam zamiaru rozmawiać z

ojcem Beitzem o pieniądzech, przecież to bez sensu. Zapłacę za dzisiejsze zakupy, ale jutro to się musi skończyć. Nie może samodzielnie kontrolować funduszy.

- To co mam zrobić?

Jakob przywołał pana Pimbleya.

- Przepraszam, chciałbym się dowiedzieć, czy w miasteczku jest bank?

- Tak, oczywiście. Ulicę dalej.

- Dziękuję.

Zwrócił się do Walthera.

- Dobrze wiesz, że całą gotówkę trzyma w skórzanej sakiewce. Trzeba to zmienić. Jutro wpłacimy pieniądze do banku.

Tymczasem ojciec Beitz zgodził się na jajka. Ale wyłącznie jajka i nic więcej.

- To śmieszne - oznajmiła Freda, wyraźnie zirytowana.

- Nikt nie rozmnoży nam chleba i ryb.

Pastor rozejrzał się wokół siebie z niezachwianą wiarą.

- Pan Bóg nam dopomoże. Wspomniałaś coś o rybach? Przecież w tej rzece jest mnóstwo ryb. Widziałem, jak skaczą.

Jakob podał listę sklepikarzowi.

- Ja zapłacę - powiedział cicho, lecz pastor go usłyszał.

- Jeśli zapłacisz, to z własnych pieniędzy - warknął. Jakob wziął go pod ramię i wyprowadził na ulicę.

75

- Pastorze, pańskim obowiązkiem jest troska o sprawy duchowe. Nasze panie też mają swoje obowiązki. Będzie im bardzo trudno w tych prymitywnych warunkach, więc proszę, niech im pan nie przeszkadza.

- Niech robią, co chcą, ale ja nie mam zamiaru za to płacić.

Jakob westchnął ciężko. Wspólny fundusz wynosił około dwustu funtów. Owszem, nie była to suma imponująca przy tej wielkości wspólnoty, ale bez przesady. Beitz stracił kontakt z rzeczywistością. Nie mogą rozrzucać pieniędzy na prawo i lewo, trzeba zacząć je zarabiać, ale żeby zaczynać od głodzenia ludzi?

- Ja kupię to co niezbędne - powtórzył z naciskiem. - A pastor zwróci mi później pieniądze. Nie będziemy dłużej rozmawiać o tej sprawie.

Beitz wzruszył ramionami i odszedł rozgniewany. Kiedy Freda zobaczyła, że Jakob reguluje rachunek, dostała ataku wściekłości.

- Tak nie wolno! Nie mamy aż tyle. Idź i zażądaj, żeby oddał ci pieniądze już, teraz!

- Przecież nie mogę trzasnąć go w łeb i odebrać sakiewki. To stary człowiek zagubiony w nowej rzeczywistości. Daj mu spokój. Rano spróbuję skłonić go, żeby poszedł do banku. Może mi się uda?

- Uda ci się, uda. Już ja się o to postaram - westchnęła Freda. - Zdaje się, że powinniśmy podziękować Bogu za to, że w tej dziurze w ogóle jest bank.

Kobiety zadbały, żeby zakupić wystarczająco wiele jedzenia, by zacząć robić zapasy, więc śniadanie następnego dnia było prawdziwą przyjemnością, zwłaszcza że ranek był piękny, jedzenie świeże, kolejka po nie niezbyt długa.

Pan Pimbley przyniósł im skrzynkę ananasów i bananów. Powiedział, że to prezent od jego żony.

- Kiedy już dojrzeją, nie możemy ich sprzedać, więc proszę bardzo, jedzcie na zdrowie. Rzeźnik przysyła wam steki. W sam raz na śniadanie.

Steki na śniadanie! Kobiety gotowały jajka. Niezbyt chętnie patrzyły, jak sklepikarz kładzie na piecu jeden wielki kawałek wołowiny po drugim. Freda próbowała go nawet powstrzymać,

76

ale Rolf Kleinschmidt okazał się dla niej za szybki. Zaczął pomagać panu Pimbleyowi raczej, niż ratować doskonałe mięso na lepszą okazję.

- Rzeźnik nie miał kotletów - usprawiedliwił się Pimbley. Rolf trącał widelcem syczące steki.

- Rozumiem - uspokoił tego sympatycznego człowieka.

- Więc na śniadanie jadacie raczej kotlety?

Sklepikarz spojrział na niego zdziwiony.

- Kotlety? No, nie wiem. Jemy, co mamy: kotlety, steki, bekon, parówki. Z jajkami. - Nagle uśmiechnął się wesoło.

- Najlepiej odrobinę wszystkiego, prawda?

Rolf też się uśmiechał. Jeśli tak tu ludzie żywili się zaraz po wstaniu z łóżka, to jemu bynajmniej to nie przeszkadzało. Miał tylko nadzieję, że mięso jest tanie. Ośmielił się nawet spytać o to, choć w nader delikatny sposób.

- Mam wrażenie, że mięsa tu nie brakuje?

- Nie brakuje, synu. Żyjemy w krainie bydła i owiec.

Jakob był zachwycony tym nieoczekiwanie sutym posiłkiem i zaskoczony przekazywanymi szeptem z ust do ust informacjami, że tak wielkie ilości soczystego mięsa są normalnymi daniami śniadaniowymi, a przynajmniej normalnymi dla tego zapadłego zakątka świata.

Po jedzeniu podszedł do pastora Beitza siedzącego na odwróconej skrzynce z dala od członków swojej trzódki.

- Śniadanie smakowało, wielebny? - zagaił.
- Zjadłem jajko na twardo.
- Może przynieść ojcu coś jeszcze?
- Nie.
- Herbaty? Panie zaparzyły herbatę.
- Bóg dał nam wodę, więc będę pił wodę.
- Pastorze, już lepiej odżywiałeś się na statku, więc wiem, że masz zdrowy apetyt.
- Na statku karmili nas bezpłatnie.
- Wcale nie. Zapłaciłeś za posiłki, kupując bilet.
- Nie ja. Lepiej uważaj, Jakobie. Kiedy te kobiety skończą swoje szaleństwa, nic nam nie zostanie.
- Niepotrzebnie się frasujesz, ojcze. Wszystko będzie dobrze. Klimat jest taki, jakiego zawsze pragnęliśmy... błękitne niebo bez chmurki... a przecież to jesień.

77

- Wierzysz we wszystko, co ci mówią? Jakież z ciebie głupiec, Jakobie! Przecież mamy lato.
  - Zostawmy ten temat. Nie wylądowaliśmy na pustyni. Teraz pozostaje nam tylko obejrzeć naszą ziemię.
- Jakob czuł, jak na tę myśl wręcz puchnie z dumy. Nasza ziemia! Miejsce, z którego zacząć można wszystko. Pełnych szesnaście hektarów należących tylko do nich.
- Masz wszystkie potrzebne papiery, prawda, ojcze? Sądzę, że powinniśmy pokazać je temu sklepikarzowi, panu Pimbleyowi, który już udzielił nam wszelkiej możliwej pomocy. Jestem pewien, że chętnie

wskaże nam naszą ziemię.

Te słowa ożywiły pastora. Poderwał się na równe nogi, popędził do baraku i gorączkowo zebrał tytuły własności.

Jim Pimbley uważnie przestudiował dokumenty wręczone mu przez pastora: tytuły własności, pokwitowanie z Agencji Ziemskiej i Rolnej Toma Taylora, mapy terenu i poszczególnych sekcji.

- Zdaje się, że skala tych map jest trochę nie taka - rzekł po dłuższym namyśle. - Tak na oko powiedziałbym, że wasza ziemia leży nad rzeką, ale kawałek drogi w głąb lądu.

- Jak daleko? - spytał Jakob.

- Jakieś pięć kilometrów. W sam raz na spacer. Mamy tu zaznaczony strumyk Ferny, płynie przez wasze działki, więc jeśli damy na niego baczenie, nie powinniśmy mieć kłopotów. Zaraz podjadę bryczką. Pojedziemy i zobaczymy, jak to naprawdę wygląda.

- Już? Teraz?

- Jasne. Pani Pimbley dopilnuje sklepu. I tak nie ma ruchu. Do tej pory nie jechałem dalej Drogą Taylora, jak tu jest napisane, na tej mapie. My ją nazywamy Szlakiem Taylora. I nie miałem pojęcia, że ktoś kupił tam jakąś ziemię.

Pastor Beitz był tak podniecony, że aż drżał na całym ciele.

- Chwileczkę. Tylko pobiegnę po płaszcz.

- Nie. Proszę zostać - wtrącił Jakob. - Przyniosę go ojcu, choć nie sądzę, żeby był potrzebny.

Ale pastor popędził przed siebie, wołając głośno, żeby nie odjeżdżać bez niego.

- Jakbyśmy śmieli! - powiedział Jakob, ale uśmiech zamarł mu na

wargach, gdy zdał sobie sprawę, że Beitz zaalarmował

78

całą wspólnotę. Ludzie właśnie wybiegali z baraku, pędzili przez ulicę, mężczyźni w pośpiechu nakładali kapelusze, kobiety otulały się szalami.

- Jedziemy obejrzeć naszą ziemię? - spytała Freda, która znalazła się na miejscu jako jedna z pierwszych.

- Nie. Ten uprzejmy człowiek zgodził się zabrać ojca Beitz'a i mnie.

Spróbujemy dopiero ją znaleźć. Mapa nie jest zbyt dokładna.

Ich nowy przyjaciel Jim podjechał bryczką pod frontowe wejście do sklepu. Freda natychmiast wyrwała się z pytaniem:

- Czyja też mogłabym pojechać? Bardzo proszę!

- Jasne - odparł swobodnie. - Jest jeszcze jedno miejsce. Freda wskoczyła do powoziku. Rozsiadła się wygodnie

w oczekiwaniu na męża i pastora, nim w ogóle zdali sobie sprawę, że jedzie z nimi. Jakob zwrócił się do reszty grupy.

- Dzięki temu panu mamy transport - powiedział głośno. - Jedziemy poszukać naszej działki. Gdy tylko ją znajdziemy, wrócimy i wszystko wam opowiemy.

Walther także wydawał się bardzo podniecony. Oczy mu płonęły.

- Przecież umiemy chodzić. Pójdziemy za wami.

- Ten płaski zarośnięty teren to istny labirynt - tłumaczył mu Jakob. - Możecie zabłądzić. Zmarnujemy mnóstwo czasu.

- Zostańcie tu - wtrącił pastor Beitz. - Bądźcie cierpliwi. Znajdziemy działkę i jutro was tam poprowadzę. Jutro przeniesiemy się na naszą ziemię! Chwała niech będzie Panu!

Jego słowa powitał krótki aplauz i niechętna zgoda. Ludzie odeszli powoli.

Jim pochylił się i zwrócił do Jakoba siedzącego obok (pastor i Freda zajęli miejsca z tyłu).

- Nie byłbym tego taki pewien - powiedział.
- Czego? - zdziwił się Jakob.
- Szybkiego przeniesienia się na to wasze miejsce. Część tej ziemi to busz.
- Bardzo przepraszam, ale co to znaczy?

Jim uderzył konie lejcami. Bryczka potoczyła się ulicą. Skręciła za rogiem, kierując się w głąb lądu.

- Busz? Jak by to wytłumaczyć... Najprościej mówiąc to zalesiony i zakrzaczony teren z mnóstwem różnych nikomu niepotrzebnych rzeczy.
- Wygląda mi na to, że cały ten kraj to busz.

79

- Nie całkiem. Miasto stoi na nadrzecznej równinie. Okolice nietrudno przystosować do uprawy. Dalej mamy ziemie wykupione już dawno. Doskonałe pastwiska.

- A ja nadal nie rozumiem, o czym pan mówi.
- Nic dziwnego. Zazwyczaj busz to po prostu teren zarośnięty krzakami i drzewami. Czyli nic miłego. Ale tu wokół jest trochę ziemi, którą nazywamy Buszem pisanym od dużej litery. Prawdziwa nieprzebyta dżungla. Mam nadzieję, że nie kupiliście jej kawałka, chociaż słyszałem, że Tom Taylor sprzedał kupę takich działek, nim ludzie zorientowali się, co robi. No i wygnali go z miasta. Dwóch oszukanych spaliło jego biuro. Jakob nie przejął się nazbyt tą informacją. Wiedział, że dziewiczą ziemię trzeba będzie oczyścić przed rozpoczęciem uprawy. Busz był tylko bardziej zarośnięty i bardziej kłopotliwy niż otwarty las eukaliptusów,

przez który właśnie przejeżdżali. Z daleka wyglądał wprawdzie na gęsty, mroczny, ale kiedy podjechali bliżej, zauważył, że drzewa stoją daleko od siebie i mają smukłe pnie, jakby od pierwszej chwili parły ku niebu.

Freda krzyknęła. Jim ściągnął lejce, koń zatrzymał się posłusznie.

- Co się stało?

- Kangur! Tam, patrzcie! Dwa kangury... nie, trzy! Och, pastorze, czy widział pan kiedyś coś tak cudownego?

Chwyciła duchownego za ramię. Beitz był tak samo zachwycony jak ona.

- Są chyba oswojone. Takie piękne stworzenia. Można je pogłaskać? - spytał.

Jim odetchnął głośno.

- Dobry Boże! Ale mnie przestraszyła! Już myślałem, że wypadła z bryczki. - Cmoknął na konia, który ruszył przed siebie. - A jeśli chodzi o pańskie pytanie, ojczy, to nie, nie są oswojone. Jeśli się do nich zbliżyć, uciekają.

- Aaa...

Pastor nie był w stanie powiedzieć nic więcej. Cudowne wydało mu się to, że znalazł się tak blisko tych pięknych stworzeń o sarnich oczach. Jim zlitował się nad nim.

- Małe kangurki, nazywamy je szczeniakami, można wychować na dobre domowe zwierzątko, ojczy.

- O mój Boże - powtórzył Beitz, nadal oczarowany.

80

Jim się nie mylił. Droga Taylora rzeczywiście była zaledwie ścieżką, w dodatku wąską wyboistą ścieżką, na jednym z drzew pozostał wszakże ślad nacięcia. Przystanął, żeby lepiej się przyjrzeć. Depcząc wysoką trawę

podszedł do drzewa, obejrzał pień.

- Działka pierwsza! - krzyknął. - Widzicie tę strzałkę? Wskazuje drogę przed nami. Wy macie działki od siódmej do czternastej. Kawalek drogi stąd, jeśli w ogóle jesteśmy na właściwym miejscu. Wygląda na to, że kupiliście połowę posiadłości Toma, Banjoor. - Obrócił się. Zauważył leżącą na ziemi tabliczkę, podniósł ją i przyjrzał się jej bliżej. - Zaraz, chwila! Jesteśmy na miejscu. Posiadłość Banjoor. Tak, zgadza się, działki Taylora. Był z niego dobry specjalista od budowania zamków na piasku. Na razie nie wygląda to aż tak źle, ale teraz wjeżdżamy w głąb Buszu.

- Więc musimy podążać tą drogą. - Pastor Beitz wydawał się bezgranicznie szczęśliwy. Nie pojmował znaczenia słów sklepikarza, a Jakob nie miał ochoty mu ich wyjaśniać. Nie teraz. Nie w tej chwili. Nadzieja umiera ostatnia.

- Szukamy działki numer siedem - powiedział tylko.

- Musimy uważać na oznaczenia na drzewach.

- Albo na kołki przy drodze - dodał Jim.

Freda rozejrzała się. Zapewne wypatrywała kangurów.

- Co znaczy Banjoor? - spytała Jima.

- To po aborygeńsku. Tutejsi czarni pochodzą z plemienia Taribelang. Ich klany czy rodziny mają własne nazwy. Banjoor to jedna z nich, ma pani odpowiedź na swoje pytanie. Inna to Bunda, stąd nazwa miasteczka.

- Bardzo panu dziękuję - odparła godnie Freda. - O, spójrzcie, na tamtym drzewie też jest znak!

- Oczywiście. To numer drugi.

Jechali powoli; wypatrywali oznaczeń na drzewach, a Jim manewrował powozikiem, omijając górki i dołki. Nagle dróżka się skończyła. Jakob nie

potrzebował wskazówek. Serce ciążyło mu w piersi; wiedział, że na drzewie przed nimi wisi oznaczenie działki numer siedem. Dwie strzałki wskazywały na lewo i na prawo. To była ich ziemia. Mroczna nieprzenikniona dżungla.

- No to jesteśmy na miejscu - powiedział Jim z żalem.

- Busz. Żałuję, że nie mogłem zawieźć was w lepsze miejsce. Ciągłe mnóstwo ich w okolicy.

81

Wyszli z powoziku. Przeszli wzdłuż działek, jakby szukali bramy w tej nieprzerwanej ścianie zieleni, jakiegoś wejścia do środka. Jakob przyglądał się buszowi okiem farmera. Stare, obrośnięte bluszczem drzewa stały zanurzone w gęstym poszyciu. Młodsze drzewa wyrastały z kłębowiska krzaków, tworząc kolejną barierę, a krzaki same walczyły ze sobą o przeżycie. Potrząsnął głową. Spojrzał na Jima.

- Ciężko będzie to oczyścić - westchnął.

- Cholernie ciężko, przyjacielu. Popracujecie z rok, żeby w ogóle postawić tu stopę.

Panowała niemal absolutna cisza, wiał tylko słaby wiaterek. Ojciec Beitz, który wszedł na kilka kroków w busz, krzyknął nagle:

- Strumień! Słyszę strumień! Musimy go znaleźć. Muszę go zobaczyć.

Nim ktokolwiek zdołał go zatrzymać, skoczył w las i niemal natychmiast ugrzązł wśród kolczastych zarośli. Uwolniony z tej pułapki nie stracił nic ze swego entuzjazmu. Musiał zobaczyć strumień oznaczony na mapie nazwą Ferny.

Jim podszedł do powoziku. Pod kozłem miał duże pudło; wyjął z niego siekierę i maczetę. Wraz z Jakobem zaczął wyrąbywać drogę w gęstwinie

przez paprocie i wysokie trawy. Potykali się często na niewidocznych nierównościach terenu, kamieniach i pniach ukrytych w gęstym poszyciu. Pochylali się przechodząc pod grubymi gałęziami, przeklinali cicho, żeby nie urazić uszu pastora idącego za nimi beztrosko, jakby przekraczał Morze Czerwone, lecz wreszcie udało im się dotrzeć do potoczku niemal całkowicie ukrytego wśród paproci, krystalicznie czystego, który wypływał ze źródła pośród kamieni i tworząc przy nich płytkie jeziorko, wylewał się z niego wąskim nurtem.

Beitz był wniebowzięty.

- Jak tu cudownie - rozculił się. - Czyż nie sprzyja nam szczęście? Mamy własną wodę. Napijcie się i podziękujcie za ten dar Panu. Jutro wszyscy się tu przeniesiemy.

- Tu to znaczy gdzie? - spytał Jakob. - Przecież tu nie ma nawet dość miejsca, żeby postawić krzesło!

- Więc póki nie oczyścimy działek, będziemy siedzieć na drodze.

- Ojczy, nawet tu nie wszyscy znajdą sobie miejsce. Musimy oczyścić ziemię do uprawy. Tak szybko, jak to tylko możliwe.

82

Do produkcji żywności. Jako pastwisko dla zwierząt. W tej chwili ta ziemia się do tego nie nadaje!

- Będziecie potrzebowali armii, żeby ją oczyścić - wtrącił Jim.

- Mamy armię. - Pastor Beitz pozostał niezachwiany. - Jest nas wielu.

Mamy wiarę. Bóg nam dopomoże.

Podczas drogi powrotnej do miasteczka Jim milczał. Widać było, że nie ma zamiaru wtrącać się do sporów przybyszy. Zachwycona Freda tuliła do piersi bukiet polnych kwiatów zebranych przy drodze. Rozglądała się

dookoła z ciekawością turystki zachwyconej obrazem egzotycznego świata. Chłoneła wrażenia, wszystkie wrażenia. Pastor otworzył modlitewnik.

- Jak tu jasno - powiedziała. - Światło...

Jakob skinął głową. Rzeczywiście dzień był wyjątkowo, niemal przeraźliwie jasny. Pomyślał kwaśno, że w tym obcym kraju niebo jest oślepiająco jasne, a słońce błyszczy przesadnie do tego stopnia, że człowiek nie może się skoncentrować.

Dziwne głucho pohukiwanie przypominające śmiech szaleńca zaskoczyło go tak, że aż drgnął. Busz był do tej pory taki cichy.

- A co to było, u diabła?

- Wiem! - krzyknęła Freda. - To zimorodek! Prawda, panie Pimbley?

- Oczywiście, pani Meissner.

- Cudownie! A gdzie jest? Widzi go pan?

- Tego nie, ale w okolicy jest ich mnóstwo. Zazwyczaj bardzo łatwo je zauważyć.

Jakob pragnął, żeby wreszcie przestali gadać; Jim obracał się przez ramię, by prowadzić rozmowę. To ona powinna usiąść z przodu. On musiał przede wszystkim szybko myśleć. Szybko i jasno. Jak każdy z pozostałych i on zamierzał dorzucić swój wkład do małej wspólnotowej farmy powstałej na wspólnej ziemi, a potem jeśli okoliczności na to pozwolą, pójść na własne, włączyć się w życie większej społeczności. Ale ta ziemia... Nawet gdyby zdecydowali się zacząć od pół hektara, zabrałoby to mnóstwo czasu. Najpierw trzeba wypalić i oczyścić to straszne poszycie, potem wyciąć mniejsze drzewa, żeby zrobić trochę miejsca, potem te stare wielkie potwory, a i to nie koniec. Orać wokół rozrośniętych korzeni czy

tracić czas na wyciąganie ich i palenie?

83

No, przynajmniej będą mieli mnóstwo dobrego drewna. Posłuży jako budulec albo pójdzie na sprzedaż do tartaków. Zarobią parę groszy.

Z drugiej strony zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że powinien od razu znaleźć sobie miejsce w tutejszym społeczeństwie, nie czekać, aż ich ziemia do czegoś się wreszcie nada, choćby na siedlisko. Ciągłe mają pieniądze, mogą przecież kupić przyzwoitą działkę póki czas, póki ceny nie wzrosną, przekraczając ich możliwości.

No tak, skinął głową, przytakując własnym myślom. No i co? Stracisz wkład we wspólną ziemię.

Wszystkich, których było na to stać, poproszono, żeby dołożyli się do wspólnej kiesy. Jakob uczynił to z własnej woli. Nie żałował podjętej decyzji, ponieważ kiedyś, nie od razu zapewne, ale któregoś dnia miał na ich ziemi powstać luterański zbór i szkoła. Ale im pieniądze szybko się skończą... jeśli we trójkę nie zdecydują się na samodzielność.

Co wówczas powiedzą inni? Że Meissnerowie są nielojalni? Egoistyczni? Spojrzał na Fredę; zauważył, że dostrzegła jego lęk, zrozumiała, czego się obawia, i ją też to poruszyło. Była kobietą skromną, oszczędną, z pewnością zaniepokoiłaby ją perspektywa tak wczesnego usamodzielnienia się, rezygnacji z udziałów we wspólnocie, no i jak przypuszczał także rzucenia się na głęboką wodę. W końcu wypływali z Hamburga z pomysłem na życie. Wspólnota i wspólna ziemia zapewniały im bezpieczeństwo, wygodę i finansowe wsparcie w pierwszych najtrudniejszych dniach życia na nowym kontynencie. Teraz jednak zaczął powątpiewać w finansowy sens przedsięwzięcia. Już wcześniej pojawiły

się wątpliwości: ziemię kupili tanio, tak tanio, że jej wartość stała pod znakiem zapytania, ale nawet w najgorszych snach nie przewidział czegoś podobnego do tego pierwotnego lasu. W pamięci nadal miał ogromne drzewa obrośnięte pnączami, drzewa jak pomarszczeni starcy patrzący z głębi zielonego oceanu, brodaci szarymi liśćmi zarastającymi ich twarze, bezczelne, wręcz zachęcające ludzi, by weszli pomiędzy nie.

Pastor Beitz ocknął się nagle.

- Krajowcy. Czy oni ośmielą się wkroczyć do lasu?
- Ma pan na myśli waszą ziemię? Busz? - spytał Jim.
- Oczywiście.

84

- Przypuszczam, że tak. Ale nie macie się czym martwić. Nie interesują się trudną ziemią, zupełnie jak my. Najwyżej na niej polują.
- Ha! Polowanie! To coś nowego. Polują dla mięsa?
- Tak. Na węże, jaszczurki, dzikie indyki... Zbierają korzenie, owoce. Niewiarygodne, co oni potrafią wygrzebać...

Pastor klasnął w ręce z zachwytem.

- I co na to powiesz, Jakobie? Bóg już zapewnił nam byt. Musimy nauczyć się polować.

Jakob dostrzegł uśmiech na twarzy Jima, mimo iż ich przyjaciel szybko się odwrócił. On sam też się uśmiechnął, nie tyle na słowa pastora, ile na widok twarzy Fredy, białej jak kreda.

- Źle się czujesz, kochanie? - spytał, ale żona odwróciła się od niego.

Uniosła głowę dumnie, nie chciała przyznać

- jeszcze nie - jakim wstrząsem była dla niej proponowana przez pastora naturalna dieta. Profil miała uroczy, Jakob zawsze go podziwiał. Zrobiło

mu się przykro, że z niej zakpił, w końcu sądząc po tym, co widzieli dotychczas, czekały ich ciężkie czasy.

Ciężkie czasy na farmie, w domu: niedostatek środków do życia, niekończące się rodzinne dysputy omal nie zniszczyły ich małżeństwa. Teraz, kiedy uwolnili się od rodzinnych wpływów i zależności, mogli wreszcie sami decydować, co zrobią, ale decyzję musieli podejmować bardzo ostrożnie. Wydawało się jasne, że będą musieli przedyskutować sprawę otwarcie i - co nim wstrząsnęło - w tej dyskusji powinien wziąć udział także Karl. Osiemnastoletni, zaczynający nowe życie w nowym kraju, miał prawo wypowiedzieć swą opinię.

Wjechali na główną ulicę sennego miasteczka: kilka nędznych budynków, leniwe konie przywiązane do poręczy po obu stronach szerokiej drogi, prawie nikogo w okolicy. Jakob potrząsnął głową w zdumieniu.

- Nasz pastor chyba oszalał - powiedział do siebie.

- Przecież nic tu nie ma i nigdy nie będzie. Powinniśmy wynieść się stąd, póki możemy. Wrócić do Brisbane. To jest przynajmniej cywilizowane miejsce.

W ten pogodny prześliczny wieczór poszli nad brzeg rzeki. I wówczas Jakob przede wszystkim zadał żonie i synowi pytanie, które przedtem zadawał sam sobie.

85

Freda była bardzo zadowolona. Udało się jej przekonać starego pastora do wpłacenia pieniędzy do banku, małego drewnianego budynku, oddziału Banku Nowej Południowej Walii. Beitz nie zrobił tego z entuzjazmem, ale zdołała przeciągnąć na swą stronę kilka kobiet, które bardzo jej pomogły. Z ich wyboru upoważnienie do dysponowania kontem dostał także Walther

Badke. Następnie stanowczo zażądała zwrotu należności za kupione w sklepie jedzenie, a Walther dopilnował, by je natychmiast dostali.

Kiedy Jim zaproponował Niemcom otwarcie rachunku w sklepie, ojciec Beitz zgodził się na to z zachwytem, powiedział nawet, że to bardzo hojna propozycja. Walther spojrzał na Fredę bezradnie.

- Czy on w ogóle rozumie, o czym mowa? - spytał cicho.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek miał do czynienia z pieniędzmi, Waltherze.

Jestem pewna, że otwarcie rachunku traktuje jako dar dla naszej sprawy.

- Dysponowanie kontem - westchnął Walther - z tym nie ma żartów.

Wcale nie wiem, czy chcę brać na siebie taką odpowiedzialność.

- Poradzisz sobie. Jeśli będziesz potrzebował pomocy, zwróć się do dyrektora oddziału, pana Rawlinsa. Wydaje się bardzo sympatyczny.

- On tak. Ale cały ten bank wydaje się dziwny. Uważasz, że jest prawdziwy?

Freda śmiała się opowiadając tę historię.

- Biedny Walther! Nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak się bał, pewien, że zachęca nas do przestępstwa, do przekazania pieniędzy szarlatanowi, a nawet w tym pomaga.

- A ja wcale się temu nie dziwię - wtrącił Karl. - Przecież ten bank wcale nie wygląda jak bank. To zaledwie nędzna szopa. Zresztą całe miasteczko jest jakieś niesamowite.

- Ejże! Nie podoba ci się? - spytała Freda. Zdaniem Jakoba niezbyt mądrze, ale... odpowiedź naprawdę go zaskoczyła.

- Ależ podoba! To wszystko jest strasznie ciekawe. Ale musimy mieć własne konie, ojczy. Kował mi to powiedział. Twierdzi, że tu nikt nie chodzi na piechotę. Wszędzie jest za daleko. To dlatego w miasteczku nie

widuje się prawie nikogo. Mieszkający w okolicy ludzie przyjeżdżają tu od czasu do czasu, ale rzadko. Kupują tyle, żeby wystarczyło im na całe miesiące.

86

Ostatnio przyjechało wielu konnych. Powiedział, że to ranczerzy i pastuchy, chętni wydać pieniądze w pubie. W każdym razie wyglądali dziko.

- Jesteś prawdziwą kopalnią informacji - powiedział synowi Jakob. - Będziesz nam potrzebny. Miej oczy otwarte. Ale teraz jestem zmęczony i szczerze mówiąc gubię się w tym wszystkim. Rano musimy porozmawiać, zdecydować, co powinniśmy zrobić w tej sytuacji.

Ale rano, gdy wszyscy się pakowali, Meissnerowie nie byli w stanie podjąć decyzji. Karl rozumował w ten sposób: w przeciwieństwie do tego co pastor powiedział swej trzódce, ich ziemia niewarta była splunięcia.

Gniewało go, że ojciec nie zdobył się na odwagę, nie zaprzeczył publicznie słowom duchownego, dopuścił do tego, że ludzie plotkowali, gadali jeden przez drugiego, pakowali się i z radością myśleli o przenosinach zaraz następnego ranka. Matka twierdziła jednak, że lepiej, żeby wszyscy zobaczyli tę ziemię na własne oczy, że nie warto przekonywać ich w tę czy jakąkolwiek inną stronę.

- Czyli w jaką? - spytał Karl. - Jaką?

To ich zbiło z tropu. Oni i być może jeszcze parę osób dysponowali środkami, by zacząć na nowo, choć były to minimalne środki, jednakże większość nie miała nic. Tamci skazani byli na kaprysy pastora. A wyglądało na to, że im szybciej wezmą w garść siekiery, tym lepiej.

- Tak sobie myślałem... - powiedział z wahaniem Jakob. - No... myślałem,

że powinniśmy wrócić do Brisbane.

Freda spojrzała na niego zdumiona i przerażona.

- Jesteśmy farmerami, nie mieszczuchami. Co mamy robić w mieście?

- Dla mnie to Brisbane nie wyglądało na miasto - wtrącił Karl.

Jakob z namysłem ssał fajkę.

- Wiem. Ale tam też możemy znaleźć kawałek ziemi. Jego żona pozostała nieugięta.

- Nie - zaproponowała. - Nie zgodzę się, żebyśmy wrócili na jakąś małą farmę. Nie ma mowy. Sam mówiłeś, że im dalej od cywilizacji, tym ziemia tańsza.

- Wygląda na to, że dalej już być nie można - powiedział Karl.

87

Nie skomentowała jego kpiny.

- Jakobie, jak mi się zdaje, mówiłeś, że jesteśmy winni Karlowi nowy początek. Nie przysłużymy mu się, za resztkę pieniędzy kupując małą drogą działkę. Mówiłeś, że za grosze można tu kupić tyle ziemi, że w kraju byłaby to posiadłość. Więc kup. Nie zrobimy ani kroku wstecz.

Karl przysłuchiwał się ich sporowi. Był zachwycony tematem, rodzice naprawdę poważnie traktowali jego przyszłość, więc pewnie już wkrótce dostanie konia. Ojciec zwrócił się bezpośrednio do niego.

- Wygląda na to, że nie możemy porozumieć się co do naszego pierwszego kroku. Jeśli pozostaniemy ze wszystkimi w posiadłości Banjoor...

- Gdzie to jest?

- Tak się nazywa nasza ziemia. W każdym razie jeśli pozostaniemy z grupą, czekają nas długie trudne lata. Jeśli odjedziemy, stracimy udziały

we wspólnej ziemi i wspólnym funduszu. Samo w sobie jest to krokiem wstecz.

- O co ci chodzi? O trudności?

- O prymityw - powiedziała Freda. - Będziemy mieszkali przy drodze. Jak cyganie.

- Tato, a kiedy kupimy ziemię, będziemy mieli dom?

- Nie - odparł Jakob z namysłem. - Nas też czeka nowy początek. Dach nad głową zdołamy postawić, ale najtańszy. Nie stać nas na prawdziwy dom. Jeszcze nie teraz.

- Ale będzie nasz własny - wtrąciła Freda. - Nie będziemy go dzielić z dwudziestoma trzema obcymi.

- Mamy namiot - przypomniał im Karl. - Tata i ja kupiliśmy go od wojska. Możemy w nim mieszkać. Nie dzieląc się z nikim.

- Najważniejszym problemem jest przestrzeń - powiedział Jakob. - Busz, jak go tu nazywają, to po prostu gęsty las. Dżungla. W życiu nie widziałem niczego podobnego. Ziemia musi być żyzna, skoro rośliny tak się mnożą; Jim twierdzi, że mamy tu raczej rzadkie lasy i otwarte pastwiska. Ale na razie na naszej ziemi po prostu nie da się mieszkać.

- No to o co chodzi? - zdziwił się Karl. - Nie powinniśmy jechać na tę wspólną głupią działkę, jeśli jest tam aż tak źle, więc po prostu powiedzcie pastorowi, że albo zwróci nam pieniądze, albo go zaskarżymy.

88

Matka spojrzała na niego oniemiała.

- Nawet nam to do głowy nie przyszło! Karl, zrozum, mamy zobowiązania w stosunku do Kościoła. Czemu mielibyśmy zrobić coś takiego?

- Bo sprzedano wam kota w worku. Macie prawo domagać się zwrotu zainwestowanych pieniędzy.

- Oho! Mam syna prawnika! - uśmiechnął się Jakob. - I kogo niby miałbym skarżyć? Pastora? Niewidzialnego agenta? Nie rozumiem, co moglibyśmy wygrać tak czy inaczej. Moim zdaniem najlepiej będzie, jeśli zaczniemy się pakować. Chyba powinniśmy iść z innymi, przynajmniej na razie.

Karl nie był zachwycony.

- Jakie to dla was typowe! Krążycie wokół tematu, nie możecie przestać. Jakim cudem w ogóle podjęliście decyzję, żeby wyjechać z kraju? Pytacie mnie o opinię, a jednocześnie całkiem ją ignorujecie!

- Nie, nie ignorujemy - uspokoił go Jakob. - Nikogo nie będziemy skarżyć, to po prostu niepraktyczne, ale jeśli masz inne propozycje...

- Mam. Potrzebujemy konia. Sam mówiłeś, że do tej naszej ziemi jest dobre pięć kilometrów. Jak możemy znaleźć jakąś okazję w okolicy, jeśli nie będziemy w stanie przenosić się z miejsca na miejsce? To przecież... Nie dopowiedział zdania, gdy ojciec się z nim zgodził.

- Jasne. Koń jest w tej chwili najważniejszy.

Freda rozejrzała się dookoła. Wielki konny wóz wynajęty do przewiezienia bagaży był już niemal gotów do drogi, choć ludzie ciągle jeszcze ładowali nań różne drobiazgi. Rozradowane dzieci nie mogły doczekać się przejażdżki. Niektórzy co bardziej niecierpliwi szli już na proponowane miejsce tymczasowego obozowiska, które postanowiono rozbić przy końcu Drogi Taylora. Szli szybko różnym krokiem, pewni siebie, radośni: wreszcie będą mieć własny dom.

Dzień był przepiękny. I dobrze, pomyślała. Czekałszy ich rozczarowania i

niewygody zapewne łatwiej będzie znieść pod łagodnym błękitem nieba, w promieniach słońca. A jeśli chodzi o konia... dobrze, świetnie, ale jeszcze nie teraz. Wydatki muszą poczekać, póki rodzina nie oceni realistycznie swej sytuacji. Zobaczymy, jak zdecydują inni. Wyobrażała sobie jednego konia wśród tej masy ludzi. Wszyscy będą chcieli go pożyczać,

89

biedne zwierzę mogłoby tego nie wytrzymać, a odmówić byłoby nie po sąsiedzku. Jakob i Karl po prostu będą musieli zaczekać.

Meissnerowie wyszli na Drogę Taylora niedaleko za główną grupą prowadzoną przez ojca Beitza. Jej członkowie maszerowali śpiewając głośno, radośnie. Freda uśmiechnęła się.

- My, dzieci Boże... też mi coś. Już raczej pijane dzieci we mgle. Od czego zaczynamy, Jakobie?

- Powiedziałbym, że najpierw rozbijemy namioty, a potem oczyścimy ścieżkę do strumienia. Woda jest najważniejsza. Popatrz, kangury! - zwrócił się do Karla. - Zachowują się jak oswojone. W tym kraju nie będą nam przynajmniej zagrażać dzikie zwierzęta. Tu ich nie ma.

- Z wyjątkiem węży - wtrąciła Freda. - Wolałabym, żebyś mi o nich nie przypominał.

- I krokodyli - roześmiał się Karl.

Pieśń umilkła dość gwałtownie. Ludzie, ich przyjaciele, rozchodzili się na boki, przyglądali nieprzerwanej ścianie zieleni. Woźnica stał przy swym koniu, spokojnie paląc fajkę. Widząc podchodzącego Jakoba potrząsnął głową.

- To wasza ziemia? - spytał.

- Tak.

- Twoi przyjaciele nie wyglądają na zachwyconych.

Było to określenie wyjątkowo łagodne, a reakcji obecnych nie należało się dziwić: łzom, zdumieniu, wściekłości, wreszcie agresji skierowanej przeciw staremu duchownemu. Pastor bronił się, jak potrafił, klócił się z mężczyznami i w końcu Jakob z Waltherem musieli łagodzić nastroje.

- Wiedziałaś o tym! - napadła na Fredę Eva Zimmerman. - Wiedziałaś i nawet nas nie ostrzegłaś!

- Przecież musieliśmy przyjść tu wszyscy choćby po to, żeby ocenić sytuację. Poza tym i tak nie powstrzymałybyście ciekawości. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać. Zobaczymy, co zrobią mężczyźni.

Walther i Lucas próbowali jakoś przedrzeć się przez dzikie jeżyny, ale szybko dali sobie z tym spokój.

- Tak jest wszędzie? - krzyknął Walther do woźnicy, człowieka miejscowego.

- A owszem, przyjacielu. To busz.

90

- Więc mamy szesnaście hektarów buszu - stwierdził Walther gorzko. - Ojciec Beitz mówi, że granice wytyczone są oznakowanymi drzewami i kołkami. Jeśli o mnie chodzi, mam zamiar obejść działkę. Dookoła. Może znajdę coś lepszego niż to. Idziesz ze mną, Jakobie?

- Chyba lepiej, żebym został. - Jakob zerknął znacząco na pastora, którego ciągle otaczali wściekli ludzie. - Weź Karla.

Walther zrozumiał. Zrzucił ciężki plecak, zagwizdał na chłopaka i odszedł wolnym krokiem. Karl niechętnie ruszył za nim. Beitz ciągle pełen

entuzjazmu próbował ożywić członków swej trzódki, stojących ponuro i niepewnie wzdłuż drogi.

- Chodźcie! - krzyczał. - Chodźcie wszyscy! Przyłóżcie się, musimy poruszyć koła. Jakob, weź kilku mężczyzn! Oczyszczcie ścieżkę stąd aż do strumienia. Max, Hans, rozładujcie wóz. Musimy rozbić namioty przed nocą. A wy, panie, czemu tak stoicie? Urządźcie kuchnię!

- A na czym będziemy gotować? - spytała Eva. - Nie mamy pieca.

Wracamy do baraku.

Do rozmowy wtrącił się Paul Wagner, szwagier Rolfa.

- Nie ma potrzeby, poradzimy sobie. Przecież jest tu mnóstwo kamieni. Pozbieram je i przygotuję przyzwoite doły do pieczenia. Bardzo przyzwoite, zobaczycie.

Jakob wziął z wozu siekierę i dołączył do mężczyzn próbujących wytyczyć drogę do strumienia. Potrafił docenić zdrowy rozsądek Paula. Ten mężczyzna rzadko się odzywał, ale nie ulegało wątpliwości, że będzie bardzo użytecznym członkiem społeczności przy wszelkich pracach wymagających siły i sprytu. A takich prac czekało ich mnóstwo. Wszyscy mężczyźni będą musieli się w nie włączyć. Niemniej uderzając siekierą w skórzaste pnącza wiedział, że coś w sprawie tych dołów do pieczenia go niepokoi, nie wiedział tylko co. Był zbyt zajęty, by o tym myśleć.

Przeszło godzinę później tuzin mężczyzn ciął, piłował i odciągał na bok gęste, uparte krzaki. Pocili się w upale i wilgotnym powietrzu klaustrofobicznego otoczenia, a nad ich głowami poprzez gęsto rosnące drzewa prześwitywały płachetki błękitnego nieba. A jednak, uświadomił sobie nagle Jakob, mimo niewygody, zadrapań, potknięć i morderczego wysiłku, wszyscy byli weseli... zapewne dlatego, że po raz pierwszy

pracowali razem i mogli coś osiągnąć. Pokrzykiwali do siebie, żartowali, przeklinali,

91

ostrzegali się nawzajem, rzucali sobie wyzwania, wspierali się i wspomagali wzajemnie, podpierali, gdy któryś potknął się o płataninę korzeni, dziwili się wspólnie fantastycznie żyznej czerwonej ziemi, którą odkrywali przebijając się przez gęste poszycie.

Przez cały dzień pracowali bez wytchnienia, nie oszczędzając się, aż wreszcie udało się im przebić wąską ścieżkę omijającą co poważniejsze przeszkody, prowadzącą do jakże dla nich ważnego strumienia Ferny.

Dopiero gdy skończyli, Jakob nagle uświadomił sobie, co go gnębiło.

Kamienie! Jeśli było ich pełno przy drodze, to musiało być ich pełno także na ich ziemi. Wyrąbывali ścieżkę dla pieszych, więc po prostu omijali głazy, a mniejsze odrzucali na bok, nie nastęrczały trudności takiej jak rośliny, ale... Bliski rozpaczy tylko potrząsnął głową. Nawet kiedy... jeśli... uda się im oczyścić ziemię z roślinności, kamienie na polu pozostaną koszmarem farmera, ukrytym śmiertelnym wrogiem pług.

Nie miał pojęcia, czy ktoś oprócz niego zwrócił na to uwagę. Doskonałej jakości ziemia była z pewnością pochodzenia wulkanicznego, czego dowodem kamienie. Prawdopodobnie przed wiekami wyrzucił je w powietrze gigantyczny wybuch, a teraz leżały właśnie tu, wystawiając na próbę małą grupę pionierów. Być może były nawet w stanie zakończyć poszukiwanie marzeń...

Mimo wszystko pod przewodnictwem Paula obok drogi założono obóz.

Część ludzi zmieściła się w namiotach, inni zamierzali nocować w szałasach skleconych z gałęzi i liści. Walther i Karl wrócili nie przynosząc

żadnych nowych informacji, wyjąwszy być może tę, że strumień Ferny płynął z łąk doskonale nadających się na pastwiska, którym przyglądali się z zazdrością. Ale Walther, głodny jak wilk, bardziej interesował się przygotowaniami do posiłku, więc wraz z Paulem przedzierzgnęli się w kucharzy: dwaj wielcy faceci pochyleni nad garnkami zupy grzejącej się na węglach ogniska. Obok nich kobiety pracowały cicho, robiąc co w ich mocy, by jak najlepiej wykorzystać przywiezione z miasta produkty. Szukały talerzy, sztućców i w ogóle wszystkiego, nie bardzo wiedziały, jak poradzić sobie bez choćby prostego pieca, takiego, jaki był w baraku. Ciężko pracujący mężczyźni rychło stracili pogodę ducha, kiedy zdali sobie sprawę, że są kompletnie nie przygotowani do tego rodzaju walki z naturą. Oczekiwali zielonych pól, ziemi, na

92

której natychmiast będzie można wysiać choćby warzywa, łąk umożliwiających hodowlę paru krów, świń i kur, które - tak to sobie wyobrażali - kupią na miejscu. Spodziewali się gruntów, które mogliby podzielić na mniejsze działki na potrzeby pojedynczych ludzi i rodzin, by mieli trochę prywatności, a zarazem mogli dysponować wspólną kuchnią i terenem przeznaczonym na rozrywki. Nie przewidywali czegoś takiego: koczowania przy drodze w namiotach jak cyganie. Byli skonsternowani, wręcz przerażeni. Co pomyśleliby o nich sąsiedzi? Wielki Boże!

- Co z nami będzie? - spytała męża Eva. - Coś ty zrobił! Taki wstyd dla rodziny. Taki wstyd!

O zachodzie słońca, wspaniałym, pomarańczowym i różowym, pastor Beitz wezwał na modlitwę swych wiernych, ponurych i niechętnych.

Domagał się, by dziękowali Bogu za wybawienie od jakże realnej grozy

niezmierzonego oceanu, za przywiedzenie ich w to piękne miejsce, za wspaniałą żyzną ziemię.

Zaledwie kilku osobom udało się wymówić: „Amen”.

## ROZDZIAŁ PIĄTY.

Jakob miał na zawsze zapamiętać ten ranek, ciepły, mglisty, tak nieszczerzy jak współczucie kota. Nie wstrzymywany należną ludzom ochroną dachu, ścian i zasłon oświetlił złotymi promieniami słońca zmęczonych wędrowców, którzy wcale za nim nie tęsknili. Niewielu dobrze wyspało się na polowych materacach i składanych płóciennych pryczach, być może lepiej urządzili się ci mężczyźni, którzy wybrali ziemię, derkę i rozgwieżdżone niebo nad głową.

Pełne zrozumienie sytuacji, a wraz z nim strach pojawiły się o wschodzie słońca. Ludzie pozostawali zamknięci w sobie tak długo, jak to tylko było możliwe, odwracali się od siebie, woleli nie wyrażać swych myśli. W tej chwili milczenie wydawało się im najlepszym rozwiązaniem, zupełnie jakby temu niechcianemu gościowi, porankowi, należała się jednak odrobina szacunku.

Wydają się oszołomieni, pomyślał Jakob, który sam był oszołomiony nie mniej od innych. Zupełnie jakby znaleźli się w cudzym domu i nie mieli pojęcia, co powinni robić. Mięśnie już wystawiły mu rachunek za ciężką pracę, do której zmusił je poprzedniego dnia, za każdy ruch płacił bólem. Nie to, by obca mu była ciężka fizyczna praca, znał ją doskonale, podobnie jak większość mężczyzn w grupie, ale za długo żyło mu się wygodnie podczas podróży. Pęcherze na dłoniach pojawiły się jakby znikąd. Poszedł w busz ulżyć sobie, boleśnie świadom istnienia każdego mięśnia, ścięgna i stawu, a także tego, że najgorsze jest jeszcze przed nim.

Minie kilka dni, nim ciało przywyknie do wysiłku, nim pęcherze zmieniają się w odciski.

94

Podszedł do niego Walther, jak zwykle doskonale zdrowy i w niezmiennie dobrym nastroju.

- Dziś mogę zrobić więcej niż wczoraj - oznajmił. - Po pierwsze, powinniśmy urządzić przyzwoite latryny. Nawet my, mężczyźni, mamy kłopoty, ale dla pań to znacznie gorsze, tak nie mieć dokąd pójść.

Kiedy Jakob wrócił do obozowiska, Freda i Karl obudzili się już i ubrali. Oboje byli cisi, zdezorientowani. Dzieci Zimmermanów podbiegły do Karla. Błagały, żeby zabrał je do lasu, chciały poszukać dzikich zwierząt, ale chłopak uciszył je jednym słowem: „Później”. I od razu zwrócił się do matki z pytaniem, które zadawał jej każdego ranka.

- Co mamy na śniadanie?

- A skąd mam wiedzieć, do diabła? - warknęła Freda i uciekła do namiotu.

Jakob nie miał ochoty na spory. Wrócił do mrocznego lasu. Usiadł opierając się o ogromne drzewo o korzeniach potężnych niczym grube gałęzie. Przynajmniej siedziało mu się na nich wygodnie: idealne miejsce dla mężczyzny pragnącego chwili spokoju. Oddalił się dobre dwadzieścia kroków od drogi, nim znalazł wytchnienie w tej szklarni stworzonej przez naturę, w miejscu spokojnym, odległym od kipiącej w obozie wrogości. Przeraził się nagle, bo dostrzegł grubego węża pełzającego wprost na jego but. Zamarł. Siedział nieruchomo, póki wąż nie pokazał niebieskiego języka; dopiero wówczas rozpoznał nieszkodliwą jaszczurkę. Ktoś kiedyś pokazał mu takie zwierzę na rysunku, ale nie spodziewał się nigdy zobaczyć go w rzeczywistości.

Powrócił do rozmyślań o ich nowej kolonii. Co za ludzie! Kłócili się, skarżyli na los... Czy coś różniło ich od tej części rodziny Meissnerów, która pozostała w domu? Czyżby wpadli z deszczu pod rynnę? W domu przynajmniej nie musiał się martwić o dżunglę i o tę, jak ją nazwał Karl, szaloną posiadłość.

Jakob doskonale zdawał sobie sprawę, że cierpi na atak tęsknoty i że mu się poddaje, ale wcale nie miał zamiaru przestać. Nie chciał z nim walczyć. Sam, siedząc pod drzewami, jakich nigdy jeszcze nie widział, otoczony wiszącymi nad głową pnączami z grubymi naroślami nasion, wpatrzony w zaścielające ziemię dookoła równie wielkie łupiny, mógł przynajmniej pławić się w poczuciu nieszczęścia, rozkoszować przekonaniem o własnej

95

głupocie. Już wkrótce będzie musiał wrócić do obozu, sprawdzić, czy jego towarzysze potrafili się jakoś zorganizować i czy w ogóle im na tym zależy.

Przypomniawszy sobie, że to Hubert Hoeppeur pokazał mu, jak wygląda jaszczurka i inne zwierzęta tego kraju. Pan Hoeppeur. Jak ma przekazać mu wiadomość o tej strasznej klęsce? Co może napisać? Na razie nic. Ostatni list wysłał z Brisbane; poinformował w nim, że przybyli bezpiecznie, i to na razie musiało wystarczyć. Jaka szkoda, że pan Hoeppeur przeżył tak straszną tragedię. Bardzo by się im teraz przydał. Wiedzieliby, co zrobić. Jego rady, rady rzutkiego przedsiębiorcy, byłyby bardzo użyteczne. Jako farmer Jakob wiedział doskonale, że ich „ziemia obiecana” jest na krótką metę bezużyteczna i że jego przyjaciele będą musieli to zaakceptować, nie chciał jednak odłączać się od wspólnoty. Bardzo chciałby wiedzieć, co powinni zrobić jako społeczność. Jakimi mieli

wyjście z tej sytuacji.

Ale nie wiedział i musiał się z tym pogodzić. Za to miał świadomość, że musi się troszczyć o rodzinę. Zrobić to co dla niej najlepsze. A więc powinien kupić ziemię, lecz pieniędzy nie wystarczyłoby mu nawet na tanie grunty. Jeśli odejdą, nie będzie wspólnej kiesy. Meissnerowie zostaną zmuszeni do utrzymywania się z własnych środków.

Przez chwilę, słysząc szelest wśród pobliskich drzew, miał wrażenie, że Hubert Hoegger jest tu, przy nim, ale to tylko mijał go jeden z mężczyzn z grupy. W tym momencie olśniła go nagła myśl. Gdyby przedsiębiorca wpadł w takie kłopoty, poszedłby wprost do dyrektora banku, po radę i pożyczkę. Tak postępują ludzie interesu.

Bank. Samo to słowo przerażało Jakoba. Dla farmerów banki zawsze były wrogami. Do tej pory jego stopa nie postąpiła w ich wyniosłych kamiennych siedzibach. Ale z drugiej strony... przecież siedzibą banku w Bundabergu była drewniana szopa jak wiejski wychodek. Nie onieśmiała. Tak, wiedział już, jak postąpi.

Machinalnie przeczesał palcami brodę. Zmusił się, by wstać, wyjść z lasu, wmieszać się w skłóconą grupkę, oznajmić Fredzie, że podjął decyzję i zamierza pożyczyć pieniądze od banku. Kiedy się wyprostował, w rozwidleniu gałęzi odległego o jakieś dziesięć metrów eukaliptusa, niemal dokładnie na linii wzroku dostrzegł nagle obły kształt. Zatrzymał się, zagapił na to dziwo

96

i w przesianych przez gałęzie i liście promieniach słońca rozpoznał wreszcie koalę. Zwierzątko o pogodnej mordce i puszystych uszkach patrzyło na niego mrugając ślepkami. Nie zamierzało uciekać; sprawiało

wrażenie, że nie wyrobiło sobie zdania o intruzie. Jakobowi natomiast wydawało się cudowne do tego stopnia, że miał nawet ochotę podbiec do niego, podnieść je za kark jak szczeniaka. Ostatecznie postanowił jednak nie zakłócać jego spokoju. Pobiegł ku skrajowi lasu, chciał pokazać je Fredzie, lecz gdy znalazł się w obozie, zobaczył, że wraz z innymi kobietami wydaje śniadania: gotowaną owsiankę i kawę. Sądząc po ponurym, zawziętym wyrazie jej twarzy, nie był to właściwy czas, by pokazywać jej cuda natury, a Jakob nie chciał pokazać go komukolwiek innemu, więc tylko westchnął i posłusznie stanął w kolejce.

Owsianka okazała się przypalona.

Theo zaczerwieniony, zmieszany, przepraszający, podszedł do ojca Beitza i oznajmił mu, że zabiera swą rodzinę z powrotem do baraku. Kapłan był zdumiony i kompletnie oszołomiony.

- Nie możecie tego zrobić! - krzyknął. - Nie, nie, nie! Nie pozwolę na to! Czeka nas mnóstwo pracy. Czegoście się spodziewali? Że zastaniecie tu zbudowany specjalnie dla was dom? Nie bądź durniem, Theo.

Przed szereg wystąpiło dwóch Kleinschmidtów.

- My też wyjeżdżamy, ojcie - powiedział jeden z nich.

- Bardzo nam przykro, ale tu sprawy nie wyglądają najlepiej.

- Będę tu przychodził codziennie. Będę pracował - dodał Theo. - Ale to nie jest miejsce dla mojej rodziny.

- Nie możecie w nieskończoność mieszkać w baraku.

- Beitz był wściekły. - Jeszcze parę dni i was stamtąd wyrzucą.

- Wiem. Na razie liczy się tylko kolejny dzień. Karl szturchnął ojca łokciem.

- My też powinniśmy odejść - szepnął. - Powiedz coś, póki jest jeszcze

miejsce w baraku.

- Tak jest. Mów - ponagliła go Freda.

Jakob niechętnie przyłączył się do uciekających, wcześniej niż zamierzał. Pastor Beitz, uparty jak zawsze, nie zgodził się na powrót do miasteczka, na szczęście jednak nie pozostał sam. Walther i dwaj

97

bracia Lutze rozgniewali się na wszystkich za to, że od razu się poddają, wściekli mówili nawet o dezercji. Postanowili zostać.

- Jak możecie rezygnować tak szybko? - spytał Jakoba Walther. - Nie wierzycie w Boga? Pewnego dnia będzie to jego święta ziemia. Pracujemy dla niego, nie możemy tak po prostu odwrócić się do Pana plecami.

- Chodzi o to, ile nam to zajmie czasu - próbował tłumaczyć Jakob. - Sam wiesz, jak ciężko trzeba tu będzie pracować. To nie jest ziemia na farmę.

- Ale będzie!

Jakob położył mu dłoń na ramieniu.

- Słuchaj, jesteś dobrym człowiekiem. Ale nie masz rodziny. Ja mam i muszę się o nią troszczyć...

- Kiepska wymówka. Bóg pobłogosławił cię zdrową żoną i synem. Macie dobry namiot. Czego jeszcze chcecie?

Ponieważ rozmawiali wśród innych, Jakob nie zdobył się na uświadomienie Waltherowi, że po prostu woli tu nie być, kiedy wyczerpią się wspólne fundusze, a ziemia nie będzie jeszcze zdolna wydać plonów. Odwrócił się i odszedł do namiotu. Wraz z wieloma innymi zaczął się pakować.

- Nie rozumiem, dlaczego zostaliśmy tu na noc - gderała Freda. - W ogóle nie powinniśmy tutaj przyjeżdżać.

- Zrobiliśmy to, co powinniśmy zrobić. Przynajmniej na coś się przydaliśmy.

Nagle rozległ się kobiecy krzyk i wszyscy zamarli. Rozglądali się próbując zrozumieć, co mogło aż tak kogoś przerazić. Część kobiet dostrzegła, co się dzieje; uciekły w las, szukając tam bezpieczeństwa. Pojawiła się oto grupa krajowców, około trzydziestu groźnie wyglądających mężczyzn. Szli drogą w ich kierunku. Byli to ludzie wysocy, chudzi, muskularni, o bardzo ciemnej skórze, większość miała wełniste włosy i kudłate brody, a poza dekoracją z paciorków i muszelek ich jedynym strojem były przepaski lub fartuszki zawiązane wokół nagich wąskich bioder. Całe ich uzbrojenie stanowiły dzidy: długie ostre dzidy.

Jakob wyszedł im na spotkanie. Zamierzał spytać o cel ich wizyty, ale uprzedził go Walther. Przyjął to, trzeba przyznać, z wdzięcznością, bo ci ludzie nie sprawiali wrażenia przyjaznych.

Walther zbliżył się do nich bez wahania. Był wysoki, potężnie zbudowany i to zdaniem Jakoba dawało mu pewną przewagę.

98

Z ulgą patrzył, jak rozpoczyna rozmowę toczącą się przy użyciu wyjątkowo gwałtownych gestów.

- Co się dzieje? - pytali otaczający go ludzie.

- Zaatakują nas?

- Nie. Skąd!

- A skąd wiesz, że nie?

Starszy tubylec podszedł do Walthera i potrząsnął jego dłonią, co powitano ogólnym westchnieniem ulgi. Dwaj mężczyźni zbliżyli się do obozu, reszta krajowców zatrzymała się jednak i czekała. Nie sposób było

zgadnąć, czy stanowili zagrożenie czy też obawiali się osadników.

- To ich wódz! - zawołał Walther. - Nazywa się Tibbaling. Powiedział, że źle mówię po angielsku. Chce rozmawiać z naszym szefem. Gdzie pastor? Odpędziwszy kobiety i dzieci, które nie powinny oglądać tak zdrożnych widoków, pastor popędził do swojego namiotu. Wyszedł z niego po dłuższej chwili, odpowiadając na wezwanie. Sutannę zapiętą miał na wszystkie guziki, na szyi powiesił krzyż, w dłoni dzierżył brewiarz, a czarny kapłański kapelusz dodawał mu godności. Jakob odniósł wrażenie, że staruszka zdenerwowało to pierwsze spotkanie z krajowcami, których miał szczerzy zamiar zbawić i na tę okazję przywdział swój pełny wojskowy rynsztunek.

Wódz uderzył dzidą w ziemię tuż przed nim, wyprostował się, zrobił groźną minę.

- Czego chce? - spytał pastor drżącym głosem. Tibbaling miał siwą rzadką brodę i brązową skórę; on także

nosił oznaki piastowanej godności: spiczaste nakrycie głowy z suszonej gliny okrytej futrem, krótką włócznię, którą mocno trzymał w dłoni, naszyjnik w miejscu cennej perły mający wielki ząb. Być może rekina, pomyślał Jakob, w końcu ciągle znajdowali się blisko brzegu morza.

Zadrżał. A może w tej przepływającej przez Bundaberg rzece pojawiały się rekiny? Czy rekiny wpływają na słodkie wody? Musi kogoś o to zapytać.

Podszedł bliżej. Walther zwrócił się bezpośrednio do niego.

- Wszystko zepsułem - jęknął zrozpaczony. - Mówiłem po niemiecku. Ten facet zna angielski. Chyba lepiej będzie, jeśli porozmawia z pastorem.

Tymczasem ojciec Beitz podszedł do wodza, uklonił się i pobłogosławił go bardzo uroczyście brzmącą łaciną.

- Pan angielski - powiedział tubylec.

Jakob z trudem opanował wybuch śmiechu. Co za niezwykle spotkanie! A może to tylko histeria, pomyślał, zrozumiała, jeśli wziąć pod uwagę sytuację?

- Ach tak - odezwał się Beitz po angielsku. - Ty jesteś wielki wódz Tibbaling, czyż tak?

To pytanie pozostało bez odpowiedzi.

- Jakie imię ty?

- Ojciec Beitz.

- Ocie Bęc! - Stary tubylec uśmiechnął się szeroko. Odwrócił się, krzyknął coś do swoich ludzi w gardłowym języku.

Ku wielkiemu zdumieniu wszystkich czarni dostali ataku śmiechu. Klepali się po czołach i udach, aż wódz podniósł dzidę, uciszając ich. Następnie szybko odwrócił się w stronę duchownego.

- Ty czarownik białych ludzi, ech? Powiedz im, to nasze miejsce. - Kościstym palcem wskazał ich działkę, podszedł bliżej, przyjrzał się wyrąbanej ścieżce. Nie sprawiał wrażenia zachwyconego. - Co robione! Paskudzicie wszystko. Ty idzie stąd, ocie Bęc. I zabiera ze sobą wszystkich. Iść, już!

- Nie, nie, nie! - zaprotestował gwałtownie pastor. - To nasza ziemia. Zapłaciliśmy za nią.

- Nigdy! - Stary niemal wypluł to słowo. - Tu kraina Banjoor. - Szeroko rozłożył ręce. - Cała kraina Banjoor. Wy wynosić!

Beitz tak się zdenerwował, że nieświadomie przeszedł na niemiecki.

Tłumaczył Tibbalingowi, że przybył w miłości, w imię Jezusa pragnącego

przytulić do łona wszystkich czarnych ludzi... Dramatycznym gestem wyciągnął ręce do wodza. Stary, już zaniepokojony przemową w obcym języku, odskoczył od niego jak od trędowatego.

- Angielski - powiedział cicho Walther.

Pastor zgarbił się zrozpaczony; jego piękne kazanie poszło na marne!

- Przepraszam - rzekł do Tibbalinga. - Ale proszę zrozumieć, że to jednak nasza ziemia. Kupiliśmy ją. Ale wy też jesteście tu mile widziani.

- Jesteś jak reszta! - warknął wódz. - Banjoor nie dostali nic pieniędzy za ziemię. Nasz dom. Idź do swojego!

100

Rozpętała się kłótnia. Eva Zimmerman zaczęła pakować płócienną torbę.

- Mam dość - oznajmiła głośno. - Odchodzimy. Szykuj dzieci, Theo.

- My też - przytaknęła Hanni Fechner, a jej mąż skinął głową. - Nie możemy tu zostać.

Tibbaling spojrział na nie radośnie, najwyraźniej przekonany, że to on wywołał tę manifestację nieposłuszeństwa. Tymczasem kapłan podbiegł do swych wiernych. Próbował przekonać ich, żeby zostali, ale exodus już się rozpoczął. Większość jego trzódki wracała do baraku dla imigrantów; obiecywali, że przyślą wóz po resztę bagażu. Freda i Karl pozostali na razie na miejscu. Za bardzo interesował ich rozwój sytuacji i krajowcy, którzy już nie wydawali się tacy groźni. Ich wódz cofnął się i niedbale wsparł o włócznie, jego ludzie rozstąpili się, robiąc miejsce dla Zimmermanów na wąskiej drodze. Uśmiechali się wesoło do dzieci.

- Pozostaniemy tu jakiś czas - powiedział Jakob do Fredy. - Musimy dogadać się z tymi czarnymi.

W ciągu godziny odeszli wszyscy z wyjątkiem Walthera i braci Lutze. Za

to Aborygeni bynajmniej się nie śpieszyli. Jakob podszedł do ojca Beitza, który znalazł sobie odpowiednie schronienie i rozstawił płócienne krzeselko przed wejściem na ścieżkę.

- Mam z nimi porozmawiać? - spytał, ale duchowny skoczył na równe nogi. Brewiarz schował do kieszeni.

- Z całą pewnością nie - oświadczył. - To moja sprawa.

- Podszedł do Tibbalinga. - Niektórzy odeszli - powiedział.

- My, reszta, zostajemy.

- Wy idziecie!

- Nie. Jesteśmy waszymi przyjaciółmi. Czego chcesz? Zabić nas? Nie wydaje mi się. Mamy zamiar zamieszkać tutaj. Wy możecie mieszkać przy nas, ale to jest nasza ziemia. Koniec dyskusji.

Freda głośno westchnęła.

- Słyszałeś? - spytała Jakoba z niedowierzaniem. - Zaproponował im, żeby zamieszkali z nami!

Tibbaling zmarszczył czoło. Podrapał się po głowie grotem włóczni i nagle wybuchł, cały swój gniew kierując na duchownego.

101

- Jakie prawo ma wszyscy powiedzieć ziemia wasza?

- Bóg dał mi to prawo. Chce, żebym cię do niego przyprowadził.

- Jest tu gdzieś? - Aborygen rozejrzał się po krzakach.

- Bóg jest wszędzie - zakomunikował uroczyście pastor. Wódz dał sobie spokój z Bogiem i powrócił do właściwego tematu sporu.

- Polowania tu moi ludzie - powiedział stanowczo.

- Tak jest. Tak, wodzu - odparł Beitz z ulgą. - Wy tu polujecie. Rozumiem.

Ja i moi ludzie, my tu zamieszkamy, tak? Chcemy, żebyście do nas dołączyli. Także tu zamieszkali.

Tibbaling podniósł z ziemi gałązkę. Złamał ją z trzaskiem, cofając się jednocześnie o krok. Obrzucił obecnych uważnym spojrzeniem.

- Wy, ludzie, tu mieszkać. Strasznie szalone!

Jego ludzie czekający na drodze zaczęli się niecierpliwić. Popatrywali na siebie, poruszali się niespokojnie, nie pojmowali, jaka jest ich rola w tej rozmowie. Jakob rozumiał ich dylemat. Biały człowiek zajął należącą do nich ziemię, musieli uczyć się obcej mowy bez wsparcia słowa pisanego, a ich stary wódz, mniej więcej tak stary jak Beitz, kłócił się z jednym z białych, jak on mówiącym w nie swoim języku.

- Jakim dziwnym miejscem jest nasz świat - powiedział do Walthera, który tylko wzruszył ramionami kompletnie ogłupiały.

Obserwując tych dwóch rozdyskutowanych starców, Jakob nie mógł nie pomyśleć o tym, jak różne były ich losy. Jednego ukształtowały studia w dostojnym Seminarium Świętego Jana w Hamburgu, a teraz był starszym dżentelmenem, który w zaawansowanym wieku uzyskał wysoki status misjonarza dzięki umiejętności wywierania delikatnego nacisku i upartej odmowie przejścia na emeryturę. Drugi był jak człowiek pierwotny, rzucony ze swego niepokalanego rajy w świat białych ludzi, tak dla niego obcy, że nie byłby w stanie nawet go sobie wyobrazić.

Jakob poczuł smutek. Gnębiło go poczucie winy spowodowane tym, że miał zamiar opuścić ojca Beitz, i tym, że on i jego rodzina byli pierwszymi okruchami białej lawiny, która wkrótce zniszczy naród niewinnych czarnych ludzi.

- Nie możemy odejść - tłumaczył właśnie Beitz. - Nie możemy, naprawdę.

Nie mamy dokąd odejść.

102

- Nie ma dokąd iść? - zdumiał się Aborygen. - Skąd wy, biali, przyszli? Tam wracać.

Jakob wtrącił się do dyskusji. Najwyższy czas ją zakończyć.

- Niestety to niemożliwe, ale ojciec Beitz dobrze mówił. Jesteśmy przyjaciółmi. Nie chcemy wam szkodzić.

I znów poczuł się winny, ponieważ jeśli się nad tym zastanowić, jego słowa nie były do końca prawdziwe. Gdzie ci ludzie będą polować, kiedy ich tereny łowieckie zmienią się w zagospodarowane działki rolne?

Nagle huknął strzał. Na drodze pojawił się jeździec w pełnym galopie.

Aborygeni znikli w buszu, jakby nigdy ich tu nie było. Jeździec, wyraźnie zagniewany, osadził konia w miejscu.

- Wy jesteście ci Niemcy? - krzyknął do stojącego najbliżej Walthera, który niepewny swej angielszczyzny, cofnął się i gestem przekazał funkcję rzecznika Jakobowi.

- Tak, proszę pana. - Jakob przyjrzał się mężczyźnie w mundurze, czarnym mundurze ze srebrnymi guzikami, ale bez dystynkcji. Mógł to być jakiś urzędnik, owszem, ale karabin oznaczał, że ten człowiek ma większą, groźniejszą władzę.

Zeskoczył z konia. Spojrzał na niego srogo spod zmarszczonych czarnych brwi.

- Nazwisko?

- Meissner, proszę pana, a to moja żona i syn Karl.

Kątem oka Jakob dostrzegł, że Karl się uśmiecha. Spodobało mu się to, że jeden strzał rozproszył krajowców. Popatrzył na niego i syn natychmiast

spoważniał.

- A tak, panie Meissner. Ja się nazywam Stenning. Jules Stenning.

Zrozumiał pan?

- Oczywiście.

- Świetnie! No to teraz niech pan wie, że jestem tu celnikiem i przedstawicielem rządu w jeszcze kilku sprawach, z wyjątkiem policji. To już rzecz konstabla Colleya. Zrozumiano?

- Tak, proszę pana.

- Dobrze. A teraz posłuchajcie mnie wszyscy!

Osadnicy, którzy i tak skupili na nim całą swą uwagę, podnieśli głowy nieco wyżej. Ale Stenning nic im nie powiedział. Dostrzegł Tibbalinga.

- A ty co tu do diabła robisz, Tibbs? - warknął. Pastor wystąpił przed szeregiem.

- Ten pan jest naszym gościem - oznajmił.

103

- To nie jest żaden „pan”, ojczy, tylko cholerny czarownik, szczywany jak mało kto. Niech się stąd wynosi!

Tibbaling pozostał tam, gdzie stał. Nie wyglądało na to, by miał zamiar spełniać czyjeś polecenia, mogło się nawet wydawać, że nie interesuje go ta rozmowa. Jego spojrzenie na krótką chwilę skrzyżowało się ze spojrzeniem Jakoba. Aborygen zachował obojętność, Jakob jednak poczuł, jak kręci mu się w głowie, i to go zirytowało. Szkoda, że stary nie odszedł, pomyślał. Tylko komplikuje nam sprawy z tym, jak mu tam, celnikiem. Ojciec Beitz był wszakże innego zdania.

- Ten pan nie robi nic złego. Po prostu rozmawialiśmy. Pan czegoś od nas chciał?

Stenning podszedł do niego, odpychając zagradzającego mu drogę krajowca.

- Powiem wam, czego chcę, ojczy. Chcę wiedzieć, co wy tu do diabła robicie. Nie powinniście opuszczać baraku dla imigrantów bez mojego pozwolenia. Wszyscy razem i każdy z osobna! Nie pozwalamy, by przybysze z zagranicy wędrowali sobie swobodnie po całym kraju.

- Nikt nam o tym nie powiedział. - Jakob dzielnie dźwigał ciężar rozmowy. - I pana też nie było, kiedy przyplłynęliśmy.

- No to do jasnej cholery powinniście byli na mnie zaczekać. Lekarz też musi was przebadać! Doktor Strauss. Jest chyba jednym z was. Podobno pochodzi z Wiednia. Nie do wiary! Niemcy i Duńczycy włóczący się jak gdyby nigdy nic. Świat schodzi na psy, możecie mi wierzyć! Znajdziecie dla mnie jakiś stół?

- nagle zmienił temat.

Jakobowi udało się go zadowolić. Znalazł składany stół i krzesło.

Tymczasem Stenning odpiął od siodła skórzaną torbę. Uwadze Jakoba nie umknęło, że jego strzelba tkwiła teraz w olstrze przy siodle i że wydawało się to całkiem naturalne. Jakby każdy urzędnik nosił tu broń niczym oznakę swej funkcji. Czyżby ten kraj nie był tak spokojny, jak o nim mówiono?

Stenning pochylił się nad cienkim notesem. Polizał ołówek, choć z pewnością nie nadawał się on do jedzenia.

- Bardzo proszę, żeby wszyscy ustawili się w kolejce!

- krzyknął. - Muszę zapisać wasze dane. Zacznę od was, ojczy. Proszę podać nazwisko, datę urodzenia, narodowość i tak dalej. - Pilnie notował przekazywane mu przez pastora informacje.

- Wyznanie? - spytał wreszcie, nie podnosząc głowy.

- „KR”, Kościół rzymski, jak sądzę?

- Wysoki Kościół Luterński - odparł godnie Beitz.

- Jedyne prawdziwe głos Boga na ziemi.

Urzędnik tylko wzruszył ramionami.

- Dobrze, zaznaczę jako „L”. Wszyscy jesteście luteranami?

- W naszej grupie? Tak - potwierdził Jakob.

Jeden po drugim ludzie podchodzili i uzyskiwali oficjalną akceptację swej obecności w tym dziwnym kraju. Odpowiadali na kilka pytań zadawanych przez Stenninga, w tym o nazwę statku, którym przybyli, miejsce i datę rozpoczęcia rejsu i zawód. Rozmowy z każdą osobą trwały zaledwie po parę minut i zdaniem Jakoba były nader pobieżne. Nie więcej niż dziesięć pytań wystarczyło do opisanie każdego z nich. Czyżbyśmy aż tak niewiele znaczyli? pomyślał. Czy świata nie obchodzi to, że przybywając tu uczyniliśmy tak nieoczekiwany śmiały krok? Czy nikogo nie obchodzi nasze dziedzictwo? Nasza kultura? Rozmowy były tak chłodne, tak bezosobowe, że wręcz go przygnębiały.

- Mam nadzieję, że wszyscy podaliście prawdziwe informacje -

powiedział Stenning. - Macie jakiś adres oprócz tego w baraku?

- To jest nasz adres - oznajmił Beitz. - A to jest nasza ziemia.

Jakob dostrzegł, że Tibbaling drgnął słysząc te słowa, ale zdecydował, że w tym momencie nie powinien interweniować.

- Jeśli to wasza ziemia, to się na nią przenieście. Zagradzacie drogę

publiczną, nie mogę wam zezwolić na założenie tu obozu. - Jeszcze raz

obejrzał pozostałości obozowiska i znów zwrócił uwagę na Tibbalinga. -

Jeszcze tu jesteś? Przecież mówiłem, że masz się wynosić!

Ojciec Beitz powtórnie wystąpił w obronie krajowca.

- Panie Stenning, przecież powiedziałem panu, że ten dżentelmen jest naszym gościem. Pomaga nam się zadomowić. Proszę go nie niepokoić.

- Ja mam go nie niepokoić? Przecież to on jest sprawcą wszystkich niepokojów! Trzyma w ryzach za wielu czarnych. Niebezpiecznie jest dopuścić do tego, żeby któryś z nich zdobył aż takie wpływy. Mogą stać się zbyt natrętni.

105

- Nie sądzę, żebyśmy spotkali się z tym problemem, panie Stenning. Otworzę misję dla tubylców, gdy tylko zbudujemy kościół, jest więc bardzo ważne, żeby czuli się u nas mile widziani.

- Misję? - Wyglądało na to, że udało się im udobruchać Stenninga. - A więc życzę wam wszystkiego najlepszego. Potrzebne jest coś, co będzie trzymało czarnych z dala od ulic naszych miast.

Duchownemu nie o to chodziło, z czego Jakob doskonale zdawał sobie sprawę. Z wielką ulgą przyjął, że tym razem Beitz nie uznał za stosowne wdawać się w dyskusję.

- I jeszcze jedno - powiedział celnik. - Macie tu poczekać na doktora Straussa. Musi zbadać wszystkich i ocenić, czy są zdrowi. Wszystkich, powtarzam.

Freda od razu się zdenerwowała.

- Bardzo pana przepraszam, ale co się stanie z tymi, których lekarz nie uzna za zdrowych?

- Kwarantanna - usłyszała w odpowiedzi. - Ktoś taki natychmiast podlega kwarantannie. Proszę jednak zrozumieć, że mówimy o chorobach

zakaźnych, droga pani, a nie o zwykłym katarze, choć przyznaję, że i katar potrafi dokuczyć.

Gdy wreszcie odjechał, osadnicy skupili się w grupę.

- Czy to znaczy, że musimy spędzić tu jeszcze jedną noc? - odezwał się Karl.

Jakob skinął głową.

- Czekamy na doktora Straussa - powiedział i nagle się uśmiechnął. - Niemca z Wiednia.

- Pora wracać do pracy - przypomniał im Walther, ale Karl nie miał na to najmniejszej ochoty.

- Jestem głodny, mam - jęknął. - Co mogę zjeść? Pastor usłyszał go i odwrócił się szybko.

- Ja też nie miałbym nic przeciw odrobinie chleba i sera, pani Meissner. I proszę przygotować coś dla mojego przyjaciela.

Tibbaling był wręcz zachwycony. Niecierpliwie czekał na przygotowanie poczęstunku, swoją porcję zjadł nie ukrywając zadowolenia. Kilkakrotnie powtarzał, że Stenning „nie dobry”, a „ocic Bęc” jest dzielnym facetem.

- Mówi „mój gość” - powiedział z dumą, prawdopodobnie niezdolny do odróżnienia przyjaciela od gościa. W każdym razie

106

jego stosunek do ludzi, których tak niedawno uważał za intruzów, zmienił się diametralnie.

Pozostał w obozie jeszcze jakiś czas; przyglądał się pracującym, laził tu i tam niczym wścibski stary kogut, podpierając się włócznią. Wreszcie znikł nagle i niezauważenie, bez pożegnania.

Później tego samego dnia, po wykopaniu latryn i otoczeniu ich gałęziami i

liśćmi, zaczęli wygarniać stosy ściętych krzaków, bardzo utrudniających im pracę. Nieoczekiwanie Tibbaling powrócił. Przyprowadził trzech swych ludzi, młodych i silnych. Poleciał im pomóc przybyszom.

Uśmiechając się szeroko, Aborygeni wzięli się do roboty i pracowali doskonale aż do chwili, gdy przyszedł czas na ognisko. Dwaj starcy obserwowali ich, kiwając głowami z aprobatą. Ojciec Beitz był zachwycony tym nowym obrotem sytuacji.

- Tibbaling będzie moim pierwszym nawróconym - powiedział do Jakoba.

- I przyprowadzi ze sobą swój lud. Misja powstanie w mgnieniu oka.

- Nie sądzisz, wielebny, że powinieneś zapomnieć o misji, póki się nie osiedlimy? - spytał zaniepokojony Jakob.

- Nie, nie, nie!-Ja mam dbać o interesy Pana naszego! Pastor Ritter z seminarium w naszym ojczystym Hamburgu przyjedzie tu, gdy tylko ukończy studia. Nie dopuszczę, by się rozczarował, nie zastał misji.

- Ale przecież spędziliśmy tu mniej więcej dzień, ojcze! Zajmij się, proszę, swoją kongregacją, nim zaczniesz nawracać obcych.

Pastor był wyraźnie rozczarowany. Nagle zrobił się bardzo oschły.

- To niemożliwe. Mamy ziemię. Jeśli nasi ludzie zechcą uprawiać ją, jak to wcześniej uzgodniliśmy, założyć tu swój pierwszy dom, to dobrze.

Doskonale! Ale okazało się, że większość nie zamierza wykorzystać okazji. Choć odwrócili się do mnie plecami, nadal jestem ich pastorem, a oni moją trzódką. Jestem z nimi w kwestiach duchowych raczej niż prostych, codziennych, przemijających, jak wydajesz się myśleć, Jakobie. Bóg obdarzył nas wolną wolą. Nie mnie decydować, kto ma odejść, a kto pozostać. Nie mnie rozkazywać. A Pan już skierował do mnie tych pogan, trafili pod mój próg...

Jakob uciekł. Nie miał zamiaru słuchać kazania. Bezradnie potrząsał głową. Udał się na poszukiwania Walthera.

107

- Zdaje się, że ty tu teraz rządzisz, przyjacielu - powiedział. - Wiesz, co trzeba zrobić... i co można zrobić?

- Wiem. Zajmie to wiele czasu, ale braciom Lutze i mnie całkiem się tu podoba. Słońce świeci, jest dużo do zrobienia, mamy co jeść. Czego jeszcze może chcieć mężczyzna? Ty nie zostaniesz?

- Chyba nie. Im więcej ludzi, tym szybciej wyczerpie się wspólna kiesa. Sądzę jednak, że niektórzy wrócą.

- Zawsze będą mile widziani - powiedział Walther po prostu.

Doktor Strauss uznał, że wszyscy osadnicy są dobrego zdrowia, nawet młody Robie Zimmerman, tak więc nazajutrz w baraku odbyło się zebranie. Nastroje były ponure, szukano winnych. Nie osiągnięto porozumienia, nikt nie wiedział, co mają zrobić jako grupa. Nie ustalono nawet, czy pozostaną grupą, choć taki był przecież pierwotny plan. Padały propozycje, by mężczyźni dysponujący funduszami kupili lepszą ziemię, na której wszyscy mogliby osiąść. Miał na niej powstać wspólny dom podobny do tego baraku i farma, również wspólna, ale ten pomysł upadł, bo nikt nie chciał dostarczyć odpowiednich środków. Większość zareagowała skargami i opiniami, że równie dobrze mogą wrócić na już kupioną ziemię, którą zaczęto określać mianem wspólnoty.

- Mam wrażenie, że wszyscy marzyliśmy o własnej małej wiosce, wspólnym miejscu na nowej ziemi - powiedział Jakob. - To było cudowne marzenie, ale jak się okazało nierealistyczne. Mimo to mam nadzieję, że pozostaniecie w okolicy, tak że zagospodarujemy w końcu naszą ziemię i

kiedyś zbudujemy kościół, ośrodek naszego życia.

- Brzmi to bardzo pięknie - wtrącił Theo - i tobie z pewnością odpowiada, ale my nie byliśmy przecież przygotowani na coś takiego. Pójdziemy tam, gdzie musimy, i zrobimy to, co musimy zrobić. - Przyjrzał się opustoszałej ulicy. - I gdzie tu znajdziemy jakąś pracę?

Wtedy podszedł do nich Jim Pimbley. Usłyszał fragmenty rozmowy; słowa Thea przyjął jako zachętę.

- Czy mogę coś powiedzieć? - spytał uprzejmie. Parę osób skinęło głowami, co uznał za pozwolenie.

108

- Nie chcę, drodzy przybysze, żebyście nabrali uprzedzeń do naszego Bundabergu - zaczął. - Może i wygląda na to, że nic się tu nie dzieje, lecz my przecież dopiero zaczynamy. Z tego co wiem, większość z was to farmerzy. Więc z pewnością zdajecie sobie sprawę, że największą wartość we wsi ma praca. I właśnie pracy potrzebujemy, żeby nasz okręg ożył i rozwijał się. Potrzebujemy drwali, flisaków, kucharzy na obozowiskach dla ludzi wyrabujących lasy zaledwie kilka kroków w górę rzeki - przemawiał głośno Jim. - Zaraz za miastem mamy wielkie fermy owcze. Im zawsze brakuje pastuchów, postrzygaczy, robotników stawiających ogrodzenia, ludzi do opieki nad końmi; dla każdego coś miłego. Panie znajdą zajęcie kucharek, pielęgniarek, służących. Pracy u nas nie brakuje, za to brakuje ludzi. Nas tu za mało...

Theo spojrział na niego zdumiony.

- Gdzie można znaleźć taką pracę, proszę pana?

- Praca znajdzie ciebie, przyjacielu. Wystarczy, że wieści się rozejdą.

Powiedziałbym, że oferty poznacie lada chwila. Ten facet, który właśnie

do was jedzie, to Les Jolly. Szef drwali. Jemu zawsze brakuje robotników. Jim przedstawił Lesa obecnym.

- Szukają pracy - wyjaśnił. - Możesz im coś zaproponować?

- A mogę, mogę - uśmiechnął się Les. - Chętnie pogadam z niektórymi z tych chłopaków.

Ostatecznie złożył ofertę Kleinschmidtom.

- Mam robotę dla was wszystkich - oznajmił. - Możecie zabrać ze sobą swoje kobiety.

- Obóz drwali nie jest chyba najlepszym miejscem dla naszych pań - powiedział nerwowo Rolf Kleinschmidt.

- Możecie wybudować sobie chaty z bali. Z tym nie ma żadnego problemu. Będziecie mieli domy, w których zawsze znajdziecie schronienie. A kiedy drewno zostanie już zwiezione, możecie kupić ziemię praktycznie za grosze i oczyścić ją pod farmę.

- Co o tym sądzisz? - spytał Jima Rolf. - Dla mnie brzmi za dobrze, żeby było prawdą.

- Ale praca jest strasznie ciężka. I ciężko jest mieszkać w buszu. Co do ziemi, to święta racja. Kosztuje tyle co nic. Facet jest przyzwoity, gwarantuję. Ja bym się na to zdecydował.

109

Karl wysłuchał tej rozmowy i pobiegł do ojca.

- Chcę pojechać z nimi, pracować w lesie. Wiesz, że tam się zarabia czterdzieści funtów rocznie?

- Zostajesz! Znajdę ci wystarczająco wiele pracy, kiedy wreszcie będziemy na swoim.

Tego samego dnia po południu przyjaciele pożegnali Kleinschmidtów

odpływających promem na drugą stronę rzeki. Rozpoczynali wędrówkę do nowego domu głęboko w lasach, gdzie wycinano cenne cedry. I nagle grupa stojąca w milczeniu na przystani wydała się bardzo mała, jakby Les Jolly napadł na nich i ukradł im ich siłę. Barak też wydawał się strasznie pusty.

- I co teraz? - spytała Hanni Fechner bezradnie.

- Ja idę do hotelu wypić coś na poprawienie nastroju

- powiedział jej mąż. - Jakobie, pójdziesz ze mną?

- Nie teraz.

Jakob doskonale zdawał sobie sprawę, że musi się rzucić na głęboką wodę i umówić na spotkanie z dyrektorem banku. Czekąco go denerwujące zadanie, tym gorsze że będzie prosił o pieniądze. Dla niego równało się to żebraniu. Poniżej godności mężczyzny jest przecież czapkowanie komuś, proszenie, nawet jeśli - jak twierdziła Freda - bank pobiera procent od pożyczki i nie robi nikomu łaski. Jeśli daje pożyczkę.

- Chcesz, żebym poszła z tobą? - spytała.

- Nie. To męskie sprawy.

- Ale przecież już go spotkaliśmy. Nazywa się Rawlins. Bardzo miły człowiek. - Uśmiechem dodała mężowi odwagi.

- Nawet nie wygląda na dyrektora banku. Ma najwyżej czterdzieści lat, nie nosi brody, tylko cienkie wąsiki, i rozpina koszulę pod szyją, jakby nie wiedział, że istnieją krawaty.

To nie opis dyrektora dodał odwagi dochodzącemu do banku Jakobowi, raczej widok samej jego siedziby, śmiesznej, małej, przypominającej okropnie brzydki domek dla lalek, nie malowany, z trzema schodkami prowadzącymi do wąskich drzwi. W środku była lada, za którą siedział

młody urzędnik, głębiej zaś, przy stoliku, pochylał się nad papierami sam pan Rawlins. Było to najmniejsze biuro, jakie Jakob kiedykolwiek widział. Wcale nie wydawało się prawdziwym biurem.

- Chciałbym umówić się na spotkanie z dyrektorem banku
- odezwał się nieśmiało. Wiedział, że sprawia wrażenie prostaka,

110

choć ze wszystkich sił koncentrował się na poprawnej angielszczyźnie.

- Ze mną nie trzeba się specjalnie umawiać - powiedział pan Rawlins i przedstawił się. - Co mogę dla pana zrobić? - spytał grzecznie.

Uprzejmościom stało się zadość. Jakob usiadł za stołem i rozpoczął przygotowaną przemowę. Tłumaczył, że chce pożyczyć pieniądze na budowę domu i zaopatrzenie małej farmy na ziemi, którą ma zamiar kupić.

- Poradzę sobie - przekonywał. - Jestem dobrym farmerem, jak pan widzi, umiem ciężko pracować, a mój syn to chłopak robotny i bardzo silny. Żona też przyzwyczajona jest do pracy na roli. Spłacimy nasze długi co do grosza, mogę obiecać to na piśmie, więc... ile może mi pan pożyczyć?

- Prr! Momencik. Zaczął pan od końca, panie Meissner.

- A więc nie chce pan dać nam pożyczki?

Oczywiście! Z góry przewidział, co będzie! Głupio tak prosić o pomoc bogaty bank, choćby przyszły na człowieka ciężkie czasy. Nie pomoże nigdy obcemu. Zawstydzony Jakob poderwał się na równe nogi. Chwycił kapelusz.

- Bardzo mi przykro. Nie będę zabierał panu czasu...

- Chwileczkę, proszę usiąść. Nie powiedziałem przecież, że nie pożyczę panu pieniędzy. Moim zdaniem warto na pana postawić, tylko muszę dowiedzieć się jeszcze tego i owego. Gdzie jest ta ziemia, którą ma pan

zamiar kupić?

- Jeszcze nie wiem. Liczyłem, że przez jakiś czas będziemy gospodarować na wspólnej ziemi, że da nam to czas. Żeby rozejrzeć się po okolicy...

- A tak, słyszałem. Utknęliście, że tak powiem, w buszu.

- Rzeczywiście. To był wielki zawód. Ale będziemy pracować ciężiej i szybciej, to wszystko.

- Najpierw muszę zobaczyć ziemię, ocenić, jaką to farmę możecie na niej prowadzić. Jakie macie perspektywy, że tak powiem.

Jakob spojrział na niego zdziwiony. Skinął głową.

- Pan myśli, że popełnimy ten sam błąd? Kupimy busz? Nie, nie! Nie ja. Będę szukał okazji bardzo dokładnie.

- Świetnie. A wie pan, gdzie szukać?

- Nie miałem czasu się dowiadywać. Poza tym wolałem najpierw upewnić się co do pożyczki. - Podniósł ręce rozczarowany,

111

niemal zrozpaczony. - Przepraszam pana, ale chyba marnujemy czas. Ta rozmowa nie ma sensu. Ja najpierw muszę dostać pieniądze, potem będę mógł pomyśleć o ziemi. Pan zaś uważa, że powinienem mieć ziemię, żeby starać się o pieniądze. Rawlins nie zwrócił uwagi na ten wybuch. Wyjął z szuflady wielką mapę.

- Nie jest tak źle, panie Meissner - powiedział uspokajająco. - Proszę przyjrzeć się tej mapie. Tu jest Bundaberg, a raczej teren miejski, tu mamy Busz, czyli tropikalny las. Tędy płynie rzeka Burnett uchodząca do morza. To ważna rzeka, duża, płynąca z głębi lądu. Wielcy hodowcy bydła i owiec zawdzięczają życie rzekom takim jak ta. A teraz proszę przyjrzeć się tej

sekcji... - wskazał gestem ogromny teren, o wiele większy niż ten przeznaczony na miasto - ...to owcze ranczo Clonmel.

- Takie wielkie?

- Tak. Ponad dwadzieścia pięć tysięcy hektarów.

- Jakim cudem - zdumiał się Jakob - jeden człowiek kupił tyle ziemi?

- Takim, dzięki któremu pan kupi swoją. W rzeczywistości cały ten teren należy do Korony. Jest własnością rządu. Wielcy farmerzy zaledwie go dzierżawią. Do tej pory działało to doskonale, ale teraz rząd wypowieda umowy dzierżawy. Chce, żeby powstawały mniejsze gospodarstwa.

- Jak to? Dlaczego?

- Wzrasta liczba ludności. W związku z tym potrzeba ziemi na mniejsze gospodarstwa w pobliżu nowych miast, takich jak Bundaberg. Wielcy posiadacze ziemscy, tacy jak ci z Clonmel, muszą oddać część swej ziemi, rząd im ją po prostu odbiera.

- A co sądzą o tym oni... i inni?

- Nie są szczęśliwi, to zrozumiałe, ale... co mogą zrobić? Rozrastające się miasta potrzebują rolników. Bez nich nie przeżyją. Więc trzeba w ich okolicy wyznaczyć miejsca na farmy.

- I część tego terenu jest jeszcze dostępna? - Jakob uważnie przyglądał się mapie. Ranczo Clonmel jednym bokiem przylegało do rzeki.

- Owszem. Dobre pastwiska, dobra ziemia.

- A ile to kosztuje? - Jakob wstrzymał oddech. Rawlins umilkł, próbując przypomnieć sobie właściwe liczby.

112

- Jedną chwileczkę. Najpierw wybierze pan ziemię, potem mierniczowie ją oznaczą. To będzie trochę kosztować, w zależności od obszaru.

Następnie zarejestruje pan swą ziemię i podpisze umowę dzierżawy. Musi pan ją uprawiać, inspektorzy będą to sprawdzać, ale jestem pewien, że dla was nie będzie to problemem. W końcu będzie pan mógł kupić ziemię, ale z tym nie ma pośpiechu.

- Ile to kosztuje?

- Teraz? Jakies trzy szylingi za czterdzieści arów.

- Trzy szylingi? I możemy przenieść się na naszą ziemię, gdy tylko dostaniemy dzierżawę?

- Nic nie przeszkadza wam osiedlić się na niej, gdy tylko dokonacie wyboru. Ludzie już to robią. Im szybciej, tym lepiej.

Jakob miał problemy ze zrozumieniem tego wszystkiego.

- A kiedy rząd powie nam, że mamy płacić, ile to będzie wynosiło?

- Powiedziałbym, że jakies szesnaście szylingów za czterdzieści arów. Ale to nastąpi dopiero za parę lat, kiedy jakoś się pan zagospodaruje, zarobi trochę grosza, będzie w stanie zapłacić. Ludzie tak tu właśnie zaczynają. To nie jest łatwe życie, zbyt prymitywne dla wielu imigrantów, ale inni wręcz kwitną.

- Powinienem obejrzeć tę ziemię. Czy to daleko?

- Jakies pięćdziesiąt kilometrów od granicy miasta. Mniej więcej. Zawsze może pan popłynąć z flisakami, ale jeśli jutro nie ma pan nic do roboty, niech pan jedzie ze mną. Pokażę panu okolicę. Mam w pobliżu innych klientów. Chcę sprawdzić, jak się im wiedzie.

- Mogę zabrać żonę i syna? - spytał Jakob. Nie był przyzwyczajony do załatwiania ważnych spraw w takim tempie. Ich obecność by go uspokoiła.

- Oczywiście. Tylko proszę pamiętać, że pojedziemy konno. Pani Meissner jeździ?

Jakob poczuł się jak głupiec.

- Bardzo przepraszam, ale ja jeszcze nie mam konia. Zapewne mógłby pan mi powiedzieć, gdzie go mogę kupić?

- Oczywiście. W stajniach na drugim końcu Quay Street. Tam zawsze jest kilka koni na sprzedaż.

- Ile za nie żądają?

- Za dobrego konia? Około piętnastu funtów. Tylko niech pan nie oszczędza na koniu, panie Meissner. W tym kraju, dokądkolwiek  
113

się pan udaje, to on jest pańską polisą na życie. Odpowiada panu spotkanie przed bankiem o szóstej rano? To znaczy o świcie. Wspaniały czas na jazdę i podziwianie krajobrazów.

Jakob z trudem oparł się pokusie, by podjechać pod nędzny hotelik i pokazać wszystkim swojego konia, gniadego dwulatka imieniem Dandy. Nie był czystej krwi, za to wydawał się silny, miał zdrowe zęby i błyszczącą sierść.

Kosztował go szesnaście funtów wraz z derką, siodłem, uprzężą oraz workiem owsa jako premią. Jakob odjechał z dumą, po czym odkrył, że Dandy ma temperament i woli iść tam, gdzie chce, niż tam, gdzie chce jeździec. Na szczęście jemu też siły nie brakowało.

- Zachowuj się, mały - powiedział z uśmiechem - albo dziś wieczorem obędziesz się bez owsa.

Podjechał do baraku, uśmiechając się jeszcze szerzej. Świetnie było znów jechać konno, tym razem na własnym koniu. Czuł się jak władca świata.

Był pewien, że teraz wszystko musi mu się udać. Kupi ziemię, zabierze na nią Fredę i Karla, zbuduje farmę. Już nigdy, przenigdy nie będzie musiał

oglądać się za siebie.

Freda i Karl wybiegli mu na powitanie, zdumieni i zachwyceni tym, że kupił konia, i oboje od razu chcieli się przejechać. Na Dandym. Ich Dandym.

Widzieli go, kiedy przejeżdżał obok. Jakob Meissner na koniu! Wyglądał jak księżę.

- Zawsze wiedziałem, że ma pieniądze - burknął Theo. - Ta jego żoneczka bez przerwy powtarzała, że będą mieli własną ziemię. Nie powinni jechać z nami, korzystać ze wspólnej kiesy, skoro mogli utrzymywać się sami. To nie w porządku.

- Nie zapominaj, że oni też złożyli datek, żebyśmy wszyscy mogli wyjechać z ojcem Beitzem - przypomniał mu Lucas.

- A owszem, owszem. Powiedziałbym, że tylko po to, by zwiększyć swój udział w zyskach.

- Co to za różnica? - zirytowała się Hanni. - My mamy zaledwie kilka szylingów. Jeśli nie wrócimy na kościelną ziemię, umrzemy z głodu, Lucasicie. Tam przynajmniej mają pieniądze na jedzenie.

114

- Co ze mną? - jęknął Theo. - Musiałem pożyczyć dwa szylingi od Walthera.

Zdążyli się już zorientować, że gospoda nazywana „hotelem” jest bardziej barem niż czymkolwiek innym. Lucas z uśmiechem wyjaśnił paniom, iż oznacza to, że najprawdopodobniej nie jest porządnym hotelem. Okazało się, że miał rację. Zaledwie piętrowy, zbudowany z drewnianych bali, z dachem z blachy falistej, bar składał się z dwóch sal, nieeleganckiej i mniej eleganckiej; służyły one także jako jadalnia, choć umeblowane były

zaledwie prostymi stołami i ławami ustawionymi na podłodze z topornych desek. Większość gości siedziała jednak na werandzie.

- Mają nadzieję, że zobaczą kogoś, komu mogliby powiedzieć, że piękna dziś pogoda - rzekł nieco wcześniej Lucas. Żartował jak zwykle. - Albo w ogóle coś, na co warto patrzeć w tym mieście.

Właściciel, Patrick O'Malley, mieszkał wraz z rodziną w szopie dobudowanej z tyłu baru. Udało mu się wprawić Niemców w zakłopotanie. Gdy tylko weszli, zapytał, czy zapłacą gotówką. Urażony Theo cisnął monety na blat, chciał udowodnić, że nie są żebrakami. Kilka chwil później zdziwił się na widok mężczyzny, który dostał drinka nie płacąc. Barman tylko zapisał coś kredą na wiszącej na ścianie tablicy. Niemal w tej samej chwili pojawił się doktor Strauss. Przywitał się uprzejmie z siedzącymi na werandzie, po czym wszedł do baru. Konstabl podążył tuż za nim, wymieniając wesołe uwagi na temat doskonałej pogody i doskonałego piwa. Życzył każdemu wszystkiego najlepszego i także znikł w środku.

W chwili gdy Niemcy zastanawiali się, czy mogą pozwolić sobie na trzecie piwo, bo w końcu podawano je tu w o połowę mniejszych szklankach, konstabl podszedł do nich i zapytał, czy ktoś nie szuka pracy.

- Wszyscy szukamy pracy - odparł Lucas.

- No więc tak: pan Dixon, zarządca Clonmel, potrzebuje małżeństwa.

- Jaka to praca? - zaciekawiał się Theo.

- Żona: obowiązki domowe, mąż: na początek grodzień, ale jeśli nieźle radzi sobie w siodle, zawsze może awansować na pastucha albo objeżdżać granice rancza...

- Dobrze płacą?

- Chyba tak. Tyle ile wszystkim w okolicy. I utrzymanie.
- Jak to?
- Miejsce do spania i posiłki są wliczone w wynagrodzenie.
- A dzieci? - wtrąciła Hanni. Theo spojrział na nią groźnie.

Colley potrząsnął głową.

- Nie sądzę. Nie tam. W kwaterach pracowników nie ma miejsca dla dzieci.
- Zgadzą się - oświadczył Lucas i spojrział na żonę. - Możemy, prawda?
- Jeśli nas przyjmą - odparła zawstydzona, patrząc spod długich rzęs na przystojnego konstabla. On zaś z wyraźną przyjemnością przyjrzał się jasnowłosej dziewczynie o wielkich niebieskich oczach.
- Z pewnością, z pewnością - rozwiął jej obawy. - Zakładam, że umie pani gotować, pani Fechner?
- Jest doskonałą kucharką. - Lucas był zachwycony propozycją.
- Jak wszystkie Niemki - wtrącił kwaśno Theo, ale decyzja została już podjęta, tak po prostu, nagle w jednej chwili. Fechnerowie nie tylko znaleźli pracę, lecz także dach nad głową. Uzgodniono, że pozostaną w baraku, póki Clem nie powiadomi pracodawców, którzy wyślą po nich powozik.
- Jest pan pewien, że mnie znajdą? - zaniepokoił się Lucas.
- Ależ oczywiście. Nikt tam nie ma czasu jeździć, wypytywać ludzi; oczekują, że znajdziemy im odpowiednich pracowników, a ja mam wrażenie, że wy doskonale sobie poradzicie.
- Dziękuję panu, bardzo dziękuję. - Hanni rozpływała się z wdzięczności. Mocno objęła Lucasa. - Widzisz, jakie to łatwe? Nie było o co się bać.

Jutro pójdziemy, pożegnamy się z ojcem Beitzem i poprosimy go o błogosławieństwo.

Tego dnia Freda nie miała nigdy zapomnieć. Jakob wymknął się tak wcześnie, że jej nie pozostało nic, jak tylko wrócić do łóżka i zamartwiać się na śmierć. Była pewna, że wszystko mu się pomyliło z tą dzierżawą, w każdym razie z trzema szylingami za pół hektara, a ten przyjazny dyrektor banku tak mu się spodobał, że pewnie poniesie go i zrobi jakieś głupstwo. Tak jak ojciec Beitz.

116

Ale znowu, po przedyskutowaniu sprawy z panem Rawlinsem, jej mąż doszedł do wniosku, że nie jest aż tak źle. Ich ziemia pozostanie bezużyteczna przez jakiś czas, ale przynajmniej będzie ich własna, odmierzona, zapisana na nazwisko pastora Beitz. Nikt nie mógł odebrać jej Kościołowi.

- A kto by chciał? - wzruszyła ramionami.

- Próbuję tylko powiedzieć - tłumaczył Jakob cierpliwie - że jeśli dzierżawi się ziemię, co zamierzamy zrobić, trzeba bardzo dokładnie przestrzegać zasad przydziału. Inspektorzy będą sprawdzać, co robimy. Musimy ją zagospodarować albo wezmą nas za spekulantów.

- To mi się nie podoba. Nie chcę żadnych inspektorów śledzących każdy nasz krok. Mamy pieniądze, powinniśmy po prostu kupić ziemię.

- Nie możemy. W każdym razie nie tę. Zresztą kto by chciał kupować? Obliczyłem, że jeśli wydzierżawimy ją za te trzy szylingi, zostanie nam na początek tyle, że nie będziemy musieli zapożyczać się w banku.

Freda spojrzała na niego zdumiona. Leżała na pryczy w wąskim pokoiku wpatrzona w nagi blaszany dach, pewna, że gdzieś tu musi kryć się

pułapka. Ale co, jeśli Jakob ma rację? Jeśli to co zaplanował, jest możliwe? Czy ten dyrektor banku, pan Rawlins, nie poczuje się urażony? W końcu pan Rawlins starał się, zamierzał zabrać obcego człowieka w jakąś dzicz, pokazać mu okolicę, a oni co? Nie pożyczą od niego ani pensa? Będą mu tylko marnować czas. Doprawdy, pomyślała, to przecież niemądre obrażać sąsiadów, zwłaszcza w nowej dziwnej sytuacji, kiedy tak ważne jest zyskanie akceptacji miejscowych.

Zdażyła niemal zapaść w drzemkę, gdy powstało zamieszanie. Freda nie słyszała krzyków tak gwałtownych, odkąd w jej wiosce wybuchły zamieszki spowodowane głodem, a było to pięć lat temu. Zaniepokojona przypomniała sobie, że wówczas jej rodzina przez całe trzy dni walczyła właśnie z Meissnerami.

Do jej pokoju wpadła Eva Zimmerman.

- Gdzie Jakob? - krzyknęła zdenerwowana. - Potrzebujemy go! Tylko Theo i Lucas nas bronią! - Wepchnęła do środka dzieci. Była bliska paniki.
- Broń ich! Dzicy nas atakują!
- O mój Boże!

Freda poderwała się na równe nogi, poprawiła spódnicę i bluzkę, próbowała wcisnąć dzieci pod pryczę. Pchnęła cienkie

117

drzwi, wybiegła na wąski korytarz, na który otwierały się pokoje. Niemal natychmiast zderzyła się z wielkim czarnym mężczyzną o nagiej piersi, wełnistych włosach i lśniących białych zębach. Śmierdział olejem, później uświadomiła sobie, że to olej kokosowy, ale wówczas krzyknęła ile sił w płucach, odepchnęła go, obrzydzenie wzbudziło w niej samo dotknięcie gładkiej nagiej skóry, i to obiema rękami. Ale czarnemu wcale to nie

przeszkodziło. Szli za nim inni, równie albo nawet bardziej przerażający. Dzikusy! A ten podszedł do drzwi jej pokoju, wyglądało nawet na to, że zamierza je otworzyć!

Dzielna Freda zagroziła mu drogę.

- Nie! - wrzasnęła. - Odejdźcie, brutale! Nie wolno wam krzywdzić niewinnych dzieci!

Widziała, jak ci inni rzeczywiście otwierają drzwi, zagląдают do pokoiów, opanowują barak. Rozpaczliwie rozejrzała się dookoła. Gdzie się wszyscy podziali? Co z Fechnerami? Czy tylko ona pozostała do obrony dzieci? Zadrzała. Ktoś musi stawiać opór do końca.

Freda Meissner zrobiła właśnie to. Wbiegła do swojego pokoju, rozkazała dzieciom zachować ciszę, po czym wróciła na korytarz z jedyną bronią, jaką była w stanie znaleźć w tak krótkim czasie. Parasolką.

Walczyła dzielnie, okładając nią dzikusów, których w baraku było coraz więcej, nie szczędziła ciosów, zagradzała im drogę; niektórzy uśmiechali się tylko, inni śmiali, jeszcze inni pokrzykiwali wesoło, wyzywani na pojedynek, w którym nic nie mogło się im stać, ale byli i tacy, których nie uszczęśliwiały ciosy parasolki wymierzone w głowę czy kark; w każdym razie wszyscy ją ignorowali zainteresowani pokojami, które chcieli chyba zająć z im tylko znanych, ale niewątpliwie mrocznych powodów.

Freda zdawała sobie sprawę, że jej walka nie pozostanie nie zauważona, że ci przerażający krajowcy, obrzydliwi ludzie z kośćmi w nosach i w naszyjnikach z białych muszli, nie zapomną tego oporu, nie rezygnowała jednak, walczyła z płynącymi jej po policzkach łzami, aż wreszcie trafiła parasolką... białego mężczyznę.

- Spokojnie, proszę pani - powiedział mężczyzna. - Spokojnie. Jestem

konstabl Colley. Przyszedłem, żeby sprawdzić, czy nic się pani nie stało.

118

- Oczywiście, że nic mi się nie stało. Proszę zabrać tych dzikusów z naszego baraku! To oburzające. Czy udało się panu uratować innych? Oslabła, była bliska utraty przytomności. Bełkotała. Nie wiedziała, co mówi. Dzieciaki Zimmermanów wyglądały spod pryczy, konstabl przeproszał i obiecywał, że to się nigdy nie powtórzy.

Nikt nie zauważył i nikogo nie obchodziło, że Freda ryzykowała życie w obronie dzieci Zimmermanów. Pomyślała nawet, że może to i lepiej?

Wyszłaby na głupią, bo okazało się, że była to jedna wielka pomyłka.

Ci czarni wcale nie byli Aborygenami, wyjaśnił konstabl, tylko Kanakami, mieszkańcami wysp mórz południowych, przywiezionymi do Australii do pracy na plantacjach trzciny cukrowej po drugiej stronie rzeki. Podobno bardziej przestraszyli się białych niż biali ich.

- Wysłano ich nie do tego baraku, ot i wszystko - wyjaśnił Colley. -

Marynarz się pomylił. Ich obóz jest jakieś pół kilometra dalej. Zwykła ludzka pomyłka. Kiedy ich łódź przybiła do przystani, wskazano im ten budynek.

- Zwykła ludzka pomyłka! - krzyknął Theo. - Cholerne bosc dzikusy biegające po naszym mieszkaniu! Na śmierć przerażili moją rodzinę!

- Ja się nie bałam - wtrąciła Eva.

- Bałaś się, bałaś - powiedziała Freda. - Zostawiłaś dzieci pod moją opieką.

- Nie. Miały zaopiekować się tobą.

- Może pomyślimy o śniadaniu? - zaproponował Theo. - Umieram z głodu. Czy coś zostało w naszej wspólnej spiżarni?

- Bardzo niewiele - oznajmiła Hanni. - Musimy zrobić zakupy.
- To zrób - polecił jej mąż. - Na koszt Kościoła. Nie powinniśmy płacić za siebie. Jeszcze nie.

Później Freda obiecała sobie, że na zawsze zapamięta, by nigdy nie wysyłać Hanni na zakupy. Głupia kobieta kupiła wprawdzie podstawowe produkty, ale oprócz nich także obrus w kratkę, wachlarze dla pań, tytoń dla mężczyzn oraz dla siebie wielki słomiany kapelusz z welonem jako ochronę przed wyjątkowo dokuczliwymi muchami, których trzeba przyznać, nie brakowało.

119

Wyczerpana całym tym zamieszaniem Freda nie wtrącała się w kłótnię Evy z Hanni. Zawsze wydawało się jej, że małżeństwo Hanni i Lucasa jest wyjątkowo niedobre. Oboje byli wręcz uderzająco urodziwi, zapewne tym rządziło się życie, w ten sposób doskonalili gatunek, bo Lucas bez dwóch zdań był przystojnym mężczyzną. Wysoki, o ciemnej karnacji, mógł służyć wręcz jako wzór męskiej urody z ciemnokasztanowymi włosami, piwnymi oczami i wspaniałymi długimi, gęstymi rzęsami. Freda pamiętała, że kiedy zobaczyła go na pierwszym spotkaniu, natychmiast pomyślała o własnym wyglądzie. Mając nie więcej niż trzydziestkę, Lucas był prawdziwym adonisem. Nie zaskoczył jej więc widok jego żony, ślicznej niby laleczka z dreźnieńskiej porcelany... Lucas jednak miał styl, Hanni zaś wydawała się mimo wszystko pospolita, a przy tym lekkomyślna i niestała.

Ale... w tej chwili niepokoiło ją coś innego. W odpowiedzi na pytania Thea, którego bardzo zainteresowali Kanakowie, konstabl wyjaśnił, że na plantacjach trzciny cukrowej można zatrudniać tylko tubylców, ponieważ

biali nie są zdolni do wykonywania pracy fizycznej w tym klimacie. Upały wysysają z nich wszystkie siły.

Freda rozejrzała się wokół zdumiona. Jakie upały? Pogoda była piękna, słońce świeciło jasno, lecz dzień był rzeński, wręcz idealny. Co przyniesie lato? Czyżby rzeczywiście było tak bezwzględne? Jaka jest różnica między pracą na plantacji a pracą na farmie? Niewielka, prawda?

Przynajmniej jej tak się wydawało. Jak w takim razie zdołają zagospodarować własną farmę? Czyżby musieli w tym celu zatrudnić w lecie tubylców? Tych Kanaków? Powoli nabierała przekonania, że popełniają straszny błąd rozważając kupienie ziemi akurat tutaj. Może powinni przenieść się na południe, gdzie klimat jest łagodniejszy. Mogła tylko mieć nadzieję, że Jakob nie podjął jeszcze decyzji, nie kupił ani nie wydzierżawił ziemi.

- A gdzie był Karl, kiedy działo się to wszystko? - spytał Jakob, żywo zainteresowany opowieściami o Kanakach.

- Po twoim wyjeździe coś się w mieście wydarzyło, więc poszedł zobaczyć. Nie było go w czasie całego tego zamieszania. Kiedy wrócił, powiedział, że ma na jutro dobrą pracę. Będzie pomagał kowalowi.

- Świetnie.

120

Odeszli od baraku, żeby móc porozmawiać prywatnie. Ruszyli brzegiem rzeki w stronę posterunku policji.

- Nie - zbuntowała się nagle Freda. - Nie chcę iść w tę stronę. Tam mieszkają te dzikusy.

- Dobrze. - Jakob wzruszył ramionami. - Możemy zawrócić. Chcę ci opowiedzieć o tym, czego dowiedziałem się dziś podczas drogi. Miałem

bardzo ciekawy dzień.

- Chwileczkę, poczekaj. Mnie powiedzieli coś znacznie ważniejszego.

Czy wiesz, że w lecie robi się tu tak gorąco, że biali ludzie nie mogą pracować pod gołym niebem? Nie są w stanie wytrzymać upałów. Dlatego sprowadza się tych Kanaków. Są przyzwyczajeni do tutejszego słońca. Jakob spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Nie! To nie może być prawda! Przecież dziś rano spotykałem się z farmerami. Ludźmi, którzy zaczynają tam właśnie gospodarować.

- Może o tym nie wiedzą?

- Musieliby wiedzieć - zaprotestował Jakob, ale mimo to wyglądał na zaniepokojonego.

Zobaczyli idącego w ich stronę konstabla. Natychmiast do niego podeszli.

- Czy to prawda, że latem jest tu bardzo gorąco? - spytała Freda.

Policjant skinął głową.

- Jasne. Może być naprawdę gorąco. I wilgotno. Przez jakieś sześć miesięcy. Ale ładna zima wszystko wynagradza.

Jakob pragnął zweryfikować relację żony.

- I dlatego sprowadza się tu krajowców?

- Owszem. Głównie na plantacje, ale nie tylko. Tania siła robocza.

- Rozumiem.

Colley odszedł. Freda chwyciła męża za ramię.

- Widzisz? A nie mówiłam? Rzućmy wszystko i jedźmy na południe. Tam klimat jest łagodniejszy.

Jakob potrząsnął głową.

- Nie możemy. Na to jest już za późno. Dziś rano wybrałem dla nas ziemię. I wniosłem o dzierżawę.

- Więc szybko wracaj i powiedz, że zmieniłeś zdanie. Jakob przyśpieszył kroku, skręcił za róg i dopiero wówczas zatrzymał się i odwrócił.

121

- Nie, Fredo - rzekł stanowczo. - Zostajemy. Znalazłem dobrą, doskonałą ziemię. Zagospodarujemy ją, zbudujemy wspaniałą farmę. Jeśli ktoś w ogóle może pracować w upale, to my też możemy. Czarni, biali, co za różnica? Jesteśmy farmerami, Fredo. Potrafimy sobie radzić. Nie zapomniał wzmianki o taniej sile roboczej. Skorzysta z niej... gdy będzie go na to stać.

Wieczorem Jakob musiał objaśnić wszystko dokładnie. Najpierw przekonał żonę i syna do sprytnego planu zdobycia farmy bez konieczności pożyczania choćby pensa, a potem przyznał, że zamierza jednak wziąć pożyczkę. Jak można się było spodziewać, Fredy to nie zachwyciło.

- Co za przykład dla syna! - powiedziała kpiąco. - Pożyczać pieniądze, nawet jeśli się ich nie potrzebuje. Cóż za głupota!

- To nie głupota, tylko dalekowzroczność. Karl jest z nami, więc zaraz wszystko wam wyjaśnię. Znalazłem ziemię przy rzece, bardzo porządną. Nawet stoi na niej stary szałas pasterski, taki początek domu.

- Jest tam kuchnia? - zacięła się Freda.

- Duży ceglany kominek.

- Będzie nam potrzebna kuchnia.

- Później o tym pogadamy. Obaj z panem Rawlinsem spotkaliśmy się z człowiekiem, który wybrał ziemię po sąsiedzku. Przeszło trzydzieści sześć hektarów.

- Co? - zdumiał się Karl.
- A tak. - Jakob nie zostawił rodzinie chwili do zastanowienia. - Najprościej mówiąc, ja też wybrałem trzydzieści sześć hektarów. Wydawało mi się, że pasuje to do okoliczności.
- Aż tyle? - krzyknęła Freda. - I co my z tym zrobimy?
- Zagospodarujemy - wzruszył ramionami. - Ale potem pomyślałem, że pewnego dnia Karl zechce mieć własną farmę, więc dla niego wybrałem jeszcze trzydzieści sześć hektarów. Tuż obok, mamy wspólną granicę. To dlatego potrzebuję pieniędzy z banku - zakończył z westchnieniem satysfakcji mającym świadczyć o tym, że co się stało, to się nie odstanie, niezależnie od tego co powiedzą inni.

Ale tym innym odebrało głos. Karl oniemiał z radości, Freda z gniewu.

122

Od tej pory Meissnerowie byli bardzo zajęci. Potrzebowali transportu, ale mieli niewielki wybór. Mogli pozwolić sobie zaledwie na konną platformę, która miała za sobą lepsze dni. Ale właściciel obiecał ją dla nich naprawić. Kolejnym krokiem była rozmowa z Jimem Pimbleyem. Od niego dowiedzieli się, jakich narzędzi, nasion i inwentarza będą potrzebowali.

- Kuchnia - powiedziała Freda.
- Przykro mi, ale w tej sprawie nie mogę pani pomóc, pani Meissner. Musiałbym ją zamówić w Brisbane.
- Może na razie zostawmy tę sprawę - wtrącił szybko Jakob. - Mamy rondle i garnki, poradzimy sobie. Mnie bardziej interesuje krowa i może kilka kóz. I kury.
- Załatwię to dla pana na każde życzenie - zapewnił Jim. - Ale nie ma sensu zwałać ich panu na głowę, póki nie ma na nie miejsca.

- Z tego co wiem, nie ma tam miejsca dla nas - prychnęła Freda, kiedy już wracali do baraku. Jakob nie miał jednak wątpliwości, że jej gniew kryje podniecenie, takie jakie odczuwał on i Karl. Uznał, że jest co świętować, zabrał ich więc do hotelu na szklanekę piwa.

Zastali tam Thea Zimmermana.

- Słyszałem, że się wyprowadzacie - powiedział. - Kupiliście farmę, tak?

- Niestety nie - odparł Jakob. - Wydzierżawiliśmy kawałek ziemi. Jakies pięćdziesiąt kilometrów stąd, nad rzeką. Musimy ją teraz zmienić w farmę.

- Pewnie sporo cię to kosztowało?

- Dzierżawa? Wcale nie. Powinieneś się tym zainteresować.

- Mówisz, że na razie nic nie zapłaciłeś?

- Początkowe koszty są czysto symboliczne. Theo skinął głową, jakby z góry wszystko wiedział.

- Rozumiem. Korzystasz z pieniędzy innych.

- Lepiej byś zrobił, słuchając Jakoba, zamiast go krytykować - nie wytrzymała Freda.

- Ja tylko pytałem - zaprotestował Theo żałośnie. - No bo z tego co widziałem, ziemia tu w okolicy do niczego się nie nadaje. Albo tropikalna dżungla, jak u nas, albo zwykły niekończący się busz.

123

- Prawda - przyznał Jakob. - Rzeczywiście nie wygląda to zbyt interesująco, ale nam wystarczy. A w dodatku, i o tym zapomniałem ci powiedzieć, poza farmami żyje mnóstwo cudownych dzikich zwierząt. Widzieliśmy kangury, dingo, stada emu...

- No nie! Powinieneś pozwolić mi jechać z wami. Jakob spojrzał na niego pogodnie.

- Spodziewam się, że będą tam jeszcze, kiedyś jakoś się ogarniemy.

Najbliższy sąsiad mieszka przeszło piętnaście kilometrów od nas, ale przez pewien czas nie będziemy się widywali.

- Dlaczego?

- Bo siedzi w więzieniu. - Mówiąc to uśmiechnął się szeroko.

- O mój Boże! - przeraziła się Freda. - Co za wspaniały przykład dla naszego syna!

Karla to raczej nie obeszło. Nadal radował się tym, że ojciec uznał za właściwe kupić drugą działkę na jego imię, był wszakże rozczarowany, że nie wspomniał o niej Theowi. Zapewne chciał się zachować taktownie.

Teraz czekał tylko na okazję napisania listu do domu. Pragnął przekazać kuzynom tę fantastyczną wieść. Ale radość! Przecież wszyscy twierdzili, że emigracja to istne szaleństwo. Czysta głupota. A teraz dowiedzą się, że on, emigrant, ma własne trzydzieści parę hektarów ziemi! Wszyscy zechcą wyjechać... ale nim tu dojadą, może okazać się, że nie ma już dobrej ziemi do wzięcia.

Pasterski szafas stał na małym wzniesieniu, jakieś półtora kilometra od szlaku stanowiącego wschodnią granicę między ich dwiema działkami.

Był w żalonym stanie, ale Freda tego właśnie się spodziewała. Została o tym uprzedzona. Przynajmniej kawałek terenu dookoła został uprzątnięty, a poprzez otaczające go drzewa prześwitywała rzeka.

Jakob był rozentuzjzmowany wręcz do nieprzytomności. Niemal biegiem poprowadził ich za dom, do lasu, przez który przepływał niemal niewidoczny, ukryty wśród poszycia strumyk. Zaczął wyrywać zarastające wszystko krzaki.

- Widzicie? O, jaki piękny! Dobra czysta woda... Nazywają go Psikus, jak

wam się to podoba?

124

- Bardzo - powiedziała spokojnie Freda. - Nie sądzisz jednak, że najpierw powinniśmy się rozpakować, a potem dopiero zacząć pracę?

Pracowali. Ciężko pracowali. Ojciec i syn. Toporami i piłami ścinali drzewa konieczne do naprawy szalasu i przygotowania gontów na dach. Freda wyszorowała dom od dachu po podłogę, nim pozwoliła im rozpakować cenne obrusy i pościel. Ani słowem nie wspomniała Jakobowi o tym, jak trudno będzie im żyć w szopie, zwłaszcza że była to maleńka jednoizbowa szopa. Nie wątpiła, że mąż wie, co trzeba zrobić i w jakiej kolejności.

Zbudowali obórkę dla krowy. Postawili kurnik, doskonale zdając sobie sprawę, jaką pokusą są kury dla psów dingo, których wiele włóczyło się w pobliżu. Mężczyźni od świtu do zmierzchu oczyszczali ziemię, Freda urządziła ogródek warzywny; w długich rzędach posadziła ziemniaki, dynie i kukurydzę. Pogoda była dla nich łaskawa: chłodne noce, piękne dni, od czasu do czasu gwałtowny deszcz. Nie zdawali sobie sprawy z upływu czasu... aż kiedyś niespodziewanie pojawili się goście.

Mierniczowie rozbili obóz nad rzeką i zabrali się do roboty. Przyjechała także konna platforma powożona przez Berta, tego samego, który transportował ich rzeczy na kościelną ziemię. Tym razem przywiózł resztę zamówienia od Jima, w tym kury. A co najlepsze, za platformą cierpliwie truchtała zdziwiona krowa.

Freda zarzuciła jej ręce na kark, przytuliła ją ze szczerej radości. Nigdy wcześniej nie musiała przyrządzać posiłków bez produktów mlecznych. Przez pewien czas żyli z zapasów, które ze sobą przywieźli, a były to:

solona wołowina, ziemniaki, rzepa, cebula oraz twarde biszkopty i jedzenie z puszek, którego wprost nienawidziła. Dziczyzny wszelako nigdy im nie brakowało

- dzikiego ptactwa, ryb, no i wielkich jaj emu oczywiście. Jedno wystarczało na cały posiłek.

- Macie jakieś zamówienia? - spytał Bert. Freda trąciła Jakoba łokciem w zebra.

- Kuchnia - powiedziała stanowczo.

- Nie - odparł cicho Jakob. Pokazał jej przygotowaną przez siebie listę narzędzi koniecznych im do przeżycia, od gwoździ przez drut do grodzenia po trzonki do siekier i tak dalej.

- Kończą się pieniądze z pożyczki. Musimy zacząć zarabiać na siebie.

125

Gdy tylko to sobie uświadomili, praca stała się cięższa. Na swoim małym, wydartym buszowi terenie ciągle robili wszystko co możliwe w tych warunkach, ale już zaczęli się śpieszyć.

Od czasu do czasu zyskiwali pomoc. Na przykład pojawiło się u nich małżeństwo Aborygenów bardzo zainteresowanych tym, co dzieje się w ich okolicy. Stali sobie spokojnie, obserwując Fredę piorącą koszule w strumieniu. Gapili się na nią tak długo, że w końcu stało się to nieznośne.

- Czego chcecie? - spytała, starannie ukrywając nerwowość, jej mężczyznom bowiem nie było w pobliżu.

Najwyraźniej nie chcieli niczego. Dziewczyna uśmiechnęła się, wzruszyła ramionami, skinęła głową na swego towarzysza i oboje znikli cicho.

Powracali kilkakrotnie. Czasami kobieta przychodziła z dzieckiem, które nosiła w zawiniątku na plecach. Freda zebrała się wreszcie na odwagę i

obejrzała je. Zachwycała się śliczną dziewczynką o wielkich czarnych oczach, gruchała do niej, cmokała, a oboje rodzice uśmiechali się dumnie.

- Freda - powiedziała do siebie.

Matka zrozumiała. Nazywała się Mia, córka miała na imię Wonti, a mąż Yarrupi, w każdym razie tak zabrzmiało to w uszach Fredy. Ku swemu zdziwieniu poprosiła ich, by zostali, i poczęstowała biszkoptami. Oboje stanęli przy tylnym wyjściu. Jedli wytrwale, aż na talerzu nie został nawet okruszek, po czym odeszli swobodnie bez słowa, nawet gestu pożegnania. Ale Mia zjawiła się nazajutrz i wręczyła Fredzie drewniane naczynie wypełnione miodem.

- Miód? - zdziwiła się kobieta. - Znaleźliście go w buszu?

Aborygenka zrozumiała gestykulację i również ona wskazała ręką otaczający je las.

- Busz - powiedziała całkiem wyraźnie.

Freda niecierpliwie wyczekiwała powrotu mężczyzn do domu.

- Spróbujcie! - poleciła im, gdy tylko stanęli na progu. •- Jest pyszny. To oczywiście dziki miód.

- Zdaje się, że z buszu można wyżywić się znacznie lepiej, niż my się żywimy - zauważył Jakob. - Oni nie mają farm. Powinnaś jak najczęściej zapraszać tych dwoje. Możemy wiele się od nich nauczyć.

126

Kilka dni później wraz z Karlem zmagali się z wielkimi korzeniami, już spalonymi. Wrywali je z ziemi przy pomocy konia. Nagle pojawił się Yarrupi. Po prostu podszedł do nich i wziął się do pracy. Okazał się bardzo przydatny dzięki swej sile. Nie dostosowywał się ani do pory dnia, ani do jakiegś szczególnej pracy, choć wydawało się, że najchętniej walczy z

korzeniami i ciężkimi bierwionami, zupełnie jakby traktował to jako sprawiające mu przyjemność współzawodnictwo.

Wyprawiali się coraz dalej od domu; przywiązywali kolorowe wstążki do pni drzew, żeby się nie zgubić. Jakob i Karl zaczęli polować i łowić ryby, urozmaicając monotonną kuchnię. Yarrupi lubił polować z nimi, choć strzelba Jakoba wyraźnie go denerwowała. Dzidą posługiwał się zręczniejsz niż Europejczyk bronią palną, więc do domu zawsze przynosili dzikie indyki i walabie dla Yarrupiego, bo Freda surowo zabroniła zabijania tych sympatycznych zwierzątek, które ogromnie się jej podobały.

W listach do domu Freda opisywała swe nowe życie jako idyllę, w rzeczywistości było ono jednak bardzo trudne. Dzień po dniu odkrywała, że prymitywne życie pozbawione jest codziennych drobnych wygod uważanych w każdym domu za oczywiste. Nie miała papieru do rozniecania ognia, wystarczającej ilości szmat do czyszczenia, miotły do przetykania komina, wszystkich tych prostych, trywialnych narzędzi, których brak jest tak bardzo irytujący. I cały dzień - podobnie jak mężczyznom

- upływał jej na pracy, od dojenia krowy rankiem do przygotowywania kolacji po zachodzie słońca, podczas której wszyscy byli tak zmęczeni, że nie mieli siły nawet na prostą rozmowę. Wreszcie Freda uznała, że muszą zrobić sobie wolny dzień.

- Jeśli już nie nam, to Karlowi z pewnością się należy

- powiedziała stanowczo. - Nie wolno ci orać w Karla jak w łysą kobyłę dzień po dniu, Jakobie. Jest młody, potrzebuje odpoczynku.

- Przecież robimy to dla niego! Musimy zacząć zagospodarowywać jego działkę. Inspektorzy sprawdzą, czy nie zamierzamy tylko spekulować

ziemią.

- Jeden dzień nie zrobi różnicy - naciskała Freda. Wkrótce pojawił się Les Jolly, szef drwali. Chciał obejrzeć sobie ich drzewa.

- Rawlins powiedział mi, że byłby pan zainteresowany sprzedażą dobrego drewna, panie Meissner.

127

- Tak, oczywiście. Mam na przykład cedry, które chciałbym pokazać panu na początek.

We dwóch obeszli obie działki. Po drodze Les oznaczał drzewa.

- Kto dzierżawi działki tam dalej? - spytał.

- Nie wiem. Mierniczowie mówili mi, że ktoś wykupuje dzierżawy, ale ja nikogo jeszcze nie widziałem.

Jolly skinął głową.

- Prawdopodobnie czekają na lepszą pogodę.

Jakob uznał, że to zabawne stwierdzenie, jako że pogoda była wręcz doskonała. Zima tu była jak lato w domu. Nawet cieplejsza.

Uzgodniono, że Les przyśle swoich ludzi do wyrębu drzew i spławienia ich rzeką do tartaku.

- Ale jak ściągną największe pnie z lasu aż nad rzekę? - zainteresował się Jakob.

- Zaprzęgi wołów. One ściągną drewno bez żadnych problemów.

Wystarczy zawiązać łańcuchy. A przy okazji, Jakobie, jeśli chcesz czegoś z miasta, mów zaraz. Woły przyciągną wszystko.

Powtórzył to pytanie, gdy znaleźli się w domu. Freda natychmiast

przypomniała Jakobowi o kuchni, ale on i tym razem tylko potrząsnął

głową.

- To przynajmniej kup zbiornik na wodę - poleciła gniewnie. - Nie będę nieskończoność nosić jej ze strumienia.

Jakob miał już zamiar powiedzieć: „A po co? Przecież nie napadało tu wystarczająco wiele, by wypełnić zbiornik”, kiedy zdał sobie sprawę z tego, co miał na myśli Les, mówiąc o lepszej pogodzie. Jako farmer powinien wiedzieć lepiej, a on tylko radował się promieniami słońca, oczyszczał ziemię, orał ją własnoręcznie i lekkie opady od czasu do czasu brał za coś oczywistego. Czy Freda nie skarżyła się ostatnio, że będą musieli ręcznie podlewać warzywnik? Nie, do tego przecież nie mogło dojść. Upewnił się, spoglądając na ogródek. Kukurydza wyrosła wysoka, zielona, dynie i inne warzywa radziły sobie doskonale. Jeszcze miesiąc, może trochę więcej, i będą mieli nadwyżkę do sprzedania na rynku. Wtedy zrobią sobie wolny dzień.

Mimo to zamówił zbiornik na wodę. Na wszelki wypadek, ta sucha zima mogła zamienić się w prawdziwą suszę. Freda była zachwycona.

- Drewno za to zapłaci - powiedział szorstko.

128

Karla nie obchodził wolny dzień, w końcu Bundaberg nie był miejscem stworzonym do zażywania rozrywek. Bardziej mu zależało na wykazaniu tym przerażającym inspektorom, że coś jednak zrobił na swojej ziemi. Pomyślał, że dobrze będzie oczyścić odcinek przylegający do traktu, może nawet ogrodzić go, przynajmniej na początek, ale potem wydało mu się to bezsensowne: inspektorzy z pewnością nie daliby się nabrać. Uznał, że lepiej będzie oczyścić i ogrodzić ziemię wzdłuż strumienia, dokładnie tak jak uczynił to na swojej ziemi jego ojciec. Przecież to potrwa wieki,

pomyślał ponuro.

Poza tym zaczęli niepokoić się pogodą. Dzień po dniu słońce wstawało na bezchmurnym niebie. Pola wyschły do tego stopnia, że o zmierzchu podawali sobie wiadra wody od strumienia do ogródka, byle tylko jakoś nawilżyć rośliny. I tu przeszkodą okazały się rzeczy tak proste, że wręcz prymitywne. Mieli tylko dwa wiadra. By rozwiązać ten problem, Freda korzystała z pomocy Mii i Yarrupiego, gdy tylko się pojawiali, wynagradzając ich rzepeą, którą uwielbiali, i kawałkami domowego sera, który przezuli, wypluli i oddali psu. Ustaliło się w końcu, że pracują za rzepeą i ziemniaki. Zabierali je do swego obozu, którego lokalizacja wydawała się tajemnicą. Fredzie udało się tylko dowiedzieć, że mieszkają z „rodziuną”, całkiem liczną, jak się jej wydawało, ale nie miała pojęcia gdzie.

Tydzień później pod dom podjechał powoli zaprzęg wołów z wielkim zbiornikiem na wodę przywiązany bezpiecznie z tyłu długiej platformy. Trójka Meissnerów przyglądała mu się z szeroko otwartymi oczami. Zaprzęg składał się z szesnastu wołów idących w parach. Woźnica siedział na platformie, obok szedł drugi „poganiacz”, jak go nazwał Les Jolly trzymający w dłoni długi bicz. Jakby tego było mało, poganiaczem okazał się... Theo Zimmerman! Wkrótce miało wyjść na jaw, że wcale nie podoba mu się ta praca.

Właściciel zaprzęgu, twardy muskularny mężczyzna imieniem Davey, zeskoczył z platformy i podszedł do Fredy.

- Pani Meissner? - spytał.

- Tak, to ja.

- Świetnie. Przywiozłem dodatkowe zaopatrzenie. Pół tuszy wołowej, już

oprawionej, konserwowaną baraninę, worek różnych artykułów spożywczych. Gdzie mam to złożyć?

129

- Ale przecież nic takiego nie zamawiałam! - krzyknęła Freda.

Davey uśmiechnął się do niej pogodnie.

- Nie musiała pani nic zamawiać. To od Lesa Jolly'ego. Trudno oczekiwać, żeby zdołała pani wyżywić jeszcze pięciu facetów, poza rodziną, prawda?

- Pięciu? - Freda ze zdziwieniem rozejrzała się dookoła.

- Ano tak. Mnie i Thea, i jeszcze trzech chłopca. Przy płyną do was łodzią z obozu. Drwale. Będą tu lada dzień. Powiedziałbym, że lada chwila, skoro ja już tu jestem. Les nie lubi marnować czasu.

Odszedł przyjrzeć się rozładowywaniu platformy, a Freda przywołała Jakoba pogrążonego w rozmowie z Zimmermanem.

- Czy ja mam dla nich gotować? - spytała.

- Na to wygląda - odparł Jakob zerkając na Thea.

- Tak jest przyjęte - potwierdził tamten.

- Mnie to nie przeszkadza, ale nie mam takich wielkich garnków.

- Davey ma. Wiezie ze sobą cały obóz. No, muszę już iść napoić woły.

Wkrótce wrócę, wtedy pogadamy dłużej.

Zajęli się potężnymi wołami, które Davey rozpoznawał i nazywał pieszczotliwymi imionami, bo przecież kochał je jak dzieci. Przy okazji Theo dokładnie obejrzał sobie dom Meissnerów. Wiedział, że wydzierżawili mnóstwo ziemi, naprawdę nieźle sobie poradzili, ale nie wydawało mu się, by byli aż tak sprytni.

- Niezbyt reprezentacyjna ta ich siedziba - powiedział do Daveya. - Stary

szałas.

- Niektórzy ludzie wiedzą, że musisz raczkować, nim nauczysz się chodzić - warknął Davey. - A ty nie szarp tak chomąta Stokrotki! Nie wystrugano jej z drewna! Odrobina delikatności, człowieku.

Theo nienawidził swej pracy, nienawidził wlec się po buszu w ślimaczym tempie, ale niestety na razie nie znalazł nic lepszego. Nie należał do zamożniejszych, jak ci Meissnerowie, nie dysponował brzęczącą monetą, którą mógłby wykorzystać, wziął więc pierwszą pracę, jaką mu zaoferowano. Pracował przy wytapianiu łoju z padłych owiec i bydła. Obrzydliwe. Mdlilo go cały czas, więc zrezygnował po kilku tygodniach. Ale Eva nie chciała wrócić na kościelną ziemię, musieli się więc przenieść z baraku do wynajętego mieszkania w domu zarządcy tartaku. Nie było to

130

reprezentacyjne miejsce, ot, tandetnie sklecony budynek, jak wszystko tu sprawiający wrażenie tymczasowego.

Nad tym też się zastanawiał. Czy to tak zwane miasto wiszące nad brzegiem rzeki w środku niczego przetrwa? Miał wrażenie, że nie, że upadnie, gdy tylko z braku dobrego drewna wyniosą się z niego drwale i flisacy. Hodowcy bydła, właściciele całej otaczającej je ziemi, nie potrzebowali Bundabergu, radzili sobie doskonale przez lata, nim ktoś wpadł na błyskotliwy pomysł przemiany tego punktu na mapie w ośrodek cywilizacji. No ale na razie można było tu znaleźć pracę, nawet dobrą. Gdyby nie Ffanni Fechner, już mieszkaliby w Clonmel. Ale nie, ta samolubna kobieta przedłożyła swój egoistyczny interes nad interes głodujących dzieci.

Podobnie postąpił ten cholerny stary pastor. Theo poprosił go nawet o

trochę pieniędzy, tyle, żeby miał z czego przeżyć, nim dostanie nową pracę, ale Beitz odmówił bez wahania.

- Jeśli do nas wrócisz, Theo, pieniądze nie będą ci potrzebne. Nie będziesz płacił czynszu. Potrzebujemy ludzi do pracy, bo większość naszej trzódki nas opuściła. Powrót do nas wraz z rodziną, a wszyscy oddamy się łasce Pana.

- Nie mogę tego zrobić, ojczu. Przecież niewiele miejsca odebraliście tej dżungli. Gdzie mamy mieszkać?

Czterej mężczyźni wybudowali sobie krzywą chatę z kory i gałązek krzaków. Gotowali na ognisku. Wydawali się całkiem zadowoleni, ale dla rodziny nie było to odpowiednie miejsce, zwłaszcza dla rodziny z małym dzieckiem, dziewczynką. Theo doskonale zdawał sobie sprawę, że Eva nigdy do tego nie dopuści. Nie musiał jej nawet pytać.

Od tego czasu przyjmował różne prace: wbijał pale pod ogrodzenia (cholernie ciężka robota, grzbiet bolał nieznośnie), potem pomagał cieślom budować drewniane biuro kapitanatu portu. Przez tydzień, gdy Patricka O'Malleya powaliła gorączka, sprzątał nawet w pubie, ale jego właściciel powrócił w końcu do zdrowia i nie musiał już korzystać z pomocy. Jego poprzedni szef, ten od ogrodzeń, był człowiekiem trudnym, nie chciał go z powrotem, więc Theo przyjął pracę poganiacza wołów, ot tak, dla odmiany. Zyskał szansę obejrzenia kawałka kraju i jeszcze mu za to płacono. Tylko że nie było łatwo. Znikał z domu na całe tygodnie, praktycznie żył na drodze, a robota też dawała w kość: zwożenie wielkich pni przez las na brzeg rzeki.

przewieźć nawet dwie tony. I jeździli na rancza, gdzie żyli ludzie mający prawdziwe pieniądze. W Clonmel spotkał Hanni Fechner, bardzo z siebie zadowolona. Była pokojówką w wielkim domu Dixonów.

- Tak, byłem w Clonmel - powiedział nieco później Jakobowi. - Mówią, że ziemia to tylko mały fragment posiadłości Dixonów. Spotkałem u nich Fechnerów. Ona jest służącą, on pastuchem. Nie wiem, jak dostał taką robotę. Podobno te ich koniki mają straszny temperament, zrzucą cię, nim na ciebie spojrzą.

- Pewnie tak - westchnął Jakob. - A co u ojca Beitz'a?

- Siedzą na tej swojej działce. Żyją jak tubylcy, strasznie prymitywnie.

- Aborygeni nadal im pomagają?

- Od czasu do czasu. Pastor doskonale dogaduje się z Tibbalingiem... tylko nie w niedzielę.

- Tak? A to dlaczego?

- Ponieważ wódz za nic nie potrafi pojąć, że czarni powinni przychodzić na niedzielne msze.

Jakob poruszył się niespokojnie.

- Teraz czuję się winny - wyznał. - Prawie zapomnieliśmy, że w ogóle istnieją niedziele.

- To źle, to bardzo źle. My co niedziela chodzimy tam na kościelną ziemię, żeby wziąć udział w nabożeństwie. Kiedy Tibbaling pojawia się z tymi swoimi młodymi byczkami i wraz z nimi zabiera do karczowania, pastor Beitz zaraz do nich pędzi, no i mamy awanturę. A tak przy okazji, słuchaj: Walthera ugryzł wąż!

- O Boże! Oczywiście tu zawsze jest takie niebezpieczeństwo, a zwłaszcza w gęstym poszyciu. Nic mu nie jest?

- Chorował przez kilka dni, to wszystko. Strauss powiedział, że gdyby to był jeden z tych naprawdę groźnych węży, Walther umarłby po kilku godzinach. Niezbyt pocieszające, co? Eva próbuje się dowiedzieć, jak wyglądają te jadowite, ale dla mnie to strata czasu. Jak cię ukąszą, to cię ukąszą, i tyle.

- Chyba tak - przyznał Jakob zaniepokojony.

- Ach, coś jeszcze! Omal nie zapomniałem. - Theo wyjął z kieszeni pogniecioną kopertę. - Ojciec Beitz przysłał ci list. Co pisze?

132

Jakob schował kopertę do kieszeni.

- Przeczytam później - powiedział na wypadek, gdyby pastor poruszył w liście jakieś sprawy prywatne. Po czym wrócił do ćwiartowania tuszy dla Fredy.

O liście przypomniał sobie dopiero, kiedy miał zamiar zgasić lampę na noc. Treść go nie zdumiała, a jednak budziła obawy. Pastor błogosławił ich wszystkich, odpuszczał im winę nieobecności na niedzielnych nabożeństwach i informował, że we wspólnej kiesie zaczyna brakować pieniędzy. Pastor postanowił rozwiązać ten problem, ustanawiając daninę obowiązującą wszystkich członków kongregacji żyjących niezależnie i pracujących dla siebie. Wysokość daniny miała wynosić szylinga tygodniowo od osoby, z wyłączeniem dzieci.

Jakobowi nie przyszło nawet do głowy odmówić, ale to żądanie przyszło w najgorszym możliwym momencie, bo przecież nie zarobili jeszcze grosza dla siebie. Zaczynał żałować hojnej decyzji dokupienia działki dla Karla. Freda nastawiona była znacznie bardziej optymistycznie.

- Dowiedziałam się od woźnicy, że w Bundabergu jest targ, każdej

pierwszej niedzieli parzystego miesiąca. Ludzie z buszu mają okazję pójść do kościoła, sprzedać produkty swoich farm. Najbliższy będzie za dwa tygodnie, w sierpniu. Skorzystamy z okazji, Jakobie. Sprzedamy warzywa i moje sery. Już je przygotowałam. Poradzimy sobie - pocieszyła męża, a po chwili namysłu dodała: - A może powinniśmy dać ojcu Beitzowi nasze produkty zamiast pieniędzy?

- Mnie by się to nie podobało.

- Pożyjemy, zobaczymy - uśmiechnęła się. - Zobaczymy, czego nie sprzedamy na targu. Może nie sprzedamy niczego i będziemy mogli dać im żywność? Jest tyle warta co pieniądze.

Jakob poszedł poszukać Thea.

- Wiedziałeś, że ojcowi Beitzowi brakuje gotówki? - spytał.

- Owszem. Domyślałem się nawet, że ci o tym napisze. Ja niestety nic nie mogę mu dać. Walther powiedział mi, że ojciec napisał do seminarium w Hamburgu z prośbą, żeby ten przysłany mu do pomocy młody wikary przywiózł ze sobą pieniądze, ale spodziewa się go dopiero w przyszłym roku. Wygląda na to, że on i bracia Lutze będą jednak musieli znaleźć sobie pracę jak każdy z nas. Przymusią pracę.

133

- I ziemia, którą zdołali oczyścić, znów zarośnie. Nie możemy do tego dopuścić. Czy jest tam dobre drewno, które mógłby kupić Les Jolly?

- Jest mnóstwo drewna. Już tam był. Ale Beitz nie zamierza go sprzedawać. Twierdzi, że najlepsze drewno potrzebne mu jest na kościół, a jeśli nie, to niech drzewa stoją sobie w spokoju. Nie odda nikomu ani gałązki.

Jakob dał sobie spokój. I tak miał się o co martwić.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Kleinschmidtowie mieszkali początkowo w obozie drwali głęboko w lesie, tam gdzie pracowali mężczyźni, ale ponieważ mieli ze sobą kobiety, Rolf bardzo pragnął jakoś się urządzić tak szybko, jak to tylko możliwe. Ku swej wielkiej uldze i radości stwierdził, że miejscowi pracownicy chętnie udzielają rad i pomocy nowym przyjaciołom z Niemiec. Przyjął je z wdzięcznością.

- Jednego nam nie brakuje - powtarzali wszyscy. - Drewna. Możecie spokojnie wybudować sobie własne chaty. Będziemy wam pomagać w niedziele. I tak nie mamy nic innego do roboty.

Rolf z przyjaciółmi przespacerował się przez busz, by sprawdzić, jak wygląda taka chata. Wprawdzie miała zaledwie dwie małe izdebki, ale za to zbudowana była solidnie, a żona jej właściciela urządziła nawet warzywnik. Musiała czuć się samotna, bo przybycie gości bardzo ją ucieszyło. Wydawało się, że od pierwszego wejrzenia polubiła młodych „cudzoziemców”, niemal zmusiła ich, by pozostali na herbacie.

- Pobudujcie się przed porą deszczową - ostrzegła ich - inaczej nabawicie się reumatyzmu od wilgoci. Od tego zmarł jeden z mierniczych. Za wilgotno było, dostał reumatyzmu i koniec.

Rolf za wiele już wiedział o tutejszym wilgotnym lecie, by zwlekać.

Szybko zbudowano pierwszą chatę, dwuizbową, ale z werandą.

Postanowiono, że zamieszkają w niej Rolf ze swoją żoną Rosie, jego dwaj bracia Hans i Thomas oraz ich siostra Helenę z mężem, Josefem Wagnerem. W dniu, w którym się

wprowadzali, urządzono wielkie przyjęcie, na które zaproszono też drwali

pomagających przy budowie, wraz z żonami. Najbardziej spodobało się wszystkim pyszne jedzenie przygotowane przez niemieckie dziewczęta.

Uznano to za wspaniałą odmianę po duszonej wołowinie i plackach.

Wieść o tym szybko się rozeszła i kiedy zaczęto budowę drugiej chaty niespełna kilometr dalej, przy szlaku, pomocników nie brakowało.

Zamieszkali w niej Brigitte i Paul Wagnerowie, siostra Paula Katja, żona kuzyna Rolfa Herberta Kleinschmidta, oraz dwóch braci Herberta, kawalerów, Alex i Dieter.

Na uroczystości zasiedlenia chaty zjawił się sam szef drwali, przyznając, że żywi szczególne upodobanie do przyrządzanych przez Katję pierogów z wołowiną. Specjalnie ulepiła ich więcej, by mógł je zabrać do domu dla pani Jolly.

- Jakim cudem pamięta pan, jak nazywać wszystkich tych chłopaków? - zagadnął go jeden z drwali.

Les roześmiał się serdecznie.

- Przecież to łatwe. Rolf pojawił się pierwszy, więc jego imię zostało mi w pamięci, a na innych wołam przezwiskami: Błady, Duży Joe, Smutny, to na tego rudego, Blondas, Brunet, Śmieszny i Mały... to na tego wielkiego gościa z ramionami jak konary.

Zabawa się skończyła, zaczęła praca. Po cichym lesie niósł się stuk siekier, nad drzewami unosił dym z kominów nielicznych rozrzuconych wzdłuż traktu domów i w ogóle wszyscy byli zadowoleni. Zdarzały się wszakże nieszczęśliwe wypadki. Właściciel jedynej po tej stronie rzeki zaprzęgu wołów został ciężko ranny, padające drzewo zmiażdżyło mu nogi. Drwale natychmiast przenieśli go do najbliższej przystani, łódź szybko odpłynęła w dół rzeki do miasta, rana okazała się jednak śmiertelna. Nieszczęśnik

zmarł kilka dni później.

Pogrzeb odbył się w lesie niedaleko przystani, gdzie woły czekały cierpliwie na swego pana. Płacząca wdowa, rozpaczając, co z nią teraz będzie, tak poruszyła Josefa Wagnera, że zaproponował jej odkupienie zaprzęgu i platformy ładunkowej.

Helene bez zachwyty przyjęła wiadomość, że jej mąż został właścicielem zaprzęgu, ale uspokoił ją wyjaśniając, że ktoś przecież musi to robić.

- A poza tym - dodał - drewno kiedyś wyrąbiemy, a ludzie nadal będą potrzebowali transportu. Zawsze mogę pracować

136

na plantacji cukru. Założę się, że wkrótce będzie ich więcej niż jedna.

Mówią, że cukier dobrze tu rośnie. Nie buraki, tylko trzcina.

Zarówno Josef, jak i jego żona w końcu pokochali swoje woły, jak to się zdarzyło wielu innym poganiaczom, potrzebowali jednak teraz znacznie więcej miejsca, nawet stajni, toteż jakiś miesiąc później, po wybudowaniu nieco dalej przy szlaku stajni, szop i ogrodzeniu niewielkiego wybiegu dla zwierząt, postawili tam także dom i wyprowadzili się z zatłoczonej chaty.

Osiedle Niemców przy River Road, jak zaczęto nazywać drogę, traktowano już jako coś znanego i oczywistego. Kobiety zyskały sławę dzięki swym przetworom i wędzonej kiełbasie; coraz więcej wędrowców przychodziło do nich, ściskając pieniądze w twardych dłoniach.

Rodziny bogaciły się; powoli, niezbyt spektakularnie, ale jednak bogaciły. Katja i Rosie oczekiwały dzieci. Paul Wagner wybudował wędzarnię. Rolf kupił konia. Hans przyprowadził do domu dwie krowy. Mężczyźni coraz rzadziej bywali w domu, wyrąbano bowiem odległe lasy, kobiety więc dotrzymywały sobie towarzystwa wdzięczne losowi, że mieszkają tak

blisko siebie. Zaprzyjaźniły się z wędrującymi w pobliżu ich domów Aborygenami, przyjmowały ich z przyjemnością, zachwyconych, że tak podobają się Niemkom ich dzieci; była to miła odmiana w ciężkich codziennych obowiązkach. Nauczyły się śmiać wraz z nimi i opierać mężczyznom od czasu do czasu próbującym groźbą zmusić białe kobiety, by dały im więcej jedzenia, i w lesie odróżniać te owoce i jagody, które można bezpiecznie zjeść, od tych, których lepiej nie dotykać.

Pewnego dnia Rolf zwołał spotkanie w swym domu, nalegając, by uczestniczyli w nim wszyscy. Gdy wreszcie się pojawili, pokazał im tajemniczą paczkę, po czym zmusił wszystkich, by poszli za nim aż do miejsca, gdzie River Road krzyżowała się ze szlakiem prowadzącym w głąb lądu. Uroczyście rozpakował zawiniątko. W środku był starannie wykonany znak z nazwą ich osiedla. Ich wioski. Rolf przybił go wysoko do pnia, a kiedy wreszcie pozwolił wszystkim obejść drzewo i przeczytać nazwę, usłyszał głośne radosne westchnienie.

Obrigheim. Tak nazywało się miasteczko w Niemczech, które oferowało Kleinschmidtom schronienie w potrzebie.

Mężczyźni wymieniali uściski dłoni, w oczach niejednego pojawiły się łzy. Wrócili wreszcie do domu Rolfa, gdzie zostali

137

poczęstowani winem, które przywiózł Josef ze swojej ostatniej podróży. Po raz pierwszy świętowali tak hucznie, trochę zdumieni, a trochę zachwyceni tym, że dobrze sobie radzą tak daleko od domu.

Tej nocy Rolf usiadł na dworze pod wielkim księżycem w pełni. Miał dwadzieścia pięć lat, był wysoki, szczupły. Sprawiał wrażenie spokojnego i pewnego siebie, ale mogło to być mylne odczucie. Dopiero dziś poczuł

się naprawdę bezpiecznie, wolny od lęków, które towarzyszyły mu od dnia, gdy zdecydował się na emigrację. Od czasu do czasu dołączali do nich inni, parami, jakby wstępowali na arkę, i kiedy pytali, czy mogą się z nim zabrać, dostawał kurczy żołądka. Bał się. Czuł się odpowiedzialny za wszystkich. Próbował zrzucić z barków ten ciężar, pozbyć się go, jakoś o nim zapomnieć, ale ilekroć coś poszło nie tak: fatalne jedzenie na statku, przerażające sztormy, kłótnie w grupie, szok na widok Bundabergu, który nie był przecież miastem, lecz osadą, i tej strasznej wspólnej ziemi obiecanej będącej niczym innym jak kawałkiem tropikalnej dżungli... no więc ilekroć coś poszło nie tak, Rolf odczuwał straszne bóle brzucha, aż zwijał się w kłębek, pozostałym zaś tłumaczył, że to nic takiego, tylko mdłości.

W końcu wszyscy pogodzili się z tym, że Rolf Kleinschmidt ma słaby żołądek. Także Rosie. Biedna Rosie. Robiła co w jej mocy, by gotować mu mdłe posiłki, których nienawidził, lecz jadł posłusznie; nie chciał sprawiać jej przykrości. Nie potrafił zdobyć się na odwagę, by powiedzieć żonie, że bóle brzucha to tylko oznaka niepokoju, nawet strachu.

Jest taki słaby! Ojciec spaliłby się ze wstydu na samą myśl, że jego syn chodzi po świecie przejęty stanem własnych nerwów.

Dziwnym zbiegiem okoliczności ojciec Rolfa był leśniczym... póki książę von Pressler nie zakazał wyrębu drzew w swych lasach. Rolf korzystał z jego nauk.

- Jeśli wolno mi to powiedzieć - szepnął w jednym z tych rzadkich momentów, gdy był z siebie całkowicie zadowolony - władam siekierą równie dobrze jak ci, z którymi pracuję. Albo i lepiej. Dzięki, tatku.

Książę zakazał jednak wyrębu lasów i uprawiania ziemi na terenie swej

posiadłości. Postanowił, że przywróci ją do naturalnego stanu, jak lubił powtarzać: „dziewiczej piękności będącej dziełem Boga”.

138

Ojciec Rolfa próbował wytłumaczyć słudze księcia, że leśniczy nie tylko wycina drzewa, lecz także gospodaruje lasem dla jego dobra, ale nikt nie chciał go słuchać. Dzierżawców wyrzucono z ich ziemi. Nawet mała wspólnota rolna żyjąca w cieniu wielkiej rezydencji księcia i dostarczająca produkty do jej kuchni musiała opuścić posiadłość tylko dlatego, że rozkazał tak rozmarzony dureń.

Na prośbę żony ojciec Rolfa zamieszkał w Obrigheimie, jej rodzinnej wiosce, poszło za nim mnóstwo ich krewnych i w wiosce zrobiło się wreszcie za ciasno dla wszystkich. Ten nagły napływ ludności piętnaście lat później wywołał kolejny exodus: emigrację.

Jakże wielu ludzi ostrzegało ich przed podjęciem tej drastycznej decyzji. Ci, którzy znali się na rzeczy, twierdzili, że wiedzą, co czeka ich na drugim końcu wymarzonej tęczy: straszni dzicy czający się w przepastnej dżungli, groźne zwierzęta rozrywające na sztuki pogrążonych w błogim śnie ludzi, a kto wie, czy w ogóle dotrą do celu...

Rolf uśmiechnął się. Kto mógł przypuszczać, że dzika dżungla, która rzeczywiście czekała na nich u kresu niebezpiecznej drogi, dżungla, której skrawek tak lekkomyślnie kupili, wcale nie jest przerażająca, lecz zaledwie strasznie kłopotliwa. I że dzięki niej i tym właśnie kłopotom rozpoczną zupełnie nowe życie we własnej, choć maleńkiej wiosce.

A jeśli chodzi o dzikie zwierzęta, to trzeba przyznać, że węże rzeczywiście stanowiły poważny problem. I dingo, ładne pieski, zagrażały kurom Rosie we dnie i w nocy. Ludzie bali się jednak przede wszystkim krokodyli,

potworów zamieszkujących rzekę. Rolf widział ich tylko kilka, kiedy spławiali drewno do tartaku. Wstrząsnął nim ich ogrom. I te złowrogie ślepie... Na szczęście teraz, kiedy ścinali sosny i cedry w głębi łądu, używali platform i zaprzęgów wołów raczej niż transportu rzeczno. Za co wszyscy byli wdzięczni losowi.

- Rolf, jeździec na drodze! - krzyknęła Rosie. - Chodź, zobacz kto to.

Czego ktoś może od nas chcieć o tej porze? W nocy?

Rosie była dla Rolfa zaskoczeniem. Pedantyczna kobieta dumna z tego, jak prowadzi gospodarstwo domowe, doskonale radziła sobie w prymitywnym obozie drwali, nim wybudowali dom. Nigdy nie poskarżyła się na brak najbardziej podstawowych wygód.

139

Ale kiedy znalazła się u siebie, choć teraz jej domem była drewniana chata, znów stała się strasznie grymaśna. Wraz z Helenę ochoczo podjęły wyzwanie, jakie postawiło przed nimi to rzeczywiście dziwne gospodarstwo. W dwóch wąskich oknach chaty, choć nie były nawet przeszklone, zawisły firanki. Kobiety powiesiły pasy perkalu na ścianach z surowego drewna, klepisko zaś przykryły trzciniowymi matami, dziełem własnych rąk. Można powiedzieć, że ich pomysłowość była dla mężczyzn miłą odmianą.

Rolf wziął lampę i wyszedł na spotkanie jeźdźca. Był nim jeden z ludzi Lesa. Przywiózł wiadomości.

- Les chce, żebyś ze swoimi braćmi przepłynął jutro na drugi brzeg rzeki i zaczął wyrąb na kilku działkach. Jest tam dobry jesion, sosna i cedr.

Niektóre oznaczył, ale ma ich być mnóstwo. Zajmie wam to pewnie kilka tygodni.

- Jak się tam dostaniemy? Przez rzekę?
- Idźcie na przystań, tę, z której spławialiśmy pnie. Łódź będzie już na was czekać. Jeśli chcecie, co wieczór możecie wracać do domu, ale Les twierdzi, że będzie wam łatwiej, jeśli założycie obóz na miejscu.

Powiedział mi, że gość od tej ziemi to wasz kumpel.

- Kto? Jak się nazywa?
- Meissner. Ma dwie działki. Dobrze zadrzewione, schodzące na równinę. Były częścią rancza Clonmel. Zapamiętałeś, Rolf? Tak? No to lecę.
- Zaraz, chwileczkę. Gdzie właściwie mamy pracować?
- Dokładnie naprzeciw przystani.
- Kto przetransportuje drewno nad rzekę?
- O to nie musicie się martwić. Les wynajął inny zaprzęg. Będzie na was czekał, więc proszę mi się nie wałkonić.

Rolf skrzywił się. Nikt z jego ludzi nigdy się nie „wałkonił”, jak to ujął ten człowiek. Miejscowa etykieta wymagała jednak zaproszenia go na posiłek.

- Może zje pan coś przed odjazdem? - powiedział. - Mamy gorącą zupę.
- Nie, dzięki, przyjacielu. Muszę dopilnować, żeby na jutro podstawiono wam łódź. Potem będę mógł wreszcie pójść do domu.

140

- Meissnerowie? Na drugim brzegu rzeki? Na litość Boską! - Rosie była bardzo zaciekawiona. - Co oni tam robią?
- Przypuszczam, że uprawiają ziemię. Miło będzie znów ich zobaczyć. Możesz pojechać z nami, jeśli chcesz.
- Bardzo chętnie. Czy dobrze słyszałam? Ten człowiek naprawdę powiedział, że możecie codziennie wracać do domu?
- Tak. To całkiem możliwe.

- Nie zgadzam się. Masz zostać tam, póki nie skończysz roboty. Wtedy możesz wrócić do domu. Nie zgadzam się, żebyś po nocy przepływał w małej łódce rzekę pełną krokodyli i rekinów. Nie ma mowy.

- Ale nie będzie mnie dłużej niż kilka dni.

- Nic nie szkodzi. Mam strzelbę, będziemy bezpieczne. Wy, mężczyźni, nie po raz pierwszy zostawiacie nas same.

Rolf uśmiechnął się.

- Niech będzie, ale proszę cię, nie strzelaj na oślep. Hansa i Thomasa zawiadomię o wszystkim rano.

Kiedy Jakob zobaczył, kim są drwale mający dla niego pracować, nie wierzył własnym oczom, a kiedy wreszcie uwierzył, zabrał ich na spotkanie z Fredą. Nie ukrywał dumy.

- Ale fajne chłopaki, nie ma co. Drwale! Tacy, co to mają przed sobą mnóstwo roboty. Niektóre z tych starych drzew są doprawdy ogromne... ale takie wielkie rosną też chyba po drugiej stronie rzeki.

- To prawda, Jakobie. Dziwne, że popłyną do Europy. Rolf nie zamierzał tracić czasu. Pożyczył od Jakoba konia

i pojechał rozejrzeć się po okolicy. Jego towarzysze mieli parę chwil na rozmowę, wymianę informacji, plotek i doświadczeń.

- Macie własne domy? - zaciekawiała się Freda.

- Tylko trzy - wyjaśnił Hans. - Teraz w kolejce jesteśmy ja i Thomas.

Musimy mieć jakiś dach nad głową, nim zaczniemy szukać żon.

- Wielkie nieba! Jakaż to radość wiedzieć, że tak dobrze się wam powodzi!

- Wam nie gorzej - odparł Thomas. - Tyle ziemi! Pewnego dnia będziecie tu mieli piękną farmę. Tylko że potrzebujecie większego domu. Jedna izba

i kuchnia to za mało dla naszych pań, Jakobie.

141

Hans spojrział na brata zażenowany.

- Nie przejmuj się nim, Jakobie. Zawsze jest taki nietaktowny. Tylko czasami mówi do rzeczy.

- Wręcz przeciwnie. - Thomas nie dawał za wygraną. - Jakob ma tu dość dobrego drewna, żeby wybudować miasto. Powinniśmy poświęcić mu jedną z naszych niedziel. Bóg tylko wie, że jest nas wystarczająco wielu, wliczając Thea i tego tutejszego właściciela zaprzęgu.

- O co chodzi z tą niedzielą? - zainteresował się Jakob. Thomas uśmiechnął się do Fredy wesoło, kpiąco.

- Nasze chaty budujemy w niedziele. Możemy wybudować jedną dla pani, pani Meissner.

Freda rozejrzała się dookoła.

- Tu jest nam bardzo dobrze, Thomasie, naprawdę bardzo dobrze. Ale dziękuję - powiedziała.

- Jasne, jasne - skinął głową. - Pogadamy, gdy wróci Rolf. W końcu on tu jest szefem.

Rolf wiele dowiedział się o nadaniach ziemi od Lesa Jolly'ego i mierniczych wyruszających z Bundabergu we wszystkich możliwych kierunkach. Ci ludzie wykonywali naprawdę ciężką pracę. Słońce czy deszcz, przedzierali się przez dziką dżunglę, a właściwie należałoby powiedzieć, że wyrąbywali sobie w niej drogę, wyznaczając działki ziemi dla nowych osadników. To go zafascynowało. Nie przypuszczał, że będzie mu dane obserwować, jak dziewicza przyroda ujęta zostaje w ramy cywilizacji. Przecież w Niemczech istnienie wiosek i gospodarstw rolnych

przyjmowano jako coś oczywistego, jakby były tam od początku świata, tu zaś widziało się narodziny historii.

Gdy tylko mieli pracę, mierniczowie nie marnowali ani chwili. Rozbijali namioty, rozkładali stoły służące im za biurka, mierzyli i kreślili przez wyznaczony czas. Pewnie, myślał Rolf, płacą im za wykonaną pracę. W każdym razie niedziela była dla nich kolejnym dniem roboczym, więc często zrywał się w tym dniu o świcie, wędrował w trudnym terenie i proponował swą pracę. Jego ofertę przyjmowano z wdzięcznością. Stał się wykwalifikowanym pomocnikiem, niósł łańcuch dwudziestu dwóch drucianych miar po jardzie każda, wytyczając nim odcinki gruntu.

Roześmiał się, kiedy uświadomił sobie wreszcie, że jest on stosowaną przez mierniczych jednostką: jeden łańcuch, nim liczono

142

długość granic. Było to tak oczywiste, że początkowo wcale się tego nie domyślał.

Teraz już rozumiał, czym są jednostki miary, i jak sami mierniczowie potrafił wyobrazić sobie czterdzieści arów albo nawet dwieście pięćdziesiąt hektarów. I jak Les Jolly jednym spojrzeniem na las Rolf umiał ocenić liczbę drzew na ar wyłącznie na podstawie dzielącej je odległości. Mniej niż dwa metry i jest ich dwa pięćset na hektar. Tak to się ustalało, zależnie od okoliczności raz mniej, raz więcej.

Rosie nie podobało się, że pracuje w niedziele, i tak zarobionych pieniędzy nie wliczała do ich tygodniowych dochodów. Miała zamiar przeznaczyć je na specjalny cel i cel ten objawił się jej w liście pastora Beitza.

Niedzielnymi pieniędzmi mieli spłacić należną daninę. Jego dobra, bojąca się Boga kobieta nie dostrzegła ironii sytuacji, a Rolf uznał, że nie ma

sensu z niej podkpiwać.

Mając takie doświadczenie, Rolf bez trudności rozpoznawał wbite w ziemię przez mierniczych kołki, oznaczenia na drzewach wskazujące stałe punkty terenu, umiał nawet znaleźć obozy mierniczych. Z łatwością określił granice posiadłości Jakoba; miał tylko nadzieję, że wznoszą się wystarczająco wysoko, by ominęły ją powodzie. Zaskoczony tym, czego się nauczył, sam o tym nie wiedząc, znalazł nawet znak swego przyjaciela, George'a Stilwella. Czasami tak po prostu dla zabawy mierniczowie pozostawiali swe znaki, a George rzeźbił zwykły łuk, uśmiech, na drzewach lub częściej na kamieniach, bo tam miał wszelkie szanse przetrwać dłużej. Tym razem był on umieszczony na skale niedaleko granicy przyszłej farmy Jakoba, która jak mu powiedziano, obejmowała teren należący poprzednio do rancza Clonmel. Mógłby się założyć, że osadnik nie jest tym zachwycony. Przecież ta równina, gdzie drwale niewiele mieliby do roboty, była wspaniałym pastwiskiem i doskonale nadawała się do uprawy.

Rolf zawrócił. Widział wystarczająco dużo. Wschodnia część ziemi przyjaciela obfitowała w drzewa doskonale nadające się do ścięcia. Będą tu mieli robotę na ładnych parę tygodni.

Podjechał do rzeki, szukając drogi powrotnej do domu Meissnerów; aż nazbyt dobrze wiedział, jak łatwo zgubić się w buszu. Krajobraz i drzewa wszędzie wyglądały tak samo, doprawdy było to gorsze od labiryntu.

Odległości, które mieszkańcy

143

traktowali jako coś oczywistego, znacznie zwiększały niebezpieczeństwo.

W pobliżu rzeki trafił na drogę zaopatrzeniową. Pojechał nią przez

zagajnik wysokich eukaliptusów nad samą wodę, by napoić konia. Siedział w siodle, patrząc na przeciwległy brzeg, którego część przerobiono na przystań. Tu wiązano pnie w tratwy, po czym spławiano je do tartaku. Przez pewien czas pracował przy tym Dieter. To zajęcie nawet mu się podobało, no ale on zawsze był ryzykantem i nie wiedział, co to strach. Był gotów spróbować wszystkiego. Uwielbiał ciężką pracę i ryzyko wiążące się z manewrowaniem masywną śliską tratwą. Dopłynąwszy do miejsca przeznaczenia, drwale przemienieni we flisaków musieli rozpiąć ciężkie łańcuchy, załadować je na konną platformę, przewieźć w górę rzeki i zacząć wszystko od nowa.

Rolf zamarł. Doskonale pamiętał dzień, kiedy po raz pierwszy usłyszał krzyki i przekleństwa pracujących przy tratwie ludzi, którym przyglądał się z zainteresowaniem. Widział, jak jeden z nich wpada do wody pomiędzy pnie; do tej pory pamiętał, jak nieszczęśnik krzyczał. Ale kompani wyciągnęli go i zaraz potem mężczyzna znów wziął się do roboty. Tylko... ten jego krzyk! Zupełnie jakby słyszał go właśnie teraz. Drgnął nagle, podniósł głowę, a zaskoczony koń prychnął i odskoczył od brzegu rzeki.

Rzeczywiście ktoś krzyczał, ale gdzie? Rolf rozejrzał się dookoła, przypatrzył się nawet wierzchołkom drzew, bo krzyk ptaka łatwo było tu pomylić z ludzkim. Trącił końskie boki piętami, przejechał kawałek wzdłuż brzegu. Nie dostrzegł nikogo, więc zawrócił. Przed sobą miał dość wysoki pagórek, na który nie dałoby się wjechać konno. Przywiązał Dandy'ego do drzewa i dalej poszedł na piechotę. Był prawie na szczycie pagórka, kiedy dostrzegł miotającego się w wodzie człowieka.

Szok omal go nie sparaliżował. Tonący zauważył go, wołał o pomoc.

Kurczowo ścisnął gałąź drzewa, prąd zniósł go na środek rzeki.

- Ratunku! - krzyczał. - Nie umiem pływać!

Skąd się tam wziął? pomyślał Rolf. Co robi w rzece, skoro nie umie pływać? Poszukał wzrokiem łodzi, może przewróciła się, odpłynęła... ale jej nie zauważył. Wiedział, że musi pomóc temu komuś, ale nie miał pojęcia jak. Rzeka była szeroka i bardzo głęboka. Nie miał najmniejszej ochoty w niej pływać. Ale może będzie w stanie popłynąć konno?

144

Zbiegł po zboczu, wskoczył na siodło. Skierował Dandy'ego wprost do wody z nadzieją, że pobiegnie płyciznami, póki nie znajdą się naprzeciw tonącego mężczyzny. Dandy wołał jednak nie ryzykować. Tańczył i wspinał się, nie zamierzał pójść dalej, choć Rolf uderzał go piętami i zachęcał na wszelkie możliwe sposoby. Trudno było zresztą winić za to konia. Obawiał się, że zwierzę potrafi wyczuć krokodyle i ich kryjówki... i jego własny strach. On sam bał się stworzeń zamieszkujących te wody. Co robić? Nie może tak po prostu zostawić tu Dandy'ego. Albo skłoni konia, by jednak popłynął, albo sam będzie musiał wyłowić topielca. Nieszczęśnika, który nawet nie umiał pływać! Ponaglającego go, bo już nie mógł wytrzymać. Miotającego najgorsze przekleństwa.

Rolf zdjął z konia siodło. Zdarł z siebie ciężkie spodnie, wskoczył na grzbiet Dandy'ego i z całej siły uderzył go paskiem po zadzie. Tym razem Dandy skoczył na głęboką wodę. Dzielnie walczył z prądem; wydawało się, że wiedział, czego od niego oczekują. Rolf prowadził go łukiem do tonącego mężczyzny, ale wystarczająco blisko, by ów zdołał chwycić się konia. A potem już zmierzali do brzegu, Dandy'emu zaś najwyraźniej nie przeszkadzał dodatkowy ciężar. Dzielnie płynął, jakby właśnie złapał drugi

oddech.

Gdy tylko wydostali się na płyciznę, Dandy zrzucił jeźdźców z grzbietu. Wbiegł na wysoki pagórek zadowolony z odzyskanej wolności, otrząsnął się, poszukał schronienia w kępie drzew.

- Nie śpieszyłeś się, co? - powiedział ocalony do Rolfa wchodzącego na pagórek śladem konia. - Omal nie utonąłem.

- A coś ty w ogóle robił w wodzie? - odparł Rolf, pomijając milczeniem opryskliwość obcego mężczyzny.

- Przepływałem na drugi brzeg, tam wyżej. Pontonem. Uderzył w coś, przewrócił się, uciekł mi, spłynąłem na dół, wypilem chyba połowę wody z tej cholernej rzeki i wreszcie złapałem konar. Jesteś Niemiec?

- Tak.

- Ty wydzierzawiłeś tę ziemię?

- Nie, jestem drwalem.

- To nie masz tu nic do roboty. Drewno należy do nas.

- Czyli do kogo?

- Do mojej rodziny. Dixonów. Clonmel należy do nas. Jesteśmy na naszej ziemi, a w każdym razie była nasza, nim rząd

145

zaczął ją rozdawać jakimś przeklętym żebrakom. Jak się nazywasz?

- Rolf Kleinschmidt.

- No to posłuchaj mojej rady, Rolf. Jestem ci coś winny, przyznaję.

Zapomnij o drewnie na tej ziemi i wracaj do domu. Weź piłę do ręki, a będziesz miał poważne kłopoty.

- A kim ty jesteś, żeby udzielać mi takich rad?

- Mam na imię Keith. Keith Dixon. Mój stary jest tu szefem. J. B. Dixon.

Jego ojciec był tu pierwszy, więc tatko niechętnie widzi bezczelnych farmerów zajmujących mu pastwiska.

Rolf włożył spodnie, osiodłał konia. Keith lamentował nad zgubionymi butami.

- Omal się nie utopiłem, próbując je zdjąć, a jednocześnie utrzymać głowę nad wodą. To były cholernie dobre buty - jęknął. - Słuchaj, mógłbyś wyświadczyć mi kolejną przysługę? Będę ci wdzięczny, naprawdę.

- O co chodzi?

- Pożycz mi konia. Do domu mam dobre piętnaście kilometrów, a ty tylko parę, w dół rzeki.

Rolf miał dość tego faceta i jego irytującego zachowania.

- Przepraszam, ale nie mogę. To nie mój koń. I tak zraniłem mu zad pasem.

- To akurat widziałem. Cholerne bydlę. Słuchaj, nie chcesz pożyczyć, to go kupię. Wypiszę ci skrypt dłużny.

- Przecież mówiłem, że to nie mój koń.

Dixon wstał. Zdjął koszulę i rozpostarł ją, by choć trochę wyschła na słońcu.

- Skoro nie dostanę konia, to nie ma sensu, żebym siedział tu dłużej, ociekając wodą jak jakieś cholerne pranie na sznurku.

Odwrócił się i odszedł energicznym krokiem. Rolf nie zatrzymywał go.

Dixon był mniej więcej w jego wieku. Wyglądał doskonale, muskularny i opalony; z całą pewnością dobrze radził sobie w buszu.

Piętnastokilometrowy spacer do domu nie powinien być dla niego problemem, bo gdyby był, zapewne energiczniej domagałby się konia.

Rolf miał nieodparte wrażenie, że Keith próbował go naciągnąć,

sprawdzał, czy nie spotkał frajera.

Teraz czekało go trudne zadanie: musiał wrócić do domu Jakoba i wyjaśnić mu, w jakich okolicznościach Dandy odniósł ranę.

146

- Lepiej naucz się pływać! - krzyknął za Dixonem, ale on nawet się nie odwrócił.

Wjeżdżający na padok koń i jeździec wyglądali żałośnie. Freda patrzyła na nich zdumiona.

- Co się stało Dandy'emu? - spytała gniewnie. - Cały ubłocony... i zobacz, jest ranny!

- Pani Meissner, mogę wszystko wyjaśnić. Poproszę o wiadro wody, to go wyczyszczę.

- Nie! Ja to zrobię. Ty idź porozmawiać z Jakobem. Rolf opowiedział o spotkaniu z Keithem Dixonem i w końcu poruszył temat drewna.

- On mi powiedział, że nie macie prawa do drewna na swojej ziemi. Że należy do nich.

Jakob potrząsnął głową.

- Niemożliwe. Rząd przejął swoją ziemię przeznaczoną pod uprawę.

Wydzierżawił ją, komu uznał za stosowne. W umowie nie ma słowa o tym, że nie jestem właścicielem własnych drzew.

- Bo to chyba niemożliwe. - Rolf wzruszył ramionami. - Ja w każdym razie przekazuję tylko to, co powiedział Dixon. Les Jolly zna się na interesach. Nie posłałby nas tam, gdzie nie mamy nic do roboty.

Właściciel zaprzęgu, Davey, który stał blisko nich i przysłuchiwał się rozmowie, pykając z fajki z korzenia wrzośca, uznał za stosowne się

wtrącić.

- Nie byłbym tego taki pewien, przyjacielu. Ci Dixonowie nie za bardzo przejmują się zasadami. Ścięli drzewa Mike'a Quinlana.

- A to kto?

- Taki Irlandczyk. Ma ziemię na południe od was. Można chyba powiedzieć, że jesteście sąsiadami. Też zajął ziemię Clonmel. Jasne, zgodnie z prawem, dzierżawa i w ogóle. Ale i tak wycięli mu drzewa.

- Jak?

- Posłali swoich ludzi, gdy tylko Mikę wyjechał. Chciał hodować krowy dla mleka. Pojechał do Maryborough kupić stado, żeby przepędzić je do siebie. Załatwili go, nim wrócił, rozumiecie? Stracił najlepsze drewno.

- I tak po prostu się na to zgodził?

147

- On? A skąd! To twardy facet, ten Mikę Quinlan. Pojechał do Clonmel jak do siebie. Zastrzelił jednego z najpiękniejszych merynosów Dixona. Jak gdyby nigdy nic. Teraz oczywiście siedzi w więzieniu. Nie wolno tak po prostu zabijać merynosów. One tu robią za bogów.

Rolf i Jakob wymienili spojrzenia. Wyglądało na to, że obaj nie mają pojęcia, co zrobić z tą szczególną informacją.

- Moim zdaniem powinniście ciąć drzewa najszybciej jak możecie - mówił Davey. - Nim Dixon zacznie sprawiać kłopoty. Pomożemy wam, ja i Theo. Rolf, twoi chłopcy już są?

Freda wróciła. Podziękowała Daveyowi za udostępnienie garnków.

- Wydaje mi się - rzekła - że moje dynie, przynajmniej niektóre, są już tak dojrzałe, że można je zbierać. Część rzepy też. Będę potrzebowała większych naczyń.

- Nie ma sprawy, proszę pani - usłyszała w odpowiedzi. - Mam w obozie piec polowy. Zawsze coś da się zrobić, jeśli pani sobie życzy.

- Co to takiego ten piec polowy?

- Aaa... Chętnie go pani pokażę. To taki zwykły prostokątny piec, który stawia się na ognisku.

- Naprawdę? Nada się dla nas?

- No pewnie.

Dla Fredy była to najwspanialsza wiadomość na świecie. Nie musiała już ograniczać się do gotowania posiłków i pieczenia mięsa na rożnie.

Postanowiła sprawdzić, jak to naprawdę wygląda. Oczywiście coś takiego musiało być znacznie tańsze od normalnego kuchennego pieca.

Kiedy podchodzili do platformy, powiał wiatr niosący suchy pył. Freda odruchowo strzepnęła fartuch.

- Tak tu sucho - powiedziała. - Kiedy możemy spodziewać się deszczu?

- Na razie się na to nie zanosz - odparł Davey. - Zimą prawie wcale nie pada, ale po mojemu w tym roku jest jednak nieco gorzej niż zwykle. Kraj jest suchy jak huba, mnie coraz trudniej znaleźć płycizny i wodopoje, z których mogłyby się napić woły.

Piec polowy wyglądał jak poobijany, stary czarny sześcian. Freda postanowiła zaczekać z oceną. Ciekawe, co się da z tym zrobić.

148

\*

Tydzień później zjawił się u nich Keith Dixon z dwoma ludźmi z Clonmel. Freda poczęstowała ich kawą, tę grzeczność wyświadczano w tym kraju wszystkim gościom. Niczym nie zdradziła, że wizyta napawa ją niepokojem. Keith jako jedyny odmówił poczęstunku. Poszedł

porozmawiać z Jakobem.

Freda podała im także zimny pudding wiedząc, że chętnie go zjedzą.

Próbowała nawiązać z nimi rozmowę w nadziei, że dowie się, o co chodzi młodemu Dixonowi, ale oni woleli mówić o pogodzie i o tym, że wysychają pastwiska. Nagle przypomniała sobie, że Lucas i Hanni pracują w Clonmel.

- Znacie może Lucasa Fechnera? - spytała.

- Ja znam - przytaknął starszy z gości. - Równy facet. Umie ciężko pracować. Minęło trochę czasu, nim zorientował się co i jak. Raz zgubił się w buszu, szukaliśmy go pół nocy, wreszcie koń przyprował go do domu. Ale powiedziałbym, że teraz już całkiem dobrze rozumie, na czym polega jego robota.

- On i Hanni przyłączyli się do nas - wyjaśniła Freda. - Podróżowaliśmy w grupie.

- Jasne. Moja rodzina przybyła ze Szkocji i też było ich mnóstwo.

Wszyscy jakoś sobie poradzili. A jak wam idzie?

- Całkiem nieźle, dziękuję. Dobrze słyszeć, że Lucas lubi swoją pracę. Jak sobie radzi Hanni?

Dostrzegła, że mężczyzna nagle spoważniał. Krótko, gniewnie skinął głową na towarzysza, nim powiedział grzecznie:

- O ile wiem, u niej też wszystko w porządku.

- To świetnie.

Freda nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Wyczuwała, że coś tu jest nie tak, ale postanowiła nie dociekać co. Zerknęła tylko na las pomiędzy domem i rzeką, gdzie już zaczął się wyręb.

- Ten pan Dixon... on jest jedynym synem?

- Nie. Jego najstarszy brat zginął. Spadł z konia. Średni z żoną podróżują po świecie.
- Na pewno doskonale się bawią. Ten Keith... jest wielką pomocą dla ojca, prawda?
- Oczywiście. Ale stary J. B. nadal rządzi twardą ręką. Nie pozwala sobą kierować. Nikomu.
- A teraz... czy przyjechał z sąsiedzką wizytą, czy też może ma jakiś interes do pana Meissnera?

149

Mężczyźni spojrzeli na siebie, widać było, że czują się nieswojo. Młodszy zsunął kapelusz z czoła, podrapał się po szyi i odparł:

- Sądzę, że jedno i drugie. Ma pani tu ładny ogródek, nie powiem. Ziemia wydaje się w sam raz dla warzyw.
- Gdyby tylko popadał deszcz. - Freda niemal wyszeptała te słowa.
- Jasne. Prędzej czy później zawsze pada. - Mężczyzna oddał jej talerz. - Pudding był znakomity. Bardzo pani dziękuje.

Rolf i Thomas stali wysoko na wąskiej skalnej półce przepasani linami zabezpieczającymi ich od upadku. Zaczynali pracę nad ogromnym cedrem. W tych lasach rosło tyle wspaniałych okazów, że początkowo zdumiewało ich i onieśmiało piękno krajobrazu. Szybko jednak nauczyli się szacunku dla pojedynczych drzew. Nie wolno było ich lekceważyć, to mogło kosztować życie. I straty w cennym drewnie. Tak im przynajmniej mówiono i szybko zorientowali się, że była to dobra rada. Wystarczyło popatrzeć, jak te wielkie drzewa padają pod ciosami toporów.

Thomas zauważył go pierwszy.

- Widzę jeźdźca - powiedział. - Ciekawe, kto to taki? Rolf spojrzał w dół.

- To Keith Dixon z Clonmel. Ten, którego wyciągnąłem z rzeki.
- Pewnie przyjechał, żeby ci podziękować. Może nawet wiezie dla ciebie jakąś nagrodę?
- On? Nie ma mowy. Założę się, że chodzi o drewno.
- Co do tego Rolf nie żywił wątpliwości. - Wracajmy do roboty. Jakob sobie z nim poradzi.

Jakob, który pracował z Zimmermanem, wycinając krzaki wokół powalonego drzewa, podszedł przywitać przybysza. Jeździec zsiadł z konia, pięknego zwierzęcia czystej krwi. Nie wyciągnął ręki na powitanie, a kiedy się przedstawił, jego nazwisko nie było dla Jakoba zaskoczeniem.

- Keith Dixon. Wasz sąsiad z Clonmel. Radzę odwołać tych drwali, bo drewno należy do mojego taty. Chyba że
- uśmiechnął się szeroko - pracujecie dla niego. Jeśli tak, będzie wam bardzo wdzięczny.

150

Jakob potrząsnął głową.

- Jest pan w błędzie, panie Dixon. To moja ziemia. Dzierżawa została oficjalnie zarejestrowana. Pański ojciec nie ma żadnego tytułu do mojego drewna. Mógłby pan mu to wytłumaczyć?

Keith minął go obojętnie. Spojrzał w górę.

- To Rolf? - spytał.
- Owszem. I jego brat Thomas.

Jakob też obserwował drwali. Ich praca wydała mu się fascynująca. Obaj Kleinschmidtwie nabrali już nie lada wprawy. Nawet Keith patrzył na nich z podziwem.

- Dobrzy są, nie? - powiedział. - Ale lepiej będzie, jeśli pan ich odwoła.

Tylko marnują czas.

- Na razie niech pracują - burknął Jakob. - Mogę coś dla pana zrobić, panie Dixon?

- Tak, oczywiście. Proszę to przeczytać. Domyślałem się, że nie uwierzy mi pan na słowo, postarałem się więc o pisemną opinię. Wyjaśnia wszystko. Nasi drwale mogą zabrać się do roboty. Pojawią się tu w ciągu kilku dni.

Jakob przyjął list wręczony mu przez Dixona, ale nie miał zamiaru od razu go czytać.

- Jeśli któryś z pańskich ludzi pojawi się na mojej ziemi i będzie mi przeszkadzał, potraktuję to jako nieuprawnione wtargnięcie na teren prywatny.

- Jak pan uważa. - Keith Dixon wzruszył ramionami. Podszedł do konia, wsunął nogę w strzemień. - Wycinanie drzew, do których mamy prawo, nie jest jednak traktowane jako wtargnięcie na teren prywatny. Do zobaczenia. Wkrótce.

Dopiero gdy Keith znikł mu z oczu, Jakob dał upust ciekawości i otworzył kopertę. W środku były trzy kartki pokryte pismem trudnym do odczytania ze względu na niezwykle kształt liter. Usiadł na pniu i pogrążył się w lekturze.

Najpierw przeczytał list J. B. Dixona. Znalazł roszczenie do legalnej własności drewna i informację, że drwale zatrudnieni na ranczu Clonmel wkroczą wkrótce na dwie działki wydzierżawione przez rodzinę Meissnerów. To nim nie wstrząsnęło, był pewien, że ma prawo do tego drewna. Przestraszyła go dopiero druga i trzecia kartka. Papier listowy nosił nagłówek: „Philps i Synowie, prawnicy i doradcy prawni”, a

informacja przez nich przekazana brzmiała następująco:

151

Opinia prawna dotycząca własności zasobów drewna na ziemi należącej do J. B. Dixona, właściciela rancza Clonmel, przejętej przez rząd i wydzierżawionej na potrzeby rolników.

Przyjmujemy, jak wykazano, że przedmiotowe drewno znajduje się na gruntach przejętych przez rząd, lecz nie sprzedanych na mocy dwustronnej umowy, co jest zwyczajem w tego rodzaju transakcjach. Zgodnie z Ustawą o ziemi i prawach wydobywczych z roku 1864 minerały znalezione na tej ziemi pozostają własnością ich odkrywcy pod warunkiem, że odkrywca zarejestrował swe prawa do wyżej wspomnianych minerałów i że nie były one zarejestrowane wcześniej. I analogicznie niech będzie wiadome, że choć przedmiotowa ziemia została przejęta przez rząd, to odkrywca komercyjnego drewna zarejestrował swe prawa jako pierwszy, zatem jest ono jego własnością, w rzeczonym przypadku własnością J. B. Dixona z rancza Clonmel.

Należy więc przyjąć do wiadomości, że nielegalny wyrąb drzew w celach zarobkowych, z dwóch działek wymienionych w załączniku, spotka się ze zdecydowaną reakcją prawną.

Dokument podpisano tego a tego dnia roku Pańskiego tego a tego,  
Jefferson Philps.

Pod Jakobem ugięły się kolana. Był jego i rodziny zależny był przecież od sprzedaży drewna. Nie mieli innego źródła dochodów poza tymi mizernymi, które mogli osiągnąć ze sprzedaży warzyw. A warzywa były im potrzebne choćby po to, by przyzwoicie nakarmić dodatkowych ludzi. W myślach szukał winnego, kogoś, kto wpędził go w tę nieszczęśliwą

sytuację, i jego gniew skierował się na dyrektora banku, Rawlinsa.

Dlaczego Rawlins nie powiedział mu, że wszystkie te wspaniałe drzewa nie są jego własnością? Czy w ogóle poruszyli ten temat? Nie pamiętał. Czyżby uznał za oczywiste, że skoro ma ziemię, to ma też drewno? Jak mógł być tak głupi? Gdyby wiedział, nigdy nie wydzierzałby drugiej działki, nie naraziłby się na związane z tym koszty. Wracał do domu bardzo przygnębiony, ale nie odwołał drwali, nie polecił im przerwać pracy.

Freda przeczytała list.

- To nie może być prawda. - Spojrzała na męża wstrząśnięta. - Nie może!
- Masz tu wszystko czarno na białym. Drewno nie jest nasze. Czekają nas chude lata, kochanie.

152

- Trzeba będzie pożyczyć więcej z banku.
- Nigdy! Kiedy wracałem do domu, przypomniały mi się słowa wujka Hansa Joachima. Powiedział mi tuż przed wyjazdem: „Nie trać głowy, Jakobie. Płyniesz do obcego kraju, między obcych ludzi. Trudno ci będzie odróżnić wilki od owieczek.” Więc zastanawiam się, czy Rawlins nie działa wspólnie z Dixonem. Przecież to on namówił mnie, żebym kupił nie jedną, a dwie działki. I słowem nie wspomniał o drewnie. Prawdopodobnie od razu wiedział, że nie jest nasze. Nie jestem podejrzliwy z natury, ale ojca Beitza oszukano i teraz wygląda na to, że nas też.

Davey pomógł Fredzie przygotować na piecu polowym kolację dla siedmiu głodnych mężczyzn. Posiłek uznano za wyśmienity, choć poprzedni wesoły nastrój zmienił się w przygnębienie. Zrozpaczony Jakob opowiadał o tym, że uważa się za oszukanego,

- Wszystkich nas oszukują. Jesteśmy tylko głupimi Niemcami. Każdy może nas okraść.

Thomas skinął głową.

- Słyszeliście o Paulu Wagnerze, mężu Brigitte? Przyszedł do niego gość z próbkami rumu. Tutejszego rumu z trzciny cukrowej rosnącej na plantacjach nawet blisko nas, po drugiej stronie rzeki. Mówią, że trzcina rośnie tu równie dobrze jak zboże. Spotkałem jednego z szefów, nadzorcę plantacji. Gdzieś tam budują gorzelnię; powiedział, że możemy odwiedzić ich, kiedy chcemy, rozejrzeć się dookoła...

- Paul Wagner - przerwała mu Freda. - Co z Paulem?

- A tak. No właśnie. Kupił baryłkę rumu. Pewnie nie wiedzieliście, ale tu robią piękne baryłki z miejscowego drewna.

- No i? - ponagliła niecierpliwie.

- A tak, właśnie. Zapłacił całego funta, wyobraźcie sobie. Najpierw spróbował rzecz jasna. Twierdzi, że ten rum był znakomity.

- Co on wie o rumie? - roześmiał się Rolf, ale natychmiast umilkł, bo Freda spojrzała na niego gniewnie, obawiając się, że Thomas znów zboczy z tematu.

- W każdym razie - mówił dalej - ten handlarz sprzedał też Brigitte kilka motków wełny. Wziął od nich pieniądze i popędził z taczka na statek, żeby im przywieźć towar. Bo na taczce,

153

rozumiecie, miał tylko próbki. Prawdziwym sklepem był rzekomo statek.

- No i nic nie przywiózł - dokończył za niego Rolf. - Nic a nic. Tylko wziął pieniądze. Nazajutrz wszyscy w obozie śmiali się z Paula. Mówili, że tylko tępi Niemcy mogą się nabrać na taki stary numer.

- No właśnie. Mają nas za głupków - przytaknął Hans. - Ciebie też nabrali, Jakobie. Pewnie najlepiej będzie, jeśli się spakujemy i rano wyjedziemy do domu. Ciebie również to dotyczy, Davey. Po co mamy tu siedzieć, skoro nie ścinamy drzew? Po tym liście prawnika Dixona wygląda na to, że nie będziemy mieli co ścinać.

Davey spojrział na Fredę.

- Przepraszam, ale czy mogę zapalić fajkę? - spytał nieśmiało.

- Oczywiście. Jestem pewna, że Jakob też zapali, gdy tylko zaparzy się kawa - powiedziała i jednocześnie ze strachem uświadomiła sobie, że niewiele im już zostało tej kawy, znacznie droższej od herbaty, którą miejscowi wydawali się lubić bardziej.

- Jasne, możesz palić - rzekł Jakob.

Davey wycofał się za plecy siedzących wokół stołu mężczyzn. Przyłożył do fajki szczypkę z kominka i wrócił do towarzystwa.

- Chyba nikt z was nie zwrócił na to uwagi - odezwał się głośno - ale ja nie należę do waszego towarzystwa. Nie jestem Niemcem, a wy, panowie, płaczecie tu wszyscy, jakbym był... albo jakbym nie istniał.

Chórem zaczęli go przeproszać, ale on tylko machnął ręką.

- Mną możecie się nie przejmować. Potrafię zadbać o siebie. Ale wy... przestańcie szlochać. Świat jest pełen ludzi obdzierających ze skóry innych, obojętne kim są. Oszustów nie brakuje, wszędzie ich znajdziecie. Jedno wam powiem. Nie oszukują was dlatego, że jesteście Niemcami, Duńczykami albo jakimiś cholernymi Zulusami. Zwyczajnie biorą was za durni. Paul pokazał, że mają rację. Zapłata przy dostawie to całkiem niezły pomysł.

Freda podała kawę, ignorując Karla, który skrzywił się przeraźliwie,

kosztując rozwodnionych mętów, wspomnienia po kawie. Mężczyźni podali jej talerze. Siedzieli ponuro, zapatrzeni niektórzy w stół, niektórzy w kominek; nawet żarzące się węgle

154

grzały w chłodną lipcową noc następującą po upalnym dniu. Po długich godzinach ciężkiej pracy i obfitym smacznym posiłku czuli się silni wzajemną wspólnotą, bezpieczni, ale też zdawali sobie sprawę, że pod drzwiami domu Jakoba już wyją wilki. Nikt nie wątpił, że ma kłopoty. Tylko... jak mu pomóc? Kleinschmidtowie byli zwykłymi drwalami. Co mogli zrobić?

Ale cwany poganiacz wołów nie skończył jeszcze przemowy.

- Słuchajcie mnie! - Jego głos zabrzmiał bardzo stanowczo. - Moim zdaniem ty, Jakobie, powinieneś załatwić sobie jakąś pomoc. Kogoś, kto by się zajął kitem, który wciska ci Dixon.

- Jak to: kitem?

- On ma prawnika, nie? Więc ty też znajdź sobie prawnika. Po mojemu warto spróbować.

Zapadła cisza. Wszyscy czekali na odpowiedź gospodarza. Jakob nagle wstał.

- Zapytam Lesa Jolly'ego - oznajmił. - Ciekawe, co mi powie. Ale jeśli chodzi o prawnika, Davey, to pewnie nie będzie mnie na niego stać.

Rolf natychmiast mu przytaknął. Był przekonany, że Les rozstrzygnie ten problem.

- Jutro z samego rana popłynę na drugi brzeg rzeki - zdecydował. - A w tymczasem pracujcie, dobrze? Powinniśmy przygotować jeszcze jeden ładunek dla Daveya.

Rolf spędził cały dzień, maszerując przez las. Lesa Jolly'ego znalazł dopiero w czwartym obozie drwali. Nie został przyjęty przyjaźnie, wzięto go za posłańca przynoszącego złe wieści, ale kiedy Jolly usłyszał o pretensjach Dixonów, dosłownie eksplodował.

- Wierutne brednie! Nie mogą tego zrobić! Marnujesz tylko czas, Rolf! Daleś się oszukać i tyle. Wracaj do pracy.

- My też tak myśleliśmy, ale młody Dixon dał Jakobowi te pisma.

Wygląda na to, że oni rzeczywiście mają prawo do drewna.

Les przeczytał listy, zmarszczył brwi, przeczytał raz jeszcze.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedział w końcu. - Ten prawnik pisze, że drewno rzeczywiście należy do Dixona, a powinien wiedzieć, co mówi.

Tylko że ja o niczym takim nie słyszałem. Chociaż jak się głębiej zastanowić, stary Dixon wyrąbał drzewa na działce Mike'a Quinlana i nikt mu w tym nie przeszkadzał.

155

Ale z drugiej strony Mike'a akurat nie było, więc kto miał przeszkodzić? Policja? Clem Colley nie ma jaj, żeby się przeciwstawić Dixonom. - Oddał papiery Rolfowi. - No cóż, sądzę, że jednak powinniśmy się wycofać. Tu też jest mnóstwo dobrego drewna. Tak. Wycofujemy się.

- Ale co z Jakobem? Potrzebuje pieniędzy za drewno, bez nich sobie nie poradzi. Nie może być tak, że ludzie Dixona przyjdą i zabiorą mu je sprzed nosa.

- Nie wygląda mi na to, żeby mógł coś z tym zrobić.

- Chyba że weźmie prawnika.

- Najbliższy jest w Maryborough, tam gdzie ten Philips i Synowie. Rolf, ja bym mu pomógł, jak najchętniej, ale nie mogę sobie pozwolić na

oskarżenie o naruszenie własności, sprawy sądowe i całe to bagno. Pewnie skażą mnie na grzywnę i każą oddać jego drewno. Nie ma mowy. Ściągnij chłopaków. Zabieramy się do zachodniej części farmy Jupiter. Ich zarządca potrzebuje ziemi pod trzcinę cukrową. Wycina wszystko w zasięgu wzroku.

W domu panowała martwa cisza. Zaprzęg wyruszył do Bundabergu, wioząc kilka wielkich pni. Rolf i jego bracia odjechali, Jakob z Karlem znów wzięli się do pracy, czyszcząc skrawki gruntu z mniejszych drzew, krzaków i poszycia pod przyszłą uprawę. Obaj wiedzieli jednak doskonale, że drwale muszą wejść na ich ziemię, jeśli ma się ziścić sen o polach zbóż, ziemniaków, warzyw. O prawdziwej farmie bogatej w inwentarz... Sen blednący zbyt szybko, już niemal niemożliwy do zrealizowania w rzeczywistym świecie.

- Możemy pojechać do Clonmel i powiedzieć Dixonom, żeby brali się do roboty - nie wytrzymał Karl. - Niech zetną te cholerne drzewa i skończą sprawę. Przynajmniej zaczniemy orać!

- Nie! - odparł Jakob bardzo gwałtownie. - Nie zgadzam się. To złe. Nie pozwolę, żeby mi odebrali drewno!

- Jak można ich powstrzymać?

- Nie wiem... ale znajdę jakiś sposób. Wyjeżdżam do Bundabergu. Teraz, w tej chwili. Nie mam zamiaru dłużej się zamartwiać.

Podjąwszy tę decyzję, prawie pobiegł do domu, by powiedzieć o wszystkim Fredzie.

156

- Dobrze robisz - pochwaliła żona. - Na pewno znajdziesz kogoś, kto będzie w stanie nam pomóc. Może nawet pan Rawlins? Pojadę z tobą.

- Nie - sprzeciwił się Jakob. - Konny wóz jest za wolny. Nie stać nas na to, żeby marnować czas. Dość już go strwoniliśmy. Przynieś mi czystą koszulę. I przystrzyż włosy i brodę. Muszę dobrze wyglądać, żeby znów gadać z tymi miastowymi.

Przez te kilka miesięcy, które rodzina Meissnerów spędziła na farmie, Bundaberg bardzo się zmienił. Szlak prowadzący wzdłuż rzeki po kilku kilometrach skręcił w głąb lądu; omijał jej zakola, prowadził do miasta niemal prostą drogą, a przy nim wszędzie widać było ślady ludzkiej obecności, choćby świeżo przygotowaną pod uprawę ziemię czy ogrodzony wybieg dla zwierząt. Im bliżej miasta, tym więcej było także oddalonych od drogi farmerskich domów. Zaskakująco wiele. Konne platformy musiały często tędy jeździć, ale woźnice nie rozmawiali o zmianach. Davey uważał pewnie za oczywiste, że nowe farmerskie rodziny wiedzą, co dzieje się w okolicy. Jakob jechał dalej z uśmiechem na ustach. Myślał o tym, jak łatwo było zniknąć w tym wielkim kraju, uciec w dżunglę, pracować tak ciężko, że nie traktuje się już samego siebie jako członka społeczności. A jednak się nim jest. Jest się osadnikiem, a nawet farmerem... jeśli los poszczęści. Już nie imigrantem gapiącym się w zdumieniu na oddalone od świata i ludzi osiedle, zaledwie kilka tandetnych budynków ustawionych frontem do uliczek usianych pniami ściętych drzew.

Z drogą, którą jechał, łączyły się inne, co świadczyło, że zdąża we właściwym kierunku. Mijał rodziny, które siedząc na wyładowanych platformach kierujących się w głąb lądu, machały do niego wesoło. Nie wątpił, że one też zamierzają rozpocząć nowe życie. Dobrze im życzył. Był parę kilometrów od miasta, gdy serce zamarło mu w piersi. Całe

hektary ziemi w zasięgu jego wzroku były porządnie uprawiane. Zamiast buszu widział pola warzyw, równe rzędy pięknej kapusty, dyni i ziemniaków, przy których pracowali Chińczycy. Przyglądał się im zdumiony. Nigdy przedtem tu nie był i nikt nie powiedział mu, że Chińczycy urządzili się ze swymi gospodarstwami właśnie na obrzeżach miasta. Kto by pomyślał! Co za dziwni ludzie, uznał w duchu, w tych swoich spiczastych

157

kapeluszach i luźnych strojach, a w dodatku z włosami związanymi w kucyki. Nie spodziewał się ich spotkać. Do tej pory Chińczyków oglądał wyłącznie na obrazkach.

- To rzeczywiście zdumiewający świat - szepnął do siebie. Chińczycy mu nie machali. Pracowali wytrwale, nieprzerwanie, nikt nawet nie podniósł głowy.

- Zdaje się, że będziemy musieli zjeść nasze warzywa - oznajmił koniowi - i nastawić się na większe uprawy. Zboże. I może produkować nabiał? Bundaberg też go zaskoczył. Nowy hotel, apteka, elegancki, całkiem duży sklep tekstylny i - tuż koło banku - fryzjer. Idąc Bourbong Street zauważył, że nowe domy stoją także przy bocznych uliczkach, ale nie zwrócił na nie większej uwagi, bo nie miał czasu na zwiedzanie. Musiał znaleźć pana Rawlinsa.

Ale młody urzędnik powiedział mu, że pana Rawlinsa nie ma. Wziął urlop i pojechał do Brisbane.

Oszołomiony Jakob wyszedł na ulicę oświetloną gorącymi promieniami słońca. Nie wiedział, co ma teraz zrobić. Był zagubiony, zdezorientowany. Żałował, że nie przyjechała z nim Freda, chociaż podróż na wozie konnym

rzeczywiście była bardzo powolna. Dostrzegł konstabla Colleya przejeżdżającego tuż obok niego i szybko odwrócił głowę; bał się kontaktów z kimś, kto uchodził za przyjaciela Dixonów. Przeszedł przez ulicę i skręcił w lepiej mu znaną Quay Street, mijając po drodze redakcję gazety. Nawet trochę się zdziwił, że miasto stać na własną gazetę, ale za wiele miał problemów, by głębiej się nad tym zastanawiać.

Niemal zderzył się z Evą Zimmerman.

- Wielkie nieba, Jakob Meissner! Co tu robisz, Jakobie?

- Chciałem zobaczyć się z panem Rawlinsem, ale niestety wyjechał.

- A tak, oczywiście. Theo wspominał o twoich problemach z Dixonami.

Mają ogromne wpływy, ci wielcy posiadacze ziemscy. Nie opłaca się im przeciwstawiać. Podobno to bardzo kiepski pomysł.

Poszedł z nią do małego domku stojącego na nędznej działce zarośniętej chwastami. Eva opowiadała mu miejskie plotki.

- Doktor Strauss zostaje na stałe. Ma gabinet na Quay Street, buduje sobie dom z widokiem na rzekę. Bracia Lutze znaleźli zajęcie, wynajęli ich do różnych prac kapitanat portu.

158

Zauważyłeś, że nabrzeże budowane, kiedy tu przyjechaliśmy, jest już skończone? I jeszcze przebudowują most przez rzekę. Widocznie stary był niebezpieczny - westchnęła. - Wejdz, napijemy się herbaty -

zapropozowała. - Bracia Lutze naprawdę wytrącili mnie z równowagi.

Załatwili sobie pracę po kryjomu. Theo dowiedział się o wszystkim, kiedy już całkiem nieźle się urządzili. Teraz muszą co dzień chodzić do miasta.

Dobrze im tak!

Jakob poszedł za nią do kuchni i usiadł przy stole niepokieszony. Nie

śluchał Ewy. Nie wiedział, do kogo się zwrócić. U kogo ma szukać rady, jeśli nie u dyrektora banku? Wypił czarną słodką herbatę, którą bardzo polubił od czasu, kiedy po raz pierwszy spróbował jej na statku. Eva miała mu jeszcze wiele do powiedzenia.

- Wiesz, Walther został z ojcem Beitzem. I z plemieniem krajowców. Beitz powtarza, że wkrótce nadejdzie wielki dzień, kiedy ochrzci ich wszystkich, ale Walther bardzo w to wątpi. Twierdzi, że w ogóle nie rozumieją religii. A tak przy okazji, to słuchaj, ma przyjaciółkę! Młodą Norę Stenning. Chyba jej nie znasz. To córka tego celnika i jeśli spytasz mnie o zdanie, powiem szczerze, że to raczej ona poluje na niego niż on na nią. Mówią, że interesowała się Waltherem od samego początku. Zastawiła na niego sidła. Jeździ po okolicy udając, że to tylko tak przypadkiem troszczy się o Beitzę, więc nawet on nie chce jej powiedzieć...

- Ten celnik - przerwał jej Jakob. - Przypomnij mi, proszę, jak on się nazywa.

- Jules Stenning.

- Ach tak, oczywiście. O ile pamiętam, to niezbyt sympatyczny człowiek.

- Prawda. Słuchaj, jeśli chcesz tu zostać, odpocząć, to proszę bardzo, ale ja muszę przyprowadzić dzieci. Bawią się koło baraku.

- Nie, nie. - Jakob odstawił kubek. - Czas na mnie. Dziękuję za herbatę, orzeźwiła mnie po męczącej podróży.

Urząd Celny znalazł tuż obok miejsca, gdzie przywiązał konia. Budynek bardziej przypominał sklep. Miał werandę, na której ustawiono długie ławy jakby oczekujące na tłoczących się w kolejce petentów. Ozdobna tablica przy wejściu oznajmiała

wszem wobec, że mieszczą się tu różne agencje rządowe, w tym Wydział Celny i Akcyzy, Wydział Imigracyjny, Urząd Ziemski, Wydział Rolny, a także Kuratorium Oświaty. Jakob uznał, że w pierwszej kolejności powinien zwrócić się do Urzędu Ziemskiego. Ale wyglądało na to, że w budynku nie ma nikogo. Wszedł do środka przez otwarte drzwi, za którymi znajdował się korytarz z pokojami po obu stronach. Zajrzał do pierwszego, potem następnego, ale wszędzie widział tylko ławy i stoły zavalone papierami. Irytujące. Zawsze lubił porządek, wszystkie rzeczy powinny mieć swoje miejsce. Kiedy pił herbatę w domu Ewy, pomyślał - i poczuł się z tego powodu winny - że ona i Theo powinni uporządkować jakoś podwórko domu, chociaż tylko go wynajmowali.

Nagle otworzyły się drzwi do jednego z pokojów i stanął w nich sam pan Stenning.

- W środę po południu nie pracujemy. Czego chcesz?
- Nie wiedziałem. Bardzo pana przepraszam. Ale mam tylko jedno krótkie pytanie. A raczej prośbę o radę.
- Jesteś z tych Niemców? - Stenning go oczywiście nie pamiętał.
- Tak, proszę pana.
- I mieszkasz przy Drodze Taylora?
- Nie, proszę pana. Mam farmę. O tym właśnie chciałem porozmawiać.
- Aha... Dobrze, niech będzie. Proszę wejść. - Wprowadził Jakoba do jednego z biur. Odepchnął stos papierów, przysiadł na biurku, gościowi wskazał krzesło. - Ten mój urzędnik jest do niczego - skrzywił się. - Nawet gorzej. Wywaliłbym go za zostawienie takiego bałaganu, ale kogo znaleźć na jego miejsce? Za dużo obowiązków, oto mój problem. Rząd zwała wszystko na mnie, jakbym miał dziesięć rąk. Nie poradzę sobie sam, nikt

by nie dał rady - pokręcił głową. - Więc o co chodzi?

- O drewno z mojej ziemi, proszę pana. Wydzierzawiłem ziemię, ale poprzedni właściciel twierdzi, że drewno należy do niego.

- Co? - krzyknął Stenning. - Nigdy nie słyszałem takich bzdur! Puszczaj je mimo uszu.

- To by mi odpowiadało. Ale jego list bardzo mnie zaniepokoił. - Wręczył trzy kartki urzędnikowi, który przestudiował je w skupieniu.

160

- No, to już inna sprawa. Jeśli prawnicy twierdzą, że drewno należy do Clonmel, to tak musi być. Ja oczywiście nie jestem prawnikiem, przysłano mnie tu, żebym dopilnował, czy przestrzegane są zasady i przepisy, ale po przeczytaniu tego listu muszę powiedzieć, że powinieneś dać sobie spokój i zostawić drewno Dixonom.

Jakob poderwał się na równe nogi. Był wściekły. Widział, jak zmieniło się nastawienie Stenninga, gdy tylko dostrzegł nazwisko Dixona.

- Przecież sam pan powiedział, że to bzdura!

- Tak sądziłem, owszem. Widocznie się myliłem.

- Nie sądzę, żeby się pan mylił, panie Stenning. Moim zdaniem wiedział pan, że nikt nie może odebrać mi mojego drewna, ale zmienił pan zdanie, kiedy się dowiedział, że chodzi o Dixonów.

Celnik spojrział na niego gniewnie.

- O coś mnie oskarżasz?!

- To jest Urząd Ziemski, a pan, o ile się nie mylę, jest jego funkcjonariuszem. Moim zdaniem powinien pan wiedzieć, co w tej sprawie jest legalne, a co nielegalne. A jednak udziela mi pan błędnych informacji.

- Jak śmiesz! Wynoś się! Wysłuchałem twoich pytań i udzieliłem odpowiedzi, choć nie musiałem, bo w środę biuro jest zamknięte, a ty odpłacasz mi impertynencją?

Jakob chwycił kapelusz. Świadomie, uparcie zignorował ten wybuch.

- Być może potrzebuje pan więcej czasu na rozważenie mojej sprawy i nawet zajrzy do jakiejś księgi przepisów i zasad? Pewnie znajdzie pan tam przepisy dotyczące dzierżawy, które świadczą, że pańska pierwsza odpowiedź na moje pytanie była prawdziwa.

- Nie mam zamiaru!

- Powinien pan spróbować, w końcu to pański obowiązek. Wrócę jutro. Odwiedzę ojca Beitz na Drodze Taylora - powiedział Jakob wyzywająco. I natychmiast pożałował swych słów.

- Świetnie - warknął Stenning. - Doskonale. Wynoś się stąd, ale już! A przy okazji możesz powiedzieć temu wielkiemu durniowi, Waltherowi Badke, że jeśli nie będzie się trzymał z dala od mojej córki, to go wysmagam. I ostatnia sprawa. Możesz

161

jutro nie facygować się do miasta. Wyraziłem opinię, nie mam zamiaru jej zmieniać.

Ojciec Beitz powitał go z otwartymi rękami.

- Och, Jakobie, mój przyjacielu, jak to miło znów cię zobaczyć! Wygląda na to, że los był dla ciebie łaskawy. Jak tam Karl i Freda? Chodź, rozgość się. Musimy porozmawiać.

Jakob zdumiał się widząc, ile ziemi udało się im oczyścić. Niemal kilometr przylegający do drogi był już uporządkowany. Wyglądał pięknie, prawie jak park; nadal rosły tu stare wielkie drzewa oraz mnóstwo

kolorowych miejscowych krzaków, z których część udało mu się nawet rozpoznać, choć w tej dziedzinie to Freda była prawdziwym ekspertem. Wchodząc na teren posiadłości starego kapłana, nie mógł oprzeć się podziwowi dla przepięknego ogrodu powstałego na miejscu dżungli. Jaskrawe hibiskusy, czerwone i złote grewille i banksje, kępy wielkolistnych palm, nawet storczyki - wszystkie te rośliny żyły pełnią życia, jakby wyskoczyły wprost z kart książki Fredy, opowiadającej o australijskiej florze. No i oczywiście, mając lepszy dostęp do tego magicznego miejsca obfitującego w nektar, nasiona i obfitość wszelkiego pożywienia, ptaki wszystkich rozmiarów i kolorów przyleciały tu stadami. Nic im już nie utrudniało dostępu do tego raj. Jak zaczarowany Jakob przyglądał się setkom szarych i różowych papużek skaczących w trawie, pożywiających się pracowicie.

Pastor podbiegł do niego zaniepokojony.

- A ty dokąd? Myślałem, że pójdiesz za mną, Jakobie. Jeśli będziesz szedł dalej w tym kierunku, możesz się zgubić. Ta dżungla, nasza dżungla, jest bezlitosna, możesz mi wierzyć na słowo. Połknie cię i nawet tego nie zauważy. No chodź, chodź. Tędy, tędy. Pobudowaliśmy się tu z dala od ludzi, no i blisko strumienia. Uff, jesteśmy na miejscu. Jak ci się u nas podoba?

Rzeczywiście zbudowali małą wioskę szałasów krytych liśćmi. Było ich sześć, całkiem dużych, ale zrobionych z krzaków i okorowanych gałęzi, nie z przyzwoitego drewna. Drzwi nie miał żaden, niektóre posiadały tylko trzy ściany. Pośrodku wioski stał długi stół pod dachem z liści, rozpiętym na linach przywiązanych do najbliższych drzew.

Jakob zagapił się na to z otwartymi ustami. Przecież ci ludzie mieszkali

jak tubylcy! Z zażenowaniem myślał o tym, że ta nędzna resztką

162

ich małej społeczności mogła upaść tak nisko. Zamierzał wpłacić daninę jak najszybciej, nawet teraz, i skłonić innych, by zrobili to samo.

- Tubylcy wam to zbudowali? - spytał nieśmiało. Beitz roześmiał się wesoło na te słowa.

- Och, oczywiście, że nie. Niech nas Pan broni! Uważają nasze domy za wspaniałe. Zbyt wspaniałe. Ale wcale im to nie imponuje. Dla nich dom to dach nad głową i tyle. Nie rozumieją luksusów. Chodź, zobacz mój dom. Jest bardzo piękny.

Jakob odetchnął głęboko. Potrząsnął głową, jakby chciał odzyskać przytomność umysłu, zrozumieć, o co tu właściwie chodzi. Mogło się wydawać, że pastor odmłodził o dziesięć lat. Nadal nosił krzyż na piersi, ale czarna sutanna znikła. Zapewne się zdarła, pomyślał wspominając własne zapasy ubrań topniejące w zastraszającym tempie. Beitz miał na sobie koszulę z surowego płótna i także spodnie przepasane cienkim sznurkiem. Ale wyglądał na bardzo szczęśliwego. Znikła gdzieś jego wystudiowana pompatyczna wymowa, jakże typowa dla duchownego wygłaszającego kazanie. Zastąpiła ją lokalna wersja angielskiego z tą charakterystyczną, nieco drwiącą wymową, jakby każde zdanie było czymś w rodzaju żartu. A ojciec Beitz chyba znał się na żartach, przynajmniej sądząc po tym, że przez cały czas uśmiechał się szeroko. Wyglądał przy tym niezwykle wręcz zdrowo. Długie siwe włosy i broda zaprzeczały żywemu płomieniowi gorejącemu w piwnych oczach. W wieku blisko osiemdziesięciu lat spełnił wreszcie swoje marzenie. Był misjonarzem. Co więcej, tworzył własną misję w dalekim kraju

zamieszkanym przez dziki lud. Miał szanse doprowadzić go do Boga.

Czyż nie tłumaczył wszystkim, że taki jest jego cel?

Chata pastora rzeczywiście okazała się wygodna, choć umeblowana zaledwie zbitą z desek pryczą i prymitywnymi ławami. Pod ścianą leżały osobiste rzeczy Beitza, klepisko przykrywały maty. Nawet mały rzeźbiony klęcznik obity wytartym czerwonym aksamitem nie wydawał się nie na miejscu w tym tropikalnym otoczeniu.

Jednakże wycieczka Jakoba wcale nie miała się tu zakończyć. Poszli dalej ku ścianie dżungli stanowiącej granicę oczyszczonej już ziemi. Spotkali tam Walthera tnącego krzaki. Towarzyszyło mu kilkunastu Aborygenów, mężczyzn i kobiet,

163

zbierających ścięte gałęzie. Ku wielkiej uldze Jakoba tubylcy byli ubrani, choć dziwnie: mężczyźni w luźne bluzy i nie dopasowane spodnie, kobiety w workowate bawełniane sukienki.

Walther, mężczyzna postury niedźwiedzia, niesłychanie ucieszył się na widok Jakoba. Najpierw omal nie zmiądzzył go obejmując ramionami, potem wezwał pomocników, by podeszli i przywitali się z nim uściskiem dłoni. Co też zrobili, nie ukrywając zachwyty.

Pokazał mu strumień już oczyszczony z gęstwy krzaków i chwastów, piękny ponad wszelkie wyobrażenie. Obok znajdowała się polana porośnięta gęstą trawą, wystarczająco duża, jak zauważył z dumą Walther, by wybudować na niej zbór. Zbór pod wezwaniem Świętego Jana, takim jak seminarium w ojczyźnie.

Jakob przyjął zaproszenie na nocleg, bo miał jeszcze sprawy do załatwienia w mieście.

- Choć szczerze mówiąc nie wiem, co mogę zrobić - przyznał podczas wieczornej pogawędki.

Opowiedział o swych problemach z wielkim ranczerem, skwaterem, to jest osadnikiem zajmującym ziemię bez tytułu prawnego. Ojciec Beitz wysłuchał go bardzo przygnębiony.

- Szkoda, że nie mogłem ci pomóc - westchnął. - Nie wypełniam właściwie obowiązków duszpasterskich. Sądziłem, że będę w stanie obchodzić moją parafię, ale odległości są tu tak wielkie...

- Kupujemy konia - wtrącił Walther. - Pracuję ja i obaj bracia Lutze, wkrótce będziemy już mieli pieniądze. I wówczas ojciec będzie mógł odwiedzać wszystkich, kiedy tylko zechce.

- Skoro moi parafianie nie mają wiary tak silnej, żeby odwiedzić mnie - zakończył Beitz kwaśno.

- Przecież mamy ten sam problem - powiedział łagodnie Jakob, choć wiedział, że przynajmniej jego rodzina, posiadająca konną platformę, nie może się tłumaczyć w ten sposób. Mimo to podróż tam i z powrotem, choćby w niedzielę, wydawała się niemożliwa przy takiej ilości pracy, jaką mieli na własnej ziemi. - Tylko nie wiem, ojczy, jak odnajdziesz drogę. Tu nie ma żadnych oznaczeń.

- To już ustalone. Pan Tibbaling dostarczy nam przewodników.

- Ach tak! Doskonale.

164

- Najpierw pojedę na ranczo Clonmel. Oczywiście odwiedzę Hanni i Lucasa, ale także postaram się o spotkanie z tym hodowcą owiec, panem Dixonem. Powiem mu, że powinien zachowywać się przyzwoicie.

- To bardzo miło, ojczy, ale proszę wziąć pod uwagę, że oboje mogą

stracić pracę.

Walther powrócił do problemu Jakoba.

- Skoro Stenning nie chce ci pomóc...

- No właśnie - przerwał mu Jakob. - Coś mi się przypomniało. Zalecasz się do jego córki?

- Panna Stenning jest naszą przyjaciółką - odparł Walther czerwieniąc się.

- Jeśli chodzi o zalecanie się... No, nie jestem pewien...

- Ona go lubi! - krzyknął duchowny z radością.

- To lepiej uważaj na siebie, przyjacielu. Rozmawiałem ze Stenningiem i wiem, że jest wściekły z powodu swojej córki. Prawdę mówiąc wrzeszczał, że cię wysmaga, jeśli nie będziesz trzymał się od niej z daleka.

Walther uśmiechnął się szeroko.

- On ma zamiar wysmagać mnie? Taki kurdupel? Nie, to się nie może udać. Posłuchaj mnie, Jakobie. W naszym miasteczku nie uzyskasz pomocy. Los ludzi zależy od wielkich ranczerów. Bez nich i ich pracowników nie przeżyją. Minie jeszcze dużo czasu, nim nowi osadnicy zaczną przynosić zyski sklepom. Zdążyłem już zauważyć, że miasto ożywa, kiedy przyjeżdżają tłumy pastuchów. Oni, postrzygacze owiec i w ogóle najemni robotnicy lubią wydawać tu zarobione pieniądze.

Jakob z przygnębieniem słuchał opowieści o miasteczku, jego rozwoju i wadach, łącznie z tą szczególnie szokującą: na jednej z bocznych uliczek powstały trzy domy rozpusty. Beitz złożył pisemny protest na komisariacie policji oraz w siedzibie nowo powstałego Komitetu Postępu, ale nic nie wskórał. Obaj z Waltherem wiedzieli niemal wszystko o tej niewielkiej osadzie; miło było pomyśleć, że aż tak bardzo ich interesuje.

- Moim zdaniem powinieneś pojechać do Maryborough - powiedział

nagle Walther.

- Maryborough? Po co?

- Wynająć prawnika. A jeśli nie chcesz, to równie dobrze możesz wracać do domu i pozwolić im ukraść twoje drewno.

- Ale to sto, może nawet sto dwadzieścia kilometrów stąd!

165

Walther tylko wzruszył ramionami.

- No i co z tego? Ważne, że są tam prawnicy. Więcej niż jeden. Widziałem ich reklamy w gazecie.

- Zabłądzą! Bez dwóch zdań.

- Pozwól, że porozmawiam z panem Tibbalingiem - powiedział ojciec Beitz. - Być może on znajdzie ci przewodnika. Zaraz wyślę po niego jednego z chłopców.

Nim bracia Lutze wrócili do domu, Walther przygotował kolację dla wszystkich. Tibbaling był honorowym gościem. Jakob wziął na bok Maxa Lutze.

- Moglibyście znaleźć Theowi pracę gdzieś na nabrzeżu? Nie podoba mu się robota przy zaprzęgu wołów.

- Jemu trudno pomóc, panie Meissner. Jest leniwy. Wszyscy wiedzą, że kiedy dostanie wypłatę, rzuca pracę i pędzi do najbliższego baru. I dlatego Zimmermanowie spóźniają się z opłatami za dom. Pan Cross, zarządca tartaku, mówi, że muszą mu zwrócić dług przed powrotem jego żony albo ich wyrzuci.

- Przecież to straszne! Co wówczas zrobią?

- Powrócą do nas. Tu nie jest tak źle. Wybudujemy dla nich chatę.

Jakob spróbował przyrzeć się sprawie z punktu widzenia Evy.

- Nie sędzę, by pani Zimmerman pogodziła się z tym pomysłem. Bo rozumiesz, dla niej dom jest domem, Max. Koniec, kropka. Freda myśli mniej więcej tak samo.

- No to nie wiem, co się z nimi stanie.

Jeszcze przed łożeniem się do snu na pryczy w chacie należącej do Walthera i braci Lutze Jakob zapłacił pastorowi daninę... szybko, nim egoizm miał szansę wziąć górę nad odruchem serca. Wytrwał w swoim postanowieniu. Spał dobrze.

Rankiem obudził go chór ptasich śpiewów, tak doskonale mu znany, tak zwyczajny, że przez kilka chwil był pewien, że znajduje się na swojej ziemi. Iluzja prysła, gdy Max zawołał go na poranną modlitwę.

Przy stole znów pojawił się Tibbaling. Czarne, miejscami siwe włosy zwisały mu w lokach po ramiona; otaczając starą, pomarszczoną twarz, sprawiały raczej groźne wrażenie. W przeciwieństwie do ciemnych oczu, spokojnych, nieruchomych.

166

- Ciągłe potrzebujesz kogoś, kto zabierze cię do wielkiego miasta?

- Potrzebuję. Jeśli to możliwe. Muszę jakoś się tam dostać. Aborygen skinął głową. Obrzucił go przelotnym spojrzeniem i natychmiast odwrócił wzrok.

- Dlaczego przyjechał do mojego kraju? Jakob westchnął.

- Musieliśmy wyjechać z naszego. Żyło w nim zbyt wielu ludzi.

Brakowało ziemi. Brakowało żywności. - Wydawało mu się, że tak proste wyjaśnienie będzie najlepsze. Po chwili dodał: - Chciałem dać synowi szansę lepszego życia. I żeby mógł oddychać swobodnie.

- Ach.

Milczenie tubylca zdenerwowało Jakoba. Zaniepokoił się. Być może lekkomyślnością było powiedzieć, że tu jest więcej ziemi niż tam, skąd przybyli. W końcu są w kraju tego starca. To jego ludzi spycha się tu na margines. Jednakże tym razem Tibbaling nie zwrócił uwagi na pomyłkę.

- A co drugi syn, szefie? - spytał cicho. - On bez ziemi?

Jakob omal się nie udusił, zupełnie jakby otrzymał potężny cios wypychający powietrze z płuc. Twarz mu płonęła, pewnie zaczerwienił się jak burak. Radowało go tylko to, że w pobliżu nie było nikogo, więc nikt nie był świadkiem tego wstrząsu.

- Skąd... - Tylko to jedno słowo zdołał wykrztusić. Tibbaling zbierał się do odejścia.

- Znajdę ci kogoś za przewodnika, szefie - powiedział jeszcze i odwrócił się. Kiedy znów przemówił, głos miał smutny, a jednocześnie błagalny. - Tu jest miejsca dużo dla jeszcze jednego chłopca, szefie.

Chwiejnym krokiem Jakob uciekł w las. Znalazł swoje miejsce; tu mógł schronić się przed światem przynajmniej na chwilę, zdusić panikę, która ogarnęła go nagle na myśl o Traudi, biednej Traudi... i tym tak odległym dniu.

Miał siedemnaście lat. Strasznie bał się gniewu ojca dziewczyny, ale Traudi przyrzekła mu, że nigdy nie zdradzi, kto jest ojcem jej nie narodzonego jeszcze dziecka.

- Kiedy się dowie, będę miała kłopoty niezależnie od tego, kto nim jest - powiedziała. - A tata nie pozwoli nam się pobrać,

167

bo już obiecał mnie swemu przyjacielowi, Wilfowi Bergerowi.

- Jest dla ciebie za stary!

- Ale ma pieniądze. Im tylko na nich zależy. Ale wiesz, Jakobie, i tak nie byłbyś w stanie nas utrzymać. Nie masz żadnych środków. I to przecież nie jest tak, żebyśmy byli prawdziwymi kochankami. Nie kochasz mnie do szaleństwa, prawda?

- Nie - przyznał Jakob. - Ale bardzo cię lubię.

- A ja nie Kocham nikogo. Po prostu muszę postąpić najlepiej jak potrafię. Jeśli Wilf mnie teraz zechce, to chyba dobrze zrobię, jeśli za niego wyjdę. Rzeczywiście nigdy nikomu nie powiedziała, że ojcem jej syna jest Jakob. Przeżyła wielomiesięczną gwałtowną burzę, Wilf wreszcie zgodził się ją poślubić, przestano nawet gadać, bo w wiosce nie brakowało skandali. W końcu Jakob stracił kontakt z dziewczyną. Przeprowadziła się z mężem gdzieś daleko i tak to się skończyło. Minęło dwadzieścia lat.

A potem rodzina Meissnerów oznajmiła, że zamierza emigrować, wieść się rozeszła i Traudi przyszła się z nim zobaczyć. Czekwała na niego cierpliwie przy końcu uliczki, zamiast przyjść do domu. Nie chciała zwracać na siebie uwagi.

Sprawiała wrażenie podstarzałej i zmęczonej. Wilf umarł przed wielu laty. Zmuszona była sama wychowywać dziecko, bo ojciec nie chciał przyjąć jej z powrotem do domu. A Wilf, jak się okazało, nie miał aż takiego majątku.

- Głupi żart, prawda? - uśmiechnęła się słabo. - Padłam ofiarą głupiego żartu. Brutalny staruch szukał sobie młodej żony, ot i wszystko.

- Traudi, strasznie mi przykro. Co mogę zrobić? Jestem żonaty, mamy dziecko i nadal brak nam pieniędzy. To dlatego emigrujemy.

- Nie, nie, nie chcę od ciebie pieniędzy, Jakobie. Przyszłam, bo usłyszałam, że wyjeżdżacie. Do kraju, gdzie są wielkie farmy, gdzie

wszyscy mają mnóstwo pieniędzy.

- To nie takie proste, Traudi - powiedział Jakob zakłopotany, bo kobieta pojawiła się tak nagle.

- Zapewne nie... ale i tak chcę prosić cię tylko o przysługę. Nie dla mnie, lecz dla Eduarda. Błagam.

168

- Kto to jest Eduard? - szepnęła. Zadanie tego pytania głośno mogło zdradzić, że przypuszcza... że jest pewien...

- Nie wiesz? Nie znasz nawet jego imienia? Imienia własnego syna? Przecież to twój pierworodny! A ja myślałam, że może czasami choć o nim pomyślisz. - Westchnęła głęboko, usiłując się uspokoić. - Och nie, wybacz mi, Jakobie. Okropnie się denerwowałam. Musiałam zebrać się na odwagę, żeby dziś się z tobą spotkać. Tak się bałam, że nie zechcesz ze mną rozmawiać, nawet mnie zobaczyć.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział Jakob łagodnie. - O co chcesz mnie prosić, Traudi?

- Chcę, żebyś zabrał Eduarda ze sobą. Ma dwadzieścia jeden lat. Ożenił się, ale żona go odumarła. To wspaniały chłopak. Możesz być z niego dumny... możesz być dumny. Potrafi ciężko pracować, zobaczysz. Będzie ciężko pracował dla ciebie i...

Podniósł rękę, powstrzymując potok jej wymowy.

- Proszę, bardzo cię proszę, Traudi, przestań. Przecież to niemożliwe. Moja żona nic o nim nie wie. Nigdy jej nie powiedziałem...

- Dlaczego miałbyś mówić? Co to ma za znaczenie? Powiedz jej teraz.

Zrozumie. - Traudi drżała na całym ciele. Kurczowo ścisnęła poły cienkiego płaszcza. Z kieszeni wyciągnęła kartkę papieru. - To jego adres.

Mieszka w Hamburgu. Nie powiedziałam mu, kim jest jego ojciec, ale z pewnością zdołasz go odszukać. Poproś go, żeby do ciebie dołączył. Do ojca. Błagam cię, Jakobie. Czy proszę o zbyt wiele?

- Bardzo mi przykro, Traudi. Doprawdy nie wiem, jak mógłbym to zrobić. Szczerze mówiąc nie stać by nas było na wyjazd, gdyby nie to, że moja żona dostała mały spadek. Więc rozumiesz, to są jej pieniądze.

- Mówimy o twoim synu! - wybuchnęła kobieta. - Twoim synu! Przez dwadzieścia lat nic cię nie kosztował, więc teraz...

Głos Traudi ucichł zagłuszony szumem i trzaskami w kępie bambusa oraz odgłosami porannej krzątania w obozie pastora Beitza.

Jak miałby przekazać taką wiadomość Fredzie? Po tylu latach? Jak by zareagowała? A Karl? Co by sobie o tym wszystkim pomyślał? Czy uznałby ojca za kłamcę? Oszusta? Okrutna myśl, lecz czyż nie prawdziwa? Choćby nie chciał, Jakob musiał krytycznie

169

ocenić swe postępowanie. Tak doskonale i bezpiecznie czuł się w objęciach swej małej rodziny, że teraz bał się utracić jej szacunek. Próbował uczyć Karla odpowiedzialności, dając mu dobry przykład, a co to za przykład: mężczyzna unikający odpowiedzialności za własne dziecko? Mężczyzna, który przez dwadzieścia lat nie zainteresował się jego losem? Za dużo tego. O wiele za dużo.

Zachował karteczkę, niewinny kawałek papieru z nic nie mówiącym imieniem i adresem, ale nie skorzystał z okazji. Nie...

Usłyszał, że pastor go woła, i przyjął to z ulgą. Nie chciał wspominać dawnych czasów. Pośpieszył na polanę, gdzie stały chaty.

- Walther poszedł do miasta, ma tam coś do załatwienia

- oznajmił duchowny. - Mógłbyś mi pomóc? Chciałbym oznaczyć dróżkę stąd do strumienia, żeby wyłożyć ją drewnem, bo podobno kiedy zaczyna padać, ziemia od razu zmienia się w błoto.

- A kiedy zacznie padać? - spytał żałośnie Jakob.

- Dobrze pytanie. Ale nie chcemy dać się zaskoczyć. Mamy szczęście, dzięki niech będą Bogu, że przyплыnęliśmy o właściwej porze roku, inaczej wpadlibyśmy w poważne kłopoty. Mówi się tu, że deszcze są bardzo obfite.

- Myślałem o tym, czy Tibbaling da mi przewodnika.

- Oczywiście. Poszedł po niego - uspokoił go pastor.

- Przynieś no ten młot i kołki, tak, ten, dobry chłopiec. Chciałbym zrobić to dziś rano. Walther sądzi, że udało się nam oczyścić wystarczająco wiele ziemi, przynajmniej na razie. A co ty o tym sądzisz?

Jakob westchnął. Wstrząsnęło nim spotkanie ze starym tubylcem, który nie wiadomo skąd wiedział o jego drugim synu. Jak mu się to udało? Stenning twierdził, że jest czarownikiem, ale chodziło mu raczej o magika, oszusta. Czy Tibbaling rzeczywiście dysponował jakąś mistyczną wiedzą?

Beitz odmierzał ścieżkę kawałkami sznurka, Jakob posłusznie wbijał paliki według instrukcji. Powiedzmy sobie, myślał, że w gruncie rzeczy to wcale nie musiała być czarodziejska wiedza. Aborygen mógł przyjąć za oczywiste, że biały ma więcej niż jednego syna. Tak, pewnie właśnie o to chodzi. Najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie.

170

Ale to go jakoś nie uspokoiło. Jakob czuł się tak fatalnie, że postanowił wrócić do domu i zapomnieć o idiotycznym zamiarze najęcia prawnika. Bo i jak miałby to zrobić? Nigdy w życiu nie rozmawiał z prawnikiem.

Cóż miałby mu powiedzieć? Czy jego angielszczyzna była wystarczająca na tę okazję?

- Chcesz wynieść się nad swą pozycję, Jakobie Meissner - powiedział do siebie. - Tylko dlatego, że masz wielką farmę. Nie zapominaj jednak, że za nią nie zapłaciłeś.

- Mówiłeś coś? - spytał pastor prostując się.

- Nie, nic. Nie byłoby prościej po prostu pociągnąć linkę wzdłuż tej ścieżki?

- Nie mamy tyle linki. - Twarz duchownego rozjaśniła się nagle. - Walther wrócił. Ma dla ciebie niespodziankę.

- Jaką?

- Spójrz! Przyprowadził konia. Teraz będzie nam o wiele łatwiej... Ale najpierw wypożyczymy go tobie!

- Po co? - zdumiał się Jakob. - Przecież mam konia.

- Ale twój przewodnik nie ma - uśmiechnął się szeroko Walther. - Ci czarni nie posiadają własnych koni, a ty chyba nie spodziewasz się, że biedny facet będzie biegł przez całą drogę?

Tego samego dnia, kilka godzin później, do ojca Beitza zgłosił się młody Aborygen. Powiedział, że często pracował jako pastuch i że będzie szczęśliwy mogąc poprowadzić szefa do Marlborough. Jakob poczuł się jak zwierzę schwyte w pułapkę. Odciągnął duchownego na stronę.

- Nie mam pojęcia, co powinienem zrobić - przyznał. - Kim jestem, żeby rozmawiać z prawnikiem?

- Kimś, kto chce się o coś zapytać. Walther przygotowuje wam trochę jedzenia na drogę.

- Przecież nawet nie wiem, ile kosztuje prawnik. I ile muszę zapłacić temu

młodemu człowiekowi, który będzie mi służył za przewodnika?

- O prawnikach nie wiem nic. Angielskie imię tego chłopaka to Billy. O ile wiem, ucieszy go kilka pensów, tylko że to nie może być zapłata.

Tubylcy nie pomagają za pieniądze. Zaprowadzi cię na miejsce nawet za darmo. Takie są ich obyczaje.

W tym momencie chłopak do nich podszedł.

171

- Zabiorę cię najpierw do małego miasteczka Childers - powiedział - a potem do Maryborough, wielkiego miasta nad wielką rzeką. Tak ma być, co?

- Tak, Billy, oczywiście. To bardzo uprzejme z twojej strony.

Wszyscy byli bardzo uprzejmi. Jakob i tubylec spakowali się i ruszyli w drogę bez dalszych ceregieli. Pastor pomachał im na pożegnanie. Obiecał też, że pchnie posłańca na farmę, żeby pani Meissner wiedziała, co dzieje się z jej mężem.

Wrócili na drogę. Przejechali nią kawałek, dosłownie kilka zakrętów, po czym odbili na południe, podążając bitą ścieżką. Billy najwyraźniej dostrzegł zdziwienie Jakoba, bo spojrzał na niego i uśmiechnął się.

- Będzie dobra, szefie. Teraz my, jazda - powiedział i kopnął konia bosymi piętami.

Popędził cwałem, Dandy zaś poszedł w jego ślady i nieoczekiwanie zagalopował, zaskakując jeźdźca. Jakob mocno ścisnął jego boki łydkami i tak gnali ku nieistniejącemu celowi. Ścieżka przed nimi była prosta, długa i płaska.

Jakob słyszał opowieści o pastuchach, znakomitych jeźdźcach, a teraz kiedy spotkał takiego i zdołał wreszcie opanować Dandy'ego, postanowił,

że pogada z Billym, uświadomi mu, w jakim powinni się poruszać tempie, żeby szef nie skręcił karku.

Na razie nie miał jednak wyboru, musiał dostosować się do okoliczności. Tyle tu było do obejrzenia, czekał na niego prawdziwy nowy świat. Stado emu przebiegło wśród drzew. Jakob powoli odzyskał spokój, poczuł radość i satysfakcję z tej szalonej jazdy.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY.

W oczach Hanni ranczo Clonmel było raczej wioską niż farmą. Główny dom, czyli jak tu mówiono: „domostwo”, zbudowany w całości z drewna, wydawał się rozrastać z czasem, przekształcać zgodnie z potrzebami, które zaspokajano budując kolejne pokoje, gdzie się komu podobało, od frontu i od tyłu. Był parterowy, rozległy, obrócony w stronę wschodzącego słońca. Każdy pokój miał werandę, przechodziło się więc z jednego do następnego i do tych dobudowanych z tyłu, albo robiąc krok od werandy do werandy, albo idąc przewiewnym korytarzem, gdzie drzemały groźne psy.

Meble były prymitywne, ręcznie wykonane, lecz o czym ją poinformowano, z najlepszego drewna. Mimo to nie wyglądały na ozdobę domu ludzi tak zamożnych jak Dixonowie. Z całą pewnością ta siedziba nie miała stylu, przynajmniej takiego jak przepiękna elegancka rezydencja Reinhardtów, dla których Lucas i Hanni pracowali w ojczyźnie. Jednakże z drugiej strony, jak Reinhardtowie, ci ludzie wiedzieli, co kupować.

Używali wyłącznie najlepszej porcelany, ich bielizna oraz pościel, którą sami wykańczali, wręcz pieściła oczy, zasłony, często i beztrósco używane obok drzwi, prawie wszystkie wykonane były z batystu i koronki. Nie, ci ludzie nie skąpili sobie niczego. Hanni bardzo się to podobało, a już najbardziej naprawdę elegancki pokój muzyczny oraz wielka biblioteka,

przewiewne, przytulne, jakże różne od zatechłych ponurych sal rezydencji żalonych Reinhardtów. Tak czy inaczej był to miły dom i mieszkający tu ludzie także byli bardzo mili.

173

- Rób swoje szybko i sprawnie - powiedziała Elsie, gospodyni, do Hanni przyjętej jako pokojówka - a nikt nie będzie się ciebie czepiał.

Mówiła prawdę. Sama praca okazała się tak łatwa, że Hanni wykonywała ją w połowie wyznaczonego na nią czasu. Łatwo się jej pracowało, nie musiała polerować parkietu, czyścić mosiądzów i sreber ani w ogóle wykonywać trudnych i skomplikowanych prac, których nie brakuje w starym domu. Właściwie tylko słała łóżka, zamiatała i odkurzała... choć odkurzanie było zajęciem bezsensownym.

- W porze suchej wiatr zawsze nawiewa mnóstwo pyłu - wyjaśniła jej pani Dixon. - Czasami bywa znacznie gorzej niż teraz. Więc nie przejmuj się za bardzo, Hanni. Po prostu rób co możesz, najlepiej jak możesz.

W tym domu wszyscy postępowali według tej zasady. Rób co możesz, najlepiej jak możesz. Hanni czasami śmiała się z tego w duchu.

Obowiązków służącej uczyła się od dwunastego roku życia, więc doskonale zdawała sobie sprawę, że nie musi niczego robić „najlepiej jak może”. Wystarczy, żeby w ogóle robiła. Starła się jednak, ponieważ wszyscy byli dla niej bardzo mili. Zamiatała pod łózkami, znajdując tam pokłady pyłu pozostawione przez poprzednią pokojówkę, upiększała pomieszczenia kwiatami lub zielonymi gałązkami, zdejmowała książki, odkurzała je i porządnie odkładała na miejsce. Sama też zawsze była czysta i schludnie ubrana; sprawdzała swój wygląd w każdym lustrze. Pani Dixon i gospodyni były nią zachwycone, nazywały ją „skarbem”,

nawet płaciły trochę więcej, niż było uzgodnione, z obawy że może odejść. Hanni szybko dowiedziała się, że ranczerskie rodziny mają wielkie problemy ze znalezieniem służby chętnej do pracy w odludnych zakątkach kraju. U Dixonów obowiązki praczek i pomywaczki pełniły czarne dziewczyny, a kucharka sama podawała posiłki. Po pewnym czasie Hanni uznała, że gospodyni nie ma tu wiele do roboty poza zamawianiem towarów i obchodami domu. W rzeczywistości była bardziej towarzyszką pani Dixon. Obie kobiety, choć już po sześćdziesiątce, dość często wyjeżdżały na wspólne konne wycieczki. Hanni imponowało ich bezpośrednie podejście do służby, któremu w tym domu nikt się nie dziwił. Państwo musieli być ekscentrykami.

Ojciec, którego wszyscy nazywali J. B., był potężnym mężczyzną o grzmiącym głosie. Rzadko widywało się go w domu

174

w ciągu dnia, podobnie jak jego syna, pana Keitha. Za wiele działało się tam, na ranczu, gdzie pracował Lucas.

Dom ustawiony był frontem do dużej zatoki, prawdziwego rajsu dla wodnego ptactwa. Z tyłu rozciągał się sad. Od zachodu biegnąca wzdłuż wonnego żywopłotu ścieżka prowadziła do stajni i dalej do kuźni. A to tylko początek, bo w gospodarstwie była także mleczarnia, wielki skład, warsztat rymarski i ogromne szopy do strzyżenia owiec. Ona i Lucas dostali pokój na końcu skrzydła dla gości, natomiast inni pracownicy mieszkali dalej, w długich chatach, jedli zaś w szopie przy kuchni polowej, którą nazywali po prostu kuchnią.

Lucas oprowadził żonę po obozowisku, Hanni nie rozumiała jednak, czym tak entuzjazmuje się w swym miejscu pracy. Nie zaimponowały jej nawet

ogromne magazyny wełny. Bo dlaczego niby miałyby być mniejsze? pomyślała. Ci ludzie mieli tysiące owiec, dosłownie tysiące. Zagrody za magazynami wyglądały jak niekończący się labirynt z płotków i siatki. Podobało jej się natomiast to, że wspólny spacer wśród mężczyzn prowokował ich do głośnego wyrażania uznania, okrzyków i gwizdów; oni wszyscy uważali ją oczywiście za bardzo piękną i nie zamierzali tego ukrywać. Często mówili jej prosto w oczy, jaki to z Lucasa szczęściarz. Uwielbiała zwracać na siebie uwagę, ale ostatnio Lucasowi zaczęło przeszkadzać całe to zamieszanie wokół jej osoby.

- Ośmielasz ich, Hanni - powtarzał coraz częściej. - Nie powinnaś tego robić. Trudno im znieść brak samotnych kobiet.

- Przecież są i takie. Dixonowie nierzadko zapraszają gości.

- Ale goszczące u nich damy nie spotykają się ze zwykłymi parobkami. Trzymają się swojego podwórka.

- To nie moje podwórko. Tu mieszkamy i nic nie poradzę na to, że się podobam.

- Nie afiszuj się, proszę. Ostatnio trochę przesadziłaś.

- Nic nie zrobiłam! Jesteś zwyczajnie zazdrosny. A myślałam, że będziesz ze mnie dumny...

- Hanni, kochanie, ja jestem z ciebie dumny. Bóg jeden wie, że kocham cię bardziej niż kogokolwiek i cokolwiek na świecie. Czy ci tego nie okazywałem? No powiedz! - Chwytał ją za ramiona, obrócił tak, by patrzyła mu w oczy tego dnia, w ich pokoju, gdy znowu się kłócili, a poszło jak zwykle o to samo. - Spójrz na mnie. Nie okazywałem ci miłości? Ty chciałaś, żebyśmy

byli razem. Powiedziałaś, że mam wybór. Albo Hilda, albo ty. Wybrałem cię, bo bez ciebie nie potrafiłbym żyć, no i wyjechaliśmy. Zerwałem z całym swym dotychczasowym życiem, bo ty tego chciałaś!

- No i co? - zirytowała się Hanni. - Co się stało, to się nie odstanie. Wiem, że mnie kochasz, i ja cię też Kocham. Ale lepiej przestań zarzucać mi, że flirtuję z tymi okropnymi mężczyznami. Przecież żaden z nich nie jest przystojny, a rozmawiać to potrafią tylko o koniach.

- Tak dokładnie się im przyjrzałaś? - warknął Lucas.

- Przestań! Zaczynasz działać mi na nerwy! A w ogóle to dlaczego tak późno wróciłeś do domu?

- Bo zaganialiśmy owce dość daleko stąd. Przy okazji, jutro jedziemy jeszcze dalej. Zapewne na dwa dni. Polecenie zarządcy.

- Znów? I co ja mam robić po pracy? Siedzieć w pokoju i gapić się w ścianę?

W duchu Hanni stwierdziła, że dziwnie ułożyło się ich życie. Lucas został pastuchem, całe dnie uganiał się za owcami, ona zaś bawiła się pracą lekką, łatwą i przyjemną. Oboje byli zadowoleni, ale... jadalі osobno, ona śniadanie, obiad i kolację w kuchni, on w kantynie. Ona miała wolne popołudnia, ale nie całe dnie, Lucas nie pracował w niedzielę. Hanni lubiła uciąć sobie popołudniową drzemkę, więc gdy przyjeżdżał mąż, była rześka jak wiosenny poranek, Lucas zaś najczęściej wracał do domu zmęczony, ciągle bowiem próbował przywyknąć do ciężkiej pracy, całych dni spędzanych w siodle, w zawsze niebezpiecznym buszu. Nigdy nie brakowało mu energii, żeby się z nią Kochać, ale jej zdaniem nie był już dla niej odpowiednim towarzyszem. Spał jak kłoda i zrywał się o świcie, a ona zgłaszała się do pracy dopiero o siódmej. O tej porze roku świeciło

przed szóstą, ale kucharz powiedział jej, że w lecie słońce wschodzi o wpół do piątej.

- Tak wcześnie? - zdumiała się. - Mąż będzie wychodził z domu przez sen. Kucharz tylko się roześmiał, Hanni wcale to jednak nie rozbawiło.

Przyjął się zwyczaj, że w niedzielę chodzą na spacer wzdłuż zatoki lub do sadu. Hanni to nudziło, ale Lucas lubił siadać pod drzewami, przyglądać się domowi.

176

- Tylko popatrz - powtarzał. - Pewnego dnia, już wkrótce, my też będziemy mieli takie gospodarstwo. I ładny dom. Dowiedziałem się właśnie, że Dixon nie jest właścicielem całej tej ziemi. Część dzierżawi.

- Co za różnica? Tak czy inaczej należy do niego.

- Jest różnica, kochanie, ale nic to. Najważniejsze, że już wiem, jak zaczyna się życie w tym kraju. Najpierw uczysz się wszystkiego o owczych ranczach, o tym, jak działają, i ja to właśnie robię. Potem, jeśli chcesz, dzierżawisz ziemię od rządu. Na to właśnie oszczędzamy, Hanni. Już wkrótce zbieramy wystarczająco wiele.

- A pewnie, że zbieramy. Na co tu wydawać ciężko zarobione pieniądze? Nic dziwnego, że mają kłopoty z utrzymaniem służby.

Mąż spojrzał na nią zaniepokojony.

- Hanni, proszę, powiedz mi, czego ty tak naprawdę chcesz? Bardzo proszę. Myślałem, że masz wszystko, czego chciałaś.

- A czego mogę chcieć? - nadała się. Nie wiedziała, co chciałaby kupić, gdyby w pobliżu był jakiś przyzwoity sklep. - Tak czy owak nie ma gdzie pojechać.

I tak mijały im dni. Hanni nudziła się coraz bardziej, Lucas uwielbiał

każdą sekundę swego nowego szalonego życia. W posiadłości Reinhardtów awansował na głównego koniuszego i to był kres jego możliwości zawodowych, chyba że zmieniłby zajęcie, czego i tak nikt by nie zrozumiał ani nie zaakceptował. Tu zaczynał od stawiania ogrodzeń, a awans dostał niemal natychmiast.

Lucas uśmiechnął się do siebie. Awansowano go na prostego pastucha, to prawda, ale udowodnił, że umie ciężko pracować, zyskał szacunek tych twardych ludzi, co sprawiło mu wielką przyjemność. I nie myślał na tym poprzestać: miał ochotę napiąć mięśnie i osiągnąć więcej. Dopiero teraz dowiedział się, czym jest ambicja. Zamierzał pracować, obserwować, uczyć się i pewnego dnia kupić własne ranczo. Być może ze współnikiem, jeśli miałyby to przyspieszyć realizację marzeń. Niepokoiły go tylko nastroje żony. Rozumiał jej dylemat: miała mnóstwo wolnego czasu, a nie bardzo wiedziała, co z nim zrobić. Czuła się samotna. Dużo mówiła o wielkiej bibliotece w domu Dixonów, zaproponował więc, by poprosiła o pozwolenie na pożyczenie kilku

177

książek, zapominając, że Hanni nie bardzo radzi sobie z czytaniem po angielsku. Żałował, że nie ma żadnego pomysłu na to, jak jej pomóc, ale chęć pomocy nie rozciągała się na przyzwolenie, by czerpała radość z przykuwania uwagi innych mężczyzn, choćby niewinnej. Tego też Hanni nie potrafiła zrozumieć, a przecież tych mężczyzn nie powinno się drażnić. A może jednak rozumiała? Jego kokietowała miesiącami, to chętna, to uciekająca, to przystępna tak, że wreszcie zapomniał o ostrożności i sam zagrał w jej grę. I popatrzcie tylko, do czego go to doprowadziło. Czasami żałował oczywiście, jak każdy, ale gdyby mógł cofnąć czas, postąpiłby tak

samo. Nie tylko kochał Hanni, on wręcz ją uwielbiał; była najpiękniejszą dziewczyną, jaką zdarzyło mu się spotkać, taka miła, taka ciepła. Pewnego dnia zamieszka we własnym domu, będzie mogła odwiedzać przyjaciół, zajmie się ich dziećmi. Może tak właśnie będzie najlepiej? Gdyby Bóg dał jej dziecko, miałyby się czym zająć.

Lucas ostrzegał ją przed szorstkimi robotnikami na ranczu, ale żaden z nich nie ośmielił się jej narzucać. Kłopotliwy okazał się dopiero gość Dixonów, pan Mayhew. Niewątpliwie pijak. Oprócz nich tylko on mieszkał w skrzydle dla gości i kilka dni po przyjeździe spotkał Hanni na wybiegającej sprzed domu drodze.

Czarne dziewczęta odsyłano przed zmrokiem do ich obozu i były po temu powody, tłumaczyła Hanni kucharka.

- Za wielu tu rozochoconych białych mężczyzn i nie mam na myśli tylko robotników - powiedziała i zacisnęła grube wargi. - Mnóstwo młodych chłopaków przyjeżdża tu w gości i ma za nic czarne dziewczęta, ale pani Dixon nie, nie ma mowy, za nic im na to nie pozwoli. Wyrzuca ich z domu, jeśli tylko dowie się, że latają za panienkami. Choćby byli Bóg wie co.

Oznaczało to, że wieczorami Hanni musiała przejąć obowiązki pomywaczki, ale wcale jej to nie przeszkadzało. Kolacje jadała w kuchni rozbawiona tym, że kucharka poniża się do obsługi rodziny, choć powinno to należeć do jej obowiązków. Ale ona naprawdę to lubiła.

Gawędziła z siedzącymi przy stole Dixonami i ich gośćmi, wypytywała, co im smakowało bardziej, a co mniej, obiecywała przygotowanie wyrafinowanych smakołyków i pławiła się w komplementach. Po kolacji pomagała przy zmywaniu, porządkowaniu jadalni i przygotowywaniu jej

do śniadania. Potem wracała do swojego pokoju.

178

Rodzina: pan i pani Dixon, pan Keith oraz gospodyni najczęściej zasiadali do kolacji o szóstej. Jedli krótko, po czym przenosili się do salonu, gdzie pili kawę lub herbatę. Gdy mieli gości, do posiłku podawali wino z domowej piwniczki i porto do deseru, czasami w sporych ilościach, jeśli akurat przyszła im ochota do zabawy.

Ten styl życia wydawał się Hanni fascynujący. Pan Dixon i jego syn rozmawiali z nią - tylko kiedy nadarzyła się okazja oczywiście - jakby była ich starą przyjaciółką lub kuzynką czy kimś takim. Dziwne, bardzo dziwne. To prawda, na ogół nie słuchali odpowiedzi na pytanie, co u niej i jak się miewa, ale Hanni same te pytania uznała za dziwne. Zupełnie jakby oczekiwali, że ośmieli się powiedzieć coś więcej niż tylko: „Gut. Dobrze, proszę pana. Dziękuję panu.”

Na litość Boską!

Hanni strasznie by chciała napisać o tym dziewczętom, z którymi pracowała przez długie lata w stalowym uścisku Frau Neuendorf, pod nieustanną groźbą uderzenia biczem, gospodyni domu Reinhardtów bowiem zawsze go miała pod ręką i wprawnie się nim posługiwała, gdy tylko któraś z nich znalazła się w jego zasięgu... i złego humoru kobiety. Srebra czyściły palcami, zdzierając sobie skórę aż do krwi. Dania donoszono po kamiennych stopniach krętych schodów tylnej klatki schodowej,, przez trzy kondygnacje, biegiem, by nie wystygły. Życie pokojówek było w ojczyźnie ciężkie, nie miały czasu nawet podnieść głowy, a już niemożliwe było, by ktoś z Reinhardtów spytał którąś z nich: „Co u ciebie?” Hanni obiecała sobie solennie, że pewnego dnia dokładnie

opisze, jak wygląda jej życie w Australii.

Tego wieczora Dixonowie mieli tylko jednego gościa, pana Mayhew. Oddali mu pierwszy pokój skrzydła dla gości, najdalszy od znacznie mniejszego i skromniejszego zamieszkiwanego przez Fechnerów. Hanni widywała go od czasu do czasu wychodzącego z panem Keithem, jeżdżącego z nim konno, ganiającego owce czy czym się tam przez cały dzień zajmują mężczyźni. Był tłusty, rudy, niezbyt wysoki i głośno się śmiał. Tyle o nim wiedziała.

Wracając do swego pokoju, myślała o liście. Może Lucas go dla niej napisze? Przecież tak bardzo pragnęła opowiedzieć Frau Neuendorf o tym, jak tu żyje się gospodyni. Byłaby to doprawdy

179

wspaniała zemsta. Niech się dowie, jakie ma parszywe życie i jak żyje się tutaj. Gospodyni traktowana jak członek rodziny! Nawet lepiej.

W tym domu Elsie miała mieszkanie: sypialnię i pokój dzienny. Frau Neuendorf mieszkała na strychu, przy końcu bocznych schodów, i nie wolno jej było zwracać się do rodziny inaczej niż poprzez zarządcę majątku. Mój list, pomyślała Hanni i zachichotała, chyba nie będzie miał końca. Jak spodobałaby się tej suce informacja, że tu gospodyni zasiada przy stole z dziedzicem fortuny i jego rodziną? Że śmieje się i żartuje? I że służące takie jak ona mogą wybierać sobie jedzenie? Spizarnia stała przed nią otworem.

Obowiązywało ją tylko jedno prawo. Gospodyni zażądała, by Hanni obchodziła gościnne skrzydło domu ścieżką od tyłu, prowadzącą wprost pod drzwi jej pokoju, a nie szła od frontu, wzdłuż werandy ciągnącej się przez całe skrzydło... tej niekończącej się werandy, którą dobudowywano

tu chyba do wszystkich domów. Wychodził na nią każdy pokój. Kucharka mówiła, że w lecie ludzie śpią właśnie tu... i tę informację Hanni także zamierzała zawrzeć w liście: w Australii nigdy nie jest zimno. Tu nigdy nie pada śnieg. Tu ludzie nie wiedzą, czym jest śnieg i lód. I Hanni może cały rok nosić cudowne bawełniane bluzki z ręcznym haftem, które zrobiła jej Mutti, jako codzienny strój. Te z bufiastymi krótkimi rękawami, takie śliczne i tak podkreślające jej urodę.

Na myśl o Mutti wstrzymała oddech i czekała, aż przejdzie ból.

- Nic dobrego z tego nie będzie - przestrzegała ją matka. - Wracaj do pracy, córko, nim będzie za późno. Powiedz im, że musiałaś zostać ze mną, że mi się pogorszyło, proszę... Jesteś taka lekkomyślna.

Hanni bardzo kochała matkę, ale nie zamierzała zawrócić z obranej drogi. Nie mogła.

- Będzie - zaprotestowała stanowczo. - Wynoszę się stąd i niech się dzieje, co chce!

Ludzie powtarzali jej, że wygląda jak Mutti, że jej matka była najładniejszą dziewczyną we wsi. Pakując niewiele własnych rzeczy do torby, którą kupił jej Lucas, Hanni zadrzała. Wolałaby umrzeć, niż wyglądać jak mama, chuda, zabiedzona. W chwili gdy służąca wyszła za męża, traciła pracę w rodzinnym gnieździe. Należała do męża, jej obowiązkiem było rodzić dzieci. Matka

180

miała dziewięcioro, ona była z nich najstarsza. Dwójka jej rodzeństwa zmarła, Mutti też kilkakrotnie pukała do bram śmierci, ofiara niedożywienia i wyczerpania. Za każdym razem jakoś z tego wychodziła, lecz słabości zebrały swe żniwo i Hanni trudno było wyobrazić sobie, że ta

czterdziestoletnia, sterana życiem kobieta wydawała się kiedyś ładna. Toteż słysząc, że jest wykapaną matką, drżała z przerażenia. To tylko zachęcało ją, by jak najszybciej znaleźć się jak najdalej stąd.

Wiedziała, że jest ładna. Wiedziała, że zwraca na siebie uwagę mężczyzn... ale jakich mężczyzn? Przed Lucasem nie zainteresował jej żaden z nich. Z Lucasem też tylko flirtowała, ale potem, kiedy zorientowała się, że on poważnie traktuje ich związek, dostrzegła szansę, której tak bardzo potrzebowała. Miał wybrać między nią a Hildą i by tego dokonać, oznajmił, muszą wyjechać.

Perspektywa opuszczenia wioski, zrealizowania marzeń wprowadziła ją w istny szal radości. Kochała Lucasa. Uwielbiała go. Niemal dławiła go swą miłością, ilekroć spotykali się za młynem. Od tej pory kochali się tak mocno, że nawet nie myśleli o tym, by zawrócić z drogi.

Kucharka dała jej kilka magazynów dla dam. Hanni wzięła je ze sobą, kiedy skończyła pracę w kuchni, zgasiła lampę i poszła ścieżką z tyłu domu do swojego pokoju. Noc była piękna, rześka, na niebie błyszcząły gwiazdy. Nie śpieszyła się. Lucas pracował gdzieś daleko stąd, czekała ją samotna noc, ale przynajmniej miała te kilka pism, które mogły pomóc jej wypełnić wolny czas. Bardzo lubiła przyglądać się obrazkom, zwłaszcza reklamom tego, co noszą wielkie panie. Kucharka twierdziła, że pani Dixon często zamawia rękawiczki i różne inne drobiazgi z takich ogłoszeń, że przysyłają je pani do domu. Wywarło to na Hanni wielkie wrażenie.

- Jakie to podniecające - powiedziała cicho do siebie. Pomyślała, że może ona też powinna coś zamówić, żeby jej przysłali, i niemal w tej samej chwili zauważyła pana Mayhew, gościa Dixonów, idącego za nią,

zataczającego się po całej ścieżce.

- Chwileczkę, malutka - wybełkotał. - Dokąd się tak śpieszysz?

Hanni szarpnęła się, usiłowała wyrwać, ale trzymał ją mocno, próbował przytulić, pocałować. Wiła się w bolesnym uścisku

181

silnych dłoni, odwracała głowę, by uniknąć jego wstrętnych wilgotnych warg, lecz nie krzyczała. Nie raz i nie dwa napadali na nią łotrzy, ale w ojczyźnie radziła sobie z nimi bez problemu. Wystarczyło krzyknąć, wymierzyć mocnego celnego kopniaka. Ten człowiek był jednak zamożnym ziemianinem i gościem w tym domu. Nie chciała ryzykować nawet tutaj... W takich sytuacjach goście mają zwyczaj obciążać winą służbę, znała dziewczęta wyrzucone z pracy za to, że przyciągnęły uwagę arystokratycznych lubieżników.

- Przestań się szarpać, malutka - powiedział Mayhew ze śmiechem. - Nie skrzywdzę cię. Ależ słodka, mięciutka myszka z ciebie.

Nadal trzymał ją mocno. Dziewczyna potknęła się i oboje wpadli w krzaki rosnące przy skraju dróżki. Nadal nie krzyczała, tylko mocno zacisnęła zęby. Z wysiłkiem wydostała się na dróżkę, ciągnąc za sobą uczeplonego jej kurczowo mężczyznę... i wpadła w ramiona kolejnego.

- No nie - odezwał się pan Keith, patrząc nad jej głową. - Daj sobie spokój, przyjacielu, bardzo cię proszę. Co ty wyprawiasz?!

- Dobrze się bawię - wysapał Mayhew, ale puścił Hanni. Uciekła przerażona, pewna, że wpadnie w kłopoty, bo zdenerwowała gościa. Nic nowego, mężczyźni zawsze mają rację i tyle.

Keith podniósł porzucone przez nią magazyny. Otrzeptał je o nogawkę spodni.

- Jesteś pijany, Charlie - powiedział spokojnie. - Chodź, odprowadzę cię do pokoju. Nie, nie w tę stronę, tam mieszka służba. Tędy proszę. Idziemy.

- Nie jestem pijany! No, troszkę, ale tylko troszkę. Chodź, łykniemy sobie po kropelce do poduszki. Akurat mam trochę rumu. Domowego, wiesz, z mojej destylarni. Cholernie dobry, jeśli wolno mi to powiedzieć.

Keith ruszył za nim.

- Nie mogę ci pozwolić na obmacywanie służby - tłumaczył po drodze. - To nie przystoi. Gdyby matka się dowiedziała, dostałaby ataku serca.

- Mój drogi, przecież ja wcale nie obmacywałem tej panienki. Jeśli chcesz znać prawdę, powiem ci z ręką na sercu, że chciałem z nią tylko porozmawiać. Ale szarpała się i w ogóle przez chwilę nie mogła ustać spokojnie.

182

- O czym chciałeś z nią rozmawiać? Charlie Mayhew czknął i uśmiechnął się.

- Nie wiesz? Musisz pytać? Nawet na nią nie spojrzalesz? Zakochałem się, Keith, zakochałem się do szaleństwa!

- Rozumiem. Spotkałeś ją na ścieżce i nagle ugodziła cię strzała Amora.

- Wcale nie. - Mayhew nalał rumu do dwóch stojących na komodzie szklaneczek, po czym dodał do nich odrobinę wody. - Zauważyłem ją zaraz po przyjeździe. Wcale nie chciałem przerazić tej myszki.

Przepraszam. Chyba zachowałem się jak gbur. Nietaktownie, prawda?

- Wyjątkowo nietaktownie. A ten rum rzeczywiście nie jest zły. Co więcej, powiem, że wyborny. Czy dobrze zrozumiałem, że sam go destylujesz? Charlie urażony wyprostował się na całą swą niezbyt imponującą, za to tęgawą wysokość.

- Zabrzmiało to tak, jakbym pędził go w jakimś cholernym wiadrze. A ja mam doskonałą destylarnię, zatrudniam chemika i w ogóle. Wracając do tej dziewczyny... Nie wierzę, żebyś jej nie zauważył. Fraulein jest nieoceniona...

- Frau, mój drogi. Ma męża.

- Przykre, ale nie ma się czym przejmować. Nic to nie zmienia, jest nieoceniona. Chodzi mi o to, że jest taka doskonała. Obserwowałem ją przy każdej okazji... Tylko pomyśl. Piękne blond włosy, cudowna twarz, skóra jak brzoskwinie i śmietanka, a te usta...

Keith roześmiał się szczerze.

- Jakim cudem udało ci się znaleźć tyle czasu na obserwowanie tej biednej dziewczyny?

- Już ja zadbałem, żeby mi go nie zabrakło. Powiedzmy, że siedziałem na werandzie i podziwiałem widoki. Czy ty, Keith, nie masz duszy? Jak możesz nazywać tę jasnowłosą niebieskooką piękność „biedną dziewczyną”? Na Boga, naprawdę nie dostrzegłeś tych wspaniałych piersi? Powtarzam raz jeszcze: zakochałem się.

- W tym tygodniu. - Keith nadal się śmiał. - Uciekała tak szybko, że chyba nie podziela twoich sentymentów - uznał rozbawiony. - Ale, ale! Powiedz mi coś więcej o tym rumie.

- Rozmawiałem z twoim starym. Nasza plantacja ciągle się rozwija, mamy mnóstwo trzciny cukrowej dzięki pracy Kanaków,

183

ale obaj z tatą uważamy, że plantacja Jupiter ma znacznie więcej do zaoferowania.

- Rozszerzacie ją?

- Cały czas, ale nie w tym rzecz. Spróbowaliśmy z małą destylarnią, wiem już, że możemy produkować doskonały rum, więc chcemy teraz wybudować dużą, taką prawdziwą. Tylko że potrzebujemy pieniędzy i problem w tym, że mój ojciec nie może nakłonić twojego ojca, żeby wszedł do spółki. Chce, żeby J. B. go poparł, ale na razie nic z tego. Keith oddał mu pustą szklankę.

- Nalej jeszcze na spróbowanie. Ale tylko odrobinę. Czystego. -  
Spróbował rumu i skinął głową z podziwem.

- J. B. wie, jakie to dobre?

- Dałem mu butelkę, ale nawet jej nie otworzył.

- Czy to ta butelka z czymś brązowym na kredensie? Bez nalepki?

- Właśnie - przytaknął ponuro Charlie.

- Nie tknie jej. Dla niego może to być równie dobrze trutka na szczury, nie rozróżnia. Musisz się bardziej postarać. Nalepka zapewne nie jest dla was za droga. Chcecie rozkręcić interes, to wymyślcie nazwę, i to taką, żeby wpadała w ucho. Nie możesz zachwalać dobrego rumu tak, jak wędrowny handlarz zachwala syrop na kaszel.

- Pewnie masz rację, stary przyjacielu. Pewnie masz rację. Jak myślisz, czy powinienem odwiedzić Fraulein, przeprosić ją za swoje zachowanie? Bo chyba tak powinienem się zachować, prawda?

- Nie, nie tak. Nadal masz ochotę się zabawić. Kładź się spać, Charlie. Ja pogadam z J. B. w sprawie destylarni. Mam wrażenie, że coś może z tego wyjść.

Mayhew padł na łóżko. Przeciągnął się.

- Wiem, że coś może z tego wyjść - powiedział sennie.

- Fraulein to prawdziwy skarb. Wenus z Milo, tylko że ma ręce.

Zachrapał, nim gospodarz zdążył zamknąć drzwi do jego pokoju. Keith zebrał rozrzucone pisma Hanni, bo do pokoju jego przyjaciela z pewnością nie pasowały. Zamierzał położyć magazyny na kredensie w jadalni, gdzie bez problemu by je znalazła, lecz tego nie zrobił. Z uśmiechem cisnął je na podłogę swojego

184

pokoju. Pomyślał o najnowszej... miłości?... Charliego. Czy może raczej ofierze jego požądania.

Myślał o niej rozbierając się i kładąc do łóżka. Hanni. Kiedy tak głębiej się nad tym zastanowić, to być może Mayhew miał rację. Keith przypominał sobie zalety dziewczyny zastanawiając się, dlaczego do tej pory nie zwrócił na nie uwagi. Prawdopodobnie dlatego, że zawsze była taka potulna, spokojna, nigdy nie podnosiła wzroku, nie odzywała się pierwsza. Cicha myszka, bardzo celna uwaga. Co powiedziała o niej matka? „Prawdziwy skarb”? „Wspaniale wyszkolona”? „Mogłaby pracować w parlamencie”?

Póki nie wspomniał o niej Charlie, ten ósmy cud świata był dla niego wyłącznie elementem dalekiego tła, nigdy w żaden sposób nie przyciągającym uwagi.

- Jezu - szepnął.

Słowa Charliego powoli nabierały kształtu w jego snach. Widział Hanni cudowną, idealnie piękną, nagą i boską. Odrzucał pościel, brał ją namiętnie, kochał wiedząc, że jest mężczyzną znacznie lepszym, niż Charlie kiedykolwiek był lub będzie. Śnił o niej noc w noc; były to sny podniecające, a zarazem satysfakcjonujące. Budził się rozgrzany rozkoszą, zawiedziony, że oto znów nadszedł dzień.

Mayhew był jednak strasznie zażenowany.

- Nie wierzę, że narzucałem się Fraulein aż tak nachalnie - powiedział cicho. - Pragnąłem ją przeprosić, ale unika mnie jak ognia. Nie chcę zawstydząć jej jeszcze bardziej, ale czy sądzisz, że mógłbym wślizgnąć się teraz do jadalni? Wiem, że ona tam jest. Sama.

- Po co?

- No... chciałem dać jej to.

- Czyli co?

Keith otworzył torebkę z czarnego aksamitu. W środku było ręczne lustro ozdobione rzędami kolorowych kamyczków.

- To za ledwie drobiazg - tłumaczył Charlie. - Kupiłem go dla mojej siostry, bo jest taki ładny; no ale dla niej mogę znaleźć coś innego.

Chciałbym, żeby Hanni się nim cieszyła.

- Dlaczego?

- Powiedzmy, że chcę się z nią przeprosić.

- Jest zamężna, przyjacielu. Wbij to sobie wreszcie do głowy.

185

- Wiem. I jeszcze bardziej mi przez to głupio. Ma prawo do przeprosin.

- W porządku. Daj mi to lustro. Wręcę je w twoim imieniu.

- Cholernie miło z twojej strony, Keith. Nie chciałbym wyjeżdżać stąd ze świadomością, że uprzykrzyłem życie takiej sympatycznej dziewczynie.

Keith Dixon zaniósł Hanni eleganckie lustro jeszcze tego cichego, spokojnego popołudnia. Dyskretnie zapukał do jej drzwi.

Włosy, zawsze ciasno owinięte wokół głowy, miała rozpuszczone; wyglądała tak pięknie, że aż mu odebrało dech. Nie były kręcone, zauważył, raczej falujące, a kosmyki wokół twarzy lśniły jak jedwab.

- Czy pan mnie potrzebuje? - spytała nerwowo. - O co chodzi? - Mówiła z lekko syczącym, na swój sposób słodkim akcentem.

- Przyniosłem twoje pisma - powiedział. - Upuściłaś je na ścieżce.

Wzięła je tak chętnie, jakby brała trutkę na szczury; przynajmniej takie odniósł wrażenie. Podziękowała mu krótko, odwróciła się, próbowała zamknąć drzwi, ale przytrzymał je silną dłonią.

- Jeśli chodzi o poprzednią noc, Hanni...

- Bardzo mi przykro, proszę pana. Bardzo. To się już więcej nie powtórzy. Keith spojrział na nią zdziwiony.

- Ty nie masz za co przepraszać. To Charlie powinien przeprosić ciebie.

- Nie, proszę pana. Jeszcze raz przepraszam. Niech to się już wreszcie skończy.

Dopiero teraz zauważył, że te wielkie błękitne, skromnie spuszczone oczy oceniają najdłuższe, najpiękniejsze rzęsy. Miał okazję lepiej się jej przyjrzeć, w pełni ocenić jej wszystkie walory. Pamiętał nocne marzenia, choć niezbyt dokładnie, zbliżył się do niej, czuł jej cudowny zapach, zapach czystości, zdrowia, tak wspaniały, że aż zakręciło mu się w głowie. Uśmiechnął się szczerym ujmującym uśmiechem.

- Moja droga młoda damo, wybacz, że w ten sposób narzucam ci swoją obecność, ale obawiałem się, że ten nieprzyjemny

186

incydent mógł cię zdenerwować, i tak się rzeczywiście stało. Nie mylę się, prawda?

Hanni skinęła głową.

- Niepotrzebnie, niepotrzebnie. Charlie zachował się niewybaczalnie, zaczepiając cię w ten sposób. Wręcz nieprzyzwoicie. Czuję się

odpowiedzialny za zachowanie mojego gościa, za to, że cię niepokoił.

Chcę cię przeprosić.

Dziewczyna spojrzała na niego niewinnymi zdumionymi oczami; widać było, że nie rozumie, co się do niej mówi. Keith poklepał ją łagodnie po ramieniu, próbował dodać jej odwagi.

- Zrozum, że nie masz się czym martwić, Hanni - tłumaczył. - Prawdę mówiąc przyniosłem ci nawet mały prezent. Chciałem zatrzeć to przykre wrażenie.

- Prezent? Mnie?

- Tak, tobie. Możesz go rozpakować. Dziewczyna otworzyła torebkę i wyjęła z niej lusterko.

- Jakie piękne! - zachwyciła się. - Naprawdę jest moje, proszę pana?

- Tak, oczywiście. Ale nie wspominałbym o tym w domu. Nie chciałbym, żeby matka dowiedziała się, że Charlie narzuca się służbie.

Hanni chętnie się na to zgodziła. Kiwała głową i dziękowała mu z całego serca.

- A więc nie będziemy więcej o tym rozmawiać - postanowił Keith.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Och nie, oczywiście. Taka jestem wdzięczna. To tak uprzejmie z pana strony.

Keith wyszedł. Hanni usiadła na łóżku i wpatrzyła się w jego dar zdumiona nie do opisania. Przez cały dzień czekała, aż spadnie na nią karząca dłoń, że gospodyni, a może nawet sama pani Dixon zaatakuje ją z gniewem, oskarży o flirt pod jej dachem i o narzucanie się gościowi. Była pewna, że pan Mayhew przekaże swoją wersję „incydentu”, jak to określił Keith, wcześniej, niż ona zdoła to zrobić. Oczekiwała nawet, że obaj

mężczyźni przyjdą do niej tej nocy, by Bóg jeden wie jak pokarać ją za ucieczkę, nim więc położyła się do łóżka, zablokowała drzwi, podkładając pod klamkę oparcie krzesła.

187

A potem zjawił się pan Keith... z prezentem. I nie było to byle co, tylko lustro wszędzie gdzie się dało ozdobione rubinami, szmaragdami i szafirami, albo tak się przynajmniej wydawało, tak jaskrawymi, że były jak prawdziwe. Nigdy nie miała czegoś nawet w połowie tak ślicznego. To będzie jej najcenniejszy skarb, uznała.

Przyglądała się swej twarzy. Była prawdziwie, szczerze zdumiona reakcją na zachowanie pana Mayhew. Dobrze, że nikt się o tym nie dowie. Co za ulga. Uśmiechnęła się na myśl o młodym panu Dixonie. Jak to miło, że wyrwał ją z uścisków Charliego... Choć za kilka zaledwie chwil ten moczymorda dowiedziałby się, że złapał coś więcej niż tylko małą myszkę, pomyślała uśmiechając się kpiąco. Była średniego wzrostu, sprawiała wrażenie delikatnej, ale sił jej nie brakowało. Kiedy we wsi urządzano przeciąganie liny, każda drużyna chciała mieć ją w swoim składzie. O tak, pomyślała, gdyby sytuacja stała się naprawdę poważna, pan Mayhew bardzo by się zdziwił. Ale pan Keith... No, to była zupełnie inna sprawa.

Mógł zostawić magazyny w kuchni. Bardzo miło z jego strony, że się pofatygował, że dał lustro i w ogóle, ale Hanni przejrzała go od samego początku. Keith Dixon się do niej zalecał! Te płonące oczy i dłoń pieszczotliwie złożona na ramieniu nie pozostawiały co do tego żadnych wątpliwości.

Usiadła skulona, otoczyła się ramionami. Jakież to cudowne! Jakże

schlebialo jej to, że pan Keith zechciał z nią flirtować. A może nawet więcej niż flirtować? Ciekawe, o ile więcej, pomyślała. W każdym razie był znacznie przystojniejszy niż jego pijany przyjaciel. No i z przyjemnością zachowa sekret jego prezentu. Dla siebie. Gdyby Lucas go zobaczył, zaraz by zaczął zadawać pytania. Narobiłby zamieszania, a to przecież taka niewinna sprawa. Zapewne niewinna...

Ciekawe, jaki będzie następny krok pana Keitha. Na szczęście skończyła się nuda, na którą cierpiała od tak dawna. Bo i dlaczego całe popołudnia ma spędzać w pokoju? Przecież może chodzić na spacer. Nikomu nie będzie to przeszkadzało.

I tak Hanni rozpoczęła spacer po posiadłości. Czarne dziewczęta dały jej kapelusz przeciwsłoneczny z palmowych liści oraz tęgi kij. Powiedziały, że nie powinna się z nim rozstawać z powodu węży.

188

- Ale ja nie potrafiłabym zabić węża - zaprotestowała dziewczyna. - Ja się ich boję!

- Więc ty uciekasz! - parsknęła jedna z nich i wszystkie roześmiały się radośnie.

W każdym razie Hanni zyskała dobrą laskę. Podpierając się nią chodziła coraz dalej, za lagunę, za sad, nawet na pagórek, skąd miała piękny widok na wijącą się rzekę.

Pojawił się trzeciego dnia, wcześniej, niż przypuszczała. Podjechał konno, kiedy wracała do domu przez sad. Zsiadł i przez chwilę szli razem, rozmawiając o tym i o owym. Między innymi spytał, jak się jej podoba życie na ranczu.

Hanni odpowiedziała, że szalenie, że jest nim zachwycona. Że tu tak

pięknie, zwłaszcza rozległe widoki, i wszystko takie ogromne. Mówiła tylko to, co chciał usłyszeć. Żadne z nich ani słowem nie wspomniało Lucasa.

Pan Keith osaczał ją tak, jak ona kiedyś osaczała Lucasa. Zawsze był w pobliżu. Zawsze uśmiechał się z daleka. Znajdował ją na polach jakby przypadkiem. Albo na przystani, na pomoście; lubiła tam chodzić i przyglądać się rybom. Wiedziała, że chce, by to ona zrobiła pierwszy ruch, ale wolała udawać niewinną i naiwną. Nie zapominała, że on tu jest panem, a ona tylko służącą, zawsze nieśmiałą w jego obecności. Służącą, która jednak podziwiała go, eleganckiego ważnego mężczyznę.

Utrzymywała dystans.

Po jakimś czasie te przypadkowe spotkania zaczęły ją męczyć. Bardzo pragnęła podnieść oczy, zrobić wreszcie zdecydowany krok, choć Mutti twierdziła, że taka śmiałość jest nieprzyzwoita, i ostrzegała, że pewnego dnia wpędzi ją w kłopoty. Nigdy nie wpędziła, ale Hanni nie mogła już tak postępować. Była mężatką. Nie chciała odstraszyć pana Keitha. Ta zabawa sprawiała jej zbyt wielką przyjemność.

Prawdopodobnie to właśnie dlatego, że mam męża, pan Keith jest taki powściągliwy, myślała. Ale w końcu się ośmieli, w to nie wątpiła ani przez chwilę.

Gdy tylko uświadomiła sobie, że mu się podoba, Hanni zaczęła z uwagą słuchać, co opowiadają o nim w kuchni. Podobno miał silną wolę i trochę za często chodził własnymi ścieżkami. Do pań zawsze smalił cholewki, no ale dziewczyny w okolicy nie miały nic przeciwko temu, raczej odwrotnie, też zastawiały na niego sidła.

Zaciekawilo to Hanni, która przeciez postępowala wręcz przeciwnie. Czasami zastanawiała się, kiedy skończy się ta gra i w jaki sposób, ale nieczęsto. Dziwne, ale zainteresowanie Keithem sprawiło, że kochała się z mężem chętniej i znacznie bardziej namiętnie. Lucas nie miał się na co skarżyć.

Kiedy wreszcie to się zdarzyło, przyszło jako niespodzianka. Nie rzucił się na nią jak pan Mayhew, nie bełkotał o wiecznej miłości i innych takich. Po prostu podszedł do niej, gdy stała na pomoście, wyciągnął rękę, by pomóc jej przejść przez błoto, i delikatnie ucałował jej dłoń. To wszystko.

Tego samego popołudnia odjechał ze swymi ludźmi. Na tydzień. Cały tydzień. Hanni nie miała pojęcia, dokąd pojechali, a bała się zapytać.

Tęskniła za nim i to ją złościło. Przecież naprawdę kochała Lucasa, z panem Keithem tylko igrała, więc czemuż była taka podniecona? Czemuż ścisnęło się jej serce i żołądek? Czemuż na myśl o nim czuła suchość w ustach?

Pragnęła go. Tak. Kochała? Być może. Mutti powiedziałyby, że to raczej pożądanie. Ale to samo mówiła, gdy jej córka zakochała się w Lucasie.

Lucas zdumiał się na widok biegnącego w jego stronę Thea. Najpierw pomyślał, że pracuje z pastuchami, którzy właśnie przygnali wielkie stado owiec, ale okazało się, że nie. Theo pracował z poganiaczami wołów.

Dostrzegli ognisko i podjechali, by pogadać i napić się herbaty. Wieźli wielki ładunek na ranczo Clonmel.

- Kupują tyle, że mogliby wyżywić miasto - warknął.

- Pracuje tu wielu ludzi - tłumaczył mu Lucas. - Mówi się też, że wkrótce pojawią się postrzygacze. Napijesz się herbaty?

- A mam wybór? Dla mnie smakuje jak pomyje, ale może być.

Lucas przyniósł mu herbatę i suchara. Usiedli przy ogrodzeniu.

- Tutaj mieszkasz? - Theo przyjrzał się nędznym szałasom i stojącemu za nimi staremu połatanemu namiotowi.

- Nie. To tylko tymczasowy obóz dla nas, pastuchów. Mieszkamy w obozach, kiedy pracujemy tak daleko, że nie opłaca się wracać na noc do domu. Więc śpimy tutaj. Zawsze znajdzie się ktoś, kto przygotuje nam posiłek.

- Brzmi tak, jakby obsługiwano cię jak jakiegoś bogacza!

190

- Do diabła z tym, Theo. Ciężko harujemy. Nie wiem jak inni, ale jeśli o mnie chodzi, to gdyby wieczorem nie postawiono przede mną talerza, to po prostu nic bym nie zjadł.

- Zostawiasz Hanni samą? Nie sądzę, żeby to się jej podobało. Też mieszka w takim obozie?

- Nie. Mamy własny pokój. Bardzo ładny i wygodny. Możesz go sobie obejrzeć, kiedy dojedziesz do Clonmel.

- Pewnie nie będę miał czasu. Davey, właściciel zaprzęgu, mówi, że niedługo dojedziemy do posiadłości, rozładujemy wozy i zaraz wracamy, bo trzeba się śpieszyć, póki jest robota. Zdaje się, że chodzi mu o pogodę, chociaż jak go znam, zaraz zacznie skarżyć się na cholerną suszę, modlić o deszcz. Lucas, słuchaj, wspomniałeś coś o postrzygaczach. Słyszałem, że to oni najwięcej zarabiają na owczych ranczach, takich jak to twoje.

- Zaczynają strzyżę, gdy tylko zrobi się cieplej. Myślałby kto, że już jest wystarczająco ciepło, ale najwyraźniej nie.

- Dlaczego pracownicy farmy sami nie strzygą owiec? Lucas potrząsnął głową.

- Nie wiem. Nie jestem w stanie tego zrozumieć. W każdym razie przez cały czas kręci się tu mnóstwo pastuchów. Połowy z nich nawet jeszcze nie spotkałem. Może chodzi o to, że owiec jest po prostu za wiele.

- A ile ich jest na tym waszym ranczu? To znaczy, kiedy już spędzi się je do zagród, nie macie nic do roboty, więc moglibyście je strzyc.

Lucas rozejrzał się nerwowo. Jego kompani stali wokół prowizorycznej kuchni, palili i rozmawiali; kapelusze zsunęli z głów, odsłaniając brudne twarze, w każdej chwili gotowi wrócić do pracy. Krótką przerwę na zaparzoną w kociołku herbatę nazywano tu „na palenie” i nie liczyła się ona jako prawdziwa przerwa na posiłek.

- Theo - powiedział - jest mnóstwo rzeczy, których nie rozumiem. Nie chcę zadawać zbyt wielu pytań. Boję się, że wyjdę na durnia. Już mi się to zdarzało, aż nazbyt często, i wiem, że choć ci faceci wydają się sympatyczni i przyjaźni, wcale tacy nie są. To twardziele, wszyscy współzawodniczą ze wszystkimi.

- Przecież tylko spytałem cię o postrzygaczy.

- A ja próbuję opowiedzieć ci o owcach. Nie wiem, czy kpią ze mnie czy mówią prawdę, ale tylko tu, na tym ranczu, ma ich być dwadzieścia tysięcy.

191

Theo zaśmiał się głośno.

- Kpią z ciebie, Lucas. I niby czemu nie mieliby kpić? Jesteś koniuchem, prawda? Uczysz ich, jak utrzymać stajnie w czystości? Czy oni wiedzą, że nigdy nie byłeś pastuchem? Że nic nie wiesz o owcach?

- Wiele się nauczyłem.

- Bzdura. Kiedyś, w młodości, pracowałem przy owcach. Potrafiłem je

strzyc, nim skończyłem szesnaście lat. Wiem o nich wszystko. A teraz cię proszę, idź i dowiedz się, jak mógłbym dostać pracę postrzygacza. Mam trójkę dzieci, Lucas. Mogę się pętać po kraju przy Daveyu do końca życia i nic przez to nie zyskam. Nie zarabiam tyle, żeby utrzymać samego siebie, nie mówiąc już o dzieciakach.

- Naszego szefa tu nie ma - powiedział Lucas przyglądając się tubylcom, chłopcom pojącym konie z wiader.

- Spytaj kogokolwiek. Choćby kucharza.

- No dobrze - zgodził się wyraźnie zirytowany. - Spytam, spytam.

Podszedł do kucharza.

- Mój przyjaciel - zagaił - chciałby się dowiedzieć, jak można dostać pracę postrzygacza. Możesz mu coś poradzić, Lenny?

Lenny zbierał puste puszki po sucharach. Kilkoma kopniakami zasypał popiołem gasnące już ognisko. Splunął na nie.

- Postrzygacz? Jedno wiem, ci goście pilnują swych interesów. A ten twój znajomy dobry jest?

- Chyba tak.

- Jak dobry? - Podszedł do Thea. - Ile owiec ostrzyżesz w jeden dzień, człowieku?

Theo spojrział na niego zdziwiony.

- W jeden dzień? Nie mam pojęcia. Nigdy nie liczyłem.

- Zgaduj.

- No... może nawet dziesięć? Kucharz uśmiechnął się kpiąco.

- Możesz dać sobie spokój, Lucas. I temu chłopakowi też. Nie załapie się nawet na noszenie nożyc za prawdziwym postrzygaczem.

Odwrócił się, podszedł do pastuchów siodłających konie i chyba

opowiedział im o tym, co było tematem rozmowy. W każdym razie rozbawił ich, rozległy się głośne wybuchy śmiechu.

192

Lucas westchnął ciężko. Będą z niego kpili bez wątpienia, choć rzeczywiście nie miał pojęcia, ile owiec da się ostrzyc w jeden dzień. Nie znosił, kiedy się z niego śmiano, ale musiał znosić nieuniknione kpiny raz po raz, póki nie nauczy się, jak dobrze wykonywać swe obowiązki. Póki on nie zacznie podkpiwać sobie z nowych. Już wiedział, że to tylko kwestia czasu i wewnętrznej hierarchii. Mógł jak każdy wspiąć się na szczyt. Nie zmarnuje tej szansy. Nadejdzie dzień, gdy i on będzie miał własne ranczo.

Davey gwizdnął ostro, Theo poderwał się na równe nogi.

- Zrobiłeś ze mnie durnia - warknął. - Trzeba było powiedzieć mi, co mam mówić.

- Skąd miałem wiedzieć? - zaprotestował Lucas. - Przecież się na tym nie znam.

- Hej, wy dwaj - przerwał im właściciel zaprzęgu

- skończcie gadać w tym waszym języku. Ruszamy, Theo. Chętnie bym tu przenocował, chłopcy fajnie się urządzili, ale nie możemy marnować czasu. Im szybciej wyjedziemy, tym szybciej wrócimy.

- Co słyszeć w mieście? - spytał pośpiesznie Lucas, bo Theo natychmiast zareagował na wezwanie szefa.

- A co cię to obchodzi? Siedzisz sobie wygodnie pośrodku niczego, strugasz wielkiego pana i udajesz, że znasz się na owcach!

Lucas wstrząśnięty pobiegł za nim. Szarpnął go za rękę, zatrzymał.

- Nie wolno ci tak do mnie mówić! - zaprotestował.

- Oszalałeś? Zapomniałeś, że jesteśmy przyjaciółmi? Wywędrowaliśmy razem na kraniec świata. Jeśli kiedykolwiek będę mógł jakoś ci pomóc, nie odmówię, możesz być pewien. Potrzebujesz pieniędzy? Naprawdę jest aż tak źle?

- Owszem. Toniemy, Lucas, a ja nic nie potrafię na to poradzić. Nie możemy mieszkać w tej dżungli Beitza, więc wynajęliśmy część domku, bo nic lepszego w tej nędznej wiosce nie znaleźliśmy, ale... zalegamy z czynszem. Nie potrafię zarobić tyle, ile potrzebujemy, chociaż próbuję. Wiesz, jak bardzo się staram. - Theo omal się nie rozplakał. -

Przyjeżdżając tu popełniłem straszny błąd, ale dopiero teraz się zorientowałem. Miałem taką dobrą pracę: odźwiernego w pierwszorzędnym hotelu. Myślałem, że tu mi będzie lepiej, ale...

193

- Nie wolno się poddawać - przerwał mu Lucas. - Przecież to świetny kraj. Tyle że jeszcze się do niego nie przyzwyczailiśmy. Mogę pożyczyć ci funta, ale nie mam przy sobie gotówki, a dziś do domu nie wracamy. Hanni trzyma wszystkie nasze oszczędności w puszcze. Wiesz, jakie są kobiety. Lubią patrzeć, jak pieniądze się mnożą.

- Nie wiem. Eva wydaje moje szybciej, niż ja je zarabiam.

- No więc kiedy dojedziecie na ranczo, idź do Hanni. Powiedz jej, że obiecałem pożyczyć ci funta. Zwrócisz go, kiedy ci się poprawi.

- Niewielu jest takich, których stać na pożyczenie funta

- odparł obrażony Theo. - Niestety nie mogę sobie pozwolić na odmowę. Pójdę do Hanni, przekażę jej, co powiedziałaś.

- Doskonale. Ale słuchaj, ja nie jestem człowiekiem bogatym. Ten funt był na daninę dla ojca Beitza, uważam jednak, że twoja rodzina bardziej na

niego zasługuje.

- Więc czemu mam ci coś zwracać? - Theo był wściekły.
- Traktujesz mnie protekcyjnie jak wszyscy.
- Muszę jechać. Ty rób, co chcesz.

Lucas odszedł czując wielką ulgę, a także wstyd. Podeszedł do konia, sprawdził popręg, wsunął nogę w strzemię. Siodła, których tu używano, były znacznie lżejsze od europejskich; nic dziwnego, że przez pierwsze kilka dni jazdy walił w nie zadkiem jak nowicjusz. Obrócił konia. Musiał dogonić resztę pastuchów, ale jeszcze obejrzał się, by pomachać przyjacielowi, jednakże Theo szedł w kierunku zaprzęgu zdecydowanym krokiem i nawet nie popatrzył za siebie.

- Co za bzdur mu nagadałem - mruknął Lukas przynaglając konia do kłusa. Wraz z Hanni oszczędzili sporą sumę. Dwa funty. Z tego pięć szylingów zarobili na wyścigach konnych. Przyjeżdżali na nie ludzie z bliska i z daleka, wystawiając na próbę najlepsze konie czystej krwi. Była to kolejna przyjemność towarzysząca życiu na ranczu, przyjemność, której istnienia nawet nie podejrzewał. Ani on, ani Hanni nigdy wcześniej nie byli na wyścigach, oboje wiedzieli jednak, że tor w buszu do pięć nie dorasta wspaniałym torom wyścigowym tak ukochanym przez bogaczy w ojczyźnie. Mimo to wszyscy doskonale się bawili, te wyścigi najbardziej przypominały piknik, tylko że było bardzo gorąco i sucho, przekąski oraz

194

napoje oferowano w baraku z blachy falistej, a niektóre panie brały udział w gonitwach.

Niestety Hanni musiała pracować prawie przez cały dzień, gości trzeba było nakarmić, zdołała jednak szepnąć mężowi, żeby obstawił Paddy's

Dream.

- Skąd wiesz? - zdziwił się Lucas. - Nie możemy marnować pieniędzy na grę na wyścigach. Zaskoczyłaś mnie, Hanni.

- Słyszę, o czym rozmawiają w domu. O wyścigach też. Lucasie, proszę. Pan Dixon jest bukmacherem. Postaw na tego konia.

- Ile?

- Sześciopensówkę. Mówili, że kilkadziesiąt.

- Kilkadziesiąt czego?

- Nie wiem. Po prostu postaw na tego konia.

No i wygrał pięć szylingów. Tylko co go naszło, żeby powiedzieć Theowi, że ojcu Beitzowi zapłacą funta? Tyle zażądał, owszem, ale Hanni nie chciała nawet o tym rozmawiać.

- Powinien sprzedać drewno - rzekła stanowczo. - Przecież wiesz, co powiedzieli ci tutejsi. Drzewa na naszej działce, tej kościelnej, warte są fortunę. Dlaczego mamy wspierać kogoś, kto nie potrzebuje wsparcia? Lucas był zdania, że mimo wszystko powinni złożyć datek. Choćby te pięć szylingów. Hanni tak się na niego rozgniewała, że nie rozmawiali przez kilka godzin.

- Ciebie ktoś musi pilnować - syknęła. - Mówisz, co ci ślina na język przyniesie.

I była to szczerza prawda. Rzeczywiście miał tę wadę. Za dużo gadał, słowa po prostu się z niego wylewały. Czasami miały jakieś znaczenie... Choć nie zawsze, pomyślał ponuro, mówię z sensem. Pamiętał, jak po śmierci matki przyszła do ich domu jej siostra. Miał wówczas piętnaście lat, powinien wiedzieć lepiej. Siostra chciała zabrać to, co jak twierdziła, jest jej własnością. Rodzinne pamiątki, powiedziała.

- Cholerna bzdura - prychnął jego ojciec. - Ale to rzeczy od jej rodziny, więc niech będzie. Nie ma się o co kłócić.

Ojciec pracował na polu. Lucas miał pozwolić ciotce zabrać meble. Stół, krzesła i indyjski dywanik, wielki fotel z pękniętą sprężyną, ale nic więcej. Trzymali je w szopie na siano.

- Ta głupia suka nie ma prawa do niczego - mówił zirytowany tata do Lucasa. - Twoją ciotkę Inge wzięliśmy z przytułku.

195

Jej matka zmarła pozostawiając niemowlę, nikt nie wiedział, co robić, ale ktoś musiał ją przygarnąć. W końcu zdecydowała się na to twoja babcia. Ale tylko dlatego, że nie było chętnych. Więc nie należy do rodziny matki. Nie jest krewną.

Lucas wspominał ową chwilę bez przyjemności. Nienawidził myśleć o tym, jak został wplątany w rodzinną awanturę, nie potrafił jednak zapomnieć ciągów, jakie spuścił mu ojciec. A wszystko przez ciocię Inge! Upierała się, że ma prawo do inkrustowanego stolika do szycia, rzeźbionej kanapy, maselnicy ozdobionej wzorem z kwiatków i różnych innych rzeczy.

Próbował ją wyprosić. Meble, które zdaniem ojca mogła zabrać, leżały już na wozie. Woźnica czekał, coraz bardziej się niecierpliwiąc. Ciocia Inge wrzeszczała, skrzeczała i piszczała, a on nie wiedział, co robić, bo nie chciała wyjść. Nie chciała i już. Wbiegła do mleczarni, zaczęła z niej wyciągać, co jej w rękę wpadło, choć nic tu nie należało do niej. Nie mógł tego dłużej znieść i wreszcie powiedział, dlaczego nie powinna robić zamieszania. Że prawdę mówiąc nic jej się nie należy.

Wrzaski sprzed chwili były zaledwie szeptami przy tym, co pokazała,

kiedy pojęła jego słowa. Niektórzy twierdzili, że słycać ją było w samym środku wioski. Uspokoła się dopiero wtedy, kiedy dał jej wszystko, czego chciała.

W jego grupie było pięciu pastuchów. Zjechali ze szlaku, kierując się wprost na zachód przez otwarty rzadki busz. Tu dogonił ich Lucas. Miał nadzieję, że nie pamiętają już, jak zgubił się właśnie tu, podczas zaledwie osiemdziesięciokilometrowej wyprawy do lagun Dilby. Powiedziano mu później, że jeździł w kółko; stał się oczywiście obiektem niewybrednych żartów, ale potrafił docenić, że kpiarze podjęli wielki wysiłek, szukając go przez całą noc. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że są to bardzo dziwni ludzie.

Ale... Theo też okazał się bardzo dziwny. Lucas nie miał pojęcia, co o nim myśleć. Nagle uświadomił sobie, jak bardzo cieszy się, że nie wraca na noc do domu. Przynajmniej uda mu się uniknąć problemu, który sam wywołał proponując Theowi pożyczkę.

- Jesteś słaby - powiedział do siebie. - Jesteś słabym tchórzem.

Roześmiał się nagle. Przeszedł w galop, jakby chciał jak najbardziej oddalić się od nich wszystkich: od Thea zebrzącego

196

o pieniądze i od Hanni, która prędzej nauczy się latać, niż odda komuś cenne oszczędności.

Lucas wzruszył ramionami. Chciał dobrze, tego nikt mu nie odmówi. Żał mu było przyjaciela... Ale Hanni widzieć to będzie zupełnie inaczej.

Pod tym względem wcale się nie mylił.

- Lucas kazał przekazać, że mam ci dać co?! - krzyknęła. - Oszalał? A może obaj dostaliście porażenia słonecznego? Masz pracę, Theo

Zimmermanie. Rozdawaj własne pieniądze.

Niezależnie od tego, co tłumaczył i jak nalegał, powtarzała, że nie da mu nawet pensa, nawet najmniejszego pensika. Theo był wściekły.

- Lucas mi obiecał! - krzyknął wycofując się spod jej drzwi. - To dobry sprawiedliwy człowiek! Nie zawiedzie mnie! Wyśle mi pieniądze!

A jednak nie powiedział Hanni, co o niej sądzi. Bał się, że powtórzy jego słowa mężowi, że go rozgniewa. Za to przy kolacji, którą jadł z pastuchami, usłyszał coś bardzo interesującego. Siedzieli wokół ogniska, paląc i miło sobie gawędząc. Ktoś spytał go, czy zna Lucasa. Potwierdził, wdał się w dłuższą opowieść o ich przyjaźni, a przy okazji usłyszał fragment rozmowy grupki mężczyzn siedzących tuż za nim. Jej tematem była Hanni. Udając, że słucha bacznie jakiejś historyjki, wytężył słuch. Podobno nieźle urządziła się... z szefem.

- Którym? - spytał ktoś. - Starszym czy młodszym?

- Młodszym oczywiście. Keithem. Widziałem ich na spacerze.

- Naprawdę?

- Naprawdę. A teraz się zamknij.

Głosy przeszły w szept, a potem ucichły, ale Theo usłyszał wystarczająco wiele. Odczekał chwilę, po czym odszedł od ogniska. Skręcił w ścieżkę biegnącą obok stajni, a następnie w dróżkę prowadzącą do domu Fechnerów.

Otworzyła mu Hanni. W ręku trzymała długi fartuch z falbankami, widocznie zdjęła go zaledwie przed chwilą, na głowie nadal miała czepek pokojówki okrywający jasne włosy. Theo nie pamiętał już, jaka jest śliczna, choć nie powitała go przyjaźnie.

- Czego znowu chcesz, Theo? Jestem zmęczona. Przed chwilą skończyłam pracę.
- Jesteś pewna, że można to nazwać pracą? - spytał chytrze.
- Co?
- Bywam tu i ówdzie, Hanni. Słyszę to i owo. Nawet dużo.
- Co na przykład?
- Zdziwiłabyś się.
- Ty mnie nie zdziwisz. Chyba że przeprosisz za swe zachowanie.
- Ja nie mam za co przepraszać. Ty podobno tak. Dowiedziałem się o czymś, co robisz za plecami męża.

Hanni stała w progu nieporuszona.

- Już raz cię spytałam: co na przykład?
- Daj mi tego funta. Zresztą zaczekaj. Będę dla ciebie łaskawy. Dostanę dziesięć szylingów i nic nie powiem Lucasowi.

Dziewczyna wyszła na werandę. Nie spytała, co wie. Nie prosiła, żeby nic nikomu nie mówił. Nie wyglądało na to, by miała wrócić do pokoju po pieniądze. Po prostu stała naprzeciw niego kilka długich chwil, jak sądził, przerażona. Theo pomyślał nawet, że wreszcie udało mu się nią wstrząsnąć. Nie ma innego wyjścia. Musi zapłacić.

Nie tego oczekiwał, do końca nie dostrzegł żadnych oznak niebezpieczeństwa. I nie był to tylko policzek. Hanni odchyliła się i uderzyła go w twarz z całej siły tak mocno, że odczuł to jak uderzenie kowalskim młotem. Zaskoczony zatoczył się, cofnął, spadł ze schodków i półprzytomny runął na ziemię.

Podniósł wzrok. Hanni spokojnie wróciła do pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Głupia suka. Ale nie zamierzał powiedzieć jej mężowi o tym,

czego się dowiedział. Tylko bardzo odważny człowiek poszedłby do Lucasa Fechnera z taką opowieścią niezależnie od tego, czy jest prawdziwa czy nie.

Następnego ranka, na widok jego podbitego oka mającego być pamiątką po sporze z jednym z pastuchów, Davey tylko wzruszył ramionami. Bójki nie były niczym wyjątkowym w tym męskim towarzystwie.

Ręka ją bolała, ale było warto. Hanni podstawiła oparcie krzesła pod klamkę, usiadła, zdjęła buty. Theo mógł sobie gadać, co mu ślina na język przyniesie. Wiedziała, że jest niewinna.

198

Jakież to wspaniałe uczucie: być szczerze i prawdziwie niewinnym! Tak dla odmiany. Przesunęła obolałymi kostkami palców po wargach, zachichotała. Co to takiego: przejść kilka kroków w towarzystwie szefa, który przez przypadek szedł akurat w tę samą stronę albo zwyczajnie spotkał ją w wolnej chwili poza domem. W domu mijali się wielokrotnie. Zawsze był dla niej bardzo uprzejmy. Pan Keith był mężczyzną prawdziwie eleganckim. I jakie to fascynujące, że ludzie o nich plotkowali! Zdaniem Hanni to, że ludzie łączyli jej imię z imieniem Keitha, było romantyczne, wspaniałe i cudowne. Podniecające. I takie dla niej pochlebne! Jednakże Theo nie mógł powiedzieć Lucasowi nic takiego, co zaniepokoiłoby ją choćby na sekundę. A w ogóle nie miało to nic wspólnego z Lucasem. Ona i pan Keith tylko dobrze się bawili.

Rozpinając bluzkę, rozsznurowując bawełnianą kamizelkę i obnażając piersi, myślała o niewinnym pocałunku złożonym na jej dłoni, takim delikatnym i przyjemnym. Doprawdy zdumiewające, jakie wywarł na niej wrażenie... nadal wywiera. Podniecał ją, ilekroć go sobie przypominała.

Czuła się ponętna jak nigdy, jak nigdy godna pożądania. Ujęła piersi w dłonie i bezwstydnie pokazała je lusterku stojącemu na toalecie.

Wyobrażała sobie, że pokazuje je jemu. Nie byłby w stanie oprzeć się urokom jej ciała.

Kucharka od rana była w złym humorze, a to dlatego, że zabrakło opału do kuchni.

- Gdzie się podział parobek z drwalni? - spytała gniewnie.

- Nie widziałam go dziś rano - odparła spokojnie Hanni. Gniew kucharki obrócił się na Lullę, pomywaczkę.

- A ty czemu jesteś dziś taka ponura? Aborygenka aż się skuliła.

- Diabelskie niebo tam dziś nad nami. Zły dzień, pani. Lepiej wraca do obozu.

- Lepiej wynoś się stąd i znajdź mi starego Toma. Powiedz mu, że nie mamy drewna do kuchni. No idź już, idź!

Przerażona dziewczyna wybiegła niemal w tym samym momencie, w którym w drzwiach pojawiła się gospodyni.

- Keith jest w domu - oznajmiła. - Wrócił późną nocą. Kiedy już skończycie, przygotujcie mu to co zwykle: stek z dodatkami.

199

Ja mu go zaniosę. Potem pewnie zechce się przespać, więc proszę cię, Hanni, nie hałasuj przy jego pokoju.

Hanni aż zakręciło się w głowie na myśl o tym, że mogłaby zanieść tacę do jego pokoju, obudzić drzemiącego mężczyznę, spojrzeć mu w oczy, gdy leży na łóżku... Cóż za rozkosz! Już miała zaproponować, że weźmie na siebie ten obowiązek, ale rozmyśliła się w ostatniej chwili. Nie byłby to dobry pomysł.

Problem w tym, że Lucas usłyszał plotki jako ostatni. Informacje docierały do niego powoli, stopniowo, otaczały cieniem, w którym nic nie było jasne, nic nie wydawało się oczywiste.

Zaczął się od ciszy. Milczenia. Kiedy podchodził do rozgadanej wesołej grupy przyjaciół, z którymi pracował, nagle zmieniali temat. Pojawiły się niepewne spojrzenia. Potem zaczęły się kpiny i znaczące uśmiešky, którymi obdarzali go w nadmiarze ci najzłośliwsi z pastuchów, gotowi wykorzystać każdą okazję, by komuś dopiec do żywego. Słyszał jakieś tajemnicze wzmianki o żonie i młodym Dixonie. Głupie, bezsensowne. Kochali się, Hanni z pewnością nie spojrzałaby na innego mężczyznę. A jednak się niepokoił. Zdarzały się przecież wypadki, że bogaci wykorzystywali biedne dziewczęta, nawet jeśli były zamężne. Nie bardzo wszakże wiedział, jak poruszyć ten temat z Hanni, nawet gdyby ludzie mówili prawdę. Jak mógłby upokorzyć ją wiadomością, że stała się obiektem nieprzyzwoitych żartów mężczyzn? Byłaby strasznie zażenowana. I pewnie przestraszona. Miałaby uzasadniony powód, by bać się utraty pracy i reakcji na ranczu, a przecież nie było żadnych podstaw do tych plotek. Żadnych, nawet najmniejszych. Hanni i szef? Nie ma sensu nawet o tym myśleć. Któż lepiej niż mąż wie, czy żona ma ochotę zakosztować życia czy też pozostaje mu wierna? Zapewne te niepochlebne plotki wywołał jej sposób zachowania wobec mężczyzn, czyli dokładnie to, przed czym ją ostrzegał. Nawet jeśli nie z szefem, to pewnie i tak powiązano by ją z jakimś mężczyzną. Choćby ze starym J. B., pomyślał Lucas i nawet spróbował się uśmiechnąć.

Dziś pracowali bardzo ciężko. Hanni wydawała się sądzić, że przez cały dzień oni wszyscy tylko jeżdżą sobie tu i tam jak książęta. Żałował, że nie

może zobaczyć ich teraz stojących po kolana w błocie. Podobno, w każdym razie tak Lucasowi powiedziano,

200

brak wody stawał się powoli bardzo poważnym problemem nie tylko tu, lecz w całym Queenslandzie, ich podstawowym zadaniem było więc szukanie wodopojów dla owiec. Tylu owiec! Trudności były tak wielkie, że pastuchom nakazano odcinać od stad stare i słabe sztuki, z których w Bundabergu wytapiano tłuszcz.

Wszystkim pracownikom rancza wydano polecenie zwracania szczególnej uwagi na poziom wody nie tylko w rzece, lecz także w strumieniach i rozrzuconych tu i tam jeziorkach, nawet tych odległych o kilometry. J. B. Dixon posunął się tak daleko, że zaczął szukać dobrego różdżkarza, który wskazałby im podziemne ciekły. Na razie ziemia wysychała, zwierzęta nie miały co jeść i coraz częściej widziało się grupy nieszczęsnych owiec grzebiących w poszukiwaniu pojedynczych źdźbeł trawy.

Poziom wody w tym jeziorku obniżył się do tego stopnia, że Sam, zarządca rancza, polecił im wykopać zaschnięte błoto ograniczające dostęp do leniwego strumienia. Zrobili co mogli, po czym w twardej jak żelazo ziemi jęli kopać doły pod słupki na ogrodzenie mających tu powstać zagród, w których dzielono by stada i kierowano je do wodopaju. Lucas dopiero teraz zaczynał rozumieć, jak skomplikowaną operacją będzie zgromadzenie w jednym miejscu i rozdzielenie takiej masy zwierząt, wprowadzanie ich do szop, w których będą strzyżone, zapewnienie im wszystkim paszy i wody. Powoli zaczynał tęsknić do zielonych pastwisk ojczyzny.

Początkowo zamierzali wrócić wieczorem do obozu, ale po drodze

dostrzegli w pobliżu jeziora stado kuców, tutejszych dzikich koni. Sam uznał, że to doskonała okazja, by pochwycić przynajmniej kilka.

- Przy tej suszy nie znajdują wiele paszy i są słabsze niż zwykle - powiedział. - Mamy spore szanse, bo jeśli nam szczęście dopisze, nie będą walczyć. A już z pewnością nie tak jak zwykle.

Lucas wiedział, że Hanni spodziewa się go w domu, ale nie mógł przecież sprzeciwić się Samowi, a poza tym podobał mu się pomysł ścigania dzikich koni. Z pewnością było to bardzo podniecające.

- Niełatwo je złapać - tłumaczyli mu przyjaciele. - I niezbyt bezpiecznie próbować. Te cholerne kuce szaleją w zagrodzie. Kopiają, gryzą, rżą. Lepiej trzymać się od nich z daleka.

201

Rankiem okazało się, że konie są tam, gdzie dostrzeżono je wcześniej. Czekają u wodopoju, lecz zachowują dystans. Ludzie wzięli się do pracy. Budowali mocniejsze ogrodzenia, używając grubych gałęzi zdolnych znieść napór ciał i kopyt wierzgających koni.

Ktoś wspomniał, że ciemne sine niebo na zachodzie, ostro kontrastujące z pastelowymi barwami wschodzącego słońca, zwiastuje burzę. Mówił to z nadzieją. Sam uniósł głowę, wciągnął nosem powietrze.

- Nie pachnie mi deszczem - powiedział. - No i popatrzcie na te kuce.

Gdyby miało padać, nie pchałyby się tak rozpaczliwie do naszej wody.

- Pewnie przyjdzie wiatr - zauważył jeden z pastuchów. Sam wyszedł zza drzew, z których obcinali gałęzie na ogrodzenie.

- Tak czy inaczej jest daleko. - Zmrużył oczy. - Rzeczywiście może być wiatr. Cholera!

Wiatr? Lucas bardzo się zdziwił, ale pomyślał, że niedługo się dowie, o co

właściwie chodzi.

- Wiatr! - krzyknęła gospodyni biegnąc przez jadalnię. - Zamykajcie!

Hanni czyściła lustro. Zbliżała się pora lunchu, który należało przygotować dla trzech osób, ponieważ pan Keith był w domu, a nie jak zwykle dla dwóch kobiet. Starego pana Dixona nigdy nie było w domu o tej porze. Z wyjątkiem niedzieli. Krzyk gospodyni zaskoczył ją tak, że aż drgnęła. Usłyszała tylko polecenie „zamykajcie!”, tak szybkie i gwałtowne, że nie zorientowała się, o co chodzi. W każdym razie coś trzeba było szybko zrobić, pośpieszyła więc do kuchni. Ale w kuchni nie było nikogo. Zajrzała do spiżarni, wyszła przez tylne drzwi. Zdumiała się widząc kucharkę, która zdierała suszącą się bieliznę i oddawała ją praczce.

- Co się dzieje? - spytała Hanni.

- Idzie wiatr. Trzeba wszystko zamknąć. Najdokładniej jak się da.

- Ach! - Zerwała się do biegu. - Boże, jadalnia! Zdążyła zamknąć przeszkłone drzwi. Sprawdziła salon, ale tu uprzedziła ją gospodyni. Z biblioteki wybiegła pani Dixon.

- Hanni, co z sypialniami? Drzwi? Okna?

202

- Nie wiem, nie wiem. - Ten dziwny dom miał więcej okien, drzwi, wejść i wyjść niż ul. Zbudowano go bez żadnego zrozumiałego planu.

Pan Keith wszedł do salonu. Matka natychmiast spytała go, czy zamknął drzwi swojego pokoju.

- Zamknąłem oczywiście. Co u ciebie, Elsie? Gospodyni, która dopiero teraz pojawiła się w salonie, mocno zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Wszystko w porządku, dziękuję. Zdaje się, że zdążyliśmy zamknąć dom,

pani Dixon. Kucharka schowała pranie. Drzwi do schowka uszczelniłam papierem. Nic więcej nie można zrobić.

- Elsie, my zostajemy tutaj - poleciła pani Dixon. - Ty, Hanni, możesz dotrzymać towarzystwa kucharce. Nie ma się czego bać, dziecko.

Przyjdzie wiatr niosący pył i tyle. Straszny kłopot, ale nic więcej.

- No to chodźmy - powiedział Keith do Hanni. - Wyjdę przez kuchnię. Pójdę sprawdzić stajnie, mamó.

Kuchnia przy zamkniętych okiennicach pogrążona była w prawie całkowitym mroku. Kucharka piła świeżo zaparzoną herbatę. Siedziała przy stole. Nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej.

- O mój Boże! - krzyknęła Hanni. - Przecież dziś rano wietrzyłam pokoje gościnne. Mówiłaś, że spodziewamy się gości.

- I co?

- Pootwierałam je na oścież! - W głosie dziewczyny brzmiała rozpacz. - Teraz muszę pozamykać.

- Idziemy - powiedział Keith. - Pomogę ci.

Hanni zdumiona wyszła wraz z nim na werandę. W powietrzu unosił się gęsty czerwony pył, w świecącym na niebie słońcu przypominał wyłącznie stłumiony niesamowity blask. Szli pod wiatr skuleni, aż dotarli do długiego skrzydła mieszczącego pokoje gościnne.

Szybko zamykali okna i drzwi każdego z nich, choć w środku było już mnóstwo pyłu. Kiedy wydawało się, że skończyli, Keith przypomniał sobie o ostatnim.

- On też jest otwarty? - wysapał.

- Tak.

- No to chodźmy, byle szybko.

Chwycił ją mocno za ramię, pociągnął przez obejmującą całe skrzydło werandę. Wzmagający się wiatr miotał pyłem. Hanni dusiła się, nie była w stanie zaczerpnąć oddechu. Keith otworzył drzwi. Ramię w ramię wpadli do środka, oparli się o ścianę. On pierwszy dopadł okna, zamknął je, odwrócił się i powiedział:

- Kiedy wyjdę, połóż pod drzwiami poduszkę, to mniej tego świństwa się tu przedostanie. Tylko że możemy zamykać i zatykać wszystko, a i tak wedrze się do środka... Hanni, co ci jest?

Dziewczyna płakała. Łzy ciekły jej po policzkach. Odzyskała oddech na tyle, że zaczęła kichać raz za razem. Keith nie mógł się nie roześmiać.

- Po raz pierwszy widzisz taki wiatr, prawda?

Znalazła chustkę w kieszeni fartucha, wysiękała nos, przeprosiła. W pokoju zrobiło się ciemno. Keith ją przytulił.

- Nie bój się - rzekł cicho. - To nigdy nie trwa długo. Pył nanoszony przez wiatr znad pustyni jest tak gęsty, że czasami przesłania słońce. Tylko tyle, nic więcej.

Pocałował ją. Był to miły pocałunek w policzek, pozornie właściwy w tych okolicznościach, najzupełniej niewinny. Tulił ją, a na zewnątrz dął wiatr coraz gwałtowniejszy, coraz głośniejszy. Uderzał o ściany domu, wstrząsał dachem. Usłyszała, jak na dworze coś rozpada się z trzaskiem.

- Muszę przyznać, że dziś jest gorzej niż zazwyczaj - szepnął Keith drażniąc wargami jej ucho.

Po raz drugi tego dnia Hanni osłabła, ugięły się pod nią kolana, on bowiem był tu z nią, tak wspaniały, taki cudowny, że nie oparła się pokusie, odwróciła głowę, padła mu w ramiona i na jego wargach złożyła namiętny

pocałunek. Pocałunek, który odebrał jej oddech. Jakże wspaniałe było to uczucie! Zdjął z niej fartuch, nie przestając jej całować, rozpiął bluzkę i koszulę. Hanni nie wierzyła we własne szczęście: oto spełnia się jej największe marzenie. Objął dłońmi jej piersi, patrzył na nie, pożerał je wzrokiem.

- Piękne - powiedział cicho. - Piękne. Wiedziałem.

Ucałował je, a ona poczuła wielką dumę, tylko że jednocześnie Keith położył ją na łóżku, a to ją już przestraszyło. Nie było tak, jak powinno być, jej pomysł okazał się chyba nie najlepszy. Miło pomyśleć, że mu się spodobała, że pan Keith tu, teraz całuje jej piersi, ale nie może dopuścić, by doszło do czegoś więcej. Przecież jest mężatką. Uśmiechnęła się do siebie. Matrona.

204

Nawrócona. Flirtować można, owszem, byle nie posunąć się za daleko. Keith jej nie kochał. A przynajmniej nie mówił, że ją kocha. Po prostu kryli się w łóżku, dwoje ludzi zagubionych podczas burzy.

Próbował ją rozebrać, zdjąć z niej spódnicę.

- Panie Keith - opierała się - proszę, niech pan przestanie.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie. Nie skrzywdzę cię, nawet cię nie dotknę. Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, co czuję, kiedy widzę cię w moim własnym domu, kiedy o tobie marzę...

- Naprawdę? - zdziwiła się. - Naprawdę pan o mnie marzy?

- Marzę o siódmej zasłonie. O tobie nagiej i rozkoszy widzenia cię nagiej. Podziwiania cię. Tylko tyle.

Hanni nigdy nie słyszała o siódmej zasłonie, ale coś niecoś zrozumiała i wydało się jej to całkiem przyjemne. Niegroźne. Niech widzi jej ciało,

dłaczego nie? Przecież jest piękne. Czyż to nie jej ciało wyrwało Lucasa z ramion Hildy, jego narzeczonej? Dlaczegoż nie miałyby go pokazać? Położyła się na łóżku w wyzywającej pozie. Okryła prześcieradłem dla minimum przyzwoitości.

- Tak, doskonale. Rozpuść włosy... Jesteś piękna. O mój Boże, gdybym był artystą, tobym cię namalował. I nigdy nie wziąłbym innej modelki. Byłaś kiedyś modelką artysty, Hanni?

- Nie, proszę pana - odpowiedziała zachwycona. - Nigdy. - I nagle dostrzegła, że Keith też się rozbiera. - Boże!

Okryła się skromnie prześcieradłem; trans, w który wprawiły ją komplementy, ustąpił miejsca brutalnej rzeczywistości. Dach nad pokojem trząsł się w podmuchach wiatru, jakby wyśmiewał jej głupotę, okna trzaskały dezaprobatą dla takiego zachowania. Keith położył się do łóżka, odpychając ją, by zrobić sobie miejsce.

- Nie! - westchnęła Hanni i uciekła się do najbardziej rozpaczliwej obrony. - Ktoś może wejść.

Keith Dixon tylko się roześmiał.

- Na dworze latają gałęzie. Nikt nie wejdzie.

- Lepiej się ubierzmy. Taki wiatr... Pokój może się zawalić.

- Bez obaw. Jesteśmy bezpieczni.

- Błagam... Nie chcę...

205

- Nie chcesz? Flirtujesz ze mną od samego początku. Od przyjazdu. Sama się o to prosiłaś. A teraz się opierasz? Czego chcesz? Pieniądzy? W porządku, mogę dać ci funciaka czy dwa, nie ma sprawy.

- Nie! - Hanni nadal próbowała walczyć. - Nie powinniśmy... Nie wolno...

- Ależ oczywiście, że powinniśmy. Gdyby mąż cię zadowalał, dziewczyno, nie próbowałabyś mnie uwieść. Mam rację?

- Potrzęsnał nią.

Hanni bała się coraz bardziej.

- Panie Keith, przepraszam. To moja wina. - Angielszczyzna znów ją zawodziła. Zdawała sobie sprawę, że wplata w nią niemieckie słowa, ale nic na to nie mogła poradzić.

- Niech mi pan wybaczy! To prawda! Jest pan miłym mężczyzną, flirtowałam z panem w swej głupocie, teraz wiem, że popełniłam błąd, więc przepraszam, bardzo przepraszam za te flirty i swoje zachowanie. Z premedytacją wzięła całą winę na siebie. Żeby mógł się wycofać nie tracąc twarzy. A przecież wiedziała, że to nie tylko jej wina, że on też z nią flirtował. Keith usiadł na niej okrakiem.

- Ty głupia suko! - syknął. - Jeśli się ze mną bawisz, to już do końca. Nie udawaj mi tu dziewicy, to kiepski pomysł. A już szczególnie głupi u mężatki.

Najwyższy czas podjąć decyzję. Ten mężczyzna nie przyjmie odmowy. Spróbuje ją zgwałcić. Jeśli będzie się opierać, jeśli go zrani, a do tego była w pełni zdolna, bo tylko nad nią klęczał, Lucas straci pracę.

Keith spojrzał na nią z góry, jakby czytał w jej myślach.

- Sama się o to prosiłaś - powiedział. - Dostaniesz, czego chciałaś. Cała przyjemność po mojej stronie. I twojej... jeśli zrobisz to, co ci każę. A jeśli nie, co za przykrość. Fechnerowie będą mieli przed sobą długi spacer, stąd aż do Bundabergu. Cholernie długi, prawda? A jeszcze nadchodzą upały. Hanni nie było dane podjąć decyzję, czy walczyć czy poddać się przemocy. Twarda pięść nagle uderzyła ją w żołądek. Keith przewrócił ją

na brzuch, bił po plecach i pośladkach, a potem przerzucił przez krawędź łóżka, zakneblował jej własną pończochą i zgwałcił analnie, aż pociekła krew.

- Może myślałaś - powiedział spokojnie, ubierając się

- że uda ci się mnie uwieść, urodzić dziecko Dixonów, spadkobierce

206

naszej forsy? Nie ma szans, Hanni. Nie dam się zrobić w bachora.

Gadał bez przerwy dobre parę minut, opowiadał bzdury, Hanni zaś leżała na łóżku, robiąc wszystko, by nie słyszeć jego głosu, zastanawiając się, czy Keith nie oszalał, czy nie jest przypadkiem umysłowo chory, przecież nienormalnie się zachowywał i gadał od rzeczy. Ale... wiatr osłabł, więc mógł wyjść z pokoju. Błagała Boga, żeby Keith wyszedł.

- Następnym razem - rzekł podchodząc do drzwi - będzie o wiele przyjemniej.

Hanni zamarła z przerażenia. Tymczasem on mówił spokojnie, niemal wesoło.

- Zobaczysz. Będziemy robili różne przyjemne rzeczy. Tylko ty i ja. To będzie nasza tajemnica. Nie piśniesz o tym swojemu mężusiowi, prawda? Zdaje się, że wspomniałem już o długiej drodze do miasteczka.

Otworzył drzwi pokoju. Powiew świeżego powietrza przyszedł jej na odsiecz, uwolnił ją od ohydy, która zdarzyła się zaledwie przed chwilą...

Ale dziewczyna nie spodziewała się odpoczynku. Musiała wracać do pracy.

Zmęczona, obolała, podniosła ciężki dzban. Nalała wody do porcelanowej misy stojącej na umywalni. Myła się gąbką, próbowała oczyścić ciało z dotyku i zapachu złego człowieka, który ją skrzywdził, lecz nie płakała.

Wiedziała, że nie może sobie pozwolić na wykonywanie obowiązków choćby ze śladami łez na policzkach, bo wówczas zaczęłyby się pytania. Winę za nie mogła zrzucić na pył, Hanni wiedziała jednak, że jeśli zacznie płakać, nie będzie w stanie przestać. Już walczyła ze szlochem, ledwie nad nim panowała.

„Następnym razem”. Na tę myśl zadrżała w panicznym strachu. Będą się spotykali, zapewne często. Keith oczekiwał, że pozostanie do jego dyspozycji. Tylko o to chodziło. Do jego dyspozycji. W każdej chwili. Pod jednym względem miał rację. Nie mogła zwierzyć się Lucasowi. Tylko ściągnęłaby nieszczęście na głowę swoją i męża. Poza tym była na siebie wściekła.

- Przyznaj się sama przed sobą - powiedziała rozczesując gęste lśniące włosy. - Byłaś głupia. Za głupia na to, żeby zrozumieć, jak niebezpieczną grę prowadzisz. Tak, oczywiście, sądziłaś, że jest dżentelmenem. Myślałaś, że owiniesz go sobie

207

wokół małego palca... Pycha. To ona cię zgubiła. Przeklęta pycha. Odrzuciła szczotkę do włosów. Ubrała się starannie. Uczesanie schludne do ostatniego pasemka. Falbanki wyrównane. Lśniące buty. Fartuszek porządnie zawiązany. Poszła do kuchni, mimo bólu wyprostowana, energicznym krokiem. Oznajmiła kucharce, że zamierza posprzątać pokoje gościnne. Wyszła z wiadrem, szczotką, ściereczkami, cały czas myśląc o młodym panu Dixonie. Przecież będą się spotykali dzień w dzień, przynajmniej tak długo, jak długo przyjdzie im tu mieszkać. I on będzie się z niej śmiał. Jakąż idiotką była!

„Jesteś piękna. Byłaś kiedyś modelką artysty, Hanni?” Zarumieniła się od

czubka głowy po palce stóp, zachłysnęła szlochem. Przecież Keith ją skrzywdził, zgwałcił, pobił. Zadawał ciosy w brzuch i pośladki. A tam sińce, już wyraźne, nie były jednak widoczne dla postronnych. Nasunęło jej to myśl, że nie po raz pierwszy zaatakował kobietę. Postępował zbyt metodycznie. W sposób zbyt... wyrafinowany.

Hanni zajrzała do pierwszego pokoju. Wszystko pokryte było cienką warstwą czerwonego pyłu. Zaczęła od pościeli. Wyniosła prześcieradła na dwór, próbowała wytrzepać. Wprędce zdała sobie sprawę, że to na nic, że muszą iść do prania. Cisnęła je na stos, wróciła po maty. Powiesiła je na sznurach, z pralni przyniosła trzepaczkę. Biła w nie z całej siły wśród kłębow kurzu, nie przestała nawet wtedy, gdy były czyste jak łąka, a przez cały czas powtarzała sobie:

- Sądzi, że mu się uda. Że mu się upiecze. Że upiecze mu się ze mną. Nie pozwolę mu na to! Nie pozwolę! Nie pozwolę!

Odniosła maty do pokoju. Nie wiedziała, co zrobi, ale wiedziała, że zrobi coś na pewno. To tylko kwestia czasu. Keith zapłaci. Drogo zapłaci.

## ROZDZIAŁ ÓSMY.

- Sukinsyn z niego, tego Keitha Dixona.

Jakob drgnął. Niemożliwe! Prawnik nie powinien używać takiego języka. Aż do tej chwili miał wrażenie, że rozmawia z poważnym, spokojnym uczonym człowiekiem, teraz zobaczył hałaśliwego wojowniczego faceta z Maryborough, Arthura Hobdaya, adwokata, radcę prawnego, notariusza. Maryborough także było miasteczkiem nad rzeką, lecz znacznie bardziej ruchliwym niż Bundaberg... i znacznie bardziej cywilizowanym. Jakob uśmiechnął się, wjeżdżając tu z Billym drogą przy rzece, czyli Quay Street. Pamiętał, że tak nazywała się uliczka przy przystani, na którą zesli

ze statku po podróży. Zastanowił się nawet przelotnie nad tym, czy to przypadek, czy też może w tutejszych miastach obowiązuje taka zasada. Zdaje się, że Quay Street była także w Brisbane; natknęli się na nią, mimo że tam byli bardzo krótko. Szybko odpędził od siebie te myśli, miał do załatwienia ważne sprawy.

Na miejsce dotarli późnym popołudniem. Rozbili obóz nad rzeką, co dało Jakobowi szansę wyszykowania się na poważne spotkanie. Szedł Quay Street rozglądając się za biurami prawników. Pierwsze, które zobaczył, miało szyld „Philps i Synowie”. Przestraszył się go jak spłoszony koń, okrążył przecznicę i dopiero teraz zwrócił uwagę, jak dobrze wygląda miasto, a także jego mieszkańcy. Owszem, nie brakowało tu brzydoty, spotykało się nędzne szałaszy i zarośnięte puste działki, ale było kilka imponujących hoteli, także elegancko wyglądające sklepy, kościoły i mnóstwo skromnych, lecz wygodnych domków. Jakob poczuł ukłucie zazdrości; powinni przyjechać tu przed kupnem ziemi.

209

Postanowił nie wspominać o tym Fredzie. Nie chciał, żeby się zdenerwowała. A chwilę później pomyślał, że ziemia dookoła miasta jest zagospodarowana i dobrze uprawiana, że tanie działki znalazłby daleko i że powinien być zadowolony ze swej farmy.

W końcu udało mu się znaleźć innego prawnika, pana Hobdaya, mającego biuro właśnie na Quay Street, prawie dokładnie naprzeciw domu pana Philpsa, na piętrze, z oknami na ulicę.

Hobday był wysokim łysiejącym mężczyzną o długich gęstych wąsach. Stał na schodach ubrany w koszulę i kamizelkę, ze złotym łańcuszkiem od zegarka wiszącym na okazałym brzuchu. Wrzeszczał na uciekającego

kancelistę. Jakob musiał odsunąć się od schodów, żeby zrobić mu miejsce. Facet biegł, aż się za nim kurzyło.

Prawnik roześmiał się i skinął ręką.

- Pan mnie szuka? Proszę wejść. Kanceliści! Gubiliby głowy, gdyby nie siedziały im na stałe na ramionach.

Przedstawili się sobie, rozmawiali chwilę.

- Aaa... Bundaberg! - ucieszył się Hobday. - Dobre miejsce, będzie prosperować.

Jakob wcale nie był tego taki pewny.

- Zdumiało mnie powodzenie tego miasta. Zastanawiam się, czy Bundaberg przetrwa.

- O to proszę być spokojnym. Wszystkie powstające tu osady są w istocie bramami wiodącymi do wielkiej krainy, portami, które muszą się rozwijać. A teraz, panie Meissner, proszę mi powiedzieć, co się stało, że postanowił pan przenieść się do naszego kraju.

Zadawał mnóstwo pytań na temat gościa, jego przyjaciół i ojczystego kraju, aż wreszcie Jakob zaniepokoił się, że nigdy nie przejdą do rzeczy.

Na szczęście kancelista wrócił, zaparzył herbatę i rozmowa zeszła na bardziej praktyczne tematy. Opowiedział, w jakiej znalazł się sytuacji, wspomniał nazwisko Keitha Dixona i to wówczas prawnik tak dobitnie wyraził swą niepocholebłą opinię o nim.

- Pan go zna?

- Znam ich wszystkich. Stary J. B. jest łotrem, a synalek jeszcze gorszym. Omal nie poszedł do więzienia za pobicie jednego z pastuchów na ranczu żelaznym drągiem.

- Omal?

- W ostatniej chwili pastuch odwołał zeznania. Nie podtrzymał oskarżenia. Kupili go oczywiście. - Hobday wzruszył ramionami. - A więc wydzierżawiłeś ziemię będącą poprzednio w dzierżawie Clonmel? Powiem ci, że mogłeś znaleźć sobie lepszych sąsiadów, ale... w czym problem?

- Ściągnąłem drwali do wyrębu dobrego drewna, którego mam sporo, ale pan Dixon nie pozwolił im pracować. Twierdzi, że drewno należy do niego.

- Wierutna bzdura!

- Też tak sądziliśmy, póki nie pokazał nam tego. - Jakob podał papiery prawnikowi. - Oficjalnego pisma z zawiadomieniem, że nie mamy prawa do drewna, choć własność ziemi nie podlega dyskusji. Być może pan powie nam, co robić?

Hobday przeczytał list i oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

- A niech mnie diabli! - krzyknął. - Co za bezczelność! Chcieli cię przestraszyć i pewnie myślą, że im się udało. Że nie podważysz tej opinii.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi...

- Chodzi o to, że mieli cię za głupca gotowego nabrać się na ten list, drogi panie Meissner. Ale okazało się, że potrafisz pan bronić swoich praw.

Powiedzie się wam w tym kraju. Proszę powtórzyć innym moje słowa. Nie dajcie się kantować.

Jakob nie znał określenia „kantować”, lecz doskonale zrozumiał Hobdaya.

Wszystko pięknie i wspaniale, tylko... czy miało to oznaczać, że opinia Philpsa jest kłamliwa?

- Oto co zrobimy, Meissner. Idę na drugą stronę ulicy do biura naszego

przyjaciela Jeffersona Philpsa i jego syna, jeśli zastanę go w pracy. Ty wypij jeszcze filiżankę herbaty. To nie potrwa długo.

Philps senior zdumiał się niesłychanie, kiedy Hobday wpadł jak burza do jego kancelarii, wymachując jakimiś papierami.

- Co jest? - wrzasnął. - Jesteś głupi czy stary Dixon ci płaci? Ta twoja opinia prawna... na piśmie, przyjacielu!... Ta twoja opinia jest przeklętym oszustwem i ty doskonale o tym wiesz!

- Nie pojmuję, o czym mówisz.

- O tym! O tym, szanowny panie! Twój papier firmowy. Twój podpis pod stekiem najgorszych nonsensów, jakie w życiu widziałem.

211

Świadomie wprowadziłeś w błąd uczciwego farmera co do praw przysługujących mu na jego własnej ziemi. Philps nerwowo przerzucał kartki.

- Ktoś musiał ukraść nasz papier. To nie mój podpis.

- Twój, twój. Rozpoznałbym go z zamkniętymi oczami, Philps. Kto ma prawa do drewna na legalnie dzierzawionej, zarejestrowanej ziemi? Dierzawca czy poprzedni właściciel?

- Poprzedni właściciel... może... jeśli to tylko dzierzawa? - jęknął Philps. - To przecież oczywiste. - Zdjął okulary i zaczął je przecierać wielką chustką do nosa, jakby chciał odwrócić uwagę od swoich kłopotów.

- Dixon? Skąd!

- Więc być może popełniłem błąd. Pozwól, że sprawdzę i...

- Więcej niż jeden błąd! Kto był pierwszym właścicielem ziemi Meissnera?

- Dixonowie oczywiście.

- Zła odpowiedź. Rząd przejął ziemię, która należała do niego. Następnie oddał ją w dzierżawę panu Meissnerowi. Rząd jest pierwszym właścicielem, nie Dixonowie. Aleś narozrabiał, Philps! Powiniennem poinformować o tym radę adwokacką. Popadłeś w kłopoty.

Hobday cierpliwie słuchał wyjaśnień, doskonale wiedząc, że nie pierwszy i nie ostatni raz ten ciemny typ nagiął prawo do potrzeb swych bogatych klientów. To dlatego jego rodzina mieszkała w rezydencji ze wspaniałym widokiem na rzekę, a Hobdayowie w skromnym domku przy Bluebird Cafe. Oczywiście traciłby tylko czas, oskarżając kolegę po fachu, który przed radą bezwstydnie przyznałby się do błędu i wyłgał co najwyżej łagodną nagana, bo do surowszej kary nie byłoby podstaw. Z drugiej strony Philpsowi należała się nauka. Pan Meissner okazał się rozsądnym człowiekiem. Co by mu przyszło z tego, że jeden prawnik podważa opinię drugiego? Najwyraźniej w świecie nie miał ani czasu, ani pieniędzy na długie postępowanie sądowe.

Hobday schował papiery do kieszeni.

- Popeliłeś błąd, Philps - powiedział. - To i tak najłagodniejsze określenie. Nie wyłgasz się, choćbyś nie wiem jak próbował. Jeśli naprawdę chcesz, żebym nie informował rady adwokackiej, napiszesz obalenie własnej opinii, a ja zaniosę je panu Meissnerowi. To mi wystarczy.

212

Ale Philps zdążył już odzyskać przynajmniej część pewności siebie.

- Marnujesz mój cenny czas, Hobday. Jeśli się ze mną nie zgadzasz, sam napisz opinię dla swojego klienta.

- Och, nie. Nie ma mowy. Zaszkodziłbym reputacji naszego zawodu.

Prawnicy mieliby kłócić się o tak oczywisty drobiazg? Powiedzmy, że zaniósę twoje pismo do redakcji naszej gazety, poproszę, żeby je wydrukowano... - Przerwał, poprawił marynarkę kilkoma zdecydowanymi ruchami. - Mam wrażenie, że głos opinii publicznej usłyszano by aż w Brisbane. Bo ludzie tu znają zasady. Nie są tak zieloni jak ci nowi z Bundabergu.

- Niech ci będzie. Czego chcesz?

- To proste. Napiszesz liścik do pana Meissnera, który czeka cierpliwie o tam, niedaleko, w mojej kancelarii. Poinformujesz go, że popełniłeś błąd. Zresztą ujmij to, jak chcesz, ma mieć czarno na białym, że jako pełnoprawny dzierżawca ma pełne prawo do całości flory na dzierzawionej ziemi.

- Nie wolno ci opublikować mojego listu. To prywatna korespondencja!

- I znów się mylisz. Ta korespondencja jest własnością pana Meissnera... podobnie jak drewno. Bierz się wreszcie do roboty. Nie zamierzam siedzieć u ciebie przez cały dzień!

- Idzie - powiedział kancelista wychylając się przez okno. - Właśnie przechodzi przez ulicę. Wygląda na to, że jest w dobrym humorze. Mam nadzieję, że go nie przetrzepał.

- Przetrzepał? - Jakob nauczył się kolejnego nowego słowa.

- A owszem. Kiedy ostatni raz starł się z Philpsami, natarł uszu synkowi. Hobday wbiegł po schodach po dwa stopnie, do kancelarii wpadł z energią armatniej kuli.

- To dla ciebie, Meissner - wydyszał. - Nie musisz polegać na mojej opinii. Nasz przyjaciel z drugiej strony ulicy wycofał swoją opinię i przyznał na piśmie, że flora, czyli wszystkie rośliny z twojej ziemi, należy

do ciebie. Oczywiście łącznie z drzewami. Możesz pan znów zatrudnić drwali, nie zwracając uwagi na bełkot Dixonów. I jeszcze o tym pamiętaj, Meissner: nie kupiłeś tej ziemi od Dixonów, lecz od rządu. Więc nie mają prawa ci bruździć.

213

Jakob opadł na krzesło niemal nieprzytomny z radości. Poczuł się bardzo zmęczony, jakby dotarł do kresu długiej wędrówki i mógł wreszcie zrzucić z ramion wielki ciężar. Wstał.

- Jestem panu ogromnie wdzięczny, panie Hobday. Nie sądziłem, że ten problem da się rozwiązać tak szybko.

- Bo prawnicy zawsze wszystko załatwiają powoli? - uśmiechnął się Hobday.

- Ależ nie, proszę pana. Skądże znowu! Nie chciałem być nieuprzejmy. Dla mnie przybycie do Maryborough było niczym postawienie w zakładach: może ktoś udzieli nam pomocy, może nie. Jestem tak daleko od mojej farmy, rozumie pan? I nagle okazuje się, że wszystko już załatwione. Tak się bałem... - westchnął ciężko. - Przepraszam, chyba wszystko mi się pomyliło. Powinienem panu podziękować.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Meissner. Jakob wyjął sakiewkę.

- Mogę teraz panu zapłacić?

- Oczywiście. Należy się dwójka. To znaczy dwa szylingi. Kancelista wzniosł oczy do nieba. Jakob miał nieprzeparte wrażenie, że płaci za mało.

- Dam, ile trzeba - zapewnił. - Czy to wszystko? Zaledwie dwa szylingi? - Położył monety na biurku.

- Najzupełniej wystarczy, przyjacielu. Dwa szylingi i te kilka chwil rozrywki kosztem Philpsa to aż nazbyt wiele za tak drobną przysługę. A teraz pozwól, że postawię ci piwo, nim wrócisz na szlak.

Zanim Jakob zdążył się zorientować, o co chodzi, już szedł z tym niezwykłym człowiekiem wzdłuż ulicy do jednego z tych nowych hoteli, które zauważył po drodze. W środku wyglądał on równie wspaniale jak na zewnątrz: czerwone miękkie chodniki rozpostarte na drewnianej posadzce, koronkowe zasłony na oknach pod sam sufit, lśniące mosiężne lampy i kinkiety na ścianach. Szklane drzwi prowadziły do sali jadalnej, ale pan Hobday skręcił w korytarz wiodący z holu do baru, także prezentującego się bardzo okazale.

- Piwo? - spytał. Jakob skinął głową.

Stali przy kontuarze rozmawiając. Jakob wspominał tę ich pogawędkę z uśmiechem, prawnik strzelał pytaniami, on zaś tylko odpowiadał.

214

Ten człowiek chciał wiedzieć wszystko o nim, jego rodzinie, podróży, ojczyźnie. W końcu Jakob uświadomił sobie, że prawnik rzeczywiście interesuje się nie znanymi mu ludźmi i miejscami, zapomniał o swojej nieśmiałości i z własnej woli postawił drugie piwo, jak należy, bo przecież wypił pierwsze na jego koszt.

Jakob Meissner bawił się doskonale. Znowu czuł się człowiekiem. Panował nad rzeczywistością, wracał do domu jako zwycięzca.

- Mów mi Arthur - powiedział prawnik. - My tu nie przywiązujemy wagi do formalności. Mam nadzieję, że nie uraziły cię moje pytania, Jakobie.

Daleko stąd od Europy, zapewne nigdy jej nie zobaczę, więc pozostaje mi tylko pytać.

Czarnowłosa mężczyzna za plecami Arthura odwrócił się z kpiącym uśmiechem na wargach.

- Pytajcie, a odpowiedzą wam - rzekł mocnym głosem. Prawnik przez chwilę przyglądał mu się z niedowierzaniem, a potem westchnął.

- Niech mnie Bóg wszechmogący ma w opiece. Mike! Kiedy wyszedłeś?

- Ani chwili za wcześnie, mój drogi. Zwolniono mnie przed terminem za dobre sprawowanie i za to, że wyleczyłem z kolki konia dyrektora.

- Miło mi cię widzieć. Muszę przyznać, że wyglądasz całkiem nieźle.

- Nie dzięki sukinsynom, którzy mnie wzięli!

- Bardzo mi przykro - powiedział prawnik. Przedstawił Jakobowi Mike'a Quinlana. Wydawało się, że dobry humor go opuścił.

- Zawiodłem chłopaka - wyjaśnił. - Nie obroniłem przed więzieniem, skutkiem jego prywatnej wojny z J. B. Dixonem.

- Cholerny sukinsyn - warknął Quinlan.

Jakob uświadomił sobie nagle, że wie, kim jest ten człowiek. Zdaje się, że Davey coś o nim wspominał. Ale może to tylko przypadkowa zbieżność nazwisk.

- Stawiam piwo - powiedział Hobday. - Ten tu Jakob też miał konflikt z Dixonami. Tym razem wygraliśmy.

Zawołał na barmana. Na stole niemal natychmiast pojawiły się trzy dzbany piwa. Jakob zaczął się martwić o czekającego na niego Billy'ego.

215

- O co chodzi? - spytał prawnika Quinlan, ale do rozmowy wtrącił się Jakob.

- Bardzo przepraszam, ale zdaje się, że jesteśmy sąsiadami. Przez wschodnią granicę.
- Siedzisz na ziemi Clonmel?
- Tak.
- Niech mnie diabli!
- Ukradli ci drewno?
- A tak, sukinsyny!
- Daj spokój, Mike. Dałeś im kopa tam, gdzie boli -wtrącił Hobday, ale Quinlan najwyraźniej nadal chował urazę.
- Nie musieli siedzieć w więzieniu - odparł z goryczą.
- Nie daj się ponieść irlandzkiemu temperamentowi
- powiedział prawnik.

Zaciekawiło to Jakoba, który radził sobie z angielskim wystarczająco dobrze, by nie przekładać go w myśli na niemiecki, a nawet rozpoznawać regionalne dialekty, których nawiasem mówiąc było znacznie więcej, niż się spodziewał. Ten Mike'a, przyjemny dla ucha, słyszał wcześniej i mógł zidentyfikować go jako irlandzki. Wcześniej poznał także szkocki, jeszcze na „Tarze”, którą płynęli z Brisbane do Bundabergu. Bogiem a prawdą słowa nie pojął z tego, co mówili Szkoci, choć był pewien, że posługują się angielskim. Teraz sam się o to obwiniał skłonny uwierzyć, że to przez brak praktyki. Jeśli zaś chodzi o ludzi urodzonych w tym kraju, to o ich akcencie rozmawiał nawet z Fredą. U niektórych był szorstki, urywany, o podkreślonych samogłoskach, ale wszystkich łatwiej było zrozumieć niż tych Szkotów.

Miał wrażenie, że prawnik czuje się odpowiedzialny za wydany na Quinlana wyrok i to, że nie potrafił go obronić. Z drugiej strony

najwyraźniej radowało go, że Jakob utarł nosa tej obrzydliwej rodzinie.

- Idziemy do mnie na lunch - oznajmił nagle. - Stella ucieszy się na twój widok, Mikę.

- Bardzo mi przykro - powiedział Jakob. - Nie chciałbym okazać się niewdzięcznikiem, ale czeka na mnie mój przewodnik, młody Aborygen.

- Zabierzemy go po drodze - postanowił Hobday.

- Nie mamy tu wielu okazji do świętowania - wtrącił Mikę.

- Więc cieszymy się każdą sposobnością.

216

Jakob musiał się roześmiać. Ten tak dobrze wszystkim znany drań był co najmniej dziesięć lat młodszy od niego, miał regularne rysy twarzy, nie wyróżniał się wzrostem, ale jego oczy... Na ogół Jakob nie zwracał uwagi na oczy mężczyzn, chociaż dziewczęce oczarowywały go wielokrotnie, ale źrenice Mike'a były doprawdy niezwykle: bardzo ciemne, lśniące, wesołe, a jednocześnie świadczące o nieugiętym charakterze i żelaznej woli.

Ciekawe, pomyślał, co Tibbaling miałby do powiedzenia o tym człowieku.

Pani Hobday przygotowała obfity posiłek: kotlety, placki ze słodkich ziemniaków, ogromne porcje puddingu chlebowego. Mikę cały czas opowiadał o swoich planach.

- O bydle mlecznym nie ma co mówić, to stara sprawa, Arthurze - zwrócił się do gospodarza. - Zamierzam posadzić trzcinę cukrową. Ty też powinienesz, Jakobie. Dobrze zapowiadający się interes. Nasza czerwona ziemia jest wręcz idealna. W tamtym miejscu myślałem tylko o trzcinie. Patrzyłem, jak długie zielone łodygi kołyszą się na wietrze.

- Ale ja nic nie wiem o trzcinie cukrowej!

- Ani ja. Nauczymy się.

- Pomyślę o tym - powiedział Jakob wcale nie dlatego, żeby rzeczywiście zamierzał uprawiać trzcinę cukrową. Nie chciał sporów w tak miłym towarzystwie, ale spotkanie i tak wkrótce się zakończyło. Podziękował Hobdayom, obiecał, że pozostanie w kontakcie.

- Dzień się kończy - zauważyła pani Hobday. - Możesz przenocować u nas, jeśli chcesz, Jakobie.

- Dziękuję, ale wyruszamy od razu. Przed zmierzchem zdążymy przejechać kawał drogi.

- Nie martw się o nich. - Mikę uśmiechnął się wesoło. - Już ja ich przypilnuję.

Jakob spojrział na niego zaskoczony.

- Przecież jestem twoim sąsiadem. Jadę z tobą. Poczekaj, zabiorę z pubu wszystkie swoje łupy i... ruszamy!

- Którą drogą przyjechaliście? - spytał Billy'ego Mikę, kiedy opuszczali miasto.

- Przez Childers, szefie.

217

- Świetnie. Więc nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebyśmy wrócili inną drogą. Powinieneś poznać okolicę.

- Nie wiedziałem, że jest jakaś inna droga - odezwał się Jakob. - A ty, Billy?

Aborygen skrzywił się, a Mikę roześmiał wesoło.

- Nie trzeba nic wiedzieć. Nawet ślepy by się tam nie zgubił. Prawdę mówiąc gdybyś ją wybrał, w ogóle nie potrzebowałbyś przewodnika. Pojedziemy z biegiem rzeki do wybrzeża, to będzie zatoka Herveys. Potem na północ, do ujścia Burnett. Naszej rzeki! Skręcimy w głąb lądu i już

jesteśmy w domu. Dobrze mówię, Billy?

- A tak - przyznał chłopak.

Jakob uznał to za wspaniały pomysł. Wyprawa do Maryborough okazała się sukcesem, a w dodatku ma teraz szansę, żeby nieco lepiej poznać okolicę. Konie szły spokojnie drogą biegnącą wzdłuż rzeki Mary, a on przyglądał się bladobłękitnym górcom. Pamiętał, że Davey wspomniał coś o nich, wymieniając nawet nazwę miasta.

- Czy to prawda, że tam jest złoto? - spytał Mike'a.

- Mnóstwo złota, przyjacielu. Właśnie tam mam zamiar znaleźć fundusze na opłacenie mojej plantacji trzciny cukrowej.

- Więc dlaczego wracasz do domu?

Użył słowa „dom”, bo nie znał lepszego, ale ziemia Quinlana była tylko tym: ziemią. Nie miał domu, działkę zarastały krzaczki o tej porze roku niemal niewidoczne, przykryte wysoką trawą zasłaniającą także mnóstwo pni cennych drzew, drzew skradzionych przez Dixonów.

- Muszę, przyjacielu. Ci cholerni inspektorzy nie przyjmą więzienia za wymówkę. Wiesz równie dobrze jak ja, jakie są warunki dzierżawy.

Musimy zagospodarowywać ziemię, zbudować dom, grodzić i tak dalej. Albo nas wywalą. Tymczasem ja nie miałem szansy nic zrobić. Choćby kiwnąć palcem. Najwyższa pora wziąć się do roboty.

- Wyrąb drzew liczy się jako to zagospodarowanie?

- Nie. Cały ten pomysł ma jeden cel: powstrzymanie spekulantów. Rząd chce zaludnić ten kraj, rozumiesz? Zniechęca cwaniaków, którzy by sobie działki wydzierżawili za grosze, poczekali na dobrą ofertę, spłacili dzierżawę, sprzedali z zyskiem i dali dyla. To byłaby strata wielu lat bez pożytku dla rolnictwa. Trzeba nie tylko zagospodarować ziemię, ale i

udowodnić, że się

218

na niej mieszka. Więc chyba najlepiej zrobię, jeśli wybuduję dom. Co ty na to?

- No... chyba tak.
- Po co grodzić pastwiska, jeśli nie masz zwierząt?
- Rzeczywiście, to bez sensu.
- Hej, Billy, nie popracowałbyś dla mnie?
- Jestem pastuch - wyszczerzył zęby chłopak. - Nie ma co paść.
- Teraz też nie pasiesz, więc dlaczego zgodziłeś się opiekować Jakobem?
- Tibbaling każe.

Mike wyprostował się w siodle, ściągnął konia.

- Oho! Wpadłeś, Jakobie, w bardzo godne towarzystwo. Sam Tibbaling, no, no! Jesteś rodzina, Billy?
- On ojciec mojego ojca.
- Świetnie. Jeśli zechcesz dla mnie pracować, pomóc w budowie domu, zapłacę ci. Nie od razu, rozumiesz, ale zobowiązę się na piśmie.
- Słowo starczy.

Bardzo szybko okazało się, że wędrówka z Quinlanem nie może być nudna. Przepelniał go entuzjazm, nie brakowało mu zaskakujących pomysłów, niekoniecznie mile widzianych. Jakob jechał w milczeniu, nieuważnie słuchając Mike'a i Billy'ego spierających się o wielkość przyszłego domu. Irlandczyk chciał mieć przyzwoitą farmerską siedzibę, jego „czeladnik” protestował, że w tym wypadku praca bez wynagrodzenia zabierze za wiele czasu. Jakob przede wszystkim myślał o swoim małym domku, który mógłby rozbudować za pieniądze otrzymane ze sprzedaży

drewna. Drewna Meissnerów, prychnął kpiąco. Ciekawe, jak Dixonowie przyjmą jego rewelację. Gdy tylko dojadą do Bundabergu, wyśle wiadomość do Lesa Jolly'ego. A Fredzie powinien kupić prezent. Jest co świętować.

Nim dojechali do ujścia rzeki, Billy zasugerował, że powinni skręcić na północ, ale Quinlan się z nim nie zgodził.

- Nie możemy tego zrobić - zaprotestował. - Jesteśmy badaczami! Chcę obejrzeć wszystko na własne oczy, i to nie z pokładu statku.

- Kilka dni więcej drogi - tłumaczył chłopak. - Trudnej drogi. Nie ma szlaku, tylko ścieżki czarnych.

219

- Chcemy przejechać wzdłuż wybrzeża.

- Wybrzeże wydyma się tu jak brzuch. Ten szlak już dłuższy niż Childers. Lepiej skręcić tu.

Jakob, choć pograżony w myślach, usłyszał ostatnie słowa. Drgnął.

- Billy, powiedziałeś, że wracamy dłuższą drogą niż ta, którą jechaliśmy do miasta?

- Mój szlak tylko dwa dni dłużej, może więcej - odparł Aborygen z uśmiechem. - Jego szlak siedem, dziesięć dni dłużej, a wy nie macie tyle jeść.

- Co?! A ja myślałem, że tędy jest bliżej. Quinlan spojrzał na niego z niedowierzaniem.

- Nie widziałeś mapy wybrzeża?

- Oczywiście, że nie. - Jakob był bliski rozpacz. - Nie mogę marnować czasu! Muszę wrócić do domu!

- Och, przecież nie będziesz marnował czasu. Mówią, że plaża nad zatoką

jest przepiękna. Prawdziwy raj Boży. Coś ci powiem: proponuję kompromis. Stąd pojedziemy drogą Billy'ego, jeśli doprowadzi nas wprost do zatoki Herveys, a potem znajdziemy drogę do domu.

Jakob obejrzał się za siebie. Już zmarnował pół dnia. Kolejne pół na szlak Childers i podróż zaczyna się od początku.

- Jak długo jechalibyśmy stąd, Billy? Dokładnie!
- Zależy od rzeki. Dwa, trzy dni.
- Niech nam Bóg dopomoże! Jakiej rzeki? Burnett? Tej naszej?
- Nie. Tej, co płynie pomiędzy. Jakob spojrzął na Quinlana.
- Jak przekroczyć rzekę bez łodzi?
- Z żalem przyznaję, że to trudne. Wiesz, chyba powinniśmy zostać na noc na brzegu, nałapać ryb na kolację, a rano wrócić. Straszna szkoda. Jesteś pewien, że nie chcesz jechać dalej, wykąpać się w morzu?
- Jestem pewien!

Jefferson Philps nie przejął się tym, że kolega po fachu złapał go na „błędzie”, bo miał całkowitą pewność, że jego list do Dixona, ten zawierający „opinię prawną”, nigdy nie zostanie opublikowany. To był słaby punkt Hobdaya. Dał słowo, a kiedy

220

Arthur daje słowo, można założyć się sto do jednego, że go nie złamie. Pozostało tylko załatwić sprawy z J. B. Dixonem. Trzeba go uprzedzić, że Niemiec nie nabrał się na blef, przelicytował i wygrał. I że Dixon może narazić się na oskarżenie o naruszenie cudzej własności, jeśli któryś z jego ludzi wejdzie na ziemię Meissnera bez jego zezwolenia. Takich rzeczy staremu J. B. nie trzeba było tłumaczyć.

Wziął ołówek, przysunął sobie blok listowy. Miał zamiar wysłać Dixonom

depeszę... taką, który nie powie ani za mało, ani za dużo telegrafistom i im plotkarskim przyjaciółom z Bundabergu. Po półgodzinie kreślenia, wycierania i pilnowania liczby słów, żeby nie wyszło za drogo, wreszcie skończył. Kancelista zaniósł na pocztę depeszę następującej treści:

W związku z prawem do drewna dwóch niebrytyjskich dzierżawców pilnie i z żalem informuję ich prawa podtrzymane z dniem dzisiejszym. Philips. Telegrafista w Bundabergu nie uznał tej informacji za interesującą, wręcz przeciwnie, była nudna jak większość, ale... odbiorcą był J. B. Dixon, a to oznaczało pieniądze. Zazwyczaj depesze do odległych farm, obozów i rancz rozwozili wozami listonosze; mogło to trwać tygodniami. Ale Dixonowie zasługiwali na coś więcej. Depesze dla nich doręczali jeźdźcy na szybkich koniach, którym za przesyłkę płacono funta. Okrągłego funciaka do podziału z telegrafistą wybierającym posłańca. Pod warunkiem że nie było żadnych opóźnień.

Zbiegł po schodach i popędził do pubu przyrzeć się koniom przywiązany do poręczy pod wielkim czerwonym eukaliptusem. Wszedł do baru.

- Czyj jest ten siwek? - spytał.

Późnym wieczorem na ranczu Clonmel pojawił się jeździec. Zeskoczył z konia, wszedł na werandę, zajrzał przez otwarte frontowe drzwi i głośno gwizdnął na palcach. Po chwili z ciemnego wnętrza wyszła kobieta z latarnią.

- Czego chcesz? - spytała.

- Mam depeszę dla J. B. Dixona, proszę pani.

- Ach tak, rozumiem. Doskonale, proszę chwilę poczekać. Jeździec czekał. Kobieta odebrała depeszę, położyła ją na

stole, podeszła do komody, wyjęła z niej kasetkę z pieniędzmi.

221

Tymczasem on z ciekawością przyglądał się domowi. Wejście nie prowadziło do korytarza czy holu, nic z tych rzeczy, wchodziło się wprost do salonu. Słyszał te opowieści wielokrotnie: ten dom był niegdyś zwykłą drewnianą chatą z werandą, do której dobudowywano kolejne pomieszczenia, jak grodzono pastwiska, tylko dla ludzi, nie owiec. Skinał głową bardzo zainteresowany. Teraz będzie mógł powiedzieć, że wspaniały dom właścicieli Clonmel wcale nie jest taki wspaniały. Do pięć nie dorasta rezydencji, którą budował jego pracodawca, Charlie Mayhew. Może i Charlie miał zaledwie plantację, ale już wkrótce - co do tego jeździec nie żywił żadnych wątpliwości - będzie bogatszy od tych wszystkich wielkich hodowców. Postawiłby na to nawet własne życie.

- Dziękuję pani - powiedział licząc drobniaki. Kobieta dała mu funta w szylingach.

- Nie ma za co. Niech pan podejdzie od tyłu, kucharka jeszcze nie śpi. Będzie miała coś do zjedzenia. Może się pan przespać z robotnikami. Dobranoc i dziękuję.

Jeździec nasadził kapelusz na głowę. Podeszedł do konia; pieniądze brzęczały mu w kieszeni. Nieźle zarobił jak na jedną noc, no i dostał darmowy nocleg i posiłek. Nie miał pojęcia, co aż tak ważnego przekazywała depesza, którą oczywiście przeczytał. Zwykły złożony kawałek papieru, więc czemu nie?

Upewnił się jeszcze, że koń ma dobre miejsce w stajni i że go odpowiednio nakarmiono. Przecież Bluey, duma i radość jego życia, najwspanialszy konik po tej stronie równika, zarobił dziesięć szylingów za

coś, co on sam zrobiłby nawet za darmo, tak zwyczajnie, gdyby ktoś go o to poprosił. No i proszę, pomyślał i uśmiechnął się szeroko. Ci ludzie tu, w głuszy, mają więcej pieniędzy niż zdrowego rozsądku.

Siedzieli w bibliotece przy długim stole, przeglądając gazety i branżowe czasopisma, kiedy w drzwiach pojawiła się Elsie.

- O co chodzi? - spytał J. B. odkładając fajkę.
- Depesza. - Położyła na stole zapieczętowaną kartkę. - Przynieść ci coś, nim pójdziesz spać, J. B.?

Na to pytanie odpowiedział Keith.

- Przydałaby się jeszcze jedna karafka porto. Ta jest już prawie pusta.

222

- Wypiłeś wystarczająco wiele - burknął jego ojciec otwierając depeszę.
- Bynajmniej. To szczególnie dobry rocznik. Kto umarł?
- Nikt. - J. B. zaczekał, aż Elsie wyjdzie z pokoju, a potem powiedział: - Ten bezczelny Niemiec wziął się do roboty i sprawdził prawo wyrębu. - Rzucił depeszę na stół.

- Jaki Niemiec?

- Keith, na litość Boską! Meissner oczywiście. A przynajmniej tak rozumiem tę cholerną wiadomość. Dlaczego Philips nigdy nie pisze z sensem?

Syn przeczytał depeszę i kiwnął głową.

- No tak. To musi być on.
- Jutro skoro świt jedziesz do miasta. Zatelegrafuj do tego adwokacyny i poczekaj na odpowiedź. Ma potwierdzić, co napisał, normalną angielszczyzną i niech wyjaśni, skąd wie.

Elsie wróciła z butelką porto.

- Mam je przelać do karafki? - spytała Keitha.
- Nie. Ja to zrobię. Ale przydałoby się parę kanapek. Może z kolacji zostało trochę rostbefu?
- Jasne - przytaknęła. - A ty, J. B.? Zjesz coś?
- Nie. Idę do łóżka. - Dixon senior wstał, przeciągnął się, spojrzał na syna ponad stojącymi na stole szklankami. - To drewno jest moje! Drzewa rosną na ziemi Clonmel. Nie obchodzi mnie, co kto o tym mówi. Na krew Chrystusa, jeśli ten dureń Philps zostawił mu drogę wyjścia, jeśli uciekli się do jakiegoś cholernego prawa, to ze mną będą mieli do czynienia. Jeśli nie dostanę tego drewna, nikt go nie dostanie, a już zwłaszcza oni, przekłęci emigranci. Rozumiesz, o czym mówię?
- Ależ oczywiście. - Keith uśmiechnął się. Grzebał w szufladzie, szukając korkociągu.
- Tylko nie zrób czegoś głupiego po pijaku. Skontaktuj się z Philpsem, najpierw dowiedz się, o co chodzi.

Philps poszedł do biura telegrafu w Maryborough, by przesłać odpowiedź na krótkie pytanie Keitha Dixona. Brzmiała następująco:

Przedmiot mojej wczorajszej korespondencji dotyczącej drewna szukał wczoraj porady prawnej. Zaangażował Hobdaya. Philps.

223

- Niech to diabli!

Keith w zdumieniu czytał depeszę po raz drugi. Do głowy by mu nie przyszło, że któryś z tych ludzi... że ktokolwiek!... mógłby próbować podważyć opinię prawnika. Świat się kończy!

Ojciec kazał mu pojechać do tego głupawego Meissnera, pokazać mu list Philpsa i to było w największym porządku. Uwierzył w opinię prawnika,

bo i czemu nie? Teraz Keith wściekał się przede wszystkim na to, że Niemiec jednak nie uwierzył. Zrobił z niego głupca. W dodatku miał czelność pojechać do Maryborough i jak to określił Philps, zaangażować prawnika! Hobdaya. Cholernego świętoszka, któremu udało się udowodnić, że Philps się myli! Oczywiście J. B. od razu wiedział, że to oszustwo, i był święcie przekonany, że jego syn wie także. Keithowi pozostało tylko pocieszać się tym, że nie gadał za wiele, nie zrobił z siebie dumia. Bo gdyby Philps miał rację, stary nie zaakceptowałby „porady” Hobdaya tak po prostu.

Dopiero teraz Keith uświadomił sobie, że współuczestniczy w oszustwie. Ojciec musiał poinstruować Philpsa; polecił mu wystawienie opinii odzwierciedlającej jego własne zdanie na temat tego co dobre i tego co złe. Stary cwany sukinsyn, to bez wątpienia. Nie spodobało mu się, że został wysadzony z siodła. O nie, ten numer nie przejdzie. A tymczasem Niemiec wygrał w sporze, zdobył prawnika i Philps musiał podwinąć ogon pod siebie. Nietrudno wyobrazić sobie, jaką to było niespodzianką i jakim szokiem dla posłusznego sługi, no ale tym Dixonowie nie musieli się na szczęście przejmować. Prawdziwym problemem było drewno. Nie wolno pozwolić, żeby dorwał się do niego Meissner i cała reszta, także Les Jolly. Nie teraz, kiedy wszyscy będą sobie z radością opowiadać, jak to byle Niemiec pobił Dixonów. Nie, nie, nie ma mowy. Nie wolno do tego dopuścić. Ludzie muszą wiedzieć, że wielcy właściciele ziemscy nadal dzierżą wodze, że to oni są tu szefami.

Jechał z powrotem przez ziemie Clonmel, kiedy spotkał trzech wracających do domu pastuchów. Dołączył do nich, ale nie miał ochoty na rozmowy. Myślał wyłącznie o Meissnerze, przejeżdżali przecież zaledwie

parę kilometrów od jego ziemi, na której ciągle stały piękne drzewa. Jeśli Meissner był wczoraj w Maryborough, to do domu powinien wrócić jutro. Keith wątpił, by wrócił dziś. Warto o tym pomyśleć.

224

Nagle zawrócił konia. Ludziom kazał jechać za sobą; wypełnili jego polecenie w milczeniu. Nie odzywali się. Może i między sobą zadawali sobie pytania, dokąd jadą i o co chodzi, ale służąc Dixonom, nauczyli się najpierw wypełniać polecenia, a potem zadawać pytania.

Poczuł przyływ podniecenia jazdą galopem po otwartej równinie, wyzywając pastuchów, by dotrzymali mu kroku. Niemniej pierwszy dojechał do Szczytu Wisielca, skały, której nazwa sama za siebie mówiła, ostrzegając także o tym, że dalej rozciąga się znacznie groźniejszy teren. Keith zwolnił i już ostrożniej poprowadził swoich ludzi przez otwarty rzadki las w kierunku działki Quinlana. I on, i ojciec często oglądali mapy. Wiedzieli, że pierwszy nadział Meissnera przylega do rzeki, po sąsiedzku z ziemią Irlandczyka, drugi znajduje się dalej, za nią. Co za cholerna bezczelność, tak sobie zająć dwie działki!

Jechali gęsiego, szybko, omijali drzewa, skakali przez powalone pnie i rowy. Keith roześmiał się głośno.

- Trzymajcie się, chłopcy! - krzyknął przez ramię.

Był doskonałym, doświadczonym jeźdźcem. Dosiadał konia pełnej krwi, zapewne nie znającego buszu tak dobrze jak zwykle konie pastuchów, ale posłusznego, wręcz perfekcyjnie wykonującego polecenia jeźdźcy, więc nie groziło mu nic, choć pędzili wśród gęsto rosnących eukaliptusów, a poszycie miało głębokość co najmniej trzydziestu centymetrów. Nie obchodziło go, że prowokując swych ludzi, naraża ich na

niebezpieczeństwo upadku. Za bardzo zależało mu na dotarciu na ziemię Irlandczyka. Od tego mieli zacząć.

Cel osiągnęli godzinę później. Keith wstrzymał konia; jechali przez ziemię, na której wyrabano już drzewa, wysoka trawa zarosła pozostałe po nich pnie. Zbliżył się do niego Sam, jeden z zarządców rancza.

- Keith, to chyba ziemia Quinlana?

- Brawo! Trafiłeś w dziesiątkę! Tak, to ziemia Quinlana. Niech się nią cieszy, kiedy wyjdzie z więzienia.

- Cholerny z niego sukinsyn - westchnął Sam. - Zastrzelić takiego tryka z zimną krwią... Niemal złamał mi serce. Piękne to było zwierzę.

- Mnie o tym nie musisz mówić. - W głosie Keitha zabrzmiał nieklamany żal. - Duke był prawie człowiekiem. Bardziej przyjacielem niż zwierzęciem.

225

- Jezu, święta prawda. I to jego runo! Boże, kto widział kiedy coś podobnego?

- Strata nie do odrobienia. Nic mnie nie obchodzi, ile owiec zapłodnił. Nie będzie już drugiego Duke'a. Jedno ci powiem, Sam. Naszym merynosom zagraża nowe niebezpieczeństwo.

- Jak to?

- Dzieją się dziwne rzeczy - powiedział Keith tajemniczo. - Groźby i w ogóle. Więc musimy dać im nauczkę. Ostrzec, żeby trzymali się z daleka.

- Ale komu? - spytał wojowniczo zarządca. - Tylko mnie na nich napuść, człowieku!

Jechali wzdłuż ziemi Irlandczyka, Keith nie próbował naruszyć jego terytorium. Szukał znaków pozostawionych przez mierniczych i po nich

dotarł do drugiego nadziału, nie ogrodzonego... Ot, fragment wszechobecnej tu dziczy. Tym razem granica go nie powstrzymała. Przekroczył ją bez wahania.

- Rozumiem, że znasz Clonmel jak własną kieszeń. Na czyjej ziemi teraz jesteście?

- Tego Niemca, Meissnera, proszę pana. On ją dzierżawi.

- Bravo! Dobry jesteś, Sam. A ja myślałem, że da się cię oszukać. No i teraz... To właśnie ten facet zaczął nam grozić.

- Jak? Czym?

- To już sprawa między nim a J. B. Naszym zadaniem jest przestraszyć łajdaka.

Zeskoczył z konia. Nadjechali inni, także zsiadli. Patrzyli na Sama, który gestem kazał im zaczekać. Keith nogą nagarniał na kupkę suche gałęzie i liście.

- Masz zapalki? - spytał.

Zarządca podał mu swoje, woskowe. Zapalił jedną i rzucił na stos.

Buchnął płomień.

- Jezu! Uważaj! - Sam złapał go za rękę. - Wywołasz pożar buszu, tu wszystko jest suche jak pieprz!

- Meissner zdaje się uważa, że może nam wyciąć ten sam numer co Quinlan i wyjść z tego bez szwanku. Nasze merynosy są cenne, przyjacielu, a przecież nie możemy pilnować ich w nieskończoność. Nie zauważyłeś, że ostatnio strzeżone były w dzień i w nocy?

- Jezu! Nie, Keith. Powiem ci szczerze, że nic nie zauważyłem.

226

- Za ciężko pracujesz. Wieczorami jesteś pewnie strasznie zmęczony.

- Och... oczywiście.

- No więc musimy im pokazać, że nie jesteśmy tacy słabi, jak sądzą ci cudzoziemcy. Wiatr wieje w ich kierunku, idealnie dla nas. Nie przejmuj się, Sam. Mają po swojej stronie rzekę, to równa walka.

Ogień rozprzestrzenił się trzaskając wesoło. Pracownicy rancza patrzyli na szefa, nic nie rozumiejąc. Sam odciągnął Keitha na bok.

- Lepiej uważajmy - powiedział cicho. - Ten wielki gość w skórzanej kamizelce... nie wiesz, kto on taki?

- Nie.

- Fechner. Niemiec. Pewnie zna tego Meissnera.

Keith odwrócił się powoli, nie chciał wykazać ani odrobiny zaskoczenia czy irytacji. Zsunął z czoła kapelusz; od płonących traw bił żar.

- Ano tak - wycedził.

No nie! Mąż Hanni. A niech to! Ale... co poradzi taki czy inny tępak? A Fechner tępy był z pewnością. Tylko dureń przywiózłby na owcze ranczo dziewczynę taką jak ta jego żoneczka. Jaki mężczyzna nie chciałby się do niej dobrać?

- Hej, Lucas! - zawołał. - Wypalamy! Łap gałąź, zapal ją i podpal linię stąd dotąd. Wy, reszta, idziecie tam, w linii prostej. Uważajcie na wiatr, biada, jeśli powieje nam w twarz! Sam, odprowadź konie. No, ludzie, do roboty! Tęsknię za zimnym piwkiem. Kiedy wrócimy do domu, nie będziemy sobie szczeni.

Przeklęty pech! denerwował się Lucas. Gdyby nie spotkali Keitha, już byłby w domu. Miały szansę spędzić popołudnie i wieczór z żoną, a to nie zdarzało się często. Biedna Hanni, taka samotna. Tyle gadali o niej i o młodym Dixonie, ale nie to było najgorsze. Ostatnio chodziła taka cicha,

taka skryta; aż zaczął się bać, że w tych wszystkich plotkach tkwi ziarno prawdy.

Rozmawiał z nią bardzo ostrożnie. Bardzo łagodnie.

- Hanni, serce moje - powiedział - boję się, że już mnie nie kochasz.

Przecież nie pozwalasz się nawet dotknąć.

- Jestem zmęczona!

227

- I zdenerwowana. Kochanie, boję się. Tu jest tak wielu mężczyzn. Może znajdziesz sobie kogoś bardziej interesującego niż twój Lucas?

- O Boże! Czyżby Theo ci o tym powiedział?

- A co to ma z nim wspólnego? Hanni zalała się łzami.

- Był taki nieuprzejmy! Oskarżył mnie, że flirtuję z obcymi mężczyznami, a teraz ty robisz to samo. Nienawidzę cię! Nienawidzę was wszystkich!

Trzeba było tygodni, by zatrzeć wspomnienie tej nieszczęśliwej rozmowy.

Hanni była wściekła, prawie nie odzywała się do męża. W końcu uspokoiła się, ale pozostała chłodna. Znikła gdzieś kochająca żona.

- A teraz co? - spytał i dowiedział się tylko tego, że jego żona jest nieszczęśliwa, nienawidzi rancza i chce się z niego wynieść.

- Lucas, rusz się! - Głos Sama oderwał go od kontemplacji płonących traw.

- Tak, przepraszam! - Podniósł suchą gałąź, podpalił ją i rozniecił ogień w trawie przed sobą. Nadal niepewny, o co tu chodzi, zwrócił się do Pike'a, pastucha jak on. - Co my właściwie robimy?

- Wypalamy suchą trawę, żeby nie zapaliła się sama z siebie i nie wznieciła prawdziwego pożaru buszu. I śmieci.

Lucas skinął głową i pod czujnym okiem Sama rozpałił kilka ognisk.

Płomienie wznosiły się coraz wyżej, podsycane zachodnim wiatrem.

Odstąpił o krok, myślał wyłącznie o tym, ile to jeszcze potrwa.

Pikę przysunął się do niego niepostrzeżenie.

- Co za głupek - szepnął. - Pali tu tyle ognisk, że w końcu sam wywoła pożar buszu.

- Kto? Keith?

- Jasne. W głowie to on za wiele nie ma. Wypalanie to pożar kontrolowany, przyjacielu, a ten lada chwila wyrwie się spod kontroli.

- Nie powinniśmy go ostrzec?

- Rozmawia z Samem. Może on go powstrzyma.

Dym był już tak gęsty, że przesłaniał Lucasowi innych pastuchów. Zaczął się cofać, choć niskie płomyki w trawie nie wydawały się groźne. Nagle rozległ się przerażający huk i płomienie

228

strzeliły w górę, otaczając go ze wszystkich stron: to drzewa wybuchały jak bomby. Zdarzyło się to tak szybko, tak nieoczekiwanie, że uciekając przed żarem, Lucas potknął się, przewrócił. Poderwał się na równe nogi, czuł się tak, jakby zabłądził do wnętrza rozgrzanego pieca. Pobiegnął przed siebie, najszybciej jak potrafił, przedarł się przez ogień i dym, dostrzegł Sama i zatrzymał się obok niego.

Sam klócił się z Pikiem.

- To nie ma z tobą nic wspólnego - mówił podniesionym głosem. - Konie są bezpieczne, Keith odprowadził je dalej. Wynośmy się stąd, ale już!

Najwyższy czas.

- Jaki idiota wywołuje ogień na swojej ziemi? - Pikę nie mógł się uspokoić.

- Swojej? - roześmiał się Sam. - Przecież to ziemia Meissnerów.
- To cholerna zbrodnia!
- Zamknij gębę, Pike. Wracamy do domu.

Lucas przeszedł obok nich chwiejnym krokiem. Dym przerzedzał się, ogień parł przed siebie coraz szerszym łukiem. Dostrzegł konie. I Keitha, odprowadzającego je dalej od linii ognia. Chwycił go za ramię.

- Czyja to ziemia? - wysapał.
- Puść mnie! Jesteśmy na ziemi Clonmel!
- Właśnie że nie! Na ziemi Meissnera. Palicie jego ziemię!
- Niczego nie palimy. Pożary trawy zdarzają się często, zwłaszcza przy suchej pogodzie.

Mówiąc to Keith uśmiechnął się obłeśnie, a Lucas z wyrazu jego twarzy odczytał coś więcej niż tylko bezmierną pogardę. Młody Dixon wrywał się rozpaczliwie z jego uścisku, lecz jednocześnie tryumfował, co do tego nie było wątpliwości, wystarczyło spojrzeć mu w oczy. I musiało to mieć coś wspólnego z Hanni. Ze słabością jej męża, mimo jego chwilowej fizycznej przewagi. Z jego niezdolnością do zrobienia czegoś w tej strasznej sytuacji.

Ale... Keith się mylił. Lucas rzadko się gniewał, w tej chwili jednak był wściekły. Wpadł w furję. Rzucił się na młodego Dixona, trzymał go jedną ręką, uderzał drugą. Konie wspinały się, wierzgały, próbowały uciec. Keith przytoczył się do przeciwnika wymachując pięściami i kopiąc. Lucas zdawał sobie sprawę, że

229

nie ma czasu do stracenia. Splótł dłonie, podniósł ręce i z całej siły uderzył Dixona, właśnie próbującego wstać. Po czym podbiegł do konia.

Na miejscu był już Sam. Pomógł szefowi się podnieść. Pike wyłapywał konie.

- W którą stronę do rzeki? - stęknął Lucas.

- Tam! Co ty wyprawiasz, do cholery?

- Wyrzucam cię z pracy - wrzeszczał Keith. - To mój koń! Wracaj, oddaj mi go, złodzieju! Sam, moja strzelba...!

Nie było już do czego strzelać. Lucas uciekł. Okazał się głupcem, ostatnim głupcem! Omal nie rozplakał się z żalu. Powinien był wiedzieć, że są na ziemi Jakoba. Już wcześniej pokazywano mu jego nadziały, pracownicy Clonmel wiedzieli wszystko, ale tym razem podjechali z innej strony, od dużej działki, już wyrąbanej. Uznał, że to ziemia Clonmel, że zawrócą tu i pojedą do domu. Dureń!

Musiał ostrzec Jakoba. Na tej ziemi nie miał nic do roboty, tu szalał ogień nie do powstrzymania, ale słyszał, że Jakob założył farmę nad brzegiem rzeki, czyli daleko, ładnych parę kilometrów stąd. Nie ma wyboru, nie darowałyby sobie, gdyby choć nie spróbował mu pomóc. Może starczy im czasu, by podpalić trawy, rzucić ogień przeciwko ogniowi. Dym przesycił powietrze, koń prychnął, brykał, dając jeźdźcowi do zrozumienia, że zagłębianie się w to piekło nie jest najlepszym pomysłem.

Ma rację, przyznał w duchu Lucas. Nie przejeździemy, pożar trzeba jakoś okrążyć. Zdumiała go i przeraziła szybkość, z jaką się rozchodził.

Straszne. Przeskakiwał z czubka na czubek drzew z wprawą najlepszych cyrkowych akrobatów popisujących się na trapezie. Co będzie, jeśli wiatr się zmieni, powieje mu w twarz? Płonęły drzewa. Piękne drzewa, piękne drewno, o którym tyle się tu mówiło. Próbował zatrzymać konia, ale nie całkiem mu się to udało; jego wierzchołek tańczył, wspinał się, jakby

domagał się od jeźdźca, by oprzytomniał i wreszcie zdecydował się, co robić. A on? Co go opętało, że tak po prostu zaatakował Keitha Dixona? Tylko pogorszył sprawę. Nie mógł powstrzymać pożaru, Jakobowi też to się pewnie nie uda. Ale... pożar z pewnością wypali się, zanim dotrze do rzeki.

I znowu trzask; pewnie zapłonęło kolejne drzewo. Może się wypali, a może nie wypali? A Hanni? Co z Hanni? No, dostała, czego chciała.

Stracił pracę. Z czego będą teraz żyli?

230

Lucas był zdezorientowany. Nie wiedział, co się dzieje; dym zakrył słońce. Prowadził konia przez usłaną popiołem nagą ziemię jak po cmentarzu.

Pożaru nie sposób było ominąć, miał ramiona długie na kilometry, stopy z płomienia i łeb Gorgony. Z pewnością dotrze do rzeki przed nim. Po co się wysilać? Zdąży dojechać do Jakoba, powiedzieć mu, że pomagał rozniecić płomienie? Może lepiej wrócić, zabrać Hanni, wynieść się z rancza? Sam sobie podstawił nogę; jak zwykle najpierw gadał, potem myślał. O co oskarżył Keitha? Boże święty! A jeśli była to zwykła pomyłka? Kto może wiedzieć coś na pewno w tym przeklętym kraju, gdzie wszystko wygląda jak wszystko inne, gdzie tysiące identycznych eukaliptusów rośnie wśród dziesiątek tysięcy innych, niczym się od nich nie różniących? Nikogo nie dziwiło, że ludzie często się tu gubią, zwykła sprawa, skoro brakuje charakterystycznych elementów krajobrazu, tak powszechnych w jego ojczyźnie. Nawet gwiazdy były inne. Powinien czegoś się o nich dowiedzieć. To by mu pomogło.

Przed sobą dostrzegł zieloną ścieżkę. Wyglądała jak sceniczna dekoracja w sali parafialnej daleko, w domu, tak sztuczna, że aż śmieszna, niemniej

była prawdziwa. Korytarz wśród traw sięgających pasa niczym tak dobrze znajoma pszenica, wśród drzew, których kora zwisała pasmami jak papier, wręcz proszących się, żeby je spalić, zielonych czubków drzew, z których gałęzie spływały do samej ziemi, całego tego świata wszechobecnej, agresywnej zieleni, obojętnej na zniszczenie, samą swą obecnością dowodzącego, że widział to wcześniej i będzie oglądał wielokrotnie w przyszłości.

Lucas wykorzystał szansę. Wskoczył na konia, kopnął go piętami. Zieloną ścieżkę przebyli galopem. Ale... jego koń był tutejszym kucem, dzikim, schwytanym wprawdzie i oswojonym, lecz nieprzywykłym do niewoli, a takie konie mają w repertuarze mnóstwo sztuczek. Jego oczy płonęły ze strachu przed otaczającym go zewsząd ogniem, tulił uszy odcinając się od przerażających dźwięków, z jakimi ogień wydawał się ich tropić, atakować. Płomienie pożerające wierzchołki drzew wywoływały wiatr siejący wokół skrami i popiołem, szarpiący chmurami dymu. Gdyby burza pyłowa nie przeszkodziła w łapaniu kuców, Lucas miałby szansę lepiej poznać ich temperament i zachowanie, ale niestety tę okazję stracił.

231

Koń zaczął się cofać, wyraźnie buntował się przeciw intencjom jeźdźcy, który jednak nie miał zamiaru pozwolić mu na ucieczkę. Nie zauważył, że zielona ścieżka zwęża się niebezpiecznie, za wiele wysiłku poświęcał na skłonienie swego wierzchowca do zrobienia każdego kolejnego kroku. Nagle poprzez dym, unoszący się w powietrzu popiół i pył mądre zwierzę dostrzegło przed sobą wąwóz zbyt szeroki, by przez niego skoczyć, zbyt głęboki, by pokonać go tym chodem. Uciekło się do sztuczki doskonale znanej doświadczonym pastuchom. Zatrzymało się gwałtownie,

jednocześnie uginając przednie nogi, jakby zamierzało klęknąć. Lucas nie miał szans. Przeleciał przez jego łeb i wpadł do wąwozu, w którym paliły się niskie trawy i chwasty.

Przez długą chwilę jego koń stał z opuszczonym łbem, przyglądając mu się uważnie. Człowiek nie poruszał się, więc skoczył, zawrócił i pogalopował nie w stronę buchającego pożaru, lecz z powrotem, ku bezpieczeństwu. Znalazł właściwą drogę na spalonej ziemi; ciągnąc za sobą wodze, wydostał się z zasięgu pożaru. Przystanął i zaczął skubać trawę pomiędzy rzadko rozrzuconymi krzaczkami.

Dym z jakiegoś dalekiego pożaru ma wyraźny zapach eukaliptusa, pomyślała Freda, ale silniejszy niż woń świeżych liści. Gromadziła wszystkie doświadczenia dotyczące buszu, zależało jej na wiedzy i jak najlepszej orientacji w nowym środowisku. W pamiętniku opisywała ptaki i rośliny, choć większości nazw nie знаła, i ciągle czekała na kogoś, kto nadałby im imiona.

Skończyła podlewać ogród warzywny, zaledwie na tyle, by nie zasechł. Usiadła na tylnych schodach zupełnie wyczerpana. Karl pracował przy karczowaniu buszu pozostałego po odejściu drwali; obiecała sobie, że za dziesięć minut wezwie go na kociołek herbaty, bo jej zdaniem harował za ciężko. Rozmyślała też o sobie: aż dziwne, że tyle czasu poświęca warzywnikowi, sadi coraz to nowe rośliny. No ale przecież, pocieszała się, deszcze nadejdą już wkrótce.

Obojgu bardzo brakowało Jakoba. Odkąd wyjechał, nie widzieli żywego ducha z wyjątkiem małego Aborygena, który przyniósł im wiadomość, że udaje się do Maryborough. Westchnęła. Mogło to oznaczać tylko jedno: w Bundabergu nie Uzyskał żadnej pomocy.

- Co dobrego może dziać się aż tam? - spytał ją Karl.

- Nie wiem. Jak to daleko?

- Jakieś sto dwadzieścia kilometrów, może więcej. Tak mi się wydaje.

- Boże drogi, setki kilometrów wędrówki po tym dzikim kraju. Przecież może się zgubić! Albo zaatakują go te dzikusy! Gdzie będzie spał? Ech, gdybym miała w tej sprawie coś do powiedzenia, nie pozwoliłabym mu na tę głupotę. Moim zdaniem to czysta strata czasu. Ci wielcy ranczerzy... dlaczego nie dadzą zwykłym biednym ludziom jak my prawa do ich własnego drewna? Przecież mają mnóstwo pieniędzy. Nie potrzebują go! Zdjęła kapelusz, przetarła czoło ściereczką. Podniosła głowę; w powietrzu unosiły się drobne płatki popiołu. Dopiero teraz przestraszyła się pożaru. Mógł być bliżej, niż sobie wyobrażała. Jak blisko? Nie sposób powiedzieć. Busz otaczający dom wyglądał jak zwykle, był spokojny, pogodny. Wprawdzie nie słychać było ptaków, ale nie dziwiło to w tak upalne popołudnie.

- Pani! Pani!

Odwróciła się i zobaczyła Mię biegnącą co sił w nogach. Na plecach niosła dziecko w specjalnych szelkach, ale nie przeszkodziło jej to złapać Fredy z całej siły. Próbowwała ją odciągnąć.

- Ogień, pani! Szybko, szybko!

- Dokąd? Gdzie się pali?

Dziewczyna wskazała jej kierunek gorączkowymi gestami. Z całej siły próbowała pociągnąć ją w przeciwną stronę.

- Jedną chwileczkę - powiedziała Freda. Okazywała spokój, wierzyła, że nie ma powodu do paniki. - Czuję dym, ale ogień ciągle jest daleko.

Zostań tu, a ja się rozejrzę. Podejdę wzdłuż strumienia, sprawdzę, czy nie dzieje się coś złego.

W tej chwili nadbiegł Karl z mężem Mii, Yarrupim.

- Mamo, on twierdzi, że pożar jest bardzo blisko. Obaj weszliśmy na drzewo. Mówię ci, strasznie to wygląda. Rozciąga się na całe kilometry, zbliża w niesamowitym tempie. Musimy uciekać nad rzekę.

- Przecież tu płynie strumień - odparła Freda. - Nic nam nie grozi.

- Nie, pani. Nie - zaprotestował Yarrupi. - My iść teraz. Nagle Freda zrozumiała i było to jak obezwładniający cios.

233

- Co oni mówią, Karl? Że nie będziemy tu bezpieczni? W naszym domu? Coś mu grozi? Całemu gospodarstwu? Przecież nic więcej nie mamy - jęknęła. - Nie, nie, to niemożliwe!

- Jestem pewien, że wszystko będzie w porządku - uspokajał ją Karl. - Ale ten wiatr jest piekielnie gorący. Nad rzeką poczujemy się lepiej.

- Nie mów głupstw. Możemy schronić się w domu.

- Nie, pani! - krzyknęła Mia. - Dom spali cały zaraz. Iść, teraz. Szybko, proszę.

Freda spojrzała na syna. Nie panowała nad sobą. Zaczęła wrzeszczeć.

- Co ona wygaduje? Że spłonie dom? Nie! Nie uwierzę! Gdyby był tu Jakob, niczego byśmy się nie bali. Powiedz im, żeby odeszli.

- Słuchaj, pani... - odezwał się Yarrupi.

Freda cofnęła się przed nim i teraz po raz pierwszy usłyszała trzask płomieni. Brzmiał, jakby rozpalano pod kominem, ale jej wydało się to wręcz nierealne, nie widziała bowiem ognia, a w jej domu ceglany komin, oparty o ścianę z poszarzałych drewnianych bali, był zimny. Jakże trudno

było uwierzyć w zagrożenie.

Freda traciła kolejne minuty. Wbiegła do domu, miała nadzieję, że to ją uspokoi, opanuje panikę. Rozglądała się za tym, co mogłaby ze sobą zabrać, gdyby jednak musieli uciekać. Stara rodzinna Biblia, to z pewnością, wraz ze wszystkimi pamiątkami, które zawierała, poobijana walizka z urzędowymi papierami Jakoba; zauważyła ją, więc natychmiast przyciągnęła do siebie. Chwyciła także puszkę z pieniędzmi, po czym znieruchomiała zbyt oszołomiona, by podjąć jakąś decyzję. Przecież to co się działo, nie miało prawa się dziać!

Ale niebo zasnuło się ciężką zasłoną unoszonych przez wiatr liści i lśniących iskier, a ona uciekła wśród nich i wraz z nimi, biegła szlakiem wyjeżdżonym przez wozy, słyszała za plecami potwora goniącego ją z szybkością tsunami. Dźwięk wydawał się jej już bardzo rzeczywisty i równie przerażający, nie mogli się odwrócić, spojrzeć na dom i na warzywnik, bo droga wiła się wśród zarośli w ostrych skrętach.

Wreszcie znaleźli się bezpiecznie nad rzeką, wdzięczni za prastare namorzynowe bagna skutecznie chroniące przed ogniem ich oraz mnóstwo dzikich zwierząt. W błocie leżały

234

dyszące dingo, ignorujące koale i kangury, które znalazły tu schronienie przed ludźmi stojącymi po pas w wodzie, w tej strasznej chwili nie pamiętającymi o krokodylach. Yarrupi zdołał nawet przyprowadzić krowę, kury nie miały jednak najmniejszej szansy.

Freda rozplakała się. Na własne oczy widziała zagładę ich ziemi, ich farmy pochłanianej przez rozszalały ryczący ogień. Jego złowrogi blask już odbijał się w wodzie. To był najgorszy dzień w jej życiu. Okręt ich

marzeń spłonął aż po linię wodną. Byli zrujnowani. Co powie Jakob? Cóż teraz znaczy upór, wyzwanie, jakie rzucił właścicielom Clonmel?

Powiodła dookoła wzrokiem, przyjrzała się zwierzętom drżącym w panice, patrzącym na spaloną ziemię, i nagle zaczęła się nad nimi litować. Ileż z nich zginęło w pożarze? Spłonęły drzewa, a wraz z nimi ptasie gniazda, zginęły jaszczurki, takie płochliwe, takie nieszkodliwe. A co z innymi zwierzętami? Niewiele znalazło tu schronienie. Zniszczenia były tak straszne, że kiedy Mia powiedziała, że mogą wyjść, Freda poczuła mdłości. Zwymiotowała na siebie i do wody, ale Mia podprowadziła ją na płyciznę i oczyściła ubranie chlapiąc na nie wodą. Zawsze bardzo schludna, Freda postanowiła, że gdy tylko wróci do domu, najpierw spłucze z siebie błoto, umyje się, włoży świeżą bluzkę i spódnicę, a dopiero potem sprawdzi, jakie zniszczenia spowodował pożar.

Później nie potrafiła powiedzieć, o czym też myślała, bo kiedy wspięła się na wysoki brzeg rzeki, zobaczyła, że nie ma już domu. Pozostał po nim tylko poczerniały komin niczym upiór unoszący się nad spaloną ziemią. Stary Dixon patrzył, jak podjeżdżają do jego dworu. Przeszedł skrótem przez stajnie do szop przy padoku, odczekał, aż jeźdźcy rozsiodlają konie, a siodła i uzdy schowają w siodlarni, po czym gwizdnął cicho. Keith spojrział na niego, skinął głową i powoli podszedł do ojca.

- Pożar buszu przy wschodniej granicy naszej ziemi - oznajmił z udawaną powagą. - Ktoś miał strasznego pecha, nie?
- Philps potwierdził, że Niemiec dostał nową opinię?
- Owszem. Wziął sobie prawnika. Hobdaya. To pewnie on wskazał mu właściwy kierunek. W każdym razie stwierdził autorytatywnie, że nie mamy już prawa do drewna. Ale warto było

spróbować, J. B. Ten Niemiec oszczędziłby sobie mnóstwa kłopotów, gdyby zastosował się do instrukcji, zamiast niepotrzebnie komplikować takie proste sprawy. Stary Dixon tylko chrząknął.

- Sam i Pikę byli z tobą?

- Tak, ale obaj są po naszej stronie. Sam wbił sobie do głowy, że sąsiad zamierza powybić nam rozplodowe merynosy, i nie myślał o niczym innym jak tylko o tym, żeby dać mu lekcję. Pیکę jest w porządku. Za długo pracuje, żeby wtykać nos w nasze sprawy.

- Dopilnuj, żeby o tym pamiętał.

- Mam zamiar postawić chłopcom parę piw. Robota aż paliła się nam w rękach, a dzień był wyjątkowo gorący.

Kilka godzin później J. B. sprawdzał pracę cieśli budujących nowe ogrodzenia dla owiec, potrzebne w czasie strzyży. To właśnie jeden z cieśli zwrócił jego uwagę na osiodłanego konia ciągnącego za sobą wodze, idącego sobie stępą przez równinę. Stary wspiął się na ogrodzenie dla lepszego widoku.

- Co on tam u diabła robi? - warknął do przechodzącego pastucha. -

Przyprowadź go.

Polecenie zostało spełnione natychmiast. J. B. ze zdziwieniem przyjrzał się wierzchowcowi.

- Spokojnie, spokojnie - przemawiał do niego szukając ran i skaleczeń. -

Wszystko w porządku. Dobry koń, potrafił sam trafić do domu. Dobry koń. - Zdjął siodło i uzdę, rzucił je na ziemię, nadal uspokajając zwierzę, po czym zwrócił się do pastucha. - Kto dziś na nim jeździł?

- Nie wiem.

- Więc dowiedz się, do diabła! Jeździec może leżeć gdzieś tam ranny.  
Mógł spaść.

Wkrótce rozeszło się, że koń Fechnera wrócił sam. J. B natychmiast zorientował się, że coś tu jest nie tak. Poszukał Sama.

- Jak to się stało, że kuc tego Niemca jest na ranczu, a Niemca nie ma? Sam nie musiał się długo zastanawiać; od razu domyślił się, że Keith nie powiedział ojcu o starciu z pastuchem. Przestraszył się także tego, że stary może nic nie wiedzieć o pożarze. Ostatnie czego by chciał, to wplątać się w awanturę między ojcem a synem. Zsunął kapelusz z czoła i drapał się po głowie, szukając bezpiecznej odpowiedzi. J. B. nie dał się oszukać.

236

- Był z wami tam, na granicy?

- Kto, Fechner?

- Nie, człowiek z Księżyca! Któż by inny? Był z wami czy nie?

- Był. Pomagał w podpaleniu.

- Pomagał spalić ziemię należącą do jego kumpla? Jeśli łziesz, Sam, wylecisz z roboty tak szybko, aż się za tobą zakurzy.

- Słuchaj... - Pastuch odetchnął głęboko. - Na początku nie wiedział, o co chodzi. Wszystko było jak trzeba, ale niestety w końcu się kapnął. Wtedy powiedział coś Keithowi, doszło do małej bójki i Keith wywalił go z roboty.

- Cudownie! Po prostu cudownie! A wiesz może, gdzie jest teraz? Co się stało, że jego koń łązi sobie swobodnie, gdzie chce?

- Nie wiem, gdzie jest teraz, ale na końcu Keith wrzeszczał głośno, że koń jest własnością Clonmel. Może on sam wysłał go do domu, póki był blisko rancza? Żeby nie wracać.

- A może przyłączył się do wędrownego cyrku, wy cholerni idioci! -  
wrzasnął stary Dixon i wściekły odszedł.

Syna znalazł na werandzie przed jego pokojem, spokojnie drzemiącego w  
płóciennym krześle. Obudził go, wykopując mu to krzesło spod zadka.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknął rozeźlony Keith, podnosząc się z ziemi. -  
To wcale nie było śmieszne.

J. B. złapał go garścią za koszulę przy szyi i przyciągnął do siebie bez  
wysiłku.

- Nie ma nic śmiesznego w braniu Niemca na robotę polegającą na  
paleniu ziemi innego Niemca - warknął. - Czyś ty do reszty zgłupiał,  
durniu?!

Keith wyrwał się z jego uścisku.

- Po prostu jechał z nami, z Samem i Pikiem. Na jego miejscu mógł być  
każdy z naszych ludzi.

- Ale nie był! Akurat przypadkiem zdarzył się wam Fechner! A skoro już o  
tym mówimy, skąd masz tego siniaka na pysku?

- Zaatakował mnie podstępnie, kiedy nie patrzyłem. Pobiliśmy się i  
wywaliłem głupka. A co według ciebie miałem zrobić?

- Z pewnością nie miałeś pakować nas w szambo po szyję!

- To ty wymyśliłeś, żeby spalić Meissnera!

237

- Ale nie na oczach wrogiego świadka! Gdzie jest teraz Fechner?

- Skąd mam wiedzieć?

- Przybiegł jego koń. Bez jeźdźca.

- Świetnie. Kazałem mu go zwrócić.

- Świetnie? A więc obaj z tym głupkiem Samem myślicie, że Fechner

przyjął utratę pracy jak mężczyzna i jeszcze zwrócił konia?

- Przecież na to wygląda.

- A nie przyszło ci do głowy, że chce ostrzec Meissnera?

- To możliwe.

- Jasne. Jedzie ostrzec przyjaciela, zwraca konia i zostawia nam żonę. W głowie ci się pomieszało! Wszystko musisz spartolić! A teraz słuchaj mnie bardzo uważnie. Jeśli Fechner wróci, jeśli nie skręcił w upadku tego swojego przekłętą karku, nie rozmawiaj z nim! Ja wszystko załatwię.

- A jeśli jednak skręcił? - spytał cicho Keith. J. B. milczał przez chwilę, a potem powiedział:

- Weź Sama i Pike'a. Szukajcie go.

- Teraz? Przecież już późno. Pora na kolację!

- Na ranczu pojawił się koń bez jeźdźca. Wszyscy o tym wiedzą. Musimy zareagować. Jedźcie go szukać na wschód, ale nie wkraczajcie na ziemię Meissnera, nawet jeśli jest ze szczętem spalona. Wyślę inną grupę mniej więcej w tym kierunku, ale nie aż tak daleko i bardziej na północ.

- A jeśli go znajdziemy?

- To przyjedźcie z nim wprost tutaj. I nie tknij go ani paluszką.

Elsie przyszła do kuchni, gdy kucharka zaczęła nalewać zupę.

- Pan Dixon prosił, żebym zamieniła z tobą kilka słów, Hanni. Zdaje się, że nastąpił niefortunny wypadek. Oczywiście nie ma się czym denerwować, takie rzeczy zdarzają się tu dość często...

- Co się stało? - przerwała jej kucharka.

- Koń Lucasa wrócił bez jeźdźca.

- To znaczy, że go zrzucił?

- Być może. A być może nie. Lucas mógł zsiąść, koń mógł się spłoszyć

albo po prostu odejść, jeśli tak można powiedzieć.

- To gdzie jest Lucas? - spytała Hanni.

238

- Prawdopodobnie wraca piechotą do domu - odparła Elsie. - Pewnie odjechał daleko i mocno się spóźni.

- Wysłali kogoś na poszukiwania? - zainteresowała się natychmiast kucharka.

- Oczywiście. Dwie grupy, na polecenie pana Dixona. Znajdą go, nie martw się, Hanni.

Dziwne, ale Hanni wcale się przesadnie nie martwiła, a w każdym razie nie aż tak jak poprzednio. Pomyślała, że Lucas pewnie znów się zgubił, tylko tym razem bez konia, ale ranczo zna o wiele lepiej i w końcu sam się znajdzie. Miała tylko nadzieję, że niedługo. Nie chciała sypiać sama w ich pokoju. Już nie.

- Nic mu nie będzie - pocieszyła ją kucharka. - Ale kiedy wróci, kuchnia dla mężczyzn będzie już pewnie zamknięta, więc przygotuję ci dla niego talerz zapiekanki. Zabierz go do pokoju, niech nie kładzie się spać głodny.

- Dziękuję.

Potem Elsie przypomniała sobie, że pan Keith bierze udział w poszukiwaniach, i przekazała tę informację kucharce.

- Przy kolacji będzie nas tylko troje - oznajmiła. - Daj mi tacę, Hanni, zaniosę zupę.

Hanni wykonała polecenie. Zadrżała. Przeraziła ją myśl, że pan Keith poszukuje Lucasa. Czyżby chciał mu pomóc?

- Nie sądzę - szepnęła do siebie. - Och, Lucasie, bądź ostrożny,

Rankiem wszyscy mówili o groźnym pożarze traw na wschodniej granicy

Clonmel i o tym, że zaledwie liznął on ziemię rancza. Nadal nie było żadnych informacji o Lucasie. J. B. wysłał dwie kolejne grupy poszukiwawcze. Jednej z nich nakazał wjechać głębiej na ziemię Meissnera, sprawdzić zakres zniszczeń, jeśli do jakichś doszło, i spytać właściciela, czy nie wie czegoś o Fechnerze.

- A skoro już tam jedziecie - dodał na zakończenie - dowiedzcie się, czy nie potrzebuje pomocy. To cudzoziemiec, ale i sąsiad. A sąsiadowi pomaga się w potrzebie.

- Dobrze powiedziane, J. B. - usłyszał w odpowiedzi. Członkowie grupy poruszali się powoli, wypatrując idącego pieszo człowieka. Wreszcie dotarli do granicy Clonmel i przed sobą zobaczyli piekło. Przyglądali mu się, potrząsając głowami.

239

- Pożar traw, akurat - odezwał się jeden z pastuchów. - Ja bym to nazwał normalnym wielkim pożarem buszu!

Wjechali w dymiące resztki czegoś, co jeszcze niedawno było wspaniałym lasem. Od czasu do czasu zsiadali z koni, rozgarniając popioły i zdeptując tłące się szczątki w obawie, że wiatr rozniesie iskry, grożąc nową pożogą.

Na twarzach mieli chusty, choć trochę chroniące przed smrodem starego dymu, popiołu, a zwłaszcza przed najsilniejszym i najgroźniejszym odorem śmierci, wobec ognia bowiem aż nazbyt wiele miejscowych ssaków i gadów było po prostu bezradnych. Po drodze mijali poczerniałe pnie drzew z suchymi trupami koali wiszącymi na kikutach gałęzi.

Wypełniali bardzo smutne zadanie. Zapomnieli o Lucasie, przekroczyli wąwóz blisko miejsca, gdzie leżał, pojechali dalej, w stronę rzeki, gdzie płomienie zapewne się wypaliły. Po drodze dotarli do spalonej chaty. I

przerazili się.

Przeszukali okolicę, nie znajdując ciał, co było dla nich pewną ulgą. Przez długą chwilę przyglądali się kawałkowi przygotowanej do uprawy ziemi, zadając sobie pytania o los mieszkających tu ludzi, nie napotkali jednak ani śladu jakiegokolwiek życia i w końcu pojechali dalej. Dopiero po piętnastu minutach ktoś zorientował się, że są na ziemi Irlandczyka.

- To dobrze, że szef zebrał stąd drewno na czas - powiedział któryś. -  
Quinlanowi do niczego się już nie przyda.

- Kto to Quinlan? - spytał jeden z pastuchów.

- Świnia. Zastrzelił Duke'a, naszego najlepszego rozplodowego merynosa.

- Jezu! No to wie, że dostał za swoje.

- Dopiero się dowie. Siedzi w pace. Lepiej się stąd wynośmy. Pojedziemy wzdłuż rzeki za pogorzelsko, a potem zawrócimy w głąb lądu i rozjedziemy się szeroko. Musimy szukać dalej. Za cholere nie wiem, gdzie podział się ten Lucas.

- Pewnie zdążył już wrócić do domu.

- Jasne! A my jeździmy w kółko, jakbyśmy nie mieli nic lepszego do roboty.

- Słyszałem, że on i Keith pokłócili się i że chodziło o żonę Lucasa.

- I może jeszcze chcesz wspomnieć o tym staremu J. B., żeby ci obił pysk!

240

Wszyscy byli dla niej bardzo mili: kucharka, Elsie, nawet pani Dixon. Nie pozwolili jej pracować. Pozwolili jej siedzieć na słońcu ze stosem magazynów, herbatą i ciasteczkami. A jednak Hanni się bała. Teraz już naprawdę się bała.

- Lucasowi przydarzyło się coś złego. Ja o tym wiem - powiedziała

kucharce, która uciszyła ją natychmiast i zaczęła opowiadać o tym, jak wielkie jest ranczo.

- To dlatego mężczyźni nie ma tu całymi dniami, choć jeżdżą na szybkich koniach, kochanie. Na piechotę strasznie trudno dotrzeć z miejsca na miejsce.

- Na piechotę i bez jedzenia.

- Ależ skąd! Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz. Jeśli nam nie wierzysz, spytaj Lullę. Ludzie, spośród których się wywodzi, Aborygeni, nigdy nie mieli owiec, nie zakładali ogródków warzywnych, a jednak żyli. Zaraz ją przyślę, żeby z tobą porozmawiała.

Lulla, pomywaczka, przyszła do Hanni przynosząc prezent: torbę uplecioną z trzciny. Wysłuchiwała jej obaw, opowieści o strachu o Lucasa, nie przerwała ani słowem, aż wreszcie podniosła na nią czarne oczy pełne szczerego smutku.

- Strasznie boi się przeklętego szefa, pani - powiedziała poważnie, nie spuszczać wzroku z Hanni.

- Ja? - spytała zaskoczona. - Jakiego szefa? O czym mówisz?

- Pana Keitha. Przestraszył, pani?

- Nie wiem, o czym mówisz, Lullo. To głupie.

- Głupie widzę, jak drżysz, kiedy ktoś powie imię. Boi się strasznie, tak. Zrobił tobie to?

- Co?

Lulla, najwyżej siedemnastoletnia, nagle wydała się Hanni stara jak Matuzalem. Miała ciemną pomarszczoną twarz, a w czarnych źrenicach odbijała się mądrość, która w białej kobiecie wzbudzała jednocześnie żal i zazdrość... Lecz biała kobieta nie potrafiła przyznać, że została

upokorzona i strasznie poniżona. Nikomu, a już zwłaszcza nie czarnej kobiecie.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - rzekła zdławionym głosem.

Lulla ujęła jej rękę.

- Nie powiesz mężowi nigdy, dziewczyna? - na pół stwierdziła, na pół spytała współczująco. - Oczywiście nie. Co on

241

powie? Co on powie? Brzydka dziewczynka, tak! Komu powie? Szef na niego pluć. Wylany, kto on? Nikt.

- Lullo, proszę - jęknęła Hanni. - Czy ja mam za mało zmartwień? Lucas zaginął. Zgubił się gdzieś w tym wielkim strasznym kraju. Może spadł z konia? Może jest ranny?

Aborygenka nie kontynuowała tematu, Hanni zaś właśnie dowiedziała się, że była zaledwie jedną z ofiar Keitha. Miejscowe dziewczyny były wobec niego równie bezradne jak ona, jak ona skuszone jego fałszywym czarem. Groźnym czarem.

Wieczorem nadal niczego o Lucasie nie wiadano, ale Lulla pojawiła się znowu.

- Panienska chcieć, żebyś dziś spała w jej pokoju? Hanni miała zamiar ją odesłać, lecz wiedziała przecież, że

oparcie krzesła pod klamką nie zabezpieczy jej przed mężczyzną, który zechce wejść do środka.

- A zechcesz? Bardzo proszę - powiedziała. I rozpłakała się.

Próbowała przestać, ale nie mogła. Płakała ze strachu. Z paniki. Ze straszego żalu. Nie bała się już Keitha Dixona, nie, płakała ze strachu o kochanego Lucasa. Co się z nim stało? Co oni mu zrobili? O wszystko

winiła siebie. Była pewna, że Keith Dixon pozbył się jej męża we własnym interesie.

Tej nocy czekając na wieści o nim, rozmawiała z Aborygenką.

Dowiedziała się, że rzeczywiście młody Dixon traktował czarne dziewczęta jak łowną zwierzynę i że tubylcy domyślili się, iż na nią też zapoluje.

- Tak jak na ostatnią białą dziewczynę - mówiła Lulla - ale ona bez męża.

Nie mów, że nie zrobił tobie to.

Hanni długo trawiła tę informację zdumiona odkryciem, że gwałt nie miał nic wspólnego z jej wyglądem, z urodą. Dla Keitha była zaledwie jedną kobietą więcej: młodą i mniej lub bardziej przystępną. Doprowadzało ją to do wściekłości... I pogłębiało upokorzenie.

Nie miała zamiaru przyświadczać, że „zrobił jej to”, żeby użyć określenia Lulli. Nigdy nie przyzna się przed nikim na całym Bożym świecie, że została tak strasznie skrzywdzona. Przestała zaprzeczać i dziewczyna nie miała już żadnych wątpliwości.

- Wiedzą o nim tam, w wielkim domu - powiedziała.

- O mnie? - Hanni omal nie krzyknęła ze strachu.

242

- Nie. O nim i innych dziewczętach. Niektóre noce przychodzi do naszego obozu. Bierze jakąś. Płaci mężczyznom. My bez rady. Stary szef, jego nie obchodzi. Pani Dixon, ją obchodzi. Wrzeszczy, krzyczy. Ja myślę jej powiedzieć, nie pozwoli mu cię dotknąć więcej.

- Mój mąż się dowie. Nigdy! Ty też nic nie mów, błagam. Wyniesiemy się stąd, gdy tylko wróci Lucas.

Późną nocą rozległo się pukanie do drzwi. Obudziły się natychmiast.

Aborygenka leżąca w nogach podwójnego łóżka zareagowała pierwsza.

- Kto tam? - krzyknęła tak głośno, że mogłaby obudzić umarłego.

Nikt nie odpowiedział i tej nocy nic już nie zakłóciło im snu.

Nadszedł ranek, a wieści o Lucasie nadal nie było. Hanni denerwowała się tak strasznie, że nie rozmawiała z nikim prócz Lulli, więc Elsie nakazała dziewczynie troszczyć się o nią, póki sytuacja jakoś się nie wyjaśni.

Grupa poszukiwawcza zgłosiła się do starego Dixona natychmiast po przyjeździe na rancho. Wysłuchał, co ludzie mają do powiedzenia, odesłał ich bez komentarza i poszedł do gabinetu, by dokładnie sobie wszystko przemyśleć. Nie obchodziło go, że spalił dom Meissnerów, powtarzał sobie, że była to „zaledwie chata z bali”.

- Pozostałość po chałupie naszego pasterza. Nic niewarta - powiedział do siebie.

Tylko chciałby wiedzieć, dokąd dotarł Fechner. Wydawało się oczywiste, że Meissnerowie uciekli i znaleźli gdzieś schronienie, ale czy był z nimi Fechner? Pozostawił żonę, nie wspominając już o zaległej wypłacie, powinien więc wrócić. Nie wrócił. Jeśli miał wypadek, coś mu się stało, zaczną się prawdziwe, poważne kłopoty, a wszystko przez to, że jego głupi syn nie zauważył trzeciego pastucha. Zdaje się, że trzeba będzie wysłać kolejną grupę poszukiwawczą, pomyślał. Choćby na pokaz. A że ostatnia przeczesła ziemię Meissnera, ta dostanie zadanie przeczesania całego pasa od granicy z Meissnerami po dom. Zawsze istnieje przecież szansa, że Niemiec dopuścił do ucieczki konia i teraz łązi gdzieś tam w kółko, bo znowu się zgubił.

J. B. stał przy oknie pogrążony w myślach, stukając palcami o parapet, przyglądając się dzikim kaczkom spokojnie pływającym

po zakolu rzeki. Zawsze uważał ten widok za przyjemnie kojący, zwłaszcza odkąd posadził po lewej stronie rząd wierzb prowadzących spojrzenie w głąb jego rancza, tym razem wszakże nie czerpał z niego ukojenia. Jeśli wkrótce nie znajdą Fechnera, nie pozostanie mu nic innego, jak tylko zgłosić jego zaginięcie. I to komu! Policji! Jego ludzie tego właśnie będą się po nim spodziewali.

Tego wieczora znów odbył rozmowę z synem.

- Jutro miną trzy dni! - powiedział wściekły. - Fechnera nie ma od trzech dni! Nie zdołam przeciągnąć sprawy dłużej niż dzień, najwyżej półtora.

Wieść się rozniesie choćby przez pastuchów kontaktujących się przecież z ludźmi z innych rancz. Więc słuchaj: jutro pojedziesz sam. Masz go znaleźć, żywego albo martwego, to obojętne. Być może jest z Meissnerami, ranny, i dlatego jeszcze nie wrócił. Ale w takim wypadku pewnie wysłano by wiadomość żonie. Jedź, szukaj, pytaj, znajdź sukinsyna.

J. B. westchnął. Przynajmniej robiło się coraz cieplej, i to szybko, jakby w tej części kraju natura nie przejmowała się wiosną. Strzyża zapowiadała się świetnie. Pomyślał, że do końca życia będzie wdzięczny ojcu, który pierwszy zajął ziemię przy rzece Burnett, wystarczająco daleko na północ, by uniknąć ciężkich zim, wystarczająco daleko na południe, by nie dokuczał tropikalny żar. Teraz jednak ten doskonały klimat wydawał się głosić kres wielkim ranczom owiec i bydła, bo przyciągał osadników do portu w Bundabergu.

- Cholerni osadnicy! - prychnął głośno. - Gorszi niż szarańcza.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Rolf i Rosie budowali ogrodzenie naokoło domu. Coś w rodzaju płotu, ale nie dysponowali przyzwoitym, odpowiednio przyciętym drewnem na sztachety, używali więc palików, solidnych, sięgających piersi, które wiązali rzemieniami. Thomas siedział obok i wyśmiewał ich wysiłki. Uważał ten płot za najgorszy, jaki widział w życiu. Nędzny, rzadki, chwiejny. I nierówny. Nie powstrzymałby kociaka. Rolf i Rosie nie przejmowali się nim. Pracowali systematycznie, nieprzerwanie. Ich płot nie miał powstrzymywać kociaków, lecz dodać godności chacie. Niech wygląda, jakby ktoś w niej mieszkał, jakby ktoś o nią dbał, a nie jak ruina na zboczu nagiego wzgórza, królująca nad wyrębem i wielkimi pniami, smutnymi pozostałościami majestatycznego lasu.

Rosie rozumiała, że tak musi być. Ich ziemia i gospodarstwo wyglądały obrzydliwie, ale kiedyś znów zagości tu zieleń, pokryje cmentarzysko, choć po wielkich drzewach pozostało tylko wspomnienie. Wiedziała także, że gdy tylko Rolf znajdzie trochę wolnego czasu, natychmiast zabierze się do strasznej pracy wypalania lub karczowania pni i wreszcie nie będą patrzeć na nią, jakby to ona była sprawcą ich nieszczęść. Nie ośmieliła się o tym wspomnieć, ale ich towarzystwo napawało ją smutkiem.

- Pewnego dnia - powiedział jej Rolf - nasza ziemia będzie sporo warta, bo przecież leży naprzeciw miasta.

- Jeśli miasto przetrwa - wtrącił Thomas. - Po odejściu drwali niewiele zostanie. Osiedleńcy bez nadziei, owszem, ale oni pewnie będą przenosić się z miejsca na miejsce.

- Przetrwa - rzekł stanowczo Rolf wysuwając dolną szczękę, jak zawsze kiedy chciał mieć rację.

Pracowali nad płotem, gdy nagle Rosie pociągnęła nosem. Zmarszczyła brwi.

- Czuję ogień - oznajmiła.

- Ktoś wypala ziemię - powiedział Thomas. - Słyszałem, jak Les Jolly mówił, że szczególnie teraz trzeba być z tym ostrożnym. Że jest za sucho. Mówił nawet, że nie powinniście wypalać pni, chyba że będziecie ich ciągle pilnowali.

- Robota w sam raz dla ciebie - prychnął Rolf. - Lepiej wykop kolejną dziurę, o tam, bo inaczej Rosie cię wybatoży.

- Dobrze już, dobrze. - Thomas podniósł z ziemi łopatę. Nagle zamarł, uniósł głowę. Szukał śladu dymu na niebie.

- Jest tam! - krzyknął.

- A owszem - przytaknął Rolf. - Po drugiej stronie rzeki, jak mi się zdaje. Zapomnieli o płocie. Przez dobre dziesięć minut przedzierali się przez busz, aż dotarli nad brzeg rzeki. Stamtąd widzieli pożar w całej jego przerażającej postaci: nad wierzchołkami drzew tańczyły płomienie, wiatr miotał popiołem na wszystkie strony.

- Straszny widok. - Rosie drżała. Jakże wdzięczna była losowi za to, że od pożaru dzieliła ich rzeka.

Za to Rolf się bał.

- Zdaje się, że to gdzieś blisko ziemi Jakoba. Podejźmy kawałek, będziemy lepiej widzieć.

- Gdzie tam - zaprotestował Thomas. - Jego farma leży znacznie bliżej.

- O Boże, mam nadzieję, że się nie mylisz - westchnęła Rosie. - Bo mnie się wydaje, że niemal naprzeciw przystani.

Na brzegu zbierali się ludzie zaciekawieni pożarem. Niemal wszyscy

kierowali się na przystań. Rolf zaczął biec. Płonęła farma Jakoba, tego był już więcej niż pewny, a najprawdopodobniej także ziemia po jej obu stronach.

Dym utrudniał dostrzeżenie i zrozumienie tego, co dokładnie działo się po drugiej stronie rzeki, zauważył jednak kilka osób wybiegających z buszu, a wśród nich Fredeę. Przeżegnał się z ulgą. Potem pojawił się jakiś mężczyzna ciągnący na sznurku krowę. Przywiązał ją do na pół zatopionego pnia i zaczął zapędzać ludzi do wody, gdzie nie groziło im niebezpieczeństwo. Rolf był prawie pewien, że jest wśród nich Karl, ale nigdzie nie widział Jakoba.

246

- Gdzie łódź?! - krzyknął do stojących obok zrozpaczonych ludzi, cierpiących, bo nie mogli pomóc sąsiadom w chwili największego zagrożenia.

- Kiedy jest potrzebna, to nigdy jej nie ma - jęknął jakiś mężczyzna. -  
Może zbijemy tratwę?

- I co dalej? - W kobiecym głosie brzmiała irytacja.

- W wodzie są bezpieczni, przynajmniej na razie. Masz zamiar utopić siebie i ich? Lepiej, żebyście wszyscy wy, mężczyźni, uważali na te iskry, co to latają nam nad głowami. Inaczej my też stracimy domy.

Rosie ujęła tę kobietę pod ramię.

- Sądzi pani, że ich dom się spalił, pani Croft?

- Z pewnością, pani Kleinschmidt. Nie mógł przetrwać takiego pożaru. Ale proszę się nie denerwować. Zdaje się, że pani przyjaciele są bezpieczni.

- Chyba jednak nie. Nie widzę Jakoba. Pani Croft zwróciła się do Rolfa.

- Tam dalej jest nowa szopa na łodzie. Mówią, że należy do Charliego Mayhew. Nie wiem, czy zdążył sprawić sobie łódź, ale warto sprawdzić. To niespełna dwa kilometry stąd w górę rzeki, tuż za zakrętem.

Rolf ucałował Rosie.

- Nie masz tu nic do roboty, możesz się tylko zamartwiać

- powiedział cicho. - Wracaj do domu z Thomasem. Ja sprawdzę, czy da się gdzieś dostać łódź. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby przewieźć ich na naszą stronę.

W mieście sporo mówiono o pożarze traw na otaczających je równinach, ale nikt się nim przesadnie nie przejął. Nie było doniesień o stratach w bydło i owcach, nie spłonęły plony. Nawet te najmniej ważne. „Po prostu pożar buszu - powtarzali ludzie. - Wszystko przez tę suszę. Powstał samoistnie i wypalił się na brzegu Burnett. Ot i tyle.”

Tak było do chwili, kiedy w mieście pojawił się Walińczyk Liew Edwards. Zsiadł z konia i zaczął opowiadać wszystkim, jak to ogień pochłonął połowę posiadłości sąsiada.

- Przeszedł przez ziemię Mike'a Quinlana. Mówię wam, stałem na granicy mojej działki z kilkoma wiadrami do obrony przed potworem, kiedy zmienił się wiatr, spędził go nad rzekę i to był koniec. Mówię wam, ludzie, padłem na kolana i zanosłem

247

modły do niebios z podziękowaniem za to, że mnie ocalił. Że ocalił moje zbiory kukurydzy, całe akry kukurydzy, w życiu tyle jej nie miałem, po prostu чудо. Nie chcę nigdy więcej tak się bać.

Jules Stenning zaniósł historię do domu, do swojej żony.

- Tak myślałam - westchnęła. - Przeczucie mi mówiło, że w końcu

będziemy mieli pożar buszu.

- Pewnie zaczęło się od traw, nic dziwnego przy tej suszy. Potem zapalił się busz i ogień na śmierć wystraszył biednego Edwardsa. Na szczęście jego kukurydza ocalała.

- Clonmel ucierpiało?

- Dzięki Bogu nie. Zdaje się, że spalili się Quinlan i Meissner. Wiesz, że ten cholerny Niemiec miał czelność przyjść wczoraj do mojego biura, choć było zamknięte? I zrobić awanturę?

- O co?

- Plótł o J. B. Dixonie, że jest niesprawiedliwy czy coś. Ja mu lepiej nagadałem.

Rozmowę tę słyszała Nora Stenning. Do wściekłości doprowadziła ją myśl o tym, że jej ojciec jest tak nieczuły. Przez podwórko z tyłu domu dobiegła do stajni, osiodłała konia i pojechała na ziemie znane już pod nazwą Wspólnoty Niemieckiej. Nazwa ta nie była ani pochwalna, ani krytyczna; większość mieszkańców Bundabergu rozumiała i akceptowała konieczność przyjmowania nie tylko Brytyjczyków, lecz także Duńczyków czy Niemców niezbędnych dla rozwoju ekonomicznego okolicy. Ojciec Nory powtarzał często: „Do rozwoju Bundabergu potrzebujemy mięśni.” A imigrantom siły nie brakuje, myślała Nora. Siły i ochoty do ciężkiej pracy. Nawet język nie wydawał się przeszkodą. Ludzie jakoś się ze sobą porozumiewali, jakoś sobie radzili... tak jak ona i Walther. Uśmiechnęła się na tę myśl. Koń kłusował spokojnie Drogą Taylora.

- Straszna szkoda, że Walther jest w dodatku biedny - powiedziała do siebie. Czula potrzebę wyrażenia tej myśli głośno, jakby ćwiczyła rolę, którą pewnego dnia będzie musiała odegrać przed rodzicami. - Ale ja w

niego wierzę. Wiem, że sobie poradzi. A jeśli chodzi o religię...

I w tym momencie zabrakło jej słów. Nie wiedziała, jak przezwyciężyć tę sprzeczność. Jej rodzice należeli do Kościoła anglikańskiego.

248

Nazywali go High Church, Wysokim Kościołem, co Norę bawiło, ponieważ ich drewniany kościółek na Bourbon Street w niczym nie przypominał katedry. Prawdę mówiąc był bardzo podobny do budowanego przez ojca Beitza na działce wspólnoty. Oba wznieśli ci sami cieśle, co zdaniem Nory w pełni tłumaczyło podobieństwa konstrukcji. W myśli pozwalała sobie nawet na kpiny, pytając samą siebie, czy istnieje luterński High Church.

Jedno jest pewne, uznała w duchu, kiedy już zbliżała się do celu, nie potrafią przestać nadstawiać mnie Keithowi Dixonowi. A mnie nie obchodzi, ile ma pieniędzy. Nie wyjdę za łobuza. Chybabym oszalała. Walther nie posiadał się z radości na jej widok. Jak zwykle, co Norze podobało się niesłychanie. Nikt inny tak się nią nie interesował. Nikt inny nigdy nie powtarzał jej aż tak często, że jest piękna, a ona nie spodziewała się komplementów, wiedziała bowiem, że jej uroda jest w najlepszym wypadku przeciętna. Ileż to razy słyszała rozmawiających na ten temat rodziców? Często przyglądała się sobie w lustrze, próbowała samej sobie udowodnić, że nie mają racji. Czasami nawet przekonywała samą siebie, że choć nie grzeszy urodą z tymi swoimi prostymi włosami mysiej barwy, ustami szerszymi, niż przystoi damie, i nie zwracającymi uwagi oczami, nie jest jednak brzydka. Naprawdę nie jest brzydka.

Tyle że pod względem urody nie może konkurować z matką. Jayne Stenning miała wspaniałe czarne włosy, wielkie piwne oczy i skórę białą

jak mleko. Była znaną w całej okolicy pięknnością...

- Jesteś dziś taka schon - powiedział jej na powitanie Walther. - Taka piękna!

Nora westchnęła, rozpluwając się z rozkoszy. Chciała opowiedzieć mu o tym, czego dowiedziała się w mieście, lecz Walther był tak podekscytowany, że dała mu pierwszeństwo i postanowiła zaczekać.

Poprowadził ją ścieżką wiodącą na polanę, którą wykarczowali na brzegu strumienia, opowiadając po drodze, że zaledwie wczoraj przybyli zamówieni cieśle wraz z drewnem, ale pracują tak szybko, że kościół będzie gotów lada chwila.

- Widzisz - wskazał jej budowę.

249

Nora w pełni podzieliła jego zachwyty. Szkielet konstrukcji już stał, kościółek miał być maleńki, nawet mniejszy niż anglikański, ale pod względem planu identyczny.

- Jest cudowny - powiedziała całkiem szczerze, budynek bowiem wznoszono w urokliwym zakątku wśród drzew, przez które promienie słoneczne przenikały delikatnymi pasmami, jakby błogosławiły wysiłkom budowniczych.

Podszedł do nich ojciec Beitz. Nora porwana entuzjazmem jego i Walthera przez chwilę nie pamiętała, po co ich odwiedziła. Ale tylko przez chwilę.

- Ojciec - zaczęła - mam dla was przykrą wiadomość. Proszę mnie wysłuchać. - Złapała pastora za ramię, tylko w ten sposób zdołała go zatrzymać, bo już śpieszył nadzorować pracę cieśli. - Był pożar buszu za rzeką. Bardzo groźny.

- A owszem. Tubylcy nam o nim powiedzieli.

- Ale on spustoszył ziemię Meissnera, ojczyznę.
  - Co? - Ta informacja wstrząsnęła Waltherem. - Jesteś pewna?
  - Tak. Bardzo mi przykro.
  - Ktoś ucierpiał?
  - O ile wiem, nie. W każdym razie nikt o tym nie wspomniał.
  - Jakob Meissner pojechał do Maryborough i jeszcze nie wrócił - wyjaśnił Walther. - Och, litości, czy możemy w czymś pomóc?
  - Pani Meissner i Karl pozostali zdani na własne siły!
  - wykrzyknął pastor. - Nie wiemy, co się z nimi stało. Musimy się dowiedzieć! O Panie, gdzie jest Jakob?
  - Może pojechał wprost do domu - powiedział Walther, ale Beitz potrząsnął głową.
  - Billy by nas zawiadomił. Nie, muszę posłać po Tibbalinga. On już wszystkiego się dla nas dowie.
  - Mam nadzieję, że nic się nikomu nie stało - westchnęła Nora. - Niestety muszę wracać do domu.
  - Dziękuję ci, moje dziecko. - Pastor nieco się uspokoił.
  - Niech cię Bóg błogosławi. Waltherze, odprowadź pannę Stenning.
- Nora uśmiechnęła się; Waltherowi nie trzeba było powtarzać tego dwa razy. Ujął ją pod ramię, poprowadził szarmanckim do traktu; przez chwilę miała nawet wrażenie, że ten jakże nieśmiały mężczyzna

250

ją pocałuje. Spodziewała się tego. Ale Walther zawsze zachowywał się bardzo właściwie, z szacunkiem, pożegnali się więc przyjaznym skinieniem dłoni. Może to i lepiej, pomyślała. Zapewne dla Walthera pocałunek równał się zaręczynom, a chociaż bardzo go lubiła, może nawet

się w nim zakochała, to wcale nie była pewna, że gdyby ich miłość rozkwitła, znalazłaby w sobie dość siły, by sprzeciwić się religijnym przekonaniom rodziców. Oboje byli silnymi indywidualnościami, ludźmi gotowymi w każdej chwili narzucić swoje zdanie. Nora czuła dumę, do tej pory bowiem umiała się im przeciwstawiać, ale żeby uczynić kolejny krok... Nie wiedziała, czy potrafi.

Tym razem Jakob z ulgą podporządkował się Mike'owi. Przynajmniej znów znaleźli się na szlaku, wracali do domu, a poza tym odzyskał dobry humor.

Noc spędzili nad rzeką; Billy złapał rybę i przyrządził im pyszną kolację. Jakob czuł się tak, jakby do niego należał cały wielki świat. Ciągle od nowa powtarzał sobie, że są właścicielami drzew rosnących na ich nadziei. Podjął pierwszą w życiu podróż w interesach... i okazała się sukcesem. Postanowił, że gdy tylko wróci do domu, napisze list do Huberta Hoeppera, opowie w nim o tej sprawie. Przynajmniej miał coś nowego do napisania, coś znacznie ciekawszego niż nudne wieści z farmy. Może nawet wspomni o odwiedzinach w innym dalekim mieście, w Maryborough. Pan Hoepfer mógłby zaznaczyć je na swojej mapie.

- Nadal uważam, że powinniśmy pojechać ładniejszą drogą - powiedział Quinlan. - Jesteś człowiekiem bez duszy, Meissner.

- Może innym razem.

Przez to, że poruszali się okrężną drogą, dotarli do Childers dopiero późnym popołudniem. Okazało się, że samotna gospoda w buszu pęka w szwach.

- Co tu się dzieje? - zdziwił się Quinlan. - W życiu nie widziałem tu więcej niż paru ludzi i może jeszcze psa.

Okazało się, że miejscowi zrobili sobie święto. Jeden z nich właśnie wrócił z kopalni złota w Gympie z podróżną torbą wypełnioną forszą. On też wyszedł im na powitanie, zataczając się lekko. Ciągłe odziany był w brudne dziurawe ubranie, w którym

251

harował w kopalni, jednakże dodał do niego cylinder, a na palcu miał pierścion z diamentem.

- Witajcie! - krzyknął donośnie. - Zapraszam młodych i starych! Stawiam jedzenie i picie! Nie mam szampana, ale whisky jest całkiem, całkiem.

- No i widzisz? - powiedział Mikę do Jakoba. - Złoto. Złoto to recepta na wszystkie kłopoty. Jadę na wzgórze, gdy tylko zabezpieczę ziemię.

Trzeba przyznać, że wszyscy bawili się świetnie. Nad ranem zwalili się pokotem w stajniach dobudowanych z tyłu gospody, to znaczy Jakob i Billy tam spali, bo Mikę znikł szybko w towarzystwie jakiejś damy.

Nazajutrz wyjechali później, niż zamierzali, bo Jakob długo rozmawiał z gospodarzem, który okazał się prawie całkiem trzeźwy. Od eksperta pragnął dowiedzieć się wszystkiego o metodach wydobywania złota, o związanych z nimi zagrożeniach i niebezpieczeństwach oraz oczywiście o rozmiarach możliwego sukcesu. Jakob musiał przyznać sam przed sobą, że była to bardzo interesująca rozmowa.

Wreszcie wyruszyli w drogę. Do Bundabergu dotarli o zachodzie słońca.

Najbardziej ze wszystkiego Jakob chciałby od razu pojechać na farmę, ale grzeczność nakazywała podziękować ojcu Beitzowi za pomoc w znalezieniu przewodnika. Poza tym wypadało przekazać dobrą nowinę przyjaciołom.

Niestety, trafili na coś bliskiego paniki... i bardzo ich to zaskoczyło.

Osiedleńcy Wspólnoty Niemieckiej jak jeden mąż wybiegli im na spotkanie: ojciec Beitz, Walther, bracia Lutze, nawet jacyś obcy. Krzyczeli jeden przez drugiego zupełnie niezrozumiale, tak przynajmniej zdawało się Jakobowi. W każdym razie przez kilka długich chwil nie był w stanie pojąć, o co to całe zamieszanie.

- Pożar buszu? - Głos Mike'a Quinlana na chwilę zagłuszył inne. - Gdzie? Na ziemi Meissnerów? Kiedy, wczoraj? Jakie zniszczenia?! - Spojrzał na Jakoba. - Nie wiedzą. Lepiej sprawdźmy na własne oczy.

Billy zeskoczył z konia.

- Ty chcesz mam go gdzieś umieścić? - spytał Walthera.

- Nie. Pojadę z nimi.

- Oczywiście - przytaknął pastor. - Zrób co tylko w twojej mocy. A my pomodlimy się do miłosiernego Boga.

252

Walther i obcy, który tak niespodziewanie pojawił się w towarzystwie Jakoba i Billy'ego, wymienili uścisk dłoni. Wskoczyli na siodła i pogalopowali szlakiem w ślad za Jakobem, który dał się porwać wszechogarniającej panice. Dopiero w tej chwili Walther przypomniał sobie o depeszy do ojca Beitza, tej z dzisiejszego ranka.

Była to naprawdę dobra nowina. Dziekan Seminarium Świętego Jana informował pastora Beitza, że pastor Friedrich Ritterznaczony na jego wikarego wypłynie na statku „Clovis” z Hamburga do Bundabergu dnia trzeciego listopada, obdarzony błogosławieństwem Bożym, i że ma przy sobie fundusze według zamówienia. List nadejdzie w późniejszym terminie.

- Dlaczego nie zaczęli od wysłania listu? - spytał kwaśno Beitz. - Depesza

to przecież marnowanie pieniędzy.

- Bo list płynie zapewne tym samym statkiem co wikary. Dotarłby do nas równocześnie z pastorem Ritterem. Widać dziekan sądził, że powinniśmy przygotować się na jego przybycie.

- To słuszne. A więc może zjawić się lada chwila. Jak to dobrze, że zaczęliśmy budowę kościoła! Nie zniósłbym, gdyby doniósł dziekanowi, iż nie spełniam obowiązków wobec kongregacji.

- „Lada chwila” to chyba pewna przesada, ojcze. Mówimy o depeszy, a ona wędruje szybko. Statek wyruszył już w rejs, do portu przyplynie zapewne w lutym.

Pastor potrząsnął głową.

- Tak późno? Wiadomości, wiadomości, a w rezultacie mamy tylko zamieszanie. Nie wiem, czym się tak przejmujecie. Kiedy opuściliśmy Niemcy, Waltherze?

- Na początku stycznia, ojcze.

- Dziwne, bardzo dziwne. Jak ten czas leci. Mijają miesiące...

Tak, to prawda, pomyślał Walther. Ale ten staruszek, pastor, młodnieje z każdą minutą, co Jakob zauważył już wcześniej. I nabiera ducha.

Entuzjizm, nowe otoczenie, obecność ukochanych przyjaciół -

Aborygenów, to wszystko zadośćuczyniło początkowym rozczarowaniom.

Jego przyjaciele, sam Walther i bracia Lutze, często rozmawiali między sobą o tym, że ubyłoby mu dobre dziesięć lat. Nie był już

osiemdziesięciolatkiem, lecz zwawym siedemdziesięciolatkiem; mieli

nadzieję, że kiedy sami się zestarzeją, ta ziemia będzie dla nich równie łaskawa.

Ale też kapitan portu, Drewett, podkpiwał sobie z Hansa Lutze chwającego wspaniały klimat i cudowne tak zwane zimowe dni.

- Poczekaj - powiedział mu. - Przyjechaliście z zimnego kraju, więc pewnie nie spodobają się wam nasze lata.

Zbyli go śmiechem. Max często rozmawiał z Drewettem nie wiedzącym, czym może być zima, nie znającym śniegu, by nie wspomnieć już o zamieci, nie pojmującym, że temperatura może choćby zbliżyć się do zera, nie wierzącym, że woda czasami zamarza. Urodzony i wychowany w Brisbane, kapitan portu był jednak synem sędziego karnego, który miał okazję poznać znanego niemieckiego podróżnika Ludwiga Leichhardta, i tak bardzo interesował się życiem ludzi (i bydła) w zimnym klimacie, zadawał tyle pytań, rozmawiali ze sobą tak często, że w końcu zostali bliskimi przyjaciółmi. Max zdobył się nawet na odwagę i pewnej niedzieli zaprosił szefa na obiad.

Drewett nie odmówił. Ten samotny nieżonaty mężczyzna dobrze czuł się w ich towarzystwie. Lecz była jeszcze jedna sprawa. Nie skłaniał się wyraźnie ku żadnej religii, ale lubił słuchać kazań ojca Beitza. Panowało powszechne przekonanie, że Drewett będzie pierwszym białym nawróconym na luterąską wiarę. Z drugiej strony tubylcy z plemienia Tibbalinga ustawiali się w kolejce do przyjęcia do trzódki „oóca Bęc”; Walther odczuł ulgę, gdy masowy chrzest przesunięto w czasie. Miał się odbyć dopiero po ukończeniu kościoła.

- Boże, daj nam nadzieję - modlił się, gdy ruszyli drogą prowadzącą z Bundabergu, mijając gospodarstwa warzywne Chińczyków oraz grupę konnych wjeżdżających do miasta.

Przez cały ten czas, bezwzględnie lojalny wobec kapłana, Walther nie był

dalej niż w miasteczku, nic dziwnego więc, że czuł zmieszana z poczuciem winy radość, galopując na złamanie karku, by nadążyć za Jakobem i jego przyjacielem. Słońce opadało z nieba jak kamień, jakby nie mogło się doczekać zejścia za horyzont. Jakby czekało je tam coś znacznie ciekawszego niż tu.

Czasami Walther próbował sobie wyobrazić, co dojrzy to samo słońce po drugiej stronie, budząc jego krajanów, wstając nad wioskami tam, w domu. W ojczyźnie.

Końskie kopyta uderzały w twardą ziemię z tętentem. Walther tracił pogodę ducha. Rosnące po obu stronach drogi drzewa

254

przemykały obok niego w szalonym tempie, ale widział tylko jedno: drzewo - upiora z przeszłości.

Swego czasu Walther wiedział, jak się zabawić. Od najwcześniejszej młodości, gdy tylko naszała go ochota, pił i uganiał się za dziewczętami.

Umiał ciężko pracować, to przyznawali wszyscy, ale po zachodzie słońca szalał nie myśląc o przyszłości. Ojciec wielokrotnie próbował z nim porozmawiać, zapewne o jego zachowaniu, i za każdym razem Walther go odtrącał.

- Nie martw się o mnie, ojczy - mówił. - Nie zawiodę cię. Wiem, że po piwie potrafię zachować się głupio. I wiem, że za często się upijam. Tylko mnie nie pouczaj, dobrze? Jesteś gorszy od matki.

Nawet dziś, po tylu latach, nadal słyszał głos ojca powtarzającego, że chce z nim pogadać, ale nie teraz, nie „przy tych wszystkich twoich przyjaciółach”.

- Musimy... muszę z tobą porozmawiać, Waltherze. Jesteś już dorosłym

mężczyzną, skończyłeś dziewiętnaście lat. Nie mam się do kogo zwrócić. Muszę...

I czegoż powinien oczekiwać? Walther przez lata zadawał sobie to pytanie, raz za razem. Raz za razem. Jak zawsze wspomnienie to sprawiło, że zaszlochał. Popędził konia. Nie może przecież zabłądzić tu, na pustej ciemnej drodze.

Myślał, że ojciec przesadnie przejmuje się jego nagannym zachowaniem. Całkiem normalnymi awanturami wszczynanymi przez młodych ludzi popełniających błędy rodziców. Niepokoje ojca uważał za bezsensowne. Ani razu nie wysłuchał biedaka. Jak każde samolubne dziecko wierzył, że rodzice nie mają problemów. Że jedynym powodem, dla którego ojciec prosił go o rozmowę w cztery oczy, była chęć skłonienia go do lepszego zachowania, dawania przykładu ludziom, którzy dla nich pracowali. Jakże się mylił! Kiedy ojciec go potrzebował, nie było go przy jego boku. Nigdy sobie tego nie wybaczy.

Robotnicy idący do pracy na ranną zmianę znaleźli ciało Walta Badke. Powiesił się na wysokim drzewie rosnącym przy szopie.

Dla Walthera był to wstrząs nie do opisania. Tego nie potrafił zaakceptować. Nie potrafił przyjąć do wiadomości, że jego ojciec odebrał sobie życie. Mówił o morderstwie do każdego, kto chciał go słuchać, aż wreszcie pastor przemówił mu do rozumu, przyjaźnie, acz stanowczo.

255

Nikt nie potrafił wyjaśnić mu przyczyn tej tragedii. Nikt. Zawstydzające, głęboko raniące było przypuszczenie, że ojciec porzucił ich bez żadnego oczywistego powodu. Browar, Najlepsze Piwa Badke, prosperował ciesząc się dobrą sławą, rodzina mieszkała w pięknym domu, nie uskarżała się na

brak przyjaciół. Więc... co się stało?

Rodzina i przyjaciele zebrali się wokół pograżonych w żałobie. I wówczas podniesione głosy zakłóciły uroczystą atmosferę. Walther ciągle nie wiedział, o co chodzi. Matka i ciotka kłóciły się w kuchni. Musiał interweniować, dziadek Badke bowiem nie chciał zamienić nawet słowa z jego matką, udając, że nie istnieje, choć był gościem w jej domu.

Prawda wreszcie do niego dotarła, choć powoli, stopniowo. Żałosna, nędzna prawda: matka miała kochanka.

- I to jest powód, żeby się zabić? - spytał kapłana zdumiony. - Nie mógł wyrzucić jej z domu? Albo zabić jej kochanka, usunąć go z drogi?

- Mam wrażenie, że twój ojciec nie był człowiekiem gwałtownym, przynajmniej pod tym względem. Błądzić jest rzeczą ludzką. Nie wolno ci osądzać matki, Waltherze.

A jednak osądził ją. Tego dnia gdy po zadaniu wielu pytań dowiedział się wreszcie, kto był jej kochankiem. Stryj. Rodzony brat ojca. Ojciec stryjecznych braci, jego najlepszych przyjaciół. Mąż kobiety, która opiekowała się jego matką podczas poważnej różyczki.

Zdradzili ich wszystkich. Matka też go zdradziła. Walther był zrozpaczony, tym bardziej że doskonale zdawał sobie sprawę z jednego: jeśli zapragnie się mścić, będzie ranił już zranionych przyjaciół.

Odczytano testament. Walt Badke pozostawił wszystkie swe ziemskie dobra Waltherowi jako jedynemu żyjącemu potomkowi. W żaden sposób nie zabezpieczył żony. Walther poszedł jego śladem. Sprzedał browar i mimo rozpaczliwych błagań matki zamierzał także sprzedać dom, kiedy w jego progach znów stanął pastor.

- Nie możesz tego zrobić - powiedział bez wstępów. - Nie możesz

wyrzucić matki na ulicę. Pozostanie bez środków do życia.

- Niech ją stryj utrzymuje. To wszystko przecież przez niego.

256

Odbyli wspólnie kilka długich spacerów i duchowny skłonił go wreszcie do kapitulacji. A może byłem tym po prostu zmęczony? pomyślał Walther. Właśnie zjeżdżali z głównego traktu.

- Hej, uważaj! - krzyknął przez ramię Quinlan. - To trudna droga.

Niewielu nią jeździ.

Skinął głową. Czuł zastarzały zapach dymu, nie widział jednak śladu pożaru.

- Jak daleko? - spytał.

- Zdaniem Jakoba jakieś półtora kilometra. Do jego pierwszej działki.

„Jego pierwszej działki”. Waltherowi coś to przypomniało. Na północ od wioski na łagodnym zboczu znajdowało się wręcz idealne pastwisko.

Ojciec zawsze chciał je kupić.

- Pewnego dnia - powiedział synowi - zaoszczędzę tyle, żeby kupić tę ziemię. Wybudujemy na niej piękny dom. Miejmy nadzieję, że nikt inny nie wpadnie na ten pomysł.

Walther miał pieniądze ze sprzedaży browaru. Sporo pieniędzy. Kupił tę ziemię, zainwestował to, co mu zostało, zapakował kilka osobistych drobiazgów do plecaka i odszedł bez rozgłosu, pożegnawszy się zaledwie z kilkoma najbliższymi przyjaciółmi. Potem włóczył się po kraju, od czasu do czasu pracował jako parobek, aż wreszcie znalazł się na farmie w pobliżu Hamburga. Tam dowiedział się, że jest grupa ludzi gotowych wyemigrować, i zetknął się z pastorem Beitzem.

Sam pomysł szalenie mu się spodobał. Jako wierny luteranin uznał, że nie

mógł sobie znaleźć lepszego towarzystwa. Swój los powierzył kapłanowi i jego komitetowi, podkreślając tylko z naciskiem, że sam opłaci swój przejazd.

A teraz martwił się o Jakoba. W świetle księżyca dostrzegli wreszcie spaloną ziemię i był to widok przerażający. Przed nimi w niebo wznosiły się kikuty drzew, martwe, zimne, nieruchome.

Jakob krzyknął głośno, rozpaczliwie.

- Spokojnie! - zawołał Walther. - To nie musi być twoja ziemia.

Quinlan tylko potrząsnął głową.

- A ja mam wrażenie, że to jest właśnie jego ziemia. I że pożar zaczął się o tam, dalej.

Pędzili w milczeniu wąską ścieżką przecinającą coraz gęstsza ciemność. Waltherowi przypominało to jazdę przez cmentarz, tak nieruchome było to, co ocalało z pożogi i nadal wznosiło się

257

ponad poczerniałą ziemią. Było to doświadczenie niesamowite i straszne; cieszył się, że jedzie za Jakobem i Quinlanem, ponieważ nie ośmieliliby się mówić o swych obawach, o strachu o Fredę i Karla, którzy pozostali samotni.

Słyszał, że Jakob i Mikę rozmawiają. Mówili cicho, ale ich głosy niosły się daleko w nieruchomym nocnym powietrzu.

- To jest twój pierwszy nadział - powiedział Irlandczyk.

- Tak.

- Wziąłeś dwa?

- Jeden dla syna.

- Mądrze. Jeśli martwisz się o żonę i chłopaka, to możesz przestać.

Mówiłeś przecież, że z twojego domu widać rzekę, a chyba wiesz, że woda się nie pali. Jest też taka możliwość, że pożar sam się wypalił, nim dotarł do twojego drugiego nadziału. I mojego, jeśli już przy tym jesteśmy. Potem przez jakiś czas słychać było tylko głos Quinlana dodającego Jakobowi ducha.

Dotarli wreszcie do rozjazdu: jeden ze szlaków odchodził w lewo. Mikę ściągnął wodze, koń zatrzymał się posłusznie.

- No, przyjaciele - powiedział - jak z moim szczęściem mogłem się spodziewać, że wyjdę z tego obronną ręką?

- To twoja ziemia? - spytał Walther.

- Ano, nie da się ukryć. A po tej stronie jest ziemia Jakoba. Ogień przeszedł wprost przez obie działki, zatrzymała go dopiero rzeka.

Powiedzmy sobie szczerze: obaj zostaliśmy spaleni ze szczętem.

Jakob nie potrafił dostosować się do powolnego tempa towarzyszy.

Pogalopował szlakiem i niech diabli wezmą ostrożność. Nigdy w życiu nie doświadczył takiego strachu. Koszmarny krajobraz z drzewami jak strachy na wróble przywoływał najbardziej niesamowite obrazy, a wszystkie były mu obce. Powtarzał sobie, że to nie jego ziemia. Że to niemożliwe. Że musiał źle skręcić gdzieś po drodze. Łatwo było pobłądzić tu nawet za dnia, a co dopiero o zmroku.

Koń skręcił raptownie, omijając kolejną przeszkodę wystającą z ziemi.

Jakob uświadomił sobie nagle, że nie kieruje już koniem; on znał drogę, śpieszył do domu. Westchnął głęboko, pewniej usiadł w siodle. Był gotów na to, co miało się zdarzyć.

Aż nazbyt wcześnie znalazł się na zakręcie, na drodze do domu. Nie było bramy, nie było ogrodzenia, nie było niczego

wskazującego wędrowcowi drogę do Meissnerów. Nigdy nie było, ale wszyscy jakoś sobie radzili. Choć prawdę mówiąc, tych wszystkich nie było wielu. Poganiacz wołów i pracujący dla niego Theo. Dżentelmen z Clonmel. O co się spierali? Jakob nie pamiętał. Stracił rozeznanie w otaczającym go świecie. Koń stanął jak wryty. Dlaczego? Bo nie znał tego miejsca. Czarna ziemia, zwęglone rośliny, kamienny komin idiotycznie sięgający nieba.

Mikę i Walther krążyli gdzieś w pobliżu. Po co? Chciał ich zawołać, ale nie zdołał dobyć głosu z zaciśniętego gardła. Rozmawiali; nie chciał słyszeć o czym. Pozostał w siodle, nie zsiadł z konia. I Dandy go rozumiał. Stał nieruchomo, nie zamierzał pchać się przed siebie. Biedne zwierzę miało za sobą długi dzień, z pewnością było spragnione. Jakob powoli odwrócił je od upiornego komina sterczącego pośród wyżarzonego jałowego krajobrazu. Pozwolił mu zejść powoli nad rzekę, drogą wśród lasu. Doszczętnie spalonego lasu.

Żelazne cęgi ścisnęły mu pierś. Miażdżyły ją, wyciskały z niego życie. Z wysiłkiem walczył o oddech. Freda i Karl są bezpieczni nad rzeką, tak twierdził Mikę. Ale gdzie są? Czy udało im się uniknąć ognia? Ciemność mogła przecież być w sojuszu ze skutkami pożaru, ukrywając przed nim prawdę. Jakob zwrócił myśli ku rzece, rzece dającej bezpieczeństwo. Słyszał ją już, cichy szum w oddali. Był to jedyny dźwięk dobiegający z buszu, który zdążył poznać tak dobrze, a przecież noc tu żyła piskami, warkotem, szumem i szmerami nocnych zwierząt, i gniewnym skrzekiem obudzonych ze snu ptaków.

Tylko... jakie to bezpieczeństwo daje rzeka? Na litość Boską! Jakob

poczuł, jak żołądek podszedł mu do gardła. Zadławił się własną śliną, chwycił grzywę konia, broniąc się przed upadkiem. Wyprostował się w siodle, próbował odzyskać panowanie nad sobą. Walther i Mikę jechali tuż za nim.

Szlak biegł w dół; Jakob ściągnął wodze, by koń nie poślizgnął się na pokrytej popiołem ziemi. Nagle Dandy spłoszył się, odskoczył, omal nie raniąc nogi o pień wielkiego, spalonego na węgiel drzewa. Jakob musiał go powstrzymać, uspokoić. I nagle dostrzegł przyczynę jego strachu. Stała przed nim krowa. Krowa Fredy, nieruchoma, przyglądająca mu się smutnym spojrzeniem. Za nim z mroku rozległ się nagle głos:

- Pan jest, panie Jakob? My pilnowali krowy pana.

259

Mia. Ich aborygeńska sąsiadka! Jakob natychmiast zeskoczył z siodła. Objął Mię, przytulił ją mocno.

- Mia! Och, kochana dziewczyno. Co się z nimi stało, z moją żoną, synem?

- Odeszli - powiedziała dziewczyna wyciągając rękę. - Przez rzekę, na łodzi. Nasi przyjaciel Rolf był po nich. Ja mówię pilnuję krowy.

- Dziękuję. Bardzo ci dziękuję. Gdzie Yarrupi? Twoje dziecko? Nic im się nie stało?

- Nic, panie. Poszli góra rzeki, do obozu rodziny. Dobrze oni - westchnęła.

- Szkoda, ogień pali piękny dom twój.

Jakob uśmiechnął się, żeby sprawić jej przyjemność.

- Nic nie szkodzi - powiedział. Kłamał. Jego uśmiech był pełen goryczy.

Splonął dom, a z nim wszystko, co posiadali. Byli nędzarcami.

- No więc wszystko w porządku. - Quinlan klepnął go po ramieniu. -

Mówiłem ci, że twoi są bezpieczni. Jutro sprawdzę, jak wygląda moja nieszczęsna ziemia.

Po drugiej stronie rzeki zauważono ich ognisko. Zaczęto wypytywać, kto przyjechał i po co. Jakob podał swoje nazwisko. Ta wiadomość poszła w ludzi.

Posłaniec pośpieszył do domu Rolfa Kleinschmidta. Freda dowiedziała się, że jej mąż wrócił, i znów dostała ataku hysterii. Potrafiła wyobrazić sobie wstrząs, jakiego doznał jej mąż. Wrócił do domu, zastał pustkę i zniszczenie.

- Co możemy teraz zrobić? - spytał Rolfa Karl. - Wracamy do siebie czy tata przyjedzie do nas? Tam u nas nie ma już niczego. Po co wracać?

- Ale to nadal twoja ziemia. Wkrótce się zazieleni.

- Kiedy? - odparł gniewnie Karl. - Iz czego mamy żyć? To wszystko nic, tylko cholerna strata czasu. Znajdziesz mi robotę drwala, Rolf?

- Zobaczymy - obiecał Rolf ostrożnie. Wiedział, że Freda przysłuchuje się rozmowie.

Ból sprawił, że Lucas odzyskał przytomność. Cierpiał tak bardzo, że nie mógł myśleć. Nie wiedział, gdzie się znajduje. Dlaczego leży w jakiejś głębokiej dziurze w ziemi? Bo leżał w rowie, był tego pewien, widział wokół nagą ziemię. A może

260

to jest grób? Miejsce wprost z koszmaru? Chwycił garść ziemi. Pragnął wspiąć się po zboczu, przynajmniej odrobinę, ale ziemia rozkruszyła mu się pod palcami, pozostawiając po sobie tylko pył. Jak to możliwe? pomyślał kuląc się. Nie, niemożliwe.

Leżał twarzą na ziemi.

Wzeszło słońce. Zesztywniał, nie mógł się poruszyć. Było mu zimno, zachował jednak wspomnienie żaru. Bolała go głowa, na czole po prawej stronie wymacał wielki guz. Spadł z konia kiedyś, wczoraj wieczorem, tak nieszczęśliwie, że uderzył głową o kamień. Przypomniawszy sobie wąż. Nocą leżał właśnie tu, zbyt oszołomiony, by wstać. Zapewne znów stracił przytomność.

Do diabła! Oparł się dłońmi o ziemię, krzywiąc się z obrzydzenia, bo była miękka, gąbczasta, a do ciała lepiała się niczym błoto. Miał szczęście, że nie próbował wstać od razu, zdumiony lepkością podłoża, oszczędził sobie szalonego bólu, którego ukłucia już czuł w prawej nodze.

- O Boże! - westchnął czekając, aż ból osłabnie. - Coś nie w porządku z moją nogą.

Obmacywał ją jak najostrożniej; trwało to długo i nie było bynajmniej bezbolesne, a wyrok brzmiał źle: noga jest złamana. Gorzej, zmiążdżona. Lucas poczuł mdłości. Usiadł z wysiłkiem, oparł się plecami o zbocze wężowozu. Próbował myśleć o ranie i o tym, co może zrobić w tej sytuacji, pokonało go jednak zmęczenie i znowu zemdlał.

Kiedy się ocknął, panował upał, słońce stało wysoko, jego promienie wpadały wprost do wężowozu, nie było w nim ani odrobiny cienia. Dziwne. Spróbował poruszyć nogą, marząc, żeby okazało się, że złamanie tylko mu się śniło, ale ból był jak najbardziej rzeczywisty.

- Nie - jęknął. - Wcale sobie tego nie wyobraziłem.

Dopiero teraz zauważył, że ręce ma czarne. Dlaczego? Przecież ziemia tu była czerwono brązowa. Koszula także była czarna, a reszta ubrania brudna, jakby od sadzy. Czyścił w nim komin czy co?

Sadza! Rozejrzył się wokół siebie rozszerzonymi oczami. Nie ma cienia?

Oczywiście, że nie ma cienia! Poczerniałe kikuty bezlistnych drzew...  
Pożar! Dobry Boże, przeszedł tędy pożar! A on jechał ostrzec Jakoba?  
Nadal nie był pewien. Gdzie jego koń?

261

- Nie ma pośpiechu - powiedział do siebie. Nadal nie czuł się na siłach ocenić sytuację. - Posiedzę trochę, poczekam, może coś przyjdzie mi do głowy. A w ogóle to jak się tu dostałem?

Powoli, stopniowo oderwane niewyraźne obrazy pożaru buszu zaczęły się układać w logiczną całość. Zrazu Lucas pomyślał, że koń musiał się potknąć i dlatego go zrzucił; miał tylko nadzieję, że się przy tym nie zranił. Był na ziemi Jakoba, tak, oczywiście, przecież jechał ostrzec go przed pożarem. Zapewne ogień go wyprzedził... tylko że to niemożliwe. Co robił sam daleko od rancza? Zaraz, chwileczkę, przecież wcale nie był sam. No to gdzie się podzieli Keith Dixon, Sam, Pike?

- Koń wcale się nie potknął - rzekł głośno, tknięty nagłą myślą. Mówił dalej, jakby coś komuś tłumaczył: - On mnie zrzucił. Wysadził z siodła. Dlatego tu wylądowałem. Pożar przeszedł mi dosłownie nad głową...  
Dobry Boże, dziękuję ci z całego serca.

Ale gdzie się podzieli inni? Martwił się o to, póki nie przypomniał sobie kłótni z młodym Dixonem. I zaczął się bać. Ten spór groził mu wielkim niebezpieczeństwem, choć nie potrafił określić jakim. Czyżby zostawiono go tu na śmierć? Ale dlaczego?

Zadawał sobie coraz więcej pytań, a z każdym kolejnym coraz trudniej mu było zrozumieć, o co chodzi, był bowiem przekonany, że pokłócił się z Keithem o Hanni, nieustanną gadaninę, o plotki, które wreszcie wyszły na światło dzienne. Keith się wściekł i on też. Nic dziwnego, że wpadł w

kłopoty. Odjechał, żeby ich uniknąć, bo młody Dixon, człowiek potężny, stał się teraz jego wrogiem. A kiedy przypomniał sobie, że jechał przestrzec Jakoba przed pożarem buszu, nie uznał, by wiązało się to jakoś z bójką - bo rzeczywiście była to bójka - z Keithem. Bo niby dlaczego mieliby się bić o ostrzeżenie sąsiada przed niebezpieczeństwem? Nie, sprawa musiała dotyczyć Hanni...

Do takich wniosków doszedł. Nie miał wątpliwości, że syn szefa bezpośrednio mu zagraża, i kiedy przez spalony las przejeżdżali dwaj konni z Clonmel, ukrył się przed nimi bez problemu. Zagrzebał się po prostu w sadzy i popiele, których obecność jeszcze niedawno tak bardzo go zaskoczyła. To świństwo jest znacznie gorsze od błota, myślał, słuchając kopyt kłusujących obok koni, bardziej ohydne, brudniejsze, okropne. Z pewnością fatalnie wygląda. Gdyby Hanni go teraz zobaczyła, dostałaby

262

ataku wściekłości. Chlusnęłaby weń cebrem wody, żeby zmyć z niego ten brud, nim wpuściłaby go do pokoju.

Lucas pozwolił przejechać konnym. Wiedział, gdzie jest, wcale się nie zgubił. Był na ziemi Jakoba. Wystarczy, żeby dotarł jakoś do jego domu, a wszystko będzie w porządku. Wyjadą z Clonmel. Hanni będzie zachwycona. I tak chciała wyjechać. Wrócą do Bundabergu. Nie jest tak źle, mają trochę gotówki, dostaną pracę. Na jakiś czas mogą nawet wrócić do ojca Beitza. Miło by było tak znów wszystkich spotkać.

Czoło go paliło. Było bardzo gorące. Pewnie przez te silne promienie słońca. Rany, kiedy pierwszego dnia pracy wyjechał z resztą pastuchów, harował od świtu do zmierzchu, wtedy to dopiero opaliło go słońce i

osmagał wiatr. Zimowy wiatr. Zachichotał cicho. W przeszłości owszem, bywało, że smagał go zimowy śnieg, nigdy aż tak, ale zimą jest zimno. Porzucił tę myśl, w żaden bowiem sposób nie łączyła się z tym, co tak usilnie próbował zrozumieć. A w ogóle czymkolwiek była, wydawała się nieważna w porównaniu z tym, co właśnie się działo. Jeźdźcy minęli go. Odjechali jakiś czas temu.

Lucas Fechner skinął głową w błogim zadowoleniu. Osiągnął pierwszy, podstawowy cel. Teraz musi znaleźć odpowiednie patyki i założyć sobie łubki, lekarze tak robią. Będzie mógł pójść do domu Jakoba. Zaczął czołgać się po zboczu, jęcząc z bólu, plując pyłem i popiołem, a gdy wreszcie wydostał się na górę, padł na ziemię, dysząc z wyczerpania. Wokół niego rozciągał się krajobraz rodem z piekła. Lucas zapłakał. Nie, nie z żalu nad sobą, taka myśl nawet nie powstała mu w głowie. Żal mu było Jakoba Meissnera. Bo zniszczono mu piękną farmę. Łzy rozmywały brud na jego twarzy. To właśnie ten brud przypominał mu, że gdy już uda mu się wstać, będzie musiał bardzo ostrożnie stąpać po pokładach popiołów. Od celu dzieliło go wiele kilometrów.

Zmarszczył czoło. Kilometrów? Nie, to przecież niemożliwe. Jakob wykupił działki mierzone w arach, nie w kilometrach kwadratowych. Różnicy między miarami nauczył się od Sama. Chciał powiedzieć pewnego dnia beztrosko, jak to miejscowi: „Daleko? Nie, wcale nie. To tuż przy tej drodze. Niespełna sto kilometrów.”

Udzieliła mu się ta beztroska, swoboda, nastawienie typu „niech to diabli wezmą”. Zaczął przesuwać się centymetr po

centymetrze, na pośladkach, podpierając się rękami i ciągnąc za sobą nogi.

Oczywiście był to tylko początek. Na obrzeżu lasu stały wielkie drzewa niczym groźne mary, rankiem oprze się o pień któregoś z nich, wstanie, a potem już łatwo mu będzie poruszać się od jednego do drugiego. I przez cały czas liczył. Przeliczał ary na kilometry i hektary, próbował wyobrazić sobie, jak trzydzieści sześć hektarów przekłada się na kilometry, na odległość, którą rzeczywiście będzie musiał przebyć.

Bo to właśnie powtarzano na ranczu. Jednostką nadzieju było trzydzieści sześć hektarów, chociaż na wielkich ranczach nie nazywano tego nadziałami, lecz chlewikami, okazując w ten sposób pogardę drobnym farmerom. Drobnym farmerom na tak wielkiej ziemi, Lucas nie mógł wyjść z podziwu. Samych farmerów nazywano zaś „kakadami”, od papug kakadu, które stadami pojawiały się tam, gdzie nikt ich nie chciał widzieć. Ku swojemu wielkiemu wstydy nie zainteresował się wcześniej farmą przyjaciela, choć wiedział, że znalazł się w obozie przeciwnika.

Znalazł się nawet po stronie Dixonów! Jakże okrutny musiał być świat, gdzie posiadłość, którą ludzie ci wykrawali z dziczy, zaledwie pokolenie później rząd przycinał nadzieju po nadzieju. Dixonowie podbijali ten kraj, pracowali ciężko z dala od cywilizacji, walczyli z krajowcami, przepędzali owce setki mil z miejsca na miejsce, na te kilka dostępnych im rynków zbytu.

Ale dlaczego mieliby się tym przejmować ludzie tacy jak Jakob? Przecież nabyli swoją ziemię legalnie. Ciekawe, pomyślał Lucas, czy będę miał ten sam problem, kiedy zacznę wreszcie hodować owce na własnej ziemi? Czy nie przybędą nowi rozpychający się łokciami osadnicy, aż wreszcie nie zostanie mu ziemi na pastwiska? Bo że będzie miał własne ranczo, w to nie wątpił. Pamiętał gorzkie słowa wypowiedziane przed wyjazdem

przez szefa będącego jednocześnie pierwszym stajennym i ojcem jego narzeczonej.

- Jeśli z nią wyjedziesz, cholerny głupcze, jesteś skończony. Nie myśl sobie, że przyczołgasz się tu na kolanach. Po tym co zamierzasz zrobić mojej córce, nikt tu cię mile nie powita. A ślub już za tydzień! Ty, Fechner, do niczego się nie nadajesz.

I do niczego nie dojdiesz.

Do niczego nie dojdę? pomyślał Lucas niezbyt przytomnie. A mnie się wydaje, że jednak dojdę.

264

Zapadł zmrok, lecz Lucas nadal dzielnie parł przed siebie. Wiedział, że musi jak najprędzej dotrzeć do domu Jakoba. Ale drogę miał przed sobą nieprostą, każda przeszkoda wymagała ominięcia szerokim łukiem, co myliło kierunek. Szybko nauczył się, że podskakiwanie na stojąco jest zdecydowanie za trudne, a że ogień pozbawił go mocnych gałęzi mogących służyć za kule, to ciągnął się po ziemi, odpychając dłońmi, raniąc je do krwi. Krew przeciekała też przez strzępy lewej nogawki spodni.

Keith nawet cieszył się, że wysłano go na poszukiwania Fechnera. Dla niego był to po prostu dzień wolny od pracy. Trochę pojeździ sobie konno i tyle. A nawet lepiej. Znajdzie ustronne miejsce nad rzeką, nałapie znakomitych raków, które tak mu smakują, ugotuje je w kociołku. Po czym zdrzemnie się chwilę. Bo i komu zależy, żeby znaleźć tego Fechnera? Przez ten czas pewnie dotarł już do Meissnerów, gdziekolwiek byli, i właśnie chlapie im o pożarze, a zwłaszcza o jego początku.

- Trzech z nas nazwie go cholernym kłamcą - mruknął Keith pod nosem,

wyjeżdżając z domu.

A jeśli Fechner jest ranny? Jeśli spadł z konia? No to co, niech zostanie, gdzie leży. Dlaczego właśnie on miałby go ratować? Mądrzej byłoby poczęstować go kulką. Zamknąć mu gębę na zawsze. Keith był święcie przekonany, że J. B. przesadza. Jego zdaniem powinni po prostu pozbyć się Hanni Fechner, odesłać ją do Bundabergu i zapomnieć o całej sprawie. W każdym razie jedno wiedział na pewno: nie zbliży się do ziemi tych Niemców. Pewnie już zaczęli na niego polować.

Gdyby tak się głębiej zastanowić, to może powinien pojechać do Bundabergu? Wychylić parę piw w pubie, popytać, co kto wie o pożarze? Cholernie chciał wiedzieć, co dzieje się teraz z Meissnerami. No i powinien pytać o Fechnera. Oczywiście. O to, czy ktoś go widział. Zatraskany, nawet zaniepokojony.

Pojechał do nowego pubu „Royal”, bardzo już popularnego. Wzdłuż budynku ciągnęła się szeroka weranda wychodząca na rzekę. Przyjaciele nawoływali od stolika, żeby Keith do nich dołączył. Właściciel zwabiał klientów, oferując każdemu darmowy lunch.

- Oj, ryzykuje - powiedział Dixon przysiadając się do nich. - Żrecie jak ścierwojady. Zbankrutuje przez was, nim zdoła rozkręcić interes.

265

Kilka piw później udało mu się wprowadzić do pogawędki temat pożaru. Okazało się, że wszyscy mają coś do powiedzenia. Oparł się o bar i tylko słuchał rozmów. Dowiedział się, że Meissnerowie znaleźli schronienie za rzeką, wśród drwali pracujących dla Lesa Jolly'ego, Niemców jak oni. Ich dom spłonął wraz z tym, co zdążyli zasiać i zasadzić. Biedne ofiermy. Ten pożar to chyba najgorsza rzecz, jaka im się w życiu...

- No, nie wiem - zaproponował ktoś. - Weźmy taką powódź. Przychodzi szybko, ludzie toną.

- Jakbyśmy o tym nie wiedzieli. - Keith wzruszył ramionami. - Parę lat temu mieliśmy tu naprawdę groźną powódź. Stary mi o tym opowiadał. Zginął jego zarządca w terenie. A tak przy okazji, tym Meissnerom nic się nie stało, co?

- Nie, na szczęście nic. Matka i syn przedostali się jakoś na drugi brzeg. Potem pojawił się ojciec, który parę dni wcześniej gdzieś wyjechał. Z nim też wszystko w porządku.

- Myślałem o całej czwórce. - Keith potrzebował informacji o Fechnerze.

- Ale ich jest troje. Matka, ojciec, syn.

To załatwiało sprawę. Najwyraźniej Lucas zaginął gdzieś po drodze. Nieco później Keith spytał z pozorną obojętnością, czy w ciągu kilku ostatnich dni ktokolwiek widział Lucasa Fechnera, pastucha z Clonmel, ale tu go nie znano. A już z całą pewnością nie rozpoznawano.

Piwo lało się strumieniami, rozmowa znów zeszła na pożar. Młody Dixon nie interesował się nią zbytnio... póki nie usłyszał dwóch mężczyzn spierających się na temat Jakoba Meissnera.

- Nie był sam - powiedział jeden z nich. - Widziałem na własne oczy, jak przewożono ich łodzią Charliego Mayhew. Jakoba i jeszcze innego gościa. Byli przy ruinach tego spalonego domu.

- Charlie ma łódź? A skąd?

- Ma, i to dużą, całkiem przyzwoitą. Szalupę. Kupił ją od kapitana statku. Wozi nią Kanaków na swoją plantację. Mówi, że to szybciej, niż gdyby cały czas szli, no i mniej się męczą.

Keitha łódź nie obchodziła. Poczul, jak kącik ust drga mu w nerwowym

tiku; spróbował go opanować wysuwając brodę naprzód. Czy tym drugim człowiekiem był Fechner? Musiał się tego koniecznie dowiedzieć.

266

- Kim był ten człowiek z Meissnerem? - spytał. - Bo nie członkiem rodziny, jak rozumiem.

- O mnie mówisz - powiedział ktoś za nim niskim gniewnym głosem.

Keith odwrócił się szybko. Quinlan mierzył go wściekłym spojrzeniem.

- Kto cię wypuścił? - warknął i nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do przyjaciół. - A ja myślałem, że to przyzwoity pub.

Irlandczyk nie pozostał mu dłużny.

- Ja też. A potem ty tu wlałeś, cholerny oszuście. Zejdź mi z drogi! Zrób miejsce przy barze.

Keith wypił za dużo i to podsyciło tak rzadką u niego odwagę.

- No i proszę, wyzywa mnie kryminalista. Dobrze ci radzę, pij gdzie indziej, Quinlan. Jeśli masz pieniądze.

I nagle już nie stał przy barze. Mike uniósł go w górę, pchnął mocno.

Keith przeleciał ładnych kilka metrów, roztrącając stojących obok klientów. Zawartość ich kufli trafiła przede wszystkim na niego. Nikt nie przyszedł mu z pomocą, wręcz przeciwnie, wszędzie dookoła widział szeroko uśmiechnięte twarze. Ludzie rozstępowali się, robiąc mu miejsce. Wyraźnie mieli ochotę na bójkę.

Za to właściciel pubu nie. Stał za barem na tle lustra, jakby bronił pokaźnej kolekcji butelek. W ręku trzymał strzelbę. W pubie zapadła cisza jak makiem zasiał. Nikt nie śmiał nawet drgnąć.

- Moi panowie, powiem to tylko raz. W moim lokalu nikt nie będzie się bił. Miałem puby na złotonośnych polach, widziałem więcej krwawych

bójek niż wy zjedliście obiadów. Za ten lokal zapłaciłem ze współnikiem mnóstwo pieniędzy. Jest nasz. Jeśli ktoś coś stłucze, płaci podwójnie. Ktokolwiek zacznie walkę, dostanie zakaz wstępu. Strzelba jest naładowana, więc niech się nikt nie wygłupia. - Spojrzał na Quinlana. - Ty, jeśli kiedykolwiek rzucisz klientem, wylecisz i możesz nie wracać. Zrozumiałeś?

- Jasne. - Mikę uśmiechnął się szeroko.

- A ty, cwaniaczku na podłodze, zapamiętaj, że to ja decyduję, kto u mnie pije, a kto nie. A teraz wstań i zamknij się!

Keith z wysiłkiem dźwignął się na równe nogi. Teraz kiedy było jasne, że zabawa się skończyła, parę osób próbowało mu pomóc.

267

Odrzącił wyciągnięte dłonie. Chwiejnym krokiem podszedł do barmana.

- Bardzo przepraszam, pan chyba nie wie, kim jestem. To zrozumiałe, przecież dopiero pan przyjechał, jednak...

Potężnie zbudowany barman pochylił się i spojrzał mu w oczy.

- No to jesteście kwita, przyjacielu. Ja nie znam ciebie, ty nie znasz mnie. Ale prędzej czy później się poznamy. A teraz powiedz mi, czym się trujesz?

Keith został dla zasady, choć chętnie poszedłby do O'Malleya; tam ludzie go szanowali. Na szczęście ucierpiała tylko jego duma. Wiedział już teraz z pewnością, że Lucas nie dotarł do Meissnerów. Nikt też nie zorientował się, że pożar buszu był wynikiem podpalenia, nie powstała więc kwestia podpalacza. Roześmiał się bardzo zadowolony z siebie. Quinlan wybuchłby jak bomba, gdyby wiedział, że przed zaledwie chwilą stał twarzą w twarz z człowiekiem, który spalił także jego ziemię. Ale nie

wiedział. I sądząc z tego, o czym mówiono dziś w mieście, nie dowie się nigdy. Nie ma szans.

Został na darmowy lunch. Podano mu wielki talerz zapiekanki z mielonego mięsa i ziemniaków, spróbował jej, stwierdził, że jest znakomita, i oczywiście powiedział głośno, że nie da się jej przełknąć.

- Idę do O'Malleya - oznajmił. - Tam świetnie karmią.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Quinlan siedział na werandzie z przyjaciółmi, w milczeniu przyglądając się wychodzącemu Dixonowi. Miał o czym myśleć. Nie mógł pomóc Jakobowi, chyba że zatrudniłby się u niego jako darmowy parobek przy oczyszczaniu ziemi, a nawet swojej nie miał zamiaru porządkować. Nie wygrabisz popiołów na trzydziestu paru hektarach, tłumaczył mu, a on przecież miał ich przeszło dziewięćdziesiąt.

- Lepiej zrobisz - powiedział - jeśli pozwolisz naturze rozwiązać swój problem. W tym klimacie nie będziesz musiał długo czekać, żeby trawa odrosła, a drzewa znów się zazieleniły. Aż się zdziwisz, jak szybko to nastąpi. Oczywiście szkoda domu, dobytku, ale z drugiej strony żyjesz i cieszysz się dobrym zdrowiem. Przecież mogłeś utonąć w morzu jak wielu emigrantów ze starego kraju...

- Zamknij się, Quinlan!

No tak, jego nowy przyjaciel zapewne miał rację. Mężczyzna potrzebuje czasu, żeby nakopać w zadek upiorowi porażki, potem wziąć się w karby i znów zabrać do działania. Czyż on sam nie postępował właśnie tak? I omal nie połamał sobie nogi, kiedy ten upiór zmaterializował się w postaci więziennych krat. Głupio zrobił, zabijając tego tryka. Ale też trafił ich tam, gdzie zabołało.

Rozmawiał z Billym. Okazało się, że nie ma co liczyć na pracę. A to oznaczało, że bez sensu jest budować choćby najędzniejszą chatę. Z drugiej strony nie mógł sobie pozwolić na ignorowanie warunków dzierżawy. Clem Colley, policjant, poradził mu

269

jak najszybciej porozmawiać z inspektorami, którzy zatrzymali się u O'Malleya.

Przysłowiowe „szczęście Irlandczyka” nigdy nie objawiło się w życiu Mike'a Quinlana. Mówił mamie, że kiedy Bóg je rozdawał, musiał stać za drzwiami, i podczas odwiedzin w więzieniu w pełni się z nim zgodziła.

Trochę go to zaniepokoiło, ale potem matce udało się dotrzeć do Waltera Scotta, członka parlamentu stanowego z okręgu Mulgrave, i przemówić do niego w sprawie uwięzionego syna.

- Sądziłem, że to szaleństwo - opowiadał kumplom z celi - ale nie wiedziałem, że moja droga staruszka urodziła się po to, żeby wsadzać nos w nie swoje sprawy. Była kucharką w Maryborough u bogatej wpływowej rodziny i wyobraźcie tylko sobie, że z tej rodziny pochodzi niejaki John Douglas, niech nas Bóg wspomóż, premier naszego wielkiego i wspaniałego stanu Queensland. - Urwał, by sprawdzić, jakie to zrobiło wrażenie na pozostałych. - Uwierzcie mi, mówię wam szczerą prawdę. No więc jej chlebodawca awansował wysoko w hierarchii tego świata, co nic nie pomogło biednemu, uwięzionemu w mroku chłopakowi. Ale potem dowiedziała się czegoś o pewnym gościu nazwiskiem Scott. Mianowicie tego, że ma on nieprzejednanych wrogów, Dixonów. Ni mniej, ni więcej tylko właściciele wielkiego rancza owczego. Dysponując tą perłą wiedzy, droga stara mamuśka, wykręcając sobie ręce i siejąc komplementami,

przemówiła do swego przedstawiciela w rządzie za marnotrawnym synem. Scott usłyszał nazwisko Dixon, poznał całą sprawę i już wtedy byłem praktycznie wolny.

Tak więc Quinlan poszedł zobaczyć się z inspektorami ziemskimi.

- Z radością dowiedziałem się, że jesteście panowie w mieście - zagał. - Właśnie zamierzałem odszukać mojego bliskiego przyjaciela, Waltera Scotta.

- Kogo?

- Pana Scotta, naszego posła do parlamentu. Chodzi o przedłużenie umowy dzierżawy. Przyjechałem tu zagospodarować ziemię, pobudować dom, budynki gospodarcze, grodzić, ale los ciężko mnie doświadczył.

Słyszeliście może o niedawnym groźnym pożarze buszu?

Inspektorzy siedzieli w pokoju naprzeciw biura Julesa Stenninga, którego Mikę wcale nie chciał spotkać, przy długim stole

270

zawalonym księgami, papierami, dokumentami i innymi urzędowymi rekwizytami niezbędnymi, jak przypuszczał, każdemu biurokracie udajacemu, że taki jest ważny. Obaj jednocześnie skinęli głowami.

- Więc niech mi Bóg dopomoże, on przeszedł przez mój nadział.

Zniszczył wszystko. Nie mogę teraz zagospodarować ziemi. Musiałem zwolnić biedaków, których zatrudniłem do pomocy. Panowie, będę głęboko wdzięczny, jeśli podpiszecie przedłużenie umowy na kolejny rok.

Obiecuję, że odejdę wówczas i nie będę utrudniał wam pracy.

Młodszy z inspektorów patrzył na niego tępo, jakby nie całkiem zrozumiał, o czym Mikę mówi. Znalazł jego akta wśród mnóstwa porzucanych papierów, przeczytał pojedynczą kartkę, pochylając się

nad nią nisko, i powiedział do przełożonego:

- W umowie nie ma wzmianki o tym, że pożar buszu zwalnia z jej terminowego wykonania. Nic nie znalazłem. To oznacza, że warunki dzierżawy zostały złamane i musi oddać ziemię.

Quinlan uśmiechał się nadal, w oczach wciąż miał wesoły błysk, zupełnie jakby wyrok urzędnika nic dla niego nie znaczył. Sięgnął do kieszeni jakby po swoje dokumenty i wyjmując rękę, upuścił na ziemię zwitek banknotów.

- Panowie - powiedział - w waszym zawodzie macie przecież pewną swobodę podejmowania decyzji, jak każda władza administracyjna. Jak pan Scott. Oczywiście rozumiem, że swoboda ta ma służyć wyłącznie dobru okręgu, temu nikt przecież nie zaprzeczy.

- Ma rację - przytaknął starszy urzędnik.

- Obawiam się, że nie, proszę pana. W przepisach nie ma nic...

- Przepisy i sądy znają pojęcie współczucia, Sykes. Pomyśl o tym, a tymczasem przystempluj jego papiery. Dzierżawa przedłużona. Na rok. Irlandczyk uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Jestem panu bardzo wdzięczny. A tak przy okazji, skoro już sobie przyjacielsko rozmawiamy, czy uznajecie panowie za możliwe przedłużenie dzierżawy pana Meissnera, którego dwie działki też zniszczył ten pożar? Może przedstawić mnóstwo świadków na to, że doskonale zagospodarował ziemię, postawił dom i w ogóle, tylko niestety wszystko spłonęło. To chyba oczywiste,

271

że dacie mu przedłużenie, zasługuje na nie jak nikt, no i akta będą w porządku...

- Gdzie jego papiery? - spytał podejrzliwie Sykes.
  - Dzięki Bogu w banku. Przyniesie je wam, gdy tylko wyjdzie z szoku po tych ciężkich przeżyciach.
  - Szkoda, że spotkało was coś tak strasznego. - Starszy inspektor wstał, przeciągnął się. - Przyda mi się krótki spacer.
- Przy drzwiach na korytarz Quinlan wcisnął mu funta szczęśliwy, że urzędnik nie podwoił stawki ze względu na obiecaną pomoc dla Meissnera. Bo to był jego jedyny funt owinięty wokół zwitka gazety, by sprawić wrażenie bogactwa.
- Dawno pana puścili? - spytał starszy mężczyzna sygnalizując, że życiorys Quinlana nie jest mu całkiem nie znany.
  - Jakiś czas temu.
  - Tak sobie myślałem... Jest pan przyjacielem pana Scotta, może by powiedzieć o mnie dobre słowo? Jestem blisko w kolejce do awansu i nowej pozycji. Nie powinno to zabrać wiele czasu.
  - Proszę uznać to za załatwione. Ale... nie znam pańskiego nazwiska.
  - Pinnow. Laurence Pinnow.
  - Z tej rodziny od tartaków?
  - Tak.
  - Aaa, to pogratulować. Świetnie, w takim razie lecę. Teraz Mikę siedział w hotelu „Royal”, przyglądał się rzece i dumał o swojej przyszłości. Minęło sporo czasu, nim znów przypomniał sobie Pinnowa. Ma się za nim wstawić? A niedoczekanie! Przecież to rodzina pani Dixon. Żona starego J. B. jest z domu Pinnow.
- I nagle roześmiał się głośno. Oto na chwilę sam siebie przekonał, że Walter Scott, członek regionalnego parlamentu, rzeczywiście jest jego

przyjacielem.

- Wyglądasz na zadowolonego z siebie - powiedział Davey, właściciel zaprzęgu.

- Niby czemu nie? Mamy piękny dzień i w kieszeni pustki.

- Dosiądź się do nas, to postawię ci piwo. To Theo Zimmerman, mój pomocnik.

- Jak się masz, Theo?

272

Posiedział z nimi jakiś czas. Rozmawiali głównie o pożarze, o działkach Meissnera, a potem Mikę zdradził, że wybiera się na pola złotonośne.

- Naprawdę? - spytał Theo zafascynowany tematem. - Naprawdę wykopujecie tu gdzieś złoto? W okolicy? Prawdziwe?

- Najprawdziwsze w świecie.

Mikę nie zapomniał, że musi wpaść do banku i poprosić Rawlinsa, by zarejestrował umowę dzierżawną Jakoba jako przedłużoną. Jeszcze tylko to miał do załatwienia w mieście, potem mógł już jechać, poszukać największej przygody życia.

Theo odciągnął go na bok.

- Naprawdę chcesz tam pojechać, Mikę?

- Jasna sprawa.

- Przydałby ci się współnik?

- O co ci chodzi? Chcesz jechać ze mną?

- Jeśli mogę.

- Czemu nie? Im nas więcej, tym weselej.

- Muszę kupić konia - oznajmił Theo.

- A to czemu? - spytała Eva. - Jeśli nie idziesz przy zaprzęgu, jedziesz na

platformie.

- Jedno z nas powinno mieć konia - upierał się. - Jeśli zdarzy się jakiś wypadek, będziemy wreszcie mogli pojechać po pomoc. I często potrzeba nam różnych dodatkowych rzeczy.

- Davey jakoś obywa się bez tego luksusu. Zabawne.

- Raczej ryzykowne.

Eva gderała, ale w głębi serca rozumiała męża. Kiedy jak oni nieustannie wędruje się w dzicz, posiadanie konia ma sens. Poza tym okazało się, że z pieniędzy Thea można coś niecoś zaoszczędzić; to znaczy okazało się po tym, gdy poprosiła Daveya, żeby jego pensję wypłacał jej. Zaskoczyło ją, że tak łatwo się zgodził, no ale żył długo, wiele widział i musiał uznać, że tak będzie lepiej dla wszystkich. Theo wściekł się, kiedy się o tym dowiedział, ale co mógł zrobić? Obrazić szefa? Wrzeszczał tylko na nią za to, że tak go poniżyła, a ona po prostu go ignorowała, powtarzając, żeby w tej sprawie rozmawiał z pracodawcą, nie z nią.

Tak czy inaczej ten układ zdawał egzamin. Czyny mieli opłacony, udało się jej nawet oszczędzić trochę grosza. Więc dlaczego

273

nie kupić konia? Ułatwia życie, zwłaszcza jeśli mieszka się na uboczu. I w niedziele, przynajmniej te, które Theo spędza w domu, mogliby na zmianę jeździć na nabożeństwa pastora Beitza. Im więcej o tym myślała, tym bardziej się jej pomysł podobał. Nawet uśmiechnęła się dobrotliwie, kiedy jej mąż, radosny niczym dziecko, pobiegł sprawdzić, czy w stajniach mają odpowiednie zwierzę.

Mieli. Siwą klacz, ładną, zapewne niezbyt szybką, lecz śliczną i łagodną, imieniem Belle. Przyprowadził ją do domu. Dzieci oszalały z radości.

Natychmiast się w niej zakochały. Były tak podniecone, że prawie nie ruszyły kolacji. Eva miała wielkie kłopoty z położeniem ich do łóżka, nie chciały, żeby Belle była sama w ciemności, i wszystkie pragnęły dotrzymać jej towarzystwa.

Kilka dni później Davey odwiedził Zimmermanów. Zamierzał poinformować Thea, że szykuje się kolejna robota: trzeba było przewieźć meble i wyposażenie z nabrzeża do domu na Burrum Street. Był w doskonałym humorze. Na niektórych ranczach już zaczęto strzyżę; czekało go mnóstwo pracy, jak zwykle w sezonie. Farmerzy płacili fortunę za przewóz wielkich bel wełny, z którymi trzeba się było obchodzić ostrożnie.

Thea nie było w domu. Przyjęła go roztrzęsiona Eva.

- Co się stało, pani Zimmerman? - zaniepokoił się.
- Wiedziałaś o koniu? - odpowiedziała pytaniem.
- Jakim koniu?
- Tak myślałam. Oszukał nas.
- Jak to?
- Theo namówił mnie na kupno konia. Powiedział, że go potrzebujecie. A teraz wyjechał.
- Dokąd?
- Szukać złota. Zostawił liścik. Nie ośmielił się rozmawiać ze mną twarzą w twarz!

Niemal rzuciła w niego kartką papieru, ale list był po niemiecku. Davey potrząsnął głową bezradnie.

- Co tu jest napisane?
- Że pojechał szukać złota w Gympie, gdziekolwiek to jest, i że wkrótce

wróci bogaty. Bogaty? Theo? - Eva roześmiała się gorzko. - Nie on. Ma taką szansę na fortunę jak... jak na wycieczkę na Księżyc!

274

- Wie pani może z kim?

- Z jakimś Mikiem Quinlanem. Czy to nie były więzień? Słyszałam, jak rozmawiano o nim w mieście.

Davey skinął głową.

- Quinlan jest w porządku, pani Zimmerman - zapewnił. - Theo jest w bezpiecznych rękach. Bardzo mi przykro. To znaczy... że musiał wyjechać. Ale martwił się o Evę i dzieci. Quinlan dawał sobie radę w świecie, ale ze szczęścia nie sływał. Prawdę mówiąc biedny Mikę był urodzonym pechowcem. Gorąca głowa. Za gorąca, żeby mu to wyszło na zdrowie.

- Co za para - mruknął do siebie. Szedł do pubu poszukać zastępstwa za Thea, który nie miał nawet tyle przyzwoitości, by go uprzedzić, że odchodzi. - Mikę i Theo. Poszukiwacze złota. Jezu! Może i coś znajdą, jeśli złoto zleci im z nieba na łeb.

Tymczasem Keith Dixon wrócił do domu po pracowitej nocy spędzonej w eleganckim domu rozpusty przy uliczce odchodzącej od Bourbon Street, otwartym zaledwie parę dni temu.

- Bundaberg naprawdę się rozwija - opowiadał kumplom po powrocie na ranczo - skoro miasto stać na coś tak wymyślnego. Czysto, cała dekoracja w czerni i bieli: prześcieradła, kołdry, zasłony, no, rozumiecie. I możesz wybierać sobie dziewczyny: czarną, białą albo i taką, i taką.

Powiedział im także, że widział w mieście Fechnera. Tak naprawdę to mu się po prostu wyrwało. Śmiał się, opowiadał różne pikantne szczegóły, kiedy nagle ktoś spytał go, czy spotkał Lucasa.

- Jasne - odparł zirytowany. Nie lubił, kiedy mu przerywano. - Wywaliłem go z roboty. Gdzie indziej miałby być?

- A co z panią Fechner? Zostaje?

Keith zamarł. Właśnie miał opowiedzieć o chińskiej kokocie, bardzo drogiej, ale go zatkało. Zapomniał o Hanni! Zaledwie na chwilę, lecz co się stało, to się nie odstanie.

- Hanni? - wykrztusił po chwili. - A tak, oczywiście. Powinniśmy chyba odwiedzić ją do miasta. Z jego zaległą wypłatą rzecz jasna.

Przestań! napomniał sam siebie. Już jest źle, nie pogarszaj sytuacji.

Pożegnał przyjaciół radząc im jeszcze, by oszczędzali każdego pensa, bo za drzwi tego domu rozpusty wpuszczają za

275

słoną opłatą. Uśmiechnął się. Po prostu musiał pochwalić się tym, że stać go na taką rozrywkę.

- Dlaczego ci nie wierzę? - zakpił J. B., siedzący wygodnie w obrotowym fotelu. - Gdzie dokładnie widziałeś tego Fechnera?

- Mówiłem ci. W mieście. Gdzieś koło pubu O'Malleya.

- Więc pomachałeś mu na powitanie i spytałeś, co począć z jego żoną? O której chyba zapomniał. Tak jak o całym ich dobytku?

- Nooo... właściwie tak.

J. B. poderwał się z fotela. Wystawił głowę za drzwi.

- Florence! - zawołał żonę. - Florence, chodź na chwilę! Przybiegła natychmiast, zakładając za uszy rozwiane włosy.

- Co się stało?

- Twój błyskotliwy syn znów coś wymyślił. Wiesz co? Twierdzi, że widział w mieście Lucasa Fechnera.

- Och, dzięki Bogu! Spytałeś, co porabia? Żona zamartwia się o niego na śmierć.
- Musimy odesłać ją do miasta.
- Oczywiście, ale gdzie?
- No właśnie. - Głos starego J. B. był podejrzenie łagodny. - Gdzie?
- Chyba do tych Niemców. Właściwie nie powiedział.
- No i widzisz, Florence? Czyż to nie cud? Nasz synek wdaje się w bójkę z Fechnerem, a zaledwie parę dni później rozmawiają sobie przyjaźnie przed pubem.

Matka spojrzała na Keitha zaniepokojona.

- Przynajmniej wiemy, gdzie go szukać.
- Nie tylko ja go widziałem. - Keith bronił się, jak potrafił.
- Doprawdy? - ryknął stary. - A kto jeszcze?
- Jacyś ludzie...
- Jacy ludzie?
- Nie wiem. Słyszałem rozmowę... Ojciec wymierzył mu siarczysty policzek.
- Zaczynaj od początku i tym razem mów prawdę albo siłą ją z siebie wyciągnę. Nie, ty zostajesz, Florence. Siądź tam i zamknij się. A ty, geniuszu, powiedz mi wreszcie, gdzie jest Fechner.

276

Keith opadł na fotel, pocierając czerwieniejący policzek.

- Nie wiem - przyznał.
- Kto go widział w mieście?
- Nikt.
- Jasne. Ale naszym ludziom powiedziałaś, żeś go widział?

- Zaskoczyli mnie. Nie chciałem! Pytali, a ja nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

J. B. spojrział na żonę.

- Rozumiesz teraz, w co nas wpakował? W bagno, po prostu w bagno! Ten idiota oznajmił wszem wobec, że widział Fechnera i Fechner chce, żeby odesłano mu żonę. Postawił mnie pod ścianą. Muszę wysłać jego babę do miasta.

- Przecież Keith zawsze może powiedzieć, że się pomylił.

- Jezu! Oboje jesteście tak samo głupi. Cała rodzina Pinnowów jest durna jak woły, a nasz synalek przoduje w tej kategorii. A niby jak może powiedzieć, że się pomylił? Chryste! Rozmawiał z facetem, ale odwiedziało mu się i to był jakiś inny facet? Ci ludzie są może prości, ale z pewnością nie tak głupi jak on. Wyczują kłamstwo na odległość. Nie mamy wyboru. Niech żoneczka Fechnera zacznie się pakować.

- Co za szkoda - westchnęła Florence. - To najlepsza pokojówka, jaką kiedykolwiek mieliśmy.

- Co z tego? Znajdziesz następną. A ją musimy wyprowadzić stąd jak najszybciej.

- Dobrze już, dobrze. Wyjedzie rano. Wozem. Keith może ją zabrać...

- Keith? Czyś ty oszalała, kobieto? Nie trzyma łap przy sobie nawet wobec czarnych dziewcząt, to co tu mówić o takiej ślicznej białej? Pewnie już się do niej dobrał.

- Mam tego dość! - oburzyła się pani Dixon. - Nie życzę sobie uczestniczyć w takich rozmowach.

Jej słowa ośmieliły Keitha.

- On zapomina, o co w tym wszystkim chodzi, matko - powiedział

wskazując ojca. - Kazał mi się pozbyć Meissnerów z naszej ziemi na wschodniej granicy rancza. Ucieszył się, że ich spaliłem za to, że nie chcieli oddać drewna.

- To był interes - warknął J. B.

- Jasne. Spaliliśmy ich dom, cały dobytek, drewno i uprawy, które założyli. Załatwiłem to za niego, wykonałem dobrą robotę. Głupio by wyglądał, gdybym teraz powiedział policji...

277

Stary tylko potrząsnął głową.

- No proszę, idź i powiedz, durniu. Świetnie wyglądałbyś i czuł się w więzieniu, kiedy wszystkiemu bym zaprzeczył. Chociaż z drugiej strony więzienie mogłoby ci dobrze zrobić. Może czegoś byś się tam nauczył? A teraz zejdźcie mi z oczu oboje.

Hanni nie wiedziała, co się dzieje. Nikt nie potrafił powiedzieć jej nic o Lucasie, a potem nagle Elsie oznajmiła, że jest w mieście.

- Pokłócił się z panem Keithem - rzekła - i pan wyrzucił go z pracy.

- Dlaczego nikt nie powiedział mi o tym wcześniej?

- Bo wszyscy spodziewali się, że wróci, a kiedy nie wrócił, zaczęli się niepokoić. Zwłaszcza że puścił wolno konia. Teraz wiemy jednak, gdzie jest, więc wszystko będzie dobrze. Pani Dixon bardzo żałuje, że wyjeżdżasz. Dała ci premię, dziesięć szylingów. Oczywiście wypłacą ci też pieniądze Lucasa. Zabierzesz je ze sobą.

Hanni pomyślała, że kłótnia Lucasa z tą świnią Keithem musiała być poważna, skoro jej mąż postanowił nie wracać na ranczo. Bardzo to do niego pasowało. Pasowało też do młodego Dixona, wystarczająco złośliwego i zawziętego, by pozbawić pracy ich oboje. Miała tylko

nadzieję, że nie walczyli o nią. Keith mógł przecież naopowiadać jej mężowi mnóstwo kłamstw i z pewnością był do tego zdolny. Pakując torby trzęsła się ze zdenerwowania. Co też powiedział mu młody Dixon? I czy to jego słowa sprawiły, że Lucas po prostu oszedł? Tak, to całkiem możliwe.

W nocy nawiedziły ją kolejne czarne myśli. Powiedziano jej, że ktoś odwiezie ją do miasta wozem. Ale kto? Postanowiła, że jeśli miałyby to być Keith Dixon, po prostu odmówi. Przecież nie mogą jej zmusić. A ponieważ miała w końcu opuścić to okropne miejsce, nie musiała już martwić się o to, że kogoś obrazi.

Odjeżdżała innym wozem niż ten, którym tu razem przyjechali, był znacznie wymyślniejszy, ze skórzanymi siedzeniami i przykryciem. Prawie dyliżans, tylko bez ścian bocznych. Nigdy takich nie widziała, ale daszek przynajmniej osłaniał ich od słońca. Ich to znaczy ją, gospodynię i woźnicę Dana, jednego z pastuchów.

278

Zatrzymali się w połowie drogi do miasta. Dan zagotował w kociołku wodę na herbatę, Elsie wyjęła z koszyczka ciasto i babeczki. Hanni nie chciała opóźnienia w podróży. Nie miała o czym rozmawiać z kobietą, którą ledwie znała, godziny mijały jej niczym podczas ciężkiej pracy. Lecz nagle okazało się, że Elsie, zawsze surowa i pedantyczna, ma w koszyku także butelkę dzinu.

- Napijesz się? - spytała. - Już dla nas nie pracujesz, więc mogę ci zaproponować łyczek.

- Raczej nie. Nigdy nie piłam dzinu.

- Jest dość okropny, ale można się do niego przyzwycząić. Masz, spróbuj.

Nie lubię pić sama, a przed nami jeszcze kilka godzin tej nudnej podróży. Wypiły po kubku. Elsie nie zapakowała ich do koszyka z resztą wiktuałów. Nie zapakowała też butelki. Miała rację, uznała Hanni. Dżin rzeczywiście smakował okropnie, ale na statku piła gorsze trunki, a w ogóle drugi kubek, wypity w powozie podczas drogi, gdy roześmiane objęły się o siebie, wcale nie był taki zły.

Okazało się, że Elsie jest kuzynką pani Dixon. Odcierpiała swoje, kiedy „ten łobuz” uciekł z „ladacznicą” zaledwie dziesięć dni przed ustalonym dniem ślubu. Hanni czuła, jak pałą ją uszy, gdy w milczeniu, nie śmiąc przerwać, słuchała żalosalnej historii gospodyni. Główne role grały w niej suknia ślubna, prawdziwe arcydzieło babci Pinnow, zamieszanie po ucieczce narzeczonego, goście z daleka zjeżdżający się na wesele, konieczność odwołania przyjęcia w hotelu w Maryborough, druchny szlochające tak, jakby to je porzucono. Była to długa opowieść, ale wypełniła czas do następnego postoju. Na lunch i wymianę koni zatrzymali się na dużej farmie. Pani domu, łagodna, bardzo uprzejma kobieta, także była krewną Elsie. Kiedy wyjeżdżali, dołożyła im ładunek ciast dla babci Pinnow wraz z butelkami lemoniady.

Ruszyli w drogę. Elsie wyjęła kubki.

- Napijesz się lemoniady? Jej jest naprawdę dobra.
- Tak, poproszę.
- Doskonale pije się ją z dżinem.

Miała rację. Lemoniada zmieniła nieprzyjemnie smakujący trunek w orzeźwiający nektar. Hanni rozsiadła się w powozie, myśląc o tym, jak bardzo powrót do miasta różnił się od podróży z miasta na ranczo. Jechali wozem, prymitywnym, nie resorowanym.

Zatrzymali się raz, na herbatę gotowaną w kociołku i kilka sucharów. Przy brzegu rzeki, w której woźnica musiał napoić konie.

Westchnęła. Byli wówczas tacy szczęśliwi. Czekala na nich praca, podziwiali egzotyczny wspaniały krajobraz oraz nie znane im dotąd zwierzęta. Nigdy przedtem nie widzieli niczego podobnego do kangurów, ptaków tak wielkich jak emu, nawet w klatkach, a tu skakały i biegały na wolności. Przebyli długą drogę, niewygodnie, obijając się o siebie i łykając kurz, ale jakże wspaniale się bawili.

Elsie nie milkła ani na chwilę. Opowiadała teraz o jakimś dżentelmenie mającym farmę na dalekim zachodzie i choć właściwie Hanni jej nie słuchała, te słowa wpadły jej w ucho. Dziwne. Clonmel leżało w głębi kraju, jak tu mówiono: „na zachodzie”. Jak daleko stamtąd do „dalekiego zachodu”, na litość Boską! Dżentelmenem owym był niejaki Henderson; znała to nazwisko, choć nie pamiętała skąd. Nie zastanawiała się nad tym długo, myślała przede wszystkim o Lucasie. Elsie znów napełniła jej kubek. Hanni tak bardzo stęskniła się za Lucasem, kochanym Lucasem. Jakie to było straszne, tak bać się i martwić, dni wydawały się długie jak miesiące, może przytrafiło mu się coś straszego... Już nigdy nie będzie flirtowała z innym mężczyzną. Powie mu o tym. Powie: „nigdy”. Nie będzie musiała martwić się o to, że jest lekkomyślna, głupia.

W butelce dzinu pokazało się dno. Elsie upuściła ją z powozu na miękką czerwoną ziemię tak sprytnie, że woźnica nic nie zauważył.

Wkrótce znaleźli się na obrzeżach miasta, a po niedługim czasie zajechali na podjazd domu stojącego obok tartaku.

- Tutaj wysiadam - oznajmiła Elsie. - To dom babci Pinnow. Dan odwiezie

cię na miejsce, Hanni. Bardzo mi przykro, że opuszczasz Clonmel, ale skoro tak musi być, niech będzie. Pozdrów ode mnie Lucasa.

Pojechali Drogą Taylora. Powóz znów się zatrzymał.

- Gdzie jesteśmy?

- U Niemców - odparł Dan zeskakując z kozła. Zrzucił lejce na koniowiąż i zaczął rozładowywać powóz.

Hanni nie wysiadła.

- Gdzie Lucas? - spytała i bardzo się zdziwiła, bo zabrzmiało to zabawnie, trochę jak: „Gdziee Luuca...”

280

- Pewnie gdzieś tu jest.

Pojawił się ojciec Beitz. Podszedł do nich dziarskim krokiem. Hanni była tak szczęśliwa, że go widzi. Co za ulga! Biały strój, siwe włosy i broda... wyglądał jak anioł. Znacznie piękniej niż w czarnej sutannie. Wyciągnął ku niej rękę zachwycony jej widokiem. Jakie to było wspaniałe po wszystkim, co przecierpiała.

- Hanni, dziecko drogie. Co za niespodzianka! Wyszła z powozu, stanęła na ziemi, zachwiała się.

- Pastorze, jesteś piękny... Taki piękny...

Nim zdołała się na nim oprzeć, ziemia usunęła się jej spod nóg. Duchowny z niedowierzaniem patrzył, jak pada u jego stóp.

Obudziła się w chacie. Słońce świeciło jej wprost w twarz z dziury, gdzie zapadła się strzecha. Leżała na niskiej pryczy zaledwie kilka centymetrów nad podłogą; miała stąd dobry widok na przemykające po podłodze jaszczurki. Zdażyła się już do nich przyzwyczać, w Clonmel nie brakowało ani ich, ani mnóstwa przerażających owadów i pajaków.

Jaszczurki nawet polubiła, także gekony o słodkich pyszczkach, przyglądające się ludziom z sufitu. Ale w tym pomieszczeniu nie było sufitu, tylko strzecha. Nie było też drzwi, a jedynie otwarte wyjście wprost do buszu.

- Gdzie jestem? - Hanni poderwała się z pryczy i poczuła ostry, przeszywający ból głowy. Nie знаła tego miejsca, ale pocieszył ją widok bagaży, z płaszczem i czepkiem ułożonymi porządnie na skrzynkach. Z rosnącym uczuciem paniki Hanni uświadomiła sobie, że spała ubrana, i to w najładniejszą sukienkę z koronkowym karczkiem. W samych tylko pończochach przeszła po klepisku do otworu wejściowego i ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. Ptaki wrzeszczały wniebogłosy, ludzi nigdzie nie było widać. Dopiero w tej chwili Hanni przypomniała sobie, że przyjechała spotkać się z Lucasem, a więc powinien on gdzieś tu być. Choć nie miała pojęcia, dlaczego pozwolił jej spać w ubraniu, w tym ubraniu!

- Lucas! - krzyknęła. - Lucasie, gdzie jesteś! Zamiast męża pojawił się Walther Badke. Walther!

- Co ty tu robisz? - spytała go.

- Ja tu mieszkam, Hanni. Dobrze się czujesz?

- Tak, dziękuję. Gdzie mój mąż?

281

- Lucas? Nie mam pojęcia.

Warkocz Hanni rozplótł się, kosmyki włosów zwisały na policzki.

Niecierpliwie zgarnęła je za uszy.

- Przepraszam cię, Waltherze. Wiem, wyglądam okropnie. Powiedz mi tylko, gdzie jestem, bo w ogóle nie znam tego miejsca.

- To nasza wspólnota, Hanni. Przy Drodze Taylora. Nie pamiętasz?
- A tak, oczywiście! Wybudowałaś tę chatę?
- Tę i jeszcze kilka innych. Bracia Lutze, ojciec Beitz i ja.
- W głosie Walthera brzmiała duma. - A teraz budujemy kościół.
- Ach - westchnęła dziewczyna. Trudno jej było przyswoić sobie te wszystkie informacje. - Miałam tu spotkać Lucasa
- powiedziała po dłuższej chwili. - Jeszcze nie przyjechał?
- Niestety nie.
- Ale wy mnie przyjęliście. To bardzo miło z waszej strony. Już pamiętam, przyjechałam powozem z Clonmel. Byłam strasznie zmęczona. Przecież to długa droga.
- Owszem. - Walther poważnie skinął głową. - Zjesz śniadanie?
- Bardzo chętnie. Jestem głodna. Pozwolisz, że przedtem doprowadzę się do porządku?
- Hanni czeka na Lucasa - powiedział ojcu Beitzowi Walther.
- Chwała Panu! Czyż nie mówiłem? Wszyscy w końcu wrócą, nasza kongregacja będzie tu wspólnie żyła i pracowała. Już wkrótce będę mógł otworzyć szkołę misyjną.

Walther myślał jednak o czymś innym. Teraz kiedy dołączyła do nich kobieta, powinni wybudować kolejną chatę, ale położoną na uboczu, dającą trochę prywatności. Muszą też bardziej o siebie zadbać, choćby dopilnować ubrania. W obecności dam nie powinni chodzić ubrani tylko w przycięte spodnie. Zastanawiał się, dlaczego Fechnerowie wyjechali z rancza. Kiedy słyszał o nich po raz ostatni, mówiono, że radzą sobie bardzo dobrze. Obawiał się też, że jeśli powróci więcej ludzi, a wszyscy, co oczywiste, zostaną mile powitani, zaczną brakować jedzenia. Będzie

musiał oczyścić i przygotować więcej ziemi pod drobne uprawy oraz powiększyć kurnik, co samo w sobie było nie lada wyzwaniem.

282

Niewiele zostanie mu czasu na łowienie ryb będących podstawą ich wyżywienia.

Największy problem w tym, że doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny.

Tibbalinga fascynowała młoda kobieta o nieprawdopodobnie białych włosach. W gruncie rzeczy fascynowali go wszyscy ci ludzie pochodzący z innego plemienia niż miejscowi biali. Mówili innym językiem, budowali inne domy. A jeśli o domy chodzi, to te ich bardzo przypominały domy wyspiarzy z mórz południowych. Kanakowie powiedzieli ludziom Tibbalinga, że u siebie mieszkają w dużych domach krytych skomplikowanie przeplataną strzechą. Bardzo ich zainteresowała wiadomość o tym, że plemię Niemców postępuje podobnie. Jeden z przyjaciół Tibbalinga pofatygował się nawet obejrzeć konstrukcje białych. Nie zaimponowały mu. Powiedział, że są prymitywne.

- Ale lepsze niż dziury w ziemi, które zamieszkują twoi ludzie - zakpił. Tibbaling roześmiał się.

- Wiemy, jak mieszkać sucho i ciepło, ale kiedy gwiazdy świecą, chcemy je widzieć. Nie kryjemy się przed nimi, bo wśród nich są nasze dzieci i przodkowie.

Ta młoda kobieta imieniem Hanni była u nich przez cały dzień. Walther pojechał na koniu do miasta szukać jej męża. Wrócił bez niego, powiedział, że nikt nic o nim nie wie. Dziwni to byli ludzie. Za ledwie wczoraj Walther i ocie Bęc pocieszali inną kobietę, tę, od której uciekł mąż, Theo. Zazwyczaj przychodziła z nim i synem na ich cotygodniowe

ceremonie, ale tym razem była bez nich. Bardzo zdenerwowana.

Ocic Bęc nie przejmował się jej mężem, mówił, że Theo wróci. Martwił się o tego drugiego.

Tibbaling nie wtrącał się do jego rozmowy z piękną białowłosą; siedział ze skrzyżowanymi nogami przy ścianie chaty, przygnębiony jej nieszczęściem. Nie pamiętał męża, o którym rozmawiali, tylu ich było tego pierwszego dnia, więc spojrzął na Lucasa poprzez jej oczy. Skinął głową. A, tak. Widział go, wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę.

Machinalnie strzepnął z nóg nachalne mrówki.

Mogło się wydawać, że śpi przytulony do ściany chaty, że grzeje stare kości w łagodnych promieniach popołudniowego

283

słońca, i może rzeczywiście tak było? Ale jednocześnie wysiłkiem myśli wszedł w próżnię, miejsce, gdzie nie ma niczego, gdzie nieznane jest nawet pojęcie kontemplacji. Bawił się wiszącym mu na szyi zębem rekina, symbolem wysokiego statusu szamana. Odszukał Warrichattę, wielkiego nieulękłego rekina, który zszedł z nieba we Snach jako reprezentant wszystkich ryb i chronił je przed Gongorą.

Oczami Warrichatty zbadał głębię rzeki, od jej źródła po ujścia wśród białych piasków zatoki, biały człowiek mógł bowiem utonąć w przepastnych wodach. Nie znalazł go, więc z niemałym strachem odszukał Gongorę, bo jeśli biali ludzie, tacy sprytni, nie potrafią znaleźć jednego ze swoich, to pewnie utopił się w rzece. Albo gorzej, pomyślał Tibbaling.

Przerażający był świat widziany oczami Gongory. Obrzydliwie żółty, śmierdzący zgniłymi jajami. Wchodziło się weń z błyskawiczną szybkością, straszliwie, gwałtownie, w rytm uderzeń monstrualnego ogona

poruszającego cielsko we wstrętym rytmie. Nie był Warrichattą, gładkim, eleganckim wspaniałym towarzyszem podróży. Tibbaling zniósł jednak jego obecność, oczami krokodyla badał rzekę i jej błotniste brzegi, póki nie dowiedział się tego, co musiał wiedzieć. Biały mężczyzna, Lucas, nie utonął, nie pożarły go ani rekiny, ani krokodyle. Sprawdzenie tego wymagało wiele energii, stary szaman pocił się obficie, mrówki, które przedtem tylko po nim chodziły, zaczęły kąsać.

Zgarnął je z ciała gwałtownymi, niecierpliwymi ruchami. Odszedł do buszu, zajął lepszą pozycję w wilgotnym zagajniku przy kępie bambusa. Ale grzechot uderzających o siebie pędów przeszkadzał mu, a wrzask ptaków czynił osiągnięcie celu niemal niemożliwym. Tibbaling wstał, odłamał bambusowy pręt i cisnął go w powietrze, jakby miotał włócznią. Pęd wzleciał nad drzewa... i zawisł wysoko ponad ich wierzchołkami.

- Co się stało? - spytał Walthera ojciec Beitz.

- Jak to? - zdziwił się Walther.

- Nagle zrobiło się bardzo cicho. Nawet ptaki przestały skrzeczeć.

- To pewnie jastrząb. Już wcześniej dostrzegłem, że na jego widok ptaki cichną.

- Ależ ja nie słyszę szumu strumienia!

Walther nawet tego nie zauważył. Był zbyt zajęty usprawiedliwianiem się Hanni z tego, że nie wie, gdzie jest jej mąż. Jego

284

zdaniem zatrzymał się u kogoś w mieście, gdzieś, gdzie nie przyszło mu do głowy go szukać. Niewykluczone też, iż nie zdawał sobie sprawy, że żona może przyjechać z rancza tak szybko. Zainteresowany rozmową ojciec Beitz zapomniał o panującej wokół ciszy. Tibbaling siedział

nieporuszony, odprężony. Kij upadł na ziemię. Napomniane ptaki zachowywały się spokojniej.

Znów pozwolił umysłowi zdryfować w próżnię, ale po groźnej wędrówce z Gongorą jedną ręką mocno trzymał się korzeni najbliższego drzewa.

Gongora mógł i potrafił przywołać duchy, pomniejszych, ale zdolne wpędzić w straszne kłopoty. Kiedyś, i to nie raz, oferował je wraz ze wszystkimi ich możliwościami do dyspozycji Tibbalinga, próbując nawiązać z nim nie przyjaźni, ale stary Aborygen nie miał zamiaru wchodzić z nim w konszachty, bo wiedział, że stworowi nie wolno ufać. Czasami myślał nawet, że mógłby zemścić się na białych najeźdźcach, wyzwalając jego okrucieństwo wobec każdego, który zbliżyłby się do brzegu rzeki, ale Warrichatta w swej mądrości odradził mu to.

- Widziałem ich na całej ziemi - powiedział. - Są liczni, zbyt liczni.

Gongora nie pomoże. Plują na niego.

- Na Gongorę? Muszą być potężni.

- Przemówię w twoim imieniu do ludu warrigala, Tibbalingu. Twój lud dingo jest bardzo sprytny. Skłonię ich, by spotkali się z potężnymi duchami rekinów całego oceanu, by dowiedzieli się, jak powinieneś traktować białych najeźdźców.

Tibbaling osiągnął cudowny stan zachwycenia. Wspominał udzielone mu rady i dziś nie wstrząsały nim tak jak niegdyś.

- Są smutni - powiedziano mu. - Zbadali pamięć naszych plemion od tysięcy pokoleń, lecz ten problem jest nowy. Inni przybywali do naszych brzegów, walczyliśmy z nimi lub ich asymilowaliśmy. Czego dowodem północne plemiona.

- Załamują dłonie ze wstydu, bo nie są w stanie udzielić rady. To duchy -

Warrichatta zapłakał - zdolne odwrócić fale przyływu. Zdolne ściągnąć z nieba błyskawice. Zdolne wysuszyć ziemię. Nie potrafią jednak oprzeć się masie i wściekłości białego człowieka.

- Dlaczego? - Tibbaling także płakał.

- Bo pochodzą od naszej matki ziemi. Mogą odwołać się tylko do jej potęg. Wrogów mamy zbyt licznych, a nasze duchy musiały przyznać, że oni też mają duchy. Ich duchy wymagają prawa do chodzenia po ziemi bez przeszkód.

285

Ta informacja wstrząsnęła starcem. Do głowy by mu nie przyszło, że najeźdźcy mogą mieć własne duchy.

- A więc wszystko stracone? - spytał. Szare oczy rekina zabłyśły.

- One wcale nie są o tym przekonane. Sądzą, że nadchodzi nowy czas Snów. By znaleźć drogę przez złowrogą mgłę, trzeba więcej kontemplacji.

- To wielka pomoc.

- A jednak jakąś pomoc oferują. Mądrzy ludzie jak ty...

- Proszę, nie mów tak, Warrichatto. Nie jestem mądrym człowiekiem.

Zrobiłem wszystko, czego wymagały ode mnie duchy. Pościłem, słuchałem nauk mędrców, odcierpiałem dziewięć demonów północy, walczyłem w ich jaskiniach i górach; zrobiłem to wszystko, spełniłem wymagania. A jednak mądrości mi nie dano.

- Mówią, że człowiek mądry to taki, który wie, że wiele jeszcze musi się nauczyć.

- Prawda, lecz mało czasu mi zostało, przyjacielu. Nie mogę pomóc mojemu ludowi. Czas mnie pokonał.

- Nie, Tibbalingu. Nasze duchy pokonały czas. Ty i wielu mądrych ludzi

takich jak ty dostaliście drugie życie. Dla nauki.

- Co to znaczy?

- Wielkie duchy rozumieją, że jeśli one nie mogą znaleźć wyjścia, to cóż może zrobić człowiek w jednym tylko życiu? Dały ci więc następne.

- Następne?

- Tak. - Warrichatta, szary, elegancki, smukły, zniknął w srebrzystym morzu. - Następne życie - szepnął. - Byś mógł nauczyć się więcej, Tibbalingu. Masz przed sobą jeszcze jedno życie.

- A więc - wyrzucił siedzący pod chatą starzec. - A więc... Ucichł. Znow odplynał. Podszedł do niego dingo, duch warrigala, nie tylko totem, lecz i przyjaciel. Zawsze lojalny. Rzadko go widywał, ale wiedział, że jest zawsze w pobliżu. Razem obejrzeliby ziemię od najdalszych wzgórz przez równinę, łożyska wyschłych strumieni, martwe oczka wodne, wielkie drzewa znajdujące ich nawet w Snach... i dalej... i dalej...

Tibbaling obudził się z marzeń krzycząc. Całe jego ciało pokrywały mrówki, wielkie jadowite mrówki. Strząsał je gwałtownymi gestami,

286

lecz gdy spróbował wstać, nie mógł. Prawa noga płonąca bólem odmówiła mu posłuszeństwa.

Dingo odskoczył, przerażony krzykiem, a potem jego ślepia rozszerzyły się. Opuścił łeb. Patrzył na mrówki, słuchał ich... a po chwili odwrócił się i bezgłośnie znikł w buszu.

Lucas uświadomił sobie, że chodzi w kółko. Nadal nie przekroczył granic spalonej ziemi, a powinien albo wyjść już z zasięgu pożaru, albo dotrzeć do rzeki. Od czasu do czasu przejmujący ból sprawiał, że zapadał w mroczne koszmarne sny, po których odzyskiwał przytomność przerażony,

oblany potem. Musiał odpoczywać, był zbyt zmęczony, by posuwać się dalej.

Odpoczywał oparty o drzewo, próbował opracować jakiś plan, jakiś sposób oznaczania drzew, ale usta miał suche, a pragnienie dokuczało mu do tego stopnia, że znajdował ulgę w drzemce, w ucieczce przed rzeczywistością. Wiedział, że nie powinien spać w dzień, że tylko przy świetle dziennym może znaleźć wyjście z tego labiryntu, ale pokusa była zbyt silna. Już prawie zasnął, kiedy zaczęło dziać się coś dziwnego. Poczł swędzenie, lekkie drapanie, podrażnienie skóry pod koszulą. Na pół przytomny podrapał się w pierś i... obudził nagle, odczołgał jak najszybciej, przeklinając żar setek ugryzień. Położył się na mrowisku!

- Wielkie mrówki! - syknął tocząc się po ziemi, próbując rozgnieść owady pełzające po całym ciele. Kumple z pracy wielokrotnie pokazywali mu mrowiska, których sporo było w dziczy, ostrzegając, że ich ugryzienie może być bardzo nieprzyjemne, bolesne... a on, głupek, na takim mrowisku się położył! Teraz mrówki nie tyle go gryzły, ile kąsały wściekle niczym osy. Po policzkach Lucasa spływały łzy bólu i wściekłości.

Walczył jak szalony, choć do pomocy nie miał deszczu ani przyjaznego strumienia. Zerwał koszulę, machał nią wściekle, nie mógł jednak zdjąć spodni z bolącej nogi, więc walka trwała dalej, aż wreszcie mrówki uznały, że dość tego dobrego, i zrezygnowały z ataku.

Lucas leżał na kawałku nagiej ziemi zdyszany, znów wyczerpany do granic wytrzymałości. Najpierw pomyślał, że to tylko słońce, ale nie, owo wilgotne gorąco, to wzmagające się, to ustające, musiało oznaczać coś zupełnie innego. Otworzył oczy i spojrział w ślepią wpatzonego w niego ogromnego, groźnie wyglądającego dingo.

- No nie - jęknął czując się jak Hiob. Jak na Hioba Bóg spuszczał na niego kolejne plagi. Nie zareagował na obecność dingo. Chce, niech gryzie. Nie miał siły, żeby go odpędzić. Odstraszyć.

Ale dingo wcale go nie ugryzł. Cofnął się i usiadł, nie spuszczając z niego wzroku. Dobry piesek, pomyślał Lucas, ale nie zdołał powiedzieć tego głośno. Spuchnięty język nie mieścił mu się w ustach. Nie wiedział, ile czasu spędził już w tym miejscu.

Dingo nie ruszał się, jakby pełnił wartę, Lucasowi było to jednak zupełnie obojętne. Jakimś cudem musiał iść dalej.

Mrówki znikły. Tibbalinga zaniepokoiło co innego. Wezwał warrigala, ale nie doczekał się odpowiedzi. Podrapał się po głowie, rozejrzał dookoła.

Znikły gdzieś jaskrawe kolory buszu, wszystko było albo głęboko czarne, albo jaskrawo białe. Przeszedł tędy ogień. Wstał i ruszył przez spaloną ziemię, powoli, wytrwale, bo oto dostrzegł warrigala, siedzącego, lecz czujnego, jakby czegoś pilnował. Rzeczywiście coś przed nim leżało. Nie coś. Człowiek.

- Tu jesteś - powiedział starzec zaniepokojony. Leżący człowiek cierpiał. Potrzebował natychmiastowej pomocy.

Było to zimne, puste żalosne miejsce, powitał więc z radością wesoły szmer strumienia zwiastujący, że ocknął się ze snu w buszu, niedaleko obozu oćca Bęc.

Ruszył na poszukiwanie Billy'ego, swego podopiecznego, który jak powiedział duchom, będzie potrzebował trzech żywotów, by osiągnąć zrozumienie tych czasów, w których tyle się dzieje i tak szybko. Trudno było jego ludowi pozostać wiernym Snom, mimo iż na tym terenie nie

zdarzały się już mordy, a to dlatego, że ziemię deptały teraz hordy białych ludzi. Ciągłe nowe plemiona mówiące różnymi językami, a w dodatku jeszcze Chińczycy i Kanakowie. Od dnia narodzin nie widział przedstawicieli tylu kultur. Całe życie zajmie człowiekowi poznanie choćby jednej.

- Masz pójść do warrigala - powiedział Billy'emu.

- Gdzie go znajdę?

- On znajdzie ciebie. Moim zdaniem jest w spalonym kraju, tym, przez który ostatnio przeszedł ogień. Weź kanoe, popłyn w górę rzeki. Warrigal pokaże ci, gdzie masz potem iść.

288

Dingo pozostał z nim przez całą noc, grzejąc go swym ciałem, dodając mu otuchy. Rankiem znikł, a na jego miejscu pojawił się tubylczy pastuch.

Spojrzał na Lucasa z góry, po czym zawołał przez ramię:

- Nie wygląda za dobrze, Yarrupi! Będzie kłopot z wyniesieniem go.

Lucas wyciągnął do niego rękę, próbował przemówić, ale nie mógł przez ten przeklęty język. Zupełnie jakby miał w ustach kłęb sierści. Zdołał nim poruszyć i poczuł smak krwi płynącej z popękanych warg. Z wysuszonej krtani dobył niewyraźny dźwięk. Aborygeni go zrozumieli. Przynieśli wodę, wlewali mu ją do ust po kilka kropel, zwilżyli twarz. Mijał czas. Gdzieś go nieśli. W pobliże wody, strumienia. Opiekowali się nim z niezrównaną cierpliwością, jakby czas nic dla nich nie znaczył. Lucas bał się, że opuszczą go po zmroku. Zdawał sobie sprawę, że zmyli mu z twarzy pył i popiół. I zrobili coś z jego nogą, owinęli ją czymś; nadal bolała, ale czuł się znacznie pewniej.

Zdawało mu się też, że wysmarowali go jakąś miksturą przypominającą

sok roślinny. Miało to coś wspólnego z ukąszeniami jadowitych mrówek, ale dalibóg nie wiedział, czy było potrzebne i po co. Czyżby pogryzły go mrówki? Nie miał pojęcia, dlaczego się tym przejmuję. Wystarczyła złamana noga. Dlaczego nie zrobią czegoś z jego nogą? I był głodny. Umierał z głodu. Złapał za rękę tego, któremu mówili Billy, poprosił go o przyprowadzenie konia.

- Muszę jechać - wykrztusił. Billy skinął głową.
- Co on powiedział? - spytał Yarrupi w ich języku.
- Nie wiem. On sam pewnie nie wie. Trzeba zanieść go nad rzekę. Musiał spędzić tu wiele dni, biedny.
- Bierzemy go do naszego obozu?
- Nie. Lepiej oddać go białym ludziom najszybciej jak to możliwe. Pomożesz mi wsadzić go do kanoe. Spłyniemy z prądem.
- Bądź ostrożny na rzece, Billy. Niewiele jedzenia mają tak późną porą. Lud Gongory głodny.

Billy był zbyt nieśmiały, by powiedzieć swemu przyjacielowi Yarrupiemu o tym, co dzieje się w jego życiu, nawet o tych kilku drobnych rzeczach, których uczył się od Tibbalinga i o których wolno mu było mówić.

Oczywiście wszyscy wiedzieli, że stary

289

jest czarownikiem o wielkiej mocy, ale nikt, dosłownie nikt nie wiedział, jak wielka jest ta moc. Nie manifestowała się w jakiś oczywisty sposób, polegała raczej, jak on sam to ujął, na pracy umysłu - pracy wymagającej długich, bardzo długich godzin intensywnej koncentracji, wysiłku, o którym teraz nie chciał nawet myśleć. To warrigal go tu doprowadził. Jak miał wytłumaczyć Yarrupiemu, że widział drogę jego oczami, aż spotkał

go stróżującego przy Lucasie? Gdy tylko obaj pojawili się w pobliżu, warrigał znikł w cieniach.

Billy wiedział też, że w kanoe będzie bezpieczny. Tibbaling wysłał Warrichattę, by mu towarzyszył i strzegł przed potworem Gongorą i jego plemieniem, gdzie nikomu nie można było ufać. Nawet biali ludzie ze swoimi strzelbami bali się krokodyli, jak nazywali ten ród. I mieli powody. Nad rzeką Mia, która opiekowała się krową Jakoba, przyniosła mleko dla Lucasa, ale zabroniła podawać mu stałe pożywienie, przynajmniej na razie.

- Biedny człowiek - powiedziała. - Bardzo chory. Źle wygląda, taki żółty. Płyn z nim szybko, Billy. I wracaj jeszcze szybciej.

Billy mocno przytulił siostrę.

- Wrócę do domu, gdy tylko będę mógł. Wy, ludzie, opiekujcie się Jakobem. On też jest moim przyjacielem. Tibbaling to zorganizował.

- Organizuje za wiele - stwierdziła Mia kwaśno. - Powinien pozwolić ci wrócić, być z rodziną.

Ułożyli Lucasa na dnie kanoe. Billy sprawnie wprowadził je w nurt rzeki. Pożegnał Mię i Yarrupiego spojrzeniem nie wolnym od zazdrości. O ile prostsze byłoby jego życie, pomyślał smutno, gdyby mógł zrzucić maskę pastucha, którą musiał nosić, by poznać życie białych ludzi. Gdyby mógł odrzucić przymus nauki, łańcuch wiążący go z obcymi. O ileż byłby szczęśliwszy bez podniecającego uczucia wstępowania pod nadzorem szamana na kolejne poziomy wtajemniczenia.

A może nie? Rozpościerał się przed nim świat poza światem czekający na odkrycie przez każdego, komu nie zabraknie cierpliwości, by słuchać, i odwagi, by badać. Jedna z wielu tajemnic nie dawała mu jednak spokoju:

skąd Tibbaling wiedział tak dużo, wraz z najdrobniejszymi szczegółami, o tym, co zdarzyło się na długo przed jego urodzeniem.

290

Lucas krzyknął w delirium. Wołał żonę.

- Już niedługo, przyjacielu - powiedział Billy wiosłując ze wszystkich sił. - Już niedługo, niedługo. - Jął nucić te słowa, uczynił z nich coś w rodzaju piosenki, mającej pomóc Lucasowi w utrzymaniu przytomności. I on zaczął ją śpiewać. „Już niedługo, niedługo...”

Żaden z nich nie uświadomił sobie, że śpiewają we własnym języku, nie angielskim, zupełnie innym. Tibbaling usłyszał ich jednak i uśmiechnął się do siebie.

Przyglądał się także, jak sympatyczni bracia Lutze na okrzyk dźwigają Lucasa z łodzi, jak wszyscy dziękują Billy'emu i w ogóle robią wokół niego zamieszanie, jak podjeżdża powozik i wiezie Lucasa do domu chorych, który biali zwą szpitalem. Potem wrócił do obozu na posiłek. Był bardzo głodny, a jedzenie, którym w swej uprzejmości obdarzał go ocie Bęc, wcale mu nie smakowało.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Les Jolly i Charlie Mayhew znaleźli się na pokładzie „Tary”, gdy ów parowiec żeglugi przybrzeżnej odpływał z portu w Brisbane. Obaj mieli interesy w stolicy: Les załatwiał sprawy eksportu drewna, Charlie chciał porozmawiać w parlamencie ze swym przedstawicielem, posłem Walterem Scottem, o możliwości zatrudnienia Kanaków. Ze zdziwieniem stwierdzili, że podczas ostatniego etapu podróży, z Maryborough do Bundabergu, pokład był prawie pusty.

- W Maryborough uciekali z pokładu jak spłoszone bydło

- powiedział kapitan.

Charlie roześmiał się głośno.

- Tak, widziałem. Wyglądało to jak wyścig: kto pierwszy na lądzie! Jak dostaną się stamtąd na pola złotonośne?

- Pieszko - odezwał się Les. - Chyba że któregoś stać na konia, a ich niewiele zostało. Powinno się zebrać ludzi i zacząć łapać kuce. Na tym można by nieźle zarobić.

- Tylko go posłuchaj. - Charlie nie przestał się śmiać.

- Prawdziwa maszyna do robienia pieniędzy. Słyszałem, że kupiłeś tartak?

- I ten nowy pub - dodał kapitan.

- „Royal”? Jest twój, Les?

- W połowie. Drugą ma Łysek Grigg. Załatwił licencję na alkohol.

Zbudowałem go bardzo przyzwoicie, najlepsze drewno, najlepsi cieśle. A co z tobą, Charlie? Ciągłe powtarzasz, że chcesz wybudować na plantacji dom z prawdziwego zdarzenia. Dlaczego nie miałbym ci pomóc teraz, kiedy mam na miejscu ludzi?

292

- Ciekawe, że jeszcze nie uciekli - wtrącił kapitan. - Złoto kusi.

- Lepiej, żeby nie próbowali. Pracują nad odnowieniem domku koło pubu. Mieszkał tam zarządca tartaku, ale musiał zrezygnować, bo jego żonie nie spodobało się w Bundabergu.

Basowy śmiech kapitana omal nie rozsadził małej kajuty, w której pili pożegnalną whisky.

- Płynęła ze mną. Tylko spojrzała na Quay Street i stanowczo odmówiła zejścia z pokładu, chociaż błagał ją na klęczkach. A jak go traktowała, no to już zupełnie inna opowieść. „Nie jestem wiejską babą!” wrzeszczała.

„Jak śmiałeś przywieźć mnie w takie miejsce?”

- To ona, jakbym ją słyszał. - Les uśmiechnął się krzywo.

- Ten domek wynajmuje teraz niemiecka rodzina, ale kiedy go wyremontujemy, będą musieli się wyprowadzić.

Na wzmiankę o Niemcach Charlie poczuł ukłucie wstydu. Miał tylko nadzieję, że Keith Dixon doręczył pani Fechner jego drobny upominek wraz z odpowiednimi przeprosinami.

- No to co z tym twoim domem, Charlie? - naciskał Les.

- O ile dobrze pamiętam, wspomniałeś, że architekt wyrysował ci już plany?

- Tak, owszem. - Mayhew odepchnął od siebie wspomnienia przeszłości. Cały rozjaśnił się na myśl o wymarzonym domu.

- Chcę, żeby był w prawdziwym stylu kolonialnym, piętrowy, z werandami ze wszystkich stron, osłaniającymi od słońca i deszczu, ale elegancki...

- Moi ludzie zrobią go tak eleganckim, jak sobie zamarysz

- upewnił go Les, ale Charliego to nie uspokoiło.

- Z całym szacunkiem - powiedział - ale mnie niepotrzebni są dobrzy cieśle, ja potrzebuję najlepszych. Masz swoich, pewnie dużo umieją, ale czy potrafią prawidłowo odczytać plany? Znajdź mi najlepszych i sprawa załatwiona.

Jak można się było spodziewać, gdy tylko „Tara” przybiła do nabrzeża, Les, Charlie i kapitan poszli do pubu „Royal”. Barman z radością podjął znakomitym poczęstunkiem pana Jolly'ego i jego przyjaciół w prywatnym gabinecie, podzielił się też z nimi najnowszymi lokalnymi wiadomościami i plotkami.

Dowiedzieli się o pożarze buszu na ziemi Meissnerów. I na sąsiadującym z nią nadziale.

293

- Chyba nie na działce Quinlana? - zdziwił się Charlie.
- A jednak. Tak właśnie nazywa się właściciel.
- Ich dom spłonął? - zainteresował się Les.
- Owszem. Dom i cały dobytek. I ucierpiał jeszcze jeden facet. Ma szczęście, że żyje. Czarni go znaleźli, przynieśli do szpitala.
- Kto taki?
- Niemiec. Lucas Fechner.

Charlie od razu rozpoznał nazwisko.

- Czy to nie on pracuje w Clonmel?
- Pracował. Wyrzucili go.
- A co z Meissnerami? - spytał Les.
- Mówili mi, że przepłynęli rzekę i zatrzymali się wśród drwali.

Les Jolly nie zwykł był poświęcać czasu obowiązkom towarzyskim. Po dwóch piwach pożegnał przyjaciół i znajomych, poszedł do domku zarządcy tartaku i z radością stwierdził, że remont jest już niemal ukończony. Cieśle przerobili nędzny drewniany domek z dwiema sypialniami na elegancki podmiejski dom z gankiem i dodatkowo pokojem gościnnym oraz łazienką. Nie zamierzał nikogo niepokoić, wpraszać się, przynajmniej nie teraz, ale na jego widok pani Zimmerman podbiegła do furtki.

- Och, panie Jolly, niech mi pan wybaczy. Wiem, że zalegam z czynszem, ale naprawdę nie mam pieniędzy. Opowiedziałam urzędnikowi w pańskim biurze, co zaszło, lecz on twierdzi, że to bez znaczenia. Ja tylko proszę o

drobną zwłokę. Zdobędę pieniądze i...

- Co się stało, pani Zimmerman? - spytał łagodnie.

- Theo odszedł!

- Co? Zostawił panią i dzieci?

- To nie tak. - Kobieta dzielnie zmagала się ze szlochem. - Pojechał na poszukiwanie złota.

Les niecierpliwie wzruszył ramionami.

- No tak. Spodziewam się, że wróci lada chwila. Wie pani oczywiście, że wkrótce przyjedzie nowy zarządca tartaku? Będzie pani musiała opuścić dom.

- Przecież nie mam dokąd pójść, panie Jolly. Posłałam dzieci do szkoły. Darmowej szkoły! Taka jestem szczęśliwa, że będą się uczyć. Muszę pozostać w mieście!

294

- Może przeniesie się pani do wspólnoty przy Drodze Taylora? Ojciec Beitz i jego towarzysze z pewnością się panią zaopiekują.

- Nie, nie! To niemożliwe. Ojciec Beitz zabroni dzieciom uczęszczać do miejscowej szkoły. Uważa, że nie powinny. Chce, żebyśmy czekali, aż wybuduje szkółkę misyjną, jego zdaniem dopiero ona będzie dla nich odpowiednia.

Les miał dość.

- Dobrze, proszę pani, doskonale. Z pewnością znajdziemy jakieś rozwiązanie.

- Ten dom jest teraz taki piękny - westchnęła Eva. - Niech pan wejdzie, panie Jolly. Nie pozwalam dzieciom dotykać niczego.

- Tak, oczywiście - powiedział uprzejmie. Przeklęty Theo! Co za głupiec.

Miał przyzwoitą robotę u Daveya. Przecież może nie znaleźć złota i pewnie nigdy go nie znajdzie, więc z czego ma żyć jego rodzina? Les znał poszukiwaczy złota. Jeśli raz naszła ich gorączka, nadziei nie sposób było zabić. Kopali, póki uważali, że jest szansa coś wykopać, prędzej by umarli, niż zrezygnowali.

- Panie Jolly, nie wie pan, gdzie mogłabym znaleźć pracę? Muszę zdobyć trochę pieniędzy.

- Chce pani pracować?

- Nie mam wyboru.

Les zsunął kapelusz z czoła, przeczesał ręką jasne włosy.

- Hm, nie wiem. Być może znajdzie się coś w hotelu. W „Royalu”. W kuchni... Proszę spróbować. Niech pani powie żonie właściciela, że ja panią przysłałem. Nazywa się Grigg.

- Dziękuję, bardzo dziękuję. Już lecę.

- Chwileczkę. Zdaje się, że spłonął dom Meissnerów?

- Tak. To okropne. Nic im nie zostało, dosłownie nic. Nie wiem, co z nimi będzie. I Lucas Fechner omal nie stracił życia w pożarze...

Les Jolly wrócił do biura. Zabrał się do papierkowej roboty, której dużo nagromadziło się pod jego nieobecność, ale nie mógł przestać myśleć o pożarze. Próbował uszeregować zdarzenia w czasie. Czy Niemcy sami się podpalili, żeby Dixonowie nie mogli dostać ich drewna? Nie takie rzeczy zdarzały się tu, w dziczy. Zwłaszcza z udziałem Quinlana.

295

- Nie przypuszczam, żeby zaryzykowali spalenie własnego domu - powiedział do siebie. - Chociaż... wypalenie poszycia jest wielką pomocą w oczyszczaniu ziemi. A ogień mógł im się wyrwać spod kontroli.

Nieco później urzędnik rozmawiał z nim, ale nie o pożarze, lecz o Jakobie Meissnerze.

- Wiesz, jak załatwił Dixonów? - spytał.

- O czym mówisz?

- Pamiętasz, jak zabraliśmy ludzi z ich ziemi, bo Dixon twierdził, że on ma prawo do drewna?

- Owszem.

- No... w mieście ciągle opowiadają o tym dowcipy. Niemiec zwrócił się o poradę prawną do Arthura Hobdaya. Nie nabrał się na ich blef. Okazało się, że on jest właścicielem drewna.

- Nie mów! To stawia sprawę w zupełnie nowym świetle.

- No jasne.

Les powrócił myślami do pożaru. Kolejność zdarzeń w czasie, to najważniejsze. Jeśli o zemstę chodzi, Dixonów można ustawić w pierwszym szeregu. Zdolni byli powiesić Niemców za to, że ich pokonali. Nie zamierzał mieszać się w lokalne konflikty, ale sama sytuacja wydawała mu się interesująca. Warta poświęcenia odrobiny uwagi. Pożar nie musiał oznaczać końca sporu. Postanowił, że pojedzie i obejrzy sobie wszystko na własne oczy.

- Les, kiedy przyjeżdża ten nowy zarządca? - spytał urzędnik. - Zarządca tartaku.

- Nie przyjeżdża. Zmienił zdanie w ostatniej chwili, cholernik. Trudno ściągnąć tu ludzi. Maryborough jest znacznie, znacznie ważniejsze.

- Bo tam idą wszystkie rządowe pieniądze. Tutaj nic nie dociera. Ktoś powinien potrząsnąć Walterem Scottem.

- Na przykład kto?

- Keith Dixon chce stanąć w szranki. Jego ojciec ma wystarczająco wiele pieniędzy i wpływów, żeby zapewnić mu zwycięstwo.

Les wzruszył ramionami.

- Niech nas Bóg broni.

Pomyślał o tartaku, do którego potrzebował zarządcy. Miał już kandydata.

296

Eva spotkała Hanni Fechner przed szpitalem.

- Jak on się czuje? - spytała. - Tak się o niego martwiłam.

Nigdy nie widziała Hanni w tak żalnym stanie. Wyglądała na dziesięć lat starszą niż w dniu przyjazdu. W jej oczach nie było tego charakterystycznego błysku, garbiła się, choć przedtem zawsze chodziła wyprostowana, a jej ubranie, zwykle takie schludne, wołało o żelazko. Nie była to oczywiście jej wina. Prymitywne chaty w obozie nie nadawały się dla kobiet. Zawsze to mówiła.

- Coraz lepiej - odpowiedziała Hanni na jej pytanie.

- Ma poparzone plecy.

- O mój Boże! Nie wiedziałam! Musi okropnie cierpieć. A noga?

- Założą mu gips. Na długo. Och, Evo, to jest takie straszne! - Hanni rozplakała się rzewnymi łzami. - Biedak nawet dłonie ma zabandażowane. Zdarł z nich skórę, próbując doczołgać się w jakieś bezpieczne miejsce - szlochała histerycznie.

- Nie mogę tego znieść. Oboje nie mamy pracy. Nie wiem, co robić, do kogo się zwrócić...

- Przecież zawsze możesz zwrócić się do ojca Beitza, Hanni. Nie pozwoli ci umrzeć z głodu. Nie płacz. Wszystko będzie dobrze.

- Jak możesz tak mówić, Evo! Nienawidzę tego miejsca. Sama nie

chciałabyś tam mieszkać.

- Może będę musiała? Nie mogę zostać w domu, wprowadza się tam nowy zarządca. Ale... posłuchaj, Hanni. Mam pracę!

- Tak? Gdzie?

- W nowym hotelu. W „Royalu”. Jestem pomocą kuchenną, ale kucharka jest bardzo miła. Powiedziała, że kiedy już poznam tę pracę, da mi zastępstwo w swoje dni wolne. Nie sądziłam, że skończę jako pomoc kuchenna, ale co innego mogłam zrobić?

- A są tam jeszcze wolne miejsca? - Hanni nagle się rozpromieniła.

- Nie. Mają kelnerkę, a mężczyźni sprzątają bar. Przyniosłam ciasto dla Lucasa. Lepiej już pójdę. Idziesz ze mną?

- Nie mogę. Jestem wystarczająco zdenerwowana. Mam zamiar przejść się po mieście. Będę pukać do wszystkich drzwi; muszę znaleźć jakąś pracę i dach nad głową, nawet gdybym musiała

297

zostawić Lucasa na jakiś czas u pastora. Wyjdzie ze szpitala za kilka dni. - Chwyciła Evę za ramię, zatrzymała ją. - Tak mi przykro. Wylałam przed tobą swe żale, a tobie przecież nie brakuje własnych. Jak dzieci?

- Na szczęście są zdrowe. I takie szczęśliwe, że tu przyjechaliśmy. Idą do szkoły; to nowa szkoła, otwarta przed kilkoma tygodniami. Wszystko będzie dobrze, jeśli tylko znajdę jakieś mieszkanie. A przy okazji, Hanni, błagam, nie mów ojcu Beitzowi, że dzieci ciągle chodzą do rządowej szkoły. On tego zakazał.

Hanni zamarła. Spojrzała na nią gniewnie.

- Zostaw je tam. Nie dopuść, żeby wydawał ci polecenia. I pogadaj z właścicielem domu. To okrutne wyrzucać na bruk matkę z dziećmi.

- Och, nie! Pan Jolly nie jest przecież niczemu winien! To bardzo miły młody człowiek. Od razu powiedział, że nie będziemy tu mieszkać długo. Kolejny głupi układ Thea.

Hanni nie zapytała nawet, jak Theo radzi sobie jako poszukiwacz złota. Gdyby przyszły jakieś dobre wiadomości, Eva z pewnością by jej o tym powiedziała. A więc nic. Przynajmniej na razie. Pomyślała, że gdy tylko Lucas będzie zdolny do pracy, w ostateczności mogą pojechać na pola złotonośne. Kobiet tam przecież nie brakowało. Każdemu wolno spróbować... ale Lucas nie mógł pracować i jeśli ona nie dostanie zajęcia, za kilka dni zajmie się nimi dobroczynność.

- Idź do niego - poprosiła Evę. - Bardzo dziękuję za ciasto. Z pewnością jest wspaniałe.

Przyglądała się Evie kroczącej werandą małego szpitala. Żałowała, że nie potrafi być tak wrażliwa, tak energiczna jak ona. Ostatnie doświadczenia jakoś pozbawiły ją chęci do działania. Musiała też odcierpieć kazanie pastora Beitza o skutkach nadużywania trunków, a zwłaszcza to, że kazał jej okazać skruchę i pokutować za grzechy.

Grzechy, pomyślała z gniewem. A co on wie o grzechach? To ja mogłabym mu o nich opowiedzieć, nie on mnie! Dla zasady nie odmawiała modlitw, które zadał jej za pokutę.

Żałowała, że nie spróbuje ciasta, które Eva upiekła dla Lucasa. Westchnęła głęboko, jakby zarzucała ciężar na ramiona, i ruszyła na poszukiwanie pracy i dachu nad głową.

298

Upał przesycił gęste powietrze, drgały w nim wierzchołki eukaliptusów, powierzchnia drogi pobłyskiwała srebrzyście. Walther rozejrzył się

dookoła zaciekawiony. Dzień był gorący, bez dwóch zdań. Bardzo gorący, a temperatura wzrosła nagle. Z pewnością przekroczyła dwadzieścia pięć stopni. Słyszał, jak ktoś powiedział: „No, to zima się skończyła dzięki Bogu.” Jakby poprzednie ciepłe miesiące były wyzwaniem, któremu trzeba stawić czoło. Jakby nagle nadeszło lato.

- A co z wiosną? - powiedział do siebie. Podwinął rękawy koszuli. Nagle dostrzegł Norę siedzącą w cieniu drzew nad brzegiem rzeki i przestał przejmować się pogodą. Podbiegł do niej, ujął jej dłoń i złożył na niej delikatny pocałunek.

- Długo czekałaś, kochanie? - spytał czule. - Musiałem zawieźć Hanni do szpitala.

- Niezbyt długo. Jak się czuje twój przyjaciel, pan Fechner?

- Już mu lepiej, ale nie jest bynajmniej szczęśliwy.

- To zdecydowanie mało powiedziane - uśmiechnęła się. - Słyszałam plotki; ludzie mówią, że ktoś podpalił farmę Meissnerów z premedytacją.

- Och nie, skąd! Niemożliwe. Któż mógł wpaść na taki straszny pomysł? Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Może to tylko takie gadanie? Niewiele dzieje się w naszej okolicy, więc od czasu do czasu trzeba wymyślić jakąś dramatyczną historię.

Walther usiadł obok niej.

- Skończyliśmy kościół - powiedział z dumą. - Zaczynamy robić ławki. - Odwrócił się, spojrzał jej głęboko w oczy. - Mam nadzieję, że pobierzemy się w naszym małym kościółku.

- Pobierzemy? - Nora drgnęła, wyprostowała się. - Czy ty mi się oświadczasz, Waltherze Badke?

Skinął głową.

- Proszę, byś wyświadczyła mi ten honor. Dziewczyna nie odpowiedziała.

Zaniepokojony Walther

zaczął mówić coraz szybciej.

- Przecież wiesz, że kocham cię szczerze, a ja mam wrażenie, że trochę ci na mnie zależy, ale jeśli nie, zrozumieć i...

Nora rozejrzała się. Nie dostrzegła nikogo, więc pocałowała Walthera.

Wziął ją w objęcia, czując niewymowną ulgę. Całował ją

299

namiętnie, radośnie i długo. Nie śpieszyło mu się do zakończenia tej najwspanialszej chwili w jego życiu.

Kiedy Nora wreszcie się cofnęła, spojrzał na nią z nieukrywanym zachwytem. Była wcieleniem jego wymarzonej dziewczyny ze swoimi lśniąco kasztanowymi włosami, szerokimi, zawsze uśmiechniętymi ustami, a przede wszystkim przepięknymi oczami. Nie potrafił określić ich koloru, lecz od razu dostrzegł w nich coś, co go zafascynowało.

Inteligencję. Była to dobra, godna zaufania mądra dziewczyna, która nie zamierzała dać się nikomu oszukać. Bardzo mu się to spodobało. Dlatego się w niej zakochał.

- A więc przyjmujesz moje oświadczenia? - westchnął, po raz pierwszy w jej towarzystwie pewny siebie.

- Nie mogę. Ojciec na to nie przystanie. Wyszłabym za ciebie, Waltherze, gdyby to było możliwe, przecież wiesz. Ale w tej sytuacji...

- Nic się nie martw. Sam z nim porozmawiam. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

- Nie będzie. Nie idź do niego, proszę. Bardzo proszę. Wyśle mnie do Sydney najbliższym statkiem. Czy ty nic nie rozumiesz? Nie masz pracy,

że już nie wspomnę o domu. Jak mnie utrzymasz?

- Przez pewien czas mogliśmy mieszkać w obozie...
- Po pierwsze, ojciec się nie zgodzi, a po drugie, co znacznie ważniejsze, ja się nie zgodzę. A na razie, kochany, dlaczego nie znajdziesz sobie pracy? Normalnej pracy?
- Mam pracę, Noro. Tu u nas jest jeszcze bardzo dużo do zrobienia.
- Ja mówię o płatnej pracy. O regularnej pensji. Nie wierzę, byś chciał zostać misjonarzem... Więc po co to robisz? Dlaczego tu zostałeś?
- Bo obiecałem. Ojciec Beitz miał swoje marzenie: misja, nawracanie krajowców, założenie wspólnego luterańskiego osiedla. Zostanę, aż wszystko jakoś się tu zorganizuje, albo przynajmniej do czasu, kiedy przyjedzie nowy ksiądz do pomocy.
- Kiedy to będzie?
- Na początku przyszłego roku. Nora westchnęła.
- Więc chyba musimy poczekać. Do ojca musisz przecież pójść z informacją o tym, jak mnie utrzymasz i gdzie będziemy

300

mieszkać. Wiem, że on potrafi być bardzo nieprzyjemny, ale jeśli chodzi o małżeństwo córki, to chyba niczym nie różni się od innych ojców. Nie powiesz, że nie mam racji.

Walther zadrżał. Dzień zaczął się tak pięknie... a teraz? Wiedział już, że do tej pory oszukiwał samego siebie. Są przeszkody, których miłość nie pokona. Nora nie zamierzała przedłożyć duchowych zalet życia we wspólnocie nad potrzeby materialne. A on sądził inaczej tylko dlatego, że podobało mu się to życie. Bardzo podobało, było proste, beztroskie, idylliczne.

- Nie chciałybyś mieszkać w obozie? - spytał na wszelki wypadek. -  
Dlaczego? Przecież lubisz nas odwiedzać.

- Odwiedzać tak, kochanie. Odwiedzać. Miło byłoby zostać tu na tydzień... Takie wakacje, coś w rodzaju rozrywki. Ale życie to poważna sprawa, Waltherze, a to tu nie jest poważnym życiem niezależnie od tego, co mówi ci ojciec Beitz i jego marzenia.

Walther uśmiechnął się do niej.

- Czyżbyś sądziła, że jestem na wagarach? Że się tu ukrywam?

- Tak, owszem. I chciałabym wiedzieć dlaczego. Nie sądzę, żebyś chował jakieś mroczne sekrety, kochanie, to do ciebie niepodobne, ale nigdy mi nie powiedziałaś, dlaczego wyjechałeś z Niemiec. Nic nie wiem o twojej rodzinie. Jeśli pewnego dnia mamy wziąć ślub, to sądzę, że powinniśmy porozmawiać na ten i inne tematy.

- Nie sądziłem, że będzie cię to interesować - odparł, częściowo zgodnie z prawdą, a częściowo po to, żeby się usprawiedliwić.

- Ależ oczywiście, że interesuje! Twoja ojczyzna, Niemcy, jest taka... taka egzotyczna. Miasta, o których tyle czytaliśmy, naprawdę stare budynki, królowie i królowe... To musi być cudowne!

Walther skinął głową dość smutno.

- Mam takie powiedzenie: trawa jest zawsze zieleńsza po drugiej stronie.

- My też. - Pocałowała go w policzek. - Muszę już iść. Obiecałam pomóc mamie jeszcze przed lunchem. Powiedz mi tylko, że cię nie zdenerwowałam. Tego bym nie chciała.

- Nie jestem szczęśliwy - przyznał Walther - ale... zobaczymy.

301

Nora też nie czuła się szczęśliwa. Nie zareagowała tak, jak by chciała, a

zaloty Walthera stały się ostatnio znacznie bardziej intensywne. Mieli cudowne schadzki na przepięknych polanach w tropikalnym lesie otaczającym niemiecki obóz, wiedziała więc, że prędzej czy później się jej oświadczy. Poświęciła tej sprawie wiele uwagi.

Pewnego dnia wyzna mu, jak bardzo bolały ją słowa, które musiała wypowiedzieć. Słowa krytyki... Tyle że jej były łagodniejszą wersją tego, co z pewnością usłyszałyby od ojca. Gdyby w ogóle raczył go przyjąć. Była też inna kwestia, której nawet nie ośmieliła się poruszyć. Ojciec Beitz zdążył już opowiedzieć wszystkim zainteresowanym i niezainteresowanym o zakładanej przez siebie misji poświęconej doprowadzeniu Aborygenów do Boga. Chwalił się, że już zyskał zaufanie wielu. Nikt nie wątpił, że mówi prawdę, ale w sprawie ich nawrócenia... Cóż, z tych planów kpiło całe miasto.

- Więcej szczęścia miałyby z Kanakami - powtarzali ludzie. - Inna rasa, bardziej marzycielska, misjonarze od lat przyjeżdżają na ich Wyspy Salomona. Ale Aborygeni? W żadnym razie.

Zdaniem Nory mieli rację. Aborygeni stworzyli własną religię. Cztili ziemię i naturę, w niepojęty sposób włączając w to także swe Sny i świat duchów. Nie uczyli się religii, ona w nich po prostu była, przynajmniej tak to rozumieli biali ludzie. Chrześcijańskie przepisy i zasady nie miały dla nich najmniejszego sensu. Wszystkie dotychczasowe próby nawrócenia ich spaliły na panewce. Krajowców przyciągała do białych ciekawość, korzystali z rozdawanej im żywności, najczęściej jednak odchodzili, kiedy im się podobało. Z rzadka reagowali gwałtownie na obrazę, rzeczywistą lub wyimaginowaną.

Nie wiedziała, czy Walther zdaje sobie z tego sprawę. Ale przynajmniej

ich luterański kościół i oczekiwani w nim wierni rzeczywiście istnieli. To też trzeba wziąć pod uwagę.

Westchnęła i pośpieszyła do sklepu Pimbleya. Luteranie! Ojciec był im przeciwny, matka także. Szkoda, że oboje nie mogą uciec, popłynąć statkiem do Niemiec. Byłoby to takie podniecające.

302

Stenningowie podejmowali gościa. Keitha Dixona. Gdy do pokoju weszła Nora, Keith skoczył na równe nogi, odebrał jej koszyk i nader elegancko zaofiarował się zanieść go do kuchni. Dziewczyna przyjęła jego awanse z nieukrywaną niechęcią. Nie miała wyboru. Wróciła do pokoju gościnnego, usiadła na sofie i słuchała, jak matka usprawiedliwia się przed nim tłumacząc, dlaczego mieszkają w tak nędznym domku.

- Zamierzamy kupić kawałek ziemi na Wzgórzach - powiedziała, bardzo ją tym zaskakując.

- Świetny pomysł, mamó, ale przecież to strasznie daleko od miasta! Naprawdę chciałabyś tam mieszkać?

Ojciec wziął butelkę whisky z tacy na stoliku obok sofy, napełnił dwie szklaneczki, jedną z nich wręczył Keithowi.

- A któż by chciał żyć w tym miasteczku? - roześmiał się.

- Jest takie... prymitywne. Wzgórza leżą bliżej morza. To jedyne pagórki w promieniu osiemdziesięciu kilometrów!

- Byłeś tam? Jakiż to wspaniały widok! - Zachwycała się pani Stenning. Keith skinął głową.

- Rzeczywiście wyjątkowo malowniczy - przytaknął.

- Nie przyszło mi do głowy, że ktoś może chcieć się tam budować, ale pomysł wydaje się doskonały. Chętnie pojechałbym tam, obejrzał okolicę.

Czy zechciałabyś mi towarzyszyć, Noro? Choćby dziś po południu.

- Ależ z pewnością! - Jej matka była w siódmym niebie.

- Nie mogę - odmówiła dziewczyna. - Muszę odwiedzić przyjaciela, który leży w szpitalu.

- A kogóż to, kochanie?

- Pana Fechnera.

Ojciec zerknął na nią spod zmarszczonych brwi; tego się spodziewała. Za to Keith wyglądał na przestraszonego, jakby miał coś do ukrycia.

- Kto to taki? - spytał głupio w jakże charakterystyczny dla niego chamski sposób. Zupełnie jakby ktoś, do kogo się zwracał, znaczył tyle co powietrze.

- Doskonale wiesz, kto to taki - odparła gwałtownie.

- Pracował dla ciebie.

- A tak, rzeczywiście. Musieliśmy go zwolnić - powiedział swobodnie, ale Nora знаła go od dziecka, widziała, że jest zaniepokojony, może nawet przerażony.

303

Stenningowie także byli ludźmi z rancza, ich rodzinna posiadłość znajdowała się dość daleko stąd na zachód, w stronę Mount Perry, za Clonmel. Jej dziadkowie i wuj nadal tam mieszkali, Jules z rodziną zaś przeprowadził się najpierw do Maryborough, potem do Bundabergu, gdzie zajmował różne stanowiska w służbie cywilnej. Ranczerzy najczęściej trzymali ze sobą, byli elitą okręgu, Nora dorastała więc, jak to często powtarzała: „czując oddech Keitha na karku”.

Jayne Stenning z nieodłącznym zdziwieniem - i radością

- przyjmowała każdą wizytę młodego Dixona darzącego jej córkę

niezrozumiałym uczuciem. Nieodwzajemnionym, co niezmiennie doprowadzało ją do furii. Czyżby jej córka postradała zmysły? Powtarzała tylko, że Keith jest szalony. Że prześladowe ją wyłącznie dlatego, że ona sama unika go jak ognia.

- To idiota, mamó! - mówiła gniewnie. - Nie znasz go tak dobrze jak ja. Owszem, odziedziczy Clonmel ze wszystkimi jego wojennymi łupami. Owszem, jest przystojny na swój głupkowaty sposób, ale w gruncie rzeczy to dureń. Brakuje mu zwykłego, prostego rozsądku.

Podczas gdy Stenningowie zabawiali odpowiedniejszego konkurenta, przynajmniej z ich punktu widzenia, Walther poszedł do pubu i zamówił sobie wielki kufel piwa. Stał przy końcu baru, napił się i pograżył w myślach. Nikt mu nie przeszkadzał. Niewielu klientów, nawet spośród tych najsilniejszych, zechciałoby wejść w drogę Waltherowi Badke zbudowanemu

- z czym wszyscy się zgadzali - niczym ceglany komin. Nie to, żeby kiedykolwiek zachował się gwałtownie, nic z tych rzeczy. Wpadał od czasu do czasu, wypijał piwo, wychodził, a to przecież nie grzech. Mężczyzna ma prawo do chwili spokoju.

Pozostawiono go więc jego myślom. A raczej obawom. Musi jakoś załatwić finansowanie wspólnoty, bo inaczej wierzyciele zaczną nasyłać komorników. Z drugiej strony jeśli ma się przedstawić jako poważny konkurent do ręki Nory, musi pokazać Julesowi Stenningowi, że wcale nie jest biednym człowiekiem. Nie mógł jednocześnie załatwić i tego, i tego. Prawdę mówiąc każdy jego grosz poszedł już na potrzeby wspólnoty. Nie, wcale tego nie żałował. Cieszył się pracą dla siebie i innych, lecz przecież było jasne, że im się nie uda. Nie mają szans.

Już załatwił sobie posadę pomocnika dwóch mierniczych, miał zacząć od jutra. Uprzedzono go, że nie będzie mu łatwo, ale płaca była niczego sobie, a w tej chwili na tym mu właśnie zależało. Będzie miał z czego zapłacić rzemieślnikom przygotowującym witraże do kościoła - i zapłaci, ale te finansowe ekstrawagancje muszą się wreszcie skończyć. Ojciec Beitz nie może beztrąsko wydawać pieniędzy potrzebnych na życie. Bardzo łatwo powtarzać „Bóg da”. Dobrze, w porządku, dawał. Mieli jedzenie i dach nad głową, zgoda, ale budować się już nie mogli, zwłaszcza że pastor hojną ręką rozdawał ich cenne zasoby Aborygenom, dzięki czemu przychodzili na modlitwy i czytania Biblii.

Walther zamówił kolejne duże piwo świadom tego, że klienci przyglądają mu się zdziwieni. Miał pieniądze w inwestycjach, w ziemi w Niemczech. Najwyższy czas ją sprzedać. Osiedlić się wreszcie w tym kraju. Pora podjąć poważną decyzję.

Wyemigrował bardziej z gniewu niż w wyniku przemyślanej decyzji, a znalezienie ludzi, do których mógł dołączyć, było swego rodzaju premią. Co więcej, szalenie podobał mu się pomysł stworzenia niemieckiej wspólnoty w tym odległym kraju. Utopia, której mógł być częścią...

Piwo było wodniste. Potrafiłby zrobić lepsze przez sen.

Nora chciała mieć dom. Przyzwoity dom. To mógł jej zapewnić. Dziwne, ale nie żałował, że przekazał rodzinny dom matce. Z całą jego zawartością. Te wszystkie spory zestarzały się i wreszcie umarły naturalną śmiercią. Teraz jednak budowa przyzwoitego domu - a także związane z nią wydatki - oznaczałyby opuszczenie wspólnoty w godzinie próby. Walther miał nieodparte wrażenie, że pieniędzy można użyć lepiej, wydać je na to, co

powiększy dobro wspólne. Ojciec Beitz liczył na pieniądze, które miał przywieźć ze sobą nowy pastor, ale było to tylko łatanie dziury w tamie. Przecież nie starczy ich na długo, a trzeba będzie żywić coraz więcej ludzi. Westchnął ciężko. Przede wszystkim z rozczarowania. Miał nadzieję, że w tym kraju poradzi sobie bez konieczności czerpania ze spadku, ale już widać było, że się pomylił. Nie widział sensu w obarczaniu kogoś winą za to, że tak się akurat złożyło, on sam dokonał wyboru i musi z nim żyć. Sprzedaż najlepszej ziemi w kraju będzie boleć, przewidywał, że tak naprawdę będzie

305

się tu urządzał nieco później, ale te przyjemne marzenia okazały się właśnie tym: marzeniami.

Uznał, że decyzję powinien podjąć natychmiast, nim zmieni zdanie. Poszedł do sklepu Pimbleya, kupił kilka arkuszy papieru i kopertę, pożyczył pióro oraz inkaust, stanął przy kontuarze przy okrytym gazą serze. Zabrał się do pisania listu do swego kuzyna i najlepszego przyjaciela. Prosił Kurta, by w jego imieniu sprzedał ziemię. Posunął się tak daleko, że zaproponował, by pieniądze przywiózł osobiście, bo czeka go tu ciekawa praca. Kurt był piwowarem, a także wykwalifikowanym chemikiem.

Wyjaśnienie zajęło kilka linijek. Na miejscu była destylarnia rumu i z pewnością ich przybędzie w miarę, jak powstaną nowe plantacje trzciny cukrowej. Nie było natomiast browaru. Piwo przywożono aż z Brisbane. Walther zamierzał odtworzyć słynną markę piwa Badke w Bundabergu. Podpisał list, zapieczętował kopertę, wręczył ją Jimowi Pimbleyowi, który demonstrując swe kompetencje poczmistrza, policzył za znaczki cztery

pensy. Pokazał mu też swą najnowszą zdobycz: pudełko pocztówek. Są tańsze, powiedział, i Walther dobrze zrobi, używając ich następnym razem. Z pubu Walther poszedł wprost do banku. Na jego widok Rawlins wyraźnie się ożywił.

- Na koncie Wspólnoty Niemieckiej jest debet, panie Badke - powiedział na powitanie.

- Tak, to możliwe. Proszę się nie martwić, osobiście dopilnuję pokrycia długu. Przyszedłem w innej sprawie.

Rawlins zdziwił się bardzo, widząc, że ten człowiek, którego brał za jeszcze jednego biednego Niemca, jest w rzeczywistości całkiem zamożny.

- Słuchaj - powiedział do asystenta - kiedy zobaczyłem listę jego niemieckich akcji i obligacji, to tak zdębiałem, że daję słowo, mógłbyś mnie przewrócić chuchnięciem. Chce to wszystko upłynnić, potrzebuje rady. Napiszę do naszego maklera w Brisbane, będzie wiedział, jak mu pomóc. W każdym razie ma zamiar znaleźć sobie ziemię. Wygląda mi na to, że on też chce się wynieść z tego ich obozu, a jeśli tak, będę musiał bardzo uważać na resztę.

- Po co mu ziemia?

- Pod farmę. Oni wszyscy są w głębi serca farmerami.

306

I tak też było, choć nie do końca. Walther szukał ziemi rolnej pod uprawy przydatne dla przyszłego browaru: jęczmień i chmiel. Powinien poprosić Kurta o przywiezienie odpowiednich nasion. Jak tylko znajdzie trochę czasu, opíše mu wszystko dokładnie. Przydałoby się także paru pracowników browaru, zwłaszcza bednarz, bo koniecznie potrzebne będą beczki. Widział drzewa doskonale nadające się do tego celu.

No więc, dumiał idąc do szpitala odwiedzić Lucasa, kuzynek Kurt myśli o przeniesieniu się do Australii? Lepiej dla niego, żeby wprowadził te myśli w czyn.

Siostra przełożona zrezygnowała z przestrzegania wyznaczonych godzin wizyt w szpitalu, bo w tym mieście awanturników i tak nikt się nimi nie przejmował. Ludzie przychodzili, gdy mieli ochotę, wkraczali do środka frontowymi lub bocznymi drzwiami, a czasami nawet przez kuchnię. W szpitalu aż się od nich roiło, co doprowadzało ją wręcz do szaleństwa. A już najgorszy był oddział męski, do którego odwiedzający wchodzili w brudnych ubraniach, opierali się o łóżka, podkradali sobie krzesła albo po prostu stali paląc fajki. Palenie w szpitalu było oczywiście zabronione. Ten dzień nie był wyjątkiem. Dwie pielęgniarki próbowały podać pacjentom posiłek, a ci bezczelni goście kpili z nich, kosztowali jedzenia, ustępowali im z drogi, wpadając przy tym na nie i na siebie, i w ogóle robili straszne zamieszanie. Jeden rzut oka na panujący w szpitalu rozgardiasz wystarczył, by siostra przełożona straciła wreszcie cierpliwość. Z całą pewnością był to jeden z tych dni, kiedy wszystko idzie źle. Już lunch podawano z godzinnym opóźnieniem.

- No dobrze! - wybuchła. - Wszyscy mają się stąd wynieść. Natychmiast! Kobieta w towarzystwie licznej rodziny, zgromadzonej przy drugim z kolei łóżku, spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Ależ nie będziemy przeszkadzać, siostrze przełożona - bąknęła.

- Powiedziałam: wszyscy, droga pani. Moje dziewczęta nie mogą przejść do chorych. Wynocha!

- Nie musi siostra na nas krzyżeć. - Urażona kobieta podniosła głos.

Spojrzała na męża, pacjenta. - Przepraszam, kochanie. Musimy wyjść, ale

nie martw się, wrócimy najszybciej

307

jak się da. A teraz jedz. Jeśli to coś w ogóle nadaje się do jedzenia.

Lucas odprowadził wzrokiem wychodzących, wśród których byli Walther i Hanni. Przygnębiony nie odpowiedział nawet na ostatnie słowa Walthera: „Przyjdę jutro.”

Chciał z nim porozmawiać w cztery oczy. Mógłby znaleźć okazję, poprosić Hanni, żeby coś załatwiła. Całe dni spędzała albo w szpitalu, albo chodząc po mieście w poszukiwaniu pracy. To go jeszcze bardziej denerwowało.

W szpitalu przebywał już tydzień. Plecy, poranione kolana i dłonie goiły się dobrze, nogę nadal miał w gipsie. Chodzić mógł tylko o kulach, nikt nie wiedział jak długo. Nie miał pracy. Nie zarabiał. Jeszcze nigdy nie upadł tak nisko. Bolało go, że ludzie mu współczują, że podziwiają za to, jak długo sam przetrwał w dziczy, nie chciał odpowiadać na pytania.

No właśnie, pytania. Do tej pory niczego nikomu nie powiedział. Zdawał sobie sprawę, że aż za często zdarza mu się powiedzieć zbyt wiele, przede wszystkim wówczas, gdy powinien trzymać gębę na kłódkę, więc w tej chwili udatnie symulował utratę pamięci. Raz za razem powtarzał:

„Naprawdę nic nie mogę sobie przypomnieć.”

Zdaje się, że jakiś czas temu powiedział komuś, że zrzucił go koń. Już to było błędem. Prowokowało oczywiste pytanie: „A co ty tam w ogóle robiłeś?” Nie wiedział, jak na nie odpowiedzieć. Jeszcze nie wiedział. Nie mógł się zdecydować.

Pastor Beitz mu nie uwierzył. To było widać.

- Dlaczego nie pamiętasz? - spytał wprost. - Głowę masz chyba w

porządku?

Eva Zimmerman pośpieszyła mu na pomoc.

- To przez szok, ojciec - wyjaśniła. - I przebywanie przez wiele dni na otwartym powietrzu, na łasce żywiołów. Cud, że nie zmarł od ran, że nie wspomnę o pragnieniu! Ludzie w mieście już nazywają go bohaterem, bo miał wolę i siłę, by wytrzymać tak długo.

Nie zaimponowało to jednak Beitzowi.

- Bardzo łatwo jest tu zostać bohaterem. Przecież Lucas nie miał wyboru! Pokłócili się wreszcie, no i dobrze, bo dali mu święty spokój. Leżał marząc wyłącznie o tym, żeby móc się podrapać po nodze. Hanni też nie dawała mu spokoju, domagała się wyjaśnień, dlaczego

308

stracił pracę, dlaczego jego koń wrócił na ranczo sam. Kłopot z kłamstwami jest ten, że trudno je kontrolować. Lepiej po prostu unikać odpowiedzi. Bóle i zawroty głowy wraz z mdłościami pomagały przez jakiś czas, ale wiecznie trwać nie będą. A teraz jeszcze przyczepiła się do niego siostra przełożona.

- Czyżby nasiliły się bóle i zawroty głowy? - spytała surowo.

Kłamstwa, kłamstwa... Kłamstwa obsiadają człowieka jak muchy.

Właśnie, muchy. Nie miał pojęcia, że może ich być aż tyle. Krążyły po sali, mimo iż na drzwiach i w oknach były drobne siatki, z sufitu zwisały lepy. Pomyślał nawet przelotnie, że powinien zapamiętywać miejscowe powiedzenia, tak jak to o obsiadaniu.

Lucas był głodny. Bez entuzjazmu dokończył wodnistą zupę, zjadł coś zupełnie pozbawionego smaku, nazywanego tu plackami ziemniaczanymi, odsunął na bok talerz z czymś będącym podobno kaszką z sagowca w

sosie ze śmietany i jajka. Czekał, aż wrócą goście. Żywił nadzieję, że Walther zdążył zmienić zdanie.

I co miał teraz robić? Powiedziano mu, że jutro Rolf przyprowdzi na wizytę Meissnerów. Boże! Czy potrafi spojrzeć im w oczy? Na razie nikomu nawet do głowy nie przyszło, że pożar buszu mógł umyślnie wywołać człowiek. Czy powinien powiedzieć im prawdę? Powie... I dopiero będzie burza. Co przez to osiągnie? Przecież Dixon wszystkiemu zaprzeczy. Ale... on przecież był na miejscu. Lucas Fechner. Widział wszystko na własne oczy. I w swej głupocie pomógł nawet podpalić suchą trawę. Pozostali dwaj świadkowie, Sam i Pike, będą pewnie zbyt przerażeni, żeby otworzyć gęby. W każdym razie kiedy już powie i zrobi, co ma do powiedzenia i zrobienia, pozostanie jedna podstawowa kwestia: co przez to osiągnie? Pożałował, że nie może poradzić się Walthera, który ma dużo zdrowego rozsądku i umie utrzymać sekret, jeśli się go o to poprosi. Przecież co się stało, to się nie odstanie. Drzewa spłonęły, Meissnerów spalono i tyle. Nic im nie zostało. Nic nie przywróci im tego, co stracili, ubrań, pamiątek rodzinnych...

Lucas dowiedział się od pastora, jak to Jakob pojechał do Maryborough, jak znalazł sobie prawnika. Postanowił walczyć z Dixonami o prawo do drewna - i wygrał. Łatwo mu przyszło

309

zrozumieć, o co chodziło Keithowi. Z jego strony była to złośliwość, czysta złośliwość. Żałował, że nie miał okazji cieszyć się ze zwycięstwa Jakoba we właściwym czasie, gdy przywiózł tę radosną wieść, ale znów... na to było za późno. O wiele za późno. U stóp łóżka pojawiła się Hanni. - Jesteś smutny - powiedziała. - A przecież nie ma powodu. Cieszę się, że

wróciliśmy do cywilizacji.

- I to nazywasz cywilizacją? - spytał gorzko. - Tej nocy śniło mi się, że jesteśmy w kraju, mamy nieduży dom, na dworze pada śnieg, a my zastawiliśmy do wspaniałej kolacji wielki okrągły stół przy drzwiach wejściowych...

- To tylko dowód na to, jak głupie mogą być sny. A co jedliśmy na kolację? Lód? Siostra przełożona twierdzi, że będziesz mógł wrócić do domu za dzień czy dwa...

- Do domu? To dlatego mój sen był głupi. Nie mamy domu.

- I nie mieliśmy, nim zламаłeś nogę, Lucasie. Daj spokój. Mówiłam ci, że Eva dostała pracę w hotelu „Royal”, prawda?

- Owszem. Zdaje się, że jest zadowolona.

- No tak. Ale kiedy ją zapytałam, czy szukają pracowników, powiedziała, że nie. Dzisiaj rano przyjrzałam mu się jednak i pomyślałam, że pewnie łąże. Jest piętrowy. Mają pokoje hotelowe i gościnne, muszą potrzebować kogoś do sprzątnia.

- Hanni, Eva by cię nie okłamała.

- Musiałam się upewnić. Weszłam przez tylne drzwi i spytałam, czy kogoś potrzebują. Ta kobieta powiedziała, że nie, że pokoje gościnne nie są jeszcze gotowe. Meble muszą przywozić aż z Brisbane...

Lucas pamiętał, że uderzył Keitha Dixona. Pamiętał jego obleśny uśmiech z pewnością mający coś wspólnego z jego żoną. Z Hanni.

- ...więc na razie nie zamierzają zatrudnić nikogo nowego. Eva mówiła prawdę. Tylko że nagle zobaczyłam, jak idzie zewnętrznymi schodami. Omal nie zauważyła, jak wychodzę. Musiałam schować się w środku i wyjść od kuchni.

- To dobrze - powiedział Lucas. Nie słuchał jej od dłuższej chwili.
- Dobrze? O czym ty mówisz?! Gdyby mnie zobaczyła, byłaby zła, że jej nie uwierzyłam.
- Walther odjechał?
- Tak. Ma coś do zrobienia. Ty mnie wcale nie słuchasz.

310

- Słucham, Hanni. Oczywiście, że słucham. Martwię się o ciebie, to wszystko. Jak wrócisz do obozu?
- Jak co dzień. Pójdę z braćmi Lutze.
- To daleko.
- Zaledwie parę kilometrów. Można przywyknąć.
- A Meissnerowie przychodzą jutro?
- Tak. Miło będzie znów ich zobaczyć. Wygląda na to, że teraz wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Z wyjątkiem Kleinschmidtów. Im dobrze się wiedzie, nawet budują sobie dom.
- Wiem. Chciałbym już stąd wyjść, Hanni. Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale naprawdę nie mam ochoty ich widzieć... Nikogo nie chcę widzieć...
- Musisz. Bardzo się o ciebie martwią. Lucas jęknął. Czuł się jak w pułapce.

Przyszli z Rolfem. Po wizycie mieli udać się do obozu, by zamieszkać tam, przynajmniej na razie, nie byli więc w najlepszych humorach. Jakob planował rozmowę z dyrektorem banku i odbudowę domu przy pomocy Kleinschmidtów, Freda zamartwiała się nie dopasowanym ubraniem z dobroczynności, które zmuszona była włożyć. Karl stał przy drzwiach sztywny, milczący, najwyraźniej zdruzgotany; Lucas najbardziej współczuł właśnie jemu. To co się stało, było tragedią dla rodziców i ich przyjaciół,

oni jednak przynajmniej mogli zastanawiać się, co robić i jak wyjść z kryzysu, on zaś, ciągle niemal dziecko, zapewne myślał tylko o tym, że oto legły w gruzach jego marzenia i wspaniałe plany urzędowania się w nowym świecie. Kiedy wreszcie przemówił, natychmiast pokłócił się z matką, prowokując ojca do ostrej reprymendy. Bez wątpienia napięcie, w którym żyli, odbijało się na stosunkach w rodzinie. Zresztą w napięciu żyli wszyscy.

To się nie powinno zdarzyć, pomyślał Lucas z gniewem. To się absolutnie nie powinno zdarzyć. Gdyby Keith Dixon nie spalił ziemi Meissnerów, nikt z nich nie byłby w tej żalosnej sytuacji. Im dłużej nad tym myślał, tym bardziej był oburzony. Tymczasem rozmowa zeszła na pogodę i monotonię niezmiennego buszu, tak różną od bogactwa fauny, przede wszystkim ptactwa.

- W tej dziedzinie Freda jest już prawie ekspertem - stwierdził z dumą Jakob. - Kataloguje ptaki, rysuje je i to są bardzo dobre rysunki.

Powinieneś zobaczyć jej księgę, to...

311

- Spłonęła - powiedziała Freda z rozpaczą. - Jak wszystko - rozplakała się. Jakob objął żonę, przytulił.

- Spokojnie, kochanie. Przecież sobie poradzimy.

- No, muszę lecieć - oznajmił nagle Rolf. - Les Jolly chce się ze mną zobaczyć. - Następnie zwrócił się do Fredy. - Słuchaj, wiem, że nie podoba ci się pomysł mieszkania w obozie. Jeśli chcesz, możesz wrócić do mnie. Jesteś tam zawsze mile widziana.

- Dziękuję ci, Rolf - powiedział Jakob. - Bardzo nam pomogłeś, ale nie możemy siedzieć ci na głowie do końca świata. Daj mi tylko znać, kiedy

będziesz miał wolną niedzielę.

- Nie martw się, to już wkrótce. Zbudujemy ci nowy dom, zanim się obejrzysz. I uważaj na tę nogę, Lucas, dobrze?

W mieście panował ruch i ożywienie. Dzień targowy przywabił tych, którzy mieszkali blisko, i tych, którzy mieszkali daleko. Handlarze rozłożyli stoiska wzdłuż rzeki od nabrzeża po barak dla imigrantów i dalej, aż za halę Kanaków. Największą atrakcją byli Chińczycy w kapeluszach kulisów, z ich cichymi głosami i śpiewnym akcentem. Sprzedawali świeżutkie warzywa porządnie ułożone na taczkach, budzące zainteresowanie tak wielkie, że kupujący wręcz o nie walczyli, póki nie znikł ostatni strączek fasoli, ostatnia pękata dynia. Kobiety Kanaków, tęgie, urocze w kolorowych sarongach, nie ustępowały im pola. Cichym, niemal równie melodyjnym zaśpiewem zachwalały wspaniałe owoce tropikalne, rozbijając zielone skorupy orzechów kokosowych ciężkimi nożami. Inne sprzedawały kapelusze z rafii, torby z traw, trzciny, nawet włosia, korale i wspaniałe sztuczne kwiaty, za co dostawały drobne grosze uzupełniające nader skromne dochody ich mężczyzn pracujących na plantacjach trzciny cukrowej.

Nie brakowało tu także rzemieślników wyrabiających drewniane sprzęty ani rymarzy, starych mężczyzn doskonale splatających bicze, którzy demonstrowali swe dzieła, strzelając z nich, czy ktoś był w pobliżu, czy nie; zaskoczeni przechodnie nurkowali w tłum, unikając razów, a może nawet ran, skórzane bicze bowiem były także niebezpieczną bronią.

Wśród tłumu krążyły grupy dzieci błagających dorosłych o ćwierćpensówki na mrożone kokosy, cukierki toffi i domową

lemoniadę, którą sprzedawała Niemka pod figowcem przy Moreton Bay. Eva uwijała się wokół swego stoiska zdenerwowana do szaleństwa. Trudno jej było sprzedawać towar, a jednocześnie pilnować, by chwiejnego stolika nie przewrócili tłoczący się wszędzie ludzie i by te wstrętne, wszechobecne, puszczone wolno kozy nie zeżarły przykrywającego go obrusa. Niemniej interes rozkwitał. Po godzinie sprzedała ostatni kawałek nieco już ciekącego kokosa wraz z kawałkiem gazety, na którym leżał. Wrzuciła kilka pensów do kieszeni fartucha, usłyszała nader zadowolający brzęk monet.

I dobrze się stało, bo jeszcze tego ranka miała zgłosić się w hotelu. Zyskała parę chwil, mogła obejrzeć targ, sprawdzić, jak radzą sobie dzieci. Nie obyło się bez sporów, uznała jednak, że skoro dniem targowym jest sobota, one też powinny pracować, zapewniła im więc środki i poleciła, by ustawiły stoisko pucybutów mając za warsztat wyłącznie trzy pieńki. Starszy syn, Robie, stwierdził, że oszalała, ośmielił się wyrazić to głośno, po czym aż zatrzęsł się ze strachu, tak gwałtownie zareagowała. Zwymyślała go od ostatnich, a potem przypomniała wszystkim znaczenie słowa „odpowiedzialność”. Miała też wiele do powiedzenia o pracy. O konieczności pracy.

- Niczego nie dostaniecie za darmo! - krzyczała. - Tak było w Niemczech i tak jest tutaj. Pracujesz albo głodujesz! Wbijcie to sobie do głów! I zapamiętajcie: nie liczcie na to, że wam z nieba spadnie. Zamiast głupio marzyć, bierzcie się do roboty. Co powiedziałam?

- Pracujesz albo głodujesz - powtórzyły chórem dzieci.

- Ale tu nikt nie czyści butów, a wielu wcale ich nie nosi - argumentował rozsądnie Robie.

Eva skinęła głową.

- Prawda. Ale od czego buty najbardziej się niszczą? Od zaniedbania, ot co.

Dzieciaki znalazły spory kawałek tektury. Wypisały na nim:

ZANIEDBANIE NISZCZY BOTY. RATUJ JE TÓ! Nikt nie zwrócił uwagi na błędy ortograficzne. Uśmiechnięci od ucha do ucha mężczyźni, nawet niektóre kobiety, stawiali stopy na pieńkach i ratowali swoje buty przy entuzjastycznej pomocy trójki Zimmermanów, a za tę przyjemność płacili pensa. Ratowanie butów stało się towarem dnia. Bardzo niewielu miejscowych

313

słyszało o czyszczeniu butów za opłatą (być może nawet żaden z nich o tym nie słyszał) i prymitywne stoisko Zimmermanów stało się taką atrakcją, jaką byłaby zapewne karuzela, gdyby kiedykolwiek zbłądziła do tego prowincjonalnego miasteczka zagubionego na krańcu świata.

Tego wieczora matka zafundowała rozradowanym dzieciakom kolejną lekcję umoralniającą.

- Widzicie, jakie cuda czyni praca? Zarobiliście pieniądze. Każde z was może zatrzymać pensa. Reszta idzie do puszki. Będzie na podręczniki. A teraz słuchajcie mnie uważnie. Macie szczęście, że chodzicie do szkoły, do przyzwoitej rządowej szkoły. Lubicie ją, prawda?

- Tak!

- A więc ucźcie się! Słuchajcie każdego słowa i dokładnie je zapamiętujcie. Musicie znać angielski doskonale! Będziecie zdawali egzaminy. Kto nie zda, tego zabiorę ze szkoły i znajdę mu pracę, a reszta zostanie. Kto chce być jedynym w rodzinie matołem, który się nie uczy,

proszę bardzo, niech zostanie w domu.

Dalej opowiadała o konieczności nauki, walcząc z pokusą podania przykładu tego, co dzieje się z człowiekiem, który nie uczył się i nie pracuje: jej beztroskim, leniwym, głupim, samolubnym mężem. Ale... dzieciaki kochały tatę. Nie potrafiły dostrzec jego wad. Bardzo to było denerwujące. Szczęście w nieszczęściu, że znalazła sposób na dorobienie do pensji w hotelu. Następnym razem przygotowuje znacznie więcej słodyczy.

Doznałaby wstrząsu, gdyby wiedziała, że podobnie myślą brązowoskóre kobiety Kanaków wracające do swego obozu. One też sprzedały wszystko. W następny dzień targowy powinny mieć więcej towaru. Chinki dostrzegły oczywiście, że ciemne duże kobiety sprzedawały mnóstwo papai, i natychmiast poprosiły mężów o sadzonki melonowca.

Wieczorem, kiedy dzień targowy się skończył, Aborygenki rozpoczęły przeszukiwanie terenu, zbierając strzępy tkanin i pozostawione rozłupane kokosy. Nie dotknęły zapomnianej skrzynki sprzedawanych przez Chinki warzyw, nie miały pojęcia, że te cudzoziemskie rośliny w ogóle są jadalne, by już nie wspomnieć o ich gotowaniu. Bawiła je wszakże tak niewinna rozrywka... do zmroku, kiedy to pojawiały się możliwości rozrywki bardziej wyrafinowanej.

314

- Musimy wracać - ostrzegła przyjaciółki jedna z dziewcząt. - Robi się ciemno. Mamy być w obozie przed zmrokiem.

- A ja zostaję - powiedziała jedna ze starszych. - Ojciec mówi, że wolno mi i że jeśli biały mężczyzna zapłaci, to dobrze.

- Nie możemy! - przestraszyła się jej przyjaciółka. - Ty też nie możesz!

Tak zarządził Tibbaling i ocic Bęc. Mają silne czary.

- Tibbaling mówi, że jeśli będziemy bawić się z białymi, zmienimy się w wiedźmy.
- Ocic Bęc jest gorszy. On ma potężną magię i jeśli zabawimy się, zmieni nas w kopce termitów. Pozostaniemy nimi na zawsze, wpatrzone w zachód słońca.
- Magia białych ludzi jest silna...

Konstabl Clem Colley, który zgodnie z raportem, jaki niedawno trafił na jego biurko, miał wkrótce zostać sierżantem, z niedowierzaniem potrząsnął głową na widok wychodzącej z miasteczka grupy Aborygenek. Nie wierzył własnym oczom. Wysłano go specjalnie po to, by wyganiał z Bundabergu panienki, zwłaszcza w sobotnią noc, gdy chłopaki tylko marzą o tym, żeby się zabawić. Sukcesy odnosił mierne; na jego widok dziewczyny znikły, przemykały się pustymi działkami i ciemnymi alejkami i zawsze znajdowały jakże cennego, skłonnego zapłacić im komplementem białasa.

A teraz? Cud nad cuda! Wracają do obozu! Podejrzewał podstęp, poszedł więc za nimi, aż znikły mu z oczu w buszu przy końcu Quay Street. Clem pomyślał, że jeśli szczęście mu dopisze, spokojnie prześpi dziś całą noc. Rolf włókł się za swym szefem, Lesem Jollym, przez dobre parę godzin, nie do końca pewny, czy spotkanie ma charakter prywatny czy zawodowy. Najpierw przyjechali na nabrzeże i obserwowali załadunek drewna na statek towarowy żeglugi przybrzeżnej. Potem na ponad godzinę przenieśli się do tartaku; Les sprawdzał różne szczegóły pracy, jego zaś prosił o identyfikację obrabianego drewna. W biurze, do którego trafili jakby przypadkiem, Bob, zarządca, wygrzebał skądś butelkę rumu. Wypili po

kilka szklaneczek, rozmawiając o finansach, które zdaniem Rolfa wyglądały całkiem nieźle. Pomyślał nawet, że Les po prostu potrzebował towarzystwa, chciał w te kilka wolnych chwil popisać się sukcesami...

315

- Co sądzisz o tartaku? Rolf pośpiesznie zebrał myśli.
- Jest dobry. Tak, powiedziałbym, że na pierwszy rzut oka jest bardzo dobry. Chociaż nieszczególnie się na tym znam.
- A jest ktoś, kto się zna? - Jolly uśmiechnął się wesoło. - Ja tam nic nie wiedziałem o drewnie. Po prostu nająłem drwali i wysłałem ich za rzekę.
- Naprawdę? - zdziwił się Rolf.
- A owszem, przyjacielu. I to samo z tartakiem. Mam tartak, ale to przecież nie znaczy, że jestem specjalistą. Rozumiesz, o co mi chodzi?
- Rozumieć rozumiem - przytaknął, choć nie miał pojęcia, dlaczego te perły mądrości rzucają się właśnie przed niego.
- No więc chciałbym, żebyś pracował dla mnie tu, w tartaku.
- Ja? Dlaczego ja?
- Ano dlatego, że ten tu Bob wyjeżdża. Nasze miasteczko nie spodobało się jego pani na pierwszy rzut oka, a ja potrzebuję zarządcy. Dobrze mówię, Bob?
- Zgadza się.
- Podciągniesz Rolfa przed wyjazdem?
- Jasna sprawa.
- Jak to: podciągniesz? - zaniepokoił się Rolf. - O co chodzi?
- O zarządzanie cholernym tartakiem. A cóż by innego? Na nowej posiadzie zarobisz dwa razy więcej niż jako drwal.
- Ja?

- Ty. Jeśli przyjmiesz pracę.

- W tartaku?

Rolf zdumiał się tak bardzo, że nie całkiem rozumiał, co się do niego mówi. Szybko jednak oprzytomniał i zaczął myśleć. Nic nie stoi przecież na przeszkodzie, żeby nauczył się nowej pracy. Nawet jeśli wiązała się z nią papierkowa robota. Zawsze dobrze czuł się wśród cyfr i liczb. Wraz z Rosie będą musieli przeprowadzić się do miasta, ale dzięki temu zwolnią trochę miejsca w ich małym domku. Hans i Thomas zamierzali wybudować coś dla siebie, teraz będą mogli poczekać, dzięki czemu zyskają czas na odbudowę domu Meissnerów.

- No i jak? - ponaglił go Les.

316

- Aha! Tak, oczywiście. To dla mnie zaszczyt, proszę pana. Prawdziwy zaszczyt. Dziękuję.

- Spraw się dobrze, a to ja będę dziękował tobie, przyjacielu. Tylko pamiętaj, że w każdej chwili musisz być na wezwanie, więc chcę, żebyś ściągnął żonę i zajął z nią dom zarządcy. Bob pomieszka tam z tobą tydzień czy coś koło tego, potem będziecie go mieli dla siebie. Czynsz potrączę z pensji. Zgadzasz się?

- O... oczywiście - zająknął się Rolf. - Tak, proszę pana.

- Mów mi Les.

Kiedy Rolf wyszedł, Bob zwrócił się do szefa.

- A co z innymi lokatorami? Zimmermanami?

- Niech mnie! Zupełnie o nich zapomniałem. Theo znikł z horyzontu, pani Zimmerman zalega z czynszem. A w ogóle to tam miał mieszkać zarządca, nie zaś lokatorzy. Rolf ma potencjał, zasłużył sobie na odrobinę szacunku.

- Tak, oczywiście. Żałuję, że nie mogę zostać. Dla mnie to była dobra stała praca, ale wiesz, jak to jest. Mąż proponuje, żona dysponuje.

Les Jolly roześmiał się.

- W takim razie wyświadczyć mi przysługę, dobrze? Wiem, że to nie będzie łatwe, ale... powiedz pani Zimmerman, że musi się wyprowadzić. Że dom będzie zajęty. Niech się wyniosą, nim do miasta przyjedzie Rolf, inaczej cała wina spadnie na niego. Pewnie są przyjaciółmi, po co wciągać go w jej problemy? Eksmisja Zimmermanów po tym, jak Rolf pojawi się w mieście, spowodowałyby mnóstwo zamieszania.

- Załatwię to tak gładko, jak tylko się da - obiecał Bob.

- To przecież nie tak, żeby oni nie mieli gdzie się podziać. Był u mnie ten ich pastor. Sympatyczny staruszek. Powiedział, że ich wspólnota się rozwija i że chce, by dzieci do niej wróciły na czas. Organizuje szkołę.

- No to wszystko w porządku. - Les odetchnął z ulgą.

- Jestem pewien, że doskonale to załatwisz.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY.

- Co? - Konstabl Clem Colley rozdziawił gębę ze zdumienia. - Jakie oskarżenie?

- Chyba kryminalne - powiedział Lucas. - W każdym razie tak to się nazywało w starym kraju.

- Tak? No to przyjmij do wiadomości, że tu sprawy wyglądają odrobinę inaczej, przyjacielu. Tu nie wolno bezkarnie rzucać oskarżeń, a w istocie spotwarzać ludzi. Pozwól, że będę szczery: zwłaszcza ludzi takich jak Dixonowie.

- Nie wymieniłem Dixonów - wyjaśnił spokojnie Lucas. - Tylko Keitha Dixona. Umyślne wywołanie pożaru buszu jest w tym kraju

przestępstwem, prawda?

- Być może - zgodził się Colley. Ostrożnie.
- Pożaru buszu mającego w intencji podpalacza zniszczyć posiadłość i własność sąsiada - uściślił Lucas.
- Zależy od tego, co nazwiemy intencją. Samo wypalanie to nie zbrodnia, szanowny panie. Wzniesienie pożaru w ochronie własnej ziemi to też nie przestępstwo, nawet jeśli ogień wyrwie się spod kontroli, więc lepiej uważaj. Powiedziałbym, że mamy tu do czynienia z przeciwogniem. Wypala się pas ziemi, żeby zatrzymać prawdziwy pożar. Właśnie to widziałeś.
- Nie. Wręcz przeciwnie. Widziałem, jak Keith z premedytacją podpalał trawę przy wietrze sprzyjającym rozprzestrzenieniu się ognia w pożądanym kierunku, czyli w stronę wymienionego nadziału. Miał pomocników: Pike'a, Sama, mnie...

Wiedział, że Colley chwyci się tej szansy obiema rękami, ale niestety nie mógł zatajać faktów. Musiał mówić prawdę i tylko prawdę,

318

nie miał wyboru. I tak jak się spodziewał, Colley wybuchnął śmiechem.

- No proszę! Twierdzisz, że spowodowałeś pożar, a jednocześnie oskarżasz dzentelmena o podpalenie... bo to jest właściwe słowo. Ja się nie dam na to nabrać, szanowny panie. Nie w tym wypadku. Mnie się zdaje, że zaciąłeś się na Keitha Dixona, bo wywalił cię z roboty, i chcesz się na nim odegrać.
- A mnie się zdaje, że nie wypełnia pan swych obowiązków. Chcę, żeby Keithowi Dixonowi przedstawiono zarzuty, a pan ma obowiązek dopilnowania, by tak się stało.

- Nie możesz tak po prostu gadać. Musisz podpisać papiery!
- Wiem, oczywiście. Proszę przygotować wszystkie konieczne dokumenty i przynieść mi do podpisu. Chyba można załatwić to szybko?
- Ładnie dziękujesz ludziom - warknął Colley. - To ja pomogłem tobie i twojej pani znaleźć robotę w Clonmel, a ty co robisz? Gryziesz dłoń, która cię karmi. Założę się, że Keith miał dobry powód, żeby cię wywalić. -  
Podszedł do drzwi. - Pomyślę o tym - powiedział i wyszedł.
- Nie musisz myśleć! - krzyknął za nim Lucas. - Musisz to zrobić.
- Co się stało? - zdziwiła się siostra przełożona, wystawiając głowę na werandę, gdzie Lucas czekał na transport do domu.
- Nic wielkiego. Wzruszyła ramionami.
- Skoro tak mówisz. Ale radzę ci, Lucasie, bądź ostrożny. Z takimi jak on trzeba uważać.

Pielęgniarka odwołała ją do jej codziennych obowiązków; ta sama pielęgniarka, która uprzejmie zgodziła się odwiedzić rano posterunek policji i poinformować konstabla, że pan Fechner chce się z nim widzieć. I to się udało. Do spotkania doszło w ostatniej chwili. Ponieważ Lucas nie mógł poruszać się swobodnie, lada moment miał przyjechać po niego Jim Pimbley i odwieźć go do obozu.

Lucas nie mógł się uspokoić. Czuł się strasznie bezradny. Nienawidził zależeć od innych. Doprowadzało go to do szaleństwa. Musiał przyznać sam przed sobą, że to właśnie bezradność skłoniła go do wniesienia oskarżenia przeciw Keithowi Dixonowi.

319

Keith sprowadził nieszczęście na dwie rodziny, Lucas nie mógł dopuścić, by uszło mu to na sucho. Niech ten cholerny konstabl przygotowuje

wszystkie papiery, bo jeśli nie, już on się dowie dlaczego.

Mijały tygodnie, a Theo nie wracał do domu. Napisał tylko dwa listy; w każdym informował z tryumfem, że już prawie, prawie mu się udało, ale na razie nie wyglądało na to, by znalazł żyłę złota. Eva nie miała zamiaru wybaczyć mu, że zostawił ją tak po prostu, w stanie niepewności. I nie miała zamiaru wybaczyć Rolfowi i Rosie, że wyrzucili ją z domu. Było to z ich strony nieprawdopodobnie egoistyczne, niech gadają, co chcą.

Wyrzucić na ulicę małe dzieci! Zwrócić się przeciw przyjaciołom w tak okrutny sposób! Kiedy Theo wróci do domu, będzie miał wiele do powiedzenia na ten temat. Ani przez chwilę nie wierzyła, że taki sympatyczny facet jak Les mógł sprzeciwić się temu, żeby zamieszkali razem. Rolf został wielkim zarządcą jakiegoś tartaku, więc on i Rosie uznali, że mogą rządzić całym światem. Tylko o to chodziło.

A na dodatek jeszcze ten ojciec Beitz! Zapowiedział, że nie pozwoli się im schronić „pod naszymi skrzydłami”, jeśli nie odbierze dzieci z „pogańskiej” szkoły. Próbowwała przekonać go, że to dobra szkoła, rządowa, że zatrudnia wykwalifikowanych nauczycieli.

- Wykwalifikowanych? A co to znaczy? - syknął pastor. - Umieją liczyć do dziesięciu? Nie zniosę, by dusze naszych dzieci zatruwali ci wszyscy poganie. Czy uczą modlitw? Jakich? Jakiej religii?

Eva milczała, nie zamierzała przyznać, że religii uczono w myśl doktryny Kościoła anglikańskiego, choć same jego modlitwy wydawały się jej identyczne z tymi, które sama odmawiała. Nie szczędziła za to pochwał nauczycielowi angielskiego, wspomagającemu dzieci w każdy możliwy sposób.

- Pan Hackett rozumie, jak trudno uczyć się jednocześnie lekcji i języka

angielskiego. Udziela im korepetycji po szkole.

Na pastorze nie wywarło to spodziewanego wrażenia.

- Pani Zimmerman, proszę pamiętać, jaki był cel naszej wspólnej emigracji. Zdaje mi się, iż udało się pani zapomnieć, że za swą misję mam strzeżenie prawd religii, tradycji i języka naszych przodków. Czyżby pani o tym zapomniała? Języka! Czyżby

320

pani dzieci miały zapomnieć o swym dziedzictwie? Wstrząsające, doprawdy wstrząsające. Nie doszłoby do tego, gdyby Theo był w mieście. Czy on wie, jak jego dzieci wodzi się na pokuszenie?

Eva nie była w stanie dłużej znosić tej słownej chłosty. Miała poczucie winy, owszem, wystarczająco wielkie, by niepokoić się o stan swej duszy, ale nawet to nie wpływało na jej żelazne przekonanie, że dzieci mają się uczyć nie w szkółce kościelnej, nie u pastora, lecz w przyzwoitej szkole rządowej u licencjonowanego nauczyciela, takiego jak pan Hackett. Żeby mogły zdać egzaminy akceptowane przez ważnych ludzi tego świata. Ani ona, ani Theo nie posiadali formalnego wykształcenia. W wypadku Thea rodzina była po prostu za biedna. W wieku ośmiu lat był kominiarczykiem, w wieku dziesięciu patroszył ryby na targu w Hamburgu, a potem uciekł, by szukać fortuny na własną rękę.

- I nadal ucieka - powiedziała półgłosem.

Westchnęła. Pogrążyła się w marzeniach o przyszłości dzieci. Nie pozwoli, by cokolwiek stanęło jej na przeszkodzie. Robie zostanie lekarzem, a Hans, uwielbiający zabawy na wolnym powietrzu, architektem. A może weterynarzem? Bardzo kocha zwierzęta. Inge, mała słodka Inge... jej przeznaczeniem miał być zawód nauczycielki. Ale nie takiej zwykłej

nauczycielki, z całym szacunkiem dla pana Hacketta, który był bardzo inteligentny. Inge będzie profesorem czy jak to się nazywa, w każdym razie tym kimś z uniwersytetu, co to uczy nauczycieli. O tak, jeśli chodzi o dzieci, Eva Zimmerman mierzyła bardzo wysoko. I nie miała zamiaru się z tego tłumaczyć.

Nie przyjęła więc zaproszenia Beitza, nie zgodziła się na jego warunki. Wróciła do miasta, kupiła brezentowy namiot i rozbiła go nad brzegiem rzeki niedaleko Quay Street. Litując się nad nią Bob, za kilka dni były zarządca tartaku, pomógł im przenieść rzeczy i obiecał, że porozmawia jeszcze raz z Lesem Jollym.

Les jednak nie zmienił zdania.

- Mówiłem ci przecież, że ma to być dom zarządcy, a nie jakiś tam pensjonat. Jeśli to cholerne miasto rzeczywiście potrzebuje przyzwoitego pensjonatu, to go wybuduję, gdy tylko zbiorę do kupy kilka funtów. Ty masz wyczyścić teren dla Rolfa, żeby nie stworzyć sytuacji, z którą będziemy musieli walczyć do końca życia. Theo do niczego się nie nadaje. Takich jak on mnóstwo jest na tym świecie. Zawsze zalegają z czynszem i rachunkami.

321

Może znaleźć żyłę złota, a i tak w końcu będzie bez grosza. Wszyscy są do siebie podobni, wierz mi. Wiem, co mówię, bo mój ojciec był jednym z nich, cholerny sukinsyn.

Bob dał także Evie prześcieradła i koce, które kupił dla siebie, ale okazały się zbędne. Pomógł im też jakoś się zagospodarować.

- Dziękuję bardzo - powiedziała Eva. Stała wyprostowana, spokojna, zdecydowana nie pokazać dzieciom, Bobowi ani dwóm obcym

mężczyznom pomagającym w rozbiciu namiotu, że jest strasznie zawstydzona.

Ich namiot stał ukryty pod wielkim drzewem, frontem do rzeki o piaszczystych brzegach. Dzieciom szalenie się to podobało. Podczas gdy mama rozpakowywała najważniejsze rzeczy, one bawiły się w płytkiej wodzie wraz z dziećmiakami rodziny mieszkającej obok, także w namiocie. Zatem, pomyślała bez radości, nie jesteśmy jedynymi bezdomnymi w Bundabergu. Przy najbliższej okazji spytała obce dzieci o dzieje ich rodziny. Wydawały się zdziwione, że musi pytać.

- Przyjechaliśmy z kopalni złota. Tata stracił wszystko. Musi zaczynać od nowa. Szuka pracy.

Eva życzyła im wszystkiego najlepszego. I sobie też. Doskonale pamiętała, że wstydziła się cygańskiego życia w obozie ojca Beitza... i proszę, oto znalazła się w jeszcze gorszej sytuacji.

- Och, nie przejmuj się - powiedziała sobie. - Możesz przecież złożyć dumę na ołtarzu spraw znacznie ważniejszych. A dzieci na razie nic nie rozumieją i uważają spanie w namiocie za dobrą zabawę.

Kilka dni później wieczorem, za ledwie zdążyła położyć dzieciaki, przed namiotem pojawił się jej szef, pan Grigg. Rozejrzał się dookoła gniewnie, a pod nią biedną aż ugięły się nogi. Pan Grigg budził strach nawet w najlepszym humorze z tą swoją łysą głową, złamanym nosem i wielką szczęką.

- Jak długo to trwa? - warknął.

- Nieee... niedługo. Tydzień czy coś koło tego.

- Niedobrze, Evo. To nie w porządku, żeby samotna kobieta mieszkała w namiocie na odludziu. Za dużo dziwnych typów kręci się w okolicy. Twój

mąż szuka złota, tak?

- Owszem.

322

- A w tych nowych miasteczkach trudno znaleźć wolny pokój?

- Tak. Bardzo trudno.

Grigg zrobił parę kroków i z brzegu przyjrzał się szerokiej rzece oświetlonej promieniami księżyca. Było tak cicho, że Eva słyszała plusk ryb wyskakujących z wody. Myślała tylko o tym, gdzie pójdzie, jeśli on każe się jej stąd wynieść. Będzie musiała go posłuchać. Zbyt wiele zależało od pracy w kuchni.

- Masz szczęście, że jest tak sucho - powiedział spokojnie Grigg. -

Pierwszy przyzwoity deszcz zmyje to wasze gospodarstwo.

- Och! Nie wiedziałam.

- Oczywiście. Mniejsza z tym. Ale tak dłużej być nie może. Moja pani wszystko mi powiedziała, więc postanowiłem przyjść, rozejrzeć się, sprawdzić, jak to rzeczywiście wygląda. A teraz posłuchaj mnie bardzo uważnie. Przypominasz sobie tę sporą szopę przy stajniach? Na końcu dziedzińca hotelowego?

- Tak.

- Trzymałem w niej pozostałości z budowy, popsute narzędzia, ścinki drewna i tak dalej. Nająłem paru ludzi. Wysprzątali ją. Możesz się tam wprowadzić z dziećmiakami.

- Ja? Naprawdę?

- Zapraszam. Oczywiście to tylko szopa, ale zawsze lepsza niż namiot, prawda? Możecie ją uporządkować, żeby nadała się do zamieszkania.

Zapraszam jutro.

Eva patrzyła na niego z szeroko otwartymi ustami. Ze zdumienia nie mogła oddychać.

- Och, dziękuję, panie Grigg! Przyjdziemy. Z radością. Wprowadzimy się już jutro. Tylko... proszę powiedzieć, ile wynosi czynsz?

- Czynsz? Za szopę? Nic oczywiście. Proszę porozmawiać z panią Grigg o opłacie za posiłki dla całej rodziny. A teraz wracam, w barze będzie dziś tłoczno.

Odwrócił się i odszedł. Krok miał tak lekki, że nawet dywan spalonej trawy, ciągnący się od namiotu do drogi, nie szeleścił pod jego stopami. Eva opadła ciężko na swe jedyne krzesło. Grigg miał rację. Szopa nakryta była dachem z blachy falistej! Namiot nie mógł się z nią równać. Cóż za sympatyczny człowiek!

Przypomniała sobie powiedzenie: „Dziękuj niebiosom za najmniejszą łaskę.” Postanowiła oszczędzać każdego pensa,

323

obiecała sobie, że już nigdy niczego nie wynajmie, jeśli tylko okaże się to możliwe. Kupi ziemię, choćby splechetek ziemi, jedynie ziemia liczyła się w tym kraju. Ludzie właściwie nie rozmawiali o niczym innym, tylko o ziemi; miasto pionierów, powiadali, tanie grunty, tanie, póki nie zwiększy się populacja. Eva mogła mieć tylko nadzieję, że się nie mylą. Bo byli też inni, pewni, że za parę lat Bundaberg będzie miastem duchów. Tyle że nic na to nie wskazywało. Każdego dnia pojawiali się nowi ludzie.

Także Freda Meissner odmówiła pozostania w obozie dłużej niż przez kilka dni, ale tylko dlatego, że czekała ją ciężka praca. Jakobowi udało się podwyższyć kwotę pożyczki, mógł więc kupić nowy wóz i narzędzia do oczyszczenia ziemi w miejscu, gdzie kiedyś stał dom. Razem z Karlem

mieli wrócić na własną ziemię, zacząć wszystko od nowa. Zakładali, że Freda pozostanie w miasteczku przez jakiś czas, ale ona miała na ten temat swoje zdanie. Nie znosiła bezczynności.

- Mam dwie zdrowe ręce - powiedziała. - Potrzebujecie mnie, jak zawsze. W każdym obozie musi być kucharz.

Oni także mieszkali w namiocie, tyle że daleko w górę rzeki od namiotu Evy. Z każdym dniem przybywało ziemi uporządkowanej po pożarze.

Fredzie ciążyło tak prymitywne życie, nie skarżyła się jednak. Powtarzała tylko, że chciałyby znów mieć dom, w którym znalazłaby schronienie przed upałem.

- W namiocie jest o wiele goręcej - mówiła.

- W ogóle jest goręcej - zauważył rozsądnie Karl. - Mamy lato.

- Stanowczo nie! Jeszcze za wcześnie. Po mojemu to wiosna.

- Niech będzie, nie warto się o to spierać. Moim zdaniem mamy ponad dwadzieścia pięć stopni ciepła i dla mnie to jest lato.

Nazajutrz spadł lekki deszcz, przyczyniając im nieco dyskomfortu, a później padało regularnie i Jakob oczywiście zwrócił na to uwagę.

- Zdaje się, że to koniec pory suchej, Bogu niech będą dzięki. Musimy to sobie zapamiętać.

Ku ich zdumieniu i wielkiej radości na spalonej ziemi zazieleniła się trawa, a zwęglone eukaliptusy wypuściły świeże odrosty,

324

zupełnie jakby natura postanowiła wymazać wszelkie ślady pożaru tak szybko, jak to tylko możliwe.

To wówczas odwiedził ich Les Jolly przepraszając, że nie przyjechał wcześniej. Freda przede wszystkim pobiegła po chustę. Otuliła się nią

ciasno, próbując ukryć znoszoną workowatą sukienkę, którą znalazła w pudle z używaną odzieżą. Zebrał ją dla nich ojciec Beitz.

Mężczyźni jak zwykle rozmawiali o pogodzie. Jakob wspomniał coś o użyteczności padających nocą deszczów. Les uśmiechnął się pod nosem.

- A tak, owszem, to się często zdarza o tej porze roku. Potem bogowie deszczu nie bywają już tak łaskawi. Zapewne wiecie, że Rolf zarządza tartakiem?

- Tak, słyszeliśmy.

- Czy to dlatego on i jego chłopcy nie mają czasu, żeby pomóc nam w odbudowie domu? - W głosie Karła brzmiał gniew. - Obiecywali... No ale gadanie jest tanie.

- Cicho - przywołała go do porządku Freda. - Mam tego dość! Ludzie pracują. Nie będą ci świadczyć na rozkaz. - Zwróciła się do Lesa. - Jakob i on - wskazała syna - całkiem dobrze sobie radzą. Oczyszczili wystarczająco wiele ziemi, żeby można było zacząć budowę.

- Właśnie o tym chciałem porozmawiać. Rolf i reszta chłopaków nie przyjechali, bo prosiłem, żeby nie przyjeżdżali, póki się tutaj nie rozejrzę. Freda pomyślała, że zachował się wręcz bezczelnie, bo przecież nie miał prawa decydować za nich i w ogóle to nie był jego interes, ale na szczęście ugryzła się w język.

- Po drodze obejrzałem sobie drzewa na waszej ziemi - ciągnął Les. - Sprawdziłem je też za pomocą mojej starej wiernej siekiery. I mogę ci powiedzieć, Jakobie, że nie wszystko stracone.

- Jak to? Nie rozumiem.

- Wiele z twoich drzew przetrwało pożar. Są takie stare i takie wielkie, że przetrwały ich pewnie dziesiątki. To ich wiek kazał mi trochę pomyśleć.

Pożary buszu to w tym kraju codzienność. Takie jest życie. Obfite deszcze przyśpieszają wzrost roślin, poszycie robi się za gęste i wymiera, w porze suchej schnie w przyśpieszonym tempie, no a potem wystarczy błyskawica czy choćby iskierka i... bum!

325

- Oczywiście - powiedział Jakob grzecznie. - Ale zastanawiam się, jaki jest cel tego wykładu.

- Jaki? Nie rozumiesz? - Les z rozmachem wbił siekierę w pień najbliższego drzewa. - Nadal masz mnóstwo dobrego drewna, przyjacielu. W sam raz pod wyrąb. Niektóre pnie są cholernie grube, prawda, ale zewnętrzną warstwę i tak odcina się w tartaku, więc nie szkodzi, że naruszył ją ogień. Tego co zdrowe, wystarczy. Masz eukaliptusy o szczególnie twardym drewnie, masz jesiony i cedry. Masz czym zahandlować.

Jakob patrzył na niego zdumiony. Karl też nie wierzył własnym uszom.

- Jesteś pewien?

- Daję wam słowo. Ile tego jest? Sam zobaczysz, kiedy skończymy robotę. Chciałbym przysłać drwali w przyszłym tygodniu. Co ty na to, Jakobie? Robimy interes?

- Ja... jasne!

Les uśmiechnął się do Fredy.

- Niechże się pani nie martwi, zapłacę uczciwie. No i nie śpieszyłbym się z tą chatą z bali, pani Meissner. Będziecie mieli tarcicę bardzo dobrej jakości. Da się z niej zrobić przyzwoity dom. - Nagle zamilkł, jakby nieco zażenowany. - Bardzo przepraszam, nie chciałem wtrącać się w wasze sprawy. Pomyślałem tylko, że...

Freda objęła go za szyję i ucałowała w oba policzki.

- Les, jesteś cudownym człowiekiem! Dziękuję! Nigdy ci się nie zdołamy odwdziżyć...

Jolly rozmawiał z nimi przez dłuższą chwilę. Radowało go, że mógł im przynieść dobre wieści, bo ci ludzie z pewnością ich potrzebowali. Żyli w nędzy, w namiocie, mieli tylko tyle, by przetrwać. Cud, że to znosili.

- Umieją walczyć o swoje - powiedział do siebie odjeżdżając. - Należy im się odrobina szczęścia, tak na odmianę. Zwłaszcza że... - zastanawiał się przez chwilę - ...dam głowę, że to było podpalenie.

Przyjechał od strony zewnętrznej granicy drugiej działki Jakoba, którą przed kilkoma miesiącami spenetrował dokładnie, oceniając zasoby drewna. Widział miejsce, gdzie zaczął się pożar, wyraźnie zaznaczoną granicę między ziemią nietkniętą i spaloną, która już się powoli zieleniła. Ale nie było tam jednego niewielkiego miejsca będącego źródłem ognia, lecz kilka, w dodatku

326

oddalonych od siebie o przeszło sto metrów, a mimo to w niemal prostej linii. Skąd błyskawica zdolna dokonać takiego cudu? Skąd iskry? Odbity od gładkiego kamienia promień słońca może wzniecić pożar, ale żeby było kilka takich kamieni?

Les Jolly zsiadł z konia, rozejrzał się dookoła. Wiatr poniósł ogień na wschód, nie mógł wiać na boki, rozprzestrzenić go wszcz. Tu, pomyślał, i tu? Nie, nie ma mowy.

Podniósł z ziemi pudełko po zapalkach. Puste. No jasne, mógł je tu rzucić każdy. Nie było dowodem na nic. Tyle że wzmogło podejrzliwość Lesa. Nie, nie zamierzał zadawać pytań; doskonale wiedział, kto jest sprawcą,

czyi ludzie dokonali tego dzieła. Miał zamiar zatrzymać tę wiedzę dla siebie. Co się stało, to się nie odstanie. Trzeba żyć dalej.

Mieszkańcy Bundabergu z niedowierzaniem patrzyli na bandę szaleńców schodzących na ląd z pokładu „Loch Nevis”. Byli to górnicy ze Szkocji, skłonieni do emigracji do Australii z opłaconym rejsem. Mieli kontrakt na pracę w kopalniach węgla kamiennego w Newcastle, porcie leżącym na północ od Sydney. Najwyraźniej zadowalał ich taki układ... póki nie dowiedzieli się o pokładach złota w północnym Queenslandzie. Potem zorientowali się, że „Loch Nevis” bierze kurs na port w Bundabergu. Wszyscy jak jeden mąż zostali na pokładzie. Północ - oto był właściwy kierunek!

Próbowali skłonić kapitana, by pożeglował dalej, chcieli mu nawet dać łapówkę, ale miał on zobowiązania i twardo obstawał przy tym, że to niemożliwe. „Loch Nevis” zabierał z Bundabergu ładunek drewna i wracał tam, skąd wypłynął. Po godzinach targów kapitan wziął od każdego z pięćdziesięciu Szkotów po dwanaście szylingów. Dostarczył ich do Bundabergu, który - o czym z rozbijającym uśmiechem zapewniał nieszczęśników - leżał całkiem niedaleko słynnych złotonośnych pól nad rzeką Palmer. Nawet jej dno miało błyszczeć złotem.

Kilkadziesiąt godzin później statek wpłynął z falą przyływu na wody rzeki Burnett. Najpierw skierował się do Wide Bay, potem miał ruszyć do innych portów na południu. Tylko bosman, z pochodzenia Szkot, litował się nad losem, który zgotowano tym biednym głupcom.

Górnicy do szaleństwa szczęśliwi, bo wreszcie znaleźli się na stałym lądzie, rozpoczęli zabawę w miasteczku, świętując poprawę samopoczucia.

Pod czujnym okiem Stenninga wypełnili kilka formularzy, zwalili skąpe bagaże w baraku dla imigrantów i rozbiegli się po łące dzielącej Quay Street od nabrzeża, szalejąc dla samej radości rozprostowania nóg.

Niektórzy wskoczyli do rzeki. Harcowali w niej jak dzieci, bo i na dzieci wyglądali. Byli bardzo młodzi.

Podczas gdy jedni kopali piłkę na ulicy, inni zaczęli rozglądać się za kawiarnią albo smażalnią ryb, jakimkolwiek miejscem, gdzie mogliby dostać coś do jedzenia. Wprędce dowiedzieli się, że ta nędzna nudna miejscina niewiele ma do zaoferowania młodym ludziom. Skierowano ich do pubu, który zdążyli już odkryć starsi i mądrzejsi od nich. A także dowiedzieć się, że najtańszym trunkiem jest miejscowy rum, przeraźliwie słodki i sprzedawany na maleńkie szklaneczki.

Nikt nigdy nie dowiedział się, ile czasu potrzeba było, by Szkoci poznali straszną prawdę. Prawdę o tym, gdzie się znaleźli. Gdzie się dokładnie znaleźli.

- Będziemy szukali złota - powiedzieli Griggowi z „Royalu”, kiedy już najedli się, napili i zaczęli rozmawiać.

- A tak. W Gympie.

- Co to Gympie?

- Pole złotonośne. Niedaleko stąd. Eksploatowane od lat.

- Nie, człowieku, my do Palmer. Prześpimy noc i rano ruszamy. Nie marnujemy czasu na resztki po innych. To nie my.

- Palmer? - Grigg spojrział na ich rozpromienione twarze. Jasne piegowate twarze, rudawe włosy. - Nigdy tam nie dotrzecie, chłopcy. Dajcie sobie spokój.

- Ty co? - spytał mężczyzna, który był chyba rzecznikiem Szkotów. - Co to za gadanie, że Palmer jest daleko stąd?

- Więcej niż daleko. Jak chcecie się tam dostać?

- Na nogach - roześmiali się Szkoci. - Z marszu. Grigg potrząsnął głową.

- Lepiej to sobie przemyślcie. Powiedziałbym, że Palmer leży ponad półtora tysiąca kilometrów stąd.

- Daj spokój, nie może być. Spadlibyśmy z krawędzi świata.

Wśród Szkotów dały się zauważyć objawy gniewu. Nie wierzyli barmanowi, wypytywali innych, ale niewielu miejscowych wiedziało, 328

gdzie tak naprawdę znajduje się złotonośna rzeka, bo dla nich było to gdzieś daleko, za granicami cywilizacji, przynajmniej cywilizacji takiej, jaką znali.

Pojawił się Walther, ale nie był w stanie udzielić pomocy, bo i nic nie wiedział o Palmer. Wkrótce do pubu wszedł także konstabl Clem Colley.

- Powiedz im, gdzie są pola złotonośne nad rzeką Palmer

- poprosił go Grigg. - Bo wszyscy się kłócą.

Colley zwrócił się do Szkotów:

- Cholernie daleko, chłopaki - oznajmił głośno. - Sporo ponad półtora tysiąca kilometrów i jak mówią, po drodze aż roi się od kanibali.

- Ale jest tam złoto?

- Mnóstwo - roześmiał się konstabl. - Kochani, gdzieś po drodze skręciliście w złą stronę. Wydaje mi się, że sami nie wiecie, gdzie jesteście.

Do Szkotów zaczęło wreszcie docierać, że przywieziono ich do jakiejś cholernej dziury na krańcu wszystkiego i zostawiono jak szmatę na

kamieniu, pół świata od miejsca, do którego pragnęli dotrzeć. Słowa konstabla bynajmniej ich nie rozbawiły, nie podobało im się także, że ktoś może się z nich natrzęsać. Podniosły się groźne pomruki, odezwały się gniewne głosy i wówczas

- los bywa okrutny - do pubu wkroczył Jules Stenning, nie jako prywatna osoba bynajmniej, lecz jako celnik. Wszedł krzycząc coś gniewnie i machając podpiętymi do sztywnika papierami. Najwyraźniej niespełna połowa Szkotów usłuchała go i zgłosiła się w jego biurze. Miał zamiar udzielić im dobitnej lekcji obowiązków obywatelskich, niestety jeden ze Szkotów przedarł się przez tłum, wyrwał mu papiery.

- Pieprzyć wasze zasady! - warknął, przełamał sztywnik na pół i cisnął go za poręcz werandy. W powietrzu aż gęsto zrobiło się od kartek papieru. Konstabl skoczył Stenningowi na pomoc. Dość lekkomyślnie zapowiedział niezbyt przyjaźnie nastawionym mężczyznom, że jeśli chcą zostać w mieście, muszą się przyzwoicie zachowywać. Zdaniem Walthera była to czysta głupota. Poszukał wzrokiem Grigga, ale barman znikł za drzwiami na zaplecze. Zapewne musiał przytoczyć nowe beczki piwa.

Jakby na dany znak trzasnęły przewracane na podłogę krzesła, kilka wyleciało w powietrze. Szkoci zaszarżowali na Colleya.

329

Podnieśli go i rzucili w tylne szeregi, równie wściekle. Przeleciał nad salą, przez poręcz werandy, wylądował na ziemi przy wtórze gromkiego śmiechu.

Tłuczono szkło, przewracano stoliki, niektórzy z miejscowych pastuchów zaatakowali przybyszów i to co mogło być niewinną bójką w barze, przerodziło się w istną wojnę. Stenning znalazł się na linii frontu. Mocno

oberwał, upadł, dostał kopniaka. Walther westchnął ciężko i rzucił się w tłum. Szerokimi barami odrzucał napastników. Wyciągnął nieszczęsnego celnika, zanim go stratowano, wraz z nim schronił się we względnie bezpiecznej kuchni. Po drodze musiał osłaniać się od ciosów... i nagle usłyszał ogłuszający huk strzału.

- Nie mam nic do picia i nic do żarcia! - krzyknął Grigg. - Bar zamknięty.

Walther pozostawił nieszczęsnego Stenninga pod opieką pani Grigg.

Wyszedł z hotelu. Kilku mężczyzn niosło bezwładnego Clema Colleya za ręce i nogi.

- Coś mu się stało? - spytał.

- Głupek. Tyle na tym zarobił, że będzie miał kilka guzów. Przewieziemy go do szpitala.

Tymczasem Szkoci wypadli na ulicę, a wszyscy skłonni wszcząć awanturę.

Niektórzy wrócili do baraku dla imigrantów; Walther miał nadzieję, że uspokoją się, pośpią, dadzą wszystkim święty spokój. W mieście nadal panował jednak niepokój, nawet strach. Zamykano sklepy. Opustoszały ulice, pozostali na nich tylko górnicy i kilkoro zaciekawionych

Aborygenów.

Wieczorem kilku miejscowych przedsiębiorców prześlizgnęło się

ukradkiem na zaplecze sklepu Pimbleya. Rozmawiali o tym, co zrobić w sprawie górników, którzy nadal łazili po mieście, przewracali ogrodzenia, wybijali szyby sklepowych wystaw. Keith Dixon przyjechał do miasta i natychmiast zorientował się, że można wykorzystać sprzyjającą sytuację.

Nadal wstrząśnięty po fiasku z Fechnerem, z trudem wierzył swemu szczęściu, bo i rzeczywiście, nic z tego nie wynikło. Ojciec był pewien, że Fechner zacznie gadać i wszyscy będą go chętnie słuchali, ale do tego

nieszczęścia nie doszło. Dureń trafił do szpitala, a potem zszedł ludziom z oczu.

- W każdym razie - powiedział do ojca - może chlapać jęzorem, ile chce. Nikt go nie będzie słuchał.

330

Przemawiała przez niego brawura podszyta strachem. Niemieccy kumple Fechnera z pewnością by go wysłuchali.

- Módl się, żeby to była prawda - warknął ojciec. - Mamy mnóstwo roboty w Bundabergu. Musimy zdobyć poparcie dla twojej kandydatury do parlamentu, nie chcemy żadnych problemów. Aha, jeszcze jedno.

Dopilnuj, żeby częściej widywano cię z Norą. Jest bardzo lubiana, pochodzi z dobrej rodziny, słowem: przyda się. Nie mam pojęcia, dlaczego do tej pory się nie zaręczyliście. Przecież znasz ją wystarczająco długo.

Keith poruszył się niespokojnie. Nie powiedział rodzicom... w ogóle nikomu nie powiedział... że oświadczał się Norze dwukrotnie i dwukrotnie został odrzucony. Dziewczyna nie unikała go wprawdzie podczas spotkań towarzyskich czy na tańcach, ale zachowywała dystans. Czasami była wręcz opryskliwa. Przyjaciele twierdzili, że spodobał się jej któryś z Niemców, co Keitha doprowadzało do szaleństwa, ale rodzicom o tym nie wspomniał. Stary J. B. nie dałby mu spokoju. Jej rodzice zawsze mile go witali, co podnosiło go na duchu i sprawiało, że odwiedzał ich, gdy tylko był w mieście.

- Nie ma mądrych - westchnął. - Któregoś dnia pewnie zrobi to, co nakazuje jej rozsądek.

Keith przyjechał do miasta zbyt późno, by być świadkiem bójki w „Royalu”, i chociaż teraz głośno i z zapalem potępiał Szkotów za ich

„kryminalne zachowania”, tak naprawdę żałował spóźnienia. Chętnie porzucałby krzesłami w Grigga. Nie zapomniał o tym, jak dotkliwie upokorzył go barman. Ale teraz miał wymarzoną okazję, by zwiększyć szansę kariery politycznej. Mógł wstąpić na scenę, poprowadzić ludzi, podczas gdy inni ważni mieszkańcy Bundabergu chodzili wokół problemu na paluszkach i udawali, że nie istnieje.

- Ich naprawdę zostawiono u nas na łasce losu - powiedział Pimbley. - Najbliższy statek przybędzie za kilka dni, może nawet tygodni. O ile wiem. Powstaje pytanie: jak można się ich pozbyć?

- Nie można - westchnął doktor Strauss. - Proponuję, żeby rozwiązać to spotkanie... Niech się wyszaleją.

- A ty po co tu przyszedłeś? - zaatakował Keith. - Tylko baran przychodzi na spotkanie z propozycją jego rozwiązania. - Wzbudził śmiech obecnych, więc ciągnął: - Podejrzewam,

331

że dziś, łatając dziury w skórze, zarobiłeś więcej niż w całym zeszłym roku. Spodziewasz się kolejnej bójki jutro?

- Spodziewam się, że zrozumiecie, w jak trudnej znaleźli się sytuacji. Rozmawiałem z nimi, zanim tu przyszedłem. Wiedzą, że źle się zachowali, i bardzo im z tego powodu przykro. Są też wdzięczni za to, że mogą się przespać w baraku...

- A pewnie! - krzyknął ktoś. - I dlatego pobili Stenninga, który tylko wykonywał swą pracę.

- Stenninga? - zaniepokoił się Keith. - Coś się stało Julesowi?

- Kilka guzów i zadrapań - burknął lekarz. - Bez obaw, przeżyje. Jak mówiłem, powinniśmy zostawić ich w spokoju...

- Czyli pozwolić im na plądrowanie naszego miasta? Nadal dobrze się bawią; ciekawe, gdzie zaatakują za chwilę!

Les Jolly zrobił krok w przód.

- Doktor ma rację - powiedział, lecz nie mógł dokończyć. Keith go zakrzyczał. Wrzeszczał, że nie ma na co czekać, trzeba natychmiast wezwać wsparcie policyjne z Maryborough.

- Nie rozumiecie? Ci faceci stąd nie odejdą! Nasze kobiety są w niebezpieczeństwie! Czy Bundaberg ma być pierwszym w tym kraju miastem, w którym kobiety nie będą mogły bezpiecznie chodzić po ulicach? Bo jesteśmy maminsynkami, bo brak nam odwagi, żeby się bronić? Moim zdaniem powinniśmy natychmiast wysłać depezę z żądaniem wsparcia i jeszcze tej nocy uzbroić wszystkich sprawnych mężczyzn. Kiedy wzejdzie słońce, ci cudzoziemscy żartownisie poznają walory australijskiego humoru i...

- Tylko nie nazywaj Szkotów cudzoziemcami! - uniósł się Jock McAvoy. Niedawno pojawił się w Bundabergu, otworzył sklep z wyposażeniem dla statków przy Quay Street. Był wściekły. Dzięki niemu Les Jolly miał szansę powiedzieć swoje.

- Nie spotkaliśmy się jeszcze. - Podszedł do McAvoya, wyciągając rękę. - Ale zdaje mi się, że jest pan człowiekiem, którego potrzebujemy. Może razem pogadamy z tymi chłopakami, dojdziemy do jakiegoś porozumienia...

- Ja wiem, jakiego porozumienia potrzebujemy. - Keith Dixon ostrym spojrzeniem zmierzył wahających się zebranych. - Mamy konie, mamy broń, mamy bicze. Rano wypędzimy ich z miasta... wprost w objęcia policji z Maryborough.

Te słowa powitano okrzykami aplauzu, choć cichymi, by nie usłyszeli ich wrogowie na ulicy. Pomysłowi Keitha przytaknęli wszyscy, w końcu zapowiadała się dobra zabawa, a o nią na dalekiej prowincji trudno. Nawet Jim Pimbley oznajmił, że w swoim czasie był z niego niezły strzelec. Les Jolly chwycił go za ramię.

- Co ty gadasz? - spytał z niedowierzaniem. - Chcesz ich pozabijać? Chryste wszechmogący, opanuj się, człowieku. Czy to była pierwsza bójka w pubie?

- Ale jeszcze nigdy nie mieliśmy pięćdziesięciu twardzieli szalejących po mieście - warknął Keith. - Co będzie, jeśli zdecydują się zostać? Pomyśl tylko, ich jest chyba więcej niż nas. Ktoś powiedział, że zostali tu podrzuceni, tak? No więc mają nogi, mogą chodzić. Na północ, południe, zachód albo i do morza, mnie to nic nie obchodzi. Nie będą nam roznosili miasta. Idę do biura telegrafu!

Pan Hackett, nauczyciel, zwrócił mu uwagę, że nie każdy może zwrócić się o wsparcie. To przywilej lokalnej policji, a przedstawiciel lokalnej policji leży w szpitalu.

- Nie ma sprawy, zostawcie to mnie. Wszystko załatwię - obiecał Keith. - Wy, panowie, macie być gotowi o świcie. Spotkamy się w alejce przy magazynach. Uważajcie wracając do domu. Nie pokazujcie się. Niech myślą, że nas przestraszyli.

Młody Dixon wyszedł przez tylne drzwi. Les pozostał w towarzystwie zdenerwowanego Jima Pimbleya nie wiedzącego już, w którą stronę się obrócić, austriackiego doktora i Jocka od wyposażenia statków, nie potrafiącego zwrócić się przeciw krajanom.

- Jak byś się czuł - spytał Pimbleya Les - gdybyś płynął do Sydney, ale utknął na Tasmanii?
  - Chybabym się wściekł - przyznał Jim.
  - Więc daj im szansę. Zamknij gębę, siedź w domu. A potem daj nam wszystkim przykład i otwórz sklep jak zwykle.
  - Są górnikami - powiedział Jock. - Mówi się, że Palmer to ciężka robota. Podobno tylko desperaci stawiają czoło temu piekłu, a ci nasi są tu nowi. Powinniśmy pomóc im dotrzeć do Gympie, już tam jest wystarczająco źle
  - uśmiechnął się kwaśno. - Ale nie gorzej niż w kopalni węgla, co?
- Les klepnął go po ramieniu.

333

- Czemu nie, Jock? No, zobaczymy, co da się zrobić. Idzie pan z nami, doktorze?

Konstabl Colley cierpiał. Dokonał nie lada wyczynu: przerzucony przez poręcz wysoko umieszczonej werandy spadł na ziemię i nie skręcił karku. Równie przerażony co zdumiony, nadal nie pojmował, jak mogło do tego dojść. Nigdy nie słyszał o czymś aż tak wstrząsającym. Wylatujesz w powietrze, masz ułamek sekundy przed upadkiem, kontemplujesz skalisty grunt i... łup, twarde lądowanie. Bardzo twarde, sądząc po tym, jak się w tej chwili czuł. Twarde lądowanie gruchoczące kości, choć ten durny austriacki doktor powiedział, że nic nie jest złamane. Colley mu nie wierzył. Nie miał zamiaru wierzyć. Jeśli nawet nie połamali mu gnatów, to z pewnością wybili je ze stawów, bo strasznie cierpiał. Przynieśli go do szpitala poobijanego, poranionego, krwawiącego. Obolałego i półprzytomnego. Poobcierane dłonie i kolana też bolały jak cholera. Przeklęci Szkoci, kiedy stąd wyjdzie, aresztuje ich wszystkich. Co do

jednego. Jeśli znajdzie miejsce, w którym będzie mógł ich zamknąć. Cela na posterunku miała zaledwie trzy metry na sześć i pod sufitem zakratowane okienko. Sukinsyny! No, zawsze jeszcze może przykuć ich do drzew. To legalne, jeśli areszt jest za mały.

Żuł twarde toffi, które przyniosła mu siostra przełożona, rozkoszując się myślą o aresztowaniu szkockich awanturników. Nagle do sali wtargnął Keith Dixon. I nawet nie spytał go, jak się czuje!

- Wzywamy posiłki, Clem - powiedział prosto z mostu. - Nie pozwolimy, żeby ci bandyci roznosili nasze miasto. Bo mogą obrócić je w perzynę. I okraść ze wszystkiego, jeśli nie poprosimy o pomoc. Już widać, co to za głupota: mieć tu zaledwie jednego policjanta. Wniosę skargę do władz, ostrą skargę, zapamiętaj moje słowa. A teraz, Clem, skoro tkwisz w łóżku, najlepiej zrobisz, podpisując pilną prośbę o przysłanie wsparcia, a ja popędzę do biura telegrafu.

- Po co?

- Jak to: po co? Żeby wysłać tę cholerną prośbę. A jak myślałeś?

- Siostra przełożona twierdzi, że mogę wyjść jutro. Rano lekarz ma obchód, zbada mnie i będę wolny.

- Oszalałeś? Do jutra miasto może spłonąć!

334

- No to nic nie poradzimy. Telegraf jest zamknięty.

- Jezu, człowieku, przecież wiem! Obudzę telegrafistę.

- I co z tego? Kto odbierze depeszę? Otwierają o dziewiątej rano.

- Chryste!

O tym Keith nie pomyślał. Za to przypomniał sobie o grupie pościgowej, którą zdążył już zorganizować. Mieli się spotkać wczesnym rankiem. I

działać bez wsparcia policji? Pomyślał, że zapewne uda się im otoczyć Szkotów, ale co potem? Kto ich będzie pilnował do czasu, gdy pojawi się policja z Maryborough? Jeśli rzecz jasna tamtejsze gliny zdecydują się dać wsparcie, co wcale nie było takie pewne. Poczuł, jak ściska mu się żołądek na myśl o tym, co będzie, jeśli Szkoci nie zechcą poddać się potulnie, a może nawet zdecydują się bronić. Nie wątpił, że większość jego ludzi prędzej da dyla, niż zacznie strzelać. Do innych ludzi.

- A w ogóle to chciałem z tobą porozmawiać - powiedział Clem. - O tym facecie, który dla ciebie pracował.

- O jakim facecie? - Keith nie mógł pojąć, jakim cudem ta nędzna karykatura gliniarza może tak po prostu, bez zastanowienia przejść do porządku dziennego nad sprawą w tej chwili najważniejszą!

- O niemieckim pastuchu. Wywaliłeś go z roboty.

- A tak, Fechner. O co chodzi?

- No więc twierdzi, że to ty spaliłeś ziemię Meissnera. Keith pochylił się. Powoli wiązał sznurowadła butów. Musiał jakoś ukryć swą reakcję na te słowa.

- Skąd ten pomysł?

- Mówi, że sam widział. Jak podkładałeś ogień. Chce wnieść skargę.

- Kiedy to było?

- Zaraz po tym wyszedł ze szpitala. Wiesz, że padł ofiarą tego pożaru, prawda? Gazeta o tym pisała.

- Dawno temu. Mam nadzieję, że doprowadziłeś go do porządku? Nie jeżdżę po okolicy, wszczynając pożary. Więcej ich ugasilem, o czym doskonale wiesz.

- Jasne, oczywiście. Opuściłem to sobie, Keith. Nic nie zrobiłem,

sądziłem, że on o tym zapomni. Ale nie. Napisał do mnie kilka listów z tego ich obozu przy Drodze Taylora. Nie mógł przyjechać z powodu złamanej nogi...

335

- I bardzo dobrze. Przecież to dureń. Wrabia mnie, bo go wyrzuciłem z roboty. Chce się zemścić, więc łże.

- Na to mi wygląda. Tylko że parę dni temu przyszedł na posterunek. Słaby, o kulach, lecz mimo to naciskał. Już wtedy myślałem, że powinienem się z tobą skontaktować. Nalegał na złożenie skargi, czekał, aż ją napiszę, i podpisał na miejscu. Przy okazji, będę musiał wezwać Sama i Pike'a. Ten cholerny Niemiec twierdzi, że byli świadkami przestępstwa.

- Jakiego przestępstwa? - syknął Keith. - Przecież przestępstwa nie było!

- Wiem, wiem. Nie wyzywaj się na mnie. Jest skarga, no to muszę wykonać czynności urzędowe. Kiedy następnym razem przyjadą do miasta, niech się do mnie zgłoszą i skończymy wreszcie tę sprawę.

- Będziesz musiał długo czekać. Sam i Pike już dla mnie nie pracują. Pojechali nad rzekę Palmer kopać złoto.

- No i świetnie. Znaczy, że nic się nie da zrobić. Koniec zabawy.

Wcale nie koniec. Keith Dixon był wściekły. Dlaczego raz pogrzebany trup wylazł z grobu? Bez wątpienia maczał w tym łapy Meissner. Namówił swojego kumpla, żeby robił zamieszanie. No i teraz trzymali go na muszce. Jeśli Fechner podtrzyma oskarżenie i będzie się przy nim upierał, może sprawić prawdziwe kłopoty. Nie wygra, nie ma mowy, ale ściągnie mu na łeb gniew starego J. B. Ojciec i tak dostał szału na wieść, że mu przeplacono dwóch pastuchów, Pike'a, a potem jeszcze Sama, który dostał

lepszą robotę na ranchu Armidale w Nowej Południowej Walii. Jego właścicielem był Seth Dixon, szczęśliwy, że może przysłużyć się bratankowi.

J. B. dobitnie zmanifestował niezadowolenie z tego, że stracił dwóch dobrych ludzi. Wrzeszczał jak oszalały, całą winę zrzucał na syna, twierdził, że ludziom wyda się podejrzane zwolnienie najlepszych pracowników, ale w końcu się uspokoił. Keith mógł być wreszcie zadowolony z siebie. Dobrze zrobił, pozbywając się świadków. Teraz musi tylko znaleźć sposób na uciszenie Fechnera. Raz na zawsze.

- Możesz być dla nich dobry, możesz im pomagać - powiedział - a jednak niektórzy ludzie w końcu zawsze cię zawiodą. Nie winię cię za to, że mi poleciłeś tych Fechnerów, Clem, wydawali się w porządku, ale od samego początku były

336

z nimi kłopoty. Tak naprawdę to on nigdy nie nauczył się roboty. Nic nie wiedział o owcach, gubił się, gdy tylko spuściliśmy go z oka. Pewnie tak właśnie było: wymówiłem mu pracę, a on się zgubił, no i znów zapomniał spętać konia. O raz za wiele. Koń wrócił do domu, on zaś błądząc, wszedł na spaloną ziemię, wpadł do jakiejś dziury czy coś i złamał nogę. Takie to proste. - Nagle przypomniał sobie o Hanni. No tak, musi przecież powiedzieć coś o pani Fechner. - Ach, i jeszcze ta jego żoneczka. Latawica, mówię ci, nic dobrego. Drażniła chłopaków, prowokowała ich, strzelała oczkami, powiadam ci, umiała to robić jak nikt. A w dodatku kradła. Zginęła jedna z ulubionych rzeczy mamy, lusterko, dekorowane, inkrustowane nawet kamieniami w złotej oprawie. Prawdziwe dzieło sztuki, bardzo cenne, żebym tak zdrów był. Kochała je. Jak każda kobieta.

Nie mogliśmy tak po prostu oskarżyć pani Fechner, nadal nie możemy, ale dobrze, że odeszła.

- A to lusterko? Odzyskaliście je?

- Oczywiście, że nie. Matka już o nim zapomniała, a my jej nie przypominamy. Założę się jednak, że wiem, gdzie jest. Kiedy Fechner znów pojawi się w mieście, spytaj go, czy jego żona ma inkrustowane ręcznie lusterko...

Clem westchnął.

- To chyba mogę zrobić - przyznał. - Boże, ale się poobijałem, a to cholerne łóżko chyba jest z betonu. Gdy tylko będę mógł, wyślę tę depeszę, Keith, ale moim zdaniem będą chcieli dowiedzieć się więcej, nim przyślą ludzi.

- Tymczasem będzie po wszystkim.

- Nie zrzucaj winy na mnie. Zrobiłem co mogłem... i oberwałem za swoje wysiłki. Mam wrażenie, że jednak chętnie przyślą zastępstwo.

Przynajmniej będę miał coś w rodzaju urlopu. Jezu, ale chce mi się pić!

Przyniósłbyś mi z kuchni filiżankę herbaty, Keith? Bardzo proszę.

Keith wstał. Włożył kapelusz.

- Poproś pielęgniarkę. Do zobaczenia.

Zaczęli się zbierać przy kępie bambusów rosnącej u wejścia na teren jarmarku. Cicho prowadzili konie wzdłuż wysokiego ogrodzenia, ale bambusy trzaskały na różnym porannym wietrze, jakby chciały zdradzić zasadzkę.

- Keith się spóźnia - szepnął ktoś.

337

Koń Mesa Stenninga był doskonale ułożony. Stał spokojnie, podczas gdy

inne boczyły się i tańczyły. Jules poklepał go, poklepał także olstro, w którym tkwił karabin. Nie uczestniczył w zebraniu; po ciągach, które dostał od tych cholernych sukinsynów, był zbyt oszołomiony, by wstać z łoża boleści, był jednak wdzięczny przyjaciołom, że poinformowali go, co zamierzają zrobić. Choć potłuczony, z raną na ramieniu i potwornym bólem głowy, za nic nie wyrzekłby się tej przyjemności. Dziś rano Szkoci mieli dostać za swoje. Z nawiązką. Wbijemy im do głowy, że nie wolno bezkarnie roznosić Bundabergu ani napadać na pracowników rządowych, przemawiał w duchu. Wysokich rangą pracowników rządowych.

- Tak to mogą się zachowywać w slumsach, z których pochodzą, ale nie u nas - oznajmił głośno. - Pora dać im nauczkę. Ja wam to mówię.

- Dobrze gadasz, Jules - powiedział ktoś. - Tylko szkoda, że inni się do tej pory nie zjawili. Musimy zaczynać, bo stracimy element zaskoczenia.

Na razie było ich ośmiu konnych, wszyscy uzbrojeni i gotowi do akcji.

- Gdzie reszta? - spytał gniewnie Stenning. - Powinno nas być dwudziestu. I więcej, bo przecież mieli się stawić ci, którzy nie byli na zebraniu. Ja się stawiłem.

- Jim Pimbley na przykład.

- I gdzie jest? Słońce wschodzi.

Jakby mogli uwierzyć wyłącznie własnym oczom, obecni jak jeden mąż odwrócili głowy w kierunku wschodu, horyzontu, nad którym wisały niegroźne chmury podświetlone złotem. Nad nimi rozpościerało się niebo częściowo jeszcze różowe, częściowo już niebieskie. Ptaki zdążyły się obudzić, wikłacze wyśpiewywały swe pieśni z gałęzi wysokich drzew, przeleciało nad nimi rozwrzeszczane stado papug, zawróciło i skierowało się ku rzece.

- Jezu - jęknął jeden z mężczyzn. - Te cholerne ptaszyska obudziłyby nieboszczyka.

- Robi się gorąco - zauważył ktoś. - Moim zdaniem czeka nas upalne lato.

- Mówią, że deszcze będą bardzo obfite - włączył się do rozmowy trzeci mężczyzna. - Powinien być urodzaj na mango i papaje. Moja pani posadziła trzydzieści papai w ogródku za domem. Jej zdaniem...

338

- Zamknij się - nie wytrzymał Stenning. - Ci łotrzy z pewnością już nie śpią. Nie możemy dłużej czekać. Musimy ich okrążyć, nim przybędzie wsparcie z Maryborough, bo znikną w buszu.

Ktoś spytał, dlaczego nie mieliby im na to pozwolić.

- Przecież najważniejsze, żeby się wynieśli z Bundabergu

- powiedział. - Kogo obchodzi, gdzie się wyniosą?

- Obchodzi! Bo to nielegalni imigranci.

Stenning wiedział, że nie jest to prawdą. Nie wszyscy Szkoci byli nielegalnymi imigrantami, tylko ci, którzy nie wypełnili formularzy albo podpisali je krzyżykiem, co było oczywiście akceptowalne w wypadku nie umiejących czytać i pisać pod warunkiem, że podali właściwemu urzędnikowi nazwiska i inne istotne informacje, czego ci akurat nie pofatygowali się zrobić, co jeszcze wzmogło jego wściekłość.

- Mają nas za nic - powiedział gniewnie. - Myślą, że skoro przyjechali ze starego kraju, to są lepsi. Nie chciało im się nawet właściwie wypełnić moich formularzy! Żarty sobie z nich stroili! Ale naszego miasta nie wolno wyśmiewać! Nauczymy ich, jak się mają zachowywać! Nauczymy ich, co to oznacza roznosić nasze bary, bić naszych ludzi. Gdyby Grigg nie wyciągnął mnie wczoraj z tej bójki, to pewnie dziś bym nie żył. Hańba!

Ma się to dziać w spokojnym miasteczku, naszym Bundabergu, zawsze tak przyjaznym dla imigrantów? Nie! Nigdy więcej!

- Słyszałem, że to Walther ci pomógł - wtrącił ktoś. Stenning nie odpowiedział. Dostrzegł nadjeżdżającego wreszcie Keitha Dixona. Temu zaś nie zaimponowało to, co zobaczył.

- Nie da rady - powiedział. - Jest nas za mało.

- Da radę. - Stenning z trudem powściągał gniew.

- Mamy przewagę wynikającą z zaskoczenia.

W gruncie rzeczy chodziło mu o to, żeby wyłapać hersztów. Miał zamiar wytoczyć im własny prywatny proces: te łobuzy muszą zapłacić za to, co przecierpiał. Pod nieobecność konstabla Colleya on dzierżył najwyższą władzę policyjną... i miał zamiar użyć tej władzy. Serce mocno biło mu z podniecenia. Zabawa dopiero się zaczynała. Wyjechał na czoło grupy zaledwie kilku jeźdźców.

- Za honor Bundabergu! - krzyknął przeraźliwie. - Do ataku!

339

Niektórzy powtarzali później zupełnie poważnie, że imponująco wyglądali ci wspaniali dzielni mężczyźni w szalonej szarzy przez Bourbong Street (bardzo długą, twierdzili), wypadający za róg, skręcający w Quay Street, atakujący pięćdziesięciu łotrów, którzy zagrażali spokojowi cichego sennego miasteczka.

- Wcześniej było - opowiadała jakaś dama. - Ledwieśmy wstali, kiedy przejechali przed domem w pełnym galopie. Choćbym sto lat żyła, to już nigdy nie zobaczę niczego podobnego. Byliśmy z nich dumni, z tych naszych chłopów. Nie obchodzi mnie, co mówią ludzie.

Tego samego dnia gazety napisały, jak to Jules Stenning i Keith Dixon

poprowadzili śmieszny atak na szkockich imigrantów, którzy zdążyli już wystosować list z przeprosinami za swe zachowanie, opublikowany w dniu wiekopomnego ataku.

Dowodził Stenning. Rozstawił ludzi wokół baraku dla imigrantów, przy wszystkich jego czterech rogach, po czym krzyknął gromko:

- Poddajcie się! Natychmiast i bezwarunkowo! Wyjdźcie, ustawcie się w szeregu. Wzywam was w imieniu prawa!

Niektórzy Szkoci rzeczywiście wyszli, bardziej zaciekawieni niż przestraszeni widokiem broni o tej porannej godzinie. Zaraz za nimi z baraku wybiegły panie.

- Co robicie, wy głupie chłopy? - zirytowała się żona doktora. -

Przyszliśmy przygotować tym biedakom śniadanie przed wyjazdem, bo wczoraj nikomu nie przyszło do głowy, żeby ich powitać. Wynoście się, nic tu po was.

- Karmicie ich? - oburzył się Keith Dixon podjeżdżając do Stenninga. -

Przecież oskarżamy ich o spowodowanie rozruchów, zniszczenie mienia i pobicie.

W tym momencie zjawił się Les Jolly oznajmiając, że jako współwłaściciel „Royalu” w imieniu swoim i pana Grigga informuje, że choć rzeczywiście doszło do pewnych zniszczeń, nie wnosi skargi.

- A ja co? - krzyknął Stenning. - Oskarżam ich o napaść na mnie!

- Nie możesz oskarżyć ich wszystkich - powiedział spokojnie Les. - Idź na policję, tam załatwisz swoje sprawy, nie tutaj. A teraz odłóżcie broń, ludzie, nim któryś z was postrzeli kumpla albo i siebie.

340

- Myślisz, że jesteś taki cwany? - rzucił mu wyzwanie Keith. - Chcemy,

żeby wszyscy ci włóczędzy natychmiast wynieśli się z naszego miasta. Pan Stenning twierdzi, że większość z nich to nielegalni imigranci. Nie mają prawa do schronienia...

Les podszedł i spojrzał mu w oczy.

- Jak zamierzasz ich wykurzyć, Dixon? Spalić barak? Bo to ci się podoba, co? To uświadom sobie, przyjacielu, że ludzie tu znają już wszystkie twoje sztuczki. Pora, żebyś sobie odpuścił.

Keith czuł, że się czerwieni; przeraził się, bo nie był w stanie opanować tego odruchu. Niektórzy z jego towarzyszy słyszeli tę krótką wymianę zdań, byli nią wyraźnie zaintrygowani.

- Nie wiem, o czym mówisz - wymamrotał żałując, że brak mu odwagi, by wymierzyć w Jolly'ego broń, napędzić mu strachu.

- Wiesz, wiesz. Jeśli jesteś wystarczająco głupi, by wierzyć, że zostaniesz wybrany do parlamentu, próbuj. Będziesz miał szczęście, jeśli dostaniesz drugi głos, po swoim. A już zwłaszcza po tym, co się zdarzyło przed chwilą. Jesteś głupcem, Dixon. Wracaj do domu.

Stenning zdążył zauważyć, że większość członków sformowanej doraźnie grupy obywatelskiej samoobrony wynosi się z miejsca zdarzenia możliwie najdyskretniej, stępa, byle za róg, byle zejść ludziom z oczu. Nie wiedział, o co chodziło w starciu Lesa z Keithem, ale ta chwila nie sprzyjała zadawaniu pytań. Poza tym młody Dixon rzeczywiście okazał się głupcem, Nora dobrze go oceniła.

- Chyba nie rozumiesz - powiedział do Jolly'ego. - Jestem tu w sprawie urzędowej. - Zaznaczył w ten sposób, że nie ma nic wspólnego z szalonymi pomysłami Keitha Dixona. Jego karabin pozostał w olstrze; zawsze miał go przy sobie. - Wszyscy ci ludzie - tłumaczył cierpliwie -

muszą zarejestrować się w biurze imigracyjnym... albo zostaną aresztowani. Tak stanowi prawo i ty doskonale o tym wiesz.

- Dobrze, dopilnujemy, żeby się zarejestrowali. Najpierw zjedzą śniadanie, a potem zgłoszą się u ciebie. Warto załatwić to bez zwłoki, bo nasi przyjaciele wynoszą się z miasta. Dlatego zerwaliśmy się z łóżek tak wcześnie.

Stenning spojrział na niego zdumiony.

- Przecież nie ma statku. Dokąd się wybierają?

341

- Jadą szukać złota w Gympie. Jeśli sprawnie uporasz się z papierami, wyprawimy ich przed otwarciem sklepów.

- Napadli na mnie! Mogli mnie zabić! Les potrząsnął głową.

- Nie moja sprawa. Zwróć się do Clema Colleya.

Nora Stenning czytała o „szarzy Straży Obywatelskiej” przez ramię trzymającej gazetę matki. Obie siedziały w kuchni i obie trzymały się za brzuchy.

- Tylko nie rozmawiaj o tym z ojcem - ostrzegła córkę Jayne Stenning. - Jego to nie bawi.

- Przecież atakował w „Straży” - zachichotała dziewczyna.

- Twierdzi, że nie. Że nawet nie był na wczorajszym spotkaniu. Że genialny plan był wyłącznie dziełem Keitha Dixona. Pojechał z grupą tylko po to, by dopilnować wypełnienia formularzy.

- No jasne! - Nora nie przestawała się śmiać. - A powiedział ci może, że to Walther wyciągnął go z tłumu?

- Bzdura!

- Wcale nie. Wprawdzie nie widziałam się z Waltherem, więc nie mogłam

go spytać o szczegóły, ale w mieście wszyscy o tym mówią.

- Może tak, może nie, to przecież bez znaczenia. Trzymaj się z daleka od tego Niemca. Jest po prostu nieodpowiedni.

- Tak, wiem - westchnęła dziewczyna. - Nawet mu to powiedziałam. - Wstała i podeszła do kredensu.

Matka obserwowała ją ze zdziwieniem.

- Dobry Boże - szepnęła. Wiedziała, że nie ma sensu pytać córkę o wyjaśnienia, więc tylko wzruszyła ramionami i wróciła do przyrządzania kotletów. Jules lubił dobrze wysmażone, niemal zwęglone.

- Dziś znów rozmawiałem z konstabłem - powiedział Lucas, ale Hanni dość miała tego tematu.

- Po co marnować czas? On ci nie wierzy. Nigdy nie uwierzy. Nie kiwnie palcem w tej sprawie, więc co to ma za znaczenie? Przyniosłeś pończochy, które zamówiłam u Pimbleya?

- Tu nie potrzebujesz pończoch. Ojciec Beitz twierdzi, że zdrowiej jest nie okrywać stóp. Otwarte sandały są najlepsze.

342

- Powiedz prawdę, Lucasie. Nie mamy już pieniędzy. Wszystkie oddałeś jemu. - Hanni odwróciła się i wściekła wróciła do małej chaty, w której teraz mieszkali, niczym nie różniącej się od krytej palmowymi liśćmi chaty krajowców schowanej wśród drzew po drugiej stronie tego, co Walther nazywał kuchnią.

Lucas poszedł za nią, także wyprowadzony z równowagi.

- I co mam robić? Nadal nie mogę chodzić bez kul. Nie dostanę pracy, póki nie wydobrzeję, a za utrzymanie musimy płacić.

- Utrzymanie?! Tak to nazywasz? Żyjemy jak zwierzęta w stajni. Konie,

którymi opiekowałeś się tam, w domu, miały lepiej niż my teraz!

Pamiętam, a jakże, suche ceglane stajnie, podłogi, dywaniki, ludzie jak ty zarabiający, bo się nimi opiekowali, bo je pieścili, gładzili...

- Milcz! Nic nie mów, słyszysz?

Zdumiona Hanni ciężko usiadła na łóżku. Lucas nie miał prawa tak na nią krzyczeć! Nigdy przedtem nie podniósł na nią głosu.

- Mdli mnie od tych twoich skarg! Nie prosiłem się o złamaną nogę! To upokarzające, że całe dnie spędzam jak jakiś cholerny staruch na rencie. Więc zamknij się i nic... już... nie... mów!

Hanni nie ośmieliła się powiedzieć słowa. Ojciec Beitz zatrudnił Lucasa do robienia kościelnych ławek z odpadów dobrego drewna, oferowanych przez Rolfa Kleinschmidta. Lucas nie był stolarzem i nie próbował udawać stolarza, lecz potrafił się uczyć. Na własnych błędach, powtarzał żonie, a ona w końcu zaczęła mu zazdrościć. Robił przecież coś, co lubił, podczas gdy jej przypadła w udziale praca w ogródku warzywnym, a Hanni nie odróżniała chwastów od cennych roślinek i nie marzyła, by odmienić ten stan. Wszystko tu osiągało monstrualne rozmiary, nie było delikatnych kwiatków rozkwitających wśród maleńkich liści; kwitły, rozwijały się i znikały, żyły zaledwie kilka dni, nie dłużej. Nie można ich było zebrać i zanieść do domu.

Lucas stał oparty o ościeżnicę. Nic nie mówił, po prostu patrzył na busz. Nie to, żeby było tam coś interesującego, może z wyjątkiem kiści zielonych bananów wiszących wysoko nad jego głową. Pewnie miną lata, nim te banany wreszcie dojrzeją, ale to

343

podniecające jeść egzotyczne owoce prosto z drzewa. Po długiej chwili

obrócił się i spojrzał żonie w oczy.

- Muszę cię o coś zapytać - powiedział.

- O co?

- Skąd masz to śliczne lusterko?

- Jakie lusterko? Lucas westchnął.

- To, które trzymasz na dnie kuferka.

- A, tak! Dostałam je od matki. Przykuśtykał bliżej i usiadł obok niej.

- Hanni, to bardzo ważne. Wiem, że nie dostałaś go od matki. Że go ze sobą nie przywiozłaś. Zauważyłbym je już dawno.

- Dostałam je od matki.

- Nie kłam, proszę. Bo wiem, że kłamiesz. Po prostu powiedz mi, skąd masz lusterko.

- A co to kogo obchodzi? Muszę iść przygotować warzywa na kolację.

Wstała, ale Lucas chwycił ją za ramię, zmusił, żeby znów usiadła.

- Zadałem ci pytanie. Nie ruszysz się stąd, póki mi nie odpowiesz. Chcę usłyszeć prawdę.

- Jesteś nieznośny, Lucasie. Nienawidzę, kiedy masz te napady złego humoru. Nie zamierzam ich znosić, wystarczy, że żyję tu jak...

- Skąd masz lusterko? Hanni nie wytrzymała.

- Znalazłam je, jeśli już musisz wiedzieć. Znalazłam!

- Gdzie?

- Nie pamiętam. Zapomnijmy o głupim lusterku. Nawet chciałam je sprzedać na targu. Widzisz, do czego doszło? Muszę sprzedawać najładniejsze rzeczy...

Paplając tak Hanni zastanawiała się, skąd te pytania. Nawet jeśli rozmawiał dziś z tym policjantem, to przecież o pożarze, nie o jakimś tam

lusterku. Pytania Lucasa mogły wydawać się bezsensowne, ale widziała, że mąż je zadaje z rozmysłem, i przestraszyła się. Siedziała gapiąc się w ziemię z głupią nadzieją, że to się wreszcie skończy, czymkolwiek było. Czuła, że Lucas też się denerwuje, ale cóż, przecież on był wszystkiemu winien. Nie powinien tak na nią napadać.

344

- Dobrze. Znalazłaś lusterko. Nie wiesz gdzie, ale je znalazłaś - westchnął ciężko. - A teraz posłuchaj, co na ten temat ma do powiedzenia konstabl Colley. Poinformowano go, że to cenna rzecz. Że lusterko należało do pani Dixon, a ty je ukradłaś.

Spojrzała na niego oniemiała ze zdumienia. Tego się nie spodziewała.

- Ukradłam! - krzyknęła, nim zdążyła pomyśleć. - Niczego nie ukradłam. Jak śmie! To on mi je dał.

Zapadła przeraźliwa cisza. Dopiero teraz Hanni zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała przed chwilą. Lucas zareagował na jej słowa, jakby ktoś uderzył go w twarz.

- On? - spytał łamiącym się głosem. - Jaki on?

- Czy to ważne? Nie ukradłam tego lusterka. Nie jestem złodziejką, przecież wiesz. Proszę, nie pozwól im mnie oskarżać. Powiedz temu policjantowi, że to był prezent. - Rozpłakała się, rzuciła w ramiona męża. - Pracowałam tak ciężko! Mówili, że jestem dobra, bardzo dobra. Dali mi prezent.

Łagodnie, acz stanowczo Lucas wyrwał się z jej objęć.

- Powiedziałaś „on”. Czyli kto?

- To nie tak! Miałam na myśli „one”. Pani Dixon albo jej gospodyni. Nie pamiętam, któraś z nich.

Hanni szlochała bez opamiętania, ale trzymała się swojej historyjki.

Kłócili się tak, póki Lucas nie stracił resztek cierpliwości.

- To był Keith Dixon, prawda? Keith Dixon. Używa cię, żeby zmusić mnie do wycofania skargi o podpalenie. Jeśli ją wycofam, on nie złoży oskarżenia o kradzież. Colley powiedział mi to bardzo wyraźnie.

- Więc musisz ją wycofać. Od początku mówiłam, że to tylko strata czasu.

Nie pozwól, żeby mnie w to wciągnęli. Mogą wtrącić mnie do więzienia!

Hanni była bliska hysterii. Padła na łóżko, szlochała w poduszkę, głowę podnosiła tylko po to, by błagać męża o załagodzenie sprawy z policjantem. Niech skończą się wreszcie te kłopoty!

- Dobrze - powiedział wreszcie Lucas. - Wycofam skargę o podpalenie, więc nie musisz się już o nic martwić. Za to chcę wiedzieć, kiedy i dlaczego Keith Dixon dał ci ten prezent.

345

Płacz ustał nagle.

- Nigdy nie powiedziałam, że to on - prychnęła Hanni.

- Nie musiałaś. Już wiem. Teraz pragnę tylko dowiedzieć się, za co dostałaś od niego tak wspaniałą prezent i kiedy.

Nie chciała powiedzieć i Lucas znów wpadł w szal.

- Ostrzegali mnie kumple z pracy, że między tobą i Dixonem coś jest... może nie tyle słowami, ile dawali do zrozumienia. A ja im, głupiec, nie wierzyłem! Tymczasem ty się ze mnie śmiałaś. On z pewnością... ty... -

Zabrakło mu słów. Chwycił kule, wstał, pokuśtykał do wyjścia. Nie mógł wytrzymać w domu.

- Nic nie rozumiesz! - krzyknęła Hanni. Lucas odwrócił się, spojrzał jej w oczy.

- O tak, rozumiem. Zdradziłaś mnie. Raz zrobiłaś ze mnie głupca tam, na ranczu, a teraz znowu. Muszę iść do konstabla z czapką w rękę, on powie Dixonom, że się im upiekło, i kto się będzie śmiał ostatni? Twój kochaś Keith Dixon. Więc... od tej chwili możesz robić, co chcesz. Zostać, wyjechać, utopić się w strumieniu, mnie to już nie obchodzi. Nie chcę cię znać.

Tym razem Hanni nawet nie próbowała mu odpowiedzieć. Przestała płakać, ale w duchu szlochała żałośnie i pewna była, że będzie tak szlochać do końca życia. Usiadła, wyjęła chusteczkę z kieszeni fartucha, wysiąkała nos.

- Keith śmiał się ostatni od początku świata - szepnęła gorzko. Słyszała szelest liści na ścieżce. Lucas odchodził.

- Ludzie mówią podobno, że ktoś umyślnie podpalił ziemię Jakoba Meissnera. Czy to prawda? - spytał ojciec Beitz.

- Nic o tym nie wiem - odparł Lucas.

- Hanni twierdzi, że przez to pokłóciłeś się z Jakobem. Wspomniałeś mi o tym?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Co za ulga! Nie chciałbym, żeby tego rodzaju plotki siały wśród nas niepokój. Porozmawiam z Hanni. Prawdę mówiąc chciałbym porozmawiać z wami obojgiem. Dziś wieczorem, jeśli możecie. Zaraz po modlitwie.

- Nie ma o czym mówić, ojczy.

- Mój drogi, jeśli masz problem, nie zamykaj się przed Bogiem.

- Jeśli będę miał problem, porozmawiam z nim bezpośrednio, jeśli to pastorowi nie przeszkadza.

Beitzowi przeszkadzało. Już od jakiegoś czasu próbował zorientować się, co gnębi to małżeństwo. Nie kłóca się pewnie aż tak poważnie tylko dlatego, że Hanni źle się czuje we wspólnocie. Małżonkowie nie chcieli rozmawiać o problemach nawet z Waltherem, nikt więc nie wiedział, o co naprawdę chodzi. Wprowadzało to zamęt w społeczności i niepokoiło jej duchowego opiekuna. Beitz martwił się, uważał, że zawiódł swą trzódkę, zwłaszcza że tylko troje z nich zdecydowało się na życie we wspólnocie... i tuż pod jego nosem rozpadało się małżeństwo.

Pojawiły się też inne problemy. Przed opuszczeniem Hamburga zamówił przepiękny dzwon mający zawisnąć na dzwonnicy przyszłego kościoła w Bundabergu. Teraz był już niemal ukończony. Zbór pod wezwaniem Świętego Jana, tak będzie niedługo, po konsekracji. Walther i Lucas robili ławki i kończyli balustradę przed ołtarzem. Kilku dżentelmenów montowało dwa piękne witraże w ścianie prezbiterium.

Właśnie pastor otrzymał zawiadomienie, że dzwon przetransportowany został do Brisbane i zostanie dostarczony do Bundabergu po uiszczeniu opłaty w wysokości dwudziestu dwóch funtów, siedmiu szylingów i sześciu pensów. Przy odbiorze miał zapłacić siedemnaście szylingów za transport plus cło.

Beitz popadłby w rozpacz, gdyby nie podtrzymywała go jego wiara. Zbór nie miał dzwonnicy, na razie nie było go na nią stać. Nie stać go było nawet na zapłacenie rzemieślnikom montującym witraże, więc cóż tu mówić o oburzającej sumie należnej za dzwon. Walther próbował wstrzymać prace, ale do tego nie wolno było dopuścić. Tibbaling i jego ludzie byli zafascynowani zbozem. Nigdy nie widzieli niczego tak

pięknego. Ściągali zewsząd wraz ze swoimi czarnymi dzieciakami, obserwowali postępujące prace, wchodzili do środka, by popatrzeć na jaskrawe smugi światła rzucane przez słońce na lśniącą podłogę z cedru, by podziwiać z jednej strony ołtarza cudownie barwnego Jezusa wśród dzieci, a po drugiej równie wspaniałą Trójcę Świętą.

Sam pastor był tak szczęśliwy widząc ich zdumienie i radość, choć witraże nie były jeszcze skończone, że płakał patrząc, jak padają na kolana.

Najwyraźniej byli pewni, że Bóg wreszcie zstąpił na ziemię. Boga, o którym tyle im opowiadał, mogli wreszcie zobaczyć w żywych kolorach.

Chociaż wszyscy łącznie z Tibbalingiem mówili o nim: „bogowie białych ludzi”. Bogowie! Dopiero teraz Beitz zrozumiał, że wybór tematu drugiego

347

z witraży mógł być błędem. A już z pewnością okazał się przedwczesny.

Trudno było wytłumaczyć Aborygenom ideę Trójcy Świętej. Dotyczyło to przede wszystkim Tibbalinga, który potrafił być szalenie irytujący.

Zadawał tyle pytań! Ale po długich dyskusjach pojął chyba, o co chodzi, ku zachwytowi duchownego.

- Już rozumiesz? - spytał.

- Tak, ocie Bęc. Wszystko razem proste bardzo - prychnął Tibbaling. -

Mówi ocie za dużo twardych rzeczy. Wszystko pomieszane tam wewnątrz, u ciebie w środku. Teraz mówi ma jeden Bóg. Tylko jeden. Nie więcej.

Dobrze, ja bym chciał spotkać twój Bóg.

- Spotkasz, przyjacielu. To moje najgorętsze marzenie.

- Bo my, ludzie, mamy nie Bóg, tylko duchy dobre. Spotkać twojego.

Dobre, co? Dopilnuj, cholera - roześmiał się i uszczypnął pastora w ramię.

- Więcej dobrych duchów lepiej. Tak?
- No... tak - przyznał Beitz.
- Nazywasz trzech tych tam „Trójcą”?
- Tak.
- A ten młody z brodą, on przyszedł na ziemię?
- Tak.
- Ci inni dwaj duchy?
- Nooo... Duch Święty... i Ojciec...
- Ja też tak mówię. Tam, w górze, masz trzech ludzi razem. Jeden pokazuje się na ziemi, ci inni przy nim zawsze cały czas. Ale ich nie widać.
- Można tak powiedzieć - przyznał oszołomiony duchowny.

Tibbaling spojrział na niego bardzo poważnie.

- Ty też nie widzi? - spytał. - Nie widzi tamtych dwóch normalnie? Tylko w szkle?

- Nie. Oni się nie ukazują. Ale wiemy, że są z nami. Tibbaling przyjął to jako oczywistość. Skinął głową ze zrozumieniem.

- Dobra jest twoja Trójca. Trzech mężczyzn razem idzie. Dobra.

348

były kiepskie zarobki braci Lutze. Nie wystarczy ich na zapłacenie ludziom specjalnie sprowadzonym do zmontowania witraży. Trzeba będzie im powiedzieć, że muszą poczekać na pieniądze. A Walther nawet nie wiedział o dzwonie. Beitz nie ośmielił się mu o tym powiedzieć.

Uznał, że jedyne co może zrobić, to więcej się modlić i mniej jeść.

Tibbaling wiele myślał o swym przyjacielu, oćcu Bęc. Bardzo wiele.

Wystarczyło spojrzeć w jego fascynujące błękitne oczy, by zorientować się, że jest to dobry człowiek. Szaman.

Tibbaling spędzał dużo czasu na wędrówkach po gęstym, niemal nieprzebytym buszu otaczającym niemieckie obozowisko, pozbywszy się uprzednio spodni i koszuli, którymi w interesie moralności obdarzył go jego przyjaciel. Nie było to miejsce święte, walczyło tu o życie zbyt wiele roślin czerpiących siłę z nader żyznej ziemi. Pnącza grubości pytonów wiły się wokół drzew, spływały z gałęzi, a dla drzew nie było tu przecież miejsca, podobnie jak dla potężnych gruboszowatych. Był to szalony las, zeschnięty i kolczasty w porze suchej, bagnisty w porze wilgotnej, ale że był źródłem pożywienia, należało go szanować. Patrząc na to, czego dokonali biali, oczyszczając ziemię wzdłuż strumienia, stary Aborygen czuł radość z tego, że pozwolił oćcu i jego ludziom założyć tu obóz. Nie to, żeby mógł ich powstrzymać, zaraz pojawiliby się żołnierze z bronią... ale oćcie Bęc nie wiedział o tym i był wdzięczny aż tak, iż gotów był doprowadzić do spotkania jego ludu ze swoim Bogiem. To wielki zaszczyt.

Był tylko jeden problem przyczyniający staremu ogromnego smutku. Oćcie Bęc był w istocie przywódcą swego ludu, bardzo przez niego szanowanym, nie wyglądało jednak na to, by jego Bóg wraz z towarzyszącą mu parą niewidzialnych bogów czymś mu się odwdzięczali. Ich szaman musiał troszczyć się o sprawy ziemskie bezustannie przysparzające mu zmartwień, a przecież powinien mieć czas przede wszystkim na kontemplację. On sam tak twierdził. Mówił, że tęskni za życiem tam daleko, w domu, gdzie wiele czasu poświęcał kontemplacji. I

tak powinno być. Szaman musi medytować, to dla niego bardzo ważne, inaczej nie uda mu się sięgnąć po tajemnice natury. Tibbaling zaproponował nawet białemu szamanowi, że znajdzie mu święte miejsce, w którym zachowa samotność, lecz będzie otrzymywał jedzenie.

349

Nie. Odpowiedź była jednoznaczna. Ocie Bęc nie chciał skorzystać z jego propozycji. Był zbyt zajęty. Zdaniem Tibbalinga jego bogowie postąpili złośliwie, nie udzielając wsparcia swemu wiernemu słudze. A co najgorsze, pozwolili mu przybyć na miejsce, gdzie jego magia nie działała. Biedny ocie Bęc nie miał Warrichatty, nie miał Gongory ani nawet warrigala pomagającego w kontakcie z tym, co dzieje się na świecie. Ocie powiedział mu, że jego Bóg i dwa duchy mieszkają w niebie ponad gwiazdami, a jednak nic nie wiedział o gwiazdach. Tibbaling nie miał pojęcia, jak on sam poradziłby sobie bez wsparcia księżycowych duchów Harah i dzieci gwiazd. Znał wszystkie gwiazdy na dachu świata, jakżeż mogło być inaczej? Uczył ich oca, żeby magia łatwiej mu przychodziła, ale on zasypiał i nawet nie miał kobiety umilającej mu noc.

Biorąc to wszystko pod uwagę Tibbaling nie był zachwycony sposobem, w jaki ci bogowie traktowali swojego szamana, i miał zamiar powiedzieć to temu, który mu się pojawi. Ocie Bęc obiecał, że tak będzie.

- Jeśli będziesz miał wiarę, Tibbalingu, spojrzysz w twarz Boga.

Zobaczysz go na własne oczy.

Tibbaling nie wątpił w to ani przez chwilę. Łączność z duchami nie była kwestią wiary, wyznawania ich; oczywiście, że wierzył w duchy. Bo i któż na tej ziemi nie wierzył w nie? Przecież są wszędzie. Każdy może je spotkać. Poznać je... a to już wymaga wspięcia się na wyższy poziom.

Tajemnice ciągle czekają.

Czekał na spotkanie z Bogiem o imieniu Jezus, jego ojcem i duchem, którego nazywali Świętym.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Choć jeszcze się nie spotkali, pastor Ritter już był dla ojca Beitza świętym godnym uczczenia. Codziennie wypytywał kogo popadnie, kiedy przyplynie „Clovis”. Nie potrafił uwierzyć, że pokonanie oceanu może trwać tak długo; zapomniał niewygody własnej mozolnej, pozornie niekończącej się podróży - albo i nie chciał ich już pamiętać. Z rosnącą niecierpliwością wyczekiwał przyjazdu wikarego. Pieniądze, które miał przywieźć, z pewnością wspomogłyby wspólnotę, bardziej jednak sama obecność młodego pastora, stary duchowny bowiem miał nieodparte przekonanie, że jego wysiłki nie przynoszą oczekiwanych rezultatów. Ritter był młody, na ochotnika zgłosił się do pracy misjonarskiej. Samo to było już czynem dzielnym i błogosławionym, powiedział Beitz Waltherowi.

- W naszych czasach - mówił - zbyt wielu młodych kapłanów szuka zamożnych parafii, przymila się bogaczom, ściele sobie miękkie gniazdko. A tu mamy natchnionego młodzianka skłonnego walczyć w dobrej sprawie od chwili, gdy wyszedł z seminarium.

Już czuł się rozczarowany tym, że nie zdoła zaprosić Rittera do kwitnącej luterańskiej wioski zamieszkaanej przez szczęśliwych niemieckich emigrantów, wraz ze wspaniałą szkołą misyjną uczącą zarówno ich dzieci, jak i pociechy krajowców. Niestety na to nic nie mógł poradzić. Realizacja jego wielkiego planu miała po prostu trwać dłużej, niż zakładał. Nie wątpił jednak, że go zrealizuje, że reszta członków ich grupy wkrótce do niego

dołączy. Niedawno wpadł na świetny pomysł... A gdyby tak założył własną drukarnię? Własną gazetę? Jakimże byłoby to dobrodziejstwem!

351

Przewycięziliby dzięki temu najważniejszy problem odległości, mógłby utrzymywać kontakt z rozproszoną kongregacją. Najlepiej jeśli zajmie się tym nowy pastor. To będzie jego dzieło.

Były też inne sprawy, inne powody, dla których z takim utęsknieniem wyczekiwał przyjazdu Rittera. Jego dni były policzone, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. W tych ostatnich latach, może miesiącach lub dniach życia, ojcu Beitzowi brakowało towarzystwa innego duchownego. Bywały chwile, gdy bardzo go to poruszało. W samotności swej chaty przeżywał porywy uczucia podobnego do tęsknoty za ojczyzną.

Przynajmniej tak się mogło wydawać. Przede wszystkim brakowało mu jednak rozmów z równymi mu duchownymi, głębokich rozmów, których tyle toczył w ojczyźnie. Brakowało mu wymiany myśli z przyjaciółmi w powołaniu, dyskusji o filozofii, teologii, historii i o tym, jakie znaczenie mają dla ich dzieła ciągle zmiany świata i... - uśmiechnął się do siebie - i takie tam drobiazgi.

- Dziś - powiedział głośno - nie stać mnie na uzalanie się nad samym sobą. Przecież to dzień narodzin naszego Pana i Zbawcy!

Boże Narodzenie. W tym wielkim dniu ojciec Beitz zrzucił tropikalny strój, przybrał się jak najbardziej uroczyście w pełne szaty liturgiczne z białą komzą. Wierni mieli pojawić się na porannym nabożeństwie, po którym nastąpi południowa uczta.

Rozczarowało go, że tylko mieszkańcy obozu uczestniczyli w uroczystościach wigilijnych, uznał jednak, że nie mogło być inaczej

zważywszy, jak długą drogę musieliby przebyć niektórzy członkowie jego społeczności. Ale dziś nie miał zamiaru znosić żadnych usprawiedliwień. Na jego życzenie przy wejściu do obozu Lucas wybudował łuk. Aby uczcić ten niezwykły dzień, Aborygenki ustroiły go setkami ślicznych kwiatów.

Stary kapłan poderwał się z łóżka wraz ze słońcem. Wyglądał wspaniale. Wybiegł na drogę w oczekiwaniu na pierwszych gości. Przepiękny łuk wprost go zachwycił.

- Co za cudowna niespodzianka, moje panie. Jakież to piękne! Dziękuję wam.

Kobiety, bardzo zadowolone z pochwały, chichotały i uśmiechały się w jakże charakterystyczny dla nich nieśmiały sposób.

352

Odsunęły się skromnie, usiadły na trawie, niecierpliwie wyczekując przybyszów. Wreszcie się pojawili; jedna z Aborygenek wbiegła do obozu.

- Wóz jedzie! - zawołała.

Ojciec Beitz pośpieszył ścieżką powitać nowo przybyłych. Nim wóz zdążył się zbliżyć, do Beitz'a podeszli mężczyźni. Pastor modlił się o to, żeby wśród przybyszów była Hanni Fechner. Kilka tygodni temu dostała posadę pokojówki w „Royalu” i opuściła Lucasa oraz wspólnotę. Ze względu na pracę w hotelu właściciel pozwolił jej zamieszkać w dużej szopie z Evą Zimmerman i jej dziećmi. Szkoda. Przecież jej miejsce było tutaj, z mężem. Pastorem wstrząsnęło to, że Lucas zezwolił jej na takie oburzające zachowanie, i to, że krótko, bez namysłu odmówił prośbie o ściągnięcie jej z powrotem.

- Przecież jest twoją żoną, Lucasie - argumentował pastor. - Już i tak źle

się stało, że Eva mieszka w mieście, choć ona ma przynajmniej coś na swoje usprawiedliwienie: mąż odszedł i nie może wskazywać jej właściwej drogi. Wystawiasz żonę na pokuszenie, zwłaszcza że blisko jest tawerna...

- Nie obchodzi mnie to. Niech robi, co chce.

Choć prosił i błagał, ojciec Beitz nie mógł się dowiedzieć, co poróżniło małżeństwo. Przyczyn kłótni nie znał nikt.

Ale Hanni przyjechała; siedziała za Jakobem Meissnerem, obok Evy.

Bogu niech będą dzięki! Może dziś małżonkowie się pogodzą, zapomną o dzielących ich różnicach.

Dzieci zeskoczyły z wozu i natychmiast rozbiegły się, ciekawe okolicy.

Eva przywołała je ostro, kazała im przywitać duchownego. Podbiegły posłusznie.

- Bądźcie błogosławione. - Pastor pogłaskał je po główkach. Jakże szybko rosły te dzieciaki. I były niestety, choć pośrednio, dowodami kolejnej porażki w jego misji. Ich ojciec nadal poszukiwał złota. Doprawdy Theo powinien zdawać sobie sprawę, jak zły daje przykład. Nie tylko swoim synom, ale w ogóle młodym ludziom.

Meissnerowie wyglądali na szczęśliwych. I nic dziwnego. Podobno bardzo dobrze zarabiali na drewnie.

- Bądźcie pozdrowieni - powiedział pastor. - Wesołych świąt. Powiedz mi, Jakobie, czy wasz nowy dom jest już skończony?

353

- Jeszcze nie, ojczy. Ale mamy już dach nad głową.

- Dzięki Bogu - dodała Freda.

- Dach nad głową macie zawsze tutaj - prychnął pastor, ale Karl go nie

usłyszał.

- Dom jest duży, bardzo obszerny - opowiadał z zachwytem. - Taki prawdziwy, nie żadna chata. Musisz nas odwiedzić, ojciec. Obejrzyj mój nadział. Zaczynam od stodoły...

- A to kto? - Duchowny odszedł szybko, by przywitać gości przybyłych drugim wozem.

- To Rolf i jego klan - powiedział Karl do matki. - Przecież i stąd widać.

- Nie sądzę, by chciał słuchać opowieści o twojej ziemi

- odparła ze śmiechem. - Przywiozłeś mu bożonarodzeniowy prezent?

- Tak. Jeśli się nie spodoba, zawsze może go sprzedać.

- Nie sprzeda - rzekł Jakob, choć jemu też przyszło do głowy, że Beitz zechce zamienić na gotówkę mocną laskę, którą dla niego kupili. -

Chodźmy do kościoła.

Walther z dumą przyglądał się przybyszom w najlepszych niedzielnych ubraniach. Dla wszystkich był to wielki dzień. Zjawili się nawet goście: nauczyciel pan Hackett, kapitan portu Drewett, poganiacz Davey, niegdyś szef Thea. Walther żałował tylko, że nie ma Nory, nawet czekał na nią chwilę pod zborem, gdy inni wierni weszli już do środka, spodziewając się, choć mała była nadzieja, że zobaczy ją na drodze, dumną w siodle. Oczywiście było to tylko marzenie. Stenningowie byli teraz zapewne we własnym kościele, bożonarodzeniowy obiad zjedzą we własnym towarzystwie.

Przez chwilę zastanawiał się, jak by zareagował, gdyby

- szanse, trzeba przyznać, wydawały się nikłe - to on został zaproszony do nich. Czy przyjąłby zaproszenie? Poszedł do anglikańskiego kościoła?

Porzucił przyjaciół w ten niezwykły dzień, Boże Narodzenie?

Nie. Jakże więc mógł przypuszczać, że Nora przyjmie jego zaproszenie? Zachował się nierozsądnie, zapraszając ją, dziś doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale był wówczas tak szczęśliwy na myśl o pierwszym Bożym Narodzeniu we własnym kościele, pierwszym prawdziwym zebraniu kongregacji od czasu, kiedy tu przyjechali, że jej odmowa, odmowa natychmiastowa, bez zastanowienia, bardzo go zraniła.

354

Poza tym było jeszcze to nieporozumienie dotyczące jego ziemi. Powinien wiedzieć, jak szybko rozchodzą się wieści w małych miasteczkach, ale był zajęty pracą dla ojca Beitza oraz pracą - trzy dni w tygodniu - dla mierniczych. Zaskoczyło go więc, gdy pewnego dnia dziewczyna powitała go nie kryjąc zachwyty.

- Waltherze! Kupiłeś ziemię. Naprawdę! I to w mieście. Nad rzeką. Można na niej zbudować dom z tak pięknym widokiem. Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? - Chwyła go za ramiona, tuliła się do niego uradowana. - Mówię ci, ojciec osłupiał. Oczywiście on dowiedział się o wszystkim pierwszy. Nie podejrzewał, że masz tyle pieniędzy. Ja też byłam zaskoczona, ale rzecz jasna niczego po sobie nie pokazałam. Czy to miała być niespodzianka?

- Nie - odparł zażenowany Walther. - Nie... to znaczy... chodzi o interesy. Ta ziemia nie jest pod dom.

- To po co ją kupiłeś? - zdziwiła się dziewczyna. - Po co potrzebna ci ziemia na Sailor's Point?

- Zbuduję na niej browar. Własny browar - uśmiechnął się. - To mój zawód. Wszyscy w rodzinie byli piwowarami. Chodzi o coś większego niż dom, Noro - tłumaczył. - O dochody. O zabezpieczenie naszej przyszłości.

- Trochę potrwa, nim będą jakieś dochody - powiedziała Nora kwaśno, bardzo go zaskakując.
- Nic na to nie poradzę.
- Skoro tak twierdzisz - rzekła cicho.

Nie wiedział, co miała na myśli, konsekwentnie bowiem odmawiała rozmowy na ten temat.

Walther szczerze bał się, że traci tę dziewczynę. Że pojawiła się między nimi szczelina, że ciągle się rozszerza. Stwierdził ze smutkiem, że gdyby wybudował jej wymarzony dom na Sailor's Point, wszystko wyglądałoby inaczej. A jednak nie planował na dziś, tylko na jutro i pojutrze. Nie posiadał nieograniczonych zasobów finansowych, tymi pieniędzmi, które miał, musiał zarządzać mądrze. W swoim czasie ojciec Beitz zrozumie zapewne, że nie jest to nielojalność, że postępuje tak, by wszyscy odnieśli z tego korzyść.

Odwrócił się, ruszył ścieżką prowadzącą do kościoła. W ostatniej chwili kątem oka dostrzegł zbliżającego się jeźdźca. Zatrzymał się,

355

z wysiłkiem przełknął ślinę, nie spodziewał się, ale może... może to Nora? Jeździec zbliżył się i nie, nie była to ona, lecz - co za niespodzianka! - ten Irlandczyk. Mikę Quinlan.

- Tak myślałem, że cię tu znajdę - powiedział. - Komuś się nie spodoba, jeśli dołączę dzisiaj do was?
- Skądże! A mnie bardzo miło cię widzieć. Theo też przyjechał?
- Niestety nie, Waltherze. Ale przesyła dwa funty. Mam ci je dać. To dla jego żony.
- Co z nim?

- Przeniósł się na złotonośne pola w Charters Towers. Nadal wierzy, że szczęście w końcu mu dopisze.

Walther zmarszczył brwi.

- Tak nie powinno być - powiedział z przekonaniem. - Powinien wrócić do domu. Jego rodzina mieszka w szopie. Żona pracuje.

- Bardzo mi przykro. - Mikę wzruszył ramionami. - Ale Theowi nie wiedzie się za dobrze. Z ogromnym trudem zebrał te pieniądze. Mam też list. Z życzeniami szczęśliwego Bożego Narodzenia. Cieszę się, że dojechałem na czas.

- Powinien przyjechać sam, zamiast przysyłać listy.

- Och, przecież wiesz, jak to jest. Theo chce wrócić do domu w sławie i chwale. Chyba można powiedzieć, że jest marzycielem.

- Albo malkontentem - dodał Walther. Irlandczyk roześmiał się wesoło.

- Jasne. Zależy, z której strony patrzeć.

- A ty... znalazłeś złoto? - Walther aż płonął z ciekawości, takie interesujące i egzotyczne wydawały mu się te sprawy.

- W końcu tak. Można powiedzieć, że mi się powiodło. Na początku razem z Zimmermanem pracowaliśmy na wolnych działkach. Nie znaleźliśmy ani ziarenka. Nic. Potem on skumał się z innym facetem, pewnym, że to już, lada chwila, a ja zamierzałem wyjechać. Żaloszny cholerny interes. Zwłaszcza kiedy ci nie idzie. Jak wtedy kiedy gra się dzień i noc... i przegrywa, podczas gdy wkoło coraz to ktoś rozbija bank. Po czym oczywiście pędzi do banku.

- To musi być przygnębiające - westchnął Walther.

356

- A pewnie, bardziej niż myślisz. Już wyjeżdżałem, wjechałem między

wzgórza, chciałem wrócić do domu, kiedy nagle spotkałem przyjaciela z dawnych czasów, no i okazało się, że potrzebuje pomocy. Jego kopalnia się zawaliła, wspólnik wykorkował. Zostałem, by pomóc mu dokopać się z powrotem do tunelu, i proszę, nazajutrz znalazłem złoto. Całkiem przyzwoitą żyłę, lepszej nie potrzeba.

- Nie mów! To teraz jesteś bogaty?

- Nie taki znowu bogaty, Waltherze, ale i nie biedny. Wyciągnęliśmy z tej żyły po pięćset funtów na głowę. Dla mnie to w sam raz, przynajmniej na początek. Podobno zdołaliście nawet wybudować kościół?

- O, tak. - Walther całą siłą woli zmusił się, by myśleć o sprawach zwykłych i codziennych. Poszukiwanie złota, jakież to fascynujące! Miał nadzieję, że dowie się o tym czegoś więcej. - Tak, piękny kościół, jesteśmy z niego bardzo dumni. Pod wezwaniem Świętego Jana.

- Miło słyszeć. Nie przypuszczam, by święty Jan miał coś przeciwko katolikowi, który pragnie wejść do jego przybytku, by podziękować Szefowi. A ty?

Walther uśmiechnął się. Nie sposób było nie lubić tego faceta.

- Dobrze mówisz. Wszyscy mamy tego samego szefa tam, na górze, w niebiesiech. Chodź i ciesz się Bożym Narodzeniem wraz z nami.

Zbór olśnił Mike'a. Widział wiele takich maleńkich świątynek odległych od ośrodków cywilizacji. Wszystkie budowano z miejscowego drewna, wszystkie dawały świadectwo marzeniom i wysiłkom pionierów, kongregacji: musiały mieć co najmniej jeden witraż, a także wypieszczone, z uczuciem wyrzeźbane ławki. W większości z trudem mieściło się pięćdziesiąt osób, ale to akurat nikomu nie przeszkadzało. Kościółki te lokowano zazwyczaj na samotnych wzgórzach, rzucających

się w oczy elementach krajobrazu, albo w ukrytych pośród lasu zacisznych kotlinach; strzegły tam kilku wybielonych przez wiatr i słoty nagrobków. Wszystkie... ale nie zbór Świętego Jana. O nie, pomyślał Irlandczyk uśmiechając się ciepło. Jego luterkańscy przyjaciele mieli prawo do dumy. Budynek stał wśród egzotycznego ogrodu. Wejście z obu stron ocieniały palmy. Dalej rozciągały

357

się rzędy płożących krzaków kwitnących na czerwono i pomarańczowo, spływających na szeroki dywan trawnika, który osłaniały wysokie tropikalne rośliny.

Mikę zauważył, że amfiteatralny trawnik służy nie tylko ku ozdobie. Od wczesnego ranka rozsiadały się na nim grupy Aborygenów wgapiionych w boczne okna świątyni i wchodzących do środka białych.

- Oto obraz świętego spokoju - powiedział do Walthera, który tylko skinął głową. - Tak, myślę, że jest dziś Bóg na niebie.

Mikę Quinlan zachował spokój i doskonałą pogodę ducha do końca nabożeństwa. Po wyjściu ze zboru Eva Zimmerman podbiegła do niego wymachując listem i dwoma funtami.

- Pan jest Quinlan?

- Owszem. Pani Zimmerman, jak mi się zdaje?

- Tak, to ja. Gdzie mój mąż? Gdzie pieniądze, które mi przysłał? Co się z nimi stało? Od miesiący nie ma go w domu, więc musi być więcej. Co z nimi zrobiłeś, człowieku!?

- Proszę pani, bardzo mi przykro, ale nie ma więcej. To znaczy... on nie ma więcej.

- Oczywiście, że ma. Nawet gdyby mu płacili najniższe stawki, zebrałby

więcej.

- Ależ w kopalni złota wygląda to zupełnie inaczej! Zupełnie! Nie znajdziesz złota, nie masz pieniędzy. A Theo nie znalazł niemal nic. W każdym razie przed wyjazdem do Charters Towers.

- Wszystko przez ciebie! - krzyknęła Eva i rozplakała się. - To ty wbiłeś mu do głowy te głupie pomysły. Ty go zabrałeś do kopalni. Dlaczego nie przyprowadziłeś go z powrotem?

Kobiety podbiegły, próbowały ją uspokoić. Jakob chwycił Mike'a za ramię, odprowadził go na bok.

- Nie zwracaj na nią uwagi - poprosił. - Przeżyła szok. Od dawna powtarzała, że Theo z pewnością przyjedzie na Boże Narodzenie, ucieszy dzieci. Trudno uwierzyć, że nie przyjechał. A co u ciebie, Mike? Miło znów cię widzieć. Zarobiłeś fortunę na złocie?

- Nie poszło mi tak całkiem źle i właśnie dlatego pomyślałem sobie, że warto z tobą pogadać. Proponuję połączyć nasze środki. Przecież jesteśmy sąsiadami i w ogóle... - Zauważył, że

358

Jakob nie jest bynajmniej zachwycony. - Hej, nie odmawiaj, póki nie usłyszysz propozycji. Dziś nie możemy rozmawiać o interesach, ale nigdzie nie wyjeżdżam. Będzie okazja.

Mówiąc to zobaczył Tibbalinga, starego szamana, stojącego na skalnym występie po drugiej stronie kościoła, przystrojonego uroczyście w koraliki, zęby rekina i stożkowaty kapelusz. Szkoda tylko, pomyślał Mike, że starego zmusili do włożenia kamizelki i zszarganych portek. Ale choć strój ten wcale do niego nie pasował, Tibbs, jak nazywali go krajowcy, z tej odległości sprawiał imponujące wrażenie. I wyglądał młodziej, niżby

wskazywał na to jego wiek.

Irlandczyka zaskoczyło, gdy obok skałki, na której stał stary, dostrzegł grób zwieńczony białym nagrobkiem; zapewne załzązek cmentarza, pomyślał ze smutkiem. Nim jednak zdążył o niego zapytać, Jakob zaczął przedstawiać go różnym ludziom, pastor informował o poczęstunku dla uczestniczących w ceremonii, pani Zimmerman podeszła przeprosić go za swoje zachowanie. Nim uwolnił się od otaczających go tłumów, Tibbs znikł.

I grób też znikł mu z oczu.

Udając zainteresowanie samym budynkiem, piękną nową świątynią, Mike skręcił za róg i dokładnie przyjrzał się otoczeniu. Nie dostrzegł grobu ani niczego, co choćby z daleka przypominało nagrobek. Cieszyło go, że o tym nie wspomniał, nie był to temat do dyskusji w tak uroczysty świąteczny dzień. Pytanie, kto umarł, byłoby grubym nietaktem. Ludzie pomyśleliby, że oszalał.

Ale Mike wiedział przecież, że nie jest szalony. I wiedział, że nie wyobraził sobie nagrobka. Wychowany w wierze druidów, tych, którzy wiedzieli, wiedzieli tak jak stary Tibbs, chętnie wierzył w opowieści, nawet legendy o staruszku. Najwyraźniej miał on coś wspólnego z tą wizją, trzeba będzie więc zadać mu proste pytanie: „O co tu chodzi?” Z nadzieją czekał na chwilę, gdy wreszcie znajdzie rozwiązanie zagadki. Stoły ustawiono pod gołym niebem, a właściwie dachem z palmowych liści. Choć dla tylu gości można było przygotować tylko dania na zimno, posiłek był znakomity, same święta zaś należały do najmiłszych w życiu Mike'a, z uroczystym nabożeństwem, modłami i wesołą zabawą.

- W zeszłym roku o tej porze pocilem się w dusznej więziennej celi -

wyznał Fredzie Meissner.

359

- Ojej! Jakie to okropne! A ty nie masz żadnej rodziny, Mike?
- Tylko mamę. Ma wreszcie szansę odwiedzić stary kraj. Zawsze chciała zobaczyć Irlandię.
- To bardzo miłe. Jak jej się udało?
- Bożonarodzeniowy prezent od kopalni złota - uśmiechnął się szeroko. Zauważył, że Aborygeni też zrobili sobie piknik pod drzewami. Podeszedł do nich zapytać o Tibbalinga.
- Nie był dziś tu - powiedziała któraś z kobiet. - Wrócił do obozu, domu.
- W ogóle nie przyszedł? Ani na chwilę?
- Nie. Cały czas obóz.
- A gdzie jest ten obóz?

Aborygeni odpowiedzieli Mike'owi w swoim języku nazwami miejsc, które z niczym mu się nie kojarzyły. W końcu jedna z kobiet narysowała na ziemi mapę.

- Aha! To ujście rzeki, brzeg morza? Tubylcy skinęli głowami.
- Dobrze łowić, dobre miejsce. Pływać w morzu.
- Więc co tu jeszcze robicie? - spytał wesoło, ale kobiety były oburzone.
- My tam? Nie! Tabu. Męskie sprawy. Nasze miejsce daleko dalej.

Aborygeni odpowiadali chętnie, bez wahania i zapewne uczciwie, a jednak Mike postanowił sprawdzić ich słowa u Walthera.

- Spotkałeś może miejscowego imieniem Tibbaling?
- Tak, oczywiście. Często tu bywa. Prowadzi długie rozmowy z ojcem Beitzem. Są przyjaciółmi. - Walther uśmiechnął się. - A raczej... jak to mówicie? O, kumplami. Dobrymi kumplami. Dziwna z nich para.

- Myślałem, że go u was złapię. Jest tu gdzieś?
- Nie. Nie widziałem go od ładnych paru dni. Dobrze się znacie?
- Skąd! Ale mój młody przewodnik i towarzysz jest jakimś jego krewnym. Szukam go, mam coś do zrobienia, potrzebuję pomocnika. Ale to może poczekać.

A więc nie ma tu ciebie, Tibbalingu, pomyślał Irlandczyk. I nie ma grobu, który wyraźnie widziałem. Jedna halucynacja to

360

jeszcze rozumiem, w dwie naraz nie uwierzę. Nikt inny cię nie widział, tak? To... czego ode mnie chcesz? Zadrzał.

- Po dziurki w nosie mam twoich sztuczek - powiedział głośno. - Zostaw mnie w spokoju!

Mikę Quinlan wrócił na swój nadział powozikiem Meissnerów; Karl jechał na jego koniu. Miał okazję złożyć Jakobowi propozycję, o której wspomniał wcześniej. Farmer wykazał zainteresowanie, choć nie entuzjazm. Natomiast Freda wyraziła swą opinię bardzo dobitnie, i to jeszcze nim Irlandczyk skończył mówić.

- Destylarnia rumu, panie Quinlan? Nie. Z całą pewnością nie. Co sobie ludzie pomyślą o nas, Niemcach? Co powie nowy pastor, kiedy po przyjeździe dowie się, że jego parafianie budują już nie tylko browar, lecz także destylarnię? Na Boga, nie powinniśmy nawet rozważać tej propozycji, jesteśmy przecież szanowanymi ludźmi!

Konie szły wolno, spokojnie. Noc była ciemna. Mikę niewiele widział, ale wydawało mu się, że Jakoba rozbawiły słowa żony. Słyszał krótki chichot, choć może było to tylko cmoknięcie na senne konie, którym nie bardzo chciało się ciągnąć bryczkę. Było już późno, zbliżała się północ. Po

posiłku bawili się i śpiewali przez kilka godzin. Piwo i wino płynęły strumieniami, Walther grał na flecie, no i jego niemieccy przyjaciele wreszcie pokazali, co potrafią. Zaczęli tańczyć swe narodowe tańce. Mikę dał się wciągnąć w zabawę, płaśał do szalonej melodii fletu w iście irlandzkim stylu, gwiazdą dnia pozostał wszakże Walther. Cokolwiek by o nim powiedzieć, z pewnością umiał grać. A jednak pastor nie sprawiał wrażenia zachwyconego. Wydawało się, że jego łagodny olbrzym znalazł się z jakiegoś powodu na cenzurowanym.

- Mów dalej, bo inaczej zasnę - poprosił Jakob. - Wytłumacz mi jeszcze raz, jak wygląda uprawa trzciny cukrowej.

Ale Mikę zrobił się nagle ostrożny. Wiele może się zdarzyć między ustami a brzegiem pucharu. Pomiędzy panem a jego panią. Żonę musi wykluczyć, żeby nie zrujnowała jego wielkiego planu.

- Wygodnie pani? - spytał z troską Fredę siedzącą przed nim na twardej drewnianej ławce. Przez ostatnią godzinę miotало nią na tym siedzeniu w lewo i w prawo, w górę i w dół.

361

- O tyle, o ile to możliwe - odparła trzymając się kurczowo poręczy.

- No tak, oczywiście. Paniom ciężko się jeździ tymi starymi farmerskimi bryczkami. Przypuszczam, że tam skąd pochodzicie, nie podróżuje się tak prymitywnymi furami.

- Drogi są lepsze - przyznała niechętnie.

- Ach, jasne! Proszę, proszę, nigdy o tym nie pomyślałem. Wszystkie nasze drogi to niewiele więcej niż wydeptane ścieżki. No ale... w miastach widziałem fantastyczne pojazdy: mocne zawieszenie wytrzymujące wyboiste drogi, wyściełane siedzenia, impregnowany dach odpowiedni na

najgorszą pogodę... Trudno w to uwierzyć.

- U nas są wszędzie. W Niemczech. Od takich prostych, dla zwykłych ludzi, po luksusowe. Ale tu nie widziałam ani jednego.

- No tak. Powinniśmy zawrzeć układ, Jakobie. Twoja pani mieszka z daleka od cywilizacji, powinna być pierwsza w kolejce do...

- Dixonowie mają wygodne powozy - przerwała mu Freda. - Tak mi przynajmniej mówiono, bo żadnego nie widziałam.

- Więc się nie liczą. Po pierwszych zbiorach trzciny z pewnością ich prześcigniemy.

- Jakiej trzciny?

- Chyba się zdrzemnęłaś - odezwał się Jakob. - Mikę opowiadał nam o spotkaniu z rządowymi agronomami.

- Nie zdrzemnęłam się - potrząsnęła głową. - Kim są ci ludzie?

- Pracownikami rządu. Podróżują po kraju i doradzają farmerom, co uprawiać, a czego nie.

- Pierwsze słyszę. Jeśli farmerzy nie wiedzą, to kto ma wiedzieć?

- No ale my przecież jesteśmy tu nowi, nie znamy ziemi, a jeśli chodzi o klimat, to możemy tylko zgadywać. Oni wskazują nam właściwą drogę wśród mnóstwa niewłaściwych. - Jakob spojrział na żonę. - Walther jest bardzo ostrożny. Pierwszy z nimi rozmawiał.

- Rzekłabym, że Walther jest zbyt ostrożny. Ma tyle warstw tłuszczu co niedźwiedź zimą. Nie wiedziałam, że jest taki zamożny, myślałam, że tylko pracował w browarze.

362

- To on zaprosił agronomów. Mikę też z nimi rozmawiał w Maryborough, kiedy wracał do domu. Powiedzieli mu, że żyzna brązowa ziemia jest

wręcz idealna do uprawy trzciny.

- Tak? A skąd pewność, że mają rację? Co oni wiedzą? Nie żyją tu, prawda? Jesteśmy farmerami, Jakobie, uprawiamy, co chcemy, i niech diabli wezmą tych ludzi z ich książkową wiedzą. Powinniśmy kupić więcej krów. Bo te, które mamy, radzą sobie doskonale.

Bo i dlaczego nie? pomyślał Mikę, sadowiąc się wygodniej na platformie bryczki. Przecież zżerają trawę wartą tyle co cholerne złoto.

Noc była gorąca i wilgotna, na niebie błyszczały gwiazdy, mnóstwo gwiazd, a i tak pochłodziło w porównaniu z dniem, gdy tak świetnie się bawili i tak dzielnie znosili upał. Jakkolwiek - zauważył to - dwóm brzemiennym kobietom skwar wyraźnie dokuczał. Nie tylko im, także temu kulawemu, Lucasowi. Sympatyczny gość. Mówili o nim, że jest pastuchem, ale nie wyglądał mu na pastucha. Był blady. I chyba niedożywiony.

Ale to mogło na razie poczekać. Rankiem będzie musiał wstać z zimorodkami i pomóc Meissnerom przy pierwszym udoju. Gdyby był nieco przytomniejszy, z pewnością ostrzegłby ich, a przede wszystkim Fredę, że upały, które właśnie nadeszły, to nie jest żaden przelotny kaprys pogody. Nastąpiło ich pierwsze lato na tej ziemi, a wybrzeże Queenslandu było - nie da się ukryć - podstępne. Łagodna zima uwodziła imigrantów niezdolnych ani przewidzieć, ani wyobrazić sobie, jak będzie wyglądało tropikalne lato. Pojęcie chłodu w ogóle nie było tu znane. Padające okazjonalnie deszcze miały wkrótce przerodzić się w słynną porę deszczową. Queensland nie był Borneo czy Ekwadorem, ale Mikę miewał problemy z rozpoznaniem różnicy.

Meissnerowie uprzejmie przyjęli go na noc do swego nie wykończonego

jeszcze, ale prawdziwego domu, który srodze go rozczarował. Quinlan słyszał, że sporo zarobili na sprzedaży drewna, lecz to, że pieniądze wydali w ten właśnie sposób, było przygnębiające. Mogło zaszkodzić jego wielkim planom.

Rankiem zdołał przedstawić je i nikt mu nie przerywał. Tego samego dnia wieczorem Jakob wtajemniczył w jego zamiary żonę i syna.

- Chodzi o to, że pewien dżentelmen zza rzeki, plantator Charlie Mayhew, chce stworzyć spółkę do budowy destylarni rumu.

363

Dużej, przemysłowej. Potrzebuje partnerów uprawiających trzcinę cukrową, bez której destylarnia nie ma szans.

- Powiedziałałam już, że jesteśmy farmerami, a nie plantatorami - rzekła gniewnie Freda, ale Karl zaprotestował.

- A co to za różnica? Jeśli trzcina rośnie tu dobrze, to powinniśmy uprawiać trzcinę, zwłaszcza że mamy zapewniony zbył, i to na miejscu...

Matka potrząsnęła głową.

- Nie rozumiecie? Walther buduje browar. Nie możemy wszyscy zajmować się produkcją alkoholu.

- Fredo, kochanie, trzcina cukrowa to tylko trzcina cukrowa. Produkuje się z niej cukier. Na litość Boską, przecież równie dobrze mogłabyś mieć do kogoś pretensje o uprawianie pszenicy! Bez rafinerii cukru nie będzie fabryk przetworów. Proszę, zachowaj rozsądek.

- Kogo obchodzi, co robi Walther? - Karl powoli tracił cierpliwość. - Nasza ziemia, nasza sprawa, i moim zdaniem powinniśmy spróbować z trzciną. O to chodzi Mike'owi Quinlanowi?

- Oczywiście - przytaknął Jakob. - Chce, żebyśmy obsadzili trzciną

wszystkie trzy nadziei, połączyli nasze środki, mieli wspólnych robotników...

- Robotników? - krzyknęła Freda. - Będziemy tu mieli tych wyspiarzy? Kanaków?

Karl był zachwycony.

- Trzcina na całej naszej ziemi. I Quinlana! Wyobrażacie sobie ten widok? Będzie jak ocean!

Punktem spornym stali się Kanakowie. Freda denerwowała się na myśl o tym, że na jej ziemi zamieszkają obcy, zwłaszcza kiedy dowiedziała się, iż będzie ich około trzydziestu. Kłócili się wszyscy do późnej nocy, aż wreszcie Jakob podjął decyzję.

- Skończymy dom tak tanio, jak to tylko możliwe. Potem znów pojedę do pana Rawlinsa. Zaczniemy oczyszczanie terenu i sadzenie na ziemi Karla, żeby zadowolić inspektorów. Będzie nam potrzebna nowa pożyczka na budowę baraków dla robotników.

- Przecież mówiłam... - przerwała mu Freda.

- Owszem, mówiłaś. Ale Kanakowie są tani i musimy ich mieć, żeby nasze przedsięwzięcie w ogóle ruszyło z miejsca. Nie podoba ci się obecność czarnych na naszej ziemi, rozumiem.

364

Możesz zamieszkać w mieście. Ale mam zamiar uprawiać trzcinę cukrową, to moje ostatnie słowo.

- Jeśli myślisz, że możesz mnie wysłać do ojca Beitza...

- Nie. - Jakob zachowywał kamienny spokój. - Znajdę ci miejsce w samym miasteczku. Jeśli tam poczujesz się bezpieczniej...

- A może powinieneś wysłać mnie z powrotem? Znajdź mi miejsce w

Niemczech i nie będziesz musiał się mną przejmować.

- Skoro tego sobie życzysz?

Tak jak się Jakob spodziewał, Mayhew, Rawlins, Quinlan i on spotykali się często i mieli wiele do przedyskutowania. Zazwyczaj obaj z Irlandczykiem jeździli do Charliego; było to konieczne dla zrozumienia podstaw przedsięwzięcia.

Obejrzelі sobie jego plantację. Dowiedzieli się tam, że najodpowiedniejsza jest trzcina z Nowej Gwinei. Cały dzień uczyli się, jak zarządzać wielką plantacją i interesami. Panu Mayhew bardzo zależało na ich sukcesie i na tym, żeby destylarnia pracowała pełną parą; robił wszystko, by wyczerpująco odpowiedzieć na pytania, udzielał rad i służył pomocą do tego stopnia, iż zaprosił nawet Karła, by pozostał na plantacji, gdzie mógłby pracować i uczyć się, dopóki nie przyjadą Kanakowie jego ojca i nie zacznie się sadzenie trzciny.

Tymczasem pragnąc choć trochę ułagodzić Fredę, Jakob uzgodnił z Quinlanem, że baraki, kuchnie i magazyny zbudują na ziemi Mike'a. Na każdym kroku korzystając z rad Charliego, pracowali od świtu do zmroku, a gdy ukończyli obóz robotników, zabrali się do stajni, stodół i magazynów w innych zakątkach farm. Potem przyszedł czas potwornie ciężkiego grodzenia tych części ziemi, które powinny zostać zabezpieczone. Często Jakob nie pokazywał się w domu przez kilka dni z rzędu, spał na dworze albo w stawianych budynkach, bo Mike nadal nie miał domu. I nic go to nie obchodziło. Interesowało go wyłącznie uruchomienie plantacji.

Fredzie nie przeszkadzało, że zostaje sama. Dwaj cieśle skończyli pracę przy domu i wyjechali, a niedługo potem zjawił się Davey, który swoim

zaprzęgiem przywiózł meble.

Davey był zbyt uprzejmy, by komentować nędzę ładunku, za co była mu niezmiernie wdzięczna, bo z najwyższym trudem powstrzymywała łzy.

Jakob ostrzegł ją oczywiście, że będzie ciął

365

wydatki na wyposażenie nowego domu, więc bardzo skrupulatnie przygotowała listę tego, co uważała za niezbędne. Powinna się domyślić, że spędzone nad nią rozkoszne godziny były właściwie zmarnowane. Sam dom był dokładnie taki, jak go sobie wymarzyła: dwie sypialnie, duży pokój, jadalnia, oddzielna kuchnia, łazienka i pralnia, do których szło się ścieżką. No i oczywiście weranda z trzech stron: przy ścianie frontowej i obu bocznych.

Tak dokładnie go zaplanowali. Oddzielna kuchnia miała chronić dom przed pożarem, niebezpieczeństwem, którego po ostatnich wydarzeniach byli aż nazbyt świadomi. Zauważyli też, że powszechnie stosowane tu werandy są bardzo użyteczne

- zastępują sypialnie, a nawet salon. Umieblowany, mój nowy dom byłby śliczny, pomyślała Freda żałośnie. Ale Davey przywiózł tylko to, bez czego nie da się żyć: łóżka, kuchenny stół, krzesła, wannę i trochę drobiazgów: pościel, ręczniki, kilka koców... i piecyk.

Najpierw rozgniewała się. Jakob miał szczęście, że nie było go akurat w domu. Nie wątpiła, że piecyk to był tylko ochłap, łapówka wręczona na odczepnego, próba osłonięcia się przed jej gniewem wywołanym niewątpliwie złośliwą nędzą tej dostawy.

Davey i jego poganiacz ustawili łóżka. Słyszając ich kroki dudniące po drewnianej podłodze pustego pokoju dziennego, Freda nie wytrzymała.

Zalała się łzami i przez łzy poskarżyła Daveyowi:

- Powinien mi przynajmniej pozwolić na toaletkę w sypialni i kredens. Stanąłby o, tu. Ten dom jest taki pusty i ohydny, nie mam nawet zasłon na okna!

- Ależ proszę... proszę przestać. Płacz nie ma sensu.

- Bywało gorzej, to żadna tajemnica. Tak niedawno był przecież tylko namiot.

Skinęła głową, nieco pocieszona... póki nie uświadomiła sobie, że Davey uśmiecha się, przygryzając trzymaną w kąciku ust fajkę.

- Nie ma powodu do śmiechu - powiedziała gorzko.

- Chyba rzeczywiście nie, pszepani. Tylko że wydało mi się to trochę komiczne: chcieć kredensu, w którym nie ma się czego ustawić.

Freda spojrzała na niego urażona. Jak śmie tak ją krytykować! Gorzej, wyśmiewać się z niej!

366

- Chodzi mi o to, że przecież się spaliliście - ciągnął z uśmiechem. - Po co się śpieszyć? Jak to mówią, najpierw trzeba złapać kurę, a potem można ugotować rosół. Czy jakoś tak. - Zamyślił się wyglądając przez okno. - Miło będzie siedzieć tu popołudniami, wpatrywać się w zachodzące słońce.

- Spojrzał na nią. - Jeśli wolno mi coś powiedzieć... Nie warto tak się przejmować. W buszu za wiele rzeczy może pójść nie tak, czego sami doświadczyliście. Nie warto się przejmować drobiazgami. Nie chcę przez to powiedzieć, że śliczne meble nie mogą być dla kogoś ważne, ale nie są przecież kwestią życia i śmierci. Nie, po prostu pojawią się później.

Drobne rozczarowanie, nic więcej.

- To i tak bez znaczenia - prychnęła. - Przeprowadzam się do miasta, kiedy tylko przyjadą Kanakowie.

- Dlaczego? To tacy mili ludzie. Bo to przecież ludzie, prawda? Warto poznać kilku z nich przed podjęciem tak ważnej decyzji. No więc... oni i ich kobiety bardzo lubią się śmiać. Nie biorą życia poważnie. Pracują ciężko, ale umieją się bawić, jeśli tylko mają okazję. Och, chwileczkę! Omal nie zapomniałem. Mam tu list dla Jakoba. - Puścił do niej oczko.

- Mam go położyć na kredensie, szanowna pani? - spytał uroczyście. Freda roześmiała się.

- Lepiej na sekretarzyku pana domu. Tylko muszę go przetrzeć z kurzu.

- No i proszę! - Davey skinął głową zadowolony. Wręczył Fredzie list. Schowała go do kieszeni fartucha.

Jakob wrócił do domu zachwycony. Cały czas mówił tylko o postępach w pracy. Towarzyszyli mu Mikę i dwóch Kanaków. Byli ciemni, raczej brązowi niż lśniący i czarni jak Aborygeni, obaj obszarpani, jakby nosili stare ubrania z drugiej ręki. I tak zapewne było, pomyślała Freda.

Ciekawe, czy jak ona wstydzili się tego upokarzającego doświadczenia.

- To Henry - przedstawił ich Jakob - a to jego syn Herbert. Są bardzo doświadczonymi robotnikami, mamy szczęście, że zgodzili się pracować dla nas.

Z jego głosu łatwo było odczytać, jak bardzo zależy mu na tym, żeby była dla nich miła. Zaskoczyła go. Podeszła do Kanaków z wyciągniętą ręką.

367

- Jak się macie? - spytała miło.

Henry uśmiechnął się szeroko i entuzjastycznie potrząsnął jej dłonią.

Herbert, młody człowiek, jak zauważyła całkiem przystojny, zapragnął

zachować się równie elegancko.

- Jak się pani ma, pszepani? - spytał. Mikę Quinlan roześmiał się serdecznie.

- Właśnie zdobyliście przyjaciół na śmierć i życie, Fredo. Nieczęsto mają okazję witać się przez uścisk dłoni. - I zwrócił się do Kanaków: - Miła pani, prawda?

I ojciec, i syn szybko pokiwali głowami chichocząc. Wreszcie odeszli z Mikiem, a Freda podreptała za Jakobem do kuchni.

- Zaparzę kawę - zaproponowała. - A! Dostałeś list. Kto to jest Eduard Berger?

Kątem oka zauważyła, jak ciężko opada na kuchenne krzesło, z szeroko otwartymi ze zdumienia ustami. Odebrało mu głos.

- Nie wiedziałam, że to prywatna korespondencja - usprawiedliwiała się, choć nie była to prawda. Tak długo była sama, list leżał na kuchennym stole, no i... ciekawość wzięła górę. Nie miała zwyczaju otwierać poczty męża, ale do tej pory zawsze był w pobliżu. Treść listu znała już na pamięć.

Drogi Panie Meissner,

z przykrością informuję Pana, że w zeszłym tygodniu zmarła moja matka, Traudi Berger. Stało się to u mnie w domu, mogłem więc na szczęście być przy niej przez ostatnie dni. Odeszła w spokoju po ciężkim zapaleniu płuc. Prosiła, bym poinformował o wszystkim Pana, a także przypomniał o jej prośbie. Nie wyjaśniła mi, jaka to prośba, mogę więc tylko mieć nadzieję, że Pan wie i spełni ją.

Bogu Pana polecam.

Eduard Berger.

- Któż to ta Traudi Berger? - spytała niecierpliwie Freda.
- Przyjaciółka - odparł Jakob ze smutkiem. - Dobra przyjaciółka.
- O co chodzi z tą prośbą?
- Muszę to sobie przemyśleć. - Wstał nagle, odepchnął krzesło, niemal wybiegł z domu.

368

Freda znów się rozgniewała. Czyż nie próbowałam mu pomóc, tak uprzejmie odnosząc się do tych Kanaków? pomyślała zirytowana. Czyż nie opanowałam się z najwyższym trudem, nie wspomniałam nawet o braku przyzwoitych mebli? Po to, żeby znosić teraz jego humory? Godzić się na jakieś nagłe tajemnice?

- Ani mi się śni! - powiedziała głośno i wyszła za nim.
- Moim zdaniem, Jakobie, miałeś mnóstwo czasu, żeby to sobie przemyśleć - rzekła stanowczo. - A ja nie mam z kim rozmawiać przez całe dni, oprócz mieszkającego pod werandą wielkiego warana. Potrafię docenić chwilę szczerości. Czego chciała od ciebie ta Traudi?
- Żeby jej syn popłynął z nami do Australii.
- Co? Prosiła o to przed naszym wyjazdem?
- Tak.
- Kiedy?
- Na litość Boską, Fredo! Przed naszym wyjazdem. Co to ma za znaczenie, kiedy dokładnie? Powiedziałem, że to niemożliwe, i na tym skończyła się rozmowa. - Jakob usiadł na kuchennych schodach, zzuł buty.
- Podoba ci się nowy piec?
- Jest piękny. Davey i ten jego nowy woźnica ustawili go i przepalili, by upewnić się, że przewód kominowy jest drożny. Ile lat ma ten Eduard?

- Nie wiem. Dwadzieścia jeden, może dwadzieścia dwa? Nigdy go nie spotkałem.

- Nawet nie spróbowałeś wyświadczyć przysługi starej przyjaciółce? -  
dociekała Freda świadoma, że w jej głosie brzmi podejrzliwość. - On pisze  
z Hamburga, a więc z pewnością tam mieszka. Musiałeś o tym wiedzieć.  
Dlaczego nie skierowałeś go do ojca Beitza? Byłby szczęśliwy, brakowało  
mu ludzi...

- To nie twój interes, Fredo. I ta sprawa nie ma nic wspólnego z tobą.

- A ja sądzę, że jednak ma. Inaczej nie byłbyś taki tajemniczy. Nie  
broniliśmy się tak nieprzekonywująco. O czym tak bardzo nie chcesz mi  
powiedzieć?

- Zostaw to, dobrze? Wykopię te kamienie z twojego warzywnego  
ogródka, póki jest jeszcze jasno.

Nowy ciężki, żelazny piecyk ciągle dymił i w kuchni siedziało się raczej  
niewygodnie. Freda zastanawiała się nawet, czy nie podać kolacji na  
werandzie, na składanym stoliku z darów, którego używali,

369

gdy mieszkali w namiocie, ale zdecydowała, że Jakob może zjeść tu i  
niech sobie radzi. Wciągnęła powietrze nosem, skrzywiła się.

- Mamy jadalnię, ale nie mamy stołu.

- Mogę przenieść ten.

- Świetny pomysł. A czego będę używała w kuchni? Jedli w milczeniu.

Kuchnia była gorąca i duszna, przez co

dym dokuczał jeszcze bardziej. Jakob obejrzał się przez ramię. Freda  
otworzyła okno, ale nie czuło się nawet najłżejszego powiewu wiatru.

Freda podała steki z pyzami na tych samych talerzach, na które wcześniej

naląła zupę, postawiła przed mężem miskę gotowanych warzyw.

- Przepraszam cię za meble - powiedział Jakob nagle i nieoczekiwanie. - Nie zdawałem sobie sprawy, że dom będzie sprawiał wrażenie takiego pustego. Zostały jeszcze korniszony Evy?

Freda poszła do spiżarni po słoik. Rozejrzała się dookoła zaskoczona.

Jakob uzupełnił zapasy mięsa, mieli wszystko, czego potrzeba do życia, a na półce stało... sześć butelek wina.

- Skąd wzięło się wino? - spytała zdumiona.

- Z pubu! - roześmiał się Jakob. Bardzo bawiło go to słowo. - Z pubu - powtórzył. - Ciekaw byłem, kiedy wreszcie zauważysz. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy się napić, tylko we dwójkę, teraz kiedy Karla nie ma. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak brzydki wydaje ci się dom.

- Tego nie powiedziałam!

- I nie zaproponowałaś Mike'owi Quinlanowi, żeby obejrzał sobie nasz nowy piękny dom.

Freda spojrzała na niego zdziwiona.

- Zrobiłeś się bardzo spostrzegawczy na stare lata.

- Nie, raczej nie. Po prostu na drodze spotkaliśmy Daveya. Mówił, że gadałaś o tym jak najęta.

- Bo tak było. Rzeczywiście. - Pomyślała o spiżarni pełnej doskonałego jedzenia, o wspaniałych rosnących tu dziko owocach i orzechach, o leśnym miodzie. Każdy mógł je zbierać do woli. Przypomniała sobie słowa Daveya o zbyt poważnym traktowaniu życia.

Trudno jej było ustąpić po raz drugi tego samego dnia, więc nie była już tak entuzjastyczna jak w wypadku powitania Kanaków.

- Nie mam nic przeciwko lampce wina do posiłku - przyznała.

Patrzyła, jak Jakob otwiera butelkę i sięga do skrzyni pełniącej rolę kuchennego kredensu. Było w niej sporo podarowanej im porcelany, naczyń kuchennych, kubków, które do tej pory nie mogły znaleźć sobie właściwego miejsca. I widziała, jak jej mąż nagle smutnieje.

- Nie mamy kieliszków!

Ech, mężczyźni! pomyślała. Dopiero teraz się zorientował.

- Nie bądź taki poważny, Jakobie. Kubki wystarczą. Są czyste.

- Tak? Świetnie! - Jakob natychmiast usiadł za stołem, niczym niesforny chłopczyk próbujący się grzecznie zachować. Jakby popełnił ciężką zbrodnię, pozbawiając ją mebli, i szukał sposobu, by jakoś poradzić sobie z tą niezręczną sytuacją. - Wznoszę toast - powiedział. - Za nas i za lepsze czasy.

- Dziękuję. Ale czasy wydają mi się wystarczająco dobre. Mamy więcej ziemi, niż śniliśmy w najśmielszych marzeniach, cudowny dom, w którym nie trzeba zamykać okien, jesteśmy cali, zdrowi i bezpieczni.

- Amen! - uśmiechnął się z ulgą.

Wino, w tym się ze sobą zgadzali, miało smak bogaty, śliwkowy; zapewne lepiej odpowiadało chłodniejszemu klimatowi, ale jak na australijskie było świetne, niemal tak dobre jak ich lokalne wina w Niemczech. Zgodzili się także, że brak mebli, przynajmniej w tym momencie, nie jest wcale taką wielką przeszkodą. I Kanakowie też. W końcu mają mieszkać na ziemi Quinlana.

- A więc zostajesz?

- Tak. Pora, żebym przestała zastanawiać się ciągle nad tym, co powiedzą sąsiedzi. Zwłaszcza że najbliższy sąsiad mieszka piętnaście kilometrów

stąd, a w ogóle i tak nic to nikogo nie obchodzi.

Jakob nalał wina do kubków, opróżniając butelkę.

- Nie mów tak, kochanie. Mnie obchodzi. Chcę, żebyś była szczęśliwa.
- Świetnie. Ale wymień jedną osobę, która skrytykowałaby nas za to, że mamy w domu wyposażenie, które zrobiliśmy sami, zamiast różnych drogich cudeniek. Nie znajdziesz takiej, Jakobie. Byłam głupia. Chciałam mieć wszystko od razu.

371

- Zrobiłbym więcej, gdybym mógł - westchnął ciężko. - Musimy oszczędzać każdego pensa i jeszcze wziąć kolejną pożyczkę, żeby wystartować z plantacją.
- Mężu, nie słuchasz mnie. Przecież powiedziałam, że wszystko jest w porządku. Nic się nie stało. Davey uzmysłowił mi, że niektóre sprawy traktujemy zbyt poważnie.

Jakob spojrział na nią zdziwiony.

- No proszę, Mikę Quinlan też! I Charlie Mayhew. Mówią mi, że się niepotrzebnie przejmuję. Że dorobię się wrzodów żołądka. Powtarzają mi, że wszystko jest w najlepszym porządku, ale ja nie wiem, czy jest czy nie. Może popełniam najgorszy błąd w życiu?

Freda roześmiała się głośno.

- Zdaje się, że nareszcie zrozumiałam żart.
- Jaki żart?
- Co jest gorsze: nie mieć kieliszków czy nie mieć ich gdzie ustawić?
- No, nie wiem. Zdaje się, Fredo, że sobie podpiłaś.
- Oczywiście. I jestem szczęśliwa. Dlatego lubię wino.
- Więc musisz mi wyjaśnić ten żart.

- Nie muszę. Kiedyś sam zrozumiesz. Chodzi o nastawienie tych ludzi.

Bardzo to dowcipne i trochę okropne. Davey się ze mnie śmiał, a teraz ja mogę śmiać się z ciebie, kochanie. Co takiego zrobiłeś, że musisz trzymać to w tajemnicy przede mną?

- Nic nie...

- Ostrożnie. Jesteśmy sami, we własnym raju. Syn nie spojrzy na nas krzywo. Możemy wynieść materac i kochać się pod gwiazdami, ale pod warunkiem że będziesz wobec mnie szczery.

- Boże, Fredo, ciągle to samo? Obeszła stół i usiadła na kolanach męża.

- Pozwól, że ujmę to w ten sposób: jeśli mi wszystkiego nie wytłumaczysz, uznam, że możliwe jest tylko jedno wyjaśnienie: ten młody człowiek, Eduard jakiś tam, jest twoim synem.

I omal nie wylądowała na podłodze. Chwyciła się męża, cudem udało się jej odzyskać równowagę.

- Zrobię kawę, a potem porozmawiamy, Jakobie.

- Podoba mi się ta kobieta - powiedziała Freda. - Ma styl. Zwróciła się do ciebie powtórnie dopiero na łożu śmierci.

372

Wiesz, że tym razem nie możesz jej odmówić. Co z ciebie za drań. Twój syn!

- Pieniądze należały do ciebie, Fredo. Ze spadku. Nie mogłem cię prosić, żebyś płaciła za obcego.

- Nie mogłeś - przytaknęła ku wielkiemu zaskoczeniu męża. - A gdybyś spróbował, tobym oczywiście zaprotestowała. Mówię szczerze. Jechaliśmy w nieznane, można powiedzieć, że w paszczę smoka. Nie zabrałabym ze sobą własnej matki. Ale teraz kiedy już tu jesteśmy... wszystko się

zmieniło.

Siedzieli na schodach wejściowych do domu, rozmawiali o młodym człowieku imieniem Eduard, synu Jakoba, którego nie znał ani on, ani ona. W końcu postanowili, że go zaproszą.

- A Karl? - spytał niepewnie Jakob. - Co sobie o mnie pomyśli? Może mu się nie spodobać, że Eduard należy do naszej rodziny.

- Zobaczmy. Co sobie pomyśli o ojcu, który spłodził syna i nie przyznawał się do jego istnienia, to twój problem. Jeśli chodzi o przyjęcie do rodziny jego brata, już ja się tym zajmę. Nie mogłam dać mu rodzeństwa, a teraz wreszcie będzie miał brata. To mu dobrze zrobi. Nie będzie na świecie sam nasz chłopiec, kiedy odejdziemy...

- Okropne.

- Masz rację - przyznała sennie. - Okropne.

Hanni wracała do hotelu, brnąc w gęsto padającym deszczu. Lało jak z cebra, lecz - jak wszyscy tutaj - nauczyła się radzić sobie z tym, co miejscowi nazywali porą deszczową. Bo nazwa z pewnością odpowiada rzeczywistości, pomyślała chowając się pod parasolką. Przynajmniej jest ciepło. Nawet parno.

Przynosiła Evie dobre wieści. Dowiedziała się, że pan Gibson wyjeżdża z rodziną do Maryborough, i w ostatniej chwili zdążyła wynająć jego domek. Na początku rozmowa się nie kleiła. Wiedział, że mąż Evy wyjechał i do tej pory nie wrócił, nie podobało mu się, że mają u niego zamieszkać dwie kobiety z trojgiem dzieci. Hanni musiała się tłumaczyć.

- Nie, nie, proszę pana. Wszystkie sprawy będzie załatwiał mój mąż, pan Lucas Fechner.

- To dlaczego nie przyszedł?

- Pracuje. Decyzję pozostawił mnie.

373

- Zobowiązuje się płacić czynsz za was wszystkich? Także Zimmermanów? To duży ciężar, pani Fechner.

- Nie aż taki duży. Nie widzę problemu. Pani Zimmerman jest kucharką w hotelu „Royal”, ja pracuję tam jako pokojówka. Obie zarabiamy na utrzymanie.

- Doskonale. Spodziewam się, że będziecie panie dbały o dom, a także o ogród; żona nie byłaby szczęśliwa, gdyby jej ukochane roślinki zeschły.

- Oczywiście, że zajmiemy się ogrodem, proszę pana.

- Bardzo się cieszę. Czynsz proszę płacić panu Pimbleyowi, w jego sklepie. Znają go panie?

- Oczywiście. To nasz przyjaciel.

Hanni mogła się tylko modlić, by pan Gibson nie dowiedział się od Pimbleya, że nadal są z Lucasem w separacji. Nie widziała go od Bożego Narodzenia, ale Eva, nadal chodząca w niedzielę do kościoła, powiedziała jej, że pracuje dla Walthera, budując fundamenty pod browar.

- No, przynajmniej pracuje i ma przed sobą przyszłość - westchnęła Eva. -

Ci dwaj doskonale się dogadują, Hanni. Uważaj, bo możesz przegrać.

Poróżniłaś się z Lucasem, rozumiem, ale dlaczego nie chcesz się z nim dogadać? Czyżby przez nadmiar dumy? Uwierz mi, w dzisiejszych czasach to z pewnością nie popłaca...

Jakiej dumy? myślała Hanni. Mam być dumna z tego, co mi się zdarzyło? Z tego, że zdaniem męża to ja jestem wszystkiemu winna? Cieszyło ją, że może wreszcie wynieść się z tej szopy. Będzie miała własny pokój, cóż za luksus! Mieszkanie z Evą i jej dziećmi powodowało ciągle konflikty,

ale przyjaciółka przyjęła ją pod swój dach, więc skargi byłyby nie na miejscu.

Zatrzymała się pod markizą nowego sklepu z tkaninami na Bourbong Street. Nieco dalej jeźdźcy przeganiali na pustą działkę stado kuców. Nie lubiła tego widoku, konni ją przerażali, przecież mógł być wśród nich Keith, przecież mógł znów na nią napaść, naubliżyć jej, i to publicznie, przy ludziach.

Hanni bardzo się zmieniła. Okrutne przejścia onieśmieliły ją, wręcz zastraszyły. W dodatku zrobiono z niej złodziejkę. Czasami myślała nawet, że może powinna porozmawiać z ojcem Beitzem, wyznać grzechy, by w nabożeństwie uczestniczyć z czystym sumieniem, ale wątpiła, czy pastor będzie w stanie ją zrozumieć. Najpewniej tylko wszystko zepsuje, wskazując ją palcem,

374

ogłaszając winną. Jedyłą winną. Bóg tylko wie, jak zareaguje, powiedziała sobie, tak czy inaczej to na mnie wszystko się skrupi, więc lepiej zostawić sprawy ich biegowi.

- Jakże chciałabym wrócić do domu - mruknęła wychodząc spod markizy, deptając błoto głębokich kałuż bosymi stopami. Po ważnej rozmowie zzuła buty, związała je sznurowadłami, przewiesiła przez szyję. Nie mogła dopuścić do ich zniszczenia. - A może to właśnie zrobię? - powiedziała głośnie, zaskakując samą siebie. - Oszczędzę pieniądze i wrócę do domu. No, przynajmniej do Hamburga.

Charlie Mayhew i konstabl Colley wybrali się do pubu. Obaj widzieli Hanni skręcającą za róg do kuchennego wejścia do budynku.

- Hej, Clem, czy to nie ta niemiecka panienska, co pracuje w Clonmel?

- Pracowała, Charlie. Nie było jej tam od wieków. Wywalili ją z roboty.
- Boże mój! Dlaczego? Sprawiała wrażenie przemiłej... I z pewnością znała się na swojej pracy.
- Kolejny dowód, że takich jak one nie warto zatrudniać. Okazała się złodziejką.
- Nie wierzę!
- A jednak to prawda. Straciła pracę przez kradzież. Mayhew spojrział na niego zdumiony.
- Trudno mi w to uwierzyć - powiedział powoli. W tej chwili z pubu wyszedł jeden z pastuchów.
- O, cześć, Colley! Wypytywał o ciebie jakiś facet. Gdzieś znikło sześć jego koni. Podobno cennych.
- I co?
- Przed chwilą poszedł na posterunek.
- O, do diabła!

Policjant odwrócił się na pięcie i odszedł, nie żegnając się z Charliem choćby skinieniem głowy. Szczerze mówiąc Mayhew był zadowolony, że pozbył się jego towarzystwa. Nie lubił Colleya, który po prostu przyczepił się do niego na ulicy.

Jules Stenning czekał na niego przy barze.

- Charlie, stary przyjacielu, co cię zatrzymało? Wyprzedzam cię o całe dwie szklaneczki whisky!

375

- Musiałem się z kimś spotkać, a potem znów musiałem... i tak dalej.

Napiję się piwa. Umieram z pragnienia.

Stenning skinął na barmana.

- Nie miałem pojęcia - mówił Mayhew - że budowa destylarni wymaga tylu zezwoleń. Chyba będziesz musiał mi pomóc, Jules.

- Rzeczywiście to dość skomplikowane. Import mocnych alkoholi pod względem prawnym wydaje się dobrze zorganizowany, ale ty wchodzisz na nowe terytorium. Chcesz produkować własny rum, na rynek krajowy i na eksport. Charlie, pytam się szczerze: naprawdę sądzisz, że jest wystarczająco dobry?

- Słodszego nigdy nie smakowałeś, Jules. No i produkowany będzie tu, w Bundabergu. Coraz to nowi farmerzy przechodzą na uprawę trzciny cukrowej. Przynajmniej ci, którzy orientują się, co dla nich najlepsze. Pojawią się nowe tłocznie, gorzelnie może nawet lepsze niż moja, ale pamiętaj, co ci teraz mówię: pewnego dnia będziemy tu mieli trzinę cukrową tak daleko, jak sięga wzrok. - Podniósł kufel dostarczony przez usłużnego barmana. Jednym haustem opróżnił go niemal do połowy. Stenning roześmiał się głośno.

- Marnujesz na mnie czar swojej wymowy. Jestem zaledwie urzędnikiem państwowym, przyjacielu. Nie zapomnij jednak, że twoje przedsięwzięcie wymaga wprowadzenia nowych praw do już istniejących regulacji. Nie możesz pędzić krzakowy. Parlament stanowy musi uchwalić ustawy pozwalające ci na swobodną działalność.

- Przecież wiem. A ty wystąpisz jako mój rzecznik. Będziesz wygłaszał właściwe słowa we właściwym czasie. Przecież się na tym znasz, Jules.

- Oczywiście, bardzo chętnie, ale... z pewnością nie umknęło twojej uwadze, że nasz reprezentant w parlamencie jest całkowitym abstynentem.

- Nie umknęło. I dlatego musi odejść. Musimy rozpętać przeciw niemu kampanię. Musimy zacząć zbierać fundusze dla Keitha. Wiem, że

Dixonowie mają środki wystarczające na opłacenie kilkunastu kampanii, ale fundusz wspomagający sprawi, że ludzie będą go widzieli jako zwykłego normalnego faceta, potrzebującego funciaka, może nawet paru funciaków. Taki fundusz także łączy wyborców, dodaje im energii, zachęca do działania. Za coś płacą, coś chcą mieć. Trzeba też dopilnować, żeby

376

miejscowi wpisywali się na listy wyborców, dobrze wiesz, że połowa z nich nigdy nie głosowała...

- Hej, spokojnie. Ja mam trzymać się od tego z daleka. Pamiętaj, że powinienem pozostać neutralny. Powołaj komitet, Charlie. Niech zaczną działać. Będę postępował... dyskretnie. Oczywiście, że jestem po twojej stronie, ale nie publicznie. I powiem ci jeszcze, że w tej chwili jesteś swoim własnym najgorszym wrogiem. Rozmawiałem z Keithem. Może i jest ci przyjacielem, ale obecnie stanowczo występuje przeciw destylarni.

- Co? Dlaczego? Wiem, że stary J. B. nigdy mnie nie poprze, uważa, że to stracona sprawa, on widzi wyłącznie owce, ale Keith... powinien być za...

- Nie jest. Ma coś przeciw wszystkim tutejszym Niemcom. Twierdzi, że się panoszą.

- Co? Panoszą? Przecież nie bardziej niż Dunowie, Angole, Francuzi... Zaraz, ostatnio przyjechało do nas pięćdziesięciu Duńczyków. O co mu chodzi?

- Wygląda na to, że Duńczycy natychmiast wtopili się w krajobraz, za to Niemcy zostali w okolicy. I się panoszą.

Charlie spojrzał na niego zdumiony.

- I ty w to wierzysz? Przecież niczym się od nas nie różnią. My wszyscy jesteśmy nowi, nikt się tu nie urodził. To cholerne miasteczko powstało

parę lat temu! Niby co takiego różni Niemców od nas wszystkich?

Stenning westchnął ciężko.

- Dotarliśmy wreszcie do sedna rzeczy. Jeśli stanie się, jak przewidujesz, i twoja destylarnia przerodzi się pewnego dnia w wielkie przedsiębiorstwo, to dla nas wszystkich będzie to równie wielka przyjemność. Pod warunkiem że nie będziesz miał niemieckich partnerów. Właśnie o to chodzi Keithowi, Charlie. Oni nas przejmą cichutko, bez fanfar, bez rozgłosu. Pewnego dnia ich skąpstwo wypchnie cię z interesów. I nic ci nie zostanie.

- Współpracę zaproponowałem wyłącznie Meissnerowi. I Mike'owi Quinlanowi.

Jego przyjaciel tylko wzruszył ramionami. Zamówił dwie szklaneczki whisky.

- Najgorszy wybór, oczywiście jeśli potrzebujesz pomocy Keitha - stwierdził. - No i jest jeszcze kwestia tego drugiego Niemca starającego się za wszelką cenę założyć browar. Próbuję ci powiedzieć, stary, że oni już mają swój kościół, swoją wspólnotę,

377

swoją ziemię, na której próbują osiągnąć jeden Bóg wie co, robią wszystko, żeby nawrócić czarnych, i jeszcze ten, jak mu tam, Kleinschmidt...

- Kto to taki?

- Niemiec, a któż by inny? Zarządza tartakiem. Decyduje, kto ma pracę, a kto jej nie ma. Kolejna niemiecka ingerencja w naszą społeczność. Że już nie wspomnę o jego rodakach rządzących w obozach drwali...

Mayhew miał dość.

- Jules, w mieście i najbliższej okolicy żyje jakiś tysiąc ludzi. W tym garstka Niemców. Może dwudziestu? Czy ty mnie słyszysz i rozumiesz?

- Spis, jeśli kiedyś do niego dojdzie, moim zdaniem ujawni coś zupełnie innego. Mniejsza z tym. Na razie, jeśli chcesz produkować rum, powiedz cudzoziemcom „do widzenia”.

- Jak mam to zrobić? Tylko oni chcą dzielić ze mną ryzyko finansowe. Wiesz przecież, że stary Dixon...

- Och, oczywiście. Woli nawet nie myśleć o tym, że fabryki i nędzne osiedla robotników zeszpecą jego umiłowaną okolicę...

- Jego umiłowaną krainę owiec - przerwał mu Mayhew. - To dlatego podjudza syna?

- Skądże znowu! Mieć w rodzinie posła... przecież to honor.

Charlie wyszedł z baru zdumiony. Nie miał pojęcia, o co chodziło w tej rozmowie. Słyszał, że Stenning opuścił obóz młodego Dixona po spektakularnym fiasku wyprawy przeciw Szkotom, że od tamtego dnia wielokrotnie publicznie nazywał go durniem, więc postanowił się z nim spotkać i przeciągnąć go z powrotem na swoją stronę, ponieważ ich parlamentarzysta był zatwardziałym abstynentem. I nagle sytuacja się odwróciła. Całkiem możliwe, że Jules, przebiegły krętacz, rozgrywał jakąś swoją grę... Nie wyjaśniało to jednak nastawienia Dixonów.

Gdzieś daleko huknął grzmot. Ołowiane burzowe chmury gromadziły się nad i tak ciężko doświadczonym portem. Charlie Mayhew spojrzął w niebo, marszcząc brwi. Jego Kanakowie zebrali trzcinę cukrową w mgnieniu oka, miał ją gotową do przerobu przed nadejściem deszczów, szczęśliwe zrządzenie losu, Aborygeni prorokowali jednak, że pojawiające się ostatnio coraz częściej tropikalne burze to tylko zapowiedź czegoś, co

nazywali „wielkim dużym deszczem”.

378

Pozostała mu wyłącznie nadzieja, że się mylą. Już teraz musiał jakoś sobie radzić z pomniejszych zalaniem na swojej ziemi, a przecież był dopiero początek stycznia! Mówiono, że pora deszczowa może trwać aż do kwietnia. W tej chwili gnębił go jednak inny problem. Charlie nie znosił, gdy ktoś dyktował mu, co ma zrobić, a już zwłaszcza gdy robili to ludzie głoszący się jego przyjaciółmi.

- Jak śmiać decydować, z kim robię interesy, a z kim ich nie robię -

mruknął pod wąsem i w tej samej sekundzie aż podskoczył, bo wraz z

ogłuszającym hukiem grzmotu zaczęła się iście tropikalna ulewa. Po

chwili, odzyskawszy przytomność umysłu, pobiegł w stronę stajni. -

Chyba powinienem znaleźć sobie innego kandydata - mówił do siebie. -

Prawdę powiedziawszy miasto wcale nie potrzebuje ani Keitha, ani

naszego obecnego przedstawiciela, skoro nie popierają produkcji rumu.

Tylko kogo? Mam czas pomyśleć, wybory dopiero w marcu.

Rozumiał oczywiście, że młody Dixon nie sprzeciwia się produkcji rumu z

powodu rumu, że chodzi mu raczej o dokonany przez niego wybór

partnerów, ale nie robiło mu to większej różnicy. Mayhew był

człowiekiem upartym, a przy tym wykształconym. Wychowany w Sydney,

studiował tam chemię, ale odczuł nieprzepartą pokusę podróży.

Zaprowadziła go na Jamajkę. Zamieszkał tam u przyjaciół, właścicieli

plantacji trzciny cukrowej. I tak, powiedział później ojcu, ziarno zostało

zasiane. Postanowił zostać plantatorem, a potem sam zająć się produkcją

rumu.

Mayhew nie miał wątpliwości, że odniesie sukces, także dzięki wstępnym

inwestycjom ojca, jubilera posiadającego kilka sklepów w Sydney i Brisbane. Nie zawiedzie go, nie może zawieść! I nie pozwoli też, żeby w jego plany wtrącali się jacyś prowincjonalni kowboje w rodzaju Dixonów.

- Już raczej ja wtrączę się w ich plany - burknął pod nosem. Przebiegł przez ulicę, błotnistą ścieżką potruczał do stajni.

Tydzień później Charlie Mayhew znów pojawił się w mieście. Odwiedzał znajomych, w przyjacielskiej rozmowie tłumaczył im, że potrzebują silnego, stanowczego reprezentanta w parlamencie, więc kandydatem nie może być Keith Dixon. Niektórzy wyrażali wątpliwości, nawet obawy co do tego, czy walczące o przetrwanie miasteczko może pozwolić sobie na antagonizowanie

379

ludzi tak potężnych jak Dixonowie, choć okazało się, że Keith nie jest przesadnie popularny.

- A kogo to obchodzi? - pytał za każdym razem Mayhew.

- Przecież głosowanie jest tajne. Nikt się nie dowie, kto oddał na kogo głos...

Wrócił w następny piątek dowiedzieć się, kogo mieszkańcy uznają za najlepszego kandydata. Okazało się, że jest nim... on sam.

- Nie, nie! Doceniam wasze poparcie i jestem za nie wdzięczny - powiedział Jimowi Pimbleyowi i kapitanowi portu

- ale nie mogę przecież opuścić plantacji. W każdym razie nie na tak długo. Pracuje dla mnie osiemdziesięciu Kanaków i tylko czterech białych. Sam zarządzam własną ziemią.

Jim skinął głową.

- Mówili mi to niektórzy z twoich zwolenników. Rozumieli, że nie

możesz wyjechać do Brisbane na kilka miesięcy, i uznali, że potrzebują drugiego kandydata. Jest nim Les Jolly. I Les wyraził zainteresowanie. Moim zdaniem można na niego postawić.

Jules Stenning ze zdumieniem przyglądał się tłumom ludzi przychodzących do jego biura, by zarejestrować się na liście wyborców, i dopytujących się, czy wybory są rzeczywiście tajne. Odkrycie przyczyny fenomenu nagłego wzrostu świadomości politycznej nie wymagało wielkiego wysiłku. Zarejestrował się nowy kandydat. Ni mniej, ni więcej tylko Les Jolly! W dodatku wyglądało na to, że cieszy się znacznym poparciem.

Stenning uśmiechnął się. Był w tej szczęśliwej sytuacji, że nie mógł przegrać. Jeśli to Keith zwycięży, nie ustąpi Niemcom ani na krok, co oznaczało, że ich Romeo, Walther, może pożegnać się z planami budowy browaru. Fabryka, którą wznosi wraz z przyjaciółmi, może i powstanie, ale będzie tylko mirażem na pustyni.

A Les Jolly? Fajny facet. Śmiały, zawsze gotów podjąć ryzyko, maczający paluchy w każdym możliwym przedsięwzięciu: wyrąb drzew, tartak, hotel i bar, handel ziemią... a wszystkie transakcje musiały być rejestrowane w jego biurze. Stenning wiedział, że Jolly skupuje puste nadzieje jeden po drugim. Zainteresowało go, skąd ma na to pieniądze. Spytał o to Rawlinsa.

380

- Inwestuje każdego zarobionego pensa, Jules - usłyszał w odpowiedzi. - Bierze pożyczkę, spłaca ją w mgnieniu oka i natychmiast zaciąga następną. Ośmielę się powiedzieć, że Les jest blisko pierwszego miliona... i że zarobi go nie wychodząc z kantorka.

Stenning westchnął. Bardzo chciałby mieć ten talent. Sam parę razy

przymierzał się do wykupienia kilku działek w mieście, kosztujących ćwierć tego co ziemia w Maryborough po cenie rynkowej, ale zawsze wycofywał się w ostatniej chwili. Przecież nikt nikomu nie mógł dać gwarancji, że to miasteczko w ogóle przetrwa. Wszak było zaledwie wysuniętą faktorią do handlu wełną dostarczaną z wielkich rancz. Zgadzał się ze starym J. B. Dixonem, choć przed Charliem się do tego nie przyznał... Przecież jego marzenia o plantacjach trzciny cukrowej i destylarni rumu tyle miały sensu co miraż na pustyni. Za wielkie były na Bundaberg, miasteczko jak bryczka pod jednego konia.

Nagle prychnął śmiechem. Kto jest najnowszym konkurentem do ręki Nory? Nikt inny jak sam Jolly! Jules miałby powód do radości, gdyby Les dostał się jednak do parlamentu. Być może zaimponowałby w ten sposób jego córce, której Keith nie był w stanie zaimponować. Choć nie wydawało się to prawdopodobne. Okręg wyborczy był spory, Bundaberg pozostawał tylko punkcikiem na mapie. Osiedleńcy pokroju Dixona mieli go w kieszeni. Właściciele wielkich rancz zawsze będą się popierali. Ich ostoją pozostawało Maryborough, miasto wystarczająco duże, by być kluczem do zwycięstwa. Zwycięstwa Keitha Dixona.

- Bardzo mi przykro, Les - powiedział głośno, wzruszając ramionami. - Tak miło byłoby mieć zięcia w parlamencie.

CZEŚĆ TRZECIA.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Mimo burzowych chmur i rozlegającego się od czasu do czasu pomruku grzmotów, mimo gęstej ściany zieleni zarastającej brzeg, tworzącej mur, który zdawał się bronić dostępu do ciągnącego się za nim lądu, pastor z ogromną ulgą przyjął wiadomość, że rejs „Clovis” się kończy i statek

zarzuca kotwicę w Moreton Bay. Długa, przeraźliwie męcząca podróż dobiegała wreszcie kresu, Brisbane było już blisko.

- Chętnie padłbym na pokład i zalał go łzami wdzięczności - powiedział do Freddy'ego, żegnając się wprawnie. Weszło mu to w nawyk.

- A ja już prawie uwierzyłem, że to jakiś okrutny żart. Pokuta. Że będziemy żeglować dzień za dniem, rok za rokiem, nieprzerwanie, do końca świata... w chłód i gęstą mgłę... - Freddy zachichotał. Radował się aż do zawrotu głowy. W jego wypadku radość graniczyła wręcz z poczuciem tryumfu: oto dotarł do innego świata. Gdzie będzie człowiekiem szanowanym. Gdzie czeka go dobre życie.

Do statku dobiła barka z kilkoma umundurowanymi mężczyznami na pokładzie. Friedrich odskoczył od relingu, miejsca, z którego miał doskonały widok na wszystko.

Co będzie, jeśli okaże się, że ci mężczyźni przybywają po niego? Że wysłano ich, by go złapali? Co będzie, jeśli sprowadzą go ze statku, zamkną w więzieniu? Pasażerowie „Clovis” twierdzili, że więzienia w tym kraju należą do najgorszych, najokrutniejszych w świecie. Przestępców bezlitośnie chłostano, morderców rzucano rekinom na pożarcie. Teraz już rzeczywiście miał ochotę się popłakać. Ale... tyle zniósł, tak daleką przebył drogę,

383

więc z pewnością mu tego nie zrobią. Rozpychając tłum łokciami, zbiegł do kajuty. Czekał w niej, drżąc i pocąc się, póki nie usłyszał okrzyków:

- Ojciec Ritter, ojciec Ritter! Jest pan tam?

Nie odpowiedział. Nie był w stanie odpowiedzieć. Usta miał suche, pot kapał mu z nosa na podłogę. Padł na kolana. Nie mogą aresztować kapłana

podczas modlitwy, prawda? Strach sprawił, że rzeczywiście się modlił.

- Boże, oszczędź mnie, błagam. Zlituj się nad biednym grzesznikiem...

- Ojczy?

Cienkie drzwi otworzyły się. Wchodzili. Nie zaproszeni. Mają go!

- Pastorze? Nie chciałem przerywać modlitwy...

Przez półprzymknięte powieki dostrzegł, że to tylko steward.

- Pastorze? Otrzymałmśmy pocztę. Jest list do pana.

List? Jaki list? Kto mógł do niego pisać? To musi być jakaś sztuczka!

Zignorował intruza, bełkotał niezrozumiałe słowa, modlitwę na pokaz, z oczami artystycznie wzniesionymi do nieba. Musiał robić wrażenie, cokolwiek byłoby warte.

- Zostawię go tutaj, dobrze?

Pastor zniżył głos do dźwięcznego szeptu, dodał do niego aktorską nutkę irytacji. Steward od razu zrozumiał, o co chodzi.

- Bardzo przepraszam, wielebny.

Odszedł zamykając za sobą drzwi. Friedrich czekał. Kto miał do niego pisać? Do Freddy'ego? Jakiś list mógł tylko iść za nim, dopłynąć następnym statkiem. Zerknął na leżącą na kufrze kopertę. Wyglądała normalnie, niewinnie. Niczym pułapka na myszy.

Gdzieś tam wysoko na pokładzie zamieszanie sięgało szczytu. Słyszał piskliwe głosy, łomot kroków, łoskot przesuwanych tam i z powrotem ciężkich bagaży oczekujących na łodzie, jakiś transport na brzeg, a dokładniej w górę rzeki do miasta Brisbane.

Friedrich otrząsnął się z zamroczenia.

- Tylko mi nie mów, że nie znasz nikogo w Brisbane, Freddy. Że nikt nie pośpieszy z powitaniem. Chryste! Czyżbym przegapił coś w twoich

papierach? Powinienem był wcześniej się zdecydować. Odpłynąć na pierwszej choćby najnędniejszej łodzi dobijającej do statku. Bóg jeden wie, z kim będę musiał się teraz

384

spotkać. A tak długo ćwiczyłem, żeby objąć ciepłą posadkę w tym jakimś Bundabergu. No dobrze, sprawdźmy, co to takiego... - Wziął list, niecierpliwie rozerwał kopertę. - Boże wszechmogący! Dzięki niech ci będą, Panie, i proszę, podajcie misę sąsiadom! To od twojego szefa, Freddy. Mojego szefa. Starego kapłana. Wita mnie i „Clovis” w nowym błogosławionym świecie, ple, ple, ple... a, tak. Chce, żebym odebrał kościelny dzwon z Urzędu Celnego. I to wszystko, dzięki niech będą Bogu! Ach, ten ojciec Beitz! Doprawdy budzi nadzieje. Podobno jego owieczki mają już prześliczną świątynkę, a szczęśliwa, pod każdym względem święta kongregacja oczekuje nas z zapartym tchem. Oczekuje mnie. No to w drogę. Hej ho, jak śpiewają żeglarze. Pora postawić stopę na stałym lądzie.

Czysta rozkosz zejścia z chwiejnego pokładu oraz kilka kroków po cudownie stałym nabrzeżu wywołały we Friedrichu nieoczekiwaną falę wspomnień. Mimo miesięcy na statku, miesięcy spędzonych w niemal więziennym reżimie, wśród przeklętych za życia, skazanych na piekło, wspominał teraz słodkie chwile spędzone - dzięki łaskawości jej ojca - z zachwycającą panną Adelą. Na pokładzie statku panna Adela rozkwitła. Coraz dłuższe jasne włosy, które częściej niż kiedyś pozostawiała rozpuszczone, powiewały na rześkiej bryzie, uśmiechała się chętnie, jej cerę przyciemniło słońce i wiatr, na policzkach pojawiły się zabawne piegi. Spotykali się rzadko, lecz tym słodsza była im każda chwila.

Od stewardów dowiedział się tego i owego o Hoepperach: papa był człowiekiem zamożnym... handlarzem... ważną personą... a Adela jego jedynym dzieckiem. Resztę rodziny stracił skutkiem bliżej niesprecyzowanego nieszczęścia. Dzięki tym informacjom Friedrich okazał pannie współczucie przy pierwszej nadarzającej się okazji.

- Moja droga, przecież widzę, że dotknęła cię tragedia - powiedział, a ona spojrzała na niego zdumiona.

- Doprawdy?

- Tak, oczywiście. Bo czyż nie jest prawdą, że oczy są zwierciadłem duszy? Że można z nich wszystko wyczytać? Dostrzegam także twą odwagę; zachowujesz pogodę ducha, by nie przygnębiać ojca. Będę się modlił, by twój smutek nie stał się ciężarem nie do zniesienia.

385

- Bardzo panu dziękuję, pastorze. To takie miłe. - Z prześlicznych błękitnych oczu spłynęły łzy. - Rzeczywiście trudno się z tym pogodzić. Czasami zastanawiam się, czy mi się to kiedykolwiek uda.

- Ależ oczywiście, panno Hoepper. Oczywiście. Dźwiga pani na barkach ciężki krzyż, lecz jeśli zechce pani kiedyś zmniejszyć jego wagę, zawsze gotów jestem o tym porozmawiać.

W ten sposób powstał fundament ich wzajemnych kontaktów, nieczęstych, lecz przez to tym cenniejszych spotkań; przyłożył się do nich pan Hoepper, wymusiwszy zgodę na odwiedziny w pierwszej klasie luterskiego pastora, mającego na górnym pokładzie odprawiać nabożeństwa dla uprzywilejowanych spośród wiernych. Po nabożeństwie zapraszano go na kawę i ciasto, lecz nigdy na obiad. Zapewne powinien być za to wdzięczny. Gdyby nie ta niezwykła dziewczyna, musieliby wymyślić

własne nabożeństwo. Czyli zrobić to co on.

Friedrich widział w tym jednak własną tragedię. Tragedię Romea i Julii. Panna Adela stała wysoko, poza jego zasięgiem, na pokładzie pierwszej klasy, na balkonie, a on, biedny Romeo, skazany był na wieczność oglądania jej z ulicy. Kochankowie rozdzieleni przez siły pozostające całkowicie poza ich kontrolą. Był pewien, że gdyby zdarzyła się okazja do jej uwiedzenia, padłaby mu w ramiona zniewolona jego czarem. Niestety musiał grać pastora, a i tak lubiła z nim rozmawiać, choćby tylko o walorach modlitwy.

Podczas rejsu tak często wyobrażał sobie szczęśliwy scenariusz, że teraz konieczność zejścia z pokładu wydawała mu się nieznośna. Rozejrzał się dookoła. Dziesiątki pasażerów niższych klas już gromadziły się na nabrzeżu. Rodziny i znajomi trzymali się w małych grupkach, oszołomieni; byli niczym śmieci wyrzucane na plażę przez falę przyływu. Z wysiłkiem zebrał myśli i ruszył przed siebie. Pasażerowie pierwszej klasy z pewnością wysiedli wcześniej, a innymi się nie interesował. Szczerze mówiąc miał dość ich towarzystwa.

Friedrich uznał, że powinien odebrać ten przeklęty dzwon, zakończyć męczącą sprawę i resztę dnia spędzić, jak mu się podoba. W Urzędzie Celnym odesłano go do magazynu. A raczej rzędu ogromnych magazynów. Gdy wreszcie znaleziono właściwą przesyłkę, zagapił się na nią z rozdziawionymi ustami.

386

- A to co? - wykrztusił. Stała przed nim ważąca chyba z tonę gigantyczna skrzynia. I równie gigantyczny rachunek.

- Jedną chwileczkę - powiedział urzędnik, któremu udało się ją

zlokalizować. - Zaraz... tak... mamy rachunek od ludwisarza, który odlał ten dzwon; należy go zapłacić przed odbiorem. I cło importowe... odsetki za opóźnioną płatność... a także...

- Nie! Nie o rachunki mi chodzi, tylko o to... coś. Co jest w tej pauce?

- Dzwon, ojczy. Kościelny dzwon. Dzwonnica, jak przypuszczam, jest już gotowa.

- Ale... ja przecież spodziewałem się małego dzwonu... dzwoniącego na „Święty, święty...”, takiego, który mógłbym zabrać ze sobą.

- Co? Twierdzi pastor, że dostarczono mu nie ten towar? O rany! Z pewnością można to nazwać grubą pomyłką. - Urzędnik roześmiał się wesoło. - Nawet gigantową. Proszę mi wybaczyć niestosowne rozbawienie, ojczy.

- Racja - przyznał Friedrich. Nie miał zamiaru wydawać żadnych pieniędzy, a już zwłaszcza na tę potworność. - Oczywiście ma pan świętą rację. Gigantowa pomyłka to mało powiedziane. - To słowo było dla niego nowe, ale jego użycie wprowadziło urzędnika w dobry humor. - Chyba trzeba go odesłać.

- A kto za to zapłaci?

- Ludwisarz. On popełnił pomyłkę.

- Oczywiście. Święta racja. Proszę podpisać o tu, ojczy. Zauważył, że rachunek wystawiony jest na pastora Beitza, więc podpisał się jego nazwiskiem, a urzędnikowi było wszystko jedno. Gigantowy rachunek wracał do Hamburga wraz z towarem, za który go wystawiono.

Załatwiwszy tę sprawę Friedrich wyszedł na jedną z tłocznych ulic miasta. Chciał poznać je jak najlepiej. Miał w tym swój interes.

- Muszę wiedzieć, jak to wygląda i o co tu chodzi - powiedział Freddy'emu. - Na wypadek gdybym musiał zmykać z naszej parafii. W tej samej chwili dostrzegł swe odbicie w oknie wystawowym. Zamarł zdumiony.

- Niewiarygodne - szepnął. - Idealnie dopasowałem się do roli. Z tymi długimi włosami i brodą nigdy bym się nie rozpoznał.

387

Pasuję do roli kapłana... choć niestety muszę oceniać tak sam siebie. Przygładził włosy, wyprostował się, poprawił kapelusz. Poszedł ulicą spokojnym wystudiowanym krokiem. Sklepy i biura uderzały go swą niezwykłą nowością, jakby powołano je do życia zaledwie wczoraj.

- Z tego co wiem, to całkiem możliwe - mruknął pod wąsem.

Nieoczekiwanie znalazł aż dwa teatry stojące naprzeciw siebie na tej samej ulicy. Omal nie zatańczył w miejscu, tak wielka była jego radość, oba bowiem prezentowały wysoką jakość, sądząc po bogatym, doskonałym wystroju foyer. W „Victorii” grano „Otella”, jedną z jego ulubionych sztuk Szekspira, w „Play-house” zaś komedię pod tytułem „W pysk księciu”. Friedrich omal nie rzucił ręcznika na ring, omal nie pobiegł do fryzjera zgolić brodę z urodziwej twarzy, przystrzyc falujące brązowe włosy na pazia, co tak podobało się kobietom. Z chęcią przyjąłby rolę w sztuce „W pysk księciu”. Sam tytuł brzmiał tak śmiesznie.

- Jak dobrze wyglądałbyś na scenie, Freddy - westchnął. - Bylibyśmy wspaniali! Przecież w tej zapomnianej części świata nie mielibyśmy żadnej konkurencji. Ale gdybym wrócił do teatru, to już nie jako Friedrich, lecz powiedzmy... Percy Buckingham, to chyba wystarczająco angielskie, nie sądzisz? Nawet niemiecki akcent by pomógł, w końcu ich królowie są i

naszymi. A ty, Freddy? Cóż, ty musiałbyś odejść.

Szedł ulicą śmiejąc się. Nawet nie szukał domów rozpusty, wystarczyła mu pewność, że tu są. Był już za blisko swojej parafii, by pozwalać sobie na skoki w bok. Miał zamiar cieszyć się nienaganną opinią... dopóki będzie mu to odpowiadało.

Ulica była szeroka jak rzeka. Przepiękne konie i jeszcze piękniejsze bryczki mijały z rozpędem wlokące się ciężkie wozy, a piesi... piesi ubrani byli tak elegancko i kolorowo, że wspanialszych strojów nie spotkałoby się latem w ogrodach Hamburga. Mężczyźni wyglądali doskonale w jasnych garniturach. Może to książęta? pomyślał i zachichotał. Zazdrościł im zresztą lekkich strojów i najgorszymi słowami przeklinał ciężką sutannę i okropny czarny, aksamitny kapelusz.

Panie sprawiały bardzo wesołe wrażenie: kolorowe, w fantazyjnych kapeluszach, otulone zwojami muślinu, kraciastej bawełny i woalu, z szarfami, które zawstydziłyby królewskich dragonów.

388

Panna Adela będzie musiała uważać, pomyślał. Dostrzegł jednak także zarówno zachmurzone niebo, jak i to, że damy na swych najprawdopodobniej drobnych stopkach nosiły... ciężkie czarne buty. Do letnich toalet! Niewątpliwie wiedziały to i owo o tutejszym klimacie, o którym on nie wiedział zgoła nic. Inaczej ten grzech przeciw elegancji byłby niewybaczalny. Nawet tutaj. Na lunch, który miał być dla niego uroczysty, wybrał „Britannię”, hotel niezbyt okazały, ale i nietani. Kelner podprowadził go do stolika w rogu przy oknie, z którego rozciągał się widok na rzekę. Po drodze poinformował go, że ryba niestety „wyszła”. Nie bardzo wiedząc, o co chodzi: czy nie ma jej w menu czy może

zabrakło albo jest nieświeża lub po prostu nie rekomendowana, Friedrich westchnął ciężko.

- Jaka szkoda! Polecano mi waszą rybę.

Kucharz - proszę sobie wyobrazić: Chińczyk! - wyskoczył z kuchni i tym jakże charakterystycznym dla nich piskliwym głosem przeproszał uniżenie jego wysokość, powtarzając raz za razem, że oczywiście nasza ryba najlepsza, ale niestety nie dzisiaj, nie dzisiaj! Z każdym słowem kłaniał się w pas, podczas gdy z boku przyglądała się temu starsza jejmość w czarnej wdowiej sukni ozdobionej diamentową broszką, jakby chciała ocenić szczerłość jego intencji. Nagle zrobiła krok w stronę pastora.

- Przepraszam, ojcze... Ojciec jest od Świętego Jana?

- Tak, oczywiście, proszę pani - odparł dumny z siebie, bo zapamiętał, że parafia w Bundabergu erygowana została pod tym właśnie wezwaniem. Okazało się, że szczęście znów mu sprzyjało. Z opowieści damy, której słuchał pijąc tak wspaniałe bordo, jakiego nie spodziewał się już nigdy spróbować, podane na koszt firmy oczywiście, wywnioskował, że chodzi o wznoszoną w tym mieście katedrę Kościoła anglikańskiego. Pewnego pięknego dnia... zwrócił się w duchu do Freddy'ego. Był skłonny oddać wszystko za spokojne życie i darmowe wino.

Pojawił się sam Chińczyk z daniem, które wybrał w zastępstwie ryby: z jagnięciną. Wspaniałą, przepyszną kruchą jagnięciną o wyrazistym smaku z gęstym sosem i miską pieczonych warzyw. Oczywiście przeproszał; pastor przyjął jego przeprosiny z wielkoduszną dobrocią.

Mogli mu podać flaki. Mogli mu podać golonkę albo i woli ogon, a on i tak by się ślinił. Wszystko lepsze niż oślizgłe obrzydlistwa

serwowane na statku, w każdym razie w najniższej klasie. Przed wyjściem podziękował kucharzowi. Ostentacyjnie. Omal nie udławił się śmiechem, wkładając luterańską ulotkę w wyciągniętą dłoń Chińczyka.

Nim Hoefflerowie zdążyli wejść na pokład „Tary”, pastor już ulokował się w kabinie pierwszej klasy, uporządkował bagaż i jak mógł, unikał dobrze wyposażonego salonu służącego także jako sala jadalna. Postanowił zapamiętać Brisbane, przygotować je sobie na gorszą pogodę, miejsce w sam raz dla nie istniejącego jeszcze Percy'ego Buckingham, światowej sławy aktora. Miasto spodobało mu się, bez dwóch zdań. Nie zapomniał wszelako, że czeka na niego rola życia, jedyna i ostatnia, wraz z okazją przejęcia strumienia pieniędzy, Brisbane pozostawało więc na razie tylko w rezerwie, choć niewątpliwie interesującej.

Usadzono go przy stole kapitańskim wraz z Hoefflerami i dwiema parami małżeńskimi. Panowie, o czym dowiedział się wkrótce, obaj byli właścicielami wielkich rancz owczych. Okazali się uroczymi ludźmi; zaprosili do siebie trójkę niemieckich wędrowców, dumni, że będą mogli im pokazać „okolicę”. Friedrich w najmniejszym nawet stopniu nie interesował się walorami krajobrazu, by nie wspomnieć już o ranczach, ludzie ci jednak najwyraźniej w świecie dysponowali pieniędzmi w nadmiarze, obiecał więc, że skorzysta z hojnej oferty, gdy tylko czas mu na to pozwoli. Podobnie postąpili Hoefflerowie.

Tego wieczora spacerował z Adelą po pokładzie. Zaaranżował spotkanie niby przypadkiem. Była to dla niego czysta radość. Choć nawet jej nie dotknął, kochał się z tą kruchą drobną panną... na swój sposób.

- Nie tknąłem jej nawet paluszkami - opowiadał Freddy'emu. - Nasze dłonie nigdy się nie spotkały. Rozmawiałem z nią tylko o codziennych

drobiazgach, cicho, bardzo osobiście. Można powiedzieć, że oczarowała ją moja bliskość i uwaga, z jaką wsłuchiwałem się w każde jej słowo, a kiedy zajrzałem jej głęboko w oczy, omal nie zemdląła. Prawdę mówiąc mnie też niewiele brakowało. Jeszcze chwila, a bym ją pocałował, takie piękne ma wargi, lecz opanowałem się; wiem, muszę podbijać ją powoli, krok po kroku, moje maleństwo. Aha, Freddy, dzięki za sutannę. Gdyby nie ona, pewnie Adela zauważyłaby, że reaguję na nią jak mężczyzna. No ale ty nic nie możesz o tym wiedzieć.

390

Rozbierając się, nagle wybuchnął śmiechem.

- A jednak? Kto wie? Założę się, że zarówno ty, jak i twoi święci towarzysze wiedzieliście o tym więcej, niż się przypuszcza.

Parowiec żeglugi przybrzeżnej powoli sunął na północ. Deszcz lał niemal nieprzerwanie; Friedrich wolał zejść do swej kajuty raczej, niż pozostawać w towarzystwie. Spędzany z innymi pasażerami czas ograniczał do minimum, zwykle pogawędki prowadziły bowiem nieuchronnie do pytań o rodzinę, o domowe ognisko, a tego rodzaju tematów wolał unikać.

Nauczył się, jak trzymać ludzi z dala od siebie bez obrażania ich; odpowiadało mu, że właściwie nic go nie obchodzi. Zapewne była to nagroda za to, że więcej słuchał, niż sam mówił.

Jednakże teraz, gdy wpatrywał się w zasnute mgłą morze, uświadomił sobie, że najwyższy czas poważnie podejść do roli wikarego parafii bogobożnych prostaczków. Zdażył już przygotować przemowę powitalną: arcydzieło przepelnionych miłością pozdrowień, podziękowań za łaskę Bożą, pokory i pochlebstw pod adresem kongregacji. Bez względu na to co zrobili i jak wyglądali, chwalił ich bez miary za wiarę, wytrwałość i

ciężką pracę... prawdziwy wzór cnót... Zresztą słowa to tylko słowa.

Ludzie lubią słuchać, jak prawi się im komplementy, a w kazaniach to nieczęste. Wręcz niespotykane. Jego kazania ludzie mieli kochać!

Po kilku dniach na morzu „Tara” majestatycznie wpłynęła na wody zatoki, przyjęła pilota i w deszczu popłynęła w górę szerokiej rzeki od jej ujścia.

Padało tak gęsto, że nic nie było widać; pozostało mu tylko siedzieć w kajucie i przeglądać magazyny dla kobiet, których kilka znalazł w salonie.

Podobnie jak ładną mosiężną lampę, która spoczywała teraz bezpiecznie w jego kufrze.

Kiedy wreszcie okrętowa syrena oznajmiła ich powrót w objęcia cywilizacji, Friedrich przyodział się w płaszcz i wyszedł na pokład podekscytowany tak, jakby to była jego noc poślubna.

Wpływali do portu. Nabrzeże jak zwykle było mroczne i ponure, powitali ich jak zwykle tylko robotnicy skuleni wśród lejącego się z nieba wodospadu. Brodząc w kałużach, przyjęli cumy, rzucili trap, przez który ze statku wylali się pasażerowie. Zupełnie jakby nagradzano pierwszych na brzegu, pomyślał.

391

Nie śpieszył się; to nie przystoi kapłanowi i dżentelmanowi, uznał w duchu. Pomógł starszej kobiecie z parasolem, obrócił się w sam czas, by dostrzec machających mu na pożegnanie Hoepferów.

- Steward zabiera nas do hotelu - powiedział pan Hoepfer. - „Royal”, o ile się nie mylę. Ale jestem pewien, że wkrótce się zobaczymy. Och, cóż za mokre powitanie! - dodał jeszcze i wraz z córką odeszli szybko, skryci głęboko pod parasolkami.

Friedrich nie widział powodu, by dalej się tu kręcić, czekając na bagaż,

kazał go więc odesłać na plebanię parafii Świętego Jana, po czym poszedł szybko w górę uliczki, by znaleźć konny powóz do wynajęcia.

Przeszkodził mu jednak młody człowiek. Sprawiał wrażenie ogromnie podnieconego.

- Bardzo przepraszam - wydukał - ale... czy mam przyjemność z pastorem Ritterem?

- Tak.

- Och, ojcie, błagam o wybaczenie. Wielka szkoda, że nie zawiadomił nas ojciec o swym przybyciu.

Nie oświecił go informacją, jak miał tego dokonać, dopiero później Friedrich dowiedział się, że telegraf funkcjonował i był tu w powszechnym użyciu.

- Ale nic nie szkodzi, nic nie szkodzi - pośpieszył z zapewnieniem młodzieniec. - Jestem Hans Lutze, a to... o, właśnie nadchodzi... mój brat Max. Pracujemy tu. Mieliśmy szczęście, że zobaczyliśmy ojca schodzącego z pokładu. Max! - zawołał. - To ojciec Ritter! Nasz ojciec Ritter!

Max powitał go równie wylewnie. Gdy tylko pojawiła się szansa, Friedrich wtrącił słówko: poprosił, by tytułować go pastorem, przez szacunek dla ojca Beitza. Obaj natychmiast mu przytaknęli, absorbował ich jednak przede wszystkim problem, jak zabrać go „do domu”.

- Znajdę jakiś transport i zajmę się bagażem - zdecydował Max. - Ty - zwrócił się do brata - opiekuj się pastorem.

- A tak, oczywiście, proszę za mną - zgodził się natychmiast Hans. - Proszę za mną.

Friedrich skinął głową. Obaj bracia, mający na sobie normalne robocze

ubrania, wydawali się nie zauważać padającego jednostajnie, gęstego deszczu. Doprawdy interesujące, pomyślał, czy to fakt czy też tylko mi się wydaje, że mój aksamitny

392

kapelusz przemókł na wylot i przecieka ze wszystkich stron. Pot spływał mu po twarzy, ciężka sutanna, jeszcze cięższa od deszczu, stała się istną turecką łaźnią, z której parujące ciało nie miało szansy się wyrwać.

Przynajmniej na razie.

Schronienie znalazł w przeciekającym magazynie. Hans, przewyciężywszy spontaniczność ich powitania, popadł w dyktowane zapewne nieśmiałością kamienne milczenie. Friedrich przełamał je serdecznymi podziękowaniami za uprzejmość i sprawność w unikaniu zamieszania, które musiał spowodować jego niezapowiedziany przyjazd. Potem zapytał go o pracę i o to, jaką pracę znaleźli inni; najwyższa pora ocenić jakoś kongregację. Nim wrócił Max, miał już niezłe rozeznanie i w dodatku zdążył zaprzyjaźnić się z Hansem. Zaskoczyła go liczebność luterańskiej grupy. Spodziewał się co najmniej setki, ale około dwudziestki, wraz z nowo nawróconymi... to mu odpowiadało. Im mniejsza grupa, tym mniej odstępców, tym mniej kłopotów. Dobrze. Bardzo dobrze.

Zdażył się już dowiedzieć, że Max, Hans i jeszcze kilku wiernych żyli dumnie na pięknej kościelnej ziemi w idyllicznej wspólnocie. Co oznaczało oczywiście, że wszystko tam jest wspólne, no i że kościół i plebania są gdzieś w pobliżu. Ponieważ żył niegdyś miesiącami w trupie teatralnej, dzieląc się z towarzyszami pieniędzmi i rozkoszami życia, Friedrich w pełni akceptował takie rozwiązanie, więc tylko pogratulował

Hansowi jego wierności wobec Kościoła. Kolejny plus, spełnione założenie planu, rzecz pierwszorzędnej wagi: członkowie kongregacji mają być po jego stronie, mają mu wierzyć i ufać.

Davey, jak się okazało, był drobnym, acz mocno zbudowanym miejscowym mówiącym z przedziwnym akcentem, dla pastora niemal niezrozumiałym. Co gorsza powoził zaprzęgiem ogromnych wołów ciągnących platformę, wyładowaną meblami i Bóg wie czym.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Friedrich, zdumiony i także nieco przerażony tym, jaki zapewniono mu transport. Zupełnie jakby ktoś tu robił mu łaskę. I nagle zauważył smutne twarze braci. Max i Hans bali się, że potraktowali wielebnego bez należnego mu szacunku. I tak przecież było, lecz Friedrich, dla którego najważniejsza pozostawała popularność, potrafił obrócić na swą korzyść nawet tak niezręczną sytuację. Przede wszystkim wyraził podziw dla wołów.

393

- Dobry Boże - powtórzył raz jeszcze. - Cóż za wspaniałe stworzenia: takie wielkie, a takie łagodne. Tylko na nie popatrzcie!

Pobrużdżona twarz Daveya rozpromieniła się w wyrazie czystej rozkoszy. Osobiście przedstawił młodemu duchownemu, świętemu młodemu duchownemu, każde zwierzę swego zaprzęgu, wymieniając jego imię i szczególne zalety: ten jest urodzonym przywódcą, ona też, a ów, o, lubi płatać figle. Tu mamy leniucha, tu bestię silną i świadomą swej siły... i tak dalej, i tak dalej. Max i Hans znów uśmiechnęli się szeroko.

I tak oto Friedrich wyruszył w długą wymarzoną drogę do nowego domu: na koźle obok Daveya, w przeciwdeszczowym płaszczu narzuconym na sutannę. Za jego plecami gdakały kury umieszczone w klatce z

odwróconego stołu i zwojów siatki ogrodzeniowej. Jeszcze dalej, z tyłu wozu, wśród stosów mebli jechał jego bagaż.

Nie obejrzał Bundabergu, widział tylko okolice miasteczka, a przynajmniej tak sądził, bo z nabrzeża pojechali drogą pełną dziur i nie wykarczowanych pni. Ale szybko zorientował się, że w tym kraju i w tym miejscu to norma.

Wciąż lało jak z cebra. Widoki nie były ciekawe, po obu stronach drogi las ciągnął się nieprzerwaną ścianą.

- Koniec podróży - oznajmił naraz Davey. - Mieszkacie przy samym końcu Drogi Taylora. Tu muszę zawrócić. Wiozę meble na stację.

- Ach, więc macie tu nawet pociąg?

- Nie, pastorze. Czasami nazywamy tak wielkie rancza owcze. Jest pan na miejscu!

- Jak to? - Friedrich rozejrzył się. Wokół był tylko las.

- Widzi pan ten łuk? To początek ścieżki. Trochę zarośnięta, przyznaję, ale to wina klimatu. Zielsko rośnie szybciej, niż ludzie są w stanie je ścinać.

Pójdę z panem. Przywitam znajomych.

Duchowny był stary jak Matuzalem i szalony jak marcowy zając. Podbiegł ścieżką niemal całkowicie ukrytą w gąszczu dżungli, bosy, tak chudy, że niemal słyszało się zderzające się z trzaskiem kości, odziany w luźną koszulę i zdecydowanie za szerokie spodnie z grubej bawełny. Friedrich wątpił, czy gęstą, powiewającą za nim brodę przystrzygł w ciągu ostatniego dziesięciolecia...

394

Wszystko to jednak, choć ważne, należało w tej chwili zapamiętać i odłożyć na później.

Ojciec Beitz przytulił go, ucałował w oba policzki, wezwał Boga na świadka obfitego w słowa, potoczystego dziękczynienia, wezwał stojącą za nim niesamowitą grupę uśmiechniętych szeroko krajowców na świadków jakże fortunnego dnia, znów przytulił gościa, znów go wycałował, po czym zaczął raz za razem głośno wykrzykiwać „alleluja!” Friedrich wyrwał się z jego objęć, upadł na kolana, zagrał unizonego sługę Bożego najlepiej jak umiał.

- Ojczy, błagam o błogosławieństwo dla pokornego ducha szukającego twego przewodnictwa w naszej misji.

Przywołany w ten sposób do rzeczywistości pastor wziął głęboki oddech i zabrał się do roboty, choć z jego nieprzytomnych niebieskich oczu łyły ciekły strumieniem. Przechęgnął wikarego, wytarł sobie gębę „Ojcem naszym” - jak później powiedział Friedrich Freddy'emu - a następnie odśpiewał modlitwy dziękczynne: za przysłanie nam tego młodego wiernego, uczciwego kapłana dziękujemy ci, Panie, dziękujemy za dar młodego silnego ciała, bo kogoś takiego najbardziej nam brakowało. Potrzebujemy siły mądrości, ale i tężyzny fizycznej, o czym wiesz lepiej od nas, o Panie...

O czym on do cholery gada? dziwił się gość. Kolana miał mokre od klęczenia na wilgotnych deskach, no ale przynajmniej deszcz przestał padać, pojawiły się pasma błękitnego nieba. I nagle zaświeciło słońce z siłą taką, że omal nie upadł na bok, wprost w dżunglę. Pierwsze muśnięcie tropikalnego słońca uderzyło go z siłą ciosu toporem. Opuścił głowę. Ojciec Beitz, do tej pory cierpliwie plotący trzy po trzy w podzięce za ustrzeżenie od demonów morza tego tu oto przybysza ocalonego na dalekim brzegu wyłącznie dzięki sile wiary, teraz chwycił go za rękę i

poderwał na równe nogi.

- Powstań, pastorze Ritter - zagrzemiał. - Wstań, drogi przyjacielu. Witaj w naszym szczęśliwym domu. Nie potrafię wyrazić słowami, jakim cudem jest dla nas twoja obecność, z jakim utęsknieniem wyczekiwałem twego przybycia. Przeżyjemy wspólnie wiele szczęśliwych chwil, drogi chłopcze. Bardzo wiele szczęśliwych chwil. Najwyższy czas, żebym przedstawił cię naszym miejscowym przyjaciółom. Potem obejrzymy zbór.

- Bagaż, ojczy...

395

- Nie ma problemu. Krajowcy go wniosą.

Krajowcy wydawali się jakąś przypadkową zbieraniną: niektórzy byli starzy, niektórzy młodzi, on przede wszystkim zauważył kilka zgrabnych dziewcząt. Poubierali się dziwacznie w najróżniejsze i najbardziej podarte ciuchy, jakie zdarzyło mu się widzieć w życiu. Wyglądali w nich na uciekinierów ze szpitala dla umysłowo chorych, lecz bystre oko Friedricha dostrzegło w ich ciemnych twarzach znamiona inteligencji i to poprawiło mu samopoczucie. Nie czułby się najlepiej otoczony przez zwariowanych dzikusów.

Przeszli do świątyni pod wezwaniem Świętego Jana. Friedrich nigdy nie widział tak małego kościółka. Zbudowano go z surowego, nawet nie malowanego drewna, wyposażono w ławki domowej amatorskiej roboty, a jedynym luksusem były dwa małe witraże, przez które przeświecały barwne promienie słońca. Śmieszne. Jaka mogła być stąd taca? Żadna! O tym powinien myśleć, a tymczasem Beitz poprowadził go do ołtarza i upadł obok niego na kolana, pogrążając się w modlitwie.

Modlili się tak długo, że nagie deski podłogi pod kolanami Friedricha

zmieniły się w ostrą kanciastą skałę. A może miał ostre kanciaste kolana? Tak czy inaczej nie mógł dopuścić, by ten staruch go przetrzymał. Musiał przeciągnąć go na swoją stronę, udowodnić mu, że duszę ma równie silną jak ciało. Skoro tego od niego wymagano...

Całe wieki później wychodził z kościelnego czuwania, bardzo starając się nie chwiać na nogach. Stary duchowny odwrócił się, spojrzał mu w oczy.

- Przywiozłeś dzwon? - spytał.

- Jaki dzwon?... Ach, ten! Bardzo mi przykro, ojcze. Otrzymałem twój list, oczywiście. Zacząłem szukać dzwonu bez zwłoki. Zabrało mi to wiele godzin. Urzędnicy celni nie byli w stanie go zlokalizować. Wiedziałem jednak, że gdzieś musi być. Chodziłem od biura do biura, od magazynu do magazynu, a w Brisbane jest ich mnóstwo. Tropiłem nasz dzwon jak myśliwski pies i... dowiedziałem się wreszcie, jaki spotkał go los. A nawet to widziałem.

- Co się stało?

- Odesłali go, ojcze. Ci durnie bez serca i litości odesłali nasz dzwon do Hamburga! Ponieważ nikt go nie odebrał, a kary za opóźnioną płatność stały się zbyt wielkie.

396

- Wielkie?

Pochylił się, wyszeptał staruszkowi do ucha:

- Nikt za niego nie płacił, ojcze. Od dawna.

- Odesłali mój dzwon! Jakie to straszne!

- Oczywiście. Doprawdy okropne. Robiłem co mogłem, żeby go wykupić, nim statek odbije od brzegu, ale niestety spóźniłem się. O dwa dni, Ojcze. O dwa dni! Co za rozczarowanie! Mam wrażenie, że zawiodłem cię, ojcze,

nim się jeszcze spotkaliśmy.

- Nie, nie, kochany chłopcze. To naprawdę smutne, ale przecież w niczym nie zawiniłeś. Czy mogę zwracać się do ciebie po imieniu? Między nami?

- Oczywiście, ojcze.

Niechętnie, powoli, popołudnie przechodziło w wieczór. Chmury najwyraźniej nie mogły się zdecydować, czy mają odpłynąć czy też zostać w oczekiwaniu zmierzchu, w każdej chwili gotowe lunąć rześnym deszczem. Friedrich obejrzał się na kościół.

- Nie mamy wieży ani dzwonnicy, ojcze. Brak miejsca na dzwon.

- Wiem. Oszczędzałem na jej budowę. Jest w planie, tylko że na razie nas na nią nie stać. Potrzebujemy czasu. Napisz do Hamburga, Friedrichu, proszę. Zamów nowy dzwon.

Niech to diabli wezmą! Dni bezużytecznej dzwonnicy też są policzone.

- Jak sobie życzysz, ojcze - odrzekł pokornie. - Przecież widzę, jaki ciężar dźwigasz na swoich barkach, więc proszę, wzywaj mnie we wszystkich sprawach, w których możesz potrzebować pomocy. Będę gotów w dzień i w nocy. A teraz... nie chcę się narzucać, ale chętnie wypiłbym filiżankę kawy. Bardzo chce mi się pić. To ta pogoda...

- Oczywiście, drogi Friedrichu. Chodź ze mną. Nasze kwatery są o tam, przy tej ścieżce. Wiesz, że mamy aż szesnaście hektarów ziemi?

Szesnaście hektarów... prawdziwa posiadłość! Czyż to nie wspaniałe?

Friedrich nie miał pojęcia, ile to hektar (by nie wspomnieć o szesnastu), i nic go to nie obchodziło. Sala taneczna mogłaby mieć hektar... Co z tego?

Przyglądając się podejrzliwie ponuremu otoczeniu, wsłuchany w głośny nagle chór żab i owadów, we wrzaski ptaków kłócących się o lepsze miejsca w gniazdach, młody

wikary uznał, że ta część wspólnoty to po prostu bagno. Pośpieszył za starym kapłanem; byle się stąd wyrwać, byle znaleźć się wreszcie na bezpiecznej dostatniej plebanii.

Pełno tu było chat krytych palmowymi liśćmi, porozrzucanych bezładnie wzdłuż labiryntu śliskich ścieżek. Hałasy dżungli nie ucichły bynajmniej, przeciwnie: wydawały się coraz głośniejsze. Rośliny, które musiał odpychać, by nie zejść z nędznej imitacji ścieżki, były wręcz gigantyczne, o nieprzyzwoicie ogromnych liściach jak półmiski. Friedrich dostrzegł nad głową kiść zielonych bananów, ale nie poświęcił im najmniejszej uwagi. Dla niego były wyłącznie rekwizytem, częścią nierzeczywistego, parnego świata.

Świata, który poznał za ledwie powierzchnie.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił upiorny staruch wchodząc do chaty.

Oczywiście zniesiono do niej jego bagaże; leżały teraz na kupie w przeraźliwie pustym, przeraźliwie nędznym wnętrzu umeblowanym wyłącznie kilkoma pryczami, wzniesionymi kilkanaście centymetrów nad klepiskiem, i zepchniętymi nieporządnie w ciemny kąt kuframi.

- Jutro zbudujemy chatę dla ciebie, chłopcze - obiecał stary. - Jako kapłan powinienes być otoczony szacunkiem i dysponować odrobiną samotności konieczną, byś mógł wypełniać swe obowiązki wobec Boga. Gdybym zawczasu wiedział, że dziś przyjedziesz, nie położyłbym cię z robotnikami... ale gdzieś przecież musisz przespać tę noc.

Friedrich nadal czekał na kawę. A od kolejnych strasznych rewelacji zakręciło mu się w głowie. Nie trzeba było geniusza, by od razu domyślić się, że ten dureń nie ma domu, by nie wspomnieć już o eleganckiej

plebanii. Że mieszka w dżungli jak krajowiec. Że w swej bezdennej głupocie uważa osobną chatę za dowód szacunku, bo jego robotnicy gnieźdzą się wszyscy pod jednym dachem... jeśli w ogóle można to nazwać dachem. Innymi słowy: oszalał. Po prostu beznadziejnie oszalał.

- Ojciec - powiedział nieśmiało - nie chcę sprawiać kłopotu, ale... czy mógłbym dostać kawę?

- Do kuchni idzie się tą ścieżką, mój chłopcze. Tylko nie zgub się, busz jest pełen niebezpieczeństw, groźnych pułapek.

398

Oczywiście zaraz przyniosę ci wodę. Niestety nie mamy kawy, jest dla nas za droga. Zbyt ekstrawagancka.

No tak! Nie ma plebanii, tylko prymitywne chaty otoczone parującą w upale dżunglą, a całe to szaleństwo znajduje się z dala od miasta, w zasięgu wzroku nie ma ani jednego sąsiada, no i jeszcze ten zbór... Żałosna prymitywna świątynka.

Wkrótce Friedrich dowiedział się, że wraz z Beitzem mieszka tu czterech mężczyzn i że ich zarobki wraz z darami wpłacanymi przez niektórych członków luterańskiej wspólnoty to jedyne finansowe wsparcie wielkich budowlanych planów starego.

O zmroku, gdy z pracy wrócili już bracia Lutze, miał szansę poznać pozostałych dwóch „robotników”, Walthera i Lucasa. Obaj bardzo ucieszyli się na jego widok, obiecali, że przygotowują nawet specjalną powitalną kolację. Wikary już nie mógł się jej doczekać: kolejną straszną wiadomością było, że Beitz pości w ciągu dnia.

- Śniadanie i kolacja wystarczą każdemu mężczyźnie - powiedział i zaraz dodał: - Poza tym nawet dwa posiłki dziennie wydadzą ci się luksusem po

czterech latach seminarium. Pamiętam, jak to było w moich czasach. Chleb ze smalcem, chleb ze smalcem, a w niedzielę barani gulasz. I w zupełności nam to wystarczało.

Friedrich miał szczerze dosyć cholernego starucha. Ostatnie kilka popołudniowych godzin spędził włóczęc się za nim po buszu, opędzając się od krwiożerczych owadów i słuchając o wielkich planach... Ech, brednie maniaka i megalomana.

- Tutaj wkrótce wybudujemy szkółkę misyjną. Łatwo oczyścić ziemię, bo niedużo tu rośnie wielkich drzew. A tam... uważaj na węże... planuję refektarz. Dalej powstaną sypialnie dla miejscowych dzieci. Nie zdejmuj kapelusza, chłopcze! Chroni od spadających z drzew kleszczy.

- Co to są kleszcze, ojcze?

- Okropne małe insekty. Wgryzają się w skórę i wysysają krew.

Friedrich natychmiast nasadził na głowę znoszony aksamitny kapelusz. Przeciskali się wśród oślizgłych roślin, aż doszli do dużego ogrodu warzywnego.

- Walther i Lucas bardzo mnie rozczarowali - stwierdził pastor. - W ogrodzie pracują wyłącznie w niedziele. Muszę im na to pozwolić, ponieważ obaj mają jakieś swoje interesy poza obozem.

399

Bardzo rozczarowujące, bardzo. No ale wreszcie się ciebie doczekałem, drogi chłopcze, sami się nim zajmiemy. Możemy zasadzić znacznie więcej warzyw, a później je sprzedawać. Dzięki Bogu rosną szybko, bardzo szybko.

Potem zasiedli w sali jadalnej, czyli jeszcze jednej nędznej chacie.

Friedrich uznał, że wolno mu już zdradzić pewne objawy łagodnego buntu.

- Nie, nie, ojciec. Jest trochę inaczej. Czasy się zmieniły. Jedzenie w seminarium było obfite i smaczne. Zbyt wielu nowicjuszy traciliśmy z powodu głodowych racji. - W tym momencie umilkł znacząco, a potem kontynuował. - Umierali, chorowali na suchoty i krzywicę, słowem: wspólnota ponosiła straty tak wielkie, że biskup postanowił nie żałować pieniędzy na właściwe jedzenie. Uznał, że tak będzie taniej.

- Boże wszechmogący - westchnął pastor. - Rzeczywiście czasy się zmieniły! Ach, otóż i nasz posiłek. Powstańmy do modlitwy.

Walther i jego pomocnicy przygotowali całkiem przyzwoity posiłek: zupę i smaczny gęsty gulasz wołowy. I co Friedrich zauważył z zainteresowaniem, zignorował upomnienie księdza, że dwa dania to niepotrzebna rozrzutność. Następnie przynieśli tacę obranych i pokrojonych owoców, tak słodkich i soczystych, że aż ślinka ciekła. Nauka nazw tych owoców, spośród których gość rozpoznał wyłącznie banany, ożywiła rozmowę i czterej mężczyźni najwyraźniej radzi byli z obecności nowego kapłana, który poprosił oczywiście o prawo wygłoszenia modlitwy po posiłku, szpikując ją solennymi podziękowaniami dla kucharzy.

- Nie jadłem tak dobrze od czasu, kiedy skończyłem seminarium - powiedział Friedrich z niewinnym uśmiechem.

- Dwójka moich towarzyszy podróży przebywa teraz w hotelu w mieście, ale jestem pewien, że powodzi się im znacznie gorzej niż mnie.

- Jakich towarzyszy podróży? - zaciekał się Beitz.

- Mówię o panu Hoeppe i jego córce. Czarujący ludzie. Pochodzą z Hamburga. Zamierzają sprawdzić, jak rozwija się wasza mała wspólnota.

- Pan Hoeppe! - Stary poderwał się na równe nogi.

- Dlaczego nie powiedziałeś tego wcześniej, drogi chłopcze! Przecież musimy ich powitać! Waltherze, szybko. Ja się przebiorę, ty zaprzęgaj konia do wozu. Och, co za wspaniały, co za

400

szczodry los przywiódł do nas całą waszą trójkę, Friedrichu! Nie, nie wstawaj. Ty zostajesz. Walther zawiezie mnie do miasta...

Mogło się wydawać, że przygotowania do wyjazdu zajęły zaledwie kilka minut, on zaś został z trójką właściwie obcych mężczyzn, którzy - na szczęście! - mieli swoje obowiązki. Zamiast udzielić im pomocy, poprosił, by wskazali mu drogę do zboru. Powiedział, że chce się pomodlić przed snem, skoro nie ma nic do roboty.

Z latarnią w dłoni odnalazł świątynkę. Stał na prowadzących do wejścia schodach. Choć przez chwilę musiał spokojnie pomyśleć.

- Powinien zabrać mnie ze sobą do miasta - oznajmił Freddy'emu. - Przecież lepiej od nich znam pana Hoeppera i Adelę. Skąd pomysł, że będę pielął ogródek, gdy on zabawia się w eleganckim towarzystwie? Muszę dowiedzieć się czegoś o zasobach tej gromadki. Wielkość kongregacji zwiastuje problemy, finansowe rzecz jasna. Nie zostanę tu, chyba że będę mógł na tym zarobić. Tak, trzeba jakoś załatwić spotkanie z resztą trzódki, sprawdzić, jak się urządziła.

Nie miał nic lepszego do roboty, więc okrążył budynek, nie zauważył jednak nic ciekawego oprócz dwóch dużych kangurów podszczypujących trawnik. Podszedł do nich, chciał je dokładniej obejrzeć, ale na jego widok odskoczyły. Podniósł wzrok, dopiero teraz dostrzegł stojącego opodal starszego krajowca.

- Kim jesteś? - spytał, tamten jednak odwrócił się, odszedł powoli,

niespiesznie, wreszcie znikł w gęstym buszu zarastającym niemal cały teren.

Friedrich wzruszył ramionami i natychmiast o nim zapomniał. Miał na głowie ważniejsze sprawy.

Adela rozpakowywała bagaże, Hubert zaś skrył się w saloniku u szczytu schodów, zachwycony, że wreszcie znaleźli się na miejscu. Miał wrażenie, że podróżują od lat. Nadal nie potrafił uwierzyć, że przepłynął trzy wielkie oceany! A jednak zdołał tego dokonać! I wreszcie znalazł się w Bundabergu.

Hotel okazał się całkiem przyzwoity, nowy, znacznie lepszy, niż można się było spodziewać po miejscowości na krańcu cywilizacji. Pokoje były przewiewne, drzwi otwierały się na werandę, a ich pierwszy w nowym świecie posiłek okazał się znakomity.

401

Hubert zapalił fajkę zadowolony, że deszcz wreszcie ustał; teraz kiedy widać było, dokąd się idzie i co jest dookoła, zamierzał zrobić sobie małą przechadzkę. Co za rozkosz znów stanąć na stałym gruncie, móc iść w każdą stronę tak daleko, jak się człowiekowi podoba! Doprawdy potrzebował spaceru jak niczego w świecie i uznał, że dobrze zrobi, jeśli wyjdzie teraz, przed zachodem słońca. Zdążył zauważyć, że ulice nie są oświetlone... i że nie ma tu chodników. Nie byłoby miło wpaść do rowu pierwszego dnia po przyjeździe.

Hubert Hoepfer był w doskonałym humorze. Pozwolił sobie nawet na zdjęcie marynarki. W końcu widział przecież, że większość tutejszych mężczyzn chodzi w koszulach z krótkim rękawem ze względu właśnie na wilgotny upalny klimat. Okazało się, że taka swoboda w miejscu

publicznym jest całkiem sympatyczna.

Zszedł ze schodów, zatrzymał się niepewny na ostatnim stopniu. Z barów dobiegał go hałas, co uznał za dobry znak: interesy musiały iść nieźle.

Tym lepiej dla jego przyjaciół, którzy już się tu osiedlili. Nagle przyszło mu do głowy, że przecież jego krajanie mogą bawić się gdzieś w pobliżu, stwierdził jednak, że gdyby zaczął ich teraz szukać, można by to było uznać za wścibstwo. Być może nieco później zbierze się na odwagę i pójdzie gdzieś kupić sobie drinka, z pewnością pogoda usprawiedliwiła tak śmiały krok.

Postanowił udać się w prawo i sprawdzić, dokąd prowadzi ulica. Nim zrobił krok, usłyszał, że ktoś go woła. Odwrócił się natychmiast. Przez ulicę przebiegał ojciec Beitz, szeroko rozkładając ramiona w powitalnym geście, a za nim śpieszył pan Badke.

- Panie Hoeppe! - krzyknął radośnie, obejmując przyjaciela. - To cudownie znów pana widzieć. Proszę wybaczyć, że nie wyjechaliśmy panu na spotkanie. Och, wielkie nieba! Strasznie mi wstyd, że tak pana potraktowałem. Przyjacielu, przyjacielu, nie wierzyłem własnym uszom, kiedy ojciec Ritter powiedział mi, że tu jesteś. Byłem pewien, że to niemożliwe. A jednak widzę cię na własne oczy! Rozmawiamy. Niech cię Bóg błogosławi! Zmieniłeś zdanie, jakież to cudowne!

Hubert zdołał przerwać jakoś potok wymowy kapłana, dzięki czemu także Walther mógł go odpowiednio powitać. Następnie zaproponował, żeby udali się do saloniku, gdzie mogliby porozmawiać bez przeszkód.

402

- Bardzo mi miło panów widzieć - powiedział. - Zamierzałem odwiedzić was jutro. Zrobiliście mi wspaniałą niespodziankę. Muszę poprosić Adelę,

by do nas dołączyła.

Na prośbę duchownego wszyscy czworo uklękli, by podziękować Bogu za to, że szczęśliwie doprowadził ich do dalekich, lecz bezpiecznych brzegów, po czym Beitz głośno wyraził gnębiącą go troskę.

- A co z wami, moi drodzy? Nie zapomniałem o was w swych modlitwach, prosząc w nich o pomoc Boską w waszych cierpieniach.

- Powiedziałeś mi kiedyś, ojciec, że czas leczy rany. I rzeczywiście je leczy... odrobinę. W każdym razie czujemy się znacznie lepiej. Było bardzo źle, przyznaję... i to Adeli zawdzięczam, że jestem dziś właśnie tutaj.

- Och, tato, to wcale nie było tak... - zaprotestowała dziewczyna, ale ojciec tylko uśmiechnął się do niej smutno.

- Mówię prawdę. Nie jestem dumny z tego, że na wiele miesięcy pogрузyłem się w samolubnej rozpacz, że odsunąłem od siebie ukochaną córkę cierpiącą nie mniej ode mnie. Uznałem, że świat skończył się ze śmiercią ukochanej żony i synów...

- Głos mu zadrżał, lecz Hoepper dzielnie mówił dalej: - Odwróciłem twarz od Boga. Nie szukałem pociechy. Nie potrafiłem rozmawiać z ludźmi, ale moja siostra, Klara Muller, wstrząsnęła mną, sprawiła, że poznałem swe grzechy...

- Ależ z pewnością nie grzechy - zaprotestował pan Badke, którego imię: Walther, Hubert poznał dopiero teraz. - Cierpiał pan męki ponad ludzkie zrozumienie...

- Cierpienie nie usprawiedliwia odwrócenia się od Boga

- rzekł ojciec Beitz marszcząc brwi. - Jestem nieprzyjemnie zdziwiony, panie Hoepper.

- I dlatego uznałem za stosowne wyznać swe przewiny otwarcie, pastorze. W ciężkich chwilach byłeś dla nas nadzwyczaj łaskawy, wspierałeś nas; nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że cię zawiodłem.

- Żałuję, że nie mogłem pozostać z wami dłużej.

- No, nie ma co zagłębiać się w szczegóły. Solidnie oberwałem od Klary, zrozumiałem, jak byłem okrutny wobec Adeli, nie poświęcając jej najmniejszej uwagi...

- Tato, proszę! Nie denerwuj się. Chce tylko powiedzieć

- tłumaczyła dziewczyna - że oboje czuliśmy się rozpaczliwie

403

samotni w wielkim pustym domu, no i nagle tata dostał długi, ciekawy list od pana Meissnera, ten z opisem waszej podróży. Właśnie przyplłynęliście do Brisbane.

- A więc - podjął Hubert - Adela powiedziała: „Przecież możesz popłynąć do Australii zobaczyć, jak się im darzy.” Ja nie przestałem interesować się podróżami. No i nie miałem nic do roboty, jako że wcześniej sprzedałem firmę. Na szczęście postanowiła towarzyszyć staremu ojcu. I tak... przyjechaliśmy. Nigdy nie przestaniemy opłakiwać naszych drogich zmarłych, których Bóg uznał za stosowne zabrać...

- Amen - przerwał mu Beitz. - Musicie tylko zrobić wszystko co w waszej mocy, nic więcej. Pomodlimy się za spokój dusz bliskich, a potem porozmawiamy. Mamy wam tyle do powiedzenia! Z przyjemnością informuję, że wszyscy dotarli na miejsce szczęśliwie i w dobrym zdrowiu, za co winniśmy dziękować Bogu.

Nim porównali wspomnienia z podróży i doświadczenia z tego maleńkiego punktu na mapie świata, zrobiło się późno. Walther zdołał

przekonać pastora, że pora wracać do domu.

- Tak, oczywiście - powiedział kapłan wyraźnie rozczarowany. - Pan Hoeffler i panna Adela muszą być zmęczeni. Bez wątpienia. Ale... mogę przecież przyjechać do państwa jutro, prawda? Umiem powozić. Zawiozę Walthera i Lucasa do pracy, a potem odwiedzę was. Będę waszym przewodnikiem, pokażę miasto...

- Wspaniały pomysł - rzekł Hubert. Rzeczywiście był zmęczony. Tęsknił za wielkim, wyglądającym na bardzo wygodne hotelowym łóżkiem, niebem i szczytem marzeń w porównaniu z koją na statku.

Wraz z córką odprowadził gości do drzwi hotelu. Następnie wrócili do pokoiów, tracąc w ten sposób okazję sprawdzenia, jakim to środkiem lokomocji posługuje się ojciec Beitz.

Gdyby wiedzieli, że przyjdzie się im tłuc rozchobotanym starym wozem, że będą zdani na łaskę i niełaskę woźnicy w najlepszym razie niekompetentnego, Hubert poszukałby w miasteczku odpowiedniejszego powozu i znacznie bardziej odpowiedniego woźnicy. Ale rankiem przed ich hotelem zameldował się pastor Beitz z twarzą rozpromienioną i radosną, co widać było nawet przez zasłonę siwej brody.

404

- No nie, nie wierzę, jak dobrze ojciec wygląda! - wykrzyknął Hubert. - Teraz tutaj, w dziennym świetle, jestem skłonny założyć się, że odmłodził ojciec o dziesięć lat.

- Święta racja - przytaknęła Adela. - To doprawdy bardzo miłe.

- Och, to tylko kwestia naturalnego trybu życia. - Pastor machnął ręką. - I braku tych wszystkich zbytków cywilizacji.

Hoeffler nie bardzo wiedział, co ma o tym sądzić, ale powstrzymał się od

komentarza. Zdziwił się, kiedy przejechali kilkoma uliczkami miasteczka, potem kawałek wzdłuż rzeki, od nabrzeża do przystani promu i dalej, do nie ukończonego jeszcze mostu. Zaskoczyło go, że nie pojechali wprost do niemieckiego obozu, no ale w końcu przecież do niego dotrą, prawda? Na razie wóz zjechał na leśną dróżkę. Oddalali się od miasta.

- Bardzo dziwny las - zauważyła Adela. - Gęsty i taki zarośnięty. Nie rozpoznaję drzew.

- Nazywamy go buszem - wyjaśnił ich przewodnik. - Te drzewa są strasznie stare. Zabieram was na brzeg oceanu, podobno jest bardzo malowniczy.

- Świetnie! - ucieszyła się dziewczyna.

Mijali działki już oczyszczone i właśnie porządkowane. Widzieli farmy, sięgające horyzontu łąny zbóż, kilkakrotnie zjeżdżali z drogi, by zrobić miejsce dla stad owiec, odpowiadając na wesołe pozdrowienia konnych pastuchów. Z niekłamanym zachwytem przyglądali się stadom emu i kangurów, a także wielkim jaszczurkom, na które konie w ogóle nie zwracały uwagi, oraz jaskrawo upierzonym ptakom. Nadal jednak nie widzieli oceanu.

Wóz zawracał kilkakrotnie, bo pastor Beitz skręcał z jednej ścieżki w drugą, a potem w trzecią i następne.

- Jeszcze chwilka i odnajdę drogę - uspokajał pasażerów. - To już blisko. Siedzenie było bardzo twarde. Hubert wspiał się na kozioł, pozostawiając miejsca pozostałej dwójce. Słońce stało wysoko, dzień był gorący i wilgotny, bez najłżejszego podmuchu wiatru. Otaczający ich las żył bzyczeniem owadów, ten ciągły irytujący dźwięk był torturą dla uszu. Wreszcie dostrzegli przed sobą kres traktu. Ślepy zaułek.

Wóz zawrócił. Woźnica najwyraźniej nadal nie wiedział, co robić i jak trafić na miejsce. Hubert ośmielił się zasugerować łagodnie, by jednak wracali do miasta.

405

- To była bardzo ciekawa wycieczka - powiedział - a teraz pozwolę sobie zaprosić was na lunch w hotelu.

- Doskonale - zgodził się pastor bez oporu. - Świetny pomysł. Wracajmy do miasta.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Pół godziny później Hoeffler nie miał żadnych wątpliwości. Zgubili się. Nie chciał wspominać o tym Beitzowi z obawy, że go obrazi. Po niedługim czasie pochwycił spojrzenie Adeli, mocno zaczerwienionej i wyraźnie złej.

- Może powinniśmy spytać kogoś o drogę? - zaproponowała.

- Nie, nie! - zaproponował pastor. - Gdzieś tam dalej musimy skręcić na wschód.

- Na wschód? - zdziwił się Hoeffler pewien, że ani on, ani ich przewodnik nie rozpoznają wschodu na tej sięgającej horyzontu równinie. Siedział jednak cicho, nawet gdy mijali farmę z domem ulokowanym z dala od drogi. Właściwie nie było tu dróg, tylko szlaki wydeptane w dziwnej ziemi koloru niemal czekolady. Wspomniał o tym wcześniej i pastor wyjaśnił mu wówczas, że ich wspólnota pobłogosławiona została właśnie taką żyzną ziemią.

- Możemy uprawiać wszystko - dodał z dumą.

Słyszając to Hubert i Adela zaczęli się zastanawiać, dlaczego jadą nad ocean, zamiast obejrzeć sobie tę świętą luterańską posiadłość. Dobrą godzinę później dziewczyna wreszcie się zbuntowała. Nie miała zamiaru

dłużej znosić niedogodności i niewygód.

- Jestem spragniona, tato. Źle się czuję. Jeśli nie spytasz o drogę przy najbliższej okazji, ja to zrobię.

Zaczęła się rozglądać po okolicy, poznawać ją i raz nawet nie zgodziła się, by Beitz skręcił w boczny trakt, którym już wcześniej przejechali i który też kończył się ślepo. Kiedy zaś pojawił się jeździec, spojrzała na ojca tak gniewnie, że nie mógł dłużej milczeć.

- Bardzo przepraszam, czy mógłby pan wskazać nam drogę do Bundabergu?

- Oczywiście - uśmiechnął się mężczyzna i uniósł przed duchownym wysłużony kapelusz. - Pastor Beitz, nie mylę się? Od razu ojca poznałem. Nazywam się Les Jolly. Mam u siebie wielu pańskich chłopców. Doskonali pracownicy, można być z nich dumnym.

406

Z jakiegoś powodu Beitz tylko chrząknął z dezaprobatą na ten komplement, ale Jolly'emu nie robiło to chyba różnicy.

- Więc tak... Wracacie do miasta, ojcze? No to jedziecie w złym kierunku. Jeszcze półtora kilometra i znaleźlibyście się na plaży. Nieważne.

Zawróćcie, proszę. Poprowadzę was do samego Bundabergu. - Spojrzał na Hoeppera i najwyraźniej rozpoznał w nim nowego przybysza, bo choć nie byli sobie przedstawieni, wyjaśnił: - Nasze drogi, a właściwie trakty w buszu, tworzą istny labirynt. Nowi osadnicy wykorzystują ścieżki wydeptane przez stada owiec. Któregoś dnia z pewnością doczekamy się przyzwoitej drogi, ale to niestety wymaga czasu.

Hubert w pełni docenił, że pan Jolly poświęca im własny czas. Jechał powoli, by skrzypiący stary wóz mógł za nim nadążyć w długiej drodze

powrotnej, i skręcił w bok, machając im uprzejmie na pożegnanie, dopiero gdy znaleźli się na długiej głównej ulicy.

Wreszcie zatrzymali się przed hotelem. Ojciec Beitz nie zgodził się wejść do środka, tłumacząc, że musi napoić konia.

- Ależ hotelowa obsługa z pewnością to zrobi dla gościa - przekonywał go Hubert.

- Nie, nie! Idźcie już! Mam sprawy do załatwienia. Oczekuję, że spotkamy się jutro na niedzielnym nabożeństwie. Punktualnie o ósmej. Potem wydamy śniadanie na waszą cześć.

- To bardzo uprzejme z ojca strony - powiedział Hoepper mocno zdezorientowany. Odprowadził wzrokiem oddalający się ulicą wóz, po czym spojrzał na córkę. - Zakładam, że nabożeństwo zostanie odprawione w nowym zborze dobrego ojca, u Świętego Jana.

- I że go znajdziemy - dodała wesoło Adela.

- Och, bez problemu. Zaraz po lunchu pójde wynająć jakiś powozik.

- Ale z wyściełanymi siedzeniami i kryty, proszę.

- Zgoda. Roześmiali się oboje.

Bardzo zdenerwowany, zawstydzony, a także cierpiący z powodu upału tym dokuczliwszego, że musiał go znieść w sutannie, którą ostatnio wkładał tylko na wyjątkowe okazje, ojciec Beitz skręcił za róg ulicy i napoił konia w publicznym poidle. Następnie przeszedł przez ulicę do sklepu i poprosił o szklankę wody.

407

Urzędująca za ladą kobieta okazała się wyjątkowo uprzejma. Namawiała go, żeby usiadł i odpoczął.

- Strasznie się pastor zgrzał - powiedziała z troską. - Proszę usiąść w tym

wiklinowym fotelu, odetchnąć, poczekać, albo padnie nam pastor, wracając do siebie. To okropny dzień dla nas, wychowanych w chłodnym klimacie.

Beitz był jej wdzięczny za tę chwilę odpoczynku, omal się nie zdrzemnął, lecz nagle przypomniał sobie o zaproszeniu dla Hoepferów. Intencje miał dobre oczywiście, tylko zapomniał, że nie sposób będzie przyjąć ich na prywatnym śniadaniu. Jutro mógł się spodziewać obecności wszystkich parafian, zwłaszcza że wieść o przyjeździe zarówno Hoepferów, jak i nowego wikarego z pewnością rozeszła się szeroko. I wszystkich będzie musiał poczęstować, a jedzenia w spiżarni pozostało bardzo niewiele. Oczywiście powinien był zaprosić córkę i ojca już dzisiaj, uniknąłby kłopotów, ale było mu nieco wstyd, że nie poczynił większych postępów. Prawdę mówiąc, przyznał ze smutkiem sam przed sobą, nie zaprosiłem ich dziś, bo bałem się, że w dniu pracy, kiedy nie ma tam prawie nikogo, to moje przedsięwzięcie uznane zostanie za klęskę. Przecież w niczym nie przypomina spółdzielczej farmy, której pan Hoepfer ma wszelkie prawo się spodziewać. Czym tu się chwalić? Puste chaty, dwóch kapłanów, kilku czarnych w okolicy. Sądziłem, że w niedzielę, kiedy pojawi się sporo ludzi, wszystko będzie wyglądać znacznie lepiej, zwłaszcza przy posiłku przygotowanym przez Walthera. Boże, westchnął, nie mamy wyboru. Musimy podjąć wszystkich.

Jego decyzja zaskoczyła Walthera. Wprawdzie sam uznał, że należałoby poczęstować przybyłych na nabożeństwo lunchem w typie bufetu, w końcu trzeba jakoś powitać pana Hoepfera, jego córkę i nowego duchownego, ale słowem o tym nie wspomniał, bo ojciec Beitz tak strasznie przejmował się wydatkami na bardzo podobny

bożonarodzeniowy poczęstunek. Tymczasem było to w gruncie rzeczy dosyć tanie: proste potrawy z mnóstwem owoców i warzyw, których większość rosła na miejscu wręcz w nadmiarze. Ojciec nazwał to jednak „uczta”, a teraz proszę, domaga się następnej!

- Mamy mało czasu - zauważył Walther. - A w spiżarni pustki.
- Chodźcie. Musimy zgromadzić zapasy.

408

Walther gwizdnął na Lucasa, który przybiegł pędem.

- Co się dzieje?
- Wygląda na to, że jutro urządzamy zabawę. Wielkie święto dla wszystkich naszych gości. Koniec pracy, panowie. Jedziemy na zakupy. Friedrich spał smacznie mimo wszechpotężnej nawet nocą wilgoci i chrapania innych. Wściekł się, kiedy zbudzili go na modlitwę o świcie, ale cisza wymagana przy porannych medytacjach dała mu szansę na drzemkę, a także powolne odzyskanie przytomności. Dzięki owsiance z owocami odzyskał również zwykły przyjazny nastrój. Lubił myśleć o sobie jako o człowieku światowym, doskonale przygotowanym do odgrywania roli dobrotliwego dżentelmena.

Jego dobrotliwość wystawiona jednak została na ciężką próbę, gdy stary przyniósł mu nędzny chłopski strój, który sam wydawał się preferować: luźną bawełnianą koszulę i spodnie wiązane w pasie jak worek.

- Wygodniej ci będzie w tym stroju, Friedrichu - powiedział. - Są dni, kiedy temperatura tu dochodzi do prawie czterdziestu stopni, a jak zapewne zauważyłeś, deszcz jakoś nie pomaga, nie schładza powietrza. Europejskie ubranie trzymaj na specjalne okazje, sakralne albo i świeckie, przyda się, gdy będziemy gdzieś wychodzić. A teraz... jeśli idzie o

warzywniki, to jest w nich akurat sporo do zrobienia. Aha, i zwracaj uwagę na kościół. Otwórz okna, ale drogi chłopcze, natychmiast je zamknij, jeśli zacznie padać. Gdybyś zechciał wyprać białiznę, pralnia jest z tyłu, za zbiornikiem wody.

Walther usłyszał te porady. Wrócił, by przekazać swoje, znacznie bardziej dyskretnie.

- Tubylcy włóczą się tu, jak chcą, ale jeśli poprosi się któregoś z nich o pomoc, pomoże - uśmiechnął się. - Żaden z nich nie ma jednak nic przeciwko korzystaniu z naszej spiżarni. Dlatego wstawiłem drzwi, a na drzwiach powiesiłem kłódkę. Klucz leży pod matą. W środku znajdzie pastor chleb, ser i mięso na zimno. W sam raz na lunch.

- Ojciec twierdzi, że nie jadamy lunchu.

- Nie dowie się, nie ma strachu.

Jak to: nie dowie się? pomyślał Friedrich, ale po chwili dostrzegł, jak wszyscy wyjeżdżają do pracy. Stary też odjechał.

409

- Zabieram pana Hoeppera i jego córkę na małą wycieczkę po okolicy! - zawołał przez ramię.

Usłyszawszy to Friedrich rozdziawił gębę, dopiero teraz bowiem zdał sobie sprawę, że pozostawiono go samego w środku tej dziczy. Zamarł ze zdumienia i nie był w stanie poruszyć się przez dłuższą chwilę.

Ranek spędził, poznając sekrety wspólnoty przez studiowanie zawartości kufra Beitza, przede wszystkim jego prywatnych papierów oraz dziennika. Z przyjemnością stwierdził, że duchowny prowadzi dokładny dziennik, że znacznie mniejszą przyjął do wiadomości, że eminencja jest zadłużony w banku. Codzienne wydatki, głównie na żywność, stary zapisywał

skrupulatnie w osobnym kajecie, w którym znajdowały się także wpisy skromnych przychodów z trzech źródeł. Wynagrodzenia oczywiście, ale dlaczego tylko trzy?

- Kto nie płaci za siebie, Freddy? Nie możemy do tego dopuścić. Beitz i jego wikary to jedyni ludzie, którym w tym rajku należy się wszystko, i to za darmo.

Z chaty kapłana przeszedł do tej, w której dziś spał. Przeszukał rzeczy swych towarzyszy. Okazało się, że Lucas, ten przystojny, jest żonaty. Ciekawe, co porabia jego żona? Bilety, pamiątki z podróży, zachowali, leżały na samym wierzchu. Lucas i Hanni Fechner. Rzeczy Walthera zajmowały mniejszy kuferek. On także zadłużył się w banku, na większą sumę niż Beitz. Choć jak się nad tym głębiej zastanowić, to ten zwariowany staruch nie miał długu osobistego. Debet zapisany był na Fundusz Budowlany Zboru Luterskiego. Może chodzi o jakiś przekręt? Który bank ośmieliłby się zaskarżyć Kościół?

Wśród papierów Walthera znalazł też akt zgonu jego ojca. Nic ciekawego, ale... jakiś gorliwy urzędnik dopisał na nim: „z własnej ręki”. Dobry Boże! Co za skandal!

- Walther, na oko taki sobie prostaczek, potrafi przynajmniej utrzymać porządek w dokumentach - rzekł do Freddy'ego. - Zdaje się, że ma trochę pieniędzy w papierach i w banku i że próbuje zbudować browar. Cholernie dobry pomysł! I on, i jego tatuś byli piwowarami; wygląda na to, że synek przeniósł rodzinną tradycję do nowego kraju. Jednego nie rozumiem: dlaczego tatuś sam sobie zrobił kuku, skoro mógł przecież zapisać się na śmierć i odejść z tego świata z uśmiechem na ustach?

Friedrich starannie odkładał wszystkie przejrzone papiery. Pomyślał, że może powinien jeszcze raz zerknąć na listę ludzi, którzy wypłynęli z Beitzem z Hamburga, skoro znał osobiste szczegóły życia części z nich, ale zrezygnował. Wiedział wystarczająco wiele, by zacząć myśleć samodzielnie. A poza tym był głodny. Odwiedził więc spiżarnię; rozbawiła go mocna kłódka wisząca na wątych drzwiach z bambusa i wikliny. Przygotował sobie lunch z chleba, sera i kiszonych ogórków. Zjadł go pod drzewem jak prosty chłop na polu. Bardzo to było miłe, tylko trochę przeszkadzały mu kosy z białymi ogonami spacerujące po drewnianym stole, jakby był ich własnością.

- A niech im będzie - powiedział Freddy'emu.

Pora na spacer. Przyjemny spacer po dżungli. Dlaczego nie? Kto nie gra, nie wygrywa, pomyślał, gdy znalazł bystry strumień, niemal niewidoczny wśród gęstej zieleni. Krystalicznie czysta woda kusila, przede wszystkim kogoś zmordowanego nieustannym upałem, rozebrał się więc bez wahania, przeskoczył przez piaszczysty brzeg i po szyję zanurzył w cudownie chłodnym nurcie, marząc, by pozostać w nim na zawsze.

Nie wychodził. Leżał w wodzie, tarzał się w niej, pławił, a południe mijało powoli. Nagle usłyszał chichot, oprzytomniał, zobaczył trzy młode dziewczyny, Aborygenki, i znów stał się czarującym sobą. Nikt nie zaprzeczy, że morskie podróże służą zdrowiu, pomyślał z uśmiechem, wstając na płyźnię tak, by dziewczęta mogły podziwiać go w całej jego cielesnej okazałości: biały mężczyzna w kwiecie wieku, już nie chudy, niezgrabny nieśmiały chłopak. Mówili mu, że byłby doskonałym Kasjuszem.

- Moje panie! - zawołał po angielsku. - Może się przyłączycie?

Nieśmiało wyszły zza zasłony krzaków... mój Boże, nagie! Wyciągnął rękę, by pomóc dziewczynom o smukłych ciałach i pełnych piersiach wejść do chłodnej czystej wody, nie wahały się, szły zgrabnie po kamieniach... i nagle przystanąły spłoszone. Zamarły, jakby zmieniły się w kamień, te nimfy o lśniącej skórze, wilgotnej od wodnej mgły niedalekiego wodospadu, o czerwonych sutkach młodych piersi błyszczących w promieniach słońca. Jeszcze przed chwilą uśmiechały się przyjaźnie, wręcz obiecująco, teraz krzyczały przeraźliwie, patrząc na coś znajdującego się za jego plecami. Nagle odwróciły się, uciekły w popłochu 411

tak szybko, że spadały z kamieni. Znikły w buszu, nim zdążył nacieszyć oczy widokiem ich smukłych pośladków.

Nie wiedział, co mogło je spłoszyć. Dostrzegł tylko psa; był ładny i sprawiał wrażenie całkiem przyjaznego. Ominął go, przyjrzał się brzegowi po swojej stronie. Nic. Ktokolwiek przeraził Aborygenki, znikł, jakby go nigdy nie było. Zapewne matka lub ojciec pilnujący ich dziewiczości, pomyślał. Wiedzą, co robią, takich córek trzeba pilnować. Musi znaleźć sposób na którąś z tych piękności. Ciekawe, jak ci inni zaspokajają swe chuci; musi dowiedzieć się tego tak szybko, jak to tylko możliwe.

Konfesjonał, oto właściwe miejsce! Wskoczył do strumienia śmiejąc się głośno, bo był to przecież zabawny koncept.

Pies nie odchodził. Friedrich lubił psy.

- Dobry piesek! - zawołał. - Chodź, do nogi!

Pies przyjrzał mu się przechylając łeb, jak to jest w psim zwyczaju, wstał i odszedł powoli. No nie, pomyślał Friedrich rozczarowany. Cóż, spróbujemy innego dnia. Miło byłoby mieć własnego psa. Chyba że jest

jakieś prawo, które tego zabrania. A teraz... najwyższy czas wrócić z krainy chłodu do pieca, który stary Beitz nazwał „całkiem ciepłym dniem”. Ciało wyszło błyskawicznie. Zaczął się ubierać, kiedy dostrzegł jaszczurkę, ogromną jaszczurkę rozmiaru człowieka, idącą w jego kierunku, stawiającą na kamieniach łapy wielkie jak wiosła. Czy pływała wraz ze mną? pomyślał i złapał się za męskość w zrozumiałym geście przerażenia. Na szczęście łatwo było włożyć luźne bawełniane spodnie. Uciekł sadząc długie susy, skrył się w dżungli Beitza - dopiero tam poczuł się bezpiecznie. A kiedy pozostali mieszkańcy wrócili, nowy wikary leżał na pryczy. Zły i obrażony. Czekaający, aż nadejdzie jego czas.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Eva i dzieci bez problemu namówiły Hanni, żeby pojechała z nimi w niedzielę do kościoła. Wprawdzie rozstała się z mężem, którego miała tam spotkać, ale jak wszyscy ciekawa była nowego wikarego i modliła się, by nie był tak prymitywny i nieubłagany jak ojciec Beitz. Eva postąpiła bardzo wspaniałomyślnie, z własnej woli udając się do Beitza, aby wytłumaczyć mu, co się stało, kiedy Hanni pojawiła się w obozie, aby zdjąć z niej odium pijaczki. Przecież ta obca kobieta wykorzystała jej niedoświadczenie. Pastor nie dał się przekonać.

- Widziałem, co widziałem - powiedział. - Pani Fechner ordynarnie się upiła. Doprawdy dziwię się tobie, Evo. Skłaniasz tego rodzaju kobietę do pracy w hotelu. Ileż będzie miała okazji, by zaspokoić swój grzeszny pociąg do butelki!

W głębi duszy Hanni żałowała, że przyjaciółka opowiedziała jej o tej wizycie. To tylko wzmogło jej gniew. W każdym razie dziś postanowiła zachowywać się idealnie i nawet obiecała, że będzie miła dla Lucasa. Jeśli

w ogóle się do niej odezwie.

Odezwał się oczywiście. Podbiegł do niej, gdy tylko podjechali pod kościół.

- A więc nie porzuciłaś także religii - powiedział. - A może do kościoła przywiodła cię czysta ciekawość?

Wyprowadził ją z równowagi.

- Mogę robić, co mi się podoba - warknęła. - Słyszałam, że pracujesz z Waltherem. I że ci płacą. Szkoda, że nie wspomagasz żony.

- Masz tu dom. To najważniejsze.

- Też mi dom.

413

Nagle Hanni uświadomiła sobie, że obok nich stoi ojciec Ritter i że przysłuchuje się ich rozmowie. Zarumieniła się, odwróciła, zsunęła czepek na twarz, próbując ukryć zmieszanie. Nie ośmieliła się spojrzeć za siebie, wraz z innymi kobietami pośpieszyła do kuchni przygotować kolejną „uczpę”, jak mówił ojciec Beitz, tym razem na cześć nowo przybyłych ważnych person.

Hubert Hoepfer z radością wziął udział w nabożeństwie z córką u boku.

Wzruszyło go, że kongregacja odśpiewała na stojąco jego ukochany hymn „O świec nam, światło niebieskie” ku pamięci jego najdroższych zmarłych: żony i synów.

Adela zaniepokojona myślą, że ich wspomnienie będzie dla niego zbyt bolesne, mocno ścisnęła jego dłoń. Docenił ten czuły gest, lecz ku swemu zdziwieniu stwierdził, że nie potrzebuje wsparcia. Nie wiedział, czy to czas wyrwał go z najgłębszej otchłani żałoby, czy może sprawiła to odległość, nieważne, w każdym razie klęknął teraz w zborze Świętego

Jana i błagał o wybaczenie niedostatku wiary. Nawet przed samym sobą z trudem przyznawał się do tego, że gdyby nie poczucie odpowiedzialności za córkę, po śmierci bliskich chętnie zginąłby z własnej ręki.

Dzisiejszego ranka obudził się z uczuciem radosnego oczekiwania, którego nie zaznał od dawna, nie pamiętał go nawet z okresu bezpośrednio przed śmiercią synów. Zabawne było to, że nie miał żadnego rzeczywistego powodu do radości, chyba że tym powodem miałyby być sama nowość sytuacji, w której się znalazł, i zainteresowanie nie tylko miasteczkiem, lecz także jego mieszkańcami - pionierami. Uśmiechnął się. Friedrich Ritter dostąpił zaszczytu wygłoszenia kazania podczas swego pierwszego nabożeństwa na nowej ziemi i choć - przynajmniej zdaniem Huberta - nieco przesadził, w uroczystych słowach głosząc chwałę swych krajanów i sposobu, w jaki dostosowali się do obcego im środowiska, niewątpliwie chciał dobrze i jego kazanie zostało przyjęte z radością. Warunki życia i mieszkania we wspólnocie także wydawały się Hoeffperowi dziwne, lecz ojciec Beitz był z siebie bardzo zadowolony, no i bez wątpienia kwitł... Ale oto wierni wychodzili już ze zboru, by go powitać. Wspaniale było znów się z nimi spotkać.

414

Jakob niesłychanie ucieszył się na widok pana Hoeffpera. Wyczekiwał okazji, by móc z nim porozmawiać. Z pewnością miał mu wiele do powiedzenia o swoich sukcesach i klęskach, chętnie wysłuchałby także jego wspomnień z podróży.

- Nie bardzo wam się szczęści - roześmiała się Freda.
- Co masz na myśli? - spytał Jakob.
- Ty chcesz koniecznie porozmawiać z panem Hoeffperem, ale ojciec

Beitz nie dopuści, żebyś zamienił z nim choćby słowo. Karl gapi się na Adelę jak cielę na malowane wrota, ale nie dopuści go do niej ten młody pastor. Wyjątkowy chłopak, nie sądzisz? Wysoki, przystojny, z tymi długimi włosami i miękką brodą przypomina Jezusa Chrystusa. Nie? No to przyjrzyj mu się bliżej.

- Ech, te plotki! - Jakob był wyraźnie zgorszony. - Przecież panna Hoeppe poza ojcem tak naprawdę zna tylko pastora Rittera. Spotkała się z nim na statku. To zupełnie naturalne, że dobrze czuje się w jego towarzystwie.

- Nie obchodzi cię własny biedny syn? Od czasu gdy spotkali się w Hamburgu, myśli tylko o niej. Jej obecność to dla niego bożonarodzeniowy prezent... na wszystkie Boże Narodzenia, od kiedy się urodził.

- Masz bardzo bujną wyobraźnię, kochanie.

- Oczywiście. To jedna z moich zalet. Proszę, żebyś zaprosił Hoeppeów do nas... O mój Boże! Zapomniałam. Nie możemy ich zaprosić, nie mamy mebli!

Musi być jakieś wyjście z tej sytuacji, martwiła się Freda ruszając na poszukiwania syna.

- Czy się mylę - spytała, gdy tylko go znalazła - czy robisz słodkie oczy do panny Hoeppe?

- A niby czemu nie? - rozzłościł się Karl. - Jest śliczna, jest Niemką, wszystkie chłopaki tylko za nią się oglądają. To co, twoim zdaniem mam szansę? Max Lutze twierdzi, że zagięła parol na pastora Rittera. Myślisz, że ma rację?

- Nie - zełgała Freda spokojnie i bez skrępowań. - Nie ma racji. Sama

widziałam, jak patrzyła na ciebie, i bądź pewien, więcej niż raz.

- Naprawdę?

Westchnęła. Może i mijam się z prawdą, pomyślała, ale przynajmniej mój syn jest szczęśliwy. Poszła z koszykiem jedzenia do

415

kuchni. Rosie Kleinschmidt karmiła piersią kolejne dziecko, córeczkę.

- Kochane maleństwo - rozczuliła się Freda. - Kiedy chrzciny?

- Nie wiem. Ojciec Beitz nie wyznaczył jeszcze terminu.

- To idź do niego, Rosie, już, teraz. Niech wyznaczy datę i dopilnuj, żeby ją zapisał. Przy tych wszystkich gościach... Nic dziwnego, gdyby zapomniał. Zabierz ze sobą Rolfa, on już zadba, żeby nie odkładać sprawy w nieskończoność. Dziecko powinno zostać ochrzczone tak szybko, jak to tylko możliwe.

Z uśmiechem patrzyła, jak Rolf i Rosie odciągają ojca Beitz'a od pana Hoeppera. Bezbłędnie wykorzystała okazję. Błyskawicznie zaprosiła Huberta na farmę, przepraszając za bezpośredniość, wyjaśniając, że jej mąż nie mógł doczekać się okazji do spokojnej wymiany zdań.

- Ależ droga pani Meissner, będziemy zachwyceni. Listy Jakoba wspomogły mnie w bardzo trudnym okresie życia. Uważam za zaszczyt, że tak miło mnie wspominać.

Po tej rozmowie uśmiechała się. Do licha z pastorem! Do licha z ojcem Ritterem! Do licha z brakiem łóżek, jakoś sobie z tym poradzimy, uznała. Pan Hoepper prześpi się w naszym, Adela w Karla. My zawsze znajdziemy sobie miejsce na werandzie.

Jakob był bardzo poruszony. Pośpieszył uprzedzić pana Hoeppera, że ich dom nie jest jeszcze ukończony, że nie ma w nim koniecznych mebli, lecz

Huberta („na litość Boską, mów mi po imieniu, Jakobie!") wcale to nie obeszło. Panny Adeli najwyraźniej też.

Pastor Ritter poruszał się wśród zgromadzonych w milczeniu, można nawet powiedzieć, że z szacunkiem, słuchając, oceniając, mając przy boku pannę Adelę, cel spojrzeń wszystkich wolnych mężczyzn z wyjątkiem tego Walthera. Wyglądało na to, że nikt z nowych osiedleńców nie dorobił się jeszcze fortuny, choć niektórzy zachowali nadzieję, a mąż pani Zimmerman zajął się nawet poszukiwaniem złota, idąc na skróty do szczęścia i bogactwa, za co zdaniem Friedricha należała mu się pochwała.

- Wykazał się inicjatywą, pani Zimmerman - powiedział.
- To nie całkiem tak, ojczy. Odszedł pozostawiając mnie i dzieci bez środków do życia.

416

- Mam wrażenie, że powodzi się pani całkiem dobrze.
- Jakoś sobie radzę. Mam pracę i mieszkanie w domku w miasteczku, z panią Fechner...
- Więc wszystko w porządku. Z pomocą Boga. Nie ma jak jego pomoc. Eva spojrzała na niego niepewnie, ale on już odwrócił się od niej, skupiając całą uwagę na prześlicznej blondynce. Zdaje się, że była to Hanni Fechner.

- Jesteś żoną Lucasa? - spytał cicho. Skinęła głową.
- Ale mieszkasz w miasteczku. Wnoszę, że nie zostajesz z mężem w najlepszych stosunkach. Czy mógłbym wam w czymś pomóc?

Zaskoczyła go. Uwiesiła się u jego ramienia, niemal do niego przylgnęła, a kiedy przemówiła, w jej głosie brzmiała rozpacz.

- Czy mogłabym o tym z panem porozmawiać, pastorze? Prywatnie?

Błagam.

- Oczywiście, pani Fechner. Może pójdziemy na krótki spacer?
- Och, oczywiście, oczywiście, pastorze. Nie chciałabym zabierać panu czasu...
- Mój czas należy do ciebie, siostrze.

Całe to spotkanie i tak zaczęło go nudzić. Równie dobrze mógł wysłuchać rzewnej opowieści o okrutnym nieczułym mężu, choć szczerze mówiąc Lucas wydawał się zupełnie nieszkodliwy. Dobra, niech będzie, zbieramy drobiazgi, przydadzą się do kolekcji.

Okazało się, że Hanni niewiele ma mu do powiedzenia. Była zbyt zdenerwowana.

- Przyjechaliśmy tu i od razu wpadliśmy w kłopoty, pastorze. Było mi bardzo ciężko. Proszę, niech pan źle o mnie nie myśli tylko dlatego, że nie mieszkam z Lucasem na kościelnej ziemi...

- Dlaczego miałbym źle o pani myśleć?

- No... ojciec Beitz jest na mnie cięty, ale on nie rozumie i są rzeczy, o których nie mogę z nim rozmawiać...

Friedrich uśmiechnął się rozbijając.

- Potrafię to sobie wyobrazić.

- Naprawdę? - Wielkie błękitne oczy Hanni zrobiły się jeszcze większe.

417

Friedrich bawił się doskonale. Im wcześniej zacznie podważać pozycję starego kozła, tym lepiej dla niego.

- Tak. On ma już swoje lata. Nie rozumie naszego pokolenia. Rzekłbym, że nie ma o nim pojęcia. Czy zechcesz, bym przemówił do Lucasa w twoim imieniu? Spróbował rozpocząć jakoś proces pojednania?

- Nie, pastorze. Nie o to chodzi, tylko o inne straszne sprawy, o których nie mogę z nim rozmawiać. - Nagle wpadła w panikę. - Z nikim nie mogę o tym rozmawiać! - Odwróciła się, chciała odejść, uciec.

- Z nikim? Nawet z kimś, kto umie słuchać ludzi i zachować tajemnicę? Nie zdradzić jej nigdy nikomu? - ponaglił ją, ale Hanni tylko potrząsnęła głową. W jej pięknych oczach błyszczały łzy. - Więc może wkrótce? - zaryzykował. - Kiedy poczujesz się, siostrze, silniejsza.

- Tak - szepnęła. - Mam nadzieję. Mnie trudno jest nawet wejść do świątyni.

Friedrich bardzo się zdziwił. Nie pojmował, co się dzieje, ale z pewnością nie była to błaża sprawa. I nagle podbiegł ojciec Beitz i oczywiście wszystko popsuł. Chłodno skłoniwszy się pani Fechner, zwrócił się do wikarego.

- Mam nadzieję, że mówisz tej kobiecie o ścieżce prawdy?

- Naturalnie, ojczu. Masz rację. Siostra Fechner opowiadała mi właśnie o tym, jak bardzo ona i inni wierni polegają na radach ojca i jego przewodnictwie duchowym.

- Uch. Kiedy im to pasuje oczywiście. Możemy porozmawiać?

W tym momencie Hanni uciekła.

- Friedrichu drogi - Beitz znów stał się miły, przyjazny - tyle się ostatnio działo, że zapomniałem spytać cię o ofiary. O ile wiem, nie były błahe, a mnie, mój drogi, bardzo się przydadzą.

- Ofiary? Jakie ofiary?

- Te od naszych parafian z Hamburga oczywiście. Dziekan poinformował mnie, że wysyła nam wsparcie finansowe i że ty masz je dostarczyć.

Przywiozłeś dla nas pieniądze, prawda?

- Och, ojciec, jakże bym chciał je mieć! Ale dziekan nie dał mi nawet pensa. Miałem szczęście, wuj wyposażył mnie w skromne środki, dzięki którym mogłem tu przybyć.

418

- Przecież musisz coś dla nas mieć! Potrzebuję tych pieniędzy! Polegałem na nich!

Żeby kupić jakiś śmieszny dzwon, którego nikt nigdy nie usłyszy, do zawieszenia na nieistniejącej dzwonnicy? Dajże mi spokój, starcze, pomyślał Friedrich, ale głośno rzekł:

- Czyżby ojciec nie wiedział, że w seminarium wybuchł pożar? W kaplicy. Spaliła się do fundamentów.

- Och, nie! Tylko nie to! Była taka piękna! Boże, jakież to straszne! Taka tragedia!

- Owszem, ojciec. Dziekanowi złamało to serce. Ale zaczął zbierać pieniądze na odbudowę. Jak słyszałem, będzie kosztowała tysiące. Wszyscy, dosłownie wszyscy, ja też, bo miało to miejsce na tydzień przed opuszczeniem kraju, wyszliśmy na ulice żebrac. Nie mieliśmy nawet tyle pieniędzy, żeby zapłacić architektom. Bardzo mi przykro, ojciec. Mam wrażenie, że ofiary, o których wspomniałeś, przeznaczone jednak zostały na odbudowę kaplicy. Przykro mi.

Beitz odwrócił się i odszedł chwiejnym krokiem. Twarz miał białą jak kreda.

„Uczta” okazała się sukcesem, przede wszystkim dla trójki nowo przybyłych, dla których bogactwo egzotycznych miejscowych produktów nie było jeszcze czymś oczywistym i codziennym. Stoły ugięły się pod ciężarem ananasów, bananów, orzechów kokosowych i innych owoców,

których nazw Hubert Hoeppe dopiero się uczył. Z przyjemnością obserwował pastora Rittera, cieszącego się najwyraźniej doskonałym apetytem. Młody człowiek pochłaniał ogromne ilości podanego na zimno mięsa, gotowanych ziemniaków i ryb serwowanych przez Walthera przy osobnym stole. Nie dało się go natomiast namówić na ostrygi, które przynieśli dwaj miejscowi chłopcy.

- Są doskonałej jakości - zachęcał Hubert. Bezskutecznie.

Po lunchu zgromadzili się razem. Śpiewali piosenki przypominające im ojczyznę. Przy pierwszej okazji Hoeppe powiedział ojcu Beitzowi, że od dawna nie bawił się tak wyśmienicie. Wyraz ulgi na twarzy starego pastora niemal natychmiast zastąpił szeroki uśmiech.

- Tak się cieszę, że miło spędziliście czas, moi drodzy. Bałem się, że nasza biedna maleńka wspólnota wyda się wam żalosna

419

po wspaniałościach Hamburga. Ale, ale... macie od nas stale zaproszenie. Przyjeżdżajcie, kiedy tylko zechcecie, zwłaszcza na nabożeństwa. W końcu jesteście członkami tej społeczności od samego jej początku. Rolf Kleinschmidt odwiózł ich do hotelu. Gdy zostali sami, Adela powiedziała:

- Niemniej bardzo to dziwne. Kościół jest śliczny, ale... ilu ich mieszka w tych chatach?

- Nie jestem pewien. Mam wrażenie, że tego, i nie tylko tego, dowiemy się od Jakoba Meissnera.

Wizyta na farmie Meissnera była dla nich kolejnym objawieniem. Jakob przyjechał po nich osobiście wygodną bryczką o wyściełanych siedzeniach. Przede wszystkim ostrzegł, że podróż będzie długa. Potrwa

kilka godzin.

- Wielkie nieba, człowieku, to o której wyjechałeś z domu?

- Wcześniej - uśmiechnął się wesoło. - Nie martwcie się, proszę, dla mnie to przyjemność.

Po drodze zatrzymywali się kilkakrotnie. Najpierw u kowala, który musiał na nowo podkuć konia, potem na chińskiej farmie warzywnej, gdzie poczęstowano ich aromatyczną herbatą i drobnymi ciasteczkami, podczas gdy Jakob dyskutował z właścicielem o płacalność przeróżnych upraw.

Hubert i Adela po raz pierwszy w życiu widzieli Chińczyków.

Zafascynowała ich pogoda ducha gospodarza, któremu wszystko, co mówili, wydawało się bardzo zabawne. Hubert dokonał kilku zakupów, w tym również dla Fredy; była to forma podziękowania za herbatę. Zdumiała go ilość pomidorów i innych warzyw wrzuconych do bagażowej części bryczki.

- Kupiłeś to wszystko? - spytał Jakoba.

- A bo ja wiem, co kupiłem? - roześmiał się tamten wesoło. - Nigdy nie wiem, co tu dostanę. Po prostu wręczam parę monet i czekam, co dadzą.

Tak czy inaczej Freda będzie bardzo zadowolona. Ciągłe próbuje wyhodować tyle warzyw, żeby wystarczyły na nasze potrzeby.

Następnie odwiedzili dom sąsiada i współnika ich gospodarza, Irlandczyka Mike'a Quinlana. Okazał się czarującym mężczyzną, mieszkał jednak szalenie prymitywnie, w chacie z blachy falistej, oddalonej nieco od długiej prostej szopy zamieszkannej przez robotników - Kanaków.

420

Adela wykorzystała pierwszą okazję i gdy tylko znaleźli się sami, spytała z niepokojem:

- Pan Meissner wspomniał, że jego dom na farmie jest prymitywny.

Myślisz, że podobny do... tego?

- Skąd mogę wiedzieć? Nie zapominaj, proszę, o dobrych manierach. W końcu jesteśmy gośćmi.

Na miejscu czekało ich bardzo przyjemne rozczarowanie. Dom Meissnerów był niski, długi, drewniany, z gontowym dachem i werandą wzdłuż całej ściany frontowej. I nowy. Dopiero teraz Hubert przypomniał sobie, co powiedział mu ojciec Beitz: że ich pierwsza siedziba spłonęła w pożarze lasu. Niewybaczalne, że zapomniał o czymś tak okropnym, ale od chwili gdy zeszli ze statku, bombardowani byli takim mnóstwem wiadomości, w tym zyskaną po drodze od Jakoba informacją, że wspólnota jest w głębokich kłopotach finansowych, że już od dawna kręciło mu się w głowie.

Weszli do środka. Rozejrzał się i pomyślał, że te warunki życia trudno nazwać prymitywnymi. Dom lśnił nowym drewnem, cedrowe deski w podłodze pachniały słodko zwłaszcza w pokojach, które nie zostały jeszcze umeblowane. Brak mebli nie martwił gości w najmniejszym nawet stopniu. Odwrotnie, sprawiał, że w ich wizycie było coś z atmosfery pikniku. Nie ma mowy o sztywnej etykiecie, gdy siedzi się na krawędzi werandy i swobodnie oddycha upalnym, ale świeżym powietrzem.

Otoczenie... o, to była zupełnie inna historia. Świeża zieleń nie zdążyła jeszcze zamaskować śladów po pożarze tak wielkim, że musiał być dla nich ciosem niemal zabójczym.

Dopiero kiedy oddalili się od domu, Hubert pojął, jak ciężka praca czeka jeszcze gospodarza i jego syna... I od myśli o niej zakręciło mu się w głowie. Przy pomocy kilku kolorowych zaczęli żmudne oczyszczanie

gruntu, co według wszelkich rozsądnych przypuszczeń miało im zająć lata, choć zamierzali uzdatniać ziemię po kawałku i na tak przygotowanej sadzić trzcinę cukrową. Oczywiście Meissnerowie nie wątpili w jasną przyszłość, nastawieni byli wręcz entuzjastycznie, choć nie ukrywali, że te plany wymagać będą od nich nader oszczędnego życia, ponieważ nie będą mieli czasu na prowadzenie normalnej farmy, czyli w ostatecznym rozrachunku samowystarczalnego gospodarstwa. W każdym razie nie będą mieli czasu mężczyźni. Ale najwyraźniej pani Meissner nie bała się roli jedyne go farmera w rodzinie.

421

- Okazało się, że mogę tu uprawiać przeróżne rodzaje bardzo interesujących i smacznych warzyw - powiedziała. - Próbuję przekonać przynajmniej niektórych Aborygenów, żeby zamieszkali przy nas na stałe, pomogli w pracy. Nie jest aż tak ciężko. Kury niosą się doskonale, w rzece pełno ryb. Oczywiście mięso będziemy musieli kupować u sąsiada, ale baranina jest bardzo tania, no i wokół aż roi się od dzikich zwierząt. Byli mężczyźni mieli czas na polowanie.

„Nie jest aż tak ciężko.” Hubert Hoepfer wspominał słowa Fredy, powtarzał je sobie, nawet gdy znaleźli się już w hotelu.

„Nie jest aż tak ciężko.” Przecież oni wszyscy musieli harować wręcz niewyobrażalnie! Twarze już mieli schłostane wiatrem, ubrania zniszczone. Ich determinacja imponowała mu niewymownie, wzruszające było, że zrobili sobie dzień wolny na przyjęcie gości, a jedno z cennych kurcząt poświęcili, by podjąć ich smaczną kolacją. Dlatego właśnie - mimo próśb Adeli - postanowił nie przyjąć ich propozycji, by zostać dłużej. Nie miał zamiaru narzucać się przyjacielom.

Przypomniął sobie marzenia, które piastował w dawnych czasach, marzenia dotyczące całej rodziny: piękna wiejska rezydencja królująca nad zielonymi polami położonymi na łagodnych wzgórzach. Musiał przyznać, że jego marzenia w żaden sposób nie przystawały do rzeczywistości. Nie był to kraj łagodnych pejzaży, klimatu i ludzi, lecz raczej kraj twardy i trudny do okiełznania, bardzo stary, niechętnie witający przybyszów. Każdy krok zmierzający do jego opanowania, do władzy nad wszechobecną dziką przyrodą, miał być trudny, najeżony problemami, wręcz niebezpieczeństwami... Czy jego wychowani w mieście synowie dorosliby do tego wyzwania? Natychmiast zwrócił myśli w innym kierunku. Być może nie spodobałaby mu się odpowiedź na te wątpliwości. Na przykład ojciec Beitz. Jakob zdradził mu więcej szczegółów dotyczących funkcjonowania wspólnoty. Pastor gotów był wprowadzić życie „w zgodzie z naturą”, ale z czterech mężczyzn, którzy przy nim pozostali, tylko bracia Lutze wydawali się zadowoleni z tego układu.

- Walthera trzyma lojalność - tłumaczył Jakob. - A Lucas nie ma dokąd pójść.

- Przecież... Sądziłem, że wy wszyscy chcieliście założyć wspólne gospodarstwo, żyć na wspólnej ziemi.

422

- Tę ziemię zbyt trudno oczyścić. To znaczy, zabrałoby to za wiele czasu. A nam wszystkim brakuje pieniędzy. Moim zdaniem o to właśnie chodzi. O brak funduszy.

- A może brak poświęcenia?

- Może. Ale wszyscy mamy nadzieję, że nasza wspólnota jakoś przetrwa.

Hubert rozważał tę wymianę zdań. Długo rozmawiał z gospodarzem,

dyskutowali przeróżne możliwości poprawy sytuacji. Freda kilkakrotnie powtórzyła stanowczo, że żadna kobieta nie zgodzi się mieszkać u pastora, póki nie pobuduje się tam przyzwoitych domów, a na to było już za późno. Ludzie po prostu się wyprowadzili.

- Może powinienem porozmawiać z niektórymi z wiernych

- powiedział Hubert do siebie. - Jutro zacznę od pań pracujących w tym hotelu, a potem znajdę rodzinę Rolfa.

Siedzący w obcym mu zupełnie otoczeniu hotelowej kuchni Hubert Hoeppe słuchał plotek. Dowiedział się z nich o niezwykle szybkim awansie pani Zimmerman: od kucharki na godziny, w zastępstwie, do pełnego etatu, jej poprzedniczka bowiem uciekła z pastuchem, kawalerem.

- U niego będzie panią domu i kucharką - śmiała się Eva.

- Mam szczęście.

Dowiedział się także, że jej mąż próbuje zbić majątek, poszukując złota na jednym z wielu pól złotonośnych, którymi ten kraj był najwyraźniej naszpikowany. Eva nie wydawała się zachwycona tym obrotem spraw, Hubert więc szybko zmienił temat. Zapytał ją, jak ocenia obóz wspólnoty.

- Nie nadaje się do zamieszkania - powiedziała bez ogródek. - Nie mogłabym tam żyć, nawet gdybym chciała. Pastorowi nie podoba się, że posłałam dzieci do miejscowej szkoły. Twierdzi, że więcej dowiedzą się w kościelnej szkółce... kiedy wreszcie ją otworzy.

- Ale na razie dzieci będą chodzić do szkoły państwowej?

- Tak, oczywiście.

- Proszę odpowiedzieć mi na jeszcze jedno pytanie. Czego oczekiwała pani po przyjeździe do tego kraju? Co miało się zmienić?

- Ja? - Eva wyprostowała się, podparła pod boki, zastanawiała się chwilę.

- Niech pomyślę. No więc powiem panu,

423

panie Hoepfer, że z naszego przyjazdu wynikły i dobre, i złe rzeczy.

Myślałam, że będziemy mieszkać na wielkiej farmie, ogrodzonej, żeby nie nachodzili nas czarni, że będziemy wspólnie pracować i żyć odtąd szczęśliwie po kres naszych dni.

- A szkoła?

- No... sądziłam, że będziemy mieli szkołę. Że pastor będzie uczył nasze dzieci.

- W tej kwestii zmieniła pani jednak zdanie.

- Nie wiedziałam, że mają tu darmowe szkoły. I nie myślałam o języku. Spodziewałam się, że pastor będzie nauczał po niemiecku, zresztą takie są jego zamiary. Ale panie Hoepfer, może porozmawia pan z nim na ten temat? Bo to na nic. Nasze dzieci muszą przecież uczyć się angielskiego, opanować ten język tak szybko, jak to tylko możliwe. Teraz to wiem, ale wcześniej nie wiedziałam.

- A gdyby istniała luterańska szkoła z lekcjami po angielsku? - spytał Hubert myśląc o pastorze Ritterze. - Czy wówczas rozważyłaby pani przeniesienie dzieci do wspólnoty?

- Och nie, proszę pana. Jest jeszcze jedna sprawa.

- Jaka, pani Zimmerman?

- Szkoółka misyjna. Ojciec Beitz nie mówi o niczym innym, jak tylko o szkółce misyjnej. Szczerze mówiąc przed wyjazdem w ogóle o tym nie myślałam, po prostu czekałam, co będzie. No i jak to ma wyglądać teraz? Powstaną dwie szkoły?

- Nie sądzę. Nie bardzo odpowiada to sytuacji.

- Z całym szacunkiem, panie Hoepfer, ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Wreszcie jestem wolna. Nie wrócę do wspólnoty, choć będę przyjeżdżała na nabożeństwa. Pani Fechner jest tego samego zdania.

- Kto używa mego imienia nadaremno? - Do kuchni weszła uśmiechnięta młoda kobieta w stroju pokojówki, dźwigająca dzbanki na wodę z pokojów gości. Dostrzegła Huberta i drgnęła nerwowo. - Och, przepraszam, bardzo przepraszam. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłam?

- Ależ skąd! - odparła z dumą Eva. - Pan Hoepfer wpadł zamienić ze mną kilka zdań. Chciał się dowiedzieć, jak żyjemy i w ogóle. Namówiłam go na filiżankę herbaty.

- Nie zostanę długo. Muszę tylko umyć te dzbanki...

- Proszę poświęcić mi chwilkę - przerwał jej Hubert. - Rozmawialiśmy o tym, jak żyje i rozwija się wspólnota.

424

- Ach, o tym! Kogo to obchodzi?

- Rozumiem. - Hoepfer mówił spokojnie, ostrożnie dobierał słowa. - Zakładam, że rozczarowała się pani. Czy słusznie?

- Bardzo słusznie. Oczekiwałam, że będziemy mieli własną wioskę, a że ziemi tu tyle, a rodzin mało, każdy powinien dostać własną farmę.

Byliśmy gotowi pracować ciężko, bardzo ciężko... żeby zarobić mnóstwo pieniędzy.

- Co potem? Jaki użytek zrobiłaby pani z tych pieniędzy?

- Wróciłabym do domu. Kupiłabym gospodarstwo w Niemczech.

Pojawił się pastor Ritter, co nie było bynajmniej rzadkością, zwłaszcza w porze posiłków; zawsze chętnie wykorzystywał okazję. Tym razem jednak i on gotów był wylać swe żale związane ze wspólnotą, miał także prośbę

do Hoeppera, dotyczącą ojca Beitza.

- On nie rozumie - poskarżył się. - Nie rozumie, panie Hoepper, że Aborygenów powinniśmy traktować tak jak Kanaków pracujących na plantacjach trzciny. Mają pracować na naszych polach w wyznaczonym czasie i za wyznaczone z góry wynagrodzenie. Dzięki temu oczyszczalibyśmy naszą ziemię znacznie szybciej niż dotychczas, stalibyśmy się samowystarczalni i może nawet zaczęli zarabiać. Jakichś trzydziestu krajowców i nasza sytuacja finansowa poprawiłaby się błyskawicznie. Wie pan, że na kościelnym rachunku jest debet?

- Tak, oczywiście. Nieprzyjemna sprawa. Rozmawialiśmy właśnie, jak zaradzić problemom...

- Dziękuję. Wszystkie datki przyjmujemy z wdzięcznością.

- Wątpię, by na dłuższą metę datki miały jakieś znaczenie. - Hoepper pokręcił głową. - Jakie jest zdanie ojca Beitza w kwestii zatrudniania tubylców?

- Z całą pewnością negatywnie. Ojciec Beitz wierzy, że gdy tylko nawrócą się na chrześcijaństwo, będą pracować za to, co da się im z łaski i z miłości do Boga. Żyje w świecie marzeń.

- Możliwe. - Hubert zamyślił się nad tym, co można zrobić, by ocalić jego marzenia.

Pogadał z chłopakami pracującymi po drugiej stronie ulicy, na nabrzeżu. Ciekaw był opinii Maxa i Hansa, choć rozbawiły go lekko ich zwierzenia. W tej chwili całkiem zadowolony z życia,

425

i oni przeszli okres wielkiego rozczarowania. Ci prości chłopcy zrozumieli natchnione słowa ojca Beitza dosłownie. Jako żołnierze Chrystusa

oczekiwali wielkich przygód w dalekiej dzikiej krainie i walk z okrutnymi krajowcami, poganami atakującymi ich malowniczą dostatnią wioskę.

- I co? - spytał retorycznie Hans. - Ci tubylcy to całkiem fajni ludzie.

Śmieją się z tego, jak ciężko pracujemy. Żadnych przygód nie przeżyliśmy, ale to w porządku. Przynajmniej nie marzniemy i obaj lubimy nasz obóz w środku dżungli.

- Miło słyszeć. Wspomniałeś, że Aborygeni śmieją się z tego, że pracujecie, ale... z czego dokładnie? Że pracujecie fizycznie?

- Nie. Oni twierdzą, że wokół pełno jest jedzenia za darmo: ryby, dzikie zwierzęta, wszystko co rośnie, więc po co ścinamy drzewa i krzaki dla jedzenia, skoro ptaki i kangury zadowolają się tym, co rośnie?

- Rozumiem, że waszym zdaniem tubylcy nie będą pracować jak Kanakowie?

- Nie ma mowy! My też nie. Biedacy harują, że się w głowie nie mieści. - Max zadrzał na samą myśl o takiej pracy.

- Nie zamieniłbym się z nimi. Są tak daleko od domu. W dodatku większość z nich porwano pewnie z tych ich wysepek. Będą mieli mnóstwo szczęścia, jeśli kiedyś wrócą do domu.

- Skąd wiecie?

- Wszyscy wiedzą. Czarni nie są głupi. Trzymają się z dala od nas, nie wchodzą w drogę, nie chcą oberwać i dać się zapędzić do takiej roboty. Lubią ojca Beitza, bo jest dla nich miły i uprzejmy. Daje im spokój.

- Tylko że chce przywieść ich do Pana - włączył się Hans.

- Ale to dobrze. Będziemy mieli szkołę dla ich dzieci, jest ich jakaś czterdziestka. Wkrótce zaczniemy przygotowywać ziemię. To będzie wspaniały dzień.

Hubert z niepokojem rozważał szczegóły rozmowy, idąc ulicą po Adelę, która czekała na niego w domu Kleinschmidtów. Zaprzyjaźniła się z Rosie, no i oczywiście pokochała maleńką Louise, na której skupiała się uwaga wszystkich.

Napił się kawy, która odpowiadała mu znacznie bardziej niż herbata, po czym zaczął wypytywać Rosie; w tej chwili najbardziej interesowały go sprawy wspólnoty.

426

- Wygląda na to - powiedział - że każdy oczekiwał od nowego świata czego innego i nikt nie przewidział, jak jest w rzeczywistości.

Młoda matka roześmiała się wesoło.

- Helenę Wagner i ja doznałyśmy szoku zaraz po zejściu z pokładu. Ci czarni zupełnie nadzy, jakaś ruina udająca miasteczko, nie mająca nawet przyzwoitych ulic... No, to się nie zmieniło...

- Mnie chodzi raczej o wspólnotę.

- Och, Boże! To był najgorszy szok. Ja przecież ani przez chwilę nie wątpiłam, że płyniemy na tropikalną wyspę z szerokimi białymi plażami, powiewającymi na lekkim wietrze palmami, cudowną pogodą... a trafiliśmy na nieprzebytą dżunglę przy końcu nędznej gruntowej dróżki, z której kurz unosił się pod niebiosami.

- A myślała pani może, w jaki sposób mężczyźni będą zarabiać na życie na tej wymarzonej wyspie?

- Nie sięgałam myślą tak daleko. - Rosie uśmiechnęła się uroczo. - Nawet Rolfowi nigdy nie powiedziałam o tych swoich marzeniach. Czułam się tak strasznie głupio!

- A czekały na was drewniane chaty - uzalila się nad nią Adela. - To

dopiero musiało być okropne.

- Wcale nie. Wyglądało raczej na dobrą zabawę. W każdym razie mnie nie przeszkadzało. Zdaje się, że Rolf zabiera was jutro na drugą stronę rzeki.

Odwiedzicie resztę rodziny.

- I obejrzymy sobie plantację trzciny cukrowej - dodała Adela. -

Zapowiada się fascynujący dzień. Dołączą do nas pan Meissner i Karl. Ich też ciekawi, jak wygląda taka farma... i destylarnia. Przecież mają zamiar wejść w ten interes.

Następne kilka dni spędzili jeżdżąc po okolicy. Najpierw zgodnie z planem przepłynęli rzekę, potem udali się na nieoczekiwaną jednodniową wycieczkę wzdłuż wybrzeża oceanu, by odwiedzić państwa Wheatleyów, właścicieli wielkiego owczego rancza, których poznali na statku żeglugi przybrzeżnej. Tym razem wielka i bardzo wygodna jednostka zabrała ich na morze, a raczej do zatoki, tej samej, którą przepłynęli w drodze do ujścia rzeki Burnett.

Trudno im było oprzeć się wrażeniu, że ludzie ich pokroju, właściciele wielkich rancz owczych w głębi kraju, jak jeden mąż

427

postanowili stawiać domy na plaży, chroniące przed upałami tutejszego lata. Przez cały ranek bawili się doskonale, szukając odpowiedniego miejsca, po czym usiedli w cieniu potężnego drzewa i urządzili sobie piknik z pysznym lunchem.

- Pan też powinien zająć działkę, panie Hoegger - poradził mu gospodarz.

- Przecież to prześliczne miejsce, sam pan widzi, a spory nadział można uzyskać za grosze.

- A jakie duże są te grosze? - uśmiechnął się Hubert.

- W tej chwili to kilka szylingów. Ziemia nie za dobrze nadaje się na pastwisko, a leży tak daleko od miasta, że jej wartość komercyjna jest znikoma.

Hoepper spojrział na nich zdumiony.

- Dobrze, wchodzę - powiedział po krótkiej dyskusji. - Wybrzeże jest bardzo piękne i... popatrzcie tylko - wskazał płynący przez zatokę statek - będziemy z ganku obserwować ruch morski.

W hotelu czekał już na nich Rolf pragnący porozmawiać z panem Hoepperem spokojnie, w cztery oczy.

- Coś się stało? - spytał Hubert zaniepokojony.

- Jeszcze nie. Ale może mógłby pan pogadać z ojcem Beitzem... w naszym imieniu.

- Chodzi o finanse parafii?

- Tak. Hoepper westchnął.

- No nie wiem - powiedział szczerze. - Rozmawiałem już na ten temat z pastorem Ritterem, ale przykro mi, nic nie mogę zrobić, nie chcę się wtrącać w nie swoje sprawy. To wy powinniście jakoś to załatwić.

Doprawdy żał, że oryginalny plan wspólnoty żyjącej na szesnastu hektarach kościelnej ziemi nie dał się zrealizować, ale...

- Pan wybaczy, ale po mojemu nie mogło się nam zdarzyć nic lepszego.

Dzięki temu staliśmy się członkami wspólnoty, nie wyizolowaliśmy się z niej na własne życzenie, a to nie najlepszy sposób na życie, taka wzajemna zależność. I miejscowi pewnie zaczęliby podejrzewać, że coś planujemy.

Powiedziałbym, że wszystko idzie dobrze, tylko że ojciec Beitz nie akceptuje ograniczeń.

- Jakich?

- Proszę pana, to małe miasteczko. Wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Właśnie dowiedziałem się, że pastor poprosił bank o zwiększenie kredytu. Chce zbudować szkołę.

- Dla kogo? - zaniepokoił się Hoepper.

- Ma to być szkoła misyjna. Dla czarnych dzieci. Proszę zrozumieć, nie sprzeciwiam się idei, rzecz w tym, że nie ma na to pieniędzy. Płacimy składki na duchownych i kościół, to duży ciężar dla ludzi próbujących zacząć nowe życie w nowym kraju. Jeśli ojciec wpędzi nas w dodatkowe długi, większość po prostu umyje ręce i tyle. On pozostanie bez żadnego wsparcia.

- A może wy omówilibyście z nim tę sprawę? Wystosujcie delegację...

- Nie. Pan nie rozumie. Ojciec Beitz był proboszczem przez długie, długie lata. Tam skąd pochodzi, parafianie nie napominają proboszcza, nie próbują się mu sprzeciwić. On nie zechce nas słuchać. Nie zrozumie, że możemy mieć coś do powiedzenia. Natomiast pan... zapewne jest pan w stanie przemówić mu do rozsądku. Przynajmniej taką mam nadzieję. Jeśli nie, to nasi pastory będą musieli radzić sobie sami.

Ojciec Beitz bardzo cenił uzdrawiające właściwości modlitwy i Bóg znów go nie zawiódł. Zdenerwował się, naprawdę zdenerwował na wieść o tym, że zniszczona została piękna kaplica hamburskiego seminarium, ale - i tu grzeszył - znacznie gorzej zniósł informację o utracie funduszy. Mówiąc szczerze doprowadziło go to do rozpacz. Odzyskawszy przytomność umysłu, uznał, że musi błagać o wybaczenie win. Zapomniał o zasadzie, której wierny był aż do tej chwili: Bóg da, jeśli taka jest jego wola. Jako receptę na swe słabości zapisał wszystkim ciężką pracę.

Przy pomocy Friedricha i kilkunastu tubylców ustalił dzienną normę oczyszczania ziemi, przede wszystkim z tych piekielnych kamieni, których wszędzie było pełno. Przeznaczone były na ogrodzenie przy wjeździe na ich działkę, ogrodzenie, które zaczęło wyglądać nader atrakcyjnie. W chwili gdy stał zachwycony, podziwiając budujących je troskliwie miejscowych młodzieńców, podszedł do niego Tibbaling.

- Wygląda wspaniale, prawda? - odezwał się duchowny.

- Po co? - spytał go Aborygen. - Po co ogrodzenie?

429

Próbował mu wytłumaczyć, że chodzi tylko o efekt, wszak mur sięgający pasa nie był w stanie powstrzymać kogoś wkraczającego na ogrodzony teren lub z niego wychodzącego, lecz w końcu musiał się poddać.

- A przy okazji, spotkałeś pastora Rittera, naszego nowego duchownego?

Tibbaling dostojnie skinął głową.

- A, tak. Widziałem go. Dwóch-w-jednym.

- Co?

- Dwóch-w-jednym. Nowy towarzysz twój. Święty?

- Dlaczego to powiedziałeś?

- Dlaczego pytasz? Święty człowiek idzie ze Świętym Duchem, tak?

Beitz zamrugał oczami zdumiony. Nie pojmował tej logiki.

- Tak, oczywiście. Oczywiście. Święty człowiek. Masz rację. Tak. Idzie z Duchem Świętym.

Tibbaling usunął się na bok. Patrzył na trujących się białych ludzi; zakładał, że ocie Bęc chce zasadzić więcej jedzenia, co uznał za bezpieczniejsze źródło pokarmu niż zasoby buszu, choć było to mniej smaczne pożywienie. Dotyczyło to zwłaszcza tych ich liści. Widział

Dwóch-w-jednym, a obok niego Toma Wielkiego Palucha i Skaczącego Jima, dwóch z jego ludzi podważających ogromne kamienie żelaznymi drągami.

Ten nowy święty człowiek był krzepkim młodzieńcem. Tibbaling widział go nagiego w kąpieli i podziwiał kształty jego ciała. Przyjemność sprawiło mu to, że na widok chętnych dziewcząt zareagował jak mężczyzna. Lubił wszystkich białych mieszkających w tym obozie, lecz do czasu kiedy pojawił się tu Dwóch-w-jednym, żaden z nich nie wziął do łóżka kobiety. Była to dla niego wielka tajemnica. Nie to, żeby ten nowy święty człowiek rzeczywiście wziął kobietę, ale z pewnością okazał, że nie ma nic przeciwko temu. Ciekawe byłoby obserwować, co będzie się teraz działo. No i najwyższa pora nauczyć chętne dziewczęta, by trzymały się z dala od obozu. Tibbalingowi nie podobało się, że dziewczyny z plemienia obcują z białymi mężczyznami, osłabiało to silne więzi rodzinne. Skąd on miał wiedzieć, z jakich rodów pochodzą biali?

Pojawił się ocie Bęc, potrząsnął kijaszkiem ku trzem młodym jak stara baba, krzyczał, żeby wzięli się do roboty, a nie stali i gapili się w niebo. Tibbaling trzymał się za brzuch ze śmiechu.

430

Przecież zrobili sobie zaledwie krótką przerwę. Nie wątpił, że Tom Wielki Paluch i Skaczący Jim nigdy więcej nie zgłoszą się na ochotnika do tej pracy, choćby mieli dostać za nią miskę gulaszu Walthera. Dwóch-w-jednym patrzył na wodza spojrzeniem zdolnym zabić. Chyba i jemu nie podobała się ciężka praca. Stary Aborygen nawet stąd czuł woń jego niechęci, a Święty Duch, zawsze towarzyszący ojcu Friedrichowi, rozmył się, niemal niewidoczny na tle chmur wiszących nisko nad horyzontem.

Tibbaling odetchnął głęboko przez nos, poznawał zapach powietrza. Nadeszła najgorsza pora roku na burze, zbyt często padał deszcz, było zbyt gorąco, wiatry wiały w różnych kierunkach, były jak spory w skłóconej rodzinie. Miał nadzieję, że duchy pozostają czujne. Na myśl o duchach coś mu się przypomniało. Dlaczego Święty Duch chodził z ojcem Friedrichem, a nie z oćcem Bęc? Z pewnością ten drugi był starszy. I dysponował wielką mądrością, dziełem wieku. Ten młody duchowny musi być kimś bardzo ważnym, nie było żadnego innego wyjaśnienia. Chętnie wypytałby oćca Bęc, ale to chyba nie byłoby miłe. Nie byłoby uprzejme. Kimże był, by dochodzić sposobów działania duchów białego człowieka? Weźmy na przykład mężczyznę, na którego wołano Mikę. Pochodził z innego klanu niż ci ludzie. Nawet mówił inaczej. Był dobry. Billy go lubił. Tylko dlatego próbował ostrzec go, że morskie ptaki krzyczą imieniem jego matki. Pomyślał, że duchy Mike'a muszą być silne, skoro potrafią zyskać głos na obcej ziemi, przemawiać przez ptaki. Ale... mogła to być przecież zaledwie matczyzna miłość. Pożegnanie ukochanego syna. Bywa i tak.

Westchnął ciężko. Billy powiedział mu, że Mikę nie wie, iż jego matka się utopiła. Jeszcze nie wie. Zginęła w głębinach morza wraz z tak wieloma szlochającymi duszami z wielkiego statku. Niech i tak będzie.

Przeszedł wzdłuż grządek w stronę wyjścia. Zatrzymał się i odwrócił bez żadnego szczególnego powodu. Może chciał uśmiechnąć się, pomachać ręką? Lecz to co zobaczył, sprawiło, że zamarł zdumiony i przerażony. Oćcie Bęc pochylał się nad roślinami ze swego ogródka, sprawdzając, jak się przyjęły. Daleko po drugiej stronie ogrodu stał Dwóch-w-jednym. Poza nimi Tibbaling nie widział nikogo. Nie widział ducha. Inni znikli, nie tylko

robotnicy, ale nawet Święty Duch. Pozostali tylko dwaj mężczyźni. Nowy kapłan stał wyprostowany,

431

wyprostowany i dumny, potem ten rozbłysk. Tibbaling nie wierzył własnym oczom. Nowy szaman pokazywał kość oócu Bęc! Pokazywał kość! Wzywał na niego śmierć! Na biednego starego oóca Bęc.

I nagle ten obraz znikł. Był tylko rozbłysk, krótkie zdarzenie. Wszyscy wrócili, pracowali pilnie. Za oócem szły kobiety zbierające do koszy jego jedzenie. Tom Wielki Paluch pojękiwał i myślał tylko o tym, jak uciec z pola, Dwóch-w-jednym spulchniał ziemię wokół kamienia, spokojny, cichy, za nim zaś jak zwykle niczym nieodłączny cień podążał Święty Duch. Skaczący Jim wyciągał kamień za pomocą liny.

Tibbaling odszedł w busz. Usiadł pod zasłoną gęstych liści. Musiał to sobie przemyśleć. Nie był Quinlanem, który niestety nie umiał odczytać znaków, lecz starym smutnym człowiekiem. Nie musiał drapać się po głowie, nie musiał palić ognia, patrzeć w dym, rozważał takie zdarzenia bez zbędnych rekwizytów. Był smutnym człowiekiem, tak smutnym, że nagle nie chciało mu się nawet patrzeć.

Jak to możliwe? Dlaczego ktoś chciałby wskazywać kością kogoś tak dobrego i w dodatku starszego od siebie? Kogoś, kto żył bez winy, a to przecież widać od razu. Dlaczego źle życzyć takiemu mężczyźnie? Stary szaman nie wątpił w to, co widział. Nie wątpił w świadectwo własnych oczu. A także wiedział, że nie ma prawa się wtrącać. To była sprawa plemienna. Plemienia białych ludzi. Tylko że widział to, co widział, czyli prawdę. Wielu czarnych próbowało sztuczki ze wskazaniem wroga kością, nie wiedząc, jak przeprowadzić właściwą ceremonię, więc

był to właściwie gest bez znaczenia... bo i dlaczego miałby mieć jakieś znaczenie? Tibbaling myślał o tym, że nie wolno dopuścić, by ludzie biegali w kółko, wskazując kością kogo popadnie. W obozie zapanowałyby nieopisany zamęt.

No i z pewnością nowy kapłan nie ma pojęcia, jak przeprowadzić ceremonię, w każdym razie jak to zrobić skutecznie, więc i o tym pomyśl, starcze.

Myślał. Żuł tytoń i cały czas myślał.

Objawiło mu się wreszcie, że znów zyskał do niego dostęp duch białych. Czyżby nazbyt się do nich zbliżył? Czyżby dał się wciągnąć w ich sprawy? Czy nie czas oddalić się, nim przestanie rozumieć cokolwiek?

432

Była to myśl przerażająca. Mijały godziny, a Tibbaling siedział w tym samym miejscu, patrzył na pole. Robotnicy dawno skończyli pracę, chmury na jasnym niebie zasnuła ciemność, a on nie ośmielał się odejść, nim jego stare, stare serce pojmie znaczenie wydarzeń. Mięśniami szarpały skurcze, czuł ból wiekowych kości, ale nie ustępował. Na jego oczach odbyła się ceremonia wskazywania kością, nie mógł i nie zamierzał temu zaprzeczyć, choć głosy starały się go zagłuszyć, uciszyć, odwrócić uwagę, złe głosy, inne zaś, słodkie i ciche, mówiły, że przecież mógł coś sobie wyobrazić; walczył z nimi wszystkimi, wszak coś było złe w tej ceremonii. Widział ją wielokrotnie w ciągu swego długiego trudnego życia; powinien wiedzieć - mówiły głosy - że to tylko sztuczka. I to kiepska. Byle nowicjusz spisałby się lepiej.

Głosy zagłuszały się nawzajem. Niektóre przekonywały go, że to co widział, nie miało związku z rzeczywistością, inne próbowały wyjaśnić

mu, gdzie wszystko pomylił, on jednak nie chciał ich słuchać, pragnął wejść głębiej, odnaleźć przyczynę, ostateczną przyczynę, te wody wszakże były zbyt głębokie. Mroczne. Przerazające. Zapłakał, porzucony przez swe duchy w dziele odczytania tajemnic świata białych.

- Przestań - słyszał. - Nie zrzucaj na nas tego ciężaru.

Lecz tego akurat nie mógł zrobić. Ociec Bęc był jego przyjacielem. Raz po raz powtarzał z naciskiem, że to dobry człowiek, na którego patrzy złe oko. Ktoś powinien się nim opiekować.

Podbiegł dingo, położył się, ogrzewał go ciepłem swego ciała. Dodawał mu odwagi. I było tak, póki wschodzące słońce nie przebiło nieba okrutnym blaskiem, stłumionym wkrótce przez groźne chmury.

Tibbaling skinął głową. Poklepał psa. W scenie objawionej mu w jednym błysku był fałsz. Kiedy świadomy swych czynów mężczyzna wskazuje kością, jest to czyn bardzo rzeczywisty. Nikt nie wie o tym lepiej niż ofiara. Ofiara pierwsza uświadamia sobie zagrożenie. Od tej jednej jedynej chwili wie, że choćby nie wiem co mówiła i robiła, nie wiem jak błagała, nie wiem jakie składała ofiary, nie wiem jak błagała o wybaczenie, umiera. Od tej jednej jedynej chwili.

I o to chodziło. Stary wstał powoli, niepewny, czy któraś z kości nie pęknie od takiego wysiłku, wyszedł na pole oca Bęc, rozejrzał się dookoła, nadal nie wolny od trosk i smutku. Nie miał

433

już wątpliwości, że to co widział, było odpowiednikiem wskazania kością w wersji białych. W ceremonii tkwił jednak błąd. Jakby odprawiał ją nowicjusz i o czymś zapomniał.

Ofiara musi wiedzieć! Musi zdawać sobie sprawę z zagrożenia! A więc...

póki nie wie, ocie Bęc jest bezpieczny.

Ocie Bęc nie wiedział, że rzucono na niego zaklęcie. Tibbaling bez problemu wyobraził sobie przyjaciela: budzącego się w tej chwili, wstającego z łóżka, rozmawiającego ze swymi ludźmi, nie czującego strachu. Nie czującego strachu... choć powinien być śmiertelnie przerażony. To on, Tibbaling, się bał. W chwili, w tej jednej chwili gdy powie oćcu, przyjdzie do niego, ostrzeże, uświadomi mu, że jest ofiarą złego czaru, włócznia zacznie szyć powietrze. Życie pocznie odpływać do źródła. Jedyną ochroną kapłana była niewiedza, nieświadomość nadchodzącego zagrożenia. A więc nie sposób było go ostrzec.

- Ale dlaczego? Dlaczego musiało się tak zdarzyć? Tibbaling wykorzystał całą moc płuc, całą siłę, by wykrzyknąć w niebo, do duchów, ptaków, zwierząt, mieszkańców wód:

- Dlaczego?!

Nikt mu nie odpowiedział. Nikt nie wiedział. To był najważniejszy fakt. Nikt nie wiedział! Dwóch-w-jednym i jego Święty Duch byli zbyt silni. Zbyt... dalecy. Mieli swoje powody.

Odchodził już, porzuciwszy gnębiący go trudny dylemat, szedł ścieżką białych do obozu swych ludzi, kiedy ptaszek, mały ptaszek, zaświergotł mu do ucha: „Nie, nie”. Tak cicho, że prawie niesłyszalnie. A jednak jego świergot bardzo zaniepokoił Tibbalinga, dodał kolejne do jego zmartwień.

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

Z ogłoszenia w czteroszpaltowej tutejszej gazecie Hubert dowiedział się, że prawnik, o którym wspomniał Jakob, pan Arthur Hobday z Maryborough, dla wygody swych klientów będzie przyjmował tego dnia w Progress Hall, więc udał się na spotkanie. Czekał cierpliwie w kolejce,

rozmawiając przyjacielsko z obcymi mężczyznami. Zdołał już przezwyciężyć nieśmiałość i przywiązanie do towarzyskich form na tyle, by bez skrępowania gawędzić z ludźmi zupełnie obcymi, co zdaje się było tutejszym zwyczajem. Zapewne przez poczucie obcości oraz dystansu do cywilizowanego świata, myślał. Nie uszły jego uwagi puste drogi i słabe zaludnienie Bundabergu wraz z okolicami.

- Przepraszam, że musiał pan czekać - powitał go przyjaźnie Hobday, gdy już się sobie przedstawili.

- Nie szkodzi. I tak nie mam nic do roboty.

- To smutne, co pan mówi. Z pewnością ma się pan czym zająć.

A owszem, pomyślał Hubert. Mam stawić czoło brodatemu lwu w sutannie... i to na jego terenie.

- Nie pracuję - wyjaśnił. - Zrezygnowałem. Można powiedzieć, że przeszedłem na emeryturę. Przybyłem tu z wizytą.

- Emerytura? W pańskim wieku? Nie uwierzę, pan mi na to nie wygląda. Inteligentnego, energicznego człowieka zawsze można rozpoznać po spojrzeniu. A inteligencja i energia nie znoszą bezczynności. Ale zaraz, chwileczkę, zdaje się, że za dużo mówię. Więc... co mogę dla pana zrobić? Jest pan może znajomym Jakoba Meissnera? Tak myślałem. Bardzo sympatyczny człowiek. Więc... w czym mogę panu pomóc?

435

Okazało się, że wymowny pan Hobday potrafi być dobrym słuchaczem.

Od razu doszli do porozumienia: prawnik miał wykupić określony obszar na wybrzeżu w imieniu klienta, ten bowiem nie wiedział, jakie procedury i formy płatności obowiązują w kraju i nie miał tu jeszcze stałego adresu.

- Jeśli wolno spytać, co pan robił przed... emeryturą? Proszę wybaczyć,

ale niezwykle wręcz ciekawią mnie przybysze z drugiej półkuli.

- Byłem kupcem - przyznał niechętnie Hoeppe. - Import, eksport, tego rodzaju rzeczy. W Hamburgu.

Prawnik prawidłowo zinterpretował jego wahanie.

- Ogromnie mi przykro, panie Hoeppe. Nie zamierzałem być natrętny.

Przed wyjściem niech mi pan zostawi swój adres, bardzo proszę. Oto mój bilet wizytowy. Jeśli wolno... może zechciałby pan odwiedzić

Maryborough? Służę za przewodnika. - Wstał i grzecznie odprowadził

Huberta do drzwi. Na pożegnanie uśmiechnął się i poklepał go po

ramieniu. - Biednemu małemu Bundabergowi przydałby się handlarz z

prawdziwego zdarzenia. Taki z instynktem i doświadczeniem, rozumie

pan?

- Dziś rano zamierzam odwiedzić wspólnotę ojca Beitza - oznajmił córce.

- Pojedziesz ze mną?

- Nie, tato. Dziękuję. Mam zamiar zrobić kilka szkiców nad rzeką.

- Nie odchodź daleko.

- Oczywiście, tato. To po drugiej stronie drogi.

Stajnia przy sąsiedniej przecznicy dysponowała całkiem przyzwoitym powozikiem. Wynajmował go kilkakrotnie dla siebie i Adeli, lecz akurat dziś miał nadzieję, że korzysta z niego ktoś inny. Okazało się jednak, że jest dostępny.

- Lepiej jechać powozem niż konno - powiedział stajenny. - Wygląda na to, że będzie deszcz.

- Tu zawsze wygląda na to, że będzie deszcz - uśmiechnął się Hubert. - A najgorsze jest to, że jak wygląda, to niestety pada.

I rzeczywiście kiedy wyjeżdżał z miasta, lało, lecz gdy dotarł na miejsce,

słońce zaświeciło radośnie, jakby nie wiedziało, co to chmury. I jak zwykle ojciec Beitz, uprzedzony przez swych tutejszych strażników, był gotów na powitanie gościa.

436

- Jakże miło znów pana widzieć, panie Hoepfer! Proszę, proszę. Mam same dobre wiadomości.

Te dobre wiadomości rozwiązały problem, z którym Hubert Hoepfer zmagał się całą drogę: jak poruszyć kwestię funduszu parafii. Ojciec Beitz truchcikiem przebiegł ścieżkę prowadzącą poza chaty i kościół.

Wyprowadził go na miejsce, w którym kilku krajowców zmagало się z gęstym buszem.

- Widzi pan? Oczyszczamy ziemię. Potrzebny mi płaski teren, na którym tak szybko jak to tylko możliwe, wybudujemy szkołę misyjną. Przyzwoitą szkołę, z dobrego drewna i desek, jak kościół. Można powiedzieć, że będą do siebie pasować.

Hubert spojrział na niego zdumiony.

- Szkoła misyjna - powtórzył machinalnie. - Przecież... miałem wrażenie, że parafii brakuje pieniędzy.

- Być może, być może. Bank jest innego zdania. Da mi pieniądze.

- Przecież już jesteście zadłużeni?

- No, owszem. Zwiększymy kredyt. Damy zastaw.

- Jaki zastaw?

- Ziemię oczywiście.

- Ależ, proszę... Każdą pożyczkę trzeba spłacić. Jak ojciec zamierza tego dokonać? Budowa i wyposażenie kosztują, ale oprócz tego szkołę trzeba jeszcze utrzymać, a dzieci tubylców nie będą przecież płacić za naukę.

- No, nie. Pan to martwi się o wszystko. Szkoła nie będzie wiele kosztować. Tyle co drewno, kilka ławek, potem jeszcze tablice.
- Ojczy, czy to nie dziwne, że chcesz budować szkołę z przyzwoitych materiałów, a sam z innymi mieszkacie w prostych chatach?
- W najmniejszym stopniu. Nasza szkoła ma być modelowa, ma stanowić wzór dla innych. Ludzie będą ją oglądać, ważni ludzie. Musi być doskonała. Już narysowałem plany. Będą dwie klasy oczywiście, jedna dla dziewcząt, druga dla chłopców...

Przemawiał entuzjastycznie, przedstawiał swe wielkie plany. Hubert popijał wodę, siedząc wygodnie w ocienionej części służącej za jadalnię. W końcu odetchnąwszy głęboko, zadał kilka kolejnych pytań.

- Czy ojciec może mi powiedzieć, z czego zostanie spłacona ta pożyczka?
- 437

- Walther się tym zajmie. - Pastor nie krył zniecierpliwienia. - A w najbliższe niedziele zorganizuję specjalną zbiórkę, tacę z przeznaczeniem na potrzeby szkoły.

Hubert pociągnął solidny łyk wody. Pożałował, że nie ma pod ręką nic mocniejszego.

- Obawiam się, że nie jest to takie proste, ojczy. Szczerze mówiąc w tej sytuacji nie wydaje mi się rozsądne brać kolejną pożyczkę.

- Nie mam wyboru... szkoła...

- Czy mylę się twierdząc, że dzieci można uczyć nawet w chacie? Ale ojczy, jest sprawa znacznie ważniejsza. Czy nie sądzisz, że przemęczysz się biorąc na siebie obowiązki nauczyciela w dodatku do tych, które już dźwigasz na barkach? Chodzi mi o to, że może warto wybudować tu stałe domy dla ludzi? Że to powinno być priorytetem.

Duchowny wyprostował się. Spojrzał na niego ostro.

- To pan źle uszeregował priorytety, panie Hoepper. Ja wykonuję wolę Boga. Mam nawracać pogan, prowadzić ich do Pana.

- A co z parafianami? Nie mają nic do powiedzenia? Przecież są związani ze wspólnotą. Przez ziemię, jeśli wolno mi ojcu o tym przypomnieć.

- Czy pan mnie krytykuje?

- Ależ skąd, ojcze. Próbuję ci tylko wytłumaczyć, że jeśli wystąpisz o pożyczkę, twoi ludzie zaniepokoją się nie na żarty. Być może dojdzie nawet do buntu.

- Do jakiego znowuż buntu? Bzdura. Skąd te śmieszne pomysły?

- Dano mi do zrozumienia, że parafianie przestaną wspierać wspólnotę.

Nie będzie datków. Nie możesz, ojcze, oczekiwać, że pracujący tu mężczyźni sfinansują kosztą prowadzenia parafii i raty kredytu. Przykro mi to mówić, ale może lepiej będzie, jeśli plany budowy szkoły misyjnej odłoży ojciec na przyszłość.

- Pan mnie rozczarowuje, panie Hoepper. Myślałem, że pojął pan znaczenie mojej wizji stworzenia tu wzorcowej niemieckiej społeczności z placówką edukacyjną dla naszej i czarnej młodzieży, modelowej, samowystarczalnej społeczności. Ale pan też, jak widzę, należy do niedowiarków. - Pastor wzruszył ramionami. - Nie potrafię ot tak, już teraz udzielić odpowiedzi,

438

którą mógłby pan przekazać innym niedowiarkom. Przedtem muszę oddać się modlitwie.

- Dziękuję, ojcze. Doceniam twą mądrość.

- O tak, oczywiście. A teraz pan wybaczy. Muszę wracać do pracy.

Później Hubert mógł z czystym sercem powiedzieć Rolfowi:

- Uraziłem uczucia biedaka. Szkoda, wielka szkoda.
- Lepiej, żeby to zrobił pan niż dyrektor banku, odrzucając jego podanie o zwiększenie kredytu. Znacznie bardziej by go to zawstydziło.

Hoepper powstrzymał się od stwierdzenia, że bank być może nie odmówi udzielenia pięćdziesięciofuntowej pożyczki pod zastaw hektarów ziemi obfitej w dobre drewno i bardzo żyznej. Nie wspomniał także, że ma zamiar kupić ziemię na wybrzeżu. I że po rozmowie z Hobdayem na temat emerytury postanowił dowiedzieć się, ile kosztuje ziemia w centrum miasta. Działka w sam raz na firmę handlową. Bundaberg miał wkrótce wyrosnąć z rodzinnych sklepików detalicznych, hurtownik mógłby się mu dobrze przysłużyć. Choćby przez to, że towar stałby się tańszy. Warto się nad tym zastanowić.

Ojciec Beitz był urażony. Bardzo urażony tym, że jego przyjaciel - jego, nie „ich”! - wystąpił w „ich” imieniu przeciwko niemu. Jak śmiał! Czyż nie rozumiał, ile już udało się osiągnąć?

- I wszystko moim wysiłkiem - szepnął do siebie. - Tylko moim.

No bo kto jak nie on zgromadził tych ludzi? Pomagał im, udzielał rad?

Przeprowadził ich przez pół świata wprost do tego rajy? Problem w tym, że od początku do końca byli tuleni i pieszczeni. Nie wychodzili na brzeg zdumieni i zagubieni jak większość przybywających do Australii

imigrantów; jeden Bóg wie, że widział ich wystarczająco wielu. Nigdy nie czuli się samotni, zawsze mieli do kogo się zwrócić. Nikt nie zostawił ich na łasce losu, nie, nie tych szczęśliwców, emigrantów z Hamburga, na których już czekała świetlana przyszłość: własna ziemia, własny zbór, własny pastor. By już nie wspomnieć o pociesze, jaką mogli czerpać z

używania własnego, niemieckiego języka. Bo przecież nawet jego, skromnego kapłana, wezwano do baraku dla imigrantów, by tłumaczył dla przybyszów, nie byli oni jednak

439

Niemcami, lecz Polakami czy może Węgrami, w każdym razie nie był w stanie im pomóc. Nikt nie był w stanie zrozumieć tej młodej rodziny. Później dotarły do niego wieści, że byli pewni, iż znaleźli się w Brisbane. Wysiedli w niewłaściwym porcie.

Teraz, oczywiście wykorzystawszy wszystko, co mógł im oferować, ci niewdzięcznicy, nędznicy, obrócili się przeciwko niemu pewni łaskawej protekcji pana Hoeppera, który doprawdy powinien mieć wystarczająco wiele rozsądku, by im nie uwierzyć. Bunt? No, jeszcze zobaczymy. W najbliższą niedzielę usłyszą kazanie o niewdzięczności. O Bożym dziele, w które wszyscy powinni być zaangażowani. Czyżby sądzili, że Pan doprowadził ich tu bezpiecznie tylko po to, by mogli się od niego odwrócić?

Miał już zarys świetnego kazania, wstał więc z łóżka i ukląkł, bo na klęczkach najlepiej mu się myślało. Nagle zakręciło mu się w głowie, miał wrażenie, że chwieją się nawet ściany chaty. I tak strasznie bolało go w skroniach! Nie był w stanie myśleć i planować, położył się, czekał, aż wreszcie nadszedł ranek i Walther zjawił się jak zwykle ze szklanką mleka. Położył mu dłoń na czole.

- Nie jest dobrze, ojciec - powiedział z troską. - Źle wyglądasz i chyba masz gorączkę. Lepiej zostań dziś w łóżku.

- Nic mi nie jest. Już wstaję. - Ale gdy pastor usiadł, zawrót głowy powrócił. Kurczowo chwycił się pryczy i jakimś cudem udało mu się

utrzymać równowagę.

- Nie musisz wstawać, ojciec - uspokoił go Walther - skoro czujesz się nie najlepiej.

- O, tak! To by ci się podobało, prawda? Wszyscy cieszylibyście się, gdybym pozostał przykuty do łóżka, nie wchodził wam w drogę, co?

- Ależ skąd! Ojciec jest po prostu zmęczony. Wystarczy się wyspać. Friedrich dowiedział się, że pastor Beitz zasłabł i ma lekką gorączkę. Natychmiast udał bardzo zatroskanego.

- Tak mi przykro! - wykrzyknął. - Czy mogę coś zrobić?

- Nie. To się zdarza aż nazbyt często. - Walther zachowywał całkowity spokój. - Nie ma powodu do obaw. Biedak zmęczył się, bierze na siebie mnóstwo zajęć. Potrzeba mu trochę spokoju. Za kilka dni znów będzie nami rządził jak zawsze.

Młody pastor uśmiechnął się.

440

- Owszem, jest bardzo aktywny jak na człowieka w jego wieku. Chciałem udać się dziś do miasta, ale w takiej sytuacji chyba lepiej zrobię zostając...

- miał zamiar powiedzieć: „w domu”, a jednak się na to nie zdobył.

Dżungla i chata w dżungli to przecież nie dom.

- Nie ma potrzeby. Jeśli chcesz, ojciec, możesz pojechać z nami. Pastorowi nic nie będzie. W żaden sposób mu pan nie pomoże. Gorączkuje, więc nie będzie głodny. Zostawię mu butelkę wody. Potrzebuje tylko odpoczynku. Pojechali do miasta swym starym wozem, wysadzili Maxa i Hansa przy nabrzeżu, odwiedzili tartak, załadowali zamówione drewno i przez całe miasto dojechali na budowę Walthera.

- To przecież wioska. W dodatku niewielka - zauważył rozczarowany

Friedrich.

Lucas roześmiał się.

- Trzeba było zobaczyć Bundaberg, kiedy my tu przyjechaliśmy. Był o połowę mniejszy, wiatr wznosił chmury kurzu z wysuszonej ziemi.

Myśleliśmy, że to prawdziwy koniec świata.

- Wysuszonej ziemi? Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Od mojego przyjazdu cały czas leje. Ale... nie rozumiem jeszcze czegoś. No bo wszędzie wokół widzę puste działki. Zawsze mi się wydawało, że ludzie budują sklepy i warsztaty jeden obok drugiego, a nie rozrzucone po całej okolicy. Trudno nawet powiedzieć, która ulica jest tu główna.

- Ma to coś wspólnego z gospodarką ziemią - wyjaśnił Walther. - Te działki wymierzono zaledwie rok temu czy coś koło tego. Wyznaczono granice miasta, wystawiono ziemię na sprzedaż, no i ludzie zaczęli ją kupować. Była oczywiście bardzo tania, bo mieszkały tu tylko kangury. Niektórzy właściciele nie zamierzają niczego budować. To spekulanci, kupili tanio, odczekają swoje i sprzedadzą drogo.

- Naprawdę?

- Ależ oczywiście, pastorze. Prawie wszystkie nowe miasteczka to świetna inwestycja. Przynajmniej tak mówią. Nasza wspólna ziemia też będzie kiedyś wiele warta. Mieliśmy szczęście, że kupiliśmy ją tak wcześnie.

- I nasze drewno jest wiele warte - dodał Lucas.

- Jakie drewno?

- Wszystkie te potężne drzewa. Cedry, jesiony, eukaliptusy...

441

- Nie rozumiem.

- Można je sprzedać za duże pieniądze.

- Ale po co komu drzewo?

Urodzony i wychowany w mieście pastor ciągle nie rozumiał, o czym mówią. Wyjaśnili mu to i wtedy zaczął się dziwić, dlaczego wspólnota jest taka biedna.

- Bardzo przepraszam - powiedział w momencie, gdy Walther zatrzymywał wóz na placu budowy blisko rzeki - ale ojciec Beitz dał mi do zrozumienia, że mamy problemy finansowe.

Obaj mężczyźni skinęli głowami. Sprawiali wrażenie nieco zażenowanych.

- W takim razie to dobrze, że odesłali dzwon.

- Jaki dzwon?

- Ten zamówiony przez pastora. Wielki, przeznaczony na dzwonnice kościoła.

Było tak, jak się domyślał. Nic nie wiedzieli.

- Ojciec Beitz - tłumaczył - chciał, żebym odebrał go ze składu celnego w Brisbane, ale oni już go odesłali. Zwrócili.

- Delikatnie wzruszył ramionami w przepaszającym geście.

- Przykro mi. Nikt nie płacił rachunków ani odsetek za zwłokę. Dostrzegł ich irytację.

- Nie rozumiem tylko - ciągnął - dlaczego nie sprzedacie drzew, jeśli są tyle warte. To znaczy... wydaje mi się... że te wasze szesnaście hektarów niewiele jest warte, skoro zarasta je las. Do czego się komu przydadzą, jeśli wolne są tylko splachetki, w sam raz na postawienie kościółka czy dwóch.

- Ojciec Beitz postanowił nie sprzedawać drzew - odpowiedział mu

Walther tonem świadczącym bardzo dobitnie, że dodatkowych wyjaśnień

nie będzie. Friedrich nie naciskał. Miał swoje zdanie na ten temat.

Przyszła pora na dobrą wiadomość. Walther podał mu wodze i poprosił, by pastor przyjechał po nich po pracy. Świetnie! Doskonale! A już myślał, że będzie musiał wracać piechotą.

- Jeśli będzie ojcu potrzebny wóz, proszę jechać z nami

- zaproponował. - I dostanie go ojciec na cały dzień. Jeśli żaden z was nie będzie go potrzebował, zostanie tutaj.

No więc był wolny! Uwolnił się od nich wszystkich! I nie musiał polegać na własnych nogach! Poczul się jak król, tak wielką sprawiło mu to ulgę. Co więcej, uświadomił sobie, przecież jest bardzo wcześnie.

442

Pod hotel „Royal” podjechał w sam czas, by w małej przyjemnej jadalni zjeść śniadanie z ojcem i córką.

Pan Hoeppe szybko znudził go swym entuzjazmem dla wszystkiego co nowe oraz podziwem dla tak szybko, wręcz błyskawicznie wyrastających barów i warsztatów, a nawet większych przedsiębiorstw. Co gorsza pannę Adelę w nieprzyjemne, mówiąc najłagodniej, ożywienie wprawiła wizyta na farmie Meissnerów, przede wszystkim zaś obecność ich syna.

- Karl zabrał mnie na ryby! Potraficie to sobie wyobrazić? I nawet udało mi się złowić jedną! A potem z brzegu rzeki obserwowaliśmy ptaki. Tu jest tyle pięknych ptaków... niewiarygodne... A potem jego przyjaciel tubylec pokazał nam, gdzie można znaleźć leśny miód, i Karl zebrał go trochę specjalnie dla mnie. Wiedział pan, pastarze, że Karl ma własną farmę? A właściwie to będzie plantacja, tak mówią. Już za rok. Czyż to nie cudowne?

Najwyraźniej młody Meissner zawrócił jej w głowie. Durny niedorostek!

Typowe dla takich małych głupiutkich dziewic: tak szybko zakochiwać się w byle kim. Zwrócił się do jej ojca.

- Panna Adela wydaje się zauroczona tym chłopcem. Czy odwzajemnia on jej uczucia?

Dziewczyna zaczerwieniła się jak piwonia. Zasłoniła twarz chusteczką.

- Och, skąd... ja nie... nie w tym sensie... Pan Hoeppe zmarszczył brwi.

- Karl jest wartościowym mężczyzną. Ciężko pracuje. Wątpię, czy ma w tej chwili czas na romantyczne porywy.

- Och, ojczy, oczywiście, że się z tobą zgadzam - westchnęła Adela. - Czy nie czas na nas?

Friedrich uświadomił sobie, że zapewne popełnił błąd, bo dziewczyna pożegnała go wyjątkowo gniewnym spojrzeniem. A przecież on tylko z niej żartował.

- Może pojedzie pani ze mną do wspólnoty? - zaproponował uprzejmie.

- Dziękuję, ale jesteśmy zajęci - odparła sztywno. Ojciec pośpieszył jej na pomoc.

- Tak, rzeczywiście. Wheatleyowie zabierają nas na aukcję koni i owiec. To podobno wielkie wydarzenie.

- Zatem nie zamierzam państwa zatrzymywać.

443

Wychodząc z hotelu zobaczył czterokołowy powóz zaprzężony w dwa piękne konie. Bardzo ładny: wyściełane siedzenia, składany dach, w tym miejscu sprawiał wrażenie wręcz luksusowego. Na jego widok woźnica pomachał ręką.

- Dzień dobry, ojczy! - krzyknął wesoło.

Był to jeden z bogatych pasażerów statku przybrzeżnego. Friedrich

uprzejmie uchylił kapelusza, ale patrzył przed siebie i nie zwolnił kroku. Był zły, że nie zaproszono go na wycieczkę.

Ponieważ nie miał nic lepszego do roboty, objechał miasto, przyglądając się wszystkiemu uważnie. Odkrył kilka barów i parę domów rozpusty; w tym stroju nie mógł ich odwiedzić. Zaglądał do sklepów i warsztatów, lecz nie znalazł w nich nic interesującego. Przechodząc koło kolejnego baru, uświadomił sobie, że tęskni za drinkiem aż do bólu, oparł się jednak pokusie, w swoim mniemaniu bohatersko, i wszedł do najbliższego sklepu. Powitał go stojący za ladą wesoły mężczyzna imieniem Jim... i to po nazwisku!

- Już o panu słyszałem, ojciec Ritter. Pańscy przyjaciele z pewnością są szczęśliwi, że zdołał pan dotrzeć do nas z głębi półkuli północnej. Czym mogę panu służyć?

- Dziękuję za miłe słowo. Czy mógłbym napić się wody?

- A tak, oczywiście. W tę pogodę bardzo chce się pić. Zdaje się, że na odmianę zaraz wyjdzie słońce. Może zamiast wody mógłbym

zapropnować pastorowi filiżankę kawy? Żona parzy wspaniałą kawę.

Friedrich natychmiast awansował Jima na swego najlepszego przyjaciela.

Dostał szklankę wody, czekał na kawę i Jim zaproponował mu wybór

spośród dwóch rodzajów: amerykańskiej i z Jamajki. Nigdy przedtem nie

miał takich możliwości, zdecydował się na kawę jamajską, bo brzmiało to

bardzo egzotycznie. Kupił funt. Z ulgą stwierdził, że oznaczało to

jednostkę wagi, nie zaś cenę.

Jim nie miał akurat innych klientów, więc Friedrich przysiadł na wysokim

stołku przy czyściutkiej ladzie i wsłuchał się w jego słowa, jakby

przemawiała do niego wyrocznia. Sklepiarz wydawał się wiedzieć

wszystko o wszystkich obywatelach miasteczka i okolic, poza tym nie ukrywał, że cieszy się mając chętnego słuchacza. Swobodnie wyrażał swe zdanie o pogodzie, ekonomii oraz kandydatach w wyborach, które chyba miały się wkrótce odbyć. Friedrich od czasu do czasu zadawał pozornie 444

niewinne pytania dotyczące przede wszystkim browaru i wielkich planów Meissnerów.

- Nie mogę się doczekać, kiedy spróbuję piwa produkcji Walthera! - usłyszał w odpowiedzi. - Z Jakobem Meissnerem nie może przegrać. Nie przy poparciu Charliego Mayhew i z tym Irlandczykiem, Quinlanem, jako współnikiem. Poradzą sobie, ojciec. O nich może się pan nie martwić. Będzie dobrze.

Żona Jima przyniosła kawę i dwa małe kawałki ciasta. Ciasto było proste, zwykłe, lecz smaczne, ale kawa... Omal się nią nie udławił. Okazała się wstrętna, po prostu wstrętna! Natychmiast pożałował zakupu całego funta tego świństwa, dopiero po chwili zorientował się, że żona Jima zaparzyła ją... w mleku! Dostał gorące mleko z ledwie wyczuwalną odrobiną kawy! Zdołał jakoś to wypić i nawet podziękować obojgu. Wróciwszy potem do rozmowy z Jimem, starał się naprowadzić ją na bardzo interesujący temat drewna. Sklepikarz także o tym wiedział bodaj wszystko. Zdaje się, że ten towar był tu tak cenny, że wręcz o niego walczono! Ktoś komuś zabił barana. Barana? A kogo obchodzi baran? Podobno hodowano tu i rozmnażano owce w milionach sztuk czy jakiejś podobnej śmiesznej liczbie. Pastorowi chodziło jednak tylko o pieniądze. Pieniądze za drzewa! Wyglądało to znacznie lepiej niż kopanie złota.

Szesnaście hektarów pieniędzy za drzewa! Czyżby Beitz był nawet

bardziej szalony, niż wydawało mu się do tej pory, a jego parafianie słabsi? Przecież wyraźnie było widać, że członkowie kongregacji nie są zadowoleni z rządów swego pasterza, tyle że dali się zastraszyć wielkiemu Kościołowi, bali mu się przeciwstawić.

- No, ja też jestem duchownym - mruknął do siebie. Wyszedł na palące słońce, tuląc do boku torbę z kawą. Co miał zrobić teraz? Nie zamierzał wracać na teren żalosnej wspólnoty, więc oczywiście zwrócił się do swego przyjaciela Jima.

- Proszę mi wskazać drogę do tartaku - rzekł aksamitnym głosem. - Chciałem porozmawiać z panem Kleinschmidtem. Z Rolfem.

- Ależ oczywiście, ojczec. - Sklepikarz wyszedł na ulicę. Wskazał na rzekę, na nabrzeże, szybko wyjaśniał, jak dotrzeć na miejsce.

- To gdzieś obok browaru Walthera?

445

- Nie, ojczec. Po drugiej stronie rzeki. Musisz zjechać na brzeg.

Przeprawisz się łodzią.

Friedrich ruszył we wskazanym kierunku, ale ostrożność nakazała mu zawrócić. Po co mu rozmowa z Rolfem? Przecież może być taki jak wszyscy inni. Może polegać wyłącznie na opinii Beitza. Przypomniał sobie, że po drodze minął szopę, przed którą wznosił się znak: DZIAŁKI OCZYSZCZONE. DREWNO SPRZEDANE. Może lepiej przysłuży mu się rozmowa z niezależnym handlarzem? Albo nawet i z Beitzem? Może uda się zmusić go do sprzedaży? Szkoda, że nie sprzedaje całych tych szesnastu hektarów, oczywiście po sprzedaży drewna.

Na razie tylko spacerował. Szedł w mniej lub bardziej przypadkowym kierunku pogrążony w myślach. Minął budynek szkoły. Przypomniał sobie

panią Zimmerman, tę od trójki dzieci, porzuconą przez męża. Beitz twierdził, że skazała się na potępienie wieczne, bo oddała dzieciaki pod opiekę pogan, nauczycieli zatrudnionych przez państwo.

Roześmiał się głośno.

- No i co, Freddy? Wyobrażasz sobie starego uczącego dzieci dodawania? Przecież nie potrafi tego zrobić sam dla siebie!

Usłyszał, że ktoś biegnie do niego, i odwrócił się pewien, że to któreś z dzieci pani Zimmerman oderwało się od grupki dokazującej na podwórku i chce się przywitać z duchowym opiekunem, pastorem. Ucieszyła go nawet myśl, że zyskał popularność, bo przecież rozpoznają go młodzi, szukają jego towarzystwa...

To nie dziecko ścigało go jednak, lecz śliczna drobna pani Fechner. Zdążył już zapomnieć o niej i jej kłopotach.

- Och, pastorze Ritter! - krzyknęła. - Jakie to szczęście, że możemy się spotkać. Właśnie minął pan nasz dom. To tu mieszkamy.

- Jak to miło. Co u ciebie, siostrze Fechner? Wszystko dobrze?

- Oczywiście, pastorze. Mam kilka wolnych godzin. Potem rzecz jasna będę musiała wrócić do pracy. Czy ojciec znalazłby kilka chwil na rozmowę... ze mną...

No pewnie! Mało mu było tych nonsensów? Nie, dziękuję. Już miał usprawiedliwić się jakoś, skrócić w boczną uliczkę, uciec, ale przypomniał sobie o czymś, co kupił od Jima.

446

- Potrafisz zaparzyć kawę? - spytał.

- Tak, oczywiście.

- No to świetnie. - Wręczył jej torbę. - Chętnie poświęcę ci swój czas,

siostrze, jeśli coś z tym zrobisz.

Kawa okazała się doprawdy znakomita. Pił już trzecią filiżankę.

Zachowując zasady przyzwoitości - tak przynajmniej sądził - Hanni ustawiła na werandzie dwa krzesła i czekała cierpliwie, aż on naprowadzi rozmowę na właściwe tory. Tak też postąpił.

- A teraz może powiesz mi, moja droga, na czym polega twój problem.

Była bardzo urodziwą dziewczyną... kobietą... o cudownie gładkiej skórze i wspaniałych piersiach, które starannie okrywała szalem. A jednak zwrócił uwagę na jej nienaganną figurę już podczas pierwszego spotkania i potrafił doskonale wyobrazić sobie, co też ukrywa ten skromny strój. Rozpalała znacznie silniejszą żądzę niż Adela, czy teraz, czy w przyszłości.

Zastanawiające, że oprócz zwykłego u mężczyzny podziwu dla ideału kobiecej urody Hanni nie budziła w nim jednak pożądania. Może przebranie duchownego wysysa ze mnie męską energię? pomyślał.

- Pastorze, tak strasznie mi wstyd - szepnęła. - Nie potrafię powiedzieć, jak nieprzyjemnie jest mi poruszać ten temat, ale staje się to już nieznośne...

- Mów, siostrze - przerwał jej znudzony.

- Przede wszystkim błagam o wybaczenie, że zrzucam na barki ojca moje kłopoty...

- Przyjmuję ten ciężar.

- I przepraszam za to, co muszę powiedzieć.

- Kobieto, na świecie nie ma nic nowego. Cokolwiek powiesz, nie wstrząśnie mną, jeśli tego właśnie się boisz. Sądzę, że widziałem, słyszałem i poznałem wszystko.

I to prawda, przyznał w duchu, bardzo uważając, by na jego twarzy nie

pojawił się nawet cień uśmiechu.

- A więc nic tobą nie wstrząśnie - powiedziała Hanni błagalnym głosem.

- Nie. Czy chcesz, żebym wysłuchał twojej spowiedzi?

- No... nie wiem... Niech ojciec będzie moim sędzią. Nie zasługuję...

447

Rozpląkała się, a Friedrich westchnął współczująco. I czekał. Powinien jednak wrócić, ochłodzić się w strumieniu przed lunchem, uciąć sobie drzemkę...

- Lucas - rozpoczęła opowieść Hanni - czyli mój mąż, spotkaliście się... i ja, oboje znaleźliśmy sobie pracę na owczej farmie. Na zachodzie. To była dobra praca, dobrze płatna, Lucas pilnował stad... pastuch... ja pracowałam jako pokojówka w wielkim domu właścicieli... Dixonów...

Gadała tak, gadała, gadała... Friedrich omal nie zapadł w drzemkę, gdy nagle wymieniła imię syna państwa domu. Niejakiego Keitha Dixona, bardzo sympatycznego i bardzo przystojnego. Ocknął się, wyprostował pewien, że zaraz usłyszy wyznanie małżeńskiej zdrady. Oczywiście... Hanni wpatrywała się w podłogę.

- Chcę panu powiedzieć dokładnie, co się stało, pastorze. Powiedzieć prawdę, której zaświadczysz, żebym nie musiała więcej o tym myśleć. Przyznaję, flirtowałam z Keithem Dixonem. Chodziłam z nim na spacer. Byłam samotna, mogłam tylko siedzieć w naszym pokoju, a Lucas pracował poza domem przez całe dni...

Zadawał pytania. Chciał dowiedzieć się wszystkiego o domu, ludziach, jej sytuacji, wręcz rozkoszował się finałem tej dramatycznej opowieści. Był pewien, że Lucas przyłapał ją na gorącym uczynku. Dowiedział się o incydencie z jakimś Charliem Mayhew, którego nazwisko gdzieś słyszał, i

o tym, że facet nieszkodliwie ją obłapiał. Potem nagle ton historii się zmienił i Friedrich dowiedział się, że farmę Meissnerów podpalił specjalnie Keith Dixon, mszcząc się za to, że Jakob nie dał nabrać się na bluff i uzyskał niepodważalne prawo do drewna.

- Co to ma wspólnego z tobą, siostrze Fechner?

- Mój mąż widział, jak Keith i jego ludzie podpalają ziemię Jakoba.

Poszedł na policję, ale konstabl mu nie uwierzył. Mimo to Lucas domagał się oskarżenia pana Keitha o rozmyślne podpalenie. Bo ojciec, chodzi nie tylko o ziemię. Jakob stracił dom i w ogóle wszystko, co posiadał.

- Dobry Boże - westchnął Friedrich. - Widzę, że w tym kraju gra się ostro. Hanni zaszlochała. Skinęła głową.

- To jeszcze nie wszystko - ciągnęła. - Oboje straciliśmy oczywiście pracę, ale kiedy konstabl Colley powiedział Keithowi Dixonowi

448

o oskarżeniach, on z kolei oskarżył mnie. O kradzież. To dlatego mnie wyrzucono.

- Mówił prawdę?

- Nie, ojciec. To dla mnie najtrudniejsze, ale opowiem wszystko, jak było. Ktoś powinien wiedzieć, co mnie spotkało. Zapewne nic się nie da zrobić, lecz przynajmniej lepiej się poczuje. A przecież wiem, że ojciec słowa nikomu nie powie.

- Przysięgam na mą duszę.

- No dobrze - powiedziała dziewczyna pewnym głosem. Podjęła decyzję. Opowiedziała pastorowi o burzy pyłowej, o pokoju, który dzieliła z mężem większość czasu spędzającym poza domem, i wreszcie o tym, co stało się w tym pokoju.

Ritterowi przykro było tego słuchać. Musiał przyznać sam przed sobą, że polubił tę kobietę. Keith Dixon zachował się niegłupio i bardzo zręcznie zamknął przeciwnikowi gębę. Lucas słusznie domyślał się, że dzieje się coś złego. I to zło było w opowieści Hanni.

Jej historia wstrząsnęła Friedrichem. Nie było w niej beztroskich igraszek z przystojnym mężczyzną, lecz brutalny gwałt. Zamienił się w słuch: na pół podglądacz, na pół ziomek, Niemiec przecież, może nawet przyjaciel, wszak to jemu postanowiła się zwierzyć ta nieszczęsna dziewczyna. Nie oszczędziła mu żadnego obrzydliwego szczegółu, dowiedział się dokładnie, co zrobił jej ten wieprz, a kiedy skończyła, oboje milczeli bardzo długo.

Ritter myślał szybko. Myślał o tym, czego muszą wysłuchiwać duchowni, próbował wyobrazić sobie, jak reagują. Cieszyły ich ludzkie sekrety czy też czuli się nimi zbrzydzeni? Dziwne, pomyślał. Jakże rzadko zdarza mi się, bym nie wiedział, co powiedzieć.

To Hanni przerwała milczenie.

- Czy będę musiała wyznać swe grzechy, ojcze? Opowiedzieć o swoim udziale w tym, co się stało?

- Udzielam ci odpuszczenia grzechów - odezwał się Friedrich uroczyście.

- Odpuszczam je w imieniu Pana naszego, siostrze. Źli ludzie wykorzystują dobre kobiety, nie jesteś ani pierwszą, ani ostatnią. Posłuchaj jednak mej rady i przestań o tym myśleć. Zapomnij. - Uświadomił sobie nagle, że głos mu się zmienił; mówił teraz nie jak pastor, lecz jak zwykły człowiek.

449

Eee, co tam, do diabła. - Nikt kto parzy kawę tak świetnie jak ty, siostrze, nie może być złym człowiekiem. No, muszę już iść - zakończył z

uśmiechem.

Zaskoczył ją. Prędko pobiegła do domu po jego kawę, którą przesyłała do blaszanej puszk.

- I to wszystko? - spytała nieśmiało.

- Chodzi ci o kawę? - zażartował.

- Nie. - Hanni nadal była zdenerwowana. - Chodzi o to, co powiedziałam ojcu.

Ritter spoważniał.

- Tak, to wszystko. Inaczej nie może być. Cierpiałś wystarczająco długo. Oczywiście mogę porozmawiać w twoim imieniu z Lucasem, ale będę musiał dowiedzieć się od ciebie, co mogę mu wyznać. Rozumiem, że nie powiedziałaś mu o gwałcie?

Użycie tego słowa wyraźnie ją zaskoczyło. Odsunęła wilgotne włosy, które opadły jej na policzki.

- Nie - przyznała. - Nie mogłam. Każdy kolejny krok wydaje się trudniejszy od poprzedniego. Lucas też tak mówi. Nie powiedział Jakobowi, że widział, jak ludzie Dixonów podpalają jego ziemię. Gdyby to się wydało, dopiero byłaby awantura.

- Ale zgłosił się na policję.

- Spodziewał się, że Keith zostanie zatrzymany, ale on oczywiście wywinął się i nikt nie może mu nic zrobić. Tu rządzą tacy ludzie jak ci Dixonowie. Nas traktują jak śmiecie. Gdy tylko oszczędzę trochę grosza, wracam do domu. Nienawidzę tego kraju.

- A ów Keith? Czy sprawia ci teraz jakieś kłopoty?

- Nie. Ale nadal się go boję. Widziałam go dziś rano...

- Mówiłaś, zdaje się, że mieszka na ranczu daleko stąd?

- Często przyjeżdża do miasta ze swoimi ludźmi. No, nie ma o czym mówić. Proszę się o mnie nie martwić, ojcze. Wszystko jest już w porządku. Nie potrafię wyrazić swojej wdzięczności słowami. Od dziś co niedziela będę przychodzić do kościoła. A to się pastor Beitz ucieszy... Ritter szedł ulicą nadal oszołomiony tym, co się niedawno zdarzyło i co usłyszał. Jak zwykle zwrócił się do Freddy'ego.

- Chryste! Ta biedna mała ma szczęście, że nie jestem prawdziwym księdzem. Ty pewnie zechciałbyś spalić ją na stosie.

450

A ten jej Lucas to też skończony idiota. Powiem sukinsynowi, że dopuścił do zgwałcenia żony.

Już zapomniał, że przyrzekł nie zdradzić rozmowy z Hanni nikomu. Hanni się bała, bała cały czas, nie potrafiła ocenić, co jest dla niej najlepsze.

Wrócił do sklepu Jima.

- Kupiłem kawę - powiedział - ale zapomniałem o dzbanku.

- Nie jest niezbędny - odparł właściciel sklepu. - Żona parzy kawę w rondelku.

- A skąd mam wiedzieć, czy w naszej kuchni jest rondelek? Już wolę dzbanek, jeśli masz go na składzie.

Jim miał dzbanek i chętnie go sprzedał.

- Słuchaj, powiedz mi, wiesz coś na temat jakiegoś Keitha Dixona?

- A tak, oczywiście. Wszyscy go tu znają.

- Mam dla niego wiadomość, ale gdzie go znaleźć? Podobno jest w mieście.

Jim zerknął na zegar.

- Będzie pewnie w Progress Hall. Szukuje się tam wielka feta, bo Keith

zaczyna kampanię. Wiedziałaś, ojczec, że kandyduje do parlamentu?

- Nie wiedziałem. To bardzo interesujące. Rozumiem, że to jakiś ważny człowiek?

Dzbanek wraz z kawą wsadził do wozu, usiadł obok niego i pogрузzył się w myślach. Nie miał pojęcia, co może wygrać dzięki swej wiedzy i jak. A może lepiej, gdyby o wszystkim zapomniał? Co za szczęście, że ojciec Beitz leży na łóżu boleści, przynajmniej może odpocząć od starego. Oby chorował jak najdłużej.

- Niewykluczone, że będę mógł mu w tym pomóc - roześmiał się głośno. - Na razie są jednak ważniejsze sprawy. Co mam zrobić z tym bogatym sukinsynem? Wspaniałym kochankiem i wielkim podpalaczem? No i nie zapominaj, Freddy, przyszłym parlamentarzystą. Czyżby tak łatwo było tu dostać się do rządu? No dobrze, co nam szkodzi przejechać się do Progress Hall i przyjrzeć temu dżentelmenowi?

Przyczesał włosy i brodę, otrzepał sutannę, porządnie nasadził kapelusz na głowę. Zdążył go już znienawidzić, nie pasował

451

do niego, a niezależnie od tego jak często przemakał na deszczu, nadal wyglądał całkiem szacownie. Może utopić go w rzece? Nie, to przecież część kostiumu teatralnego. Koniecznego przy odgrywanej w tej chwili roli.

Progress Hall wyglądał jak bliźniak kościółka Beitz, tyle że nie było w nim witraży. No i może był o jakiś metr dłuższy i szerszy. Za to stał w zupełnie innym otoczeniu. Pozbawiony tła bujnej zieleni, dość żałośnie wyglądał na pustej działce, jakby ciągle wyrażał wdzięczność za to, że w ogóle pozwolono mu zaistnieć.

Friedrich zajrzał do środka: lśniąca cedrowa podłoga, zupełnie jak u Świętego Jana, tylko że tutaj stały nie rzędy ławek, lecz stoły i przystrojone wstążkami stoiska. Krzątało się tu mnóstwo kobiet w fartuchach, przestawiały jakieś przedmioty, robiły porządki, wносиły przez boczne drzwi tace z jedzeniem. Pachniało świeżym drewnem, trocinami i ciastem.

Do środka wchodzili ludzie. Mijając go kłaniali się i mówili uprzejmie: „Dzień dobry, ojcze!” Odpowiadał im równie uprzejmie, z uśmiechem. Następnie podszedł do bocznych drzwi. Kobiety wyładowywały z wozu ciężkie pudła z zakupami. Zaczął im pomagać, akceptując ich wylewne podziękowania.

- To na wielką loterię, ojcze - wyjaśniła jedna z kobiet.

Na scenie królowali trzej panowie nie zwracający żadnej uwagi na tę krzątanicę. Wyglądali bardzo urzędowo, podobnie jak wielki stół przykryty sukniem i trzy wyściełane krzesła.

- Przywódcy - mruknął do siebie Ritter z kpiącym uśmiechem. - Założę się, że jednym z nich jest nasz kochaś.

Zwrócił się do siwowłosej damy o różowej twarzy, nie różniącej się niczym od siwowłosych dam o różowych twarzach, których w ojczyźnie mnóstwo. Przez zapomnienie przemówił do niej po niemiecku.

- Bardzo przepraszam, ojcze - powiedziała. - Nie znam duńskiego.

Skąd ten pomysł? pomyślał przelotnie i przeszedł na angielski.

- Czy mam rację przypuszczając, że ten młody dżentelmen na scenie jest właśnie tym dżentelmenem? - Pokazał jej ulotkę, którą dostał w drzwiach. Były na niej zdjęcia Keitha Dixona, jego imię i nazwisko oraz jakiś tekst, który nie interesował go w najmniejszym nawet stopniu.

- Tak, ojciec. To on. Czyż nie jest cudowny? Potrzebujemy właśnie takiego reprezentanta. Jego matka jest moją bliską przyjaciółką. Chciałby ojciec go poznać?

Niekoniecznie, odrzekł w duchu. Przyszedłem tylko po to, żeby go sobie obejrzeć. Uznał jednak, że powinien jakoś usprawiedliwić swoją obecność, i wypowiedział pierwsze słowa, jakie przyszły mu do głowy.

- Och, nie. Nie mam zamiaru wam przeszkadzać. Chcę tylko złożyć datek. Politycy i duchowni! pomyślał. Pod tym względem wcale się nie różnią. Jak usłyszą o datku, zaraz robią się przyjaźni.

Kobieta odeszła, on zbierał się do wyjścia. Czy jesteś politykiem, czy kapłanem, spróbuj wyciągnąć ode mnie datek, zażartował w myśli. I nagle poczuł, jak ktoś stuka go w ramię.

- Szukał pan mnie, pastora? - usłyszał. - Jestem Keith Dixon. Jak słyszałem, jest pastor skłonny wspomóc naszą sprawę.

Ritter był człowiekiem zbyt doświadczonym i twardym, by dać się zastraszyć szczeniakowi. Uśmiechnął się. Uważaj, Freddy!

- Och, szanowny panie, nie zamierzałem zabierać panu z pewnością cennego czasu. Jestem ojciec Ritter ze wspólnoty luterańskiej.

- Doprawdy? Miło spotkać. Mam więc do czynienia z Niemcem, czyż nie tak?

- Tak, proszę pana.

- Przepraszam. Powiedziano mi, że jest pastor Duńczykiem.

- Duńczykiem?

- Tak, tworzą oni u nas silną społeczność. Nowy, prawda? - Uwagi Friedricha nie uszło, że w głosie Dixona nie było już szacunku.

- Owszem, przybyłem niedawno. Mam zostać następcą ojca Beitza.
- Wasi ludzie nie są tu szczególnie popularni.
- Przykro mi to słyszeć. Zechciałby pan może przespacerować się ze mną, wyjaśnić mi, jak doszło do tej niefortunnej sytuacji? Przecież wszyscy jesteśmy dziećmi Bożymi. - Ruszył przed siebie bez pośpiechu, oddalając się od budynku i ścieżki, którą ludzie szli w stronę wejścia.

453

- Nie. Nie mam czasu - odparł Dixon. - A jeśli chodzi o was, to po prostu musicie nauczyć się przyzwoitego zachowania. - Potem widocznie przypomniał sobie o datku, bo znalazł jednak czas, by zrobić te kilka kroków. - Powiedziano mi, że chcesz poprzeć moją kandydaturę.

Dlaczego? Niemcy nigdy mnie nie popierali.

Friedrich szeroko rozłożył ramiona w geście poddania, ale nie zwolnił. Zmierzał w kierunku ogrodzenia, do miejsca, gdzie nikt by im nie przeszkadzał.

- Proszę zrozumieć, panie Dixon, jestem tylko posłańcem. Jesteśmy, jak pan wie, zamożną wspólnotą, wspieraną nie tylko przez arcybiskupów Hamburga i Kolonii, lecz także przez pruskich kupców śledzących nasze losy z wielkim zainteresowaniem. To oczywiste, że zamierzamy popierać ludzi, którzy potrafią nie tylko dostać się do rządu, lecz także w tym rządzie utrzymać i... - Umilkł. Zawodziła go zarówno znajomość języka, jak i wyobraźnia. Tej roli nie przygotowywał. Ale jego rozmówca połknął przynętę. Byli już prawie przy ogrodzeniu. Po drugiej stronie znajdowała się ogromna chlewnia, zdaniem Friedricha niezbyt pasująca do otoczenia. Zwłaszcza gdy w Progress Hall występowali gościnnie artyści. Pewnie nie o takim sąsiedztwie marzyli.

- Wspomniałeś o donacji - rzekł Dixon. - Jeśli o mnie chodzi, nie potrzebuję dobroczynności, bo tak to odbieram, ale w moim otoczeniu panuje przekonanie, że przydadzą się nam inwestycje publiczne, by zdobyć środki na dotarcie do ludzi mieszkających daleko stąd i w Maryborough. Najwyraźniej wymaga to sporych nakładów. Ja dopiero się tego uczę. No więc... jak wielki datek masz na myśli?

Friedrich westchnął.

- Oto dlaczego chciałem porozmawiać z panem w cztery oczy, panie Dixon. Proszę mi szczerze powiedzieć, jaka kwota byłaby odpowiednia? Kochanek i podpalacz uśmiechnął się uroczo.

- Kilkaset funtów powinno załatwić sprawę, ojczu. Chyba że masz zamiar stanąć w rzędzie ludzi liczących się w tym okręgu. Oni nie skrzywiliby się nawet, słysząc o czterystu funtach.

- Ile to jest? Pan mówi o funtach? Dla mnie to ciągle jeszcze skomplikowane. Ale... czterysta funtów, tak?

454

Keith Dixon aż się cały rozpromienił. Poruszył barkami, napiął i rozluźnił mięśnie jak po dniu ciężkiej pracy.

- Jasne, drogi ojczu. Czterysta funtów. Słusznie, bardzo słusznie.

- Ogromnie się cieszę. Jeszcze jedna sprawa... Kiedy dostanę te czterysta funtów?

Dixon drgnął, jakby go pszczoła użądliła w zadek. Ritter roześmiał się. Rzeczywiście. Został boleśnie użądłony.

- O czym ty mówisz, człowieku?!

Friedrich oparł się o płot, prymitywne ogrodzenie z ułożonych luźno

kamieni, dokładnie takie, jakie budował Beitz na ziemi wspólnoty. Z metalowego pudełka wyciągnął cygaretkę. Pozostały mu tylko cztery. Nie poczęstował rozmówcy.

- Pańska donacja, panie Dixon - powiedział aksamitnym głosem, zapalając cygaretkę. W powietrzu poniósł się słodki zapach. - Czteryście funtów.

Keith prychnął. Był wściekły. Co za strata czasu! Co za idiotyzm!

- Ty głupi sukinsynu! Wynoś się stąd. Oszalałeś? Dlaczego, do diabła...

- Dobre pytanie - przerwał mu Friedrich ostro. - Dlaczego miałby pan mi płacić? A raczej: złożyć datek na naszą wspólnotę? Wyjaśnię to panu, panie Dixon. Dlatego mianowicie, że zgwałcił pan Hanni Fechner, gdy mieszkała i pracowała w pańskim domu. Dlatego, że spalił pan ziemię i własność Jakoba Meissnera...

- Wariat! Postradałeś zmysły! Won stąd!!!

Odwrócił się, ale Friedrich wiedział, że to tylko gra. Po prostu facet nie był jeszcze gotowy. Potrzebował pomocy.

- Nie lubię, kiedy nazywa się mnie wariatem. Datek wynosi w tej chwili pięćset funtów.

Stał cierpliwie, słuchając wrzasków i wymysłów, przeszło mu nawet przez głowę, że może powinien go pobłogosławić, ale w końcu tego zaniechał.

Ten chłopak aż się prosił, żeby go oskubać szantażem, a na ten pomysł Friedrich wpadł w ostatniej chwili. Powinno mu się udać. Wszystko wskazywało na to, że mu się uda!

- ...dlatego, że oskarżył pan niewinną kobietę o kradzież - przerwał tyradę.

- Panie Dixon, wpadnie pan w kłopoty,

jeśli nie opuszczę dziś miasta z pięciuset funtami. Wpadnie pan w wielkie kłopoty.

- Wynoś się stąd, sukinsynu, nim skręcę ci kark! I ty nazywasz się duchownym? Jesteś prostym...

Pastor uciszył go władczym gestem.

- Dość tego dobrego. Niech pan nie zapomina, że tam gromadzą się tłumy. Albo zapłaci pan cenę swych zbrodni, albo ja wyjdę na scenę, wezwę Boga na świadka i opowiem to, co wiem.

- Nie uwierzą ci, ty... ty... szarlatanie...

- Och, uwierzą. Może pan na to liczyć. Nim skończę wymieniać pańskie grzechy, w sali nie będzie ani jednego niedowiarka. Nikt nie zechce wysłuchać zaprzeczeń. - Zbliżył się do Keitha i wyszeptał: - I będę rozkoszować się każdym słowem, zwłaszcza gdy dokładnie opiszę, co wyprawiałeś z tą dziewczyną. Pamiętasz, co jej zrobiłeś?

Dixon gapił się na niego osłupiały, blady jak prześcieradło. Obejrzał się na budynek, w którym miało odbyć się jego przedwyborcze spotkanie, jakby szukał drogi ucieczki.

- Kim jesteś? - spytał drżącym głosem.

- Jestem pańskim sumieniem, szanowny panie. I pańskim przewodnikiem prowadzącym pana ku ścieżce prawości. Datek dla naszej sprawy stanie się gwarancją zapomnienia.

- Gówno prawda.

W tym momencie pastor zorientował się, że wygrał. Tylko... nie wolno mu było ustąpić.

- Spotkamy się jutro - powiedział Keith. - Porozmawiamy o tej sprawie.

- Nie ma o czym gadać. Datek dostanę zaraz albo wyjdę na scenę i

wygloszę kazanie.

- Nie mam przy sobie pieniędzy. Wystawię skrypt na pięćdziesiąt funtów, nie więcej.

Ritter potrząsnął głową.

- Tu, zaraz za rogiem, jest bank. Cała sprawa zajmie nam zaledwie kilka minut - wycedził. - Zapłacisz, Dixon... i zapłacisz teraz. To nie jest groźba bez pokrycia. No, pora ruszać.

Dwaj mężczyźni przeszli przez ulicę szybkim krokiem. Keith Dixon nie pojmował, co się dzieje. Nie potrafił. Jak dał się wpędzić w tę sytuację?! Nie do wiary, że próbował targować się z szaleńcem! Pięćdziesiąt funtów! Sto! I nje to nie dało. Przez

456

całą drogę do banku próbował znaleźć sposób, żeby się z tego wywinąć. Pięćset funtów! Toż to fortuna! Zawsze mówił, że ci Niemcy to nic dobrego, i proszę, miał rację! Banda oszustów! Ale kto może coś wiedzieć z góry? Boże, a co powie stary J. B., kiedy się dowie, że został oszukany na pięćset funtów? Nawet teraz Keith nie ważył się choćby w myśli nazwać szantażu szantażem ze strachu, że słowo to wymknie mu się przy ojcu. Tylko co on zrobiłby w tej sytuacji? Zapłacił oczywiście. Innego wyjścia nie było.

Podjął pieniądze z konta rancza, zapisze, że to na grodzie i inne podobne prace. Ranczo powoli otaczali nowi osiedleńcy, wschodnią granicę trzeba było grodzić, a to kosztowało fortunę. Tatko nawet nie zauważył wydatku.

- Posłuchaj - odezwał się, kiedy stanęli przed drzwiami banku. Złośliwy kapłan niemal deptał mu po piętach. - Nic z tego, co powiedziałeś, nie jest

prawdą. Nie wiem, gdzie zdobyłeś te wszystkie informacje, skoro jesteś nowy w mieście, ale pamiętaj, że płacę ci tylko po to, żebyś był spokojny.

- Tak, tak, oczywiście.

- No to dlaczego nie weźmiesz pięćdziesięciu funtów dla siebie? Dajmy sobie spokój z datkami. I więcej nie będziemy o tym rozmawiać.

Friedrich spojrzał na niego zdumiony.

- O co panu chodzi? Dlaczego miałbym wziąć pięćdziesiąt funtów zamiast pięciuset? - Nagle uświadomił sobie, że Dixon próbuje go kupić. Że uwierzył w bajeczkę o datku! Co za głupiec. I straszny tchórz. - Liczę na datek w pełnej wysokości. Nie dam się skorumpować. - Tylko tyle mógł powiedzieć zachowując powagę, groziło mu, że lada chwila się roześmieje.

Do drewnianej szopy udającej tu bank młody Dixon wpadł jak burza.

Kasjer poderwał się na baczność i szybko wręczył mu pieniądze.

Sam Ritter skrył się w cieniu za węglem i gwizdnął na Keitha, gdy tylko wyszedł z budynku. Przyjął pięć banknotów i dopiero teraz pobłogosławił darczyńcę.

- Idź z Bogiem, młody człowieku.

Pięćset funtów. Pięć szeleszczących stufuntowych banknotów. Oczekał, aż młody Dixon oddali się na spotkanie z wyborcami, nie dbając o to, że przed odejściem Keith napluł mu pod nogi

457

i nazwał łotrem, po czym zwinął pieniądze i troskliwie schował je do sakiewki. Jakie to było łatwe! Spojrzał w górę i w dół nędznej uliczki, gdzieś przy jej krańcach dostrzegł zaledwie kilku przechodniów, a po przeciwnej stronie pod wielkim drzewem siedział nieruchomo starszy

dżentelmen.

Friedrich ruszył przed siebie nie dbając, dokąd idzie, po prostu nie chciał zwracać na siebie uwagi, stojąc jak kołek. Może się beztrząsko powłóczyć tu i tam. Ponapawać sukcesem, uśmiechnął się na tę myśl. Przeszedł na drugą stronę ulicy.

- Wreszcie możemy się stąd wynieść, Freddy - powiedział.

- Możemy pożegnać tę nieszczęsną dziurę. Nic nas tu nie trzyma.

Zrzucimy przeklęty kostium duchownego i już nas nie ma.

- Skręcił w najbliższą uliczkę, doszedł do nabrzeża. - Nie musimy się przed nikim usprawiedliwiać. Wskoczmy na pokład i znikniemy jak sen jaki złoty.

I nagle uświadomił sobie, że nie widzi żadnej jednostki. Zatrzymał jednego z robotników.

- Kiedy odpływa następny statek? - spytał.

- Nie odpłynie, póki nie przyplynie, przyjacielu. Czekamy na „Tarę”.

Powinna dobić gdzieś w przyszłym tygodniu... jeśli pogoda się utrzyma.

- Do diabła!

Ritter odszedł czując, jak pieniądze wypalają mu dziurę w kieszeni.

Przeklinał los za to, że skazał go na kilka dodatkowych dni pobytu w miasteczku, które nie ma nic do zaoferowania. No ale zawsze było przecież drewno. Powracał do tej myśli, przypominając sobie, że może zarobić znacznie więcej niż nędzne pięćset, jeśli tylko trochę nad tym popracuje.

Był głodny. Może lunch w hotelu „Royal”? Dlaczego nie?

- A dlatego - wyjaśnił Freddy'emu, gdy znów znalazł się przed hotelem - że lunch podają między dwunastą a pierwszą, ani chwili wcześniej, ani

chwili później. - Sukinsyny! Skąd miałem wiedzieć, że jest już wpół do drugiej? Co za żałosne miejsce!

Pozbawiony lunchu Ritter poszedł przed siebie udając, że ma coś ważnego do załatwienia. Trafił na sklep jubilera, zapatrzył się w wystawę: na czerwonym aksamicie błyszcząły złote broszki, pierścionki i kawałki szczerego nie obrobionego złota. Ten widok go zafascynował. Wszedł do środka, tylko po to by zabić trochę czasu, ale jubiler nie miał zamiaru się na to zgodzić.

458

Przekonał pastora, że potrzebuje złotego zegarka z dewizką, bo przecież Bundaberg nie miał miejskiego zegara, zresztą rzadko spotykało się tu jakiegokolwiek czasomierze.

W ogóle jubiler umiał mówić i miał o czym mówić. Wiedział wszystko o złotonośnych polach, bywał tam często, w Gympie, tam dokonywał zakupów. Zawsze bezpośrednio.

- Nie korzystam z pośredników - wyjaśnił, czym bardzo zaimponował gościowi.

Złoto! Serce Friedricha śpiewało do muzyki tego słowa. Czy jest jakiś kres możliwości dla kogoś, kto szuka w tym kraju bogactwa? Choć szczerze mówiąc żałosny to kraj. Ludzie byli tu potulni jak kocięta, a jego rodacy - pożał się Boże, farmerzy! - doskonale do niego pasowali. Zdaniem Friedricha, które przecież znów się potwierdziło, jedynym luteraninem mającym odrobinę oleju w głowie był ten, na którego wołali Theo. Kogo obchodzi, ile trzeba szukać, żeby wreszcie znaleźć złoto? Przecież cała reszta z tymi ich farmami czy małym browarkiem lata będzie czekać na pierwszego zarobionego szylinga!

- Jestem pewien, że zegarek zadowoli ojca. Szwajcarski, rozumie się. Starczy na całe życie. Mogę zaproponować kieliszek wina? Malutki, oczywiście.

Ritter miał ochotę go pocałować. Najchętniej piłby wino kuflem.

- Dziękuję. Napiję się z przyjemnością. Nie przywykłem do takiego upału. Kieliszek okazał się kryształowy, wino wyśmienite. Jubiler, pochodzący z jakiegoś tam miasta, opowiadał mu zabawne historyjki o klientach, tych szalonych i tych bezmyślnych; spotkał ich wielu, zarówno na polach złotonośnych, jak i tu, w miasteczku. Słuchał go uważnie. Być może pewnego dnia los da mu szansę wykorzystania tych informacji.

- Płacono mi już złotem - mówił jubiler - owczym runem, działkami ziemi... te przynajmniej są dobrą inwestycją. A całkiem niedawno pewien dżentelmen nie był w stanie zapłacić za pierścionek z diamentem dla damy, nie śmiał zaś poprosić

o zwrot, więc dał mi konia. Przepiękna klaczka... Czego to mężczyzna nie zrobi dla kobiety? Nie przypuszczam, żebyś potrzebował konia, ojczcze? Prawdę mówiąc, potrzebował. Nawet bardzo potrzebował.

I miał mnóstwo pieniędzy do wydania.

459

Klacz okazała się kara, wspaniała, mogła nieść na grzbiecie księcia na najbardziej nawet uroczystej paradzie. Friedrich był taki podniecony! Ileż to się zdarzyło tego jednego dnia! Zdobył swoje pierwsze prawdziwe pieniądze, kupił pierwszy prawdziwy zegarek, a teraz... Oddychał krótko, urywanie. Nigdy nie miał nic tak wspaniałego jak to zwierzę. Zakochał się w nim od pierwszego wejrzenia. I stać go było na nie. Stać go było na Księżniczkę, bo tak się właśnie nazywała. Księżniczka! Żądali za nią

sześćdziesiąt funtów!

W spojrzeniu obydwu mężczyzn: jubilera i stajennego ze stajni przylegającej niemal do sklepu, widać było litość. Litowali się nad nim, biednym duchownym, jedna rzecz to pokazać mu pięknego konia, inna oczekiwać, że znajdzie na niego pieniądze.

- Za dychę dorzucę resztę, że mucha nie siada - powiedział stajenny.

Jubiler przetłumaczył jego słowa.

- Mają tu doskonałe siodło i rząd. Sprzedadzą je za dziesięć funtów, ale ojciec, o tym nie może być chyba mowy...

- Biorę konia z rządem - oznajmił Friedrich.

Czuł się wspaniale. Czuł się ważny. Tylko, przypomniał sobie, co z tym przeklętym wozem? Miałby wieźć do domu robotników? Teraz, gdy zdobył tak wspaniałego wierzchowca?

Problem dał się rozwiązać z łatwością. Jeden ze stajennych miał podstawić wóz na działkę Walthera. Najwyraźniej wszyscy tu wiedzieli, gdzie pracuje... i że buduje własny browar.

- Poradzi sobie - przekonywał jubiler. - Dostawa piwa słono kosztuje.

- No tak, kiedyś - zgodził się z nim Friedrich. I niedbale, nonszalancko podał mu stufuntowy banknot.

Friedrich nie mógł się oprzeć pokusie. Przed powrotem na teren wspólnoty pokazał Księżniczkę Jimowi, jedynej osobie, którego znał w mieście.

- Dobrze pan zrobił - powiedział Jim tonem wszechwiedzącego mędrca. -

Tu u nas, ojciec, nikt nikogo nie oszuka na koniu. Nie ma odważnych, którzy sprzedaliby chabetę jako pełnowartościowego wierzchowca. My musimy podróżować na duże odległości. Nasze życie zależy od konia. Za

złamanie zasad uczciwej sprzedaży, że już nie wspomnę o kradzieży, płaci się

460

nawet kulką w łeb. Jedno muszę powiedzieć: załatwili ojca na rzedzie.

Mam tu lepszy za piątkę. Chce pastor zwrócić siodło?

Friedrich nie miał zamiaru zajmować się jakimiś tam zwrotami. Pieniądzy mu przecież nie brakowało.

- Daj spokój, Jim. Biedak musiał potrzebować tych pięciu funtów bardziej niż ja, jeśli zdecydował się na oszustwo. Niech mu Bóg błogosławi.

- Dobry z pana człowiek. Mam nadzieję, że będzie ojciec szczęśliwy pośród nas.

- Będę, jeśli znajdę coś do zjedzenia - roześmiał się pastor. - Spóźniłem się na lunch do hotelu.

- Chleb i ser wystarczą? Zaraz coś przyniosę. Bez opłaty oczywiście. Ktoś powinien otworzyć tu kawiarnię. Nie wszyscy jedzą o określonej godzinie...

Friedrich przytoczył wodze Księżniczki do koniowiązu przed sklepem.

- Widzisz? - powiedział do klaczy. - Da się tu zarobić. Dobrze zarobić.

Być może zostanę nawet milionerem? Jeśli nie uduszę się w tym Bundabergu.

Udało mu się wrócić na ziemię wspólnoty, choć po drodze błądził kilkakrotnie. Księżniczkę - z kilkoma miarkami owsa - umieścił w zagrodzie przeznaczonej dla szczęśliwych uciekinierów z końskiej jatki, których losem było ciągnięcie wozu. Dobrze, że padok znajdował się zaraz na prawo od wejścia, nie widać go było od strony chat, bo ojciec Beitz ozdrowiał i promieniował energią, jakby mu pół wieku ubyło.

- Gdzieś ty się podziewał, Friedrichu! Nie wiedziałeś, że tyle mamy do zrobienia?

Ritter wysłuchał go, wygłosił jakieś nieprzekonywające usprawiedliwienie zaskoczony tempem, w jakim ozdrowiał ten stary koziół.

- Nie wyglądasz najlepiej, ojczy - wykrztusił. - Powinieneś odpoczywać.

- Jak mam odpoczywać, kiedy podziewasz się nie wiadomo gdzie i nikt nie pilnuje pracowników? Najwyższy czas, byś zrozumiał, Friedrichu, że tubylcy są łagodni i uroczy, ale nie mają pojęcia o rolnictwie. Z warzywami już jakoś sobie radzą, ale poza tym nie wiedzą, co robić.

461

- Ach! Bardzo interesujące. Nie miałem o tym pojęcia, ojczy. Tak, oczywiście, dopilnuję ich jutro. Proszę się położyć. Czy to nie gorączka? Ojciec jest taki zaczerwieniony. Zaraz zaparzę kawę.

- Nie mamy kawy. Nauczyliśmy się obchodzić bez niej.

- Tak, owszem, ale pan Hoegger kupił ją dla nas. Można to nazwać datkiem.

- Doprawdy? Jak to miło z jego strony. Zostaw ją na jakiś uroczysty dzień.

- Niech ojciec chociaż skosztuje. Proszę się położyć, a ja przyniosę kubek. Kawa posmakowała staremu pastorowi.

- Chyba nigdy nie piłem lepszej - powiedział.

Albo zapomniał, jak smakuje dobra kawa, albo opium, które kupił od dziwek w Kapsztadzie, nie jest takie gorzkie, jak przypuszczałem, pomyślał Friedrich. Wydzielił Beitzowi zaledwie kilka miarek, ale zadziałały nadspodziewanie skutecznie. Zasnął chrapiąc donośnie, wikary zaś miał wystarczająco wiele czasu, żeby zanurzyć się w chłodnej wodzie strumienia i pomyśleć o przyszłości.

Kiedy do domu wrócili robotnicy, zastali go modlącego się przed chatą Beitza. Zakończywszy modły, Ritter znalazł chwilę, by porozmawiać z nimi o swym koniu. Widzieli go już oczywiście, Księżniczka spodobała się im co najmniej tak jak nowemu właścicielowi, lecz także wprawiła ich w zakłopotanie. Niewątpliwie zastanawiali się, skąd taka ekstrawagancja. Friedrich wiedział jednak, że są zbyt uprzejmi, by silić się na komentarze.

- Gdy tylko zrozumiałem, jak wielkie odległości dzielą ludzi w tym kraju - oznajmił dostojnie - zdałem sobie sprawę, że jeśli mam spełniać swe duszpasterskie obowiązki, muszę dysponować koniem. Doprawdy trudno wyrazić słowami, jak wielkie dopisało mi szczęście, że tak szybko udało mi się znaleźć Księżniczkę.

I na tym skończyła się rozmowa. To co ich naprawdę interesowało, to stan zdrowia ojca Beitza.

- Wstał i widziałem, jak chodzi, ale kaszlał i chyba gorączkował. Poradziłem mu, żeby wrócił do łóżka. To dla niego najlepsze miejsce. Odpoczynek to najskuteczniejsze lekarstwo na te ataki gorączki.

462

Walther zajrzał do chaty.

- Śpi - powiedział.

- Aha. Co mamy na kolację? - spytał wikary.

Hubert Hoepfer był bardzo niespokojny i rozczarowany własnym postępowaniem. Otrząsnął się przecież ze straszliwej depresji, tak długo utrzymującej go w bezczynności, wrócił do normalnego życia mężczyzny, który lubi pracę i jej potrzebuje. Na nieszczęście w tym miasteczku na krańcu świata nie miał co robić. Spodziewał się znaleźć tu zwartą niemiecką społeczność uprawiającą przynależną jej ziemię pod

przewodnictwem Kościoła i jego duchownych. Spodziewał się serdecznego powitania, oczami wyobraźni widział, jak wędruje wśród niewielkich poletek, ciesząc się drobnymi wiejskimi przyjemnościami podczas długiej beztroskiej wizyty.

To prawda, doczekał się serdecznego powitania, wszyscy bez wyjątku cieszyli się z jego przybycia wraz z córką, reszta okazała się jednak marzeniem głupca, którym był on sam. Idealna wieś nie istniała. Nie mogła tu zaistnieć. Skala była po prostu za wielka, za wielkie odległości. Jego przyjaciele ciężko pracowali, to był dobry znak. Zrozumieli, że nie ma w tej chwili mowy o wspólnej farmie, o wspólnocie, przyjmowali więc pracę według możliwości i upodobań, dzięki niech będą Bogu. Powodziło się im dobrze, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że tu wszystko było takie inne. Co też wkrótce spowodowało, że poczuł się... jak by to powiedzieć... odrzucony. Nie mógł za to winić swych przyjaciół, w końcu mieli tu pracę i rodziny, o które musieli się troszczyć. Nawet jego nowi przyjaciele, Wheatleyowie, zapewne właśnie dojeżdżali do domu. Nie mieli wyboru, musieli znieść długą męczącą podróż, u której kresu czekała ich własna posiadłość. Na ich drodze stał upał, bagna, powodzie, mniejsza z tym. Czekala ich wytężona praca.

- Mówiono nam - tłumaczyli - że większość traktów jest w tej chwili przejezdna, jeśli tylko pojedziemy okrężną drogą. Nie chcemy jednak narażać pana na trudną podróż. Najlepszą porą na wizyty jest zima: nie ma upałów, drogi wysychają. Proszę pamiętać, że wraz z Adelą jest pan zawsze mile widziany.

Zatem wyprawa do Wheatleyów nie wchodziła w grę przynajmniej przez kilka najbliższych miesięcy, choć z przyjemnością obejrzałby owcze

ranczo w najdzikszej głuszy. A leżało ono

463

według opisu właścicieli przeszło trzysta kilometrów od wybrzeża, nad rzeką Leichhardt, zawdzięczającą swą nazwę słynnemu Niemcowi, Ludwigowi Leichhardtowi, który zbadał wielkie obszary zachodu. Hubert był zaskoczony, nigdy nie słyszał o tym człowieku, choć z przyjemnością przyjął informację, że jego rodak jest tak mile wspomniany w tym kraju. Przez hotelowe okno spojrzął na szeroką rzekę, kilka budynków po drugiej stronie uliczki. Westchnął. Sam przed sobą musiał przyznać, że się nudzi. I nie miał nic do roboty, co zupełnie do niego nie pasowało, czy to w Hamburgu, czy tutaj. Gdyby Pan spełnił jego życzenia, już osiedliliby się tu wraz z rodziną ciężko pracującą nad podstawami nowego życia i nowej kariery; cóż począć, to marzenie nie miało się jednak spełnić. Po co zagłębiać się w przeszłości? To bez sensu.

Przy lunchu wyjaśnił córce, co czuje. Okazało się, że nie jest tym bynajmniej zaskoczona.

- Mam wrażenie, że trochę się zagubiłeś - powiedziała.
- No właśnie. Nie przywykłem do długich okresów lenistwa. Kupiłem ziemię na wybrzeżu i dwie działki w mieście właściwie tylko po to, żeby mieć jakiś związek z tym krajem, ale myślę, że może powinniśmy wrócić. Znaleźliśmy się w tej szczęśliwej sytuacji, że nie musimy od razu decydować, czy dajemy szansę temu nowemu krajowi czy też wracamy do starego. A co ty sądzisz?
- Nie jestem pewna, ojczec. To trudna decyzja. Ale... gdybyśmy mieli wracać, może przy okazji odwiedzilibyśmy Amerykę? Ciągle mam przed oczami wielki globus w twoim gabinecie i tę błękitną plamę, Pacyfik...

- Dlaczego nie? Doskonały pomysł! Także Hawaje i Tahiti. Mam tylko nadzieję, że nie zanudziłaś się tu na śmierć.
- Skąd! Przecież kiedyś będę mogła powiedzieć wnukom, że widziałam Bundaberg, gdy był zaledwie maleńką osadą.
- Czy dobrze słyszę? Czyżbyś do tego stopnia wierzyła w to miejsce?
- Karl Meissner wierzy. Mówi, że pewnego dnia będzie tu duże miasto otoczone aż po horyzont plantacjami trzciny cukrowej. Obiecałam mu, że przyjadę kiedyś to zobaczyć. Mój Boże, zobacz, idzie tu ten okropny pastor Ritter.
- Okropny? Myślałem, że go lubisz.

464

- Na początku tak, owszem, ale nie teraz. Jest w nim coś, co mnie irytuje. Poderwała się na równe nogi i znikła, nim Ritter pojawił się w hotelu. Hubert wstał uprzejmie na powitanie.
  - Proszę, niech pan siada, pastorze - powiedział. - Właśnie skończyliśmy lunch, ale jeśli pan chce, proszę coś sobie zamówić.
  - Co za szkoda! Miałem nadzieję na spotkanie z panną Adelą. Może później?
  - Tak, oczywiście. Jak się czuje ojciec Beitz?
  - Prawdę mówiąc nieszczęśliwie. Moim zdaniem winne są warunki, w jakich żyje. To święty człowiek, nie wyda grosza na siebie, więc mieszka w chacie cieknącej jak sito...
- Hoepper sprawiał wrażenie zakłopotanego.
- Hm, przyznam, że mnie też uderzyła prostota obozu. Pastor jednak wyglądał na zadowolonego.
  - Obawiam się, że jest zgoła inaczej. W pana obecności robi dobrą minę

do złej gry, po waszej wizycie powiedział mi jednak, że jeszcze nigdy nie był tak zawstydzony. Miał nadzieję, że do tej pory zdoła zbudować co najmniej przyzwoitą plebanię, w której mógłby przyjmować ważnych gości, takich jak pan.

Hubert skinął głową. W gruncie rzeczy on też się tego spodziewał, choć nie zamierzał wspomnieć o tym w rozmowie. Był to fragment jego marzeń, marzeń ściętej głowy. Długa rozmowa z kapłanem przy kieliszku wyśmienitego porto... W wielkim kominku płoną polana... Omal nie udławił się na tę myśl, przesunął palcem pod sztywnym kołnierzykiem. No tak, spocił się oczywiście.

- I mówi pastor, że ojciec Beitz nie czuje się najlepiej?

- To bardzo łagodnie powiedziane. Obawiam się, że może dostać zapalenia płuc, choć mieszkający z nami panowie są innego zdania. No ale oni są młodzi i zdrowi, w pełni sił. Nie potrafię im wytłumaczyć, że pastor jest za stary na takie życie.

- Och, nie wiem... Co możemy zrobić w tej sytuacji?

- Musiałem z nim porozmawiać. Okazało się, że ma problemy finansowe.

- No tak...

Pastor nie dał mu skończyć.

- Słyszałem, że może sprzedać drewno z ziemi wspólnoty. Raz odmówił, ale podjąłem ten temat. Pan wie, panie Hoeppe

465

- uśmiechnął się ujmująco - że starzy ludzie potrafią być bardzo uparci.

Powiedział mi, że teraz zmienił zdanie, ale nie chce, żeby wyglądało to na jego klęskę, bo przedtem tak się upierał. Obawia się, że wyjdzie na głupca, takiego, co to ciągle zmienia zdanie. Bardzo troszczy się o to, co myśli o

nim kongregacja.

Zdaje się, że młody pastor nie wiedział o gwałtownym sprzeciwie, jaki wywołał plan budowy szkoły misyjnej, Hubert pominął więc ten wątek.

- Proszę upewnić ojca Beitz, że jego ludzie darzą go największym szacunkiem - powiedział tylko. - Oczywiście spotkał się ostatnio z pewnym... oporem, ale jestem przekonany, że sytuacja szybko się uspokoi.

- O tak, bez wątpienia - przytaknął skwapliwie pastor Ritter. - Niemniej powstało pewne zamieszanie. W każdym razie nasza rozmowa skończyła się tym, że wyraził życzenie, bym rozpoczął przygotowania do sprzedaży drewna. Zdobyte w ten sposób fundusze mają być przeznaczone na budowę szkoły.

- Nie jestem za tym - rzekł Hubert cichym spokojnym głosem. - Każdy mężczyzna powinien mieć swoją hierarchię wartości. Ojciec Beitz musi posiadać przede wszystkim przyzwoity dom. Niekoniecznie rezydencję, ale należy mu się coś, co będzie odpowiadało jego statusowi.

- Tak, to też oczywiście... sprzedaż drewna...

- Z tym bym się powstrzymał, pastorze. Nie ma pośpiechu.

Zastanawiałem się właśnie, jak mogę pomóc wspólnocie. Postanowiłem, że złożę datek na budowę przyzwoitej plebanii. Będzie to mój pożegnalny dar.

Ritter skrzywił się. Podszedł kelner, by przyjąć zamówienie, oddalił go gwałtownym gestem dłoni.

- Wyjeżdżacie państwo? Tak szybko?

- Obawiam się, że tak. Czas na nas. Zamierzamy odwiedzić duże miasta na wschodnim wybrzeżu, a potem wrócić do domu przez Amerykę.

- Ale... co z panną Adelą? Będzie bardzo rozczarowana, prawda?

- Z radością przyjęła decyzję o odjeździe. Najpierw muszę jednak porozmawiać z budowniczym. Niech wyrysuje plany, które mógłbym przedstawić ojcu Beitzowi.

- Chodzi o plebanię? Będzie kosztowna. I doprawdy nie ma potrzeby. To znaczy, chcę powiedzieć, że nie możemy nadużywać

466

pańskiej hojności, z pewnością nie w tym stopniu. Drwale mogą pojawić się na naszej ziemi w ciągu kilku dni, już ja tego dopilnuję. Będziemy w stanie sami zapłacić za budowę. - Ritter był wściekły. Pieniądze za drewno miały przecież należeć do niego! Miały opłacić jego życie w luksusach. Powiedziano mu, że drzewa są warte setki funtów!

- Bardzo to ładnie z pańskiej strony, pastorze, ale ja jestem skłonny zgodzić się z ojcem Beitzem. Te wspaniałe drzewa wolno nam zniszczyć tylko w razie ostatecznej konieczności. Zapewne dowie się pan, że z tą opinią zgadza się więcej niż kilku waszych parafian.

- Całkiem możliwe, ale jak już chyba wspomniałem, to właśnie ojciec Beitz rekomenduje teraz wyrąb.

- Biedny człowiek. Nic dziwnego, tyle przeżył, z pewnością zamartwia się sytuacją. Proszę się nie obawiać, pastorze, zbuduję mu przyzwoity dom, a także założę fundusz, dzięki któremu pozostanie finansowo niezależny po kres swoich dni. A teraz przepraszam, lecz naprawdę muszę już iść.

Rozmowa z panem wiele mi wyjaśniła, za co dziękuję. Cieszę się, że ustaliliśmy plan działania, który bardzo mi odpowiada. Jeszcze dziś odwiedzę tartak, porozmawiam z Rolfem. Jestem pewien, że będzie w stanie załatwić wszystkie formalności. - Zabrał kapelusz i laskę, godnie opuścił salę jadalną.

Friedrich odprowadził go wściekłym spojrzeniem.

- Co za głupiec! - zwrócił się do Freddy'ego. - Dureń, a do tego wścibia nos w nie swoje sprawy. Widziałeś go, jak to odpłynął tanecznym krokiem, taki święty, gotów dokonywać samych dobrych uczynków?

- Zamówi pan coś, pastorze? - spytał kelner.

- Oczywiście. I oczywiście na koszt pana Hoeppera.

Wychodząc z hotelu, z wielką radością dojrzał pannę Adelę rozstawiającą sztalugi po drugiej stronie ulicy, na brzegu rzeki. Najwyraźniej zamierzała oddać się swemu hobby, malowaniu. Obserwował ją przez chwilę oczarowany jej urodą, ślicznymi regularnymi rysami twarzy, zgrabną figurą. Sam chętnie by ją namalował.

Dziewczyna podniosła głowę, spojrzała na niego i na jej czole pojawiła się zmarszczka. Przeszkadzał oczywiście. Mimo to podszedł bliżej.

467

- Nie pozwól, bym powstrzymał twą dłoń, moja droga - zadeklamował. - Maluj, proszę, to prawdziwa rozkosz obserwować artystę przy pracy. Sam lubię szkicować, choć ostatnio nawet obowiązków nie pozostawia mi na to czasu, a poza tym, jeśli wolno mi to powiedzieć, nie widzę tu godnego obiektu oprócz twej urody, panno Adelo.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Podszedł do niej, rozejrzał się, szukał czegoś, na czym mógłby usiąść obok niej, wytworzyć bardziej intymną atmosferę. Po raz pierwszy odkąd przybili do portu w Bundabergu, miał ją tylko dla siebie... i Boże broń, po raz ostatni, jeśli nie zdobędzie się na decyzję już, teraz. Nie zauważył niczego, nawet byle pudła lub skrzynki. Musiał stać.

- Rysuje pani tak pięknie - westchnął. - Rzeka i ta chata na drugim brzegu

uchwycone są wręcz doskonale. Widać wprawną rękę.

- Dziękuję - odparła cicho, skupiona na pracy.
- Mam wrażenie, że pani ojciec zdecydował się na wyjazd. Mnie osobiście byłoby przykro pożegnać panią. Z jej wyjazdem w osadzie nie pozostanie ślad wdzięku, kultury i sztuki.
- Ludzie tu są bardzo mili - powiedziała Adela przez ramię napiętym głosem.
- Moja droga, musisz przecież wiedzieć, że wyróżniasz się spośród nich niczym piękny łabędź wśród brzydkich kaczątek.
- Och, z całą pewnością nie.

Uśmiechnął się do niej. Taka piękna. I niewinna.

- Przecież to prawda. Tak samo było na statku. Wszyscy cię uwielbiali. Dotknął krętych włosów opadających jej na kark, zwinął pasemko między palcami, puścił i w sposób całkowicie naturalny przesunął dłonią po gładkiej szyi i głębiej, ku dekolтови. W palcach czuł rozkoszne mrowienie, przecież po raz pierwszy dotknął jej ciała, a ona nie próbowała nawet go odepchnąć. Znieruchomiała, wydawała się martwą rzeźbą, zapewne wstyd nie pozwalał jej zachęcić go w jakikolwiek, choćby najdyskretniejszy sposób, Friedrich nie potrzebował jednak zachęty. Miesiące wymuszonej wstrzeźliwości wywołały gwałtowną reakcję, przytulił ją, swoją Julię, wdychał jej cudowny zapach, podniósł, nie wypuszczał z objęć...

468

- Och, kochanie, jakże tęskniłem za tą chwilą. Pozwól się kochać i chronić. Nie płacz... nie płacz...

Adela szlochała. Słodka, wstydliva dziewczyna. Taka niewinna.

Przeżywała miłość, pierwsza miłość, doświadczenie pierwszego uczucia...

- Muszę iść... odejść...
- Nie. Nie musisz. Możesz zostać. Niech twój ojciec odejdzie, pomyślał.
- Pastorze, proszę... proszę pozwolić mi odejść. Odpychała go. Mocno, gwałtownie. Gwałtownie!
- Puść mnie! Wynoś się! Nic z tego nie pojmował.
- Ależ Adelo, przecież nic się nie stało. Uspokój się, dziewczyno. Nie zrobiliśmy nic złego.

Ale ona buntowała się, choć szeptem, by nikt postronny jej nie usłyszał.

- Zabierz ode mnie swe brudne łapy! Wynoś się, potworze! - Zebrała szkicowniki, teczkę, złożyła sztalugi. Niezgrabnie gubiła drobiazgi, więc pochylił się, żeby jej pomóc.

- Adelo, posłuchaj mnie. Nie muszę przecież być duchownym. Mogę zrzucić sutannę. Wiem, że takie życie nie byłoby dla ciebie odpowiednie. Wiedziałem o tym od początku, ale teraz mogę wreszcie zaopiekować się tobą. Szczerze mówiąc jestem zamożnym człowiekiem. Jestem... właściwie mój ojciec... mamy posiadłość nad Renem...

Dziewczyna przytuliła teczkę i sztalugi do piersi, jakby się przed nim broniła.

- Nie obchodzi mnie, jaki jesteś bogaty - prychnęła. Miała temperament i to mu się bardzo podobało. - Odejdź! Trzymaj się z dala ode mnie! Zdumiało go jej zachowanie. W przeblysku rozsądku uznał za stosowne przeprosić. Szczerze.

- Tak mi przykro, Adelo. Poniosło mnie, przyznaję. Nie powinienem narzucać ci się w ten sposób. Wybacz, błagam. Ale... zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia, gdy tylko zobaczyłem cię na tej wyspie... Wysłuchaj mnie...

Nie zamierzała wysłuchiwać jego usprawiedliwień. Była wściekła.

- Jak śmiesz, ty nikczemniku! Ojciec się o tym dowie i wyrzuci cię z miasta!

469

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Dlaczego tak się zachowujesz? Cóż ja takiego zrobiłem? Czy w komplementach jest coś złego? Odpowiedz mi na te pytania. Chyba po raz pierwszy spotkałaś się sam na sam z mężczyzną.

Dziewczyna zawahała się zmieszana.

- Nie miałeś prawa robić tego... no, tego co zrobiłeś. Posunąłeś się za daleko.

- To właśnie przez komplementy - zaprotestował. Próbował dyskusji z przyzwyczajenia, wiedział, że jego sprawa jest już stracona. - Czy mogę pomóc? Wezmę sztalugi.

- Niczego nie weźmiesz. Proszę się stąd wynosić i zostawić mnie samą. Ojciec z pewnością uzna, że granice komplementu zostały przekroczone. A kogo obchodzi szanowny tatuś? pomyślał. No owszem, jego obchodził... przez kilka dni, kiedy sądził, że ma szansę zgarnąć pieniądze za drewno. Jest różnica między ucieczką ze sporą sumą a ucieczką z sumą dwa razy większą niż spora. Prawdę mówiąc lepiej by zrobił, gdyby zwrócił się do drwali, żeby mu zapłacili zaliczkę, i machnął ręką na resztę. Po czym wyniósł się z Bundabergu. Parowiec ma przecież przy płynąć za zaledwie parę dni!

Szedł z Adelą ku głównej ulicy czując, jak wzbiera w nim gniew.

- Za kogo ona się uważa? - przemówił do Freddy'ego. - Żeby grozić mnie? Cholernie dumna suka.

Zwrócił się do Adeli.

- I co takiego powiesz ojcu, moja droga? Że postanowiłaś ze mną poflirtować? Że wyciągałaś tę swoją śliczną szyjkę jak domagający się pieszczot kotek, a potem obraziłaś się, bo uznałem, że posuwasz się za daleko przy ludziach?

- To nieprawda! - krzyknęła przerażona dziewczyna, potykając się na nierównym gruncie.

Podparł ją ujmując za łokieć delikatnie, prowadził ją wzdłuż ulicy po przeciwnej stronie niż hotel. I za hotel. Zupełnie jakby byli zakochaną parą na spacerze. Friedrich rozkoszował się sytuacją. Dumnie skłonił się mijającemu ich przechodniowi. Adela próbowała się wyrwać, ale trzymał ją już bardzo mocno. Musiał ją wspierać, nogi się bowiem pod nią ugięły. Razem przeszli przez ulicę, doprowadził ją aż do wejścia do hotelu.

470

- Adieu, kochanie - wyszeptał z uśmiechem. Pochylił się, polizał ją w ucho, pieścił je długo, namiętnie.

Gdy tylko ją puścił, Adela odwróciła się i uciekła... wprost w objęcia Hanni idącej w ich kierunku. Tak się jej wydawało, że widzi pastora Rittera i pannę Hoepper obejmujących się czule, i to gdzie? Na ulicy! To dopiero przedstawienie! Aż zakręciło się jej w głowie, lecz nagle dostrzegła, że panna Adela płacze histerycznie i że tuli się do niej, jakby się bała, że dopadną ją demony. I może miała powody, żeby się bać? Hanni spojrzała podejrzliwie na pastora. Ritter lekko unióś kapelusz, skłonił się i pośpieszył w przeciwnym kierunku. Dwie wychodzące z hotelu kobiety przypatrywały się im dziwnie. Hanni chwyciła sztalugi i malarskie akcesoria, z którymi Adela nie mogła sobie jakoś poradzić, i

poprowadziła ją, ciągle szlochającą, prosto do kuchni.

Spotkały tam Evę.

- Dobry Boże! - krzyknęła na ich widok. - Co się dzieje? Co się stało, panno Hoepper? Proszę usiąść, bardzo proszę. Hanni! Sole trzeźwiące! Pomachały jej fiolką pod nosem, ale Adela zakrztusiła się tylko, odsunęła pomocne dłonie i nadal histerycznie łkała.

- Mam posłać po pani ojca? - spytała Eva.

- Nie, nie! - krzyknęła Adela. - Wszystko będzie dobrze!

- O co chodzi? - zaniepokoiła się Hanni. - O pastora Rittera, prawda?

- Nie, nie - chlpała dziewczyna. - O nic.

- Dla mnie nie wyglądało to jak nic. - Hanni zwróciła się do przyjaciółki. -

Ritter ją obejmował, chyba nawet próbował pieścić...

- Nie! On? Nigdy!

- A ja ci mówię, że tak. Nawet pomyślałam, że się całują...

- Na ulicy? Mój Boże!

- To nie było tak! - zaprotestowała Adela rozpaczliwie. - Ja próbowałam mu się wyrwać!

- Co? - Eva nie potrafiła przestać się dziwić. Szlochająca, co chwilę pociągająca nosem dziewczyna próbowała coś im wytłumaczyć.

- Poszłam nad rzekę zrobić kilka szkiców. Przyszedł i zaczął mi się narzucać. Zachowywałam się uprzejmie, miałam nadzieję,

471

że odejdzie, ale on prawił mi komplementy i w ogóle...

- No tak, oczywiście. On taki już jest. Z pewnością źle go zrozumiałaś...

- Nie - powiedziała ostro Hanni. - Powinam wiedzieć, że nie jest lepszy niż inni.

- Nie mogłam źle zrozumieć tego, jak mnie dotykał. Doprawdy to niemożliwe. Położył mi dłoń na piersi. Miałam dość. Kazałam mu się wynosić, a on zachował się okropnie. Mówił takie straszne rzeczy, kiedy odprowadzał mnie do hotelu, a przed wejściem... - chlipnęła - przed wejściem był po prostu obrzydliwy. - Złapała się za głowę, potrząsała nią bezradnie. - Znow potraktował mnie tak potwornie!

- Ale... to przecież niemożliwe. - Eva nie mogła pogodzić się z rzeczywistością. - Musi być jakieś inne wyjaśnienie.

- Nie ma żadnego innego wyjaśnienia. - Hanni pozostała nieubłagana. - To świnia. Jak wszyscy mężczyźni. Zwłaszcza ci, co udają, że są tacy wspaniali i godni szacunku. Świnie.

Adela przyglądała się i może nawet czerpała pociechę z jej słów. A Hanni rozgniewała się tak, że straciła panowanie nad sobą.

- Co za szczęście, że nie posunął się dalej, panno Hoeffler! Gdyby nie miejsce publiczne, kto wie, co mogłoby się zdarzyć? Proszę mi uwierzyć, już ja wiem, jacy oni są. Choćby ten Keith Dixon, najgorszy ze wszystkich.

- Dość tego! - ostrzegła ją ostro Eva. - Nie denerwuj panny Hoeffler bardziej, niż już jest zdenerwowana. Z pewnością nie wiesz, o czym mówisz, dziewczyno...

- Nie wiem? Ja nie wiem? Keith Dixon sponiewierał mnie i potraktował tak potwornie jak nikogo... - Uświadomiła sobie nagle, co mówi. Zamilkła.

- Zaparzę pannie Hoeffler kawę - wyjąkała po chwili. Podeszła do pieca, ale Eva nie dała jej uciec.

- Co powiedziałaś?

- Nic.

- Ładne mi nic! Nawet o tym nie wspomniałaś. Co ci zrobił Keith Dixon?
- Przecież powiedziałam, że nic!
- Ach, rozumiem. Przygotuj coś do jedzenia dla panny Hoepper, zaparz jej kawę. W spiżarni są jeszcze ciasteczka. Świeżutkie, upiekłam je dziś rano.

472

Dziewczęta milczały na odmianę, więc Eva wróciła do przygotowywania przypraw do kurczaków, które właśnie oskubała.

- Pani gotuje? - spytała Adelę.
- Nie, pani Zimmerman. Jakoś się nie nauczyłam.
- Spróbuj, kochanie. To bardzo zadowalające zajęcie. Sprzyja pogodzie ducha. Wszyscy cenią dobrych kucharzy.
- Tak. Pewnie ma pani rację. Jedzenie było gotowe.
- Lepiej będzie, jeśli zje pani w swoim pokoju, panno Hoepper - powiedziała Eva. - Hanni zanieś tacę. Proszę zostać u siebie, póki nie poczuje się pani lepiej. Aha... radzę zamknąć drzwi.

Adela i Hanni wyszły. Obie nieszczęśliwe, bardzo to było smutne. Takie młode dziewczyny nie powinny godzić się na maltretowanie. Stukała palcami w wyszorowany do czysta stół. Ani Hanni, ani Adela nie zamierzały opowiedzieć swoim mężczyznom o tym, co się im przydarzyło. Ojciec nie dowie się o niczym, oczywiście, i o niczym nie dowie się Lucas.

Wstydziły się. To nie w porządku.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY.

Niech się wygada przed ojcem, co z tego? Co jej wielki wspaniały tatuś może zrobić? Friedrich roześmiał się. Będzie siedziała cicho. Prędzej ugodzi ją grom z jasnego nieba, nim zdoła wyjawić mu swe ostatnie

żenujące doświadczenia.

Myślał też o tym, jak się miewa stary Beitz. Podał mu reszkę swego opium w jednej dawce; nie zdziwiłoby go, gdyby narkotyk załatwił starego na amen, stracił go z wąskiej ścieżki życia raz na zawsze, a nie tylko uśpił na te kilka godzin. W każdym razie mimo kłód, które rzucał mu pod nogi Hoepper, nadal mógł wyjść na swoje. Postanowił skontaktować się z drugą w Bundabergu firmą zajmującą się wyrębem lasu. Nie widział sensu w niepokojeniu Lesa Jolly'ego, a zwłaszcza jego niemieckich pracowników. George Macken, szef, gotów był mu służyć jak najchętniej. Tak, oczywiście, miał ludzi gotowych od razu wziąć się do roboty.

- Bo to dobra robota, ojcie - wyjaśnił. - Blisko miasta. Ale... wśród trzódki ojca są przecież drwale.

- To prawda, ale wydało mi się właściwym, by nasza parafia zarobiła na drewnie tak wiele, jak to tylko możliwe. Nie wstydzę się przyznać, że mamy problemy finansowe. Sam Chrystus chlubił się swym ubóstwem. Muszę więc przyjąć najlepszą ofertę. Pan mnie rozumie?

- Ile daje Les Jolly?

- Nie wolno mi tego ujawnić.

- Oczywiście. W każdym razie daję pięć funtów więcej. Ale najpierw muszę dobrze przyjrzeć się waszej ziemi. Ma pan przy sobie akt własności, ojcie?

474

- Nie. Po co on panu? Macken uśmiechnął się.

- Po to, żebym nie zaczął rąbać drzew na ziemi kogoś, kto wcale tego nie chce. Jeśli zobaczę akt własności dziś do wieczora, zawiadomię zarządcę i razem obejrzymy, co też tam macie.

- Mamy mnóstwo dobrego drewna.
- Nie wątpię, niemniej trzeba sprawdzić, czy drewno jest zdrowe, warte wyrębu. Pan mnie rozumie, prawda, ojcze?
- Oczywiście. Wszystkie konieczne papiery dostarczę panu później.
- Może jutro sprawdzimy teren z ojcem Beitzem?
- Nie. Ojciec Beitz nie czuje się najlepiej.

Prawo własności do szesnastu hektarów! To co najmniej kilka nadziei. Chyba widział gdzieś ten dokument, pewnie w kufrze w chacie pastora, przecież tam trzymał wszystkie swoje papiery.

Friedrich pogratulował sobie świetnego pomysłu: zakupu konia. Już nie potrafił wyobrazić sobie, co by zrobił, gdyby musiał polegać na prymitywnym wozie wspólnoty i jeszcze w dodatku wozić nim robotników. Wiedział, że ludzie zazdroszczą mu tak wspaniałego wierzchowca, ale to co robił dla siebie, było jego prywatną sprawą. No i pamiętał, że jak do tej pory nikt jakoś nie wspominał o jego wynagrodzeniu.

- Ani słowem - poinformował Freddy'ego, wracając na teren wspólnoty. - I jak ci się to podoba? Stałeś się niewolniczą siłą roboczą, kimś gorszym niż większość z nich. Jeszcze dziś spytam Walthera, dlaczego nie wpłaca tygodniowej daniny, ot tak, dla żartu. Nie muszę przecież wiedzieć, że regularnie płaci rachunki w sklepie Jima, no, przynajmniej on tak twierdzi. A potem jeszcze zechcę się dowiedzieć, kiedy zapłacą mi należną co tydzień pensję. I jaka ma ona być. Nic przez to nie osiągnę, ale przynajmniej wprowadzę zamieszanie.

Stary tubylec o dźwięcznym nazwisku siedział przy drodze ze skrzyżowanymi nogami, sądząc na oko - całkowicie bezmyślnie. Friedrich

przejechał obok, nie zaszczycając go spojrzeniem. Miał nadzieję, że pod jego nieobecność po ziemi wspólnoty nie włóczyli się żadni Aborygeni. Rankiem po wyjeździe robotników kazał oddalić się wszystkim, których był w stanie znaleźć,

475

pod pozorem choroby Beitza, któremu jakoby nie należało przeszkadzać. On sam miał szczerą nadzieję, że nie przeszkodzi staremu, grzebiąc w jego papierach w poszukiwaniu aktu własności ziemi. Prochy powinny jednak spełnić swoje zadanie.

Przywiązał konia i pośpieszył na teren wspólnoty. Spokój i cisza, z wyjątkiem denerwujących wrzasków ptactwa. Skierował się do chaty ojca Beitza. Na szczęście zastał go śpiącego. Twarz miał czerwoną, spuchniętą, oddychał ciężko, pochrapywał, rzucał się i w ogóle wyglądało na to, że bardzo chce się obudzić, tylko że nijak nie potrafi.

Friedrich przyjrzał mu się uważnie.

- Dobrze, ojczulku, bardzo dobrze - pochwalił. - Leż sobie grzecznie, a nic złego cię nie spotka.

W rogu chaty stał kufer. Odsunął go od ściany, otworzył, zaczął grzebać w papierach. Potrzebny był mu tytuł własności kościelnej ziemi z dokładnym opisem każdego ze składających się na nią nadziałów.

- Jestem pewien, że gdzieś tu to było - mruknął pod wąsem, przesuwając zimowe kamizelki i pulowery, szukając po omacku dokumentów.

Nagle pastor Beitz poruszył się.

- Kto tu jest? - krzyknął. - Co się dzieje? - Siedział na pryczy, z trudem utrzymując równowagę, próbując wstać.

Friedrich instynktownie skoczył na równe nogi.

- Ojciec, nic się nie stało. To ja...
- Co tu robisz? - Stary mówił, jakby był pijany, bełkotliwie i niewyraźnie.
- Sprzątałem. Zaraz przyniosę kawę.

Uciekł z chaty. Serce waliło mu jak oszalałe. Był wściekły. Dał się złapać na gorącym uczynku, jeszcze bardziej jednak złościła go własna głupota. Dlaczego uciekł? Stary był zaprawiony po uszy. Nie miał pojęcia, co się dzieje. Wystarczyło pchnąć go na pryczę i znowu by zasnął. Wsadził rękę do kieszeni spodni, wyczuł gruby zwitek banknotów, nieco się uspokoił. Zapalił cygaretkę, przysiadł na ławce, postanowił dogłębnie przemyśleć sytuację.

Wiedział, że musi zdobyć akt własności. Nie wolno mu dopuścić, by drwale przybyli jutro rano. Beitz może oprzytomnieć albo któryś z mieszkańców nie pojedzie do pracy. Pech to pech.

476

Ustaliwszy plan działania, Friedrich wrócił do chaty. Zignorował pastora leżącego na pryczy z otwartymi oczami, oddychającego ciężko, jakby przed chwilą wbiegł na szczyt wysokiej góry.

- Co robisz?

Puścił pytanie mimo uszu, zbyt zajęty poszukiwaniami, by przejmować się starym.

- To moje rzeczy - głos pastora był znacznie silniejszy - wolałbym, żebyś w nich... Friedrichu... proszę. Potrzebujesz czegoś?

Brak odpowiedzi zdenerwował Beitzę.

- Co ty wyprawiasz?! Zostaw moje dokumenty! Nic cię nie obchodzi!

Ale Ritter znalazł już, czego szukał: dokumenty spięte różową gumką. Wyjęte rzeczy powrzucał do kufra byle jak, zamknął wieko, odwrócił się... ale ojciec zagroził mu drogę do drzwi.

- Wzięłeś coś? Co? Mam prawo wiedzieć!

Friedrich złapał go za ramię, zmusił do cofnięcia się o kilka kroków, popchnął na pryczę. Takie to było łatwe. Stary przewrócił się jakby sam z siebie, sapiąc jak przekłuty miech. Kłopot z tymi staruchami, pomyślał Friedrich, polega na tym, że nie wiedzą, kiedy zrezygnować. Ten nie byłby już w stanie wstać, nawet gdyby rozpalić pod nim ognisko.

Zapewne minęło kilka krótkich chwil, ale wydawały mu się wiekiem, kiedy tak stał i zastanawiał się, jak wyjaśni to, co się właśnie zdarzyło. W każdym razie będzie w stanie zagadać Beitz. Wmówić mu, że to jego własny pomysł. Nie pamiętasz, ojcze? Przecież sam dałeś mi papiery. No, tego rodzaju rzeczy.

Ale niby czemu miałby się tym przejmować? Co do diabła! Przecież może uniknąć sporu. Może uśpić dziadka raz na zawsze. Po co on komu? Tylko przeszkadza, nikt go nie potrzebuje.

Łagodnie wysunął mu poduszkę spod głowy. Pastor patrzył na niego... ale czego tu się bać? Niczego oczywiście. Wikary próbował tylko położyć swego szanowanego a cierpiącego proboszcza.

I nagle Beitz odwrócił głowę. Patrzył na coś znajdującego się po drugiej stronie pryczy. Friedrich też spojrział w tę stronę.

Krzyknął. A raczej wrzasnął. Sam nie rozpoznał swego głosu, choć jako aktor zanotował w pamięci, że posiada zdolność

477

wydania z siebie takiego dźwięku. Psa jednak nie wystraszył. Pies

atakował. A raczej wilk obnażający długie kły w złowrogim pysku, warczący wściekle. Skoczył na niego z przeciwległego kąta chaty; zapewne był tam przez cały czas, ukryty w mroku chmurnego wieczora. Rzucił poduszkę i uciekł. Ale w garści ścisnął zdobyte dokumenty. Bezpieczny w kuchni, miał wrażenie, że sam na moment zmienił się w Beitza: dyszał i kasłał tak głośno, że aż echo niesło. Na szczęście pies go nie ścigał. Może rzeczywiście zaczął się na Beitza, a jemu udało się go powstrzymać? W każdym razie miał szczęście, że zdołał ujść z życiem. Stary już pewnie wyciągnął kopyta albo niewiele mu brakuje. Nadal dysząc ciężko, Ritter pełził przez busz. Skróttem dostał się do stajni, osiodłał Księżniczkę. Jeśli coś złego stało się staremu, to już nie jego błąd, nie jego wina. On nic o niczym nie wie.

Znów pewny siebie, Friedrich dumnie przejechał przez miasteczko. Pokazał Mackenowi akt własności.

- Wszystkie drzewa mają zostać wyliczone na piśmie i wycenione - oznajmił. - Nie dopuszczę do tego, by najlepsze sztuki ktoś odłożył dla siebie.

- To się nie ma prawa zdarzyć - warknął George.

- Doskonale. Spodziewam się także znacznej zaliczki przy podpisaniu umowy.

- Doprawdy? My tego nie praktykujemy.

- Jestem duchownym, owszem, lecz także człowiekiem interesu, szanowny panie. Zaliczka w wysokości pięćdziesięciu funtów stworzyłaby dobrą atmosferę przy przyszłych rozmowach.

Macken skinął głową.

- Jasne - powiedział. Przyjął propozycję szybko i chętnie; Friedrich

przeklął się w myślach, że nie zażądał setki. - Potrzebuję dnia, może dwóch, ojciec. W tym czasie powinienem zdążyć z wyceną.

Obejrzał dokumenty, skinął głową z satysfakcją. Tak jak myślał, gospodarowali na kawałku dzikiego buszu. Mnóstwo tam było cennych starych drzew. Czy ten dureń naprawdę sądzi, że będzie w stanie dopilnować wszystkich? To nie sprzedaż stołów kuchennych.

478

Wreszcie skończyli konstrukcję fundamentów pod browar; praca tu była znacznie lżejsza niż oczyszczanie ziemi z kamieni i pni drzew. Ku wielkiej radości Walthera zamówione drewno dotarło na miejsce o czasie.

Entuzjazm i poświęcenie nie wyrównywały jednak braku doświadczenia.

Kiedy fragment drewnianego szkieletu pierwszej części budynku zawalił się po raz trzeci, Lucas ośmielił się stwierdzić, że potrzebują pomocy.

- Nie ma strachu - odparł Walther. - Kiedyś się przecież nauczymy, jak to zrobić. Pewnie powinniśmy wzmocnić narożniki. Pomóżcie mi podnieść rusztowanie. Sprawdźmy, czego jeszcze potrzeba.

- Ja ci powiem, czego potrzeba. Cieśli. Żaden z nas nie wie, co robi.

Uznaliśmy, że to będzie takie proste, ale nie jest niestety. Tracimy czas i pieniądze. Ilekroć pęknie nam deska, słyszę, jak ulatniają się pieniądze.

- Nie stać nas na cieślę - powtórzył z uporem Walther.

- No to odchodzę.

- Co? Nie możesz. Obiecałeś mi pomóc.

- Bo byłem pewien, że potrafię. - Lucas roześmiał się niewesoło. - I

myślałem, że znasz się na ciesiołce. Powiem ci, przyjacielu, że my dwaj nie zbudowalibyśmy nawet domku dla lalek, już nie wspomnę o jakimś cholernym browarze. Spójrzmy prawdzie w oczy: nie wiemy, co robimy,

przyjacielu. No więc rezygnuję, nie musisz mi płacić, więc będzie cię stać na cieślę. Koniec, kropka. Dość roboty na dzisiaj. Wracajmy do domu. Ojciec Beitz wyszedł z chaty na uginających się nogach. Wołał Friedricha, lecz nie doczekał się odpowiedzi. Nie odzyskał jeszcze przytomności, nie w pełni, zastanawiał się nawet, czy nie zachorował na śpiączkę, chorobę podobno częstą w tropikach. Ostatnio sypiał zdecydowanie za długo. Ale... gdzie jest Friedrich? Nie mógł rozwiązać tej zagadki. Zdumiewające! Zaledwie przed chwilą szukał czegoś, potem podszedł, wziął poduszkę, pewnie spadła na podłogę, i nagle wrzasnął, cisnął nią i uciekł z szybkością wyczynowego sportowca. Doprawdy dziwny człowiek. Trzeba z nim odbyć bardzo poważną rozmowę.

Gdzie się podziiali inni?

Podniósł pokrywę wielkiej beczki od piwa, zaczerpnął z niej wody, część wypił, resztę wylał sobie na głowę. Sama beczka

479

przypomniała mu o przedsięwzięciu Walthera i to znów go zirytowało. Po co komu piwo, nawet rum, o którym tyle wszyscy gadają, skoro Bóg dał ludziom krystalicznie czystą wodę, taką jak ta. Mruczając pod nosem coś o ludzkiej głupocie, poszedł ścieżką do ogrodu warzywnego.

A ogród wyglądał jak menażeria. Kilka gatunków wielkich ptaków, między innymi kruków, przeskakiwało z grządki na grządkę, waran przyjrzał mu się obojętnie i wrócił do posiłku, cztery walabie żarłocznie pożerały kapustę.

- Wynoście się! - krzyknął. Ptaki wzleciały w popłochu, z szumem skrzydeł i przerażonym skrzeczeniem... i opadły na sąsiednie grządki. -  
Panie Boże wszechmogący!

Ojciec Beitz usiadł ciężko na kupce ziemi, zostawiając zwierzęta w spokoju. Bolesnie odczuwał swą klęskę. Wybudował zbór, miał garstkę parafian, nie miał za to szkoły misyjnej, by już nie wspomnieć o szkole dla ich dzieci, do której i tak nie zechciałyby chodzić, nawet gdyby był w stanie ją wybudować, a nie był, bo nie posiadał własnych pieniędzy i nie mógł spodziewać się kolejnej pożyczki z banku. Może pan Hoeppe miał rację, może żądał od Boga zbyt wiele? Może jego przeznaczeniem było opiekować się trzódką wiernych jak dobry pasterz? Pozostawić działalność misyjną młodszym ludziom, takim jak Friedrich? Możliwe, że byłoby to najlepsze rozwiązanie. Przy pierwszej okazji porozmawia o tym ze swym wikarym. Ten biedny młodzieniec nie otrzymał przecież żadnego przewodnictwa duchowego. Zapewne dobrze zrobi im obu wycofanie się na tydzień, głębokie przemyślenie woli Bożej.

Tak, oczywiście. To najlepsze wyjście. Poszedł do kuchni zadowolony, bo usłyszał głos Walthera. Jego ludzie wrócili do domu.

Już poczuł się lepiej.

Pastor kilkakrotnie objechał miasto na swym wspaniałym koniu; popisывał się, choć udawał nonszalancję. Przejechał obok pubu, zazdroszcząc mężczyznom siedzącym na werandzie, z nogami na stołach, z kuflami w ręku, nie mającym żadnych zmartwień. Obserwującym tylko, co dzieje się wokół nich.

Zapalano lampy, sklepy zamykały się jeden po drugim. Latarni ulicznych niestety tu nie było. Uznał, że lepiej zrobi wracając na teren wspólnoty; zapewne właśnie przygotowywano tam kolację.

480

Tylko... co z Beitzem? Beitz mógł zacząć wskazywać winnych. Nie,

kochany, nie ma mowy. Uśmiechaj się. Ignoruj go. Bądź wyrozumiały. Uprzejmy dla starca powoli tracącego zdrowe zmysły i kontakt z rzeczywistością.

Gwizdał pod nosem, jadąc Drogą Taylora. Podjął decyzję. „Tara”, parowiec żeglugi przybrzeżnej, miała pojawić się w porcie w Bundabergu już za kilka dni. Pozbędzie się ładunku i pasażerów, przyjmie ładunek i pasażerów, a wśród pasażerów będzie też wielebny Friedrich Ritter. Co za dużo, to niezdrowo.

- Koniec z tymi targami za grosze - powiedział Freddy'emu. - Zbieram, co mam, a sporo tego jest, i wynoszę się stąd do diabła. Szczerze mówiąc poszło mi całkiem nieźle

- westchnął. - Tak, oczywiście wiem, że twoim zdaniem powinienem dalej robić za wikarego, wykonywać twoje obowiązki, stary przyjacielu, ale chyba nawet ty byś przyznał, że to miejsce nie dorasta do standardów cywilizacji. Bo co, mam żyć jak tubylec, bez przyzwoitej płacy, gdzieś tam pośrodku niczego... Przecież nawet ty, Freddy, nie nazwałbyś tego miastem.

- Z kim gadasz, przyjacielu? - spytał głos z ciemności, zaskakujący i niepokojący. Dogonili go dwaj konni jadący w tym samym kierunku.

- Z nikim - uśmiechnął się. - Z samym sobą. Medytowałem. - Spojrzał na jednego jeźdźca, potem na drugiego.

- Panowie dokąd?

- Do Maryborough - odpowiedział ten pierwszy wesołym głosem.

- Ach, tak? To dość daleko stąd, o ile się nie mylę.

- To zależy. Jeśli ma się dobrego konia... Interesujące. Doprawdy interesujące. Do tej pory wydawało

mu się, że z miasteczka można wydostać się tylko drogą morską, ale oczywiście...

- Pewnie mógłbym jechać dalej, aż do Brisbane. Na dobrym koniu...

- Jak wielu innych. Można powiedzieć, że koń podbił dla nas ten kraj, ojczyzna.

- No tak, oczywiście.

- A wy dokąd zmierzacie, ojczyzna?

- Do domu. Czyli obozu leżącego przy końcu drogi. Ritter zbyt późno przypomniał sobie, że Droga Taylora kończy się ślepo. Nie tędy droga do Maryborough, a ci mężczyźni

481

nie wyglądali ani nie mówili jak ktoś zdolny popełnić taką pomyłkę.

- No, muszę jechać - powiedział z nadzieją, że dadzą mu spokój.

Nie dali. Mężczyzna po jego prawej stronie uderzył go nagle tak mocno, że nie przygotowany na cios pastor spadł z konia i stoczył się z drogi na mokrą trawę.

- Co do diabła! - krzyknął. - Prawo się o tym dowie! Nie wyglądali na przestraszonych, postanowił więc zmienić taktykę. Nie po raz pierwszy napadli na niego rabusie, prawdę mówiąc on sam także miał na sumieniu niejednego rozbój.

- Czego chcecie? Jestem ubogim człowiekiem. Duchownym. Mam tylko konia. Zabierzcie go, jeśli chcecie...

Nie słuchali. Pobili go twardymi jak stal pięściami, skopali, a na nogach mieli ciężkie robocze buty. Nie wzruszyły ich krzyki ani błaganie o litość. Jak na zwykłych bandytów byli zdumiewająco dobrze przygotowani.

Przerwali, gdy zwinął się w kłębek jęcząc cicho, po czym jeden z nich,

zapewne przywódca, zapalił małą latarnię.

- No to teraz sprawdzimy, co masz przy sobie. Obróć go na wznak - poleciał towarzyszowi.

Friedrich zacisnął zęby. Próbował się bronić, ale nie miał szans.

Mężczyźni bez wahania rozerwali sutannę, obszukali go i chociaż na przemian szlochał i przeklinał, znaleźli zwitek banknotów. Na jego widok zaczęli się śmiać.

- Ubogi duchowny? A co my tu mamy? Stówy! Aż strach pomyśleć, ile forsy ma bogaty duchowny.

Próbował odebrać im pieniądze, lecz im bardziej się starał, im głośniejsz wrzeszczał i plugawiej klął, tym lepiej się bawili.

- Posłuchaj, jak gada, no, no. Nieźle jak na sługę Bożego, nie?

- Ciekawe, gdzie się tego nauczył.

- Fajny zegarek. Rzucimy monetą?

- Nie. Sprzedamy. Dostaniesz połowę. Szef chce tylko swojej forsy.

- Trochę chłopak wydał. Ale ma pełno drobniaków. Wyższy, potężniej zbudowany z napastników przykucnął.

Jego ciemna sylwetka wyglądała groźnie na tle gwiazdzistego nieba.

482

- Posłuchaj mnie, przyjacielu - odezwał się spokojnie. - Tu, u nas, nie wolno wymuszać pieniędzy od nikogo, zwłaszcza od Keitha Dixona.

Rozumiesz? No to bądź łaskaw zapamiętać moje słowa, bo gdybyś zapomniał, następnym razem nie skończy się na paru szturchańcach.

Zginiesz i tyle. Poproś swoich kumpli drwali, żeby pokazali ci krokodyle w naszej rzeczce. Tu u nas łatwo zniknąć. Bez śladu. Mam rację?

Kompan przytaknął mu chętnie.

- Jeśli choćby spróbuje nagadać na Keitha, nie żyje - powiedział z przekonaniem.

- Jasne. Kapujesz, człowieku Boży? Zwracamy szefowi pieniądze, ty zamykasz gębę i koniec zabawy. Moim zdaniem za cwany jesteś, żeby ci to wyszło na zdrowie.

Odeszli powoli, wskoczyli na konie, odjechali bez pośpiechu. Friedrich leżał nieruchomo, póki nie ucichł stukot kopyt, po czym usiadł posyкуюc z bólu. I rozpląkał się ze wstydu i gniewu. Na nic jego wysiłki, na nic! Sukinsyny! Zdumiewające. Był pewien, że trzyma Dixona w garści, do głowy mu nie przyszło, że chłopak spróbuje się odegrać.

Usłyszał coś i zamarł. Czyżby ci dwaj igrali sobie z nim? Czyżby wracali teraz, żeby go wykończyć, zabić? Zamknąć mu usta na zawsze, tak by ich wielki szef wszedł do parlamentu jako poseł bez skazy? Gwałciciel!

Podpalacz! Cholerny oszust!

Dla Friedricha najgorsze było to ostatnie przestępstwo. Został oszukany. Przechytrzony. Ale na Boga, potrafi się odegrać!

Znów ten ruch w ciemności, jakiś stuk na drodze. I jeszcze jeden. Ach, to koń! Księżniczka podeszła do niego, opuściła łeb, przyjrzała się panu wielkimi spokojnymi oczami. Jego nędzny los nic jej nie obchodził.

Na litość Boską! Zostawili konia? Był pewien, że jego też ukradną.

Przecież musieli rozpoznać jego klasę... Ach, tak! westchnął. Oczywiście.

Koniokrad traktowany tu był gorzej niż morderca. Ci dwaj omal go nie zabili, grozili, że go zabiją, ale zostawili mu cennego konia.

Siedział jeszcze długą chwilę sprawdzając, jak ciężkich doznał obrażeń.

Był pewien, że ma połamane żebra, z nosa nadal ciekła mu krew. Czuł smak krwi, błota... i wściekłości.

O, tak. Odplaci się Keithowi Dixonowi. Z nawiązką.

483

Tibbaling przyglądał się zdarzeniu obojętnie. Ci dwaj sprawili Dwóm-w-jednym niezłe cięgi, interesujące było wszakże tylko zachowanie Świętego Ducha, który towarzyszył mu na każdym kroku. Święty Duch też zachował obojętność; nie tylko nie pomógł ofierze, ale chyba nawet niezbyt przejął się jej losem.

i Ten Święty Duch był potężnym bóstwem. Mógł razić napastników piorunem, mógł sprawić, by ziemia rozstała się im pod stopami, połknęła ich i nigdy nie wypluła. A jednak nie zrobił nic. Po prostu stał i patrzył, taki smutny jak żadne z bóstw, których stary szaman naoglądał się w życiu do syta.

Ta chrześcijańska religia była bez wątpienia bardzo dziwna. Jakkolwiek by się zastanawiać, było tak, że dwaj bogowie: Święty Duch i Bóg Ojciec przyglądali się, jak syna Boga Ojca, Jezusa, ludzie przybijali do krzyża, i nie zrobili nic. Tak było rzeczywiście, przynajmniej zdaniem oóca Bęc. A więc... w tradycji chrześcijan musi zawierać się bierność wobec ataku przeciwnika. Ociec mówił mu coś o tym, że trzeba nadstawić na ból drugi policzek, zamiast się bronić.

Tibbaling uśmiechnął się lekko. Jeśli Dwóch-w-jednym nadstawiał drugi policzek, to robił to wyjątkowo hałaśliwie: krzyczał, wrzeszczał, a nawet przeklinał. Nie, nie stosował się do zasad własnej wiary. No i co z tym, co zdarzyło się w chacie? Miał w oczach morderstwo. Okazał się człowiekiem złym, zabiłby oóca Bęc, udusił torbą do podłożenia pod głowę. A jednak on go lubił, nazywał przyjacielem. Człowieka, który wskazał kością dobrego kapłana, a potem zniecierpliwił się i chciał go

zgładzić własnymi rękami.

Dwóch-w-jednym leżał nieruchomo. Aborygen miał nadzieję, że ci ludzie go zabili, oszczędziłoby to mnóstwa problemów, a ten bezużyteczny

Święty Duch wróciłby wreszcie do domu, gdziekolwiek jest jego dom.

Jeśli miał tylko towarzyszyć młodemu duchownemu, to jego misja wydawała się daremna. Stary nabrał odwagi, podszedł bliżej. Choć duch na ogół nie różnił się od cienia, tej nocy wydawał się jednak wyraźniejszy.

Odziany był dokładnie tak jak Dwóch-w-jednym, właściwie był nawet do niego podobny.

Niestety napastnicy wsiedli na konie i odjechali, ich ofiara wstała chwiejnie, a Święty Duch odwrócił się w stronę Tibbalinga. Wyglądał żałośnie, stary też poczuł przejmujący żal. Widział krwawą ranę na głowie ducha, krew na jego ramionach, słyszał,

484

jak mówi w ich niemieckim języku. Nie rozumiał słów, lecz wiedział.

Dokładnie wiedział, co się stało.

Zerwał się wiatr. Duch spojrział w kierunku obozu wspólnoty, ruszył tam, pozostawiając za sobą Dwóch-w-jednym. Tibbaling skinął głową. A więc miał do spełnienia misję, spełnił ją i może odpocząć. On sam usłyszał przekazaną mu wiadomość. Dla ducha było za późno, nie Świętego Ducha, lecz łagodnego dobrego człowieka zamordowanego przez kapłana. Dla occa Bęc nie. Jego można było jeszcze uratować.

Po ciemnym niebie płynęły chmury, zasłaniając gwiazdy. Wiatr był coraz silniejszy. Wielkie krople deszczu padały na rozgrzaną ziemię i natychmiast parowały, tworząc niesamowite pasma mgły. Friedrich zdołał podczołgać się do konia. Po kilku nieudanych próbach wspiął się na

siodło.

- Dixon pożałuje, że się w ogóle urodził - powiedział do Freddy'ego.

Mówił z wysiłkiem, wargi miał zakrwawione, szczękę spuchniętą.

Rozejrzał się dookoła. Jego głos brzmiał słabo, głucho, jakby znajdował się sam na pustej scenie. Obrócił się w siodle, krzyknął z bólu. - Ostrożnie!

- ostrzegł sam siebie. Długo czekał na ustąpienie palącego bólu. Miał nieodparte wrażenie, że Freddy odszedł, uciekł jak tchórz, którym przecież był. Friedrich poczuł się nagle odrzucony, samotny. Nerwowy i pozbawiony ochrony.

Żałował, że nie może zawrócić konia, ruszyć tropem bandytów, dobrać się Keithowi do skóry; niestety był zbyt obolały, by o tym myśleć. Musi wrócić do domu, do chaty na kościelnej ziemi, umyć się, odpocząć, spróbować od nowa ułożyć sobie życie. Gdyby Dixon wiedział, jak ciężki zadał cios, pozostawiając pastora bez grosza, uwięzionego w nędznym miasteczku, uśmiełby się do nieprzytomności.

Pozostawiony sam sobie na porywistym wietrze zwiastującym burzę, Friedrich, bliski utraty zmysłów od ciężkich ran, przytulił się do konia licząc, że sam z siebie zanieśie go w domowe pielesze.

- W jadalni siedzi Keith Dixon - oznajmiła kelnerka. Jej oczy lśniły z podniecenia. Nie usłyszała ostrzegawczego warknięcia Evy, a już z pewnością nie zwróciła na nie uwagi. - Przygotowuje wielki mityng na dziś wieczór. Idziemy tam razem, ja

485

i mój narzeczony. To dla wyborców, rozumiecie? Podadzą drinki, kolację, a grać będzie specjalnie sprowadzona kapela. Z Brisbane, wyobrażacie sobie?

- Przestań gadać - powiedziała Eva. Musiała pomyśleć.

Mimo jej lojalności wobec Hanni, mimo gniewu spowodowanego tym, co spotkało przyjaciółkę z rąk młodego Dixona, nie była w stanie obmyślić zemsty. Lucasowi nic nie powiedziała, obawiała się, że znów o wszystko obwini żonę. Czasami prawda wywołuje większe komplikacje niż kłamstwo. Hanni też nie miała jej za to podziękować, podobnie jak ta głupia dziewczyna z hotelu. Panna Adela ciągle nie chciała opowiedzieć ojcu o awansach Rittera.

Wyjęła z pieca zapiekankę z mielonego mięsa z ziemniakami, przeniosła ją na stół. Na piecu smażyły się kotlety wieprzowe i steki. Kelnerka pochyliła się, próbując zebrać na palec tłuczone ziemniaki, ale Eva była szybsza. Uderzyła ją po dłoni trzepaczką do jajek, której używała do dzielenia zapiekanki na porcje.

- Ile razy mówiłam ci, żebyś tego nie robiła? - rozgniewała się nie na żarty. - Powtórz zamówienia.

- J. B. Dixon i Keith... Starszy pan zamówił zapiekankę, jego syn kotlety wieprzowe. Powiedział, że trzy.

- Nazwiska mnie nie obchodzą. Czy zjedli już zupę?

- No, chyba tak. Tak mi się wydaje. A ci komiwojażerzy, każdy chce stek. Pan Hoepper i jego córka zapiekanki.

- Boże, dziewczyno, przez ciebie już nic nie rozumiem. Nie potrzebuję nazwisk! Powiedziałaś: trzy steki, trzy zapiekanki, cztery kotlety i nie obchodzi mnie, kto chce co.

- Ale to nie tak! Nie trzy steki, tylko sześć. Komiwojażerzy...

- Podaj warzywa.

Eva powoli traciła cierpliwość. Ta dziewczyna doprowadzała ją do szału!

Hanni była znacznie lepszą kelnerką, ale wolała pracować jako pokojówka w hotelu, bojąc się spotkania z mężczyznami pokroju Keitha Dixona i jego ojca. Szkoda, że nie opowiedziała jej o swych problemach wcześniej, że zamknęła się w sobie. Stało się tak, że Eva nie znała szczegółów bez wątpienia ohydnych zdarzeń, mogła się ich natomiast domyślić. Hanni zmieniła się, była taka smutna, nawet zrozpaczona, a winę za to ponosił Keith. No i oczywiście Lucas.

486

Przygotowywała dania, po raz pierwszy zadowolona z tego, że wie, kto zamawia którą potrawę. Dało jej to szansę obsłużenia Dixonów na samiuteńkim końcu.

Kelnerka była tym bardzo poruszona.

- Doprawdy, Evo! Dixonowie czekają, a ludziom takim jak oni nie wolno kazać czekać! Co z ich zamówieniem?

- Podaj steki. Będzie gotowe, nim wrócisz.

Nałożyła na talerz zapiekanekę starego Dixona, na drugi na tłuczone ziemniaki położyła trzy kotlety wieprzowe wraz z wielką porcją groszku.

Pożałowała, że nie ma trucizny, którą mogłaby doprawić zamówienie Keitha, ale może to i lepiej? Niebezpiecznie byłoby go otruć. Lepiej zastosować jakiś drobiazg, może nadmiar przyprawy? Pieprz, chińskie chili? Nie, zwróciłby potrawę. Przypomniała sobie, że w spiżarni jest lekarstwo dla dzieci. Pyszny sos przyprawiła potężną porcją tranu.

- Baw się dobrze - powiedziała polewając nim ziemniaki. Oba talerze czekały w otwartym piecu, gdy w kuchni znów pojawiła się kelnerka.

- Najwyższy czas - westchnęła głośno. Ujęła talerze przez ściereczkę, by

nie poparzyć palców, i szybko wyszła.

Eva wylała resztę przyprawionego tranem sosu i dokładnie umyła sosjerkę. Był to bardzo dziwny wieczór. Mike Quinlan zjawił się w chwili, gdy Walther gotował gulasz jagnięcy z marchwią, cebulą i ziemniakami. Na początku oznajmił, że przygotowują prawdziwie irlandzkie danie, ale okazało się, że nie kulinaria były przyczyną jego wizyty. Chciał mianowicie, by przyjaciele pojechali z nim do miasta wesprzeć Lesa Jolly'ego, gotowego rzucić wyzwanie Keithowi Dixonowi w wyborach do parlamentu.

- Musicie głosować, ludzie - powiedział. - I musicie poprzeć Lesa.

- Oczywiście - przytaknął Lucas.

Tu nie było sporu, co bardzo uradowało Mike'a. Pojadą z nim wszyscy czterej... ale nie ojciec Beitz. To łatwo było zrozumieć. Staruszek sprawiał wrażenie mocno zmęczonego.

- To dziś głosujemy? - spytał Max Lutze.

- Nie. Dziś mamy tylko mityng. Spotkanie przedwyborcze. Pokazujemy się ludziom. Keith Dixon zorganizował swoje w Progress Hall, Les będzie przemawiał na Quay Street.

487

Beitz siedział w milczeniu. Walther spojrzał na niego z niepokojem.

- Może powinienem zostać? - powiedział cicho.

- Nie - zaprotestował pastor. - Należy spełniać obowiązki obywatelskie.

Musimy nauczyć się, jak to wygląda. Oddajcie cesarzowi... no, sami wiecie. Panie Quinlan, czy zje pan z nami kolację?

- Dziękuję za zaproszenie, ojczu. Popłakałbym się z rozpaczy, gdybym nie mógł skosztować irlandzkiego dania Walthera. Gdzie pastor Ritter?

Nikt nie odpowiedział. Max z zapalem zajadał gulasz.

- Był dzisiaj w mieście - przerwał milczenie Hans.

- Objechał je na tym swoim wspaniałym koniu.

- Na jakim koniu? - zdziwił się Beitz. Max spojrzął na brata ostrzegawczo.

- Dokładkę, ojczy? - zaproponował Lucas.

- A tak, dziękuję.

Walther spojrzął na pastora zdumiony, nigdy bowiem nie brał on dokładek. Beitz to dostrzegł i uśmiechnął się.

- Już mi lepiej, Waltherze. Znacznie lepiej. Jak widzisz, odzyskałem apetyt. Wy, chłopcy, jedźcie z panem Quinlanem. Ja zostanę, zaczekam na pastora Rittera. Zdaje się, że muszę z nim porozmawiać.

- Nie pojawił się na kolacji, a to do niego niepodobne

- zauważył Hans kwaśno. - Tak czy inaczej: co on robi przez całe dni?

Mikę zorientował się, że rozmowa przybiera niepożądany obrót.

- A wiecie - zmienił temat - że pan Hoeffler postanowił zainwestować w nasze plantacje? Ale w gruncie rzeczy smutna to historia. Powiedział, że poświęci drobną część tego, co miało być dziedzictwem jego ukochanych zmarłych synów, niech Bóg błogosławi ich dusze.

- A co go to teraz obchodzi? - zdziwił się Hans. - Przecież ci chłopcy zginęli.

- Chciał, żeby jego rodzina stała się częścią tej społeczności - wyjaśnił Beitz ze smutkiem.

- Przecież on wyjeżdża. - Chłopak nadal nie rozumiał, o co chodzi. -

Wszyscy wiedzą, że wraz z córką wybiera się gdzieś dalej.

Stary pastor umoczył w gulaszu kawałek chleba. Zjadł go oblizując wargi z zadowoleniem, którego ten skromny oszczędny człowiek nie okazywał nigdy przedtem.

- Chodzi o marzenia, Hans - powiedział. - Pan Hoeppe miał marzenie. Nie spełniło się tak, jak by tego chciał, i może nigdy się nie spełni, ale było to dobre marzenie. A możesz mi uwierzyć, że dobre marzenie może stać się wielką obsesją... jeśli się w nie uwierzy. I nie znaczy nic, jeśli brak ci wiary.

Wiatr zakołysał bambusami, spadł deszcz. Pastor podniósł wzrok do nieba. Kakadu, gniewna, że przeszkodzono jej w posiłku, wrzasnęła i skryła się pod dachem. Usiadła na ramieniu Beitza. Zazwyczaj nie najlepiej czuł się on w towarzystwie tych agresywnych ptaków, ale dziś najwyraźniej mu nie przeszkadzały. Więcej, spojrzał na papugę przyjaźnie.

- Lubi mnie - uśmiechnął się niepewnie. Poczęstował ptaka kawałkiem chleba. - No, moi drodzy, powinniście chyba kończyć i ruszać w drogę. Nadchodzi burza. Lucasie, okryj się płaszczem, jesteś strasznie blady. Źle się czujesz?

- Wręcz przeciwnie, ojczy, całkiem dobrze.

- Bardzo się cieszę. To znaczy, że możesz postąpić słusznie i spotkać się z żoną. Zabierz ją do domu, gdzie jej miejsce. Musisz wypełniać swe obowiązki.

- Oczywiście, ojczy.

W małym miasteczku wieczór ten mógł równie dobrze być wieczorem karnawałowym. Gęsty, niesiony wiatrem deszcz nie przygasił entuzjazmu mieszkańców, którzy po raz pierwszy mieli brać udział w prawdziwym wydarzeniu politycznym. Większość z tych, którzy wylegli na ulice, nie

interesowała się polityką w najmniejszym nawet stopniu, nie wiedziała, jakie partie reprezentują kandydaci, chciała się po prostu zabawić.

Przemówienia były lepsze od niczego tu, w głuszy, gdzie nie wiedziało się, co to znaczy rozrywka.

Friedrich zatrzymał się, mrugnął, zagapił, przetarł oczy. Nie wierzył, że trafił z powrotem do miasta, łatwego do rozpoznania dzięki światłu w oknach ratusza.

- Musiałem gdzieś zawrócić - powiedział do siebie. - Byłem przekonany, że dojadę do nas, do wspólnoty. Niech to diabli! Co teraz?

489

Niepewny siebie, zmieszany, oddał inicjatywę koniowi brnącemu wytrwale przez deszcz. Bok bolał go coraz bardziej, głowa też, zdawał sobie sprawę, że musi wyglądać strasznie. Potrzebował pomocy... ale do kogo miał się o nią zwrócić? Oczywistym wyborem był mieszkający w hotelu pan Hoeppe, ale przecież nie mógł odwiedzić go w tym żalnym stanie.

Widział ludzi śpieszących w tę i w tamtą stronę, zdziwił się na ich widok, ale zaraz potem przypomniał sobie szpital. Mijał go kilkakrotnie, patrząc z pogardą na nędzny domek, współczując ludziom, którzy coś takiego ośmielili się obdarzyć tak dumną nazwą. Ale teraz musiał mu wystarczyć. Friedrich pochylił się, splunął, w ustach miał ohydny smak krwi. Czuł, jak chwieje mu się jeden z przednich zębów, co zaniepokoiło go bardziej niż wszystkie inne obrażenia. Aktor nie może sobie pozwolić na utratę przedniego zęba, to go degraduje do komedii lub ról idiotów. Smutny, żalny, zawrócił w kierunku szpitala. Poszukiwał pomocy, ulgi w bólu. Z pewnością był to najgorszy dzień w jego życiu.

- Najgorszy - oznajmił Freddy'emu drżącym głosem. - Jestem zrujnowany. Te sukinsyny mnie załatwiły.

Miał wrażenie, że przemawia w pustkę, choć ulicami mknęły bryczki i powoziki, wszystkie zmierzające do centrum miasteczka. Jego głos grzął w ciemności, powracał echem, Freddy nie słuchał i to wyprowadziło go z równowagi.

- Freddy?

I znów to samo. Wróciło echo, to wszystko. Uświadomił sobie, że zdarzyło się to już wcześniej. Jakiś czas temu. Wtedy też doznał wrażenia, że nie ma przy nim Freddy'ego. Było to wtedy, kiedy napadli na niego ci dwaj twardziele. Freddy opuścił go w chwili ataku. Tylko dlaczego miałby to zrobić? Na litość Boską, dlaczego?

- Freddy! - zawołał. Wiatr przewiał pustą w tej chwili ulicę.

Odruchowo podniósł rękę do głowy, chciał wcisnąć kapelusz na uszy, ale nie miał już kapelusza, jego kapelusz został gdzieś tam przy Drodze Taylora. Czyżby pozostawił tam także Freddy'ego? Czyżby już go nie było? Friedrich rozplakał się, wzywał Freddy'ego, błagał, żeby go nie opuszczał. Pokonany przez ból i gniew, użalając się nad swym losem, spadł z konia przed wejściem do szpitala.

490

Wokół niego zaroilo się od ludzi. Chwyciły go mocne dłonie, ale łagodnie, z wyczuciem. Właśnie tego potrzebował. Odrobiny szacunku. Odrobiny uwagi. Bo przecież strasznie się z nim obeszli...

To nie w porządku. I nawet Freddy opuścił go w godzinie próby.

- Co tu się dzieje?

- To kapłan.

- Luterański. Ten młody.
  - Wygląda, jakby stratowało go stado.
  - Biedaczysko. Wnieście go do środka. Kobięcy głos, mocny, zdecydowany.
  - Kto to taki?
  - Kapłan, siostrze przełożona.
  - Rozstąpcie się, proszę. Panowie, wnieście go do infirmerii. Siostrze, proszę o mydło i gorącą wodę, musimy go umyć. Kapłan, mówicie? Jak się nazywasz, ojczek?
  - Ritter - odrzekł słabym głosem.
  - Cóż mogę powiedzieć, ojczek Ritter? Nie za dobrze to wygląda. Boże, wasze ubranie dożyło kresu.
  - To sutanna, siostrze przełożona.
  - Tak, wiem oczywiście. Niech przejdzie tutaj. Nogi niezbyt pastorowi służą, prawda? Tak, dobrze, proszę usiąść na ławie. Tobie, zdejmij z niego duchowną sukienkę i koszulę, niech obejrzę go sobie dokładniej. Dziękuję, panie Tucker, poradzimy sobie same. Niech pan zajmie się sobą i żadnego dźwigania kamieni, bo grzbiet znowu pana zawiedzie. No, no, co my tu mamy? Proszę powiedzieć, co się stało, ojczek.
- Położył się na ławie w infirmerii. Czuł się bezpieczniejszy, nie obawiał się już, że umrze na atak serca, z powodu przebiccia płuca czy innych ran, które zadali mu bandyci. No i znacznie odważniejszy teraz, kiedy wreszcie znalazł się w rękach tej dobrej kobiety.
- Gdzie jestem? - spytał rudowłosą dziewczynę rozpinającą mu sutannę, rozbierającą go nawet z koszuli. Na widok stanu jego ubrania cmoknęła głośno.

- Moim zdaniem nie da się naprawić, siostrzo przełożona - powiedziała.
- Nieważne. Umyj mu twarz i ręce, proszę. Ściągnij buty. A więc: co się stało, ojczec?

491

- Zaatakowano mnie - powiedział Ritter z trudem. - Dwaj mężczyźni.
- Dobry Boże! Świat schodzi na psy, skoro bandyci ośmielają się napadać na duchownego. I jeszcze cudzoziemca! Przykro mi to słyszeć. A teraz zobaczmy, co z ojcem. Boli?

Odwaga opuściła Rittera. Wrzasnął, gdy tylko kobieta pomacała mu żebra.

- Tak myślałam. No, zdrowo ojciec oberwał. Po chodzie poznałam, że to właśnie żebra ucierpiały.

Friedrich został dokładnie umyty, łącznie z włosami, w których było pełno błota. Kazały mu przepłukać usta wodą o obrzydliwym smaku. Siostra obchodziła się z nim bez śladu miłosierdzia, rany zalała jakimś ciemnym płynem szczypiącym dotkliwiej, niż żądli rój pszczoł. Przez cały czas bawiła go rozmową, jakby siedzieli w eleganckim salonie.

- Gdzie ojca pobito?
- Na Drodze Taylora. Rabusie...
- Dziwne, rabusie zwykle zasadzają się w innych miejscach, tam gdzie mogą liczyć na bogate łupy. A Droga Taylora przecież nigdzie nie prowadzi, tylko do obozu Niemców.
- Okradli mnie -jęknął Ritter. - Ze wszystkiego, co miałem. Nie zostawili ani pensa.
- Ile zabrali? Ostrożnie, ostrożnie...
- Sześć funtów. To były pieniądze wspólnoty. Dla biednych.
- A to łobuzy! Muszą być strasznie zdesperowani. A teraz odwagi, ojczec.

Proszę zacisnąć zęby. Muszę obandażować żebra. Dwa są złamane, a sądząc po tym, jak ojciec unikał mojego dotyku, nie zdziwiłabym się, gdyby kilka górnych pękło. Sądząc zaś po siniakach, mogę jednak powiedzieć, że wyszedł ojciec z opresji obronną ręką, choć dzięki łasce Bożej, a nie ich staraniom.

- Kopali mnie, nawet kiedy leżałem na ziemi. Ściągnęli z konia, rozerwali odzienie, rzucili w błoto, a ja tylko pytałem ich: „dlaczego?” Chodzi o to, że nie mogłem im zawinić. Jestem tu nowy, proszę pani. Myślałem, że to miłe miasteczko. Mówiono mi, że mieszkają tu przyjaźni spokojni ludzie.

- Bo tacy właśnie jesteśmy, ojcze. Właśnie tacy - zapewniła go ruda dziewczyna o piegowatej twarzy.

492

- I zdarzyło się to za dnia? - Siostra przełożona zmarszczyła brwi.

- Prawie. Zmierzch jeszcze nie zapadł.

- To może potrafi ojciec opisać napastników? Nasz konstabl Colley z pewnością o to zapyta.

- Nie tylko opisać. - Friedrich skrzywił się. Bandażowała mu żebra ciaśniej, niż kobiety sznurują gorset. - Jednego z nich rozpoznałem.

- Naprawdę? - Na chwilę zapadło milczenie, zabiegi ustały; tak nagle, jakby czas się zatrzymał. - Kogo?

Leżał nieruchomo, intensywnie myśląc. Siostra podłożyła mu pod głowę małą poduszkę.

- No więc... pierwszy był strasznie brodaty, trudno było dojrzeć choć kawałek twarzy, a ten drugi... widziałem go wyraźnie...

- Kogo?

- Ma na imię Keith. Tak, teraz pamiętam, Keith. A na nazwisko Dixon.

Ten brodaty raz zawołał go po imieniu, to potężny jasnowłosy młody mężczyzna ten Keith, a kiedy już leżałem na ziemi, kiedy mnie kopali, powiedział coś takiego: „wy, Dixonowie”, więc nietrudno mi było nawet w tak strasznej sytuacji dodać dwa do dwóch. Oczywiście, Keith Dixon! Przysięgnę na to. I mogę go wskazać, nawet w tłumie. Nie zapomnę jego bezczelnej gęby, tego, jak się ze mnie śmiał, kiedy leżałem bezradny u jego stóp, cały w błocie. Pani go zna?

- O Boże! - szepnęła siostra przełożona.

Nauczyciel, pan Hackett, przybył dla towarzystwa dwóch pań i dzieciaków. Hanni uśmiechnęła się na jego widok. Od pewnego czasu pojawiał się tak często, że zaczęto mówić, iż zaleca się do pani Zimmerman, która oczywiście zaprzeczała tym sugestiom... wyraźnie zarumieniona. To Eva zdecydowała, że najpierw pójdą zobaczyć, co ma do zaoferowania Keith Dixon. Dzieci były tym pomysłem zachwycone, słyszały, że na spotkaniu Dixona będą darmowe słodycze i napoje, za nic nie chciały stracić okazji, ale... zaprotestowała Hanni.

- Jak możesz? - spytała Evę gniewnie, oskarżycielsko. - Na miłą bym się do tego człowieka nie zbliżyła.

- A może zobaczysz coś, co cię rozbawi? - Przyjaciółka uśmiechnęła się wesoło.

493

- Musimy iść! - krzyknął Robie. - Szybko, mamó, bo się spóźnimy. Hanni, przecież wiem, że lubisz słodycze. Zdobędziemy trochę dla ciebie.

Ingę i Hans przyłączyli się do chóru. Próbowali ją przekonać, bały się, że matka zmieni zdanie, ale Hanni pozostała nieprzejednana.

- Róbcie, co chcecie - prychnęła, wybiegła za bramę i poszła w

przeciwnym kierunku.

- Pani Fechner! Nie powinna pani spacerować sama! - krzyknął pan Hackett, ale Eva poprosiła go, żeby dał spokój.

- Nic jej nie będzie - powiedziała uspokajająco. - Spotka się z innymi na mityngu Lesa Jolly'ego.

Oni też wyszli. Pozwoliła dzieciom pobiec przodem, by móc swobodnie porozmawiać z panem Hackettem.

- Hanni nie znosi Keitha Dixona i ma po temu dobry powód - tłumaczyła.

- Nie był wobec niej w porządku.

- Co to znaczy: nie był w porządku?

- No... skrzywdził ją.

- Jak to? Co zrobił?

- Nie powinnam mówić. Nie chce, żeby ludzie o tym wiedzieli. Też nie znam wszystkich szczegółów, ale to co wiem, wystarczy.

- A więc ten człowiek ją skrzywdził. Jak? - nalegał Hackett. - Fizycznie? Poniewierał nią?

- Tak. I gorzej.

- Evo! Co to znaczy: gorzej? To ohyda!

Eva rozejrzała się dookoła, jakby bała się, że ktoś może ich podsłuchać.

- Pracowała na ranczu Dixonów. Keith napadł na nią, pobił ją i zgwałcił.

Ale Hanni nie chce, żeby ludzie się o tym dowiedzieli. Strasznie się wstydzi.

- Mój Boże! - westchnął nauczyciel. - Potworne. Co na to jej mąż?

- On nic nie wie i proszę, niech się nie dowie. Nie powiedziała mu. Ja się wahałam, ale to by tylko pogorszyło ich wzajemne stosunki...

- Niech to wszystko diabli wezmą! - Hackett zatrzymał się nagle. - Teraz

rozumiem, dlaczego nie chciała pójść na spotkanie z tym człowiekiem. Dziwię się za to, dlaczego ty idziesz. To źle! Dzieci! Niestety musimy wracać!

494

Dzieciaki jęczały oczywiście i narzekały; uspokoiły się dopiero wtedy, gdy powiedział im, że w sklepie „Sunshine” kupi im lepsze cukierki, niż dostałyby za darmo.

Zawrócili. Eva była strasznie rozczarowana. Tak chciała zobaczyć, jak się miewa Keith! Ani słowem nie wspomniała panu Hackettowi, jaki to przygotowała mu poczęstunek. Może by mu się to nie spodobało? Nagle przemknął obok nich konny karawan, podzwaniając donośnie. Stanęli jak wryci.

- Ktoś zmarł? - spytał Robie.

- Nie - odparła jego matka. - Dzwonki oznaczają, że karawan służy jako ambulans. Ktoś miał wypadek.

Gdyby mogła to zobaczyć, Eva umarłaby ze śmiechu na widok Keitha Dixona uciekającego pędem w chwili, gdy mistrz ceremonii przywoływał zebranych do porządku. Na nieszczęście do mowy wyszedł na krawędź sceny, nie widział więc, że gwiazda wieczoru znikła, i gdy tylko zrobiło się cicho, zaczął wygłaszać pochwały „młodego kandydata”, często wskazując gestem za siebie, na puste krzesło. Licznie zgromadzona publiczność, początkowo tylko zdziwiona, szybko zaczęła się bawić, chichotać, trącać wzajemnie łokciami, a wreszcie głośno śmiać. Mistrz ceremonii robił co w jego mocy, lecz wreszcie musiał przerwać, czerwony, zdumiony. Miał przed sobą stado ludzi zaśmiewających się do rozpuku!

A im nie dość było zabawy. Wyciągali ręce, jeden przez drugiego krzyczeli

coś, czego nie był w stanie zrozumieć. Wreszcie pojął, o co chodzi, obrócił się, spojrzął na pustą scenę. Ze zdumienia aż rozdziawił usta. I zaskoczył widzów.

- Gdzie ten gnój? - spytał gniewnie.

Kolejny wybuch wesołości omal nie zmiotł sali z powierzchni ziemi.

A Keith utknął całkiem daleko od sceny, w wychodku. Nie mógł go opuścić. Kilkakrotnie wstawał, robił kilka kroków... i natychmiast musiał wracać. W końcu zaprzestał prób. Siedział na tronie spocony, czerwony, bliski paniki. Znalazła go matka.

- Jesteś tam, Keith?

- Tak.

- Lepiej się pośpiesz, kochany. Twój mistrz ceremonii jest bardzo zły. Twierdzi, że zrobiłeś z niego durnia. Grozi, że wyjdzie z sali.

- Nie mogę, mam. Mam straszne rozwolnienie.

495

- Ojej!

- To nerwy - powiedziała do męża po powrocie do Progress Hall. - Jestem tego pewna. Biedny chłopiec.

- Biedny chłopiec! Cholerny kretyń moim zdaniem. Też mi polityk, dostaje sraczki, bo musi przemówić! Wiedziałem, że to się nie uda. Powiedz mu, że ma dwie minuty. Jak nie przyjdzie, to ja wychodzę! Woźnica „ambulansu” śpieszył się. Bardzo chciał pozbyć się wreszcie pasażera, u którego zdiagnozowano cholere.

Parowiec „Fayette” przybił tego popołudnia do nabrzeża spokojnie, bez rozgłosu. Wysadził na brzeg jednego pasażera, choć kapitan jako powód

przybycia podał konieczność uzupełnienia zapasów. Poza jedną osobą nikomu nie pozwolono opuścić pokładu statku płynącego z Cooktown na dalekiej północy do Brisbane. Wiózł on poszukiwaczy złota z północnych pól złotonośnych, wygranych w pierwszej klasie, przegranych cierpiących w przepelnionej, dusznej wspólnej sypialni. Tam właśnie podróżował chory. Kapitan poinformował władze portowe, że ma na pokładzie mężczyznę o nie znanym nazwisku, cierpiącego na chorobę zakaźną. Jules Stenning próbował odmówić „Fayette” prawa cumowania, powołując się na to, że Bundaberg nie ma warunków na przeprowadzenie kwarantanny, ale kapitan znał swoje prawa. Nie wolno mu było narażać życia powierzonych jego pieczy pasażerów. Spór trwał jakiś czas, aż wreszcie wyjął on dokumenty przewozowe, z których wynikało, że człowiek ten tak czy inaczej zmierza do Bundabergu: buszmen z długą brodą, mówiący z dziwnym akcentem, jak wielu do niego podobnych samotnik i w dodatku przepelniony goryczą. Podczas całej podróży trzymał się na uboczu, czas spędzał głównie na koi, tak że nieprędko zorientowano się, że jest chory. Stenning przywiózł ze sobą doktora Straussa. Przeprowadził on długą rozmowę z lekarzem okrętowym; miał nadzieję, że jego diagnoza okaże się błędna. I zaproponował kompromis: mianowicie przewiezienie chorego po zmroku, gdy na nabrzeżu nie będzie już ciekawskich robotników ani ludzi prowadzących tu interesy.

- Proponuję, by powiedział pan pasażerom, że ten dżentelmen cierpi na wątrobę, jak większość mężczyzn pracujących na polach złotonośnych - zakończył.

496

- Już to zrobiłem - odparł lekarz okrętowy.

Biedaka, zaledwie przytomnego, złożono w maleńkim składziku. Strauss zdecydował się zbadać go jeszcze raz. Ujął go za przegub celem sprawdzenia pulsu, lecz mężczyzna cofnął rękę, jak to robił poprzednio. Trzymał coś w kurczowo zaciśniętej pięści.

- Co to jest? - spytał Strauss kolegę po fachu.
- Kamień.
- Ma jakąś wartość? - Kamyk był niebieski, miał ostre zębate krawędzie, z łatwością mieścił się w dłoni.
- Żadnej. Pewnie mu coś przypomina i tyle.
- Aha, w porządku. Ambulans przyjedzie o szóstej. Zabierzemy go z waszych rąk.
- Mam nadzieję, że wyzdrowieje. Lepiej mu będzie tu niż u nas.
- Zrobimy co w naszej mocy.

Doktora Straussa czekała pracowita noc. Po przetransportowaniu chorego dostał wezwanie do Kleinschmidtów, gdzie przewieziono Rolfa, zarządcę tartaku. Leżał w łóżku, cierpiąc nieznośny ból.

- Czy zdarzało się to wcześniej? - spytał lekarz.
- Tak. To tylko nerwy. Tyle że tym razem jest trochę gorzej.
- Może pan coś na to poradzić? - spytała pani Kleinschmidt, bardzo zaniepokojona.
- Zobaczymy.

Zbadał Rolfa, ukoił ból laudanum i poszedł porozmawiać z jego żoną.

- To nie nerwy - powiedział. - Raczej zapalenie wyrostka robaczkowego. Przewlekłe, nazywamy je „burczącym wyrostkiem”. Ma szczęście, że nie zachorował wcześniej. Przyślę po niego ambulans.
- Dlaczego? Co to da?

- Będę musiał go zoperować, pani Kleinschmidt.
- Och, nie! Nie może pan tego zrobić. Nie!
- Niech pani usiądzie i uspokoi się, proszę. Nie ma się co denerwować. Muszę operować. Pęknięty wyrostek to zagrożenie życia. Musi jechać do szpitala, natychmiast.

497

Bez pracujących tu ofiarnie kobiet doprawdy nie sposób byłoby nazwać to nędzne miejsce szpitalem. Opieka była bez zarzutu, a obecność sióstr i uwaga, jaką mu poświęcały, uspokajały Friedricha. Przynajmniej miał okazję odpocząć. Wymyły go, nawet oczyściły paznokcie. Na rany położyły łagodzące ból maści i nim zdołał je powstrzymać, zalały rany twarzy palącym płynem, upewniając go, że to doskonały środek bakteriobójczy.

No i oczywiście szlochały nad losem podartej ubłoconej sutanny. Ze smutkiem poinformowały go, że nie da się jej polatać. Mało go to obeszło. Nie znosił jej i miał jej szczerze dość.

- Więc ją wyrzucicie - powiedział obojętnie.

W spodniach i koszuli poczuł się wreszcie normalnie. Był nowym człowiekiem. Usiadł, ale lepki opatrunek na piersi szczypał go i ciągnął za skórę tak, że aż krzyknął. Siostra przełożona pojawiła się niemal natychmiast.

- Co się stało?
- Czy muszę nosić ten gorset? Uśmiechnęła się.
- Bez niego czułby się ojciec o wiele gorzej. Parę dni cierpliwości i żebra trochę się podreperują. Wygląda ojciec znacznie lepiej. A jak się czuje?
- Nie najgorzej.

I rzeczywiście czuł się nie najgorzej. Pora się stąd wynosić.

- Miło słyszeć. W ostatniej sali mamy pacjenta. Ciężko chorego. To cudzoziemiec, zdaje się, że Duńczyk, ale doprawdy nie wiem. Nie pomodliłby się z nim ojciec przed opuszczeniem szpitala? Z pewnością przyniosłoby mu to wielką ulgę.

Friedrich zdążył już skończyć z karierą duchownego, przynajmniej w marzeniach, jednakże w porę przypomniał sobie, że dzięki troskliwości Keitha Dixona nie ma grosza przy duszy i w związku z tym będzie musiał pozostać w Bundabergu dłużej, niż zamierzał.

- Niech tak będzie - rzekł wracając do dawnego uroczystego sposobu mówienia. - Co dolega temu nieszczęśnikowi?

Siostra przełożona podeszła bliżej, położyła mu dłoń na ramieniu.

- Cholera - szepnęła. - Ale nie chcemy, żeby to się rozniosło. Ludzie wpadliby w panikę.

- Ach tak. Rozumiem - powiedział z udawanym smutkiem, a pomyślał: Jak ona śmie wysyłać mnie do chorego na cholere!

498

- To tam, ojcie. - Wskazała zamknięte drzwi przy końcu korytarza. - Tam leży. Zachował się ojciec wspaniale.

Wspaniale? Też mi coś, do diabła! Przecież nie miał wyboru. Baba wepchnęła go do sali, w której leżał brodaty stary facet z włosami jak szczotka z brzozowych gałęzi, mruczący coś do siebie, bełkoczący niezrozumiale. Z całą pewnością gorączkował. Friedrich wręcz czuł bijące od niego ciepło, choć stał jak najdalej od niego, przy drzwiach. Ciekawe, jaką odległość potrafią pokonać bakterie.

Okna od sufitu do podłogi były zamknięte. Wychodziły na werandę, za

którą widać było rząd zabudowań, dalej zaś stajnie. Nie czując wyrzutów sumienia, nie patrząc nawet na złożonego chorobą nieszczęśnika, Friedrich wyszedł zamykając za sobą wysokie drzwi.

Znalazł Księżniczkę. Wspiął się na siodło; był znacznie silniejszy, niż przypuszczał, i to doprowadziło go do wściekłości. Co powinien zrobić? Pojechać na policję oczywiście. Cały szpital wiedział już, że nowy pastor został napadnięty i obrabowany. Uczciwy, pokorny duchowny z pewnością zameldowałby o tym konstablowi. Miał sporo do powiedzenia. Mógł przedstawić dowody. Jeszcze raz powtórzył w myśli swą historyjkę. Nagle poczuł się słabo, powrócił wstrząs towarzyszący napadowi, ale udało mu się go zwalczyć. Ruszył pod silny wiatr w kierunku Quay Street i mieszczącego się tam posterunku policji.

Stenningowie nie wychylali się. Jules postanowił, że nie weźmie udziału w mityngu żadnego z kandydatów. Uważał, że nie powinien opowiadać się po którejś ze stron. Nie spodobało się to jego żonie.

- Przecież możemy wziąć udział w obu mityngach - tłumaczyła. - Keith zaczyna o siódmej, Les nie pojawi się na Quay Street przed ósmą.

- Ale musielibyśmy się tłumaczyć albo jednemu, albo drugiemu. Na razie lepiej trzymać się z dala od polityki.

- Ja nie mam zamiaru - oznajmiła Nora. - Idę na spotkanie z Lesem Jollym.

- Gdyby chciał cię zobaczyć, zaprosiłby cię osobiście - powiedziała słodko jej matka.

Natomiast ojciec spojrział na nią gniewnie.

499

- Nigdzie nie pójdziesz! Wiem, że dla ciebie to okazja do spotkania z tym

niemieckim robotnikiem.

- Nieprawda! - krzyknęła dziewczyna i uciekła z pokoju.
- Co się dzieje do cholery? - zdziwił się Jules.
- Bo ty mnie nigdy nie słuchasz - zezłościła się jego żona.
- Przecież mówiłam ci, że Les Jolly jest dla niej ostatnio bardzo miły.
- Owszem. I jest znacznie lepszym kandydatem na męża.
- O to właśnie chodzi. Tymczasem Norę dręczą rozterki. Moim zdaniem jest gotowa do porzucenia Niemca, ale to wyjątkowo lojalna dziewczyna. Nie chce urazić jego uczuć.

- Życie jest, jakie jest.
- A także nie chce, by wyglądało na to, że wybrała Lesa, bo żyje w... w lepszych warunkach.
- Bo jest bogaty? To też życie.

Przerwało im głośnie kołatanie do drzwi. Jules ze zdumieniem stwierdził, że na progu jego domu stoi zdenerwowana do szaleństwa kobieta.

Florence Dixon!

- Dobry Boże, Florence, co się stało?

Pani Dixon odepchnęła go. Pobiegła wprost do jego żony. Rzuciła się jej w ramiona.

- Kochanie, musisz mi pomóc. Szybko! Potrzebuję mikstury doktora Moretona. Wiesz, tej białej.
- Po co? Masz problemy...
- Nie ja. Keith! - szepnęła. - Daj mi butelkę. I trochę wody.

Kobiety pobiegły do kuchni.

- Dlaczego musiało się to stać właśnie dziś? - szlochała Florence. - Wszystko było tak wspaniale zorganizowane.

W drzwiach stanęła Nora.

- Marnuje pani czas, pani Dixon - powiedziała. - Les Jolly wygra w cuglach. Już prowadzi.

- Wcale nie, głupia dziewucho! - wybuchła Florence.

- Ludzie nie mają zaufania do nowych, nie w naszej okolicy. Nigdy! Może i ganiają za nim dziewczyny, ale one nie mają prawa głosu, pamiętaj!

- Więc co panią obchodzi mityng?

- Bo tego się ode mnie oczekuje, moja droga. Wielcy ranczerzy muszą zademonstrować swą siłę. Przyjadą oni, zarządcy, pastuchy.

500

Ci, którzy tu wydają zarobione pieniądze. Sklepikarze i wszyscy inni muszą się dowiedzieć, z której strony chleb posmarowany jest masłem. Znalazłaś tę miksturę, Jayne? Nie mamy czasu...

Wybiegła po kilku minutach z wielką niebieską torbą owiniętą ściereczką do naczyń. Jules przyglądał się temu ze zdumieniem.

- Co się dzieje? - spytał. - Przybiegła tu aż z Progress Hall?

- Tak.

- Ale dlaczego?

- Keith źle się poczuł - wyjaśniła mu żona. - Potrzebował białej...

- Co? Dostał sraczki? Jayne roześmiała się.

- Jakiś ty nieokrzesany! Sądysz, że Florence ma rację, Jules? Że Keith wygra?

Jej mąż skinął głową.

- Moim zdaniem tak. Oczywiście Lesa Jolly'ego spotykamy codziennie, jest niewątpliwie popularny, ale... łatwo jest zapomnieć o tych wszystkich bogatych ranczerach i ich pracownikach, bo nieczęsto ich widzimy. Dziś

przyjechali, miasto jest dosłownie zawałone ludźmi. Nie wygląda na to, żeby Les miał szansę.

- Nie wierzę ci - wtrąciła Nora. Jej ojciec wzruszył ramionami.
- Mnie te wybory nie obchodzą. Les może sobie mieć poparcie naszego miasteczka, ale pamiętaj o całości elektoratu. O Maryborough, którym skwaterzy rządzą, jak chcą...

W tym momencie ktoś zapukał do otwartych drzwi frontowych. Jayne podskoczyła do nich z okrzykiem:

- To musi być Florence! Nikt inny. Okazało się, że jednak nie.
- Przyszedłem zaprowadzić Norę na mityng - powiedział grzecznie Les Jolly.
- Nie idziemy! - krzyknął Jules Stenning.

Zapadła niezręczna cisza. Les stał na progu. Patrzył pytająco na panią Stenning.

- Wieje silny wiatr - rzekł wreszcie. Skinęła głową.

501

- Idziesz, Noro? - zawołał. - Nie mogę się spóźnić. Dziewczyna otuliła się szalem.
- Dobrej nocy, ojciec.
- Nie pokona Keitha - ostrzegł ją ojciec.
- Wiem - odparła z uśmiechem. Być może teraz łatwiej jej będzie wyjaśnić wszystko Waltherowi. Nadal miała do niego słabość, ale już rozumiała, że musieliby się zmienić oboje, a to zapowiadało poważne kłopoty. A poza tym, pomyślała, zdaje się, że pokochałam Lesa. Tak jak kiedyś pokochałam Walthera. Problem w tym, że nie mam żadnego doświadczenia w miłości. Więc jak mogę ją rozpoznać?

Uśmiechnęła się smutno do Lesa, elegancko ujmującego ją pod ramię; wiedziała, że wkracza na drogę prowadzącą wprost do małżeństwa. Pamiętała słowa babci: „Małżeństwo, moja droga, może być radością, może być nieszczęściem. Trudno tak od razu powiedzieć, czym będzie.”

- To prawda - przytaknęła głośno.

- Co? - spytał Les.

- Nie wiem. Słuchaj, oni mówią, że nie możesz wygrać.

- Co racja to racja - odparł przyciskając do boku jej ramię. - Nie mam szans. Ale wydeptuję ścieżkę, rozumiesz? Tak jak wytycza się szlaki w buszu. Idzie się i wraca. A potem idzie się kawałek dalej. Ciężka robota, ale krok po kroku człowiek przebija się głębiej w busz, pojawiają się odkrywcy, badacze, mierniczowie, osiedleńcy... I ja próbuję robić właśnie coś takiego. Wyznaczam nowe granice mojej ziemi, Noro. Tak naprawdę to wysyłam wiadomość: „Nie może wychodzić wam wszystko i zawsze. Czujecie na karkach mój gorący oddech.”

- Więc ten mityng nie jest taki całkiem serio?

- Nie całkiem serio? Jest jak najbardziej serio, moja droga. Śmiertelnie serio. I Dixonowie o tym wiedzą. Keith może wygrać... dzisiaj. Ale następnym razem to ja będę górą.

- Boże drogi! - westchnęła Nora i w tym momencie dostrzegła zbliżającego się do nich Walthera. Być może szedł nawet do ich domu? Zawołała go, ale on odwrócił się i znikł szybko w mroku wilgotnej nocy. Walther żałował, że odwrócił się i odszedł, zachował aż tak nieelegancko. Nie zamierzał, to była odruchowa reakcja, strach przed tym, że nie potrafi powiedzieć tego, co myśli, po angielsku.

Od dłuższego czasu zdawał sobie sprawę, że Les interesuje się Norą. Widywał ich razem, ale nie wspominał o tym dziewczynie, gdy znajdowała chwilę dla niego. Najlepiej będzie, myślał, jeśli nasze uczucie dobiegnie naturalnego kresu, i tak też się stało. Oboje wypłynęli na spokojniejsze wody, stali się przyjaciółmi, a ich przyjaźń mogła przetrwać lata. Bardzo chciał jej to wytłumaczyć, wyjaśnić Lesowi, że nie życzy mu źle. Prawdę mówiąc to on znacznie lepiej nadawał się na męża panny Stenning...

Dogonił go Max Lutze.

- Popatrz tylko, ilu ludzi chce wysłuchać pana Jolly'ego. To dobry znak, prawda?

- Może. Ale pewnie wcześniej słuchali pana Dixona, więc trudno powiedzieć.

Zobaczył Evę z dziećmi, przyspieszył kroku, dołączył do nich.

Chwycił małą Inge, uniósł ją nad głowę.

- Kto chce lizaka? - spytał, kiedy podchodzili do sklepu. Oczywiście cała trójka chciała. Dał im po kilka pensów, niech same wybiorą sobie to, co najbardziej lubią.

- Rozpuszczasz je - powiedziała Eva. Walther się roześmiał.

- Dlaczego nie? To dobre dzieci. - Spojrzał na pana Hacketta. - Jak się spisują w szkole?

- Bez zarzutu, panie Badke. Jestem z nich bardzo zadowolony.

Przeszli jak wszyscy przez ulicę. Les zbudował podium pod wielkim figowcem przy Moreton Bay. Serdecznie witał się ze znajomymi i przyjaciółmi. Wkrótce otoczył go tłum. Wskoczył na prowizoryczną scenę. Gestem zachęcił ludzi, by się do niej zbliżyli.

- Panie i panowie - rozpoczął przemowę - to bardzo ważna okazja...

Walther nie poświęcił mu większej uwagi. Słyszał głosy rozdokazywanych dzieci, swawolących za kręgiem zasłuchanych ludzi. Nagle uświadomił sobie, że bardzo chciałby mieć dzieci. Cóż by to była za radość!

Najpierw musisz znaleźć sobie żonę, przywołał się do porządku. Tylko że niewiele było w tej społeczności samotnych dziewcząt. I jeszcze mniej takich, które nie związały się z jakimś mężczyzną. Być może powinien poszukać w rodzinnej wiosce,

503

tam daleko, w Niemczech. Życie byłoby znacznie prostsze, gdyby ożenił się z Niemką. Im dłużej o tym myślał, tym lepszy wydawał mu się ten pomysł. Trzeba coś zrobić, postanowił. Już teraz, bez zwłoki.

Na przykład Matti Giinthner. Nie zmartwiłby się, gdyby popłynęła z nimi. Poruszyła go ta myśl. Nie wystarczy, by dziewczyna zdecydowała się na podróż na kraniec świata. Musieliby się na nią zgodzić także jej rodzice. Kolejny kłopot.

Mogę tylko spróbować, powiedział sobie. Dam znać kuzynowi Kurtowi, że szukam żony. Może zabierze ze sobą odpowiednie młode dziewczyny?

Słyszał o przyplływających z Irlandii statkach, których jedynymi pasażerami były dziewczęta w wieku odpowiednim do małżeństwa. Nic nie stało na przeszkodzie, by zorganizować taką grupę w Niemczech. W końcu nie on jeden marzył o założeniu rodziny, o dzieciach. Niektórzy kuzyni Rolfa, drwale, radzili sobie doskonale, ale też skarżyli się na niedostatek kobiet. A właśnie, pomyślał, co się dzieje z Rolfem? Pan Jolly był jego szefem; z pewnością poprosił pracowników o obecność na mityngu.

Mistrz ceremonii uciekł, aż się za nim kurzyło. Jego miejsce zajął Charlie Mayhew. Po długiej, za długiej przerwie do sali wrócił wreszcie Keith Dixon sprawiający wrażenie mocno osłabionego. Zasugerował ojcu przesunięcie mityngu, ale stary nie chciał nawet o tym słyszeć.

- Dixonowie się nie poddają - powiedział, dosłownie miazdząc syna wściekłym spojrzeniem.

- Jesteś pewien, że wszystko w porządku? - spytał Charlie.

Keith skinął głową.

- Powinno być nieźle - westchnął. - Matka opchała mnie po gardło jakimś lekiem na sraczkę, smakującym jak zatruty krochmal. Skończmy wreszcie to przedstawienie.

I mniej więcej to właśnie zrobiliśmy, pomyślał Charlie opuszczając Progress Hall. Przedstawił Keitha komplementując go dokładnie tak, jak się tego po nim spodziewano. Keith wygłosił banalne przemówienie, dostał za nie brawa, po czym na scenę wskoczył J. B., wezwał zebranych pod broń, zachęcił ich do walki, kazał trzymać się razem, namawiał do głosowania na swoich i tak dalej. Tylko jego pożegnano owacją.

504

Charlie szukał teraz konstabla Colleya. Obszedł tłum wsłuchany w słowa Lesa Jolly'ego, pozdrowił kilka pań, uprzejmie unosząc kapelusz, lecz cały czas wypatrywał policjanta.

Wyłożył pieniądze na kampanie obu kandydatów. Polityka jako taka nie interesowała go do tej pory, ale kiedy dowiedział się, że trzeci kandydat jest zaprzysięgłym abstynentem, uznał, że pora brać się do roboty. Jego destylarnia rumu miała być fabryką z prawdziwego zdarzenia. Nie potrzebował już finansowego wsparcia Dixonów, przyjaciel Jakoba

bowiem, pan Hoeppe, zaskoczył ich wszystkich najpierw zainteresowaniem dla tego przedsięwzięcia, a potem popierającą owo zainteresowanie inwestycją.

Mieli szczęście. Mieli wielkie szczęście.

Na posterunku paliły się jeszcze światła. Przyśpieszył kroku, chciał złapać Colleya, nim wróci do domu. Uciekło mu dwóch Kanaków, musiał zgłosić ich zaginięcie przed upływem czterdziestu ośmiu godzin. Nie zostało mu wiele czasu.

- Dokąd uciekli? - spytał Colley.

- Gdybym wiedział, to sam bym ich złapał.

- A więc prysnęli w busz. Nie wytrzymają długo. - Konstabl uśmiechnął się szeroko. - Wrócą zagłodzeni. Nie są Aborygenami, nie potrafią żywić się tym, co znajdują w buszu.

- Myślałem, że wyślesz za nimi grupę poszukiwawczą.

- A po co? Są uzbrojeni?

- Nie.

- To nie masz się czego bać. Wrócą potulni jak owieczki.

- Po jaką cholere mam zgłaszać uciekinierów, kiedy nikt nie ma zamiaru nic zrobić w tej sprawie? - warknął Charlie.

- Nie wiem. Nie ja tworzę prawo. A to kto?

Przyjrzeni się jeźdźcowi zsiadającemu z konia przed posterunkiem.

- To chyba ten niemiecki kapłan. Jak mu tam, Ritter? Charlie skinął głową.

- A właśnie, coś mi się przypomniało - powiedział. - Mówiłeś zdaje się, że Dixonowie oskarżyli panią Fechner o kradzież. Zaskoczyło mnie to. Taka miła dziewczyna. Co ukradła? Pieniądze?

- Nie. - Bardziej niż rozmowa interesował Clema ten pastor. Najwyraźniej miał kłopoty z przytroczeniem cugli rozbrykanego konia

505

do koniowiązu. - Co to było? Szczotka do włosów? A może lusterko? Jakiś taki drobiazg, ale cenny, wysadzany drogimi kamieniami.

- Lusterko? Przecież dałem jej w prezencie lusterko. W ładnej oprawie. Może o to im chodzi?

- A skąd ja mam wiedzieć? W każdym razie wycofali oskarżenie. -

Konstabl podszedł do drzwi posterunku. - Wszystko w porządku, ojcze? - spytał uprzejmie.

- Nie, bynajmniej. Przed chwilą wyszedłem ze szpitala. Potrzebna mi pańska pomoc.

Colley odniósł się do tej prośby wręcz entuzjastycznie.

- Tak! Jasne! Oczywiście! O co chodzi, ojcze?

Friedrich docenił poetycką sprawiedliwość zgłoszenia skargi na policji.

Nie miał już nic do stracenia, jego czynami rządził wyłącznie gniew wywołany tchórzliwym atakiem na jego osobę.

Podczas pobytu w szpitalu usłyszał wszystko o szykującym się w mieście uroczystym wieczorze. Ludzie radowali się na myśl

o politycznych mityngach, ale w końcu zdał sobie sprawę, że chodzi wyłącznie o jakieś tam przemówienia i nic więcej. Jak zwykle wyniosły, uznał, że głupi prowincjusze potrzebują wyłącznie byle jakiej rozrywki.

Tłumaczyło to przynajmniej fakt, że na ulice wyległy takie tłumy. A potem znów usłyszał to nazwisko: Dixon. Keith Dixon. Keith Dixon zaczynał swą kampanię wyborczą.

Siostra przełożona uniosła brwi. Powiedziała: „O Boże!”

I przestała wypytywać o napad. Najwyraźniej nie chciała się w nic wplątać.

W tej chwili było to jednak bez znaczenia. Nie miał szans na odzyskanie pieniędzy, za to mógł się odegrać na Dixonach. W pełnej zgodzie z prawem! Z trudem opanował wybuch śmiechu, padając w ramiona konstabla i dając się wprowadzić - on, biedna ofiara! - po kilku schodkach wiodących do drzwi posterunku.

W środku był już jakiś mężczyzna najwyraźniej zainteresowany tą drobną tragedią, co sprawiło Friedrichowi niekłamaną przyjemność. Lepiej mu się grało przed widownią, a poza tym chciał, żeby całe miasto poznało jego historię. Kto słucha, ten mówi, im więcej ich, tym lepiej.

Posadzili go na ławie... Ech, świetnie znał ten scenariusz! Jak świat długi i szeroki policyjne posterunki wyposażano

506

w takie ławy... i nic więcej. Projektowano je tak, by oneśmiały, ale w tę wilgotną wietrzną noc Friedrichowi wcale to nie przeszkadzało. Usiadł ciężko, niezdarnie, rozstawiając nogi, rozrzucając ramiona - tak jego zdaniem mogłaby wyglądać żaba, której poderżnięto gardło. Podziękował policjantowi za jego niezwykłą uprzejmość oraz obcemu dżentelmenowi za pomoc, której mu udzielił.

- Jestem ofiarą napadu - oznajmił. - Napadnięto mnie, pobito i obrabowano. Co to za kraj, w którym nawet duchowni nie są bezpieczni? - Jęknął, przeraził ich udając, że zbiera mu się na wymioty, lecz przy tym zdobył ich sympatię i uwagę. Korzystając z niej, szczegółowo i dokładnie, krok po kroku, opisał napad. Oczywiście nie zapomniał o obrażeniach. Ani o wskazaniu winnych: Keitha Dixona oraz wielkiego brodatego buszmena.

Konstabl spisał zeznania marszcząc brwi. Wyglądał na nieszczęśliwego, wręcz przestraszonego, zadawał mnóstwo pytań. Najwyraźniej nie mieściło mu się w głowie, że sprawcą - no, po prawdzie jednym ze sprawców - był bohater miasteczka, Keith Dixon. Tak samo zachowywał się ten drugi, Charlie. On też miał wątpliwości.

- To nie mógł być Keith - stwierdził stanowczo. - Prawie cały czas był w sali, szykował się do wieczornego spotkania z wyborcami. Mylisz się, ojcze.

- Ależ nie!

Friedrich dodał scenie nieco napięcia. Odpowiadał na pytania, zbijał argumenty, udawał gniew i frustrację wywołaną tym, że mu nie wierzą... Czyż duchowny może kłamać?... A potem rozpostarł skrzydła. Nie musiał już udawać gniewu. Po tym co zrobił mu Dixon, jak zrujnował mu życie... ślepa wściekłość była właściwszym określeniem. Była doskonałą wymówką dla kapłana łamiącego ślub milczenia, niezdolnego pogodzić się z krzywdą ludzką, wołającego o pomoc, o sprawiedliwość...

- Jak śmiecie wątpić w moje słowa! - wykrzyknął. - Jak śmiecie lekceważyć mnie, a chronić przestępcę. Czy ten człowiek jest waszym przyjacielem? Czy mam być kolejną ofiarą jego... wybryków?

- Ależ nie, ojcze! Skądże znowu. - Charlie Mayhew robił co w jego mocy, by uspokoić pastora. - Ja tylko wątpię, czy pan Dixon mógł być na Drodze Taylora w czasie napadu. Wydaje się to fizycznie niemożliwe...

507

- No właśnie - przyznał z ulgą konstabl. - Z pewnością był to ktoś podobny do pana Keitha...

- I noszący to samo nazwisko, co? - Wściekły Ritter poderwał się na równe nogi. - Rozumiem, o tak, aż nazbyt dobrze rozumiem, co się tu dzieje. Nie obchodzi was, że ten przestępca podpalił ziemię Jakoba Meissnera! Że spalił mu dom i wszystko, co ten biedny człowiek posiadał. Pan od początku o tym wiedział, panie konstablu. Wiedział pan i nic nie zrobił!

- To prawda? - zdumiał się Charlie.

- Oczywiście. Wystarczy na niego spojrzeć. Czy w tym mieście obowiązuje jakieś prawo?

Colley drżał na całym ciele.

- Nie, Charlie, nie! Temu nieszczęśnikowi wszystko się pomyliło! To zupełnie nie tak. Proszę usiąść, ojczy. Spokojnie. Zaraz przyniosę filiżankę herbaty...

Friedrich patrzył na niego tak zdumiony, że na chwilę odjęło mu mowę.

Gdyby nie było tu tego Charliego, zaatakowałby Colleya, pobił go na śmierć, tak jak pobił na śmierć niczego nie podejrzewającego, patrzącego na niego z góry pastora Rittera. Nie chcieli mu wierzyć, traktowali go jak idiotę, bo w ich oczach był naiwnym, nie znającym świata duchownym, którego światowi ludzie, czyli oni, mogą bezkarnie oszukiwać.

Na szczęście wiedział, jak zareagować. Raz na zawsze odrzucił rolę pastora Rittera. Znow był Ottonem Hauptem. Uśmiechnął się groźnie. Oto na scenę wchodzi ten zły. Nikt nie śmie pogrywać z Ottonem. A z pewnością nie te wsiove głupki!

- A więc nie wierzycie mi - syknął uśmiechając się szyderczo. - Tym bardziej cieszy mnie twoja obecność, Charlie... kimkolwiek jesteś. Ten sukinsyn wie, że Dixon spalił Meissnera z premedytacją, bo świadkiem

podpalenia był Lucas Fechner. Pojechał na posterunek złożyć skargę, a ta kupa krowiego łajna robiąca tu za policjanta, opłacana przez Dixonów, nawet nie kiwnęła palcem!

- To nie może być prawda. - Charlie spojrział na Colleya, który schronił się bezpiecznie za biurkiem i tylko potrząsał głową. - A więc on kłamał - rzucił mu wyzwanie - w sprawie lusterka? Pani Fechner go nie ukradła. Dostała je w prezencie, to była forma przeprosin. A oni powiedzieli, że je ukradła. To był pretekst do wyrzucenia jej z pracy. Dlaczego, Clem? Czy reszta też jest prawdą?

508

Otto podszedł i uderzył pięścią w biurko policjanta, przerywając ich rozmowę. Nie interesowała go. To on ma mówić, a oni słuchać! On tu rządzi! Widział rewolwer w kaburze, wiszący beztrąsko na wbitym w ścianę gwoździu. Może powinien po niego sięgnąć, ale Colley był bliżej. Mógł nie zdążyć. A poza tym miał jeszcze wiele do powiedzenia.

- Ty sukinsynu - warknął na policjanta. - Masz się z czego tłumaczyć. To cud, że Bóg nie ugodził cię piorunem z jasnego nieba.

Wiedział, że trochę pomyliły mu się role, ale co tam. Nagły błysk i huk gromu doskonale współgrały z jego słowami. Można powiedzieć, że tworzyły dla nich właściwą atmosferę. Spojrział na Charliego.

- Gdyby zatrzymał Dixona za spalenie Meissnerów, zapobiegłby gorszemu przestępstwu.

Dokładnie wysłuchał relacji Ffanni, wiedział, że następstwo zdarzeń nie całkiem się zgadza, ale co tam! Nienawiść do młodego Dixona rosła w nim z każdym wypowiedzianym słowem.

- Uratowałyby przez to Hanni Fechner... panią Fechner, którą najwyraźniej znasz, od losu gorszego niż śmierć. - Jego głos ociekał jadem. - Twój przyjaciel, panie konstablu, zgwałcił panią Fechner korzystając z tego, że ta młoda dama była całkowicie w jego mocy jako pokojówka w domu jego rodziców. Powinno się oskarżyć ciebie o zмовę, Colley. Brałeś w tym udział? Też ją gwałciłeś?

- To niemożliwe! - krzyknął Charlie, ale Otto tylko go odepchnął.

- Mam świadka! - wrzasnął tryumfalnie. - Mam mnóstwo świadków! Powiesz może, że Dixon mnie nie zaatakował? A ja powiem, że tak! I obrabował przy pomocy jednego ze swych ludzi. Lucas Fechner zna prawdę o pożarze i nie tylko on. Hanni Fechner wskaże palcem tego, kto wyrządził jej tę straszną krzywdę. Mówię wam, ludzie, nie sądzcie, że możecie bezkarnie łamać prawa Boże. A ty - długim, smukłym palcem wskazał konstabla Colleya - ciebie przeklinam po dzień śmierci, jeśli nie wykonasz swych obowiązków. Wola Boża musi się spełnić!

Otto Haupt skończył przemowę i wyszedł trzaskając drzwiami. Podobało mu się tak dramatyczne opuszczenie sceny. Teraz miał jednak dodatkowe motywy działania. Przestali go interesować

509

dwaj mężczyźni oszołomieni jego furią i już oskarżający się nawzajem.

- Wiedziałeś o wszystkim i nic nie zrobiłeś! - krzyczał Charlie. W uszach ciągle dzwoniło mu od wściekłego wrzasku Ottona.

- Nie, nie, nie wiedziałem. A już na pewno nie o wszystkim!

- A co z tym lusterkiem, które dostała ode mnie? Przecież ci mówiłem, że go nie ukradła! Kryłeś swoich kumpli, co? Jedno ci powiem, Colley.

Siedzisz po szyję w łajnie. Jeśli nie ruszysz tyłka.

- Nie wiedziałem! Fechner przyszedł do mnie z jakąś niedowarzoną historyjką o podpaleniu ziemi Meissnerów. No... no bo przecież Keith by tego nie zrobił. Bo i czemu?

- Nie próbowałeś się dowiedzieć? Nie przeprowadziłeś dochodzenia? Jezu, ale z ciebie dureń! Mógłbym podać ci tyle powodów...

Kłócili się, do tego stopnia wstrząśnięci oskarżeniami pastora, że nie zauważyli, jak wzmaga się wiatr. Burza zaskoczyła ich zupełnie nie przygotowanych. Za pierwszym uderzeniem wiatru chwycili bale konstrukcyjne posterunku, żeby się nie przewrócić.

Huknął kolejny grzmot. I zważyło się na nich tornado. Zrywało z dachu płyty blachy falistej, omal nie rozniosło budynku. Gwałtowna siła i przeraźliwe wycie wichru sprawiły, że Colley skoczył pod biurko. Trząśnięcie ze strachu pewien, że klątwy cudzoziemskiego kapłana skazują go na śmierć.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY.

Było wietrznie, bardzo wilgotno, zanosilo się na burzę, ale o tej porze roku burze były tak częste, że nikt się już nimi nie przejmował. Na polanie przy brzegu rzeki, gdzie odbywał się przedwyborczy mityng Lesa Jolly'ego, nadal kłębiły się tłumy. Ludzie rozmawiali, wymieniali się świeżymi plotkami.

- Gdzie Hanni? - spytał Walther.

- Poszła do domu - powiedziała Eva. Oboje spojrzeli na Lucasa stojącego w grupie ludzi pogrążonych w ożywionej dyskusji z Lesem Jollym.

- A spodziewałem się, że ją tu spotkam. Może udałoby się nam ich pogodzić - westchnął Walther.

Eva potrząsnęła głową.

- Niemożliwe. Lucas jest zbyt uparty.
- Nie możemy winić tylko jego - zaprotestował Walther.
- Oboje popełnili błędy. Zareagowała bardzo gwałtownie.
- A co ty możesz wiedzieć? Wy, mężczyźni, uwielbiacie winić nas za wszystko. Sami oczywiście jesteście święci.
- Spokojnie, Evo - powstrzymał ją łagodny pan Hackett.
- Ważne sprawy można załatwić tylko spokojnie.
- Ty też?! Nikogo z was nie obchodzi los biednej Hanni!
- To nie w porządku - odparł Walther. - Oczywiście, że nie jesteśmy obojętni na los Hanni, ale nie możemy się przecież wtrącać w ich prywatne życie, prawda?

Hackett spojrzał na niego z zastanowieniem.

- A wie pan, panie Badke, wcale nie jestem pewien, że to właściwy sposób postępowania. Moim zdaniem powinniśmy jednak

511

wykazać inicjatywę, przynajmniej w pewnych okolicznościach, zamiast rezygnować ze strachu, że będziemy „wtrącać się w prywatne życie innych”. Proszę o wybaczenie.

Z tymi słowami odszedł po śliskiej trawie. Wydawało się, że ma zamiar porozmawiać z Jollym, ale po drodze klepnął w ramię Lucasa Fechnera.

- Przepraszam, ale chciałbym zamienić z panem kilka słów - powiedział uprzejmie.

Lucas spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- Tak, panie Hackett? O co chodzi?
- O pańską żonę, panie Fechner.

- Doprawdy?
- Powinien pan się o nią troszczyć. Lucas zatrzymał się w pół kroku.
- Próbowałem. Odrzuciła mnie. A w ogóle nie sędzę, by to był pański interes.
- Czyżby? To przykre, bo w mojej opinii uchybił pan swym obowiązkom. Pana żona była przecież pod pańską opieką, gdy wasz pracodawca pobił ją i zgwałcił...
- Co? - krzyknął Lucas.
- Powinien się pan wstydzić, panie Fechner. Pańska żona cierpiała, bardzo cierpiała, a pan ją odrzucił. Nie zna pan uczucia litości czy też jest aż tak pogrążony we własnych...

Nie miał do kogo mówić. Lucas pobiegł przed siebie, przeskoczył niskie ogrodzenie wyznaczające mały park przy Quay Street, popędził ulicą. Nikt jednak nie zwrócił na to uwagi, w miasto bowiem uderzył pierwszy silny podmuch wiatru. Jakieś drzewo złamało się z trzaskiem, upadło na ziemię. Zbite na oczekaniu dla potrzeb kampanii podium uniosło się w powietrze jak pudełko zapalek. Ludzie rozbiegli się szukając schronienia, gdziekolwiek mogli je znaleźć: w sklepach, hotelach i pensjonatach, a wiatr wyśpiewywał swą żalną melodię.

Lucas dzielnie parł przed siebie z opuszczoną głową, uchylając się przed fruującymi w powietrzu gałęziami drzew, trzymając się blisko ścian budynków. Wzdłuż pustych działek biegł tak szybko, jak tylko to było możliwe. Nie zamierzał wrócić. Musiał zobaczyć się z Hanni.

Czyżby była to prawda? Te straszne rzeczy, o których wspomniał nauczyciel? Kto zgwałcił Hanni? Nie, nie musiał zadawać

tego pytania. Wiedział. Widział ten lubieżny uśmiech na twarzy Keitha. Doskonale go sobie przypominał i teraz wiedział już, co ma o tym sądzić. Czyżby Hackett miał rację? Czy jemu można przypisać winę?

Dochodząc do domu Lucas szlochał. Ogrodzenie od frontu uległo naporowi wiatru, dwie palmy przy bramie, złamane w połowie, bezradnie powiewały na wicherze. Zabębnił pięściami w drzwi, wpadł do małego dziennego pokoju, wykrzyknął imię żony, macał przed sobą w ciemności, potykał się o meble, aż wreszcie usłyszał jej głos.

- Kto to? Ty, Lucasie?

Hanni kulila się w kącie przerażona. On też był przerażony. Bał się, że nigdy mu nie wybaczy.

Przytulili się do siebie w ciemności. Czekali, aż burza ustanie.

Po mityngu kobiety zabrały się do sprzątania sali, Keith zaś, J. B. i kilku ich przyjaciół zaczęli planowanie znacznie ważniejszych imprez mających się odbyć w przyszłym miesiącu w Maryborough.

- Wszystko powinno pójść dobrze - orzekł J. B. - pod warunkiem że mój synalek będzie w stanie opuścić wychodek na czas.

- Bardzo zabawne. - Ku zdumieniu wszystkich Keith przyjmował kpiny z humorem, nie denerwował się ani nie obrażał.

Oprócz nich przy nie przykrytym stole siedziało czterech mężczyzn, wszyscy w typie starego Dixona: wielcy hodowcy owiec, każdy gotów do ostatniej kropli krwi bronić swego rancza przed mnożącymi się jak króliki drobnymi osadnikami. Ci ludzie po prostu nie rozumieli, dlaczego mają zmniejszać powierzchnię posiadłości, co oczywiście oznaczało także zmniejszanie liczebności stad. A przecież wszyscy wiedzieli, że zamożność Australii na owczym grzbiecie jeździ. Ich runo było

prawdziwym złotym runem. Kiedy pierwsze bele wełny ich merynosów poszły pod młotek w Londynie, czyste i doskonale jak żadne, na giełdzie omal nie wybuchły rozruchy. Zapanował chaos. Klasyfikatorzy, kupcy dostali napadu szaleństwa, walczyli o Australijczyków, zupełnie zapominając o towarze z innych źródeł. Spektaklowi temu przyglądały się tłumy gapiów.

513

J. B. i jego przyjaciele mieli oczywiście sporo racji. Oni podtrzymywali standardy. Ich wełna pozostała nieskażenie piękna. Piękniejsza niż nigdy, bo najwartościowsze tryki darzyli miłością ojca do dzieci. Po pastwiskach chodziły, krótko mówiąc, bele najlepszej wełny na świecie. Do kraju płynęły pieniądze. Kraj prosperował. I prosperując, przyciągał imigrantów. Imigranci też musieli jeść, potrzebowali więc farmerów. A przez farmerów obumierały wielkie rancza, przynajmniej te leżące za blisko wybrzeża.

Ale ranczerzy dysponowali ciągle potężną siłą. Członkowie parlamentu, sędziowie, wysokiej rangi urzędnicy, komisarze policji nadal ich potrzebowali. Większość z nich pochodziła z ranczerskich rodów, a teraz owe rody czuły, że muszą zewrzeć szeregi. Keith, którego siedzący przy stole ludzie znali od dziecka, nigdy nie wywarł na nich dobrego wrażenia, ale też nikt z nich by go nie skrytykował. Nie obchodziło ich, że Dixon junior, bywało, zachowywał się jak ostatni osioł. Nie potrzebowali w parlamencie geniusza, tylko kogoś godnie się prezentującego i głosującego, jak mu każą. A dokładnie: jak każe mu głosować J. B. Tak myśleli siedząc spokojnie, nieruchomo, z wyrazem zastanowienia na brązowych od słońca i wiatru twarzach.

Henderson, szef rancza leżącego daleko na zachodzie, był rozczarowany nieobecnością syna, Johna, pracującego w Europie przy rządowym programie emigracyjnym. Kręciłby beczki wokół Keitha Dixona, ale cóż, nie zdążyłby na czas wrócić do domu, więc tak czy inaczej skazani byli na synalka Dixonów.

Jak innych, jego też dziwiło zachowanie chłopaka nie słynącego przecież z poczucia humoru. Żeby tak pogodnie przyjmował grube żarty ze swojej dolegliwości? Nie do pomyślenia! Zafajdaniec nic tylko dąsał się i miał pretensje do całego świata, a teraz proszę.

- No i proszę, cuda się jednak zdarzają - powiedział głośno.

- Jakie cuda? - spytał J. B.

- Chodzi mi o tę cholerną pogodę - warknął Henderson. - Czuję w powietrzu burzę. Gwałtowną burzę. Idę po moją panią i zwiewamy do domu.

Niemal natychmiast wszyscy ranczerzy wstali od stołu i skierowali się do drzwi. Wkładali skórzane kapelusze o szerokich rondach, narzucali na ramiona obszerne przeciwdeszczowe peleryny.

514

Na ulicy stał powóz; woźnica niecierpliwie gwizdał na Hendersona, pośpieszając go do odjazdu.

Keith uprzejmie podał pelerynę pani Henderson. Utonęła w niej, szorowała połamami po podłodze.

- Kiedy zaczną produkować to dla kobiet? - roześmiała się. Reszta mężczyzn uciekła biegiem, pomagając kobietom.

- Zamknij salę! - krzyknęła do Keitha matka. Zatrzasnął drzwi, przesunął rygiel. Kobiety już przedtem zawarły wszystkie okiennice.

Keith szedł pustą salą. Podziwiał przepiękny parkiet, dar jego ojca. Kierował się ku tylnemu wyjściu za sceną. Był w doskonałym humorze. Jasne, dolegliwości żołądkowe mocno go speszyły. Ale coś takiego każdemu może się zdarzyć, prawda? Choroba wstrząsnęła nim, nigdy w życiu nie przeżył niczego podobnego. I ten ból! A co stary? Oczywiście starego nic to nie obeszło. Walił pięściami w drzwi i wrzeszczał domagając się, by jego syn wreszcie się opanował.

Przeklęty sukinsyn. Jezu! Kiedy stary wreszcie wyciągnie kopyta, rzeczy zaczną iść lepszym porządkiem.

Ale potem płynny beton mamusi, lany mu w gardło w doprawdy przesadnej ilości, zaczął wreszcie działać i świat nabrał w końcu jasnych barw. Chłopaki poinformowali go, że znaleźli lewego duchownego i że dali mu dobry wycisk.

- A to, szefie - powiedział jeden z nich - te twoje pieniądze.

Miał je teraz bezpiecznie upchane w kieszeni. Banknoty, które ten duchowny sukinsyn wyciągnął od niego szantażem. Głupiec! Jak mógł sądzić, że Keith Dixon pozwoli się oszukać? No ale głupich nie sieją, sami się rodzą.

Progress Hall dysponował własną stajnią, co było wielką rzadkością. Na tej działce stała niegdyś cegielnia. Zbankrutowała wprawdzie, ale przedtem właściciele wystawili prawdziwy ceglany pałac dla koni, obecnie dumę Komitetu Postępu, do którego należała sala.

Keith zatrzasnął tylne wyjście i pobiegł do stajni. Pozostał w niej tylko jego przestraszony wierzchowiec, właściciele innych zdążyli się już wynieść.

- Spokojnie, stary - przemawiał do konia, przerażonego, tańczącego w

boksie. - Myślałeś, że zostawiłem cię samego na pastwę losu? Nie, to się nie zdarzy. Nie dzieje się nic strasznego.

515

Trochę wieje, trochę pada, a my pojedziemy do pubu. Mam szczerze dość tych starych pryków, takich pewnych, że kiedy znajdę się w parlamencie, to będą dyktować mi, co mam mówić i robić. Rzygam na ich widok! Parę szklaneczek whisky z pewnością poprawi mi humor.

Osiadł konia, założył kapelusz i płaszcz, wskoczył na grzbiet wierzchowca. Wyprowadził go ze stajni, skierował pod łukiem ścieżką prowadzącą na padok i w tym momencie w miasto uderzył potężny wiatr. Koń wspiął się, ale Keith utrzymał się w siodle. Chciał zawrócić do stajni, lecz nagle dostrzegł człowieka, który trzymał wodze, próbując pociągnąć go dalej.

- Zejdź mi z drogi, durniu! - krzyknął pewien, że mężczyzna próbuje mu pomóc. Poznał w nim jednak cholernego młodego kapłana. Jego ścieżka znów skrzyżowała się ze ścieżką tego oszusta.

Koń tańczył przerażony odgłosami burzy i dziwnym zachowaniem obcego. W strugach deszczu, przed którym nic już ich nie osłaniało, Keith bał się, że zwierzę może się w każdej chwili poślizgnąć.

Pastor wrzeszczał coś, wykrzykiwał obelgi, próbował ściągnąć go z siodła. Keith musiał się bronić, kopnął go, zdołał opanować konia, zawrócił i mógł już użyć wierzchowca jako broni w walce.

To Ritter poślizgnął się w błocie. Jeździec wściekły jak diabli najechał na niego śmiejąc się szaleńczo. Durny kapłan rozpaczliwie próbował usunąć się z zasięgu podków. W pełni kontrolując sytuację, młody Dixon urządził sobie teraz zabawę. Pozwalał przeciwnikowi wstać, nawet próbować

ucieczki, potem zaś najeżdżał na niego, kopiąc go przy okazji po głowie. Zawrócił konia do kolejnej szarzy na kapłana, któremu udało się wstać, kiedy dostrzegł niesione wiatrem gałęzie, usłyszał przeraźliwy huk i brzęk tłuczonego szkła: coś uderzyło z wielką siłą w ścianę Progress Hall.

- Co do diabła...?!

Pojechał z powrotem do stajni, zdając sobie wreszcie sprawę, że to nie jest zwykła burza. W taką pogodę nie wychodzi się na dwór, tylko szuka schronienia. A pastor i tak miał dość. Niech teraz sam sobie radzi.

Pastor nie odchodził jednak, nie zamierzał się kryć. Miotał przekleństwa, wrzeszczał niczym w napadzie szału - strach na

516

wróble oświetlany bijącymi w ziemię błyskawicami. Keith miał nadzieję, że ten dureń oberwie którymś z cięższych niesionych wiatrem przedmiotów, a przynajmniej że wiatr go przewróci, ale facet był chyba zaczarowany. Niech mu będzie. Niech sobie żyje, na razie. Nie zapomniał jednak doznanych zniewag i kiedy usłyszał coś o policji, natychmiast się odwrócił.

- Policja?! - krzyknął. - Nie zrobisz tego! Oskarżę cię o szantaż! Zgnijesz w więzieniu!

Ale Ritter nie zamierzał rezygnować. Nie sposób było zorientować się, co wyrzaskuje i o co mu chodzi, nie w tym wszechogarniającym hałasie szalejących żywiołów, ale kilkakrotnie powtórzył słowo „policja” i to Keitha przestraszyło. Co będzie, jeśli ten kretyn rzeczywiście pójdzie do Colleya? Skąd wiedział, pozostawało zagadką, ale sukinsyn rzeczywiście wiedział za wiele. Pastor wspomagany zeznaniami Fechnerów mógł sprawić sporo kłopotów. I to poważnych. Ritter, niech go diabli, doskonale

zdawał sobie z tego sprawę, więc próbował z nim grać. Tym razem nie chodziło jednak o pieniądze. Pożałował, że nie zostawił człowieka w spokoju. W końcu forsa to tylko forsa, niechby ją sobie zachował. Teraz nie da się zamknąć mu pyska tak po prostu.

Dzięki Bogu za burzę! pomyślał. Przynajmniej nikt nie słyszy wariata. Zadrżał, jakby ktoś przeszedł po jego grobie. Gdyby ktokolwiek usłyszał choć kilka wywrzaskiwanych przez tego barana słów... o pożarze, o Hanni... to by go załatwiło na amen. Oczywiście może wszystkiemu zaprzeczać, ale zaczęłyby się pytania, gadanie i broń Boże, by ten przeklęty Les Jolly o czymś się jednak dowiedział.

Burza minęła. Aborygeni nazywali takie zjawiska „bywa”, a to było starszym braciszkiem wszystkich poprzednich. Ot, niewielkie tornado orzące ziemię niczym oszalałe zwierzę. Gdyby nadeszło w dzień, wszyscy by je widzieli. On sam widywał je już kilkakrotnie, potężne kominy sięgające od nieba do ziemi, pojawiające się niczym harcownicy strasznej armii i znikające tak szybko, jak się pojawiły. Na szczęście tym razem zaatakowane zostało miasteczko; dość odległe od Bundabergu ranczo Clonmel było więc bezpieczne.

A tymczasem pastor stał tam, na ścieżce, mokry i śmieszny, wymachując pięściami. Ale i jemu chyba się wreszcie odechciało. Odwrócił się... odchodził.

517

Może szedł na posterunek policji?

Z pewnością był wystarczająco szalony, by podjąć taką próbę.

Jednym płynnym ruchem Keith wyjął strzelbę z olstra przy siodle.

I załadował ją.

Muszka i szczerbinka zeszły się na sylwetce Rittera. Co za głupiec, żeby uciekać pod wiatr! Rozłożył ramiona, jego koszula wydymała się na wietrze. Keith przycisnął broń do ramienia. Taki łatwy strzał.

Ku własnemu zaskoczeniu strzelił. Nim zdążył pomyśleć, co robi i dlaczego, palec nacisnął spust, jakby kierowany własną wolą. Bo Keith musiał przecież jakoś powstrzymać pastora. Nie miał wyboru. Takie to było proste. Powinien kazać chłopakom, żeby go załatwili na Drodze Taylora. To ucięłoby sprawę.

Ritter upadł. Bezwładnie jak worek ziemniaków. Twarzą w błoto. Tam, na padoku. Nagle wokół zrobiło się bardzo spokojnie. Nawet nie drgnął i Keith uśmiechnął się szeroko. Nie jesteś już taki cwany, co? pomyślał. Deszcz nadal padał, cichy, spokojny, ot, gęsta mżawka. A w ogóle to komu w mieście potrzebni byli tacy szaleńcy? Religijni szaleńcy, oszuści. Keith nie podszedł do trupa. Pamiętał, że odciski stóp lub choćby kopyt mogą być dowodem winy. Mogą doprowadzić policję do niego. Odjechał więc trzymając się ścieżki biegnącej przy sali i za bramę.

Pan Drewett, kapitan portu, był honorowym opiekunem Progress Hall, ponieważ mieszkał blisko niego. Tuż za ogrodzeniem, od tyłu. Usłyszał brzęk tłuczonego szkła i gdy tylko mógł, wyszedł z domu sprawdzić zniszczenia.

Po jego ogródku warzywnym pozostało wspomnienie, dach szopy odfrunął w dal, ale poza tym gospodarstwo pozostało nienaruszone. W odróżnieniu od Progress Hall. Obszedł wielką gałąź, która uderzyła w jego ścianę. Będzie musiał znaleźć kogoś do pomocy, żeby ją ściągnąć. Dopiero potem da się wstawić nowe szyby. Nagle usłyszał strzał. A przynajmniej wydawało mu się, że to huk strzału.

Rozejrzał się dookoła. Nie dostrzegł żywego ducha. Nastawił uszu, czekał, czy strzał nie rozlegnie się po raz drugi. Nic nie usłyszał. Obszedł budynek, zauważając po drodze, że huragan

518

zdołał przesunąć zbiornik wody. Po stronie, gdzie była stajnia, znalazł się w sam czas, by zobaczyć konnego. Odjeżdżał niespiesznie, najwyraźniej nic go nie zaniepokoiło.

- Cholerna burza. Jeszcze mi huczy w głowie - mruknął Drewett odwracając się. Kątem oka uchwycił jednak jakiś ruch na padoku, poszedł więc w tym kierunku.

Opowiadał swą historię wielokrotnie. Mówił o tym, jak pastor Ritter zmarł na jego rękach. Postrzelony w plecy.

- Śmieszna rzecz - powtarzał za każdym razem. - Mówił mi Otto. Pewnie wziął mnie za kogoś innego. Ale umarł spokojnie. Tego człowiek spodziewa się po kapłanie, no nie, ludzie?

- A kto wtedy wyjeżdżał przez bramę? - spytał go Clem Colley.

- No przecież Keith Dixon oczywiście.

- Dlaczego wcześniej tego nie powiedziałeś?

- Ja? Mówiłem, mówiłem. Pewnie nieuważnie mnie słuchałeś.

Znalazłszy się na drodze, Keith odetchnął z ulgą. No i koniec. Załatwione.

Nikt nie powiąże go z ofiarą i morderstwem. A w ogóle wieki miną, nim ktoś znajdzie ciało. Ludzie są zbyt zajęci podziwianiem skutków burzy.

Wyroili się z domów jak małe wystraszone myszki, próbują wyczuć sytuację, zbierają się w przerażone grupki, plotkują o tak niesłychanym zjawisku i może to trwać w nieskończoność. Spoglądał na nich pobłażliwie z wysokości siodła; doświadczał euforii wynikającej z

poczucia nieograniczonej siły. Sprawiało mu to niemal rozkosz. Zupełnie jakby głosił całemu światu: „Nie zadzierajcie ze mną. Nie wiecie, kim jestem!”

Inni też wyjechali konno, oceniając straty. Dołączył do nich, doskonale czując się w roli pana i władcy; nie skąpił rad, pierwszy proponował, jak oczyścić ulice i jak pomóc obywatelom. Jakby już był posłem do parlamentu z okręgu Maryborough, z bazą w tej oto byle mieścinie. Podjechali do nabrzeża, przy którym cumował parowiec żeglugi przybrzeżnej „Fayette”; statek szczęśliwie nie doznał żadnego uszczerbku. Tornado jak zwykle okazało się kapryśne, pobliski magazyn zmiotło z powierzchni ziemi, resztki rozrzuciło po całym porcie.

519

- Prawie wszystko wylądowało w wodzie, panie Dixon - powiedział z szacunkiem jeden z robotników. - I jeszcze jakieś czterdzieści bel wełny czekającej na załadowanie. Pewnie zmyło je w dół rzeki. Mam nadzieję, że nikt nie został ranny?

- O ile wiem, nie.

Jakiś głos za jego plecami krzyknął:

- Łżesz!

Obejrzał się przerażony, lecz nie dostrzegł nikogo. Tymczasem robotnik dźwignął długą taczkę i wrócił do porządkowania terenu portu. Lecz nagle zatrzymał się.

- Proszę uważać na ten statek, panie Dixon - powiedział konfidencjonalnie. - Cholera. Słyszałem, że mają na pokładzie pacjenta z cholerą.

Keith tylko skinął głową. Kogo to mogło obchodzić? Zsiadł z konia.

Kręciło mu się w głowie. Musiał się napić. Whisky... i to kilka szklaneczek. Poprowadził konia przez ulice do stajni przy pubie O'Malleya. Dołączył do tłumu zgromadzonego w budynku, a to dlatego, że jak mu powiedziano, po werandzie nie został nawet ślad.

- Była i znikła - roześmiał się O'Malley. - Wzleciała w niebo jak dziecinny wózek. Jeśli ktoś znajdzie ją do rana, będę mu bardzo wdzięczny.

- Pewnie trzeba jej szukać w Brisbane - zażartował ktoś.

Keith wypił whisky, przedarł się do baru po następną, dostrzegł swe odbicie w lustrze nad półkami zastawionymi butelkami. Tylko że odbijały się w nim dwie twarze. Jego i pastora.

Zamarł przerażony, niezdolny oderwać oczu od tego obrazu. Spodziewał się, że ta druga twarz zniknie, ale nie znikła. Druga whisky nie pomogła... upiór ciągle był w pobliżu. Keith nie potrafił uwierzyć świadectwu własnych oczu. Wydawało mu się, że są nawet do siebie podobni, choć on włosy miał jasne, a duchowny obrzydliwe rudobrazowe. I miał nadzieję, że on jest tym przystojniejszym. Nie mogło być inaczej.

Po trzeciej whisky zaczął się bać. Duch tkwił na miejscu. Pijący rozmawiali o burzy, o zniszczeniach, próbowali ocenić siłę wiatru.

Wspominali poprzednie, chwalili się, jacy to byli dzielni; Keith był jednym z nich, ale jakby go nie było przez to coś tkwiące przy jego ramieniu, widziane w lustrze.

Zabrzęczały dzwonki. Ulicą znów przemknął ambulans, rozległ się donośny stuk podków.

520

- Ktoś oberwał. I nic dziwnego - komentowano w pubie.

- Sam omal nie zginąłem, drzewo minęło mnie o centymetry.

- Opowiadałeś o tym trzy razy, Lofty.
- Bo to prawda i...

Woźnica ambulansu miał dodatkowy kłopot -jego dwa konie mogły w każdej chwili ponieść. Pędzili do szpitala; przy nim na koźle siedział konstabl Colley. Woźnica chciał jechać wprost do kostnicy, ale konstabl się na to nie zgodził.

- Jak mówię: szpital, to szpital! Nie wezmę na siebie odpowiedzialności, nie uznam go za zmarłego. To robota doktora Straussa.

- Jeśli go zastaniemy.

- A gdzie ma być? Idę o zakład, że ma trochę połamanych kości do złożenia.

Drewę tt, czyli świadek, jechał za nimi na koniu Colley'a wraz z Charliem Mayhew, którego zadaniem było pilnować, żeby dotarł na miejsce.

Całkiem niedawno Clem i Charlie opuścili iluzoryczny schron maleńkiego posterunku policji, który podczas burzy omal się nie przewrócił. Stanęli na progu mocno roztrzęsieni, zadowoleni, że obyło się bez ran i obrażeń.

- Myślałem, że się zawali - odezwał się Mayhew. - Nie wiedziałem już, czy lepiej nam będzie w środku czy na zewnątrz.

- To raczej obszerny wychodek niż biuro - westchnął konstabl. - Szkoda, że się nie zawalił. Może zbudowałiby mi coś w miarę przyzwoitego.

Podeszli obejrzyć wielkie drzewo, które upadło w poprzek potoku Sandy, i tam znalazł ich Billy, czarny pastuch.

- Panie Colley, powinien pan pójść na padok za salą. Kogoś zastrzelili.

- Kto tak twierdzi?

- Pan Drewett. Jechałem tamtędy. Zawołał i kazał, żebym sprowadził pana jak najszybciej.

- Mówisz o padoku przy Progress Hall? Dobrze. Już jadę. A ty, Billy, przyprowadź ambulans.

- Ja też jadę - zdecydował Charlie.

Zastanawiał się, czy ten zwariowany pastor nie wziął prawa we własne ręce i nie zastrzelił Keitha Dixona. Owszem, nie nosił broni,

521

jak to osoba duchowna, ale w miasteczku łatwo się było w nią zaopatrzyć. Choć co prawda nie w czasie burzy, kiedy wszyscy siedzieli za zamkniętymi drzwiami. Nie, on nie mógł nikogo zastrzelić. Charlie postanowił przycisnąć Clema. Czas na to, żeby przeprowadził prawdziwe śledztwo. Sprawa była oczywiście błaża, ale żeby Dixonowie oskarżyli panią Fechner o kradzież prezentu... jego prezentu... Była to oczywista wskazówka, że coś tu jest bardzo nie tak.

W szpitalu Clem wpadł w panikę. Nie wiedział, od czego ma zacząć, więc jak to on, w ogóle nie zaczynał. Nie robił nic.

- Powinieneś aresztować Keitha - rzekł Charlie.

- Nie przedtem, nim Strauss obejrzy ciało i oficjalnie uzna pastora za zmarłego. Musimy czekać, aż skończy operację. Siostra przełożona powiedziała mi, że wycina wyrostek.

- A nie mogła ci powiedzieć, że Ritter z całą pewnością nie żyje?

- Nawet powiedziała. Ale akt zgonu musi podpisać lekarz. Oznaczając dokładnie przyczynę śmierci.

- Kula, Clem. Facet zmarł od kuli. Nawet ja mogę ci to powiedzieć.

- Tylko że nie jesteś lekarzem.

Tak jak spodziewał się konstabl, w szpitalu panował spory ruch. Poobijane głowy, dwa przypadki złamania kończyn, poparzony chłopak, wrzeszczące

wniebogłosy dziecko. W korytarzu kłębił się tłum poszkodowanych i towarzyszących im opiekunów. Wielu z nich usłyszało tę rozmowę, nastawiło uszu. Narodziła się plotka... morderstwo w Bundabergu...

- Niech nam Bóg dopomoże - jęknęła któraś z kobiet. - A czego dowiemy się jutro?

J. B. Dixon odpoczywał wraz z przyjaciółmi na balkonie hotelu „Royal”. Budynek przetrwał burzę bez żadnych uszkodzeń. Oni też rozmawiali o wichrach, wspominali oczywiście te największe i naprawdę groźne, przeżyte szczęśliwie cyklony i huragany, które to miasteczko z pewnością obróciłyby w perzynę.

- Wy i te wasze huragany - nie wytrzymał J. B. - Jesteście gorsi od cholernych rybaków, którym zawsze zrywa się największa na świecie ryba. A ja chcę wiedzieć, kto będzie przewodniczył mityngowi w Maryborough i czy uda się wam zapewnić

522

udział burmistrza. Wiem, że trzyma się na uboczu, ale chyba pora, żeby wyszedł z cienia...

Nagle odwrócił się. W drzwiach stał barman. Przywoływał go nerwowymi gestami.

- Co się stało? - spytał J. B. niecierpliwie.

- Jeden z pańskich pastuchów jest na dole, panie Dixon. Chce się z panem zobaczyć.

- Powiedz mu, żeby przyszedł rano.

- Ale on twierdzi, że to bardzo ważne.

- Chryste! Dobrze, niech wejdzie.

- Nie chce wejść. Powtarzał, że musi się z panem zobaczyć, ale został

przy tylnym wejściu. Powiedziałbym, że jest bardzo zdenerwowany, proszę pana.

Dixon zdecydował się wreszcie pójść na dół. Miał szczerzy zamiar nagadać pracownikowi za to, że przeszkadza mu w ważnym spotkaniu, ale kiedy usłyszał, o co chodzi, nogi się pod nim ugięły. Obiema dłońmi uchwycił się futryny.

- Co zrobił? Zastrzelił człowieka? Duchownego? Zejdź mi z oczu, durniu! Upiłeś się?

- Nie, szefie. Świadcę się Bogiem, że mówię szczerą prawdę.

- Gówno prawda! Gdzie jest Keith?

- Pije w pubie. U O'Malleya. Tak mówią.

- Kto mówi? - wrzasnął J. B. - Gdzie usłyszałeś tę kretyńską plotkę!

- W szpitalu, szefie. Pojechałem tam z Lennym. Jego koń przeraził się błyskawicy. Zrzucił go z siodła i Lenny coś sobie złamał. Bark chyba... Do szpitala przywieźli ciało. To znaczy ciało pastora, którego miał zastrzelić pan Keith...

J. B. ani przez chwilę nie wierzył w tę przedziwną historię, ale było jasne, że Keith znów zdołał się wpędzić w poważne kłopoty. Musiał więc myśleć szybko.

- Idź do O'Malleya. Wyciągnij go stamtąd. Jeśli sam nie dasz rady, znajdź sobie kogoś do pomocy.

- A jeśli nie zechce pójść z nami?

- To mu przyłóż. I przyprowadź go... nie, nie tu. Zabierz go na nabrzeże. Tam się spotkamy. Uważaj, niech to się odbędzie... dyskretnie. Powiedz mu, że ja chcę się z nim zobaczyć. I że to pilna sprawa.

- Jasne, szefie.

J. B. przeszedł przez bar. Znalazł czas na uspokajającą podwójną whisky, wyszedł i ruszył w kierunku rzeki.

Przy nabrzeżu stał zacumowany statek, „Fayette”. Trap był podniesiony, po pokładzie spacerowali pasażerowie. Dixon pomyślał przelotnie, że pewnie szykuje się już do wyjścia z portu, skoro nie ma żadnego ruchu z lądu i na ląd, ale szybko o tym zapomniał. Miał ważniejsze sprawy na głowie. W co do diabła wpakował się jego ukochany synalek?

- Jeśli spartolił robotę, uczynił coś, co zepchnie go z szybkiej ścieżki do parlamentu, wydziedziczę łajdaka - powiedział do siebie, zatrzymując się przy zrujnowanym magazynie. Zapalił cygaretkę, spojrzał w niebo, na którym znów pojawiły się gwiazdy. To go podniosło na duchu. - Burza w szklance wody, nic więcej - pocieszył się. - Zastrzelił duchownego? Jezu! Les Jolly powinien jednak umieć wymyślić lepsze kłamstwo niż to.

Walther martwił się o ojca Beitzę pozostawionego samotnie, podczas gdy oni ukryli się przed burzą w sklepie Jima Pimbleya. Max przypomniał mu jednak, że pastor Ritter z pewnością wrócił do obozu przed wybuchem burzy, co bardzo go uspokoiło.

Po burzy wyszli na ulicę sporym tłumem: Eva i jej dzieci, Max i Hanz Lutze, pan Hackett, kilku innych ludzi. Zdumiał ich wszechobecny spokój. Było tu jaśniej niż we wnętrzu ciemnego sklepu, w którym nie ośmielili się zapalić latarni. Jim rozejrzał się, uśmiechnął wesoło.

- No, przynajmniej miasteczko jeszcze stoi.

- Ale twój magazyn nie! - zawołała jego żona. Mężczyźni rażno wzięli się do roboty, przenosili worki mąki

i cukru oraz skrzynki z mnóstwem produktów w suche miejsca, które

wskazała im energiczna pani Pimbley. Wypełnili sąsiedzkie obowiązki i Max zauważył słusznie, że pora wracać do domu.

- Gdzie Lucas? - spytał Walther.

- Poszedł z panem Hackettem do Hanni - uśmiechnął się Max. - Chyba nie powinniśmy mu przeszkadzać. Po prostu wracajmy do domu.

Billy jechał Drogą Taylora daleko przed nimi. Musiał powiedzieć ojcu Beitzowi o tym strasznym morderstwie. O zabójstwie innego szamana białych. Co za potworna zbrodnia! W szpitalu

524

wszyscy byli wstrząśnięci. A policjant Clem ciągle się wahał. Billy wcale go za to nie winił. Każdy dwa razy zastanowiłby się przed aresztowaniem któregoś z Dixonów za zastrzelenie osoby duchownej. Na Boga, więcej niż dwa razy.

Ojciec Beitz był w zborze, gdy uderzył weń wiatr. Atakował ściany, próbował wcisnąć w ziemię dach, napierał na przepiękne witraże, lecz dom Boży pozostał niezachwiany. Pastor modlił się jednak na kolanach, błagając Boga o wybaczenie mu błędów, niemożności przeciwstawienia się złu ciągle zdolnemu zniszczyć kościół.

Pastor nie pamiętał, jak trafił do zboru o porze, gdy powinien był leżeć w łóżku, nie przywiązywał jednak żadnej wagi do tego szczegółu. Pamiętał wszelako, że widział w swojej chacie Friedricha stojącego w drzwiach, zagrządzającego mu wyjście. I to wspomnienie przepełniało go przerażeniem. Friedrich, jego dobry wierny wikary, przestraszył go ponad miarę zwykłego strachu. Jego spojrzenie na jedną okrutną chwilę wciągnęło go w świat horroru, którego nie powinien oglądać nikt, i ojciec Beitz przerażony kurczowo chwycił się barierki przed ołtarzem. Nie był w

stanie puścić jej nawet teraz. Czuł się tak, jakby cały jego świat miał się zawalić, gdyby zwolnił uścisk, nie potrafił jednak określić, jaki świat i jak miałby runąć. Samego siebie widział jako nowicjusza, ignoranta, partacza, który nie wie nic o niczym, który nie ma żadnego związku z tym, co uznawane jest za święte, ani tym, co uznawane jest za złe. Aż do tej chwili. Teraz już widział zło. Zaciskał dłonie na cedrowej balustradce, nie był w stanie zwolnić uścisku.

- Mea culpa! - kajał się przed Bogiem.

Dziwne, bardzo dziwne, widzieć psa wchodzącego do świątyni Pańskiej, ale na ten widok ojciec Beitz poczuł ulgę. Cenił miłość, którą darzył Pana, lecz czasami brakowało mu tej zwykłej, ludzkiej, której pozbawiony był jako sierota i osoba duchowna. Kochał jednak zwierzęta. Och, jak bardzo je kochał! Wszystkie stworzenia Boże. Jeszcze jeden powód, dla którego wspólnota była dla niego tak ważna. Cudownie łagodne tutejsze stworzenia, ptaki, gady, stworzyły mu jego własny prywatny raj. Dawały mu radość, jakiej nigdy się nie spodziewał.

A teraz pojawił się i pies. Dingo, przypomniał sobie, tak one się tu nazywają. Podszedł i usiadł przy jego nodze. Piękne zwierzę

525

o miękkim futrze i prześlicznych brązowych oczach. Pogładził go po łbie, podrapał za uszami. Piesek... dingo... przywarował kładąc pysk na łapach. Głaskał psa? A więc musiał puścić barierkę. Uwolnił dłonie. Był wolny! Wolny... ale od czego? Strach pozostał przecież, bał się wyjść z kościoła, czekał w środku, aż usłyszał, że ktoś go woła tam, z ciemności, w której czaiło się zło.

Przez całą drogę Billy śledził postępy huraganu, nie zaskoczyło go więc,

że przeszedł także przez posiadłość białych ludzi, niszcząc ich chaty.

Kamienne piece kuchni ocalały, lecz resztki prowizorycznych domostw, deski i bale wały się wszędzie, a wraz z nimi także rzeczy tych, którzy tam mieszkali. Przykry widok, pomyślał zbierając przemoczone płaszcze i koszule, ale przede wszystkim powinien się śpieszyć. Ojciec Beitz może być ranny, może leżeć gdzieś czekając pomocy.

Zawołał go, jednakże zamiast pastora pojawił się przed nim Tibbaling.

- Jest w świątyni - powiedział.

- Och, świetnie. Pójdę po niego.

- Nie. Chcę, żebyś jeszcze raz go zawołał. Billy zawołał posłusznie.

Czekali.

- Dlaczego nie mogę po niego pójść? - spytał po chwili.

- Ponieważ musi stawić czoło demonom.

- Nie widzę żadnych demonów.

Pastor usłyszał drugi okrzyk Billy'ego.

- Nie mogę zostać tu na zawsze - powiedział do psa, lecz zwierzę znikło i to jeszcze bardziej go przeraziło. Mimo strachu wstał, a gdy odchodził od ołtarza, budynek zadrżał, on zaś usłyszał ryk wściekłości, przeraźliwy wrzask, który wydawał się otaczać go całego. Zadrżały od niego ściany kościoła, jakby jakiś gigant bębnił w nie pięściami w napadzie szału, ale on szedł przed siebie zdecydowanym krokiem. Ciemność rozświetlił ogień, płomienie biły w niebo, zapraszały do wejścia do płonącego pieca; stary człowiek przeżegnał się tylko, odetchnął głęboko i śmiało przekroczył próg mimo wściekłego ryku furii, wysoko podnosząc krzyż.

526

I nagle zapanowała cisza w spokojnym świecie pod niebem rozświetlonym

gwiazdami. Pastor Beitz obejrzał się na świątynkę bezpieczną pośród gaju wysokich drzew. Przeżegnał się po raz drugi.

- Chwała niech będzie Panu - rzekł. Pośpieszył na spotkanie zbliżającego się Tibbalinga. - Mam do ciebie pytanie. Czy wierzysz w zło?

- A kto nie wierzy? - odpowiedział pytaniem stary szaman.

- Och!

- Tej nocy zło wkroczyło w nasz świat. Twój człowiek nie żyje. Smród po nim pozostał.

- Kto?!

- Dwóch-w-jednym.

Ojciec Beitz oparł się o drzewo, by zachować równowagę.

- Nie wierzę, że był kapłanem. Tibbaling skinął głową.

- Kapłan Ritter też nie żyje. On tu nie przyjechał, ojciec. Nigdy.

- Więc kim był ten człowiek?

- Nie wiem.

Pastor przetarł twarz dłońmi, jakby nagle wyszedł z transu.

- Co się dzieje? Co ja mówię? Friedrich nie żyje? Boże wszechmogący!

Co się stało? Czy to przez burzę?

- Przez strzelbę, ojciec. Ktoś nagle zastrzelił go szybko. Za szybko, żeby widzieć. Jest na wolności. Słyszałeś go tam.

- Gdzie?

- W świątyni. Jest zły, ojciec.

- Co? O co chodzi? Nie. Niemożliwe!

Pobiegł ścieżką prowadzącą do chat. Przez chwilę myślał, że zabłądził, że gdzieś źle skręcił, ale nie. Miał przed sobą polanę, bambusy, kuchnię, piec Walthera, ale nie widział chat. Stał nieruchomo wstrząśnięty, gdy pojawił

się Max Lutze, a za nim jego brat i Walther. Najbardziej martwili się o niego, ale upewnił ich, że wszystko w porządku, że schronił się w zborze, który zdaje się nie został wcale uszkodzony.

- Cud - powiedział Walther obejrzawszy zniszczenia. - Wygląda na to, że dziś wszyscy będziemy spali w świątyni. Oczywiście jeśli się zgodzisz, ojcze.

527

Pastor nie odpowiedział. Wyglądało na to, że nie może się skupić, myśli o czymś innym.

- Dobrze się czujesz? - spytał zdenerwowany. - Nic ci się nie stało?

- Nie, oczywiście, że nie. Przynosimy jednak bardzo złe wieści. Pastor Ritter nie żyje.

- Jak się dowiedzieliście?

- Ode mnie - wtrącił się do rozmowy Billy. - Nie żyje, racja. Kula w plecy.

- Kto go zabił? Dlaczego ktoś chciał zabić pastora Rittera? - Ciekawe, ale stary duchowny wydawał się raczej zaciekawiony niż przejęty.

- Nie mam pojęcia. Mówią, że strzelał Keith Dixon.

- Dixon? Nie, to niemożliwe. Przecież nawet go nie znał! Bombardowali go pytaniami, póki nie przerwał im ojciec

Beitz.

- Muszę jechać do miasta. Waltherze, zawieziesz mnie?

- Pojedziemy wszyscy! - krzyknął Max.

- Wolałbym nie, Max. Zostańcie, chłopcy, z Billym. Możecie schronić się w kościele.

Pastor jechał do miasta w milczeniu. Walther nie zamierzał mu przeszkadzać, rozpraszać go. Potrafił zrozumieć, jakim szokiem musiało

być dla ojca Beitz zastrzelenie wikarego tak po prostu... jego śmierć z ręki szaleńca, bo jak inaczej traktować tego Dixona?

Prowadził wóz przez ciemne ulice, skręcił w stronę szpitala. Ojciec Beitz klepnął go w ramię.

- Najpierw pojedziemy na nabrzeże, proszę - powiedział.

- Ale... ciało przewieźli do szpitala albo kostnicy przy sąsiedniej uliczce - zdziwił się Walther.

- Na nabrzeże - powtórzył stanowczo ojciec Beitz. Walther bez słowa zawrócił konia na Quay Street.

- Zatrzymaj się tu - polecił w pewnej chwili pastor.

Wysiadł z wozu, poszedł w kierunku rzeki i baraku dla imigrantów. Być może, pomyślał Walther, w swym smutku ojciec poddał się nostalgii, chce odwiedzić miejsce, które było naszym pierwszym domem w Bundabergu. Pastor poszedł jednak dalej, minął barak, zatrzymał się w cieniu rzucanym przez budynek.

528

Huragan zmiotł magazyn, Beitz miał więc widok wprost na nabrzeże i płonące na zacumowanym statku światła. Widział też wysokiego mężczyznę chodzącego niecierpliwie wzdłuż brzegu rzeki i kilka osób z obozu położonego nieco dalej, ale poza nimi nie było tu chyba nikogo.

W cokolwiek wplątał się tym razem Keith, myślał jego ojciec, sytuacja nie jest wesoła, bo inaczej ludziom nie wpadłoby do głowy plotkować o morderstwie. Przyglądał się statkowi. Może to i dobry pomysł usunąć głupca z miasteczka, póki nie dowie się, o co w tym wszystkim chodzi?

Wszedł na pomost, zagwizdał na oficera wachtowego.

- Kiedy odpływacie? - spytał. Nie obchodził go port docelowy.

- Z poranną falą, proszę pana - odparł uprzejmie oficer.
- Miałbym dla was pasażera.
- Nie przyjmujemy pasażerów.
- Chyba że się wam opłaci - powiedział spokojnie J. B. - Oficer zawahał się, więc dodał: - Bardzo opłaci.

Oficer oparł się o reling.

- Jak bardzo? - spytał udając obojętność.
- Pięćdziesiątka.

Mężczyznaomal się nie zachłysnął.

- O pana chodzi? - wykrztusił.
- Nie. O mojego syna.
- To niech go pan przyprowadzi za pół godziny. Byle nie później. Nim zejdem z wachty.

J. B. coś załatwił i od razu poczuł się lepiej. Może usunąć synalka z drogi, pora pogadać. Zapalił kolejną cygaretkę, zszedł z pomostu. Czekał na syna.

Keith pojawił się wreszcie. Agresywny, arogancki, najwyraźniej nie był w pogodnym nastroju. Nie pofatygował się podjechać do wejścia, przy którym nie było nawet bramy, za to zmusił konia do skoku przez niski żywopłot i truchtem podjechał do czekającego na niego ojca.

- Chciałeś mnie widzieć? O co chodzi? Czemu się tu kryjesz?
- Bo chcę wiedzieć, co się dzieje.
- Nic się nie dzieje i tyle. Co jest? Grałem w karty. Czy to przestępstwo?

529

- Słyszałem, że ktoś zastrzelił tego luterańskiego pastora, Rittera.
- Aha. No to uziemili faceta. I co z tego?

- Mówi się, że to twoja robota. Złaż z tego cholernego konia, kiedy ze mną rozmawiasz. To kto go zastrzelił?

Keith zeskoczył z siodła. Niechętnie.

- Skąd mam wiedzieć? - burknął.

- Byłeś w pubie. Coś musisz wiedzieć.

- O, tam. Ludzkie gadanie. Nie zwracałem uwagi. Przecież nie ma to nic wspólnego ze mną.

- Plotki, plotki, ludzie gadają, szepczą do siebie, a ciebie nic to nie obchodzi? Nie do wiary! Cholerna bzdura! Dlaczego cały szpital gada, że to ty go zastrzeliłeś? Jest tu Clem Colley. Jeśli ktoś dał mu coś do zrozumienia, będzie chciał zadać ci kilka pytań. Choćby o to, co wiesz. Gdzieś tu musi być jakiś związek.

- Niby jaki? Przecież nigdy nawet nie spotkałem gościa.

- Zaraz, chwileczkę - zdziwił się J. B. - Przecież widziałem, jak z nim rozmawiałeś. No, podczas mityngu. Jestem pewien. Staliście tam, przy ogrodzeniu.

- Oho, za dużo wypileś. Powtarzam, nie znam żadnych cholernych duchownych. A w ogóle - spojrzał w bezchmurne już, rozgwieżdżone niebo - chyba najlepiej zrobię wracając do domu.

- A to dlaczego? - spytał go ojciec podejrzliwie.

- A dlaczego nie? Jutro ma być upał. Ludzie mówią, że burza oczyściła powietrze i że będzie prawie czterdzieści stopni. Nie najlepsza pogoda do podróży.

J. B. rzucił cygaretkę na ziemię i przydepnął ją butem. Był wściekły.

- Słuchałeś rozmów o pogodzie, a nie słuchałeś rozmów o morderstwie?

Co za bzdura! Gdy tylko Clem się dowie, że wyjechałeś z miasteczka,

wyśle za tobą pościg. To pewne jak dwa i dwa cztery. Nie oszukuj się, on tego się właśnie spodziewa.

- Potrafię im uciec.

- A czemu miałbyś uciekać, Keith? No powiedz mi, dlaczego? Musisz mi powiedzieć, co się naprawdę stało. Nie rozumiesz, że chcę ci pomóc? Keith natychmiast obraził się na ojca.

530

- Wcale nie chcesz mi pomóc. Ja cię nic nie obchodzę. Poczekaj, aż znajdę się w parlamencie. Już nie będziesz facetem z biczem w rękę, nie będziesz wielkim szefem, ty sam i twoi kumple odejdziecie w przeszłość jak przystało podobnym do was staruszkom...

J. B. spojrzał na niego zdumiony.

- Na litość Boską, co ty bredzisz?! Najmniejszy skandal, ba, podejrzenie skandalu, i nigdy nie dostaniesz się do parlamentu! Dlatego właśnie uważam, że najlepiej będzie, jeśli się na jakiś czas przyczaisz...

- Przecież powiedziałaś, że jeśli pojedę do domu, wyślą za mną pościg. Zdecyduj się wreszcie: tak czy tak? Ja w każdym razie nie mam się czego bać.

Stary Dixon nie był tego taki pewien, ale rzekł tylko:

- To świetnie. Ale warto przeczekać gdzieś gorące chwile. Dlatego załatwiłem ci miejsce na tym statku. Zrobisz sobie wycieczkę. Wskakuj na pokład, ja będę gadał. Z Clemem Colleyem łatwo pójdzie. Nie ruszy się do rana, a rano będziesz już daleko na wodzie.

Keith naskoczył na niego tak wściekle, że J. B. musiał chwycić palik, żeby się nie przewrócić.

- Ty sukinsynu! A jednak chcesz usunąć mnie z drogi!

- krzyknął. - I to w tak nikczemny sposób! Zabić! Wsadzić mnie na ten statek, tak? - Chwycił strzelbę, zaczął ją ładować.

Jego ojciec, zdumiony i przerażony, krzyknął:

- Keith! Co robisz? Strzelba? Po co ci broń...!

- Sam byś na pokład nie wszedł, co? - awanturował się Keith. - O nie, lepiej mnie przeznaczyć na zatracenie. Na cholere i śmierć. Przecież wiesz, że to statek żywych trupów!

- Uniósł strzelbę i wymierzył w ojca.

Ojciec Beitz widział Keitha wjeżdżającego na nabrzeże, słyszał podniesione głosy. W tej chwili podszedł do niego Charlie Mayhew.

- Ojciec i syn zafundowali sobie pyskówkę - powiedział swobodnie, zastanawiając się jednocześnie, co ten stary robi tu sam w ciemności. -

Przykro mi z powodu pastora Rittera

- dodał po chwili. - Kiepska sprawa. Świadek twierdzi, że widział Keitha Dixona... to ten młodszy, tam... odjeżdżającego z miejsca zbrodni.

Wygląda na to, że mógł strzelić Ritterowi w plecy.

531

Chociaż... ten świadek powiedział też, że przed śmiercią pastor wypowiedział imię. Otto. Zna pan jakiegoś Ottona, pastora? Być może to on był mordercą.

Mordercą, powtórzył w myślach Beitz. Tak, całkiem możliwe... ale nie w tym wypadku.

Nadal drżał. Tibbaling miał rację. Wokół wciąż unosił się smród zła. Aż do tej chwili nie wiedział, czemu właściwie znalazł się tu, nad rzeką, po prostu tu był, ale kiedy ojciec i syn podnieśli głosy, kiedy syn zaczął krzyczeć na ojca, pobiegł. Tak szybko, że kiedy się pojawił, obaj

mężczyźni byli równie zaskoczeni.

- Odłóż broń - powiedział stając przy starszym Dixonie.

- Oszalał. - J. B. zdumiony był do tego stopnia, że ani drgnął.

- To ty oszalałeś! - krzyknął Keith. - Dorwę cię, panie bogaty. Jesteś taki pewny, że rządysz światem, ale wcale nie! Nie pozwolę ci. Mogę robić, co mi się żywnie podoba, prawda, pastorze? Znam wszystkie brudne tajemnice tak troskliwie ukrywane, wiem, skąd się wziął pożar, wiem o gwałcie. Wiem wszystko! Długo byłoby gadać, prawda, pastorze?

Ojciec Beitz stał dumnie wyprostowany.

- Odłóż broń, Ottonie - rzekł stanowczo. - Odłóż ją natychmiast!

Keith zagapił się na niego zdumiony. Spojrzał najpierw na ojca, potem na kapłana, powoli opuścił broń, lecz nagle zacisnął dłonie. Lufa strzelby uniosła się drżąca, jakby miała własną świadomość.

Wystrzelił.

Pastor patrzył mu w oczy. Wiedział, że ten młody człowiek nigdy nie strzeli do ojca, był też gotów na sztuczki Ottona. Odepchnął J. B. Dixona, nie docenił jednak siły starego, przywykłego do ciężkiej fizycznej pracy mężczyzny. Musiał spróbować jeszcze raz, przez co sam nie zdołał usunąć się z linii strzału. Padając, przeżegnał drżącą ręką Keitha, który upadł przy nim na kolana, szlochając.

- Tak mi przykro. Nie chciałem, nie chciałem... - Spojrzał na ojca

blagalnym wzrokiem. - Tak mi przykro. To był wypadek. Wypadek...

Podbiegł do nich Charlie Mayhew.

- Wezwijcie ambulans! - krzyknął do niego J. B. Odepchnął syna, wyjętą z kieszeni chusteczką próbował zatamować

krw tryskającą z barku duchownego. - A teraz możesz zastrzelić mnie - warknął do syna. - Ciągłe nie mam broni. No próbuj, ty cholerny tchórz! - Nie! - jęknął ojciec Beitz. - Próbował zastrzelić nie ciebie, lecz mnie. I nie on, lecz Otto!

Keith odrzucił strzelbę. Usiadł oszołomiony kilka metrów od ojca i duchownego. To wówczas przyjechał Clem Colley. Zatrzymał go pod zarzutem morderstwa.

- Na razie załatwia to sprawę - powiedział do Charliego Mayhew.

Słaby, zmęczony przedsiębiorca pogrzebowy jeszcze raz stanął na nogi, by wypełnić swe obowiązki. Gorzko skarżył się na nie oświetlone ulice, groził nawet zaniechaniem wykonywania swej pracy, jeśli miasto nie postawi latarni. Mimo to okazał się nieocenionym źródłem informacji dla reportera gazety „Bundaberg Guardian”, goniącego przez całe miasto za karawanem pogrążającym dzwoneczkami.

- Kto teraz? - krzyknął. Pacjenta przekazywano właśnie w ręce siostry przełożonej, zadającej ciszej to samo pytanie.

- Duchowny. Keith Dixon strzelił do drugiego duchownego.

- O Boże!

- Żyje? - spytał reporter.

- Tak. Pomóżcie mi.

Wspólnie ponieśli rannego do gabinetu doktora Straussa.

- Moim zdaniem - powiedział przedsiębiorca pogrzebowy - Keith dostał jakiejś religijnej manii, żeby biegać po okolicy i strzelać do duchownych. Dziennikarz skinął głową.

- Całkiem możliwe - przytaknął. - Podczas spotkania przedwyborczego zachowywał się, muszę przyznać, bardzo dziwnie. Pewnie to całe

politykowanie okazało się dla niego za ciężkie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwałby go bystrym facetem.

- To czemu wasza gazeta popiera go w walce o stołek w parlamencie?

- Popierała, przyjacielu. Popierała. Teraz muszę znaleźć Clema Colleya.

Gdyby wcześniej aresztował Dixona, do drugiej strzelaniny w ogóle by nie doszło.

533

Rozmówca spojrział na niego znad szkieł okularów.

- Colley rozgrywał tę samą gierkę co ty, przyjacielu. Popierał Dixonów.

Bo wydawali mu się najsilniejsi. Charlie Mayhew robił wszystko, żeby Clem zajął się sprawą, ale nie, nic z tych rzeczy, podobno nie było świadków. Obaj wyszliście na głupków.

Drzwi otwarły się gwałtownie i do szpitala wkroczył J. B. Dixon.

- Dowiozłeś ojca Beitza w jednym kawałku? - krzyknął.

- Owszem - odparł właściciel karawanu. - Trafił od razu na stół operacyjny. Na szczęście doktor Strauss był na miejscu.

- Musimy mieć przyzwoity ambulans. Nie można wozić chorych i rannych tym twoim wózkiem...

- Panie Dixon - przerwał mu dziennikarz - ale chciałem zadać panu jedno pytanie. Czy pański syn żywi jakąś szczególną antypatię do osób duchownych? W świetle ostatnich wydarzeń może się zdawać...

- Wynocha! - wrzasnął J. B. i obu mężczyzn natychmiast wywiało ze szpitala. Pojawiła się za to siostra przełożona.

- Kto tak strasznie krzyczy? Ach, pan, panie Dixon. Kto jak kto, ale pan powinien wiedzieć, jak należy zachować się w szpitalu.

- Przepraszam. Martwię się o ojca Beitza. Jak się czuje?

- Przeżyje. Otrzymał postrzał w ramię. Zajmuje się nim doktor Strauss.

Niestety zabierze to trochę czasu.

- Ach, tak? Siostrze, proszę zrozumieć, że ma mieć wszystko co najlepsze.

Koszta nie grają roli. Czy to jasne?

Siostra przełożona wzruszyła ramionami.

- Koszta nie grają roli, kiedy brakuje nam łóżek. Dzisiejszą noc spędzi w sali operacyjnej.

Walther zjawił się w szpitalu zaraz po starym Dixonie, niemal tak, jakby deptał mu po piętach. Był zdruzgotany, nie pojmował, jakim cudem mógł dopuścić do tej tragedii! Żeby coś takiego przydarzyło się ojcu! Czekał cierpliwie, oparty o wóz, aż kapłan zakończy modły, i myślał akurat nie o starym pastorze, lecz o zwalonych chatach. Był to doprawdy straszny cios. Trzeba będzie odłożyć prace przy browarze, odbudować i powtórnie wyposażać domy, bo przecież prycze i maty z pewnością zniszczył deszcz. Pomyślał, że powinien okazać więcej współczucia

534

Meissnerom po pożarze buszu, bo przecież on sam i inni znaleźli się teraz w podobnej sytuacji.

Ale czy warto martwić się odbudową? rozważał. Ich chaty były kruche, niezdolne stawić czoła byle burzy, bo zdaniem Jima ta wcale nie była najgorsza. No i w mieście nie widziało się większych zniszczeń, przynajmniej on ich nie zauważył, ofiarą wichru padły głównie werandy i wychodki, a także drzewa. Jaką szansę miałyby nawet solidna chata, gdyby powiało mocniej?

Nie miałyby żadnej szansy.

Musi porozmawiać o tym z ojcem Beitzem i chłopakami. Powinni

wybudować przyzwoite domy... tylko za co? On sam wszystkie swoje zasoby zainwestował w browar, który na dalszą metę mógłby wspierać ojca Beitzza i wspólnotę, w tej chwili oznaczało to jednak tyle, że był bez grosza przy duszy. Podobnie jak Max i Hans, żeby już nie wspomnieć o biednym Lucasie, który akurat nie miał pracy. Bo go jej pozbawił jego najlepszy przyjaciel.

- Można być z tego dumnym - westchnął głośno.

Z drugiej strony... mógł przecież porzucić marzenie o browarze, browarze Badke, sprzedać ziemię i za wszystko co ma, zapewnić wspólnocie przyzwoite domy zdolne przeciwstawić się burzom, wichrom i huraganom, i przynajmniej nie będzie znowu przez to przechodził. Nie stać go przecież na to, żeby odtwarzać obóz raz za razem po każdym nieszczęściu.

Skinął głową, obserwując stadko kangurów harujących na polance, zmierzających w stronę zagajnika. Jednocześnie zauważył jeźdźca pędzącego drogą, przeskakującego żywopłoty, jakby ich nie było, zdążającego do nabrzeża, przy którym cumował statek. Usłyszał też podniesione w gniewie głosy, nie mające więc żadnego związku z ojcem Beitzem; to pewnie kłócili się o coś marynarze.

Walther nie widział Charliego Mayhew przechodzącego przez drogę za jego plecami i kierującego się do baraku dla imigrantów, ale nawet gdyby go zobaczył, nie dostrzegłby w tym nic niezwykłego. Teren między Quay Street a nabrzeżem należało właściwie traktować jako publiczny park.

Widok kogoś idącego tędy nie był niczym szczególnym.

Tę myśl powtarzał sobie później, ale marna z niej była pociecha. W głębi ducha czuł, że powinien przewidzieć kłopoty, że powinien zabrać ojca Beitzza, gdy tylko usłyszał podniesione głosy.

Mogły przecież świadczyć o bójce pijaków... tylko że w istocie świadczyły o czymś znacznie gorszym.

Usłyszał strzał. W pierwszym odruchu pomyślał, że ktoś strzela do kangurów, dopiero później, kiedy skojarzył go sobie z awanturą na nabrzeżu, w jego głowie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Zagrożenie! Zeskoczył z wozu. Pobiegł po ojca Beitza, ale nie znalazł go przy baraku dla imigrantów, czyli tam gdzie spodziewał się go znaleźć. Obiegł go dookoła, zajrzał do środka, nic. Ciemność. I nikogo w zasięgu wzroku. Ktoś przebiegł obok niego, pędził w kierunku drogi. Walther zdołał złapać go za ramię.

- Co...?

- Postrzelił ojca Beitza - wykrztusił Charlie Mayhew. - Muszę ściągnąć ambulans.

- Co? - Walther nie znał jeszcze tego słowa. Ale i nie chciał go poznać, brzmiało groźnie. Pobiegł na nabrzeże. Latarnie zapalały się po kolei, oświetlając statek. Pokład zaroił się od ludzi. Odezwały się zaniepokojone głosy. I nagle ktoś przemówił przez megafon:

- Nikt nie opuszcza statku! To prawnie zakazane. Trap pozostaje wzniesiony. Nikomu nie wolno zejść z pokładu.

Wtem Walther dostrzegł biednego pastora leżącego na ziemi, postrzelonego. Z rany lała się krew. Pan Dixon próbował powstrzymać krwawienie, wykrzykując Bóg wie co. Syn, ten znany, na którego mieli nie głosować w wyborach, przykucnął przy nim skulony. Czy to nie on zastrzelił pastora Rittera? Czy to o tym wspomniał Billy? Całe wieki temu. Nie wiedział, co robić i co o tym myśleć. Przyklęknął przy bezwładnym

ciele. Bał się go dotknąć widząc ciemną plamę na ubraniu i manipulujące przy niej dłonie pana Dixona. W tym świetle krew wydawała się czarna. Krew ojca Beitza. Dobry Boże.

- Żyje? - spytał przerażony.

Odpowiedział mu sam pastor, jakkolwiek słabym głosem.

- Tak.

- Uratował mi życie - powiedział J. B.

Walther rozejrzał się dookoła. Na górującym nad nabrzeżem pokładzie statku ludzie tłoczyli się przy relingu, przyglądając się im ciekawie, próbując mimo ciemności zrozumieć coś

536

z toczącego się najwyraźniej na lądzie dramatu, ale on nie dostrzegł nikogo. Czyżby to Charlie Mayhew najpierw strzelił, a potem zbiegł z miejsca przestępstwa? Charlie, przyjaciel i wspólnik Jakoba Meissnera? Nie, niemożliwe.

- Ty jesteś Keith Dixon? - spytał drugiego z mężczyzn.

- Przepraszam. Nie chciałem. - Młody mężczyzna płakał. - Wierz mi, nie zamierzałem tego zrobić.

Walther zdumiony, nie rozumiejący, co się dzieje, podszedł do zalanego łzami nieszczęśnika.

- Czego nie zamierzałeś zrobić?

- Zamierzał mnie zastrzelić - powiedział Dixon senior. Walther spojrzął na jednego, potem na drugiego. Ojciec i syn. No tak. Przykucnął koło Keitha, który natychmiast odsunął się od niego nerwowo.

- Tam stoi mój koń - wskazał palcem. - Możesz go mieć. Tylko pomóż mi

wstać, bo trochę kręci mi się w głowie, a na mnie już czas. Muszę odpłynąć tym statkiem. No, tym tam. Już powinienem być na pokładzie. No, pomóż, stary. Pora na mnie.

Walther rzeczywiście pomógł mu wstać.

- To był wypadek? - upewnił się.

- No przecież mówiłem. Ojciec bzdury gada. Nie zastrzeliłbym nawet takiego ogłupiałego staruszka. Chryste! Nic z tych rzeczy! To była zwykła straszna pomyłka, przyjacielu. Charlie pobiegł po ambulans. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. No, to lecę. Muszę wejść na pokład.

- Kiedy odpływa ten statek?

- Wkrótce. Zrozum, chłopie, ten mój koń jest czystej krwi. Wart kupę forsy. Jest twój. Tylko daj mi odejść. Z pokładu już mnie nie zdejmą.

Walther zdumiał się jeszcze bardziej. Młody Dixon prosił, żeby go puścić... ale przecież nikt go nie zatrzymywał! A już z pewnością nie on.

- Zaraz, chwileczkę - zaniepokoił się. - Pastor Ritter nie żyje. Ktoś go zastrzelił. Wiesz coś o tym?

- Ojciec Ritter? Nie pytaj mnie o tego sukinsyna.

- Kim ty jesteś, żeby człowieka Bożego nazywać sukinsynem?

- Hej, stary, jeśli ten gość był duchownym, to ja jestem papieżem. Łotr i szantażysta, nic lepszego nie mogę o nim powiedzieć.

537

Jeśli wy, Niemcy, takich sobie wybieracie przewodników duchowych, powinniście popracować nad udoskonaleniem rasy.

Młody Dixon poczuł się pewniej. Przemawiał z góry do Walthera, który nadal odczuwał skutki wstrząsu. Wciąż nie był w stanie sobie uzmysłwić, co tu naprawdę zaszło.

- Co? - wychrypiął z trudem. - Do mnie pan mówi, sir? Nikomu nie wolno obrażać pamięci tego dobrego człowieka.

Keith roześmiał się kpiąco.

- A kto kogo obraża? Mieliśmy wypadek, to wszystko.

- Wypadek? - nie wytrzymał Walther. - Wypadek! - Chwycił młodego Dixona, uniósł go w powietrze. - A więc to też nazwij wypadkiem! - Podbiegł do brzegu i wrzucił go do rzeki.

W tym momencie oprzytomniał J. B.

- Nie! Nie! On nie umie pływać. Zawsze bał się wody! Proszę, nie dajcie mu się utopić. Błagam!

Walther był wściekły do tego stopnia, że pozwoliłby chłopakowi utonąć, ale ojciec Beitz uniósł się na łokciu i zawołał do niego:

- Uratuj go! Nie wolno odbierać życia!

Słyszając krzyki Keitha jeden z marynarzy skoczył z pokładu. Wraz z Waltherem doholowali go do brzegu.

Ambulans odwiózł starego pastora do szpitala. Keitha zabrała policja.

Walther wstydził się iść do szpitala ociekając wodą, postanowił więc poszukać pomocy w domu Evy Zimmerman. Zastał tam Lucasa, w najlepszej harmonii z żoną, nie miał jednak czasu na pytania; wręcz przeciwnie, przyniósł złe wieści o ojcu Beitzu. Kolejne złe wieści, o zwałonych przez wiatr chatach, mogły poczekać. Poprosił tylko o ręcznik, w końcu w szpitalu musiał jakoś się prezentować.

Eva nie sprawiała wrażenia zachwyconej.

- Jeśli nie zostaniesz, ubranie będzie schło na tobie. Może mogłabym cię zastąpić?

- Nie. To mój obowiązek. Doprawdy nie wiem, jak udało mi się dopuścić

do tego, żeby wplątał się w rodzinną kłótnię, bo to przecież nie było nic więcej. Wróć trochę później, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

Do szpitala wszedł w chwili, gdy siostra przełożona ogłosiła, że Beitz będzie musiał spędzić noc w sali operacyjnej. Walther

538

był zmęczony i przygnębiony. Jego dom popadł w ruinę, najlepszy przyjaciel leżał tu postrzelony, ranny.

- Niech sobie śpi - powiedział. - Nie ma dokąd wrócić. Huragan już się o to zatroszczył.

- Siostrzo - wtrącił stary J. B. - może dałoby się podać temu panu filiżankę herbaty? On też miał ciężką noc.

Stwierdzili, że Friedrich, jeśli rzeczywiście tak mu było na imię, nie miał przy sobie żadnego dokumentu potwierdzającego, że jest w istocie pastorem Ritterem... czy kimkolwiek innym. Nie znaleźli żadnej fotografii. Ojciec Beitz postanowił napisać do dziekana Seminarium Świętego Jana z prośbą o zdjęcie lub opis, które mogłyby zakończyć całą tę tajemniczą sprawę.

- Będę musiał pogrzebać biedaka - rzekł do Huberta Hoeppera - więc nie mogę tak tu leżeć. Może mógłby pan przemówić w moim imieniu do siostry przełożonej? Przecież Bogiem a prawdą nic mi się nie stało.

Siostra przełożona była nieco innego zdania.

- To przecież stary człowiek - zaprotestowała. - Stracił wiele krwi. Widzi pan, jaki jest blady, panie Hoepfer? Kula wyrządziła więcej szkody niż zazwyczaj przy postrzałach nie naruszających kości, bo wystrzelono ją z bliska, ale miał szczęście, że przeszła na wylot i...

- Jakież złamanie?

- Owszem. Obojczyka. I zwichnięcie barku sprawiające mu największy ból. Nie sądzę, bym mogła go zwolnić. Bo i po co? Ten pan powiedział przed chwilą, że jego dom zniszczył wicher.

- To prawda. Zamierzałem zabrać go do hotelu, w którym mieszkam. Tam będzie mu najwygodniej.

- Owszem - uśmiechnęła się siostra przełożona. - Ale wolałabym zatrzymać go tu jeszcze przez jeden dzień.

Hubert zgodził się na ten kompromis, podobnie jak sam ojciec Beitz. Był chyba zbyt zmęczony, by spierać się z opiekunką. Zdołał jednak wysłać Huberta do przedsiębiorcy pogrzebowego z prośbą, by załatwił pochówek następnego dnia. Nalegał też, by to była prywatna skromna ceremonia. Bez określenia czasu i miejsca, bez nekrologu w gazecie. On sam miał prowadzić nabożeństwo.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY.

Tymczasem Rosie Kleinschmidt miała własne problemy. Tuląc do piersi niemowlę, obserwowała jeżdżący tam i z powrotem ambulans, który między innymi odwiózł do szpitala jej męża. Kilka godzin czekała w korytarzu, póki nie zjawił się doktor Strauss z mocną kawą i zapewnieniem, że operacja się skończyła i wszystko jest w porządku.

- Mogę zobaczyć męża? - spytała nieśmiało.

- Ależ oczywiście. Właśnie go wybudzają i lada chwila zostanie przewieziony na oddział.

Rosie z radością powitała męża, choć jeszcze nie odzyskał przytomności. Przytuliła się do niego tak mocno, że siostra przełożona siłą musiała ją od niego oderwać.

- Zabierz dziecko i idź do domu, kochanie - powiedziała. - Przecież nic

nie możesz zrobić. Twój mąż musi się wyspać, to wszystko. Będzie musiał zostać u nas na ładnych kilka dni, póki rana się nie zagoi. Zawsze możesz wrócić jutro.

Poszła więc do domu, nakarmiła dziecko i zabrała się do mycia: najpierw kuchennej podłogi, potem pieca. Już dawno odkryła, że to praca dobra na zmartwienia, że uspokaja. Zaledwie ją zakończyła, uświadomiła sobie, że wiatr nabiera siły, zaczęła więc zamykać drzwi i okna. Instykt podpowiedział jej, że może to być groźna burza, owinęła więc dziecko kocem i wraz z nim schroniła się pod łóżkiem. Szaleństwa złowrogiej pogody przeżyła tuląc do piersi córeczkę i śpiewając hymny pewna, że Pan będzie chronił je obie.

O poranku odkryła, iż ogród został całkowicie zniszczony wraz z postawionymi domowym sposobem ogradzającymi go sztachetami,  
540

lecz sam dom, mocny, choć niewielki, nie doznał żadnych uszkodzeń. Zawstydzona tym, że poprzedniego dnia poszła do szpitala w codziennym roboczym stroju, tym razem włożyła najlepsze niedzielne ubranie i nowy czepek, który Rolf kupił jej w sklepie „Sunshine”.

Kroczyła zaśmieconymi ulicami zdumiona, bo nigdy nie wyobrażała sobie, że burza może wyrządzić takie szkody. Odstawiła wózek, wzięła dziecko na ręce, weszła do środka. W dziennym świetle wszystko wydawało się jej inne, zwłaszcza że było pusto. Poszła korytarzem. Zdawało się jej, że słyszy głos męża, uchyliła więc jakieś drzwi, lecz zawstydziła się, bo w łóżku dostrzegła obcego mężczyznę.

- Proszę tam nie wchodzić - ostrzegła ją jedna z pielęgniarek podniesionym głosem. - Niech pani trzyma się z dala od tej sali! Kogo

pani szuka?

- Pana Kleinschmidta - odpowiedziała Rosie zawstydzona.

- Oddział męski. Tam, od tyłu. Proszę go nie męczyć.

Wracała do domu zaniepokojona; miała wrażenie, że powinna coś zrobić, że o czymś zapomniała. Ba, ale o czym? Rolf czuł się nieźle mimo bólu brzucha. Powtarzał, że ma dość jedzenia szpitalnych papek, cieszył się, że już nie cierpi na słaby żołądek. Nadal był jednak nieco oszołomiony i chyba nic nie wiedział o burzy. Nie zakłócała mu spokoju opisami, choć pacjent z sąsiedniego łóżka, ten ze złamaną nogą, gadał przez cały czas. Wydawało się, że wie dosłownie wszystko o tym, co zdarzyło się poprzedniego dnia, łącznie z tymi strasznymi rzeczami, które nie miały nic wspólnego z burzą.

- Postrzelono obu waszych niemieckich kapłanów - powiedział. - Szczera prawda, jak tu przed wami siedzę.

- Nie! - westchnęła Rosie. - Niemożliwe!

- Prawdę mówię! Ten młody nie żyje, a stary jest tu, w tym szpitalu.

- Nie wierzę.

- A ja nie kłamię. Przespał noc w sali operacyjnej, ale rano wypisali kogoś i przenieśli go do sali na dole. Można go odwiedzić. Nic wielkiego mu się nie stało.

541

- Popilnuj dziecka - powiedziała do Rolfa, układając przy nim córeczkę. - Wracam za chwilę.

- Drugie drzwi po prawej - dodał mężczyzna i Rosie wyślizgnęła się na korytarz. Tak była pewna, że chory opowiadał bzdury, iż nie ośmieliła się nawet spytać kogoś z personelu; po prostu bała się śmieszności. Być może

ten człowiek tylko z niej kpił, w końcu w miasteczku prawie wszyscy niemal cały czas żartowali i podkpiwali z siebie nawzajem.

Po drodze zapomniała, czy drzwi mają być po lewej czy po prawej stronie.

Za którymiś usłyszała kogoś mówiącego po niemiecku i już miała je otworzyć, kiedy powstrzymała ją siostra przełożona.

- Pani mąż jest na oddziale męskim - powiedziała. Zawstydzona Rosie próbowała się wytłumaczyć.

- Tak się zastanawiam... czy ojciec Beitz jest tu... to znaczy w szpitalu?

- Tak, kochanie. Leży w tamtej sali, ale w tej chwili śpi. Właśnie go przenieśliśmy.

Wstrząsnęła nią ta informacja.

- A więc to prawda! Ktoś go postrzelił! O mój Boże, co się dzieje?

- Proszę się nie przejmować, już po wszystkim.

- Ale ten człowiek powiedział, że pastor Ritter nie żyje!

- Obawiam się, że to prawda. Zapewne wkrótce pozna pani wszystkie szczegóły. Czy to twoje dziecko słyszę, kochanie?

W szpitalu nie zachęcano bliskich do długich odwiedzin, więc już wkrótce Rosie pchając wózek szła do hotelu „Royal” na spotkanie z Evą Zimmerman. Musi wiedzieć, o co chodzi.

Podchodziła do kuchennych drzwi, kiedy nagle ją to uderzyło.

Eva otworzyła drzwi. Ucieszyła się widząc gościa. Pochyliła się zachwycona maleństwem, ale Rosie westchnęła gwałtownie.

- Przepraszam, nie mogę zostać dłużej. Zajmij się dzieckiem przez chwilę, błagam. Zaraz wrócę.

- Oczywiście. - Eva wyszła, ujęła rączkę wózka, zanim jednak zdołała o coś zapytać, przyjaciółka już wybiegła z hotelowego podwórka na ulicę.

Grupy mężczyzn oczyszczały miasteczko, machając wielkimi szczotkami i grabiami, zgarniając zmiecione wiatrem liście, inni pracownicy piłowali gałęzie i pnie przewróconych drzew, układając drewno

542

w schludne stosy, Rosie nie zwracała jednak na nich uwagi. Śpieszyła do szpitala.

Wciąż zadyszana, odnalazła siostrę przełożoną.

- O co tym razem chodzi, pani Kleinschmidt?

- Kim jest mężczyzna w tej zamkniętej sali? Nie chodzi mi o ojca Beitza...

Kto to?

- Nie wiemy. Przewieziono go ze statku. Zdaje się Duńczyk. Duńczyk, poszukiwacz złota.

- To nie Duńczyk, lecz Niemiec. Słyszałam, jak mówi po niemiecku.

- No to świetnie. Może pani mąż porozmawia z nim... później. Dowie się, kim jest. Bo on jest poważnie chory.

- Siostro... ja chyba wiem, kto to taki. - Nagle Rosie straciła pewność siebie. Przecież tak naprawdę nie rozpoznała tego człowieka. Bo i jak, skoro jego twarz skrywała broda i długie brudne włosy.

- No to zaraz zobaczymy. Początkowo myśleliśmy, że cierpi na cholere, ale doktor Strauss wykluczył tę chorobę, więc mogliśmy go umyć i ostrzyć. - Siostra przełożona roześmiała się. - Ach, ci górnicy. Zapominają, jak wygląda fryzjer czy choćby łazienka, więc ich tu nie oszczędzamy. Biedaczysko! Moje dziewczęta nauczyły się nie słuchać skarg. Nasza kąpiel jest pewnie pierwszą przyzwoitą kąpielą w ich życiu.

Otworzyła drzwi... i Rosie spojrzała na Thea Zimmermana.

- Nie rozpoznała go pani, prawda? - spytała siostra przełożona.

- A właśnie że rozpoznałam. Bez brody. Nazywa się Theo Zimmerman. Jego żona i dzieci mieszkają tu, w Bundabergu.

- Dobry Boże - westchnęła siostra. - W takim razie proszę ją powiadomić.

- Łagodnie wyprowadziła Rosie z sali i poszła z nią do drzwi. - On nadal jest bardzo chory - powiedziała cicho. - Udało się chyba powstrzymać wymioty, ale ciągle ma gorączkę i bóle brzucha. Jest także zagłodzony. - Potrząsnęła głową. - A ludzie nie zdają sobie sprawy, ilu poszukiwaczy złota umiera na choroby zakaźne lub z niedożywienia.

- Ale on będzie żył, prawda?

- Nic nie mogę obiecać. Wszystko zależy od tego, do jakiego stopnia zdołał zaszkodzić sam sobie. Żona może go zobaczyć, ale dzieci nie. Pani też nie radziłabym odwiedzin, ma pani przecież niemowlę.

543

Ciągle bardzo mało wiemy o chorobach tropikalnych.

Ulicą biegła kolejna Niemka, kucharka z hotelu „Royal”, nadal w firmowym fartuchu. „I to cholernie dobra kucharka”, powiedział jeden ze sprzątających ulicę mężczyzn do drugiego. Przyglądali się jej, zmierzającej w kierunku szpitala, bardzo zaciekawieni. W niewielkim bądź co bądź miasteczku w ciągu ostatniej doby zdarzyło się tyle, że czekały ich całe dni rozmów i wspomnień.

Siostra przełożona rozmawiała z pielęgniarką, jedyną fachową pielęgniarką, którą miała do dyspozycji; pozostałe kobiety określane były jako „służba”.

- Zdaje się, że on tu mieszka - powiedziała siostra przełożona. - Pewnie jest jednym z tego mnóstwa imigrantów, co to zjawili się u nas w zeszłym roku.

- Biedaczysko. Przypuszczam, że nawet nie wiedział, gdzie jest, kiedy go znoszono z pokładu. Jak się miewa?
- Wygląda znacznie lepiej, od kiedy go umyłaś, i chyba nawet poczuł się lepiej, ale ciągle jest poważnie chory.
- I nadal ściska w pięści ten niebieski kamyk.
- Jaki niebieski kamyk?
- Przecież mówiłam, że kiedy go przywieźli, zaciskał w garści jakiś brudny kamyk. Nie puścił go do tej pory. Bez sensu, przecież nie ma żadnej wartości. Ale praktycznie wrósł mu w garść.
- Może to pamiątka albo coś takiego?
- Pewnie wmówił sobie, że znalazł złoto. Wiadomo, jak to jest z tymi ludźmi. Prędzej czy później każdy zachoruje na gorączkę złota.
- Nie mówiłam ci, że mój brat znalazł ponad tysiąc funtów w złocie zaraz na początku gorączki w Gympie?
- Nie, skąd! Powiodło mu się, prawda?
- No, nie wiem. Uciekł do Nowej Zelandii z jakąś dziwką. Zostawił żonę i dziecko...

Siostra przełożona wyjrzała przez okno. Do drzwi biegła zdyszana kobieta, rozwiązując fartuch.

- To zapewne pani Zimmerman?
- Znam ją. Jest kucharką w „Royalu”.

544

Eva siedziała przy łóżku Thea, próbując przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni naprawdę ze sobą rozmawiali. Niestety pamiętała tylko, jak oszukał ją w sprawie konia i jak znikł. Jak tchórzliwie porzucił rodzinę dla marzeń o złocie. Nikt nie wspominał już o koniu, więc go pewnie nie było. Mąż

wrócił do domu bez grosza. Nie miał nawet spodni, które mógłby włożyć, gdy wstanie z łóżka. Siostra przełożona kazała spalić całe jego ubranie. Powiedziała, że boi się infekcji. I wszy. Był ciężko chory i zawszony. Wstydziła się strasznie. Szkoda, że Rosie w ogóle się odezwała. A już mogła przecież zacząć gadanie od niej. Choć zapewne nie stanowiłoby to żadnej różnicy. I tak musiałyby tu przyjść, sprawdzić, kto leży w osobnej sali szpitala, potwierdzić, że to jej głupi mąż wrócił do domu, ku jej wstydowni większemu, niż czuła wtedy, kiedy uciekł.

Theo nie wiedział chyba, gdzie jest. Bredził, bełkotał coś od rzeczy, czasami po angielsku, czasami po niemiecku. Sprawiał wrażenie szaleńca z tą swoją ogoloną na zero głową, odbijającą upiorną bielą od spalonej słońcem twarzy.

Eva westchnęła. Najwyższy czas wracać do pracy. Ktoś musi przecież zarabiać na rodzinę. Wstała, lecz chory nagle chwycił ją za ramię.

- Nie martw się - powiedziała. - Wrócę później. Teraz śpij.

Ale Theo nadal ścisnął ją mocno jedną ręką, drugą zaś, z widocznym wysiłkiem, wcisnął jej coś w dłoń. Udało mu się; opadł na łóżko wyczerpany.

- A to co? - spytała patrząc na ciężki błękitny kamień. Nie doczekała się odpowiedzi. Jej mąż posłusznie zasnął.

Przyjrzała się dokładniej jego darowi z nadzieją, że ma jakąś wartość, ale widziała tylko błyskotkę, zabawkę, kamyk pomalowany na niebiesko i w dodatku pokryty emalią. Dla niego to pewnie talizman na szczęście, pomyślała. Tylko że nie przyniósł mu szczęścia.

Schowała go do kieszeni i natychmiast o nim zapomniała.

- Pan Zimmerman powrócił - powiedziała Eva do pana Hacketta.

- Doprawdy? Cóż za szczęśliwa chwila!

545

Zabrzmiało to szczerze, ale w głosie nauczyciela Eva wyczuła nutkę rozczarowania. Sprawilo jej to przyjemność niczym taktowny komplement. Kilka ostatnich miesięcy przyzwyczailo ją do jego obecności, nawet go polubiła. Była mu wdzięczna za opiekę nad dziećmi, ale teraz... skoro Theo wrócił, nie będą już mogli spotykać się tak często. Szkoda, doprawdy szkoda, myślała stojąc przed wejściem na szkolne podwórko. Gdyby nie okoliczności, pan Hackett i ja... pasujemy do siebie. Hanni kilkakrotnie napomykała, że jej zdaniem nauczyciel wyraźnie się do niej zaleca.

- Evo, przecież to oczywiste - powtarzała.

- Dżentelmen nie zaleca się do zamężnej kobiety - protestowała Eva.

- Jasne. To widać na pierwszy rzut oka - śmiała się Hanni. Żadna nie wspomniała, że być może pan Hackett liczy na to, iż mąż jego wybranki nie wróci, ale obie o tym myślały. Teraz skończyła się ta przyjemna przerwa w codziennym życiu, a Eva znów miała na głowie męża nieudacznika. W każdym razie jedno było pewne: przysięgła sobie, że nie zobaczy pensa z jej zarobków.

- Co ty tu robisz? - spytał matkę Robie.

Zaczerwieniła się. Niemal nigdy nie przychodziła pod szkołę. Nie musiała, Hansa i Inge odprowadzał i przyprowadzał Robie. Przyszła, żeby porozmawiać z panem Hackettem.

- Przyszłam powiedzieć wam, że ojciec wrócił. Dzieciaki szczerze się uradowały, podskakiwały, tańczyły, chciały zaraz zobaczyć tatusia, oznajmiła im jednak, że muszą zaczekać

kilka dni, bo nie czuje się dobrze, leży w szpitalu. To jeszcze bardziej je zainteresowało, szpital bowiem był dla nich miejscem tajemniczym i zdumiewającym. Wracaly do domu zadajac pytania jedno przez drugie. Eva moglaby im w tym dorównac... a wszystkie dotyczyły Thea.

Ojciec Beitz został przewieziony do „Royalu” i ulokowany w jednym z pokojów hotelowych, choć protestował głośno twierdząc, że duchownemu nie wypada tarzać się w luksusach.

- Co z innymi? - spytał Huberta.

- Proszę się o nich nie martwić. Za to z przyjemnością potwierdzamy, że Lucas i Hanni znów się zeszli. Wprowadził się do niej. Podobno było to zwyczajne nieporozumienie.

546

- Oczywiście. Od początku o tym wiedziałem. Gdyby mi zaufali, rozwiązałbym ich problemy, ale nie, wszystko musieli zrobić sami. A co z Maxem, Hansem, Waltherem? Gdzie mieszkają?

- Pozostali w obozie wspólnoty.

- Ach. Dobrzy ludzie.

- Postawili namiot. Całkiem niezłe się zorganizowali. Nie powiedział ojcu Beitzowi, jakie to szczęście, że ktoś został na miejscu, zjawilo się bowiem dwóch ludzi chcących omówić sprawę wyrębu drzew.

Walther nie posiadał się ze zdumienia.

- To musi być jakaś pomyłka! - krzyknął. - Nie chcemy wyrębu. Sami oczyszczamy tyle ziemi, ile nam potrzeba pod bieżące uprawy. Być może na zawsze pozostawimy nietknięty busz, niech przyszłe pokolenia wiedzą, jaki jest piękny.

Szef drwali, George Macken, pokazał mu akt własności ziemi, zdumiewając go jeszcze bardziej.

- Skąd ma pan te dokumenty?

- Przyniósł mi je wasz pastor. Są dowodem, że zyskaliśmy prawo wyrębu.

Teraz musimy tylko postanowić, gdzie zaczynamy. O warunkach finansowych poinformuję go osobiście.

- Ma pan na myśli ojca Rittera, nie mylę się?

- Owszem. - I teraz kolej przyszła na Mackena. Zamilkł, wytrzeszczył oczy. Odchrząknął. - O Boże! - wykrztusił. - To ten, którego zastrzelili!

- Obawiam się, że niestety tak. Czy mógłbym odzyskać dokumenty? Nasz proboszcz, ojciec Beitz, nie zgadza się na wyrąb.

Walther otrzymał dokumenty, drwale się wycofali.

- Jak pastor Ritter mógł zrobić coś takiego? - zdziwił się Max.

- Zapomniałeś, że nie był duchownym? - zgorszył się jego brat. - W każdym razie mamy prawo to podejrzewać. Zapewne chodziło mu wyłącznie o pieniądze. Na szczęście mu się nie udało.

- I na szczęście odzyskaliśmy akt własności - westchnął Walther. -

Schowam te papiery do kufra pastora. Nie dowie się, że ktoś je wyjął.

Pan Hoeppe i stary J. B., obaj mieszkający w hotelu, zostali bliskimi przyjaciółmi. Niewątpliwie przyczyniła się do tego przekazana Dixonowi 547

przez Huberta informacja, że ojciec Beitz nie wniesie przeciw Keithowi skargi i że oficjalnie zgodzi się uznać całą sprawę za zwykły wypadek.

- Dziękuję, ojczy - rzekł, gdy się z nim zobaczył. - Postąpił pan bardzo wielkodusznie.

- Proszę nie sądzić, że złożyłem fałszywe świadectwo. Jestem pewien, że

pański syn nie zamierzał strzelić.

Poza tym stary pastor nie powiedział nic. Przy pierwszej okazji chciał przedyskutować sprawę z Tibbalingiem. Szczerze wierzył, że zły duch nadal żyje w rzeczywistym świecie, że on był jego celem... i że była to ostatnia próba zemsty Ottona. Chętnie usłyszałby opinię Aborygena. Mimo to Dixon senior był mu bezgranicznie wdzięczny, przedstawione synowi oskarżenie o morderstwo już było niemal ponad jego siły. Do jego obrony zaangażował jednego z najbardziej znanych adwokatów z Brisbane. Prawnik był gotów wysłać pracownika swej kancelarii do Hamburga celem ustalenia tożsamości zamordowanego, który jak się wydawało, nie był duchownym, a mógł nawet okazać się kryminalistą. Informacje na ten temat mogły stać się podstawą obrony, J. B. doceniał więc każdą, nawet najdrobniejszą formę pomocy. Sam Hoepper dostarczył mu wiedzy bardzo istotnej dla początkowej fazy śledztwa: podał nazwisko dziekana Seminarium Świętego Jana w Hamburgu i przedstawił szczegóły podróży Rittera od momentu wejścia na pokład statku w hamburskim porcie. On także pierwszy wskazał na możliwość, iż ów zagadkowy mężczyzna miał na imię Otto.

Obaj, Hoepper i Dixon, zaczęli też planować przyszłość wspólnoty. Hubert wspomniał o tym, że zamierza sfinansować budowę przyzwoitej plebanii i zbadać, co można zrobić, by stali mieszkańcy obozu mieli solidny dach nad głową. J. B. powitał ten pomysł z entuzjazmem.

- Złożę tysiąc funtów na pański fundusz budowlany - oznajmił. - To najmniejsze, co mogę zrobić. Wystarczy?

- Och, doprawdy to hojna propozycja. Bardzo hojna. Cudowna, proszę pana.

- Proszę nawet o tym nie myśleć. Spodziewam się jednak, że wasz ojciec Beitz będzie zeznawał na procesie Keitha.

- Bez wahania wypełni swój obywatelski obowiązek - powiedział uroczyście Hubert Hoeppe.

548

Mimo iż ojciec Beitz nalegał na skromny pochówek, uroczystość wyłącznie dla skromnego grona zainteresowanych, Meissnerowie poznali wszystkie szczegóły dramatu od mieszkającego na drugim brzegu rzeki Rolfa i przyjechali do miasta nie bardzo wiedząc, czego powinni się spodziewać. Plotki niosły się daleko i szeroko, sprzeczne do tego stopnia, że nie sposób było traktować je poważnie. Pierwsze ostrzeżenie, sygnał, że coś jest nie tak, otrzymali dowiadując się, że pogrzeb odbędzie się na miejscowym cmentarzu, a nie w ich kościele. Wkrótce potem usłyszeli, że pastor Ritter naprawdę nie żyje. Charlie Mayhew powiedział coś jeszcze innego, z całkowitym przekonaniem twierdził, że to wszystko przez Keitha Dixona. Że umyślnie podpalił ich ziemię.

W końcu nikt nie wiedział, co myśleć, ale wszyscy stawili się na ceremonię i stanęli nad otwartym grobem na bundaberskim cmentarzu. Wszyscy, to znaczy cała niemiecka społeczność z wyjątkiem Rolfa i Thea. Dzieci Zimmermanów stały przy matce. Robiego zafascynowała zarówno dramatyczna opowieść o strzelaninie, jak i widok ojca Beitza z zabandażowanym barkiem i ręką na temblaku, wygłaszającego kazanie nie na stojąco, lecz na siedząco, z wiklinowego fotela. Jedenastolatek czegoś takiego właśnie spodziewał się po nowej dzikiej ojczyźnie; w głębi serca piastował dotąd przekonanie, że ten kraj jest niezwykle wręcz spokojny i ugłaskany. Pewnie już nigdy tak nie pomyśle, powtarzał sobie

zachwycony.

Spojrzał na młodszego brata, który lekceważąc powagę uroczystości, skrobał jakimś niebieskim kamykiem o najbliższy nagrobek.

- Skąd to masz? - syknął.

- Wziąłem z półki w kuchni. Mama pozwoliła. Powiedziała, że mogę go sobie zabrać. Jest mój!

- Pokaż.

Hans niechętnie wręczył mu kamień. Robie przyjrzał mu się z ciekawością.

- Ciężki jak ołów - zauważył.

Kamień był zębaty, w kształcie ryby, długi na dobre dziesięć centymetrów.

Do niczego się nie nadawał. No, może dałoby się go użyć jako przycisku do papierów? Robie widział kiedyś taki przycisk,

549

szklany, ze śniegiem w środku, bardzo mu zaimponował, ale ten kamień był po prostu szpetny. Nic w nim nie było ładnego, nawet kolor miał nieciekawym: zgaszony jasny błękit.

On też zaczął skrobać nagrobek. Chciał wyryć na nim swoje imię. Ojciec Beitz nie skończył jeszcze kazania, trumna nadal spoczywała przy otwartym grobie. Hans trącał go, chciał odzyskać swój skarb, ale on pracował wytrwale i nagle ku swemu wielkiemu zdumieniu dostrzegł, że niebieski kolor zaczyna się łuszczyć i odpadać. A pod nim... pod nim kamień był złoty!

Robie pociągnął matkę za ramię. Odtrącała go, by wreszcie szeptem ostrzec syna, że w domu sprawi mu lanie. Chłopiec nie wytrzymał.

Obszedł powoli nagrobek i uciekł z cmentarza. Matka i brat oczywiście to zauważyli, oboje zawrzeli z oburzenia. Hans chciał nawet pobiec za

bratem, jednakże Eva w porę złapała go za kołnierz i ustawiła twarzą do pastora.

Kazanie ojca Beitza oparte było na temacie potęgi dobra w walce ze złem. Niestety stary pastor niewiele mógł powiedzieć o zamordowanym mężczyźnie. Choćby miał zapłacić życiem, nawet w tej sytuacji nie potrafił znaleźć najważniejszych słów, więc mówił i mówił, póki nie udało mu się zakończyć z jakim takim sensem. Nadal był słaby, więc Walther i Jakob odwieźli go do hotelu wozem. Po drodze minęli Robiego Zimmermana biegnącego z powrotem na cmentarz.

- Widziałem, jak ten mały łobuziak wymyka się z cmentarza - powiedział pastor do Jakoba. - Już ja pogadam o tym z jego matką. To skutek posyłania dzieci do pogańskich szkół. A kim jest ten śmieszny mężczyzna, który próbuje go dogonić?

- Zdaje się, że miejscowy jubiler - odparł Jakob, przyjrząwszy się niskiemu człowieczkowi w zakiecie, podtrzymującemu cylinder i ze wszystkich sił próbującemu dotrzymać kroku chłopcu. - Ciekawe, co też się tu dzieje?

Wóz skręcił za róg, nie widzieli więc, jak Robie rzuca się w ramiona matki.

- Popatrz, mamó! Złoto! Złoto! Ten kamień to złoto! Warte mnóstwo pieniędzy!

- Poczekaj tylko, aż wrócimy do domu... tak mnie upokorzyłeś... Co powiedziałaś?

- Złoto! To jest złoto! - krzyknął chłopiec wciskając jej kamień do ręki.

550

Mężczyzna w cylindrze zatrzymał się obok niej zdyszany. Wokół

zgromadził się tłum ciekawskich.

- To naprawdę złoto, proszę pani - powiedział, z trudem chwytając oddech. - Bardzo interesujący okaz...

- Złoto? Niebieskie?

- Och, to dość często spotykana sztuczka, do której uciekają się poszukiwacze w obronie przed kradzieżą. Pani mężowi najwyraźniej się udało. Rozsądny człowiek. Użył własnej roboty barwników i emalii...

Eva spojrzała na niego zdumiona. Pierwszy raz ktoś nazwał jej męża rozsądnym.

- Powiedział pan: złoto? - upewniła się drżącym głosem.

- Daję pani słowo honoru.

- Boże, a ja omal nie wyrzuciłam tego kamienia! - Eva pobladła nagle i... zemdląca. Na szczęście Lucas chwycił ją, nim zdążyła zrobić sobie krzywdę.

Jubiler wręczył mu swój bilet wizytowy.

- Proszę poinformować panią - powiedział bardzo uprzejmie - że z przyjemnością służę jej pomocą. Gwarantuję, że u nikogo nie uzyska lepszej ceny za ten nugget, oczywiście jeśli zdecyduje się go sprzedać.

- Nugget - westchnął zachwycony Robie. - Złoto!

KODA.

Bundaberg, 15 stycznia 1878 roku.

Drogi Hubercie,

z wielką przyjemnością dowiedziałem się o Twych podróżach po Ameryce Południowej. Jestem pewien, że było to fascynujące przeżycie. Dotarły do nas trzy pocztówki; mam nadzieję, że pierwsza, czwarta i szósta nadal szukają drogi do domu i kiedyś do niego dotrą. Rozumiem, że jesteś

szczęśliwy w domu, w Hamburgu, siedząc przy kominku i przyglądając się padającemu za oknem śniegowi, ośmielałam się jednak twierdzić, że w przyszłym roku znów wyruszysz w jakąś egzotyczną podróż. Muszę przyznać, że zazdroszczę Ci pogody. W zeszłym miesiącu, a dokładnie szesnastego grudnia, temperatura u nas przekroczyła czterdzieści stopni. Omal nie umarliśmy w tym żarze. W południe zrezygnowaliśmy z pracy i wszyscy szukaliśmy ochłody w rzece. Najnowszym hobby Fredy jest pływanie. Uczyli ją nasi przyjaciele Aborygeni, osiągając znaczne efekty. Oczywiście ja i Karl też musieliśmy opanować ową sztukę, ale Adeli udało się uniknąć tego wysiłku, przynajmniej na razie. Z przyjemnością informuję, że ma się świetnie. Uważa się za doświadczoną mężatkę po roku pożycia, dla Fredy zaś i mnie... cóż, jest największą radością naszego życia. Nadal uważamy za wielkie szczęście to, że nasz syn poślubił Twą wspaniałą córkę. Obiecuję Ci, Hubercie, że będę jej strzegł choćby za cenę życia. Właśnie, przy okazji, coś mi się przypomniało. Miejscowi naukowcy twierdzą, że gorączkę może sprowadzić ukąszenie moskita i że powinniśmy strzec się ich wszelkimi sposobami. Próbowujemy oczywiście, bo tną strasznie, używamy siatek, lecz jeśli masz jakies

552

dodatkowe informacje na ten temat, o którym nie wiem nic, poinformuj mnie, proszę, co mogę więcej zrobić celem ochrony rodziny. Mamy siatki nad łózkami, ale nie dysponujemy jeszcze dodatkowymi siatkowymi drzwiami będącymi tu popularną nowością.

Wiem, o co chciałbyś zapytać, lecz jesteś na to zbyt delikatny, więc odpowiadam, byś nie musiał się trapić: nie, Twoja córka nie spodziewa się jeszcze dziecka. Freda twierdzi, że nie ma się co śpieszyć. Ich dom

wygląda o wiele lepiej od naszego, bo Adela tak ładnie szyje zasłony i w ogóle, Freda zaś woli raczej gotować. Karlowi powtarzam, że dzięki temu obaj mamy co najlepsze. A także, co jeszcze wspanialsze, w zeszłym roku mieliśmy coś, co tu nazywa się „rekordowym zbiorem”. Nigdy nie myślałem, że będę uprawiał trzcinę cukrową jako Twój partner, mój drogi Przyjacielu, i innych współwłaścicieli destylarni, która dla mnie jest wielką i skomplikowaną maszyną. Zaczęła pracę w zeszłym roku, a ja nadal wstrzymuję oddech, czekając rezultatów.

Browar Walthera Badke już produkuje najlepsze miejscowe piwo. Może znasz tę markę z kraju? Ja nie. Ale polecam, polecam. Lucas Fechner pracuje dla niego; nazywa się to chyba „nadzorca”. Tak czy owak lubi tę pracę. Nie jestem pewien, na czym ona polega, mniejsza z tym, w każdym razie ma syna imieniem Jurgen, po jego ojcu. Kupił też nieduży dom, który przedtem podnajmowała Eva Zimmerman.

Jak wiesz, Theo Zimmerman wrócił z nuggetem wielkiej wartości. No i Eva sprzedała go, a za otrzymane pieniądze kupiła dom przy Bourbon Street na swoje nazwisko, po czym przerobiła parter na kawiarnię, a to w czasie kiedy Theo dochodził do zdrowia w szpitalu, jego choroba zaś okazała się poważna i trwało to kilka miesięcy. Kiedy się o wszystkim dowiedział, wszczął wielką awanturę, dopiero ojciec Beitz uspokoił sytuację, wykorzystując do tego celu cały swój duchowny autorytet. Theo nadal nie może się z tym pogodzić, skarży się na prawo i lewo, gdy tylko ma okazję. A niewiele ich ma, bo większość czasu spędza na polach złotonośnych. Rolf jest zdania, że weszły mu w krew i że będzie szukał złota aż po kres swych dni. Mniejsza z tym, w każdym razie kawiarnia cieszy się popularnością. Eva jakoś sobie radzi, jak my wszyscy.

Dumą i radością Fredy jest dziś nasz sad, rzeczywiście wspaniały. Mamy nawet ananasy! Pan Jolly, który wydaje się godnym

553

reprezentantem nas wszystkich w parlamencie, twierdzi, że wkrótce zacznie budowę letniego domu na Twojej nadmorskiej działce, co szczególnie ucieszyło Adelę. Nazywa to „swoim pomysłem”. Rolf chciałby wykupić Twoje działki w mieście, ale ona na to nie pozwala, ma nadzieję, że w końcu do nas powrócisz i będziesz potrzebował dobrej ziemi. A ziemia tu jest już warta ładny grosz.

Tu, w Bundabergu, mamy już pocztę, miejski park, fabrykę mydła, nawet dyliżans do Maryborough. Miasto się rozwija. Bez wątpienia będzie się rozwijać dalej. Kiedy tu przyjechałem, zastanawiałem się, czy przetrwa, ale proszę, każdego dnia dzieje się coś nowego. Dzięki Tobie ojciec Beitz ma przyzwoity dom. Udało się nam także zebrać fundusze na budowę dwóch ładnych domków oraz prześlicznego ośrodka naszej wspólnoty, udekorowanego fontanną. Wielu niemieckich imigrantów przybywających do naszego miasteczka mieszka u nas przez dłuższy lub krótszy czas, co może tylko przysłużyć się naszej niewielkiej kongregacji. Jesteśmy dumni, że możemy ich godnie przyjąć, zaoferować im schronienie.

Max Lutze i Walther nadal tu mieszkają, wraz z dwoma kuzynami Walthera. Obaj pracują w browarze. Adela mówi, że jego narzeczona przyplynie lada chwila, a także mój drugi syn, Eduard. Uczy się on pracy w destylarni.

Być może nie wiesz o tym, że Keith Dixon skazany został na dożywocie za zabójstwo Ottona Haupta, ale wyrok obniżono mu do dwudziestu lat z powodu całego tego zamieszania i moim zdaniem także dlatego, że Haupt

również okazał się mordercą. Jeśli znajdziesz czas, chętnie dowiedziałbym się od Ciebie, jak hamburskiej policji udało się go zidentyfikować. Co niedziela modlimy się o spokój duszy biednego ojca Rittera zamordowanego w tak potworny sposób, niektórzy z nas proponowali nawet, by wznieść krzyż ku jego pamięci, ale moim zdaniem ojciec Beitz wolałby nie popularyzować jego nazwiska. Nadal ma związane z nim przykre wspomnienia.

Nowy wikary prowadzi szkołę na otwartym powietrzu dla miejscowych dzieci. Lubi je uczyć, to widać. Muszę przyznać, że pięknie śpiewają. Rozpisałem się, a chciałem tylko przysłać Ci najlepsze życzenia od nas wszystkich. Aha, omal nie zapomniałem odpowiedzieć na pytanie. Nie, J. B. Dixon nie dotrzymał słowa. Nie przekazał

554

wsparcia naszej wspólnoty. Ani pensa. Zapewne zapomniał, użera się przecież z prawnikami.

Zawsze Twój Jakob Meissner.

Koniec